

DAVE HUNT

**PLAN
ARCHONTÓW**

H. Gaide

OFICyna WYDAWNICZA "TIQVA"
WROCLAW 1993

„Wysyłamy to poselstwo w kosmos [...] to prezent od maleńkiego, odległego świata [...] Mamy nadzieję, że pewnego dnia, rozwiązawszy stojące przed nami problemy, dołączymy do społeczności galaktycznych cywilizacji.”

Jimmy Carter, Prezydent Stanów Zjednoczonych
16 czerwca 1977, posłanie z sondy kosmicznej Voyager

„Jestem przekonany, że wyższe istoty z innych przestrzeni i innych czasów zapoczątkowały nowy dialog z ludzkością [...] Nie wiem, jak wyglądają, jak żyją ani jakie są ich cele względem ludzkości [...] [ale] żywię głęboką wiarę w ich mądrość i życzliwe intencje ku człowiekowi i istotom na Ziemi.”

Andrija Pucharich
ekspert w dziedzinie medycyny, właściciel ponad 50 patentów

„Za dziesięć lat idea funkcjonowania psychokinetycznego będzie powszechnie akceptowana. Obala ona dotychczasową koncepcję istoty człowieka; istnieje coś o znaczeniu bardziej podstawowym niż materiał, z którego jesteśmy uczynieni.

Możemy [psychicznie] sterować materią, która jest dookoła nas, poza naszym ciałem, a także wewnątrz sterować funkcjonowaniem naszego ciała — poprzez sposób naszego myślenia.”

Były kosmonauta Edgar D. Mitchell
przemówienie do członków Kongresu Stanów Zjednoczonych w 1980 roku

„Jeśli wierzymy w telepatię, wierzymy w proces, który umożliwia interwencję w czyjaś” osobowość na odległość. Nie jest w żadnym razie prawdopodobne, [...] że jedynie duchy poczytalne i inteligentne mogą [taki] wpływ wywierać [...] Nie ma powodu, dla którego i inni nie mogliby tego robić.”

James Hyslop
profesor logiki i etyki na Uniwersytecie Columbia

Mi. ilrni ogromne problemy z panowaniem nad myślami. Był we mnie jakiś

demon... Carl Gustav Jung
psychiatra

Akcja tej książki rozgrywa się w bardzo niedalekiej przyszłości. Jest to wprawdzie fikcja, jednak ani o charakterze fantazji, ani alegorii; być może należą ją określić jako rzut oka w przyszłość. Nie znaczy to, że na następnych stronach znajdzie Czytelnik dokładne przepowiednie, niemniej jednak wydarzenia uderzająco podobne do opisanych na kartach książki będą prawdopodobnie wkrótce miały miejsce — wydarzenia, którym żadna ludzka siła nie może zapobiec, nawet gdyby o nich wcześniej wiedziała. Nie potrafimy oczywiście ściśle określić, kiedy podobny scenariusz stanie się prawdziwą historią.

Z wyjątkiem przypadków, w których jednoznacznie określono tożsamość osób powszechnie znanych, jakiegokolwiek podobieństwo do autentycznych postaci jest niezamierzone.

Kontakt

— Dochodzisz do Omega! Spokojnie. Nie powstrzymuj. Przechodzimy głębiej... głębiej...

Kenowi Inmanowi, pogrążonemu w samodzielnie wywołanym transie i przymocowanemu pasami do tajemniczego urządzenia, które sam wymyślił, zdawało się, że metaliczny głos ma źródło gdzieś w jego własnej głowie. Przeniesiony elektronicznie z fal mózgowych Kena do wzmacniacza głos jakby robota zdawał się przybywać z odległych miejsc przestrzeni i czasu. Przeróżny dźwięk odbijał się od ścian laboratorium, płynąc z głośnika znajdującego się akurat nad drugą obecną w pomieszczeniu postacią, odzianą w biały fartuch i pochyloną w napięciu nad wielką tablicą kontrolną elektronicznego sprzętu. Pod przerzedzonymi, siwymi włosami, na szerokim, wysokim czole pojawiły się kropelki potu, a sowi wzrok zza okularów w metalowych oprawkach zdradzał wzrastające nerwowe podniecenie.

Osiemnaście lat wcześniej, jeszcze jako nastolatek, Ken Inman otrzymał dyplom z wyróżnieniem Uniwersytetu Stanford. Geniusz matematyczny w dzieciństwie, posiadał w wieku 19 lat podwójny doktorat w Stanford — z inżynierii elektrycznej i informatyki. Był to wyczyn bezprecedensowy i właściwie nie do powtórzenia. Ken prowadził własną odnoszącą wielkie sukcesy firmę wypuszczającą programy komputerowe, a jednocześnie angażował się w penetrację dziedziny parapsychologii. Ta ostatnia decyzja głęboko rozczarowała kilku spośród jego byłych profesorów, ale Kenowi wcale nie przyszła ona łatwo. Bardzo sugestywnie przekonywał krytyków, że parapsychologia oferuje ludzkości więcej potencjalnych korzyści niż jakkolwiek inna dziedzina wiedzy. Jednak nigdy nie zdradził choćby słowem swojej tajemnicy — badań, które najpierw go zaintrygowały, a później stały się obsesją: poszukiwał medialnego kontaktu z bezcielesnymi inteligencjami z wysokiego poziomu ewolucji.

Po pięciu latach intensywnej samotnej pracy nad tą ideą Inman zapoznał z nią bliskiego przyjaciela, błyskotliwego i rzutkiego profesora psychologii ze Stanford — Franka Leightona. Razem eksperymentowali właściwie bez wstydzenia, poszukując czegoś, czego kaliber — jak obaj byli przekonani — jest większy niż bomba atomowa, prawo ciężkości i teoria względności razem

wzięte. I oto teraz - nareszcie - udało się nawiązać kontakt!

— Jesteśmy Dziewięcioma. Zaufaj nam! Otrzymaliśmy wasze przesłanie przez Voyagera... przychodzimy, by pomóc... — kosmiczny głos działał kojąco, hipnotycznie.

Inman odczuł dziwne podniecenie — pomimo że znajdował się w drobiazgowo kontrolowanym zmienionym stanie świadomości. „Przesłanie z Voyagera? Nie do wiary! Więc oni jednak są!” Myśli pędziły jak szalone. Czuł, że wciąga go wir jakiejś magnetycznej świadomości, której istnienia nigdy przedtem nie podejrzewał.

Dyszając ciężko i z całej siły starając się zapanować nad drżeniem palców, Frank Leighton rzucał krótkie, badawcze spojrzenia na pogrążoną w głębokim transie postać. Masywne krzesło z oparciem, do którego Ken był przytworzony, znajdowało się w całości pod piramidą z grubego pleksiglasu, niemal sięgającą wysokiego sufitu laboratorium. Płatnina kabli wiodła od dopasowanego do głowy Kena plastikowego kasku i od wielu innych miejsc na jego ciele do imponującego zestawu elektronicznych czarów-marów u jego boku. Stamtąd dwa wielkie przewody komputerowe wychodziły na zewnątrz, do urządzeń kontrolnych. Cała aparatura mieściła się na metalowej platformie w kształcie pentagramu. „Wyrzutnia raketowa w przestrzeń wewnętrzną” - jak Ken i Frank pieszczotliwie nazywali swoje tajne laboratorium - mieściła się około dziesięciu minut jazdy od Uniwersytetu Stanford.

— Wchodzisz w prędkość ponadświatłą. Rozluźnij się!

Ten głos zdawał się zaciskać lodowate palce paniki na gardle i piersiach Leightona. „To jest to! Nagroda za lata harowy!”

Ken leżał bez ruchu, twarz przypominała w tej chwili maskę pośmiertną. Urządzenia kontrolne wskazały, że stan transu już dawno przekroczył to, co udawało się do tej pory osiągać. Tętno spadło do 35 uderzeń na minutę, a ciśnienie do poziomu 90/40. Przez chwilę Leighton zmagał się sam ze sobą, klnąc na paranoję zachowania tajemnicy, która żadnego lekarza nie dopuściła do udziału w niebezpiecznych sesjach.

— Obserwowaliśmy wasz postęp; przybyliśmy, aby pomóc podjąć kolejny krok. Między nami jest bariera. Otwórz się! Nie masz się czego obawiać.

Mimo przekonującej perswazji i hipnotyzującego rytmu tego głosu w metaliczne brzmienie wkradło się coś niepokojącego. Leighton poczuł, że jeża mu się włosy na karku. „Spokojnie! Weź się w garść! To głośnik i ta elektronika dają takie brzmienie. Trzymaj się, Ken.” Jego wzrok biegał od Kena do strzałek i grafów i z powrotem. Doktor przejechał wilgotną dłonią po czole.

— Aby wejść w punkt Omega, gdzie inteligencja ludzka styka się z Nieokończonym, trzeba porzucić barierę wokół jaźni. Porzuć barierę — rozkazujący ton z głośnika nie pozwalał na sprzeciw.

Leighton z konsternacją zauważył, że Ken próbuje powrócić do normalne-

go stanu świadomości, w konwulsjach zmagając się z przytrzymującymi go pasami. Z zeszywniałych warg wydobył się niemy jęk, a ciśnienie krwi i tętno gwałtownie skoczyły w górę. Leighton obserwował bezradnie, jak monitory wskazują wychodzenie z głębokiego transu.

— Porzuć barierę! — głos nie z tej ziemi utracił już poprzedni kuszący walor, stał się surowy i władczy.

— Niiieee!

Krzyk, który wyrwał się z krtani Kena, przypominał bardziej zwierzęcy ryk niż ludzki głos. Ken rozpaczliwie walczył z pasami, jak tonący człowiek, który próbuje chwycić choć haust powietrza.

— Musisz się otworzyć. Porzuć barierę... barierę...

Głos brzmiał coraz głośniejsze, natarczywiejsze, ale docierał już tylko urywanymi sylabami, jakby mówiącemu coraz trudniej było utrzymać połączenie.

— Niiieee! — powietrze przeszły przeraźliwy wrzask. — Niiieee!

Bank strzałek na monitorach kręcił się jak szalony przez kilka sekund, potem powoli wspiął się do stanu normalnego, potem jeszcze dalej. Leighton zaklął pod nosem. Wcisnął jakiś guzik i piramida z pleksiglasu zaczęła się płynnie przechylać na bok, odsłaniając Kena. Kontakt, o którym marzyli, na który tak ciężko pracowali i który w końcu osiągnęli, wymykał się z rąk.

Oczy Kena otworzyły się szeroko, a głowa kręciła w prawo i w lewo, jakby rozpaczliwie szukał wzrokiem czegoś czy kogoś. W każdej zmarszczonej wykrzywionej twarzy widniała panika. Usiłował wyzwolić się z pasów, lecz na próżno. Ciśnienie i tętno skoczyły wysoko, ponad 200. W końcu zaczęły powoli opadać — Ken utkwiał nareszcie wzrok w Leightonie, który przed odpięciem skórzanych pasów zręcznie usuwał z jego ciała elektroniczne czujniki.

— Ken, czyś ty oszalał?! Czemu przerwałeś? Przecież byłeś już w Omega! Dlaczego?

— Yyy ... przerwałem? Tak? — choć nadal półprzytomny, Ken był jednak zaskoczony wyrzutem, jaki dosłyszał w głosie kolegi. Pokręcił głową na znak, że nie wie, o co chodzi. — Co ty mówisz?

— Już tam doszliśmy, aż nagle zacząłeś z tym walczyć. Nie pamiętasz?

— Walczyć? Nie wiem. Czuję się tak, jakby coś próbowało wejść mi do głowy. Potworne!

Przeszedł go dreszcz. Ścisnął głowę obiema dłońmi. Osłabiony i oszołomiony, próbował sobie przypomnieć jakieś szczegóły makabrycznego koszmaru, który zdawał się wciąż trwać, tylko jakby poza jego zasięgiem.

Leighton niecierpliwym ruchem sięgnął do konsoli magnetofonu, wcisnął cofanie, potem szybki przesuw. Zniekształcone dźwięki dodawały jeszcze grozy napiętej atmosferze. W końcu Leighton znalazł to, czego szukał.

— O, tutaj! Miłowy krok w historii nauki! Słuchaj!

— Dochodzisz do Omega! Spokojnie. Nie powstrzymuj. Przechodzimy głębiej... głębiej...

Na pierwszy dźwięk tego głosu ciało Kena zwinęło się konwulsyjnie, a ze skrzywionych ust dobył się jęk. Leighton na moment wcisnął pauzę, potem włączył.

— Jesteśmy Dziewięcioma. Zaufaj nam! Otrzymaliśmy wasze przesłanie przez Voyagera... przychodzimy, by pomóc... Wchodzisz w prędkość ponadświatlną. Rozluźnij się! Obserwowaliśmy wasz postęp; przybyliśmy, aby pomóc podjąć kolejny krok. Między nami jest bariera. Otwórz się! Nie masz się czego obawiać.

Leighton z uwagą przypatrywał się koledze. Kiedy rozlegał się ów natarczywy głos, ciało Kena trzęsło się, jakby wcale nad nim nie panował.

— Aby wejść w punkt Omega, gdzie inteligencja ludzka styka się z Nieokończonym, trzeba porzucić barierę wokół jaźni. Porzuć barierę!

— PORZUĆ BARIERĘ! — głos zdawał się wypełniać całe pomieszczenie.

— Neeeeee!

Dźwięk własnego histerycznego krzyku eksplodował w głowie Kena. Ból szarpnął gwałtownie jego ciałem, przytrzymywanym pasami. W przerażeniu Ken wyciągnął ramię, wyłączył magnetofon i jak szalony zaczął wrywać się z krzesła.

— Czekaj! Ja cię odepnę.

Leighton ze stanowczością położył dłoń na jego ramieniu i przytrzymał go w miejscu. Ken dygotał. Jego wzrok przypominał wzrok zwierzęcia w potrzasku.

— Coś znowu wchodziło mi do głowy!

Odetchnął głęboko kilka razy. Powoli wypuszczał powietrze, próbując się uspokoić.

— Ohyda! Potworne! Frank, ja nigdy nie myślałem, że to będzie coś takiego! Kto to jest, tych D z i e w i ę c i u ? Dlaczego czułem niebezpieczeństwo, coś o d r a ż a j ą c e g o ?

Leighton odpinał go z niezachwianą konsekwencją, potrząsając głową w wyrazie jednoznacznej dezaprobaty.

— Nie pojmuję, cóż ty wygadujesz. Po prostu nie mieści mi się w głowie!

Strach i zagubienie w oczach Kena sprawiły, że Leighton spuścił nieco z tonu.

— Wytrzymasz jeszcze trochę? — zapytał. — Powinieneś dosłuchać do końca, póki świeże. Może sobie coś przypomnisz.

Ken rozparł się na krześle i niechętnie skinął głową.

— Dobra. Spróbuj jeszcze raz.

Leighton znów włączył magnetofon.

— Musisz się otworzyć. Porzuć barierę... barierę... — głos to zanikał, to znów się pojawiał.

— Nieeee! Nieeee!

Ten krzyk zdawał się dochodzić z dna piekieł. Ken chwycił poręczę fotela i za wszelką cenę usiłował zachować przytomność umysłu, aż minęły makabryczne, lecz zamazane wizje.

Leighton wyłączył magnetofon.

— I tu zgubiliśmy trop. Pracowaliśmy na tę chwilę całe lata.

Stracił resztki współczucia. Stawka była za wysoka. Dla Kena nie ma usprawiedliwienia. Leighton już nawet nie starał się ukryć rozczarowania i złości. Spoglądał na Kena znad okularów, ale nie tym chłodnym, klinicznym wzrokiem, obrzydliwie znajomym wszystkim studentom kursów psychologii w Stanford. Wymknął im się z rąk wielki łup. Leighton wrzał bezsilną wściekłością.

— Dlaczego z tym walczyłeś? Dlaczego?! — pytanie majaczyło w pokoju niczym jakaś namacalna istota. — Już to mieliśmy, Ken!

— Mówiłem ci. To było jak ... jakby coś żywego i obrzydliwie o b c e - g o ... chciało mnie ogarnąć... zagarnąć! Nie potrafię tego wyjaśnić... — głos mu się urwał.

Leighton nieubłaganie kręcił głową.

— Ken, powiedzieli, że otrzymali przesłanie z Voyagera i przybyli na pomoc. Czy ty sobie zdajesz sprawę, co to znaczy? Jaką okazję straciliśmy?

— Więc to moja wina, tak? Naprawdę żałuję, ale ty chyba nie rozumiesz, co to było...

— Obserwowałem każde najmniejsze drgnięcie wskazówek — upierał się Leighton — i zapewniam cię, nie było żadnej oznaki jakiegokolwiek szkodliwego oddziaływania, do momentu, aż zacząłeś się opierać! Wtedy dopiero wszystko się posypało!

Ken zjeżył się.

— Nie masz prawa mnie za to winić, Frank! Tobie się zdaje, że wrzeszczałem sobie ot tak, bez powodu? To do mnie kompletnie niepodobne - a jednak słyszałem to na własne uszy - ty zresztą też!

— Nic konkretnego mi nie mówisz, Ken, relacjonujesz tylko jakieś niejasne, subiektywne odczucia, które pojawiły się w twoim własnym, prywatnym umyśle. Nie jest to nic, co faktycznie miało miejsce — głos Leightona nabrał klinicznego brzmienia, jak gdyby analizował stan pacjenta czy studenta. — Obserwowałem monitory, nic tam nie było widać...

— Mało mnie obchodzą monitory! — rozgniewał się Ken. — Wchłaniało mnie coś o b r z y d l i w i e o d r a ż a j ą c e g o, nie potrafię tego nawet opisać! Nie umiem tego wyjaśnić, ale to makabryczne!

— Doskonale słyszę, co mówisz, Ken, i usiłuję cię zrozumieć. Wiem, że uczucia mogą wydawać się czymś niema! realnym. Ale ja się muszę dowiedzieć, co naprawdę miało miejsce. To nie może się już powtórzyć, nie dopuścimy do tego. Byłeś w punkcie Omega, spełniły się sny! I jak gdyby nigdy nic, wycofałeś się.

— A tobie się zdaje, że ja się z tego cieszę? Już zapomniałeś, że to ja wszystko rozpocząłem i wprowadziłem cię? Zechciej mnie z łaski swojej zostawić w spokoju!

— No, dobrze — głos Leightona brzmiał poniekąd przepraszająco. — Spróbujemy kiedy indziej, gdy będziesz gotowy. Następnym razem pójdzie łatwiej...

— Następnym razem?! Nie wiem... Może... Teraz nie chcę o tym myśleć.

Błagalny wzrok i wykrzywiona twarz Kena wyrażały bezgraniczne przerażenie.

— Możesz to zrobić — mówił Leighton kojącym tonem. Teraz znowu on zaczął ulegać panice. A jeśli Ken się wycofa?! — Wyśpisz się porządnie, przejdzie ci. Mieliliśmy kupę szczęścia. Następnym razem pójdzie jak z płatką — położył dłoń na ramieniu Kena, a ten natychmiast ją zepchnął.

— A może ... może tak zechciałbyś następnym razem zamienić się ze mną miejscami...

— Z największą przyjemnością, tylko że to nie miałyby sensu — odparł Leighton z żarliwością w głosie. — Ty się do tego przygotowywałaś od lat. Psychedelika, joga, zen... A ile czasu ja bym musiał na to strawić? Daj spokój, Ken. Nie podejrzewałem, że tak łatwo się zniechęcisz!

— Zostaw mnie w spokoju, z łaski swojej. Spróbuję oczywiście jeszcze raz. Tylko ... muszę mieć trochę czasu.

Ken podniósł się energicznie. Jego wysoka, wysportowana sylwetka wyrsała ponad postać towarzysza. Był między nimi spory kontrast. Leighton najwyraźniej lubował się w trunkach i dobrym jedzeniu.

— Muszę stąd wyjść — mruknął Ken, nie wiadomo czy do siebie, czy do Leightona. Znów potrząsnął głową i objął ją dłońmi; skrzywił się z bólu i oszołomienia. Kręcąc głową chwiejnym krokiem minął drzwi laboratorium i zatrzasnął je za sobą.

Leighton szedł za nim z wahaniem kilka kroków, potem zatrzymał się. Stał, a echo zatrzaskiwanych drzwi dudniło mu w głowie przez dłuższą chwilę. Dał się porwać wirowi sprzecznych myśli. Rozglądał się po laboratorium — dzieło geniuszu i wytrwałości Kena. Stało się ono również jedyną obsesją Franka Leightona.

„Mamy kontakt!” — ta myśl wywołała w nim dziką radość. Prędko podszedł do telefonu na najbliższym biurku i wcisnął jakiś numer, numer, którego nie wybierał nigdy, z wyjątkiem sytuacji, gdy nie sposób wysledzić, skąd

dzwoni.

Rozległ się sygnał za sygnałem. W końcu z drugiej strony odezwał się rzeczowy damski głos:

— CIA.

Leighton chrząknął:

— Proszę z Hopkinsem.

— Kogo mam zapowiedzieć?

— Niech pani powie, że to Herbert George Wells, ze wspaniałą wieścią, na którą czeka.

Umówione spotkanie

n

Opuściwszy laboratorium, Ken bezmyślnie pojechał w stronę nadmorskich wzgórz. Często wędrował przez te lasy i rozmyślał nad trudnymi problemami do chwili, aż poznał rozwiązanie. Dziś jednak, znalazłszy się na krętej, górskiej drodze, którą tak dobrze znał, nie mógł sobie przypomnieć, jak się tu dostał. Spojrzał na przedwieczne słońce, które miało za chwilę utonąć w Pacyfiku, zaraz za pasmem gór, na które wjeżdżał. Sam nie wiedział, kiedy wcisnął taśmę Jamesa Taylora *Sweet Baby James*. Nostalgiczne dźwięki muzyki dudniły kwadro fonicznie przez głośniki w jaguarze XJS.

Pomimo bogactwa, jakie dała mu własna firma komputerowa, Ken zbyt był oddany swoim celom, by znajdować czas na przyjemności życia, na które bez trudu byłoby go stać. Jaguar był jedynym symbolem sukcesu, na jaki Ken sobie pozwolił, jedyną jego własnością, której dał się zawładnąć, jego dumą i radością. Jednak w tej chwili mężczyzna doznawał przedziwnego wrażenia: piękna maszyna, która zawsze w ułamku sekundy reagowała na jego najmniejszy gest, zdawała się walczyć z nim, niby żywa, dysząca, nieokiełznana istota. Lecz nawet to dziwne uczucie było jakby niejasne i nierealne. Kenem zawładnęła teraz tylko jedna myśl — przerażający imperatyw, by uciec od jakiegoś nieokreślonego, lecz potwornego wspomnienia. Nieodparty koszmar nabierał coraz wyraźniejszych i coraz boleśniejszych kształtów, a straszliwe głosy wystukiwały w pulsującej bólem głowie bezustannie, głośno te same zdania.

— Doszedłeś do Omega... Omega... ponadświatłej... ponadświatłej... ponadświatłej...

Było to coś więcej niż wspomnienie. Metaliczne, złowrogie polecenia zdawały się emanować z jego własnej duszy, tak jakby należała ona do tych nieznanomych „Dziewięciu”. Każdy przeraźliwy dźwięk potęgował pragnienie ucieczki i równocześnie paraliżującą świadomość, że ucieczka nie jest możliwa. Błyskotliwy umysł, geniusz, który zawstydzą najwybitniejszych... Do czego mu to teraz potrzebne?

W fizycznym postrzeganiu Kena zachodziły jakieś dziwne zmiany. Jaguar, z którym dotąd się zmagał, zaczynał sprawiać wrażenie, jakby był przedłużeniem jego własnej istoty. W końcu oboje stali się niby jedno, wspólne stwo-

rzenie — ciało i maszyna złąły się w jeden organizm. Ręce przywarły mu do kierownicy, poruszając się dziko za jej ruchami. Stopa i noga stały się przedłużeniem pedału gazu, który poganiał rozszalały pojazd do granic jego możliwości. Ken zdawał sobie sprawę, że zachowuje się irracjonalnie, lecz owa dzika fala mocy zdawała się dawać jedyną możliwość odwetu na makabrycznych głosach; nawet jeśli równałoby się to autodestrukcji. To by je nareszcie uciszyło! Ta myśl była szalona, zdawał sobie z tego sprawę, lecz jego stopa niezmiennie naciskała na pedał stosując się do dziwnego wewnętrznego nakazu.

— My, Dziewięciu, poprowadzimy ciebie. Musisz się otworzyć... otworzyć się...

Droga zwężyła się i biegła teraz stromo pod górę. Zdawała się nieskończonym ciągiem niebezpiecznych zakrętów, które wiły się skrajem głębokiego wąwozu o urwistych zboczach. Świetlisty błękit nieba, drzewa znikające w tyle, promienie zachodzącego słońca, które przebijają się przez gałęzie, porywająca moc, której się oddał — cóż za uczucie. Jak to, którego doznał w pierwszej chwili kontaktu z „Dziewięcioma”. Lecz tak samo jak przedtem, ekstaza prędko uległa metamorfozie w strach i oszołomienie. Na jakimś ślepych zakręcie jaguar śmignął bez trudu obok wspinającej się mozolnie na stromizną ciężarówkę załadowanej sianem — zdawało się, że ciężarówka stoi w miejscu. Był to śmiertelnie ryzykowny manewr, którego normalnie nigdy by się nie podjął, teraz jednak zawładnęło nim coś, czemu nie umiał się przeciwstawić. Świadomość, że to jest coś więcej niż zabawa ze śmiercią, że to umówione spotkanie z nią twarzą w twarz, zdawała się zamazana i mało istotna.

Czy to sen? Oszołomiony i sparaliżowany fascynacją Ken patrzył, jak potężna kobra wysliznęła się zza tablicy rozdzielczej i wpełzła mu między nogi. Wpatrywała się w niego nieruchomymi ślepiami spod na pół przymkniętych powiek, a potem w mgnieniu oka owinęła się wokół lewego ramienia. Ken krzyknął z przerażenia i rozpaczliwie usiłował chwycić ją poniżej głowy, ale jedyna wolna ręka natrafiła na pustkę. A przecież kobra była tam. Jej ślepia wpatrywały się hipnotyzująco w jego oczy, zwinny język drgał złowieszczo.

Przerażenie i fascynacja obrzydliwym wężem zostały brutalnie przerwane nagłym piskiem hamulców, rykiem klaksonu — i druzgocącą świadomością, że przejechał wymalowaną przez środek wąskiej drogi podwójną linię i znalazł się na lewym pasie. W ułamku sekundy straszliwy gad znikł, a na jego miejscu, wypełniając całe pole wizji Kena, pojawiła się pędząca prosto na niego ciężarówka z przyczepą, załadowana olbrzymimi kłocami sekwoi. Kierowca ciężarówki nacisnął hamulce, wóz wierzgnął jak oszalały. Ken wykręcił kierownicę w prawo, jak mógł najdalej.

Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że mu się udało — do chwili, aż potężny zderzak ciężarówki rąbnął ogłuszająco w jego tylny lewy błotnik, prze-

rzucając jaguara nad barierką, tak że potoczył się w zwariowanych koziołkach 150 metrów w dół stromego, skalistego zbocza. Pogruchozana masa powyginanego, zgniecionego metalu zjechała jeszcze sześć metrów niżej i zatrzymała się w wyschniętym korycie potoku na dnie kanionu.

Stromizna i wysokie drzewa uniemożliwiły użycie helikoptera. Kiedy pracownicy pogotowia dotarli w końcu do rozbitego samochodu, Ken był nieprzytomny i wciąż w pasie bezpieczeństwa, któremu prawdopodobnie zawdzięczał życie — oczywiście, jeśli uda mu się przeżyć. Pomimo dużej utraty krwi, spowodowanej licznymi skomplikowanymi złamaniami i przebicciem płuca przez jedno ze złamanych żeber, dało się wyczuć lekki puls. Wydobycie go z powyginanego metalowego grobowca i przetransportowanie na górę zabrało ponad godzinę. Natychmiast zastosowano intubację i ręcznie wykonano sztuczne oddychanie za pomocą aparatuambu. Obsługa karetki wstrzykiwała dożylnie płyn Ringera, żeby serce nie przestawało pompować. Kiedy rozpedzony wóz zjechał przed szpital w Paño Alto, Ken wciąż trzymał się życia, za najcieńszą z nitek.

Na miejscu transfuzje krwi zaczęły się równoległe z operacją. Dwaj najlepsi chirurdzy w kraju, doktor Harold Elliott i jego asystent, pracowali z całym poświęceniem, ale - według własnej opinii - na próżno. Pacjent miał nieruchome, rozszerzone źrenice i nie oddychał samodzielnie. Mimo to wykres EEG nie odbiegał od normy, co dowodziło, że powodem śpiączki nie są żadne rozległe uszkodzenia.

— Rozsiane uszkodzenia aksonalne ... albo hipoksja — wymamrotał rzeczowo asystent, krzywiąc się. — Najgorsza możliwa diagnoza. Chyba straciłmy czas.

— Może... — tylko tyle powiedział Elliott, pośpiesznie tnąc i zszywając. Rozwahał możliwość innej, być może jeszcze bardziej beznadziejnej przyczyny śpiączki. Przyczyny natury niemedycznej, na wzmiankę o której jego asystent zapewne by się skrzywił. Nie było więc po co o niej wspominać.

— Można by go dać na tomograf, jeśli wytrzyma tak długo — zasugerował asystent.

— Może... — powiedział Elliott, zatopiony w myślach na inny temat. Nazwisko pacjenta było doskonale znane każdemu, kto systematycznie czytał miejscową prasę. „Ten człowiek to znany orędownik wschodniego mistycyzmu i sił mediumistycznych. Jeśli faktycznie tak głęboko w tym tkwi, jak podają w prasie, mógł się poważnie uzależnić od duchów. To by wyjaśniało ten szczególnie stan braku świadomości... być może.”

W chwili, kiedy dwaj chirurdzy odkładali narzędzia, do szpitala przyjechała Carla Bertelli, narzeczona Kena. Dziewczyna, która nerwowym krokiem przemierzała teraz posadzkę poczekalni, zrobiła dyplom z dziennikarstwa na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, siedem lat po tym, gdy Ken otrzy-

mał podwójny doktorat. Poznali się, gdy Carla trafiła w Berkeley na wygła-
sane gościnnie przez Kena wykłady z parapsychologii. W obu przypadkach
była to miłość od pierwszego wejrzenia. Ona podziwiała jego geniusz, poczu-
cie humoru, a zwłaszcza ujmujący humanizm i zręczne obalanie podstaw ka-
żdej religii. Potwierdziło to w jej oczach słusność dokonanego wcześniej
wyboru — odrzucenia chrześcijaństwa, w którym się wychowała. On nato-
miast widział w niej - poza tym wszystkim, co mężczyzna zawsze chciałby
widzieć w kobiecie - rzadko spotykaną wytrwałość w dążeniu do celu, która
przypominała mu jego własną determinację. Na początku Ken odbywał częs-
te podróże, by spotykać się z Carla. Często jednak okazywało się, że pokona-
nie odległości między Palo Alto a Berkeley może zająć nawet dwie godziny
w jedną stronę, zależnie od natężenia ruchu. Ken poświęcał na opracowywa-
nie programów komputerowych 16 godzin dziennie — a jeśli dodać do tego
badania w dziedzinie parapsychologii, nie pozostawało wiele czasu na
romanse.

Po ojcu Włochu Carla odziedziczyła wielkie, ciemne oczy o migdałowym
kształcie. Matka Irlandka obdarzyła ją kasztanowymi włosami i długonogą
urodą. Ujmująco ciepła, niezachwianie uparta i lojalna, Carla była spełnie-
niem marzeń młodego naukowca. Wielu starało się zdobyć jej względy, lecz
pozostała wierna ukochanemu mężczyźnie, nawet wówczas, gdy dwojake
zainteresowania pochłaniały mu zbyt wiele czasu i energii, by stać go jeszcze
było na długie podróże. Zdarzały się one rzadko, podczas niektórych week-
endów. Carla pod tym względem bardzo przypominała Kena: jeśli już na coś
się zdecydowała, nie brała pod uwagę możliwości rezygnacji. Tak było w ka-
żdej dziedzinie. Odrzuciła kilka bardzo obiecujących propozycji agencji mo-
delek, by poświęcić się dziennikarstwu — co było celem, który sobie wyzna-
czyła jeszcze w szkole średniej.

Spędziła dwa lata w *Wall Street Journal*, a następne dwa — w *Washington
Post*, potem postanowiła działać na własną rękę. Doszła do wniosku, że co-
dzienne sztapkowe sprawozdania z żarłoczności wielkich korporacji i skan-
dali na Wall Street to zajęcie nie dość interesujące, i zamierzyła się na Nagrodę
Pulitzera. Swobodnie puścić się w pościg za wielkim tematem, kiedy taki
się nadarzy — oto jej wielkie pragnienie. W końcu nawet Ken poleciał na
wschód, żeby powiedzieć, jak mu jej brakuje. Nie trzeba było długich per-
swazji — wróciła do Palo Alto. Nigdy nie minęło jej żywe zainteresowanie
parapsychologią, wzbudzone niegdyś intrygującymi wykładami Kena. Pod
jego okiem zaczęła pisywać artykuły na ten temat. Był to entuzjazm począt-
kowo przez wydawców nie podzielany. Wyjawiając informacje, których nikt
wcześniej nie znał, Ken dostarczał jej danych o własnych tajnych badaniach i
zapoznawał z najsłynniejszymi uczonymi w tej dziedzinie. Nic więc dziwne-
go, że młoda kobieta, która miała wkrótce poślubić Kena Inmana, była już

uznana za najwyższej klasy eksperta w problematyce parapsychologii wśród światowego dziennikarstwa. Nie da się ukryć, że nadała tej dziedzinie w prasie nowej i jakże niezbędnej wiarygodności.

Czuźna Carla zerwała się na równe nogi w chwili, gdy do poczekalni wszedł wysoki, siwiejący doktor w zielonym uniformie chirurga. Rozejrzał się naokoło. Od pierwszej chwili zafrapowała ją ta twarz — chyba najłagodniejsza, jaką zdarzyło się jej widzieć.

— Czy on... Czy jest...

Już na pogotowiu dowiedziała się o szczegółach wypadku i ponurych prognozach. Nie wiedziała, jak skończyć pytanie.

— Czy będzie...

— Jestem doktor Elliott.

Poczuła, jak jej wyciągniętą dłoń objęły w mocnym uścisku obie jego dłonie.

— Jest w śpiączce, ale jeszcze trzyma się życia - ledwo co wprowadzie. Zrobiliśmy, co się dało. Jest pewna szansa na przeżycie, ale uszkodzenia są tak poważne... Musimy po prostu czekać.

Przerwał na chwilę i ze współczuciem położył dłoń na jej ramieniu.

— Nie udało się nam ustalić przyczyny śpiączki — dodał poważnym tonem — a to niedobrze.

— Mogę go zobaczyć? W przyszłym miesiącu miał być nasz ślub.

— Bardzo mi przykro. Żadnych wizyt, aż stan się polepszy na intensywnej terapii. Nie wiem, ile to potrwa. Może zechce pani zostawić swój numer w dyżurce pielęgniarek? Zawiadomią panią, kiedy będzie można przyjść. Nie ma naprawdę sensu dłużej tu wysiadywać. Proszę pojechać do domu, odpocząć - i modlić się.

Na twarzy Carli odmalowało się wyraźne zdumienie. „Modlić się? On mówi poważnie? Liczę na determinację Kena, by żyć, i na jego zdolności medyczne. Ale czy można ufać lekarzowi, który nowoczesną naukę miesza ze średniowiecznym abrakadabra?”

— Dziękuję — odparła w końcu chłodnym tonem, choć próbowała nie pokazywać uczuć — ale nie wierzę w modlitwę. Ken zresztą też nie.

Nie chciała być niewdzięczna, ale uczciwość względem tego, w co się wierzy, była dla Carli bardzo ważna. Nie stwarzać fałszywych wrażeń, nie iść na kompromis z zasadami... zwłaszcza w sprawie tak istotnej.

— No cóż... ja wierzę w Boga — odpowiedział Elliott miękko, patrząc jej prosto w oczy — więc modłę się o każdego z pacjentów. Nie uwierzyłaby pani, jak często Bóg przychylnie odpowiada na modlitwy. No a w tym przypadku... Nie byłoby uczciwe z mojej strony, gdybym dawał pani do zrozumienia, że jest jeszcze jakaś inna nadzieja poza tą.

Dziewięciu wychodzi

Modlitwa była jednym z głównych zajęć doktora Harolda Elliotta. Fakt ten wywoływał zróżnicowane reakcje ze strony kolegów ze szpitala: od wzruszenia ramion po skrytą niechęć.

Powodem nie była tu niechęć krytyków wobec tak zwanych „alternatywnych” metod leczenia. Jeśli chodzi o ścisłość — szpital sponsorował nawet najrozmaitsze seminaria, począwszy od jogi po szamanistyczną wizualizację, i był uznawany za wiodący ośrodek medycyny holistycznej. Problem z Elliotem wiązał się z jego uprzejmym, lecz bezkompromisowym upieraniem się, że Bóg objawiony w Biblii jest jedynym prawdziwym Bogiem i że jedynie On może w sposób cudowny interweniować, i to tylko wówczas, kiedy sam według swojej łaski tak postanowi. Elliott twierdził, że nie istnieją żadne techniki, które gwarantowałyby cuda.

Uznawano go za intelektualnie ograniczonego, bo nie akceptował paranaukowych technik w rodzaju hipnozy czy biosprzężenia. Uważał je za zwodnicze praktyki duchowe, nazywał otwarcie „religią przebraną za naukę” i konsekwentnie odrzucał. Nikt nie mógł jednak nic zarzucić jego umiejętnościom chirurgicznym, dzięki którym zyskał międzynarodową sławę. Nawet ludzie określający go mianem dogmatycznego fundamentalisty przyznawali niechętnie, że wśród jego pacjentów daje się zauważyć zaskakująca liczba ewidentnie cudownych uzdrowień.

W każdy czwartek wielki dom Elliotta był miejscem spotkań modlitewnych, często przeciągających się poza północ. Zwykle przybywało tam ponad trzydzieści osób z szerokiego kręgu wierzących przyjaciół doktora. Pacjenci Elliotta byli oczywiście zawsze obecni na starannie zestawianej i regularnie aktualizowanej liście spraw do modlitwy, którą rozdawano uczestnikom jako ściągę do codziennych modlitw. Nazwisko Kena Inmana dopisano do przydługiej listy na cotygodniowym spotkaniu, które odbyło się trzy dni po wypadku. Jego sprawa była właściwie głównym przedmiotem modlitwy tego wieczoru.

— Naprawdę bardzo mi leży na sercu ten młody człowiek — wyjaśnił Elliott na początku spotkania. — Od lat czytam o nim w prawie każdej gazecie: wyłania się obraz niezwykle inteligentego i elokwentnego antagonisty Chry-

tusa, a zarazem rzecznika wschodniego mistycyzmu i mediumizmu. Trudno uwierzyć, żeby ktoś tak mocno zaangażowany w okultyzm nie był w jakimś stopniu pod wpływem demonów. Ciągłe jest w śpiączce, ale badania mózgu nie wykazują żadnych krwotoków. Zazwyczaj uznaje się to za rozległe uszkodzenia aksonalne albo niedotlenienie narządów i tkanek - czyli przypadki w zasadzie beznadziejne. Jednak w tym wypadku podejrzewam przyczynę pozamedyczną, jakiś demoniczny wpływ. Niech Ken Inman będzie w naszych modlitwach przez całą dobę. Być może Bóg się zmiłuje i wkroczy w tę sprawę, przynajmniej na tyle, żeby mu wrócić świadomość. Wtedy mógłby usłyszeć prawdę i dokonać racjonalnego wyboru. Wydaje mi się, że do tej pory tkwił w tak błędnym rozumowaniu, że nie było go stać na trzeźwą decyzję.

W odpowiedzi na taki apel grupa spędziła niemal godzinę na żarliwej modlitwie za Inmana. W pewnej chwili Karen, żona doktora, wywołała go z pokoju. Weszli do gabinetu obok.

— Hal, znowu intensywna terapia! — wyszeptwała i wręczyła mu słuchawkę.

— Doktor Elliott — powiedział z nadzieją, że za chwilę usłyszy dalsze dobre wieści. Przez kilka ostatnich godzin u pacjenta zaobserwowano stopniowe polepszanie oddychania. Elliott polecił nawet czasowo zaprzestać podawania środków nasennych, ponieważ na ułamki sekund pacjentowi zdawała się wracać świadomość.

— Doktorze! — w słuchawce zabrzmiał czyjś rozgorączkowany głos. — Chyba powinien pan tu zaraz przyjść i zobaczyć tego pańskiego Inmana. O godzinie 19.20 rozintubowałam go. Oddycha swobodnie, 12 na minutę, ciśnienie stabilne, 130/80, a tętno - ponad 90. Gazometria po rozintubowaniu w normie. Przez jakąś godzinę leżał spokojnie, żadnych problemów, a potem stało się coś okropnego. Wydaje jakieś makabryczne, n i e l u d z k i e dźwięki!

— Jest nadal w śpiączce?

— Tak, ale przysięgłabym, że widziałam, jak się rusza! Doktorze, pozwoliłam sobie włożyć kasetę do kamery. Pomyślałam, że chyba należy to nagrać.

— Zaraz tam będę. I proszę nie wyjmować tej kasy.

Elliott odłożył słuchawkę i odwrócił się do żony.

— Kochanie, musisz ze mną jechać!

Kiedy oboje pośpiesznie przechodzili przez salon, Elliott zatrzymał się na chwilę, żeby wyjaśnić grupie nagłe wyjście.

— Był telefon ze szpitala. Inman jest nadal w śpiączce, ale trochę się polepszyło. Odłączyli go od respiratora, oddycha samodzielnie. I dzieje się coś dziwnego, może być demoniczne... Karen jedzie ze mną. Módlcie się za nas,

o jego uwolnienie i uzdrowienie. skanował Alf-7

Oddział intensywnej terapii składał się z 12 sal, rozmieszczonych na bokach prostokąta wokół dyżurki pielęgniarek. Poszczególne sale oddzielały grube ściany, ale wszystkie drzwi były szklane, aby umożliwić obserwację pacjentów. Nad łózkami w czterech salach znajdowały się kamery połączone z monitorami, na których w dyżurce można było w każdej chwili obserwować najcięższe przypadki.

Kiedy przybyli Elliottowie, siostra dyżurna z trzema asystantkami czujnie obserwowała pacjenta na monitorze.

— Ale dobrze, że pan jest, doktorze! — zawołała. — Widziałam już wielu psychiatrycznych pacjentów i przedziwne zachowania, ale czegoś takiego...!

Elliott na moment oderwał wzrok od monitora pokazującego Inmana w łóżku i spojrzał na pozostałe, podające nieustannie aktualny stan pacjenta.

— Nic niepokojącego w tej chwili nie widać — stwierdził. — Przyjrzyjmy się na miejscu.

Siostra dyżurna podeszła z Elliottem kilka kroków do sali Inmana.

— Przez ostatnie 20 minut było spokojnie. Ale te głosy to jeszcze nie najgorsze. Tam z nim w środku coś jest. To się czuje!

Stali na zewnątrz pomieszczenia i zaglądali przez szklane drzwi. Na wprost leżał Inman. Prawa noga i lewa ręka w gipsie. Z powodu przebitego płuca z klatki piersiowej wystawały jakieś rurki. Niespodziewanie ramię znajdującego się w stanie śpiączki pacjenta uniosło się i machnęło w powietrzu, potem opadło bezwładnie u jego boku.

— Widział pan?! — krzyknęła pielęgniarka.

— Proszę wrócić do dyżurki — powiedział Elliott. — Wejdę sam z żoną. I proszę dopilnować, żeby dalej się nagrywało!

Kiedy weszli, w niewielkim pomieszczeniu panował spokój. Doktor zaciągnął zasłonę na szklanych drzwiach i zbliżył się do pacjenta. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że wciąż znajduje się w śpiączce, a po krótkim okresie poprawy stan zaczyna się pogłębiać. Znajdujące się przy łóżku monitory wykazywały wyraźne pogorszenie. Karen modliła się po cichu. Kiedy Hal pochylił się nad Kenem i odciągnął jedną z powiek, twarz pacjenta wykrzywiła się niespodziewanie, nabierając złośliwego, szyderczego wyrazu. Na wargach zaczęły formować się słowa, a wyzywający, gardłowy głos wymamrotał:

— Zabieraj łapy! Jest nasz!

Karen nie przestawała się modlić, już na głos, Hal tymczasem zwrócił się do istoty, która przemówiła:

— W imieniu Jezusa Chrystusa, powiedz, kim jesteś!

Zaległa złowieszcza cisza

— W imieniu... — zaczął znów doktor, ale mu przerwano.

— Jest nasz! — rozległ się uragliwy głos, całkowicie różny od pierwszego, który przemówił, lecz również zdający się wychodzić z ust pacjenta.

— Nie zbawisz go! — powiedział drwiąco jakiś trzeci głos. Twarz Kena, która jeszcze przed chwilą zdawała się bez życia, znów wykrzywiła się w obrzydliwy grymas. Zdrowe prawe ramię wygięto się gwałtownie w geście-pogróżce, a za chwilę opadło na łóżko. Z wykrzywionych złośliwie ust buchnął szyderczy, kpiący śmiech połączonych głosów.

— Boże Ojcze — modlił się doktor głośno — w imieniu Jezusa błagam Ciebie o tego człowieka. Błagam, uwolnij go z mocy ciemności.

Potem jeszcze raz nakazał stanowczo:

— W imieniu Jezusa, powiedz, kim jesteś.

— Nie powiemy! — padła wyzywająco pogardliwa odpowiedź.

— W imieniu Jezusa Chrystusa z Nazaretu i przez moc Jego krwi przelanej na krzyżu za grzech: powiedzcie mi w tej chwili, kim jesteście!

Z krtani Kena wyrwały się jakieś piekielne odgłosy, a potem padło niechętne oświadczenie:

— Jesteśmy Dziewięcioma... Władcy ciemności tego świata.

Ciało Kena zatrzęsło się gwałtownie, jakby walczył z czymś w środku. Język był wyrzucany raz po raz na zewnątrz niczym rozwidlony język żmii, oczy otworzyły się szeroko i nabrały tajemniczego, złośliwego gadziego wyrazu, prawe ramię znów dziko wymachiwało w powietrzu. Hal i Karen wyczuli przytłaczającą, podstępną Obecność, która zdawała się ucieleśnieniem zła starszego niż egipskie piramidy.

— Ten należy do nas — krzyknął gniewnie nowy i jeszcze bardziej stanowczy głos. — Od wielu lat!

Doktor znów pogrążył się w modlitwie.

— Panie Jezu, jesteś Stwórcą wszechświata; Ty stałeś się człowiekiem, by umrzeć za nasze grzechy. Twoje Słowo mówi, że przez śmierć na krzyżu zniszczyłeś tego, kto dzierżył władzę nad śmiercią, to jest Diabła, i uwolniłeś tych, którzy wskutek lęku przed śmiercią byli całe życie w niewoli. Panie, błagam o litość i łaskę dla tego, który jest bliski śmierci i nie potrafi walczyć ze złym, który nim zawładnął.

— Jest nasz! — zaskrzeczały szydercze głosy. — Nie należy do Chrystusa! Odrzucił Go! Nie zabierzesz go nam!

— Oszukaliście go. A teraz wyjdźcie z niego w imieniu Jezusa Chrystusa i więcej do niego nie wracajcie — doktor wyjął chusteczkę do nosa i otarł pot z czoła.

— Ale najpierw go zabijemy, i ciebie też, i twoją rodzinę. Zostaw nas w

spokoju, to nic mu nie zrobimy.

— Kłamiecie, oszukańcze duchy. Nie boimy się waszych gróźb. Nie macie mocy. Szatan, wasz pan, został pokonany na krzyżu przez Jezusa Chrystusa. Wiecie, że musicie wyjść, więc zróbcie to w tej chwili!

— Wychodzę — powiedział jakiś słaby głos. Ken zatrzęsł się znowu niby szczer w pysku teriera. Potem leżał już bez ruchu, spowity w złowieszczą ciszę.

— To podstęp — powiedziała Karen. — Żaden nie wyszedł.

— Wiem — odparł Hal.

*

Starcie, które potem nastąpiło, było długie i wyczerpujące. Elliottowie już wielokrotnie przeżywali podobne zmagania z demonami. Hal wychował się jako dziecko lekarzy - misjonarzy na Sri Lance, noszącej jeszcze wówczas nazwę Cejlonu. Jako młody człowiek miał okazję uczestniczyć w egzorcyzmach dokonywanych przez ojca. Ojciec był lekarzem i zachęcił syna do pójścia w swoje ślady. Po zdobyciu tytułu lekarza medycyny Hal wrócił na pole misyjne, tym razem do Afryki Wschodniej, gdzie zresztą spotkał i poślubił Karen. W ramach ich pracy często mieściło się wypędzanie złych duchów. Kiedy wrócili do Stanów Zjednoczonych - by umieścić dzieci na uniwersytetach - zdumieli się, zastając w Ameryce Północnej tyle samo demonizmu, co w krajach Trzeciego Świata. Na Zachodzie działanie demonów przybierało jednak bardziej wymyślne, wyrafinowane formy i często, zamiast po imieniu, nazywano je rozmaitymi terminami z dziedziny psychologii.

Egzorcyzm w przypadku Kena okazał się najcięższym z dotychczasowych doświadczeń Elliottów. Były chwile, kiedy ciało pacjenta rzucało się gwałtownie na łożku. Demony głośno oskarżały Hala o błędy medyczne i groziły, że znajdzie się w więzieniu za spowodowanie śmierci Kena. A jednak w końcu, jeden po drugim, ociągając się wychodziły, a Hal i Karen nie przestawali wzywać imienia i mocy Jezusa Chrystusa.

Kiedy wyszedł ostatni z Dziewięciu, w Kenie zaszła zdumiewająca zmiana. Policzki zabarwiły się na różowo, a oczy otworzyły na chwilę. Przez moment patrzył na pochylone nad łożkiem dwie postacie, potem zamknął oczy i pograżył się w głębokim śnie.

— Chwała Bogu! — zawołali jednocześnie Hal i Karen i pochyliłi głowy w dziękczynnej modlitwie. Potem doktor odsunął zasłonę na drzwiach. Siostra dyżurna, która w zdumieniu obserwowała egzorcyzm na monitorze w dyżurce, stała już pod salą Inmana. Twarz miała błądą jak płótno.

— To nie do wiary! Nie do wiary! — tylko na tyle było ją stać.

— Zdaje się, że przeszedł już przesilenie! — powiedział doktor z przeko-

naniem. — Jeśli dalej będzie się polepszać, czego zresztą jestem pewien, to przeniesiemy go do normalnej sali pooperacyjnej. Proszę do mnie zadzwonić, jak tylko się obudzi. Chcę być o wszystkim informowany.

Pielęgniarka była nadal roztrzęsiona.

— Czy to już minęło? — upewniała się z niepokojem. — No, wie pan...

— Minęło, całkowicie — powiedział doktor. — Proszę się już nie niepokoić. I chciałbym, żeby komisja kontroli chirurgicznej zobaczyła tę kasetę, więc niech pani ją odłoży, dobrze?

— Jest pan pewien, że pan tego chce? — zapytała. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć.

— Oczywiście, że chcę. Dlaczego nie? Ale czy pani się dobrze czuje?

— Tak, tak. Tylko ... martwię się o pana. Pan słyszał te wszystkie krytyczne zdania na swój temat i historie, jakie się opowiada w bufecie Chirurgii. Ta kaseta chyba tutaj nie pomoże!

— Ależ sądzę, że pomoże — odparł. — Może im bardzo dobrze zrobić, jeśli sobie to obejrzą. Może nawet uciszyć niektóre plotki i zastąpić je faktami.

Pielęgniarka, ciągle nieprzekonana i wciąż z napięciem malującym się na twarzy, zgodziła się w końcu.

— No dobrze, doktorze. Odłożę kasetę. Może ją pan sobie wziąć w każdej chwili.

— A wracając do pacjenta — dodał Harold Elliott — chyba będziemy świadkami n i e c o d z i e n n e g o uzdrowienia.

Z ciemności

Kiedy następnego ranka, koło ósmej, Ken się obudził, miał wrażenie, jakby powoli wydobywał się z piekielnych czeluści. Na szczęście szydercze głosy i obrzydliwe kształty należały w tej chwili bardziej do wspomnień niż do rzeczywistości i ulatywały w nicłość, w miarę jak pomieszczenie, w którym się znajdował, nabierało realnych kształtów. Słońce z ukosa wchodziło przez ogromne okno po lewej. Miłe promienie odbijały się od metalowego urządzenia stojącego po prawej stronie łóżka. Kenowi trudno było odwrócić głowę na tyle, żeby się temu lepiej przyjrzeć, ale powoli do świadomości dotarł pewien fakt: to aparat do kroplówki — i to podłączony do niego.

„Jestem w szpitalu!” Jakoś to do niego nie docierało. „Skąd się tu wziąłem? Co się stało?” Przypominał sobie niejasno, że wyszedł z laboratorium i jechał g d z i e ś, ale potem następowała pustka, choć z całej siły wyteżał pamięć. Kompletnie wyczerpany dał w końcu za wygraną - przynajmniej na jakiś czas - i leżał wpatrując się w sufit i próbując na nowo przywyknąć do własnego ciała. Tępy, pulsujący ból zdawał się go całego przygniatać. Mógł ruszać prawym ramieniem, do którego zresztą podłączono aparat, ale lewe ramię i prawa noga były jakby czymś przygnięcione. Z największym wysiłkiem uniósł nieznacznie głowę i zobaczył, że te kończyny są w gipsie.

Nagle uświadomił sobie, że ktoś jest w pobliżu, gdzieś z tyłu za jego głową poza zasięgiem wzroku.

— Zbudził się pan! — zabrzmiał miły kobiecy głos. — I jak się pan dziś czuje?

— Właśnie próbuję to określić. Nawet nie jestem pewien, że to naprawdę ja. Skąd się tu wziąłem?

— Pański samochód spadł w przepaść. Kiedy pana przywieźli, bardziej pan nie żył, niż żył...

Pielęgniarka pojawiła się nareszcie w zasięgu wzroku. Stała nad nim i spoglądała z wyraźnym współczuciem.

— W przepaść? Jak to? Nie pamiętam, żebym był nad jakąś przepaścią! — Ken usiłował poprawić pozycję i jęknął z bólu. — Czy ktoś ze mną był... komuś jeszcze coś się stało?

— Nie, o ile wiem, to nie.....skanował Alf-7

— Kiedy to było?

— Jest pan tutaj czwarty dzień - i pierwszy raz odzyskał pan przytomność. Nawet pan nie wie, jakie miał pan szczęście! Pański stan w ciągu ostatnich dziesięciu godzin tak się polepszył... To wprost niewiarygodne! Trochę zmniejszą ilość płynu... Zobaczymy, czy może pan już brać coś doustnie. Doktor przeniesie stąd pana, kiedy tylko się da.

Sięgnęła ręką do przycisków.

— Troszkę panu podniosę głowę. O. No, i zobaczymy, jak pójdzie.

Pierwsze łyki były bolesne. Ale po kilku razach smaczny płyn o lekko cytrynowym aromacie spływał w dół bez większych problemów i zdawał się nawet przynosić ulgę gardłu. Ken uporał się prawie z całą szklanką, a potem wyczerpany opadł na poduszkę. Kiedy zapadał w drzemkę, dochodził jeszcze do niego -jakby z daleka - głos pielęgniarki:

— Niedługo wróce. Przeniesiemy pana z intensywnej terapii do innej sali.

— I co porabia nasz pacjent cud?

Na dźwięk wesołego głosu Ken pomimo bólu przekręcił głowę i ujrzał odzianego w biały kitel lekarza, który z szumem wpadł do pomieszczenia. Szczupły, energiczny człowiek, nie wyglądający wcale na swoje 56 lat, zdawał się ogarniać całe położenie Kena jednym rzutem oka. Było wyraźnie widać, że jest zadowolony - bardzo zadowolony - z tego, co widzi.

— Co porabiam? Knuję ucieczkę z tego miejsca, oto, co porabiam — odparł Ken, próbując się uśmiechnąć. Na pół leżał na podniesionej poduszce i pił wodę ze szklanki, którą trzymał jedną, zdrową, ręką. — Kiedy stąd wyjdę? I co ma pan na myśli przez „cud“?

— No, zdrowieje pan, nie da się ukryć! Nie ma lepszego lekarstwa nad poczucie humoru — powiedział doktor, puszczając na razie mimo uszu oba pytania. — Coś mi się zdaje, że będziemy musieli pana przywiązać do łóżka!

Doktor stał przez chwilę i z zadowoleniem uśmiechał się do pacjenta. A potem powiedział cicho:

— Cud, przyjacielu, to coś, co może zrobić wyłącznie Bóg. I ty tym jesteś!

Wysoka, masywna postać pochyliła się nad szpitalnym łóżkiem i lekko położyła dłoń na ramieniu Kena.

— A nawiasem mówiąc, jestem doktor Harold Elliott. Możesz mi mówić Hal. Szeffuję na Chirurgii Pourazowej. Razem z moim asystentem próbowaliśmy cię parę dni temu poskładać.

— A była na to jakaś szansa? — zapytał Ken, patrząc z ciekawością na zmierzwiłone czarne włosy poprzetykane siwizną i na bardzo skupioną, lecz łagodną twarz tak blisko jego własnej. Rzucił okiem na swoje umęczone bó-

lem ciało. — Chyba mieliście sporo do zszywania. A mówiąc poważnie, doktorze, jaka jest ... prognoza?

— Wczoraj - w zasadzie beznadziejna. Dziś - wyśmienita. Całkowite wyzdrowienie. A to jest, przyjacielu, chyba największy cud, jaki zdarzyło mi się widzieć!

— A cóż się u licha tak przyczepiłeś do tych „cudów”, doktoruku! Ja na to mówię: głupi ma szczęście.

Doktor roześmiał się, szczerze rozbawiony.

— Nawet głupiemu by na twoim miejscu już dawno szczęścia zabrakło! Nie masz się zresztą po co ze mną spierać, leżałeś bez czucia i nie wiesz, co się działo. I tak zresztą musimy się tym trochę zająć. Zacznij od tej chwili i cofając się w czasie opowiedz, co pamiętasz.

— No, wygrałeś, koniec dyskusji. Beng, beng, beng. Nie jesteś lekarz, ty jesteś buldożer— Ken pomyślał, że polubi Eliotta. — Więc co ja pamiętam? Cóż, chyba nie nazwałbym tego szampańską zabawą, raczej takimi sztampowymi gramami i zabawami szpitalnymi — napotkał wzrokiem oczy doktora i obaj roześmiali się. Ken jęknął z bólu. — Pielęgniarka dopiero co odłączyła mi kroplówkę i przewiozła mnie tu stamtąd, gdzie byłem ... no i obiecała coś konkretniejszego na lunch. Powiedziała, że wpadłem w przepaść samochodem.

— Pamiętasz to? — przerwał doktor.

— Próbowiałem sobie przypomnieć, ale jak dotąd, hm, nic z tego nie wychodzi. Mam amnezję?

— W zasadzie nie. Powiedziałaś dziś rano pielęgniarce swoje nazwisko i adres. Chwilowa utrata wspomnień z niewielkiego odcinka czasu. Nie ma się czym przejmować. To, przez co przeszliście - ty i twój samochód - jest wyjątkowo nieprzyjemne i chyba lepiej, że tego nie pamiętasz. Ale nie to jest najgorsze. Jakie jest twoje ostatnie wspomnienie?

Ken powoli pokręcił głową.

— No tak, pamiętam, ale bardzo niewyraźnie, że jechałem tym nadmorskim pasmem gór. Nie wiem, czy to było akurat przed wypadkiem, czy może to jakieś wcześniejsze wspomnienia. Bardzo często tamtędy jeżdżę.

— Może spróbuj sobie przypomnieć, co robiłeś, zanim wsiadłeś do samochodu?

— Właśnie nad tym myślałem, kiedy wszedłeś. Zdaje się, że byłem w laboratorium z moim współnikiem. I jakoś niezbyt przyjemnie mi się to kojarzy, ale nie wiem dlaczego. Zresztą to bez znaczenia.

— Bez znaczenia? Tak uważasz? — Elliott nagle spoważniał. — Przecież właśnie dlatego się tutaj znalazłeś! Gdybyś się nie angażował w parapsychologię, nie leżałbyś tutaj.

— Z całym szacunkiem, Hal, ale nie wiesz, co mówisz.

— Prawdę mówiąc, jest wręcz przeciwnie. Twój współnik, Frank Leighton, zadzwonił wczoraj do szpitala, interesował się twoim stanem. Nalegał, żeby ze mną rozmawiać. Byłeś nadal w stanie śpiączki. Powiedział, że razem prowadziliście badania parapsychologiczne. Kiedy go zapytałem o kontakt z istotami duchowymi, próbował zmienić temat.

— A dlaczego pytałeś go akurat o to?!

— Wiesz dlaczego. Jeśli ktoś angażuje się tak głęboko w narkotyki albo w mistycyzm, albo w zjawiska parapsychiczne - a ty miałeś do czynienia ze wszystkimi trzema - nie uniknie kontaktu z istotami duchowymi.

Na twarzy Kena pojawił się zmęczony uśmiech, a w jego głosie dał się wyczuć jakiś nowy szacunek dla doktora.

— A więc wiesz co nieco na temat mojej dziedziny.

— Już od dawna igrasz z ogniem — powiedział Hal. — Śledzę w prasie twoje badania i dokonania. W końcu poważnie się poparzyłeś. Teraz chcę się tylko dowiedzieć, ile pamiętasz z tych prób kontaktowania się z tak zwanymi „pozaziemskimi inteligencjami z wysokiego poziomu ewolucji”.

— Zdaje się, że urządzasz sobie zabawę moim kosztem — odpowiedział Ken ostrożnie, wystraszywszy się nagle Elliotta. — Frank nie zdradziłby żadnych informacji na temat naszych badań.

— Nie próbuję dobrać się do waszych tajemnic — powiedział Hal. — Próbuję tylko pomóc ci przypomnieć sobie, co się stało, kiedy nawiązałeś ten „kontakt”. To bardzo istotne.

Ken zawahał się chwilę.

— No, dobrze — powiedział w końcu. — Ale już ja za to Frankowi pięknie dziękuję. Owszem, próbowaliśmy nawiązać kontakt, i pamiętam tylko, że... w głowie miałem te głosy. Nie moje własne myśli, skądś indziej... sły-szałem je na głos! Trudno to wyjaśnić.

Umilkł.

— Leighton nic mi nie mówił — oznajmił rzeczowo Hal.

— Więc skąd wiedziałeś? — Ken nie odrywał od niego wzroku. — I dlaczego mówisz, że znalazłem się tu przez moje badania? Dlaczego? — jego oczy błagały o odpowiedź.

DOKTOR ELLIOTT... DOKTOR ELLIOTT — zadudnił szpitalny głośnik — PROSZĘ SIĘ ZGŁOSIĆ DO CENTRALI.

— Przepraszam — Hal spojrzął na zegarek. Podniósł się i ruszył do drzwi. — Muszę jeszcze obejrzyć kilku pacjentów. A ty musisz sobie trochę odsapnąć, przed następną rozmową.

— Tak, będziesz się musiał wytłumaczyć, Hal. Wygłosiłeś kilka mocnych stwierdzeń i musisz je wyjaśnić, zgoda?

— Możesz na to liczyć. Wrócę po południu i porozmawiamy dłużej. A tymczasem - śpij dobrze! Skanował Alf-7

Żywy dowód

Kiedy kilka godzin później doktor Elliott wrócił, towarzyszyła mu kobieta, która najwidoczniej nie była pielęgniarką. W każdym razie nie miała kitla szpitalnego. Doktor zamknął za sobą drzwi, potem przystawił do łóżka dwa krzesła i oboje usiedli.

— Ken, chciałbym, żebyś poznał moją żonę, Karen. Współpracuje ze mną w tego typu przypadkach.

— Więc jest pani pielęgniarką? — od razu spodobała się Kenowi. Emanowała tym samym ciepłem i pozbawioną próżności pewnością siebie, co jej mąż. No i miała zaraźliwy uśmiech.

— Jestem starą emerytką — powiedziała. — Nie pomagam już Halowi w sprawach medycznych, tylko w szczególnych przypadkach, takich jak pański.

Ken popatrzył najpierw na jedno, potem na drugie, a w końcu na własne obolałe ciało.

— Mam wrażenie, że to problem typowo medyczny.

— Z całą pewnością nie tylko medyczny, Ken — oświadczył doktor. — Z medycznego punktu widzenia powinieneś już nie żyć. Bóg nad tobą czuwał, nie da się tego ukryć. Inaczej byś nie przeżył.

— Pan posłucha, drogi doktoru, z całym szacunkiem, ale jak już mówiłem, wolałbym, żeby B o g a do tego nie mieszać.

— Mówisz tak samo, jak twoja narzeczona.

— Carla! Spotkałeś ją?!

— Tak, raz, widzieliśmy się przelotnie.

— Pytałem pielęgniarki, gdzie ona jest.

— Była tu już kilka razy, ale ciągle byłeś w śpiączce. Cały dzień próbują się z nią skontaktować i powiedzieć, że odzyskałeś przytomność; dopiero parę minut temu to się udało. Już tu jedzie.

— Żeby tylko ją zobaczyć! W przyszłym miesiącu się pobieramy — oznajmił Ken z dumą.

— Wszystkiego najlepszego! — uśmiechnęła się Karen.

— No dobrze — Ken zwrócił się do Hala. — Miałem wrażenie, że wiesz o pewnych rzeczach, o których nie możesz wiedzieć; poza tym powiedziałeś, że jestem tu przez moje badania.

Doktor kiwnął głową. Wychylił się w stronę Kena i położył dłoń na jego ramieniu.

— To dla nikogo z nas nie będzie łatwe, ale musisz się dowiedzieć. Nie mówię o twoim zdrowiu — dodał prędko, widząc przestraszony Kena. Ken odetchnął, a Hal mówił dalej. — Zeszłej nocy zadzwoniła do mnie siostra dyżurna. Byłeś w sypialni, a mimo to wydawałeś z siebie dziwne głosy i zwijszałeś się na łóżku. Karen, ja i kilka pielęgniarek możemy zaświadczyć.

Przerwał.

— No i co? — zapytał Ken.

— Inaczej ci tego powiedzieć nie sposób — odparł doktor poważnie — więc powiem prosto z mostu: byłeś opętany przez demony.

— Daj spokój! — oburzył się Ken. — Ja nawet nie wierzę w demony!

— Nie trzeba wierzyć w cholere, żeby na nią umrzeć — prędko wtrąciła Karen.

— Złe porównanie — odparował Ken. — Zarazki cholery dają się zidentyfikować.

— Tak samo demony — odparł Hal. — Nie ma teraz czasu na owijanie w bawełnę: istoty ludzkie nie posiadają sił parapsychofizycznych; tego typu rzeczy mają demoniczny charakter, a igranie z nimi o mało nie przyprawiło cię o śmierć.

— Chwileczkę! — zaprotestował Ken. — Chylę czoła przed twoją znajomością medycyny, ale nie zamierzam tolerować pouczeń także w dziedzinie parapsychologii. To już chyba co nieco wykracza poza twoją działkę.

— Nic podobnego — szybko zareplikował doktor. — Wychowałem się na Ceylonie, a większość życia spędziłem w Afryce. Prowadziłem bardzo dużo badań w dziedzinie parapsychologii i tam, i tutaj, w Ameryce. I mogę ci powiedzieć, że nie ma zasadniczej różnicy między tym, co zachodni parapsycholodzy usiłują „naukowo” osiągnąć w swoich laboratoriach, a tym, co od tysięcy dzieje się w Trzecim Świecie, w mrocznych pomieszczeniach spirytystów i prymitywnych szałasach w dżungli.

— To jeszcze nie dowodzi, że za tym kryją się demony — odparł Ken stanowczym tonem.

— Już wiele razy tego dowodziliśmy — wtrąciła Karen. — W każdym przypadku, kiedy wyrzucaliśmy demony, osoba traciła tak zwane siły parapsychofizyczne. A spotykaliśmy szamanów o mocach, które oszołomiłyby zachodnich parapsychologów.

— Które by ich wystraszyły na śmierć! — dodał Hal.

— Wy nie demony wyrzucacie — powiedział Ken — tylko to wasze piętne dogmatyczne fundamentalizmu oddziałuje tak negatywnie, że niszczy

pozytywną atmosferę. A ona jest niezbędna do objawienia się siły mediumistycznej!

— No tak, to by chyba nie świadczyło zbyt dobrze o mediach, nieprawda? — zażartowała Karen. — Skoro kłamliwe sugestie z ust „dogmatycznych fundamentalistów” potrafią pozbawić ich mocy...

Słaby uśmiech na ustach Kena dowodził, że argument był mocny.

— Mówicie, że byłem opętany przez demony ... i wiedzieliście, że próbowałem nawiązać kontakt z bytami pozaziemskimi...

— Mieliśmy w domu spotkanie modlitewne — zaczął Hal — i przez kilka godzin zeszłego wieczoru byłeś w centrum modlitwy.

— Więc modliliście się — przerwał Ken, zniecierpliwiony. — Budzę się ze śpiączki, wy to nazywacie cudem, a na deser wrzucacie jeszcze historię z demonami. Zgadza się?

— Niezupełnie — odpowiedział Hal. — Pielęgniarka dyżurna zadzwoniła do mnie akurat podczas tego spotkania i powiedziała o jakichś głosach, które z ciebie wychodzą, i że ruszasz się w stanie śpiączki. Karen i ja zaraz przyjechaliśmy, a trzydzieści osób u nas w domu nie przestawało się za ciebie modlić. Kiedy weszliśmy, te głosy twierdziły, że do nich należysz. Chcieli doprowadzić do twego zupełnego zniszczenia.

— Jak to: chcieli? Kto taki! — zapytał Ken z przestraszeniem. — Jacy znów „oni”?

— Nazywali siebie „Dziewięcioma”.

— Dziewięcioma?! — zbladł śmiertelnie. Zacisnął powieki i skrzywił się. Do pamięci napłynęły wspomnienia, niczym nie zakłócone, makabryczne.

Hal czekał cierpliwie. W końcu Ken powiedział słabym głosem:

— Mów dalej. Słucham.

— Zastanawiałeś się, skąd wiedziałem, że próbowałeś nawiązać kontakt z bytami pozaziemskimi „z wysokiego poziomu rozwoju ewolucyjnego” — kontynuował doktor. — Otóż kiedy nakazaliśmy tym Dziewięciu w imieniu Jezusa Chrystusa, aby wyjawili, w jaki sposób udało się im ciebie opętać, wyznali, że udawali ETI*... I powiedzieli, że dałeś się na to nabrać.

— Naprawdę tak powiedzieli?

Ken był zdruzgotany, jak ktoś, kogo właśnie obrabowano lub kto patrzy, jak pali mu się dom i wszystko, co posiada. Hal z powagą pokiwał głową.

— To jest oszustwo doskonałe, na które prawdopodobnie da się nabrać cały świat naukowy. Może twoje przeżycie mogłoby posłużyć jako ostrzeżenie.

— To nie jest oszustwo — zaoponował Ken. — To wspaniała sprawa. Wyobraźcie sobie tylko, co by się stało, gdyby te istoty wyjawily nam nieby-

wałe tajniki swojej technologii i parapsychologii! Można by rozwiązać każdy ludzki problem!

— I nawiązałeś kontakt? — zapytał uprzejmie doktor.

— Tak mi się zdaje, ale bardzo słabo pamiętam. Coś poszło źle, próbowałem z nimi walczyć. Przypominam sobie mgliście, że Frank nie mógł tego zrozumieć i wściekał się na mnie. Chyba dlatego opuściłem laboratorium. Zdawało mi się, jakby chcieli wejść mi do głowy.

— Weszli. I próbowali cię zabić. Świadkowie zeznawali, że jechałeś jak szaleni.

Ken zadrżał.

— Szkoda, że nie mogę sobie przypomnieć, co się stało.

Leżał chwilę w milczeniu, wodząc bezradnie wzrokiem od Hala do Karen.

— A ich imię? — zapytał w końcu. — Skąd je znacie?

— Na pewno wiesz, że imię „Dziewięciu” jest powszechnie znane w kręgach okultystów.

Ken skinął głową.

— Demony często nazywają się tym imieniem — kontynuował Hal. — Nawet Biblia wspomina o „Dziewięciu”. Ale wcale nie zakładaliśmy, że to oni nimi są. W imieniu Jezusa nakazałem kłamliwym duchom, które w ciebie weszły, żeby się przedstawiły.

— I powiedzieli: „Jesteśmy Dziewięcioma”, ot tak?

Doktor potrząsnął głową.

— Wykrzykiwali rozmaite sprośności i groźby, że zabijają ciebie i nas. Karen i ja niejedną raz przechodziliśmy przez coś takiego. Ludzie u nas w domu modlili się, a my nie dawaliśmy za wygraną.

Hal przerwał na chwilę. Ken słuchał w napięciu.

— Twój przypadek był niezwykle — mówił dalej doktor. — I stąd właśnie bierze się ten dowód, jakiego oczekujesz. Pamiętaj, byłeś w stanie śpiączki. Oznaki życia były ledwie wyczuwalne. A jednak żyły na szyi miałeś naprężone i twoimi ustami przemawiały czyjeś głosy - nie twój własny głos. Zresztą tak się składa, że każda sekunda została nagrana na taśmie wideo. Nad twoim łóżkiem na intensywnej terapii była kamera. Kiedy trochę nabierzesz sił, puścimy ci tę taśmę, jeśli oczywiście chcesz ją zobaczyć.

Ken zaniemówił.

— Mówicie poważnie? Naprawdę macie wideo? — odezwał się w końcu.

— Z całą pewnością.

— Muszę to zobaczyć!

— Zobaczysz. Masz tam to wszystko: urągliwe głosy, dziwaczne ruchy ciała - podczas śpiączki! Dodaj do tego obrzydliwe, złośliwe miny, jakie przybierała twoja twarz; mówię poważnie, tego się nie da opisać!

— To może być zjawisko czysto psychologiczne — Ken myślał na głos, szukając jakiegoś innego wyjaśnienia. — „Głosy” reprezentowały rozdarcia w głębi mojej jaźni, a to rzucanie się po łóżku to podświadome wyładowywanie energii medialnej.

— Pomyśl no chwilę, Ken — zaprotestował doktor stanowczo — a zrozumiesz, jaki to nonsens. Dlaczego twoja czy czyjkolwiek podświadomość nie zachowuje się w ten sposób przez cały czas? A faktem jest to, że kiedy wyszedł ostatni demon, śpiączka się skończyła, o, tak! — strzelił palcami. — Będziesz teraz zdrowiał w takim tempie, że cały personel szpitala zaniemówi! Znajdziesz się w kronikach medycznych, a sceptycy i tak temu nie uwierzą.

Ken kręcił głową.

— Muszę to zobaczyć, zanim uwierzę!

— Zobaczysz, zobaczysz, ale teraz odpocznij.

Ken wyglądał na wyczerpanego, ale mimo to za wszelką cenę chciał wszystko zrozumieć.

— Więc nie podoba się wam moja teoria o nieświadomości ani o rozdarciach jaźni - ale czy nie sądzicie, że mówienie o d e m o n a c h jest jakby nieco ... archaiczne?

— A czy miłość jest archaiczna? — zapytała Karen. — A sprawiedliwość, a piękno, a prawda? Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, i te dobre, i te złe. Bóg i Szatan, anioły i demony też należą do tej kategorii.

— Mógłbym ci podać wiele powodów, dlaczego nazywam ich demonami — dodał Hal — tylko teraz musisz przede wszystkim spać. Ale po pierwsze: przyznają że nimi są. Najpierw ryczą z wściekłości, a potem trzęsą się ze strachu, kiedy się stanie naprzeciwko nich w imieniu Jezusa Chrystusa. No a potem, niechętnie, są nam posłuszne. Sam zobaczysz. I sam zdecydujesz.

Oboje wstali, zbierając się do wyjścia.

— Za długo siedzieliśmy. Wyśpij się dobrze.

— Mhm, w porządku — westchnął Ken resztką sił.

Doktor z sympatią poklepał go po ramieniu.

— Wrócimy wieczorem z filmem.

Powieki Kena opadły i zamknęły się na dobre, mimo że próbował nie spać i zastanawiać się nad zdumiewającymi opiniami tych dwóch inteligentnych przecież i szczerych osób. Normalnie machnąłby na nich ręką-

fanatycy! - gdyby tylko nie znajdował się w tym szpitalnym łóżku. Bo niestety ów niewygodny fakt przydawał wiarygodności ich słowom. A to wideo! „Niemożliwe. Musi być jakieś inne wytłumaczenie. A jeśli jednak mają rację? A jeśli mają rację!” Niemile widziana możliwość dręczyła go aż do samego skraju snu.

6

Zmiany

Godzinę po odejściu Elliottów pielęgniarka wprowadziła do sali wciąż jeszcze niespokojną, ale podekscytowaną Carlę Bertelli. Wyczerpany pacjent twardo spał.

— Może pani usiąść obok i poczekać — powiedziała cicho pielęgniarka — ale proszę uważać, żeby go nie zbudzić. Musi jak najwięcej odpoczywać.

— Czy niebezpieczeństwo już minęło ... czy wszystko będzie dobrze?

Jakaś inna siostra już ją o tym upewniała, ale Carla musiała to usłyszeć jeszcze raz. Zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

— Z całą pewnością. Doktor jest bardzo zadowolony.

Carla znów odetchnęła z ulgą i opadła na krzesło, które stało przy łóżku. Obok stało jeszcze jedno. A więc miał już jakichś dwóch gości! Zastanawiała się, któż to mógł być. Co tam. Jest bezbrzeżnie szczęśliwa, że może siedzieć obok ukochanego człowieka i czekać, wszystko jedno jak długo. Dopiero co sytuacja była beznadziejna, a teraz wolno jej znów dać się zauroczyć euforycznemu oczekiwaniu ceremonii ślubnej, planowanej przez oboje w tak radosnym podnieceniu. Marzenie, które dzieliła z Kenem i które jeszcze 24 godziny temu zdawało się leżeć w gruzach, znów ożyło. Prawdę powiedziawszy, nie minęły jeszcze 24 godziny od chwili, kiedy była tu ostatni raz i usłyszała od pielęgniarek, że sprawa nie przedstawia się wcale dobrze i że powinna być w kontakcie.

Wróciła do domu na lunch i znalazła na automatycznej sekretarce prośbę o telefon do szpitala. Wzdragała się podnosząc słuchawkę i wybierając numer. Cudowna wieść o tym, że niebezpieczeństwo minęło i że Ken w niezwyklej sposobie zdrowieje, była ostatnią, jaką Carla brała pod uwagę. „To wszystko prawda!” — powtarzała sobie teraz, wodząc wzrokiem od Kena do stoliczka z boku, na którym stała przysłana przez nią obficie kwitnąca azalia w doniczce, do rozległej panoramy trawnika i drzew na zewnątrz, do najnowocześniejszego wyposażenia szpitalnego, które jej uświadamiało, że Ken jest tu pod dobrą opieką. „Żyje i ma się coraz lepiej! To wszystko prawda!”

Tok jej myśli został przerwany pojawieniem się dwóch lekarzy na czele grupy praktykantów - wszyscy odziani w zielone uniformy chirurgów - któ-

rzy niespodziewanie wmaszerowali do pomieszczenia i otoczyli pacjenta. Podawali sobie naokoło kartę ilustrującą zdumiewająco nagłą przemianę wyraźnie beznadziejnego stanu śpiączki w normalny stan świadomości. Byli tak pochłonięci próbami zrozumienia zjawiska, które najwidoczniej uznawali za przypadek unikatowy, że zdawali się nie zauważać Carli siedzącej na krześle przy łóżku.

— Asystowałem doktorowi Elliottowi, kiedy przywieziono pacjenta z pogotowia — powiedział cicho jeden z chirurgów. — EEG w normie, nieruchome, rozszerzone źrenice, brak oddechu. Bardziej martwy niż żywy... — zaważał się, a potem dodał: — Jestem zdumiony... To po prostu niemożliwe!

— Niewiarygodne! — powiedział jeden z praktykantów przeglądając kartę. Zagwizdał cicho.

Po chwili milczenia drugi chirurg odwrócił się do kolegi i powiedział zniżając głos:

— Chyba słyszałeś, że ta grupa modlitewna Hala ma z tym coś wspólnego, i jeszcze chodzą pogłoski o egzorcyzmie! Szczerze mówiąc, zaczynam się trochę głupio czuć...

Carla chłoneła każde słowo, ale po jeszcze kilku stłumionych okrzykach podziwu przepłatanych medycznym żargonem lekarze wyszli.

Proste szpitalne łóżko, skromnie umeblowane pomieszczenie, antyseptyczna woń — wszystko to umknęło ze świadomości Carli, kiedy zaczęły w niej paradować wspomnienia: niemal namacalne sceny cudownych chwil, które spędzili razem. Widziała Kena, jak wykłada na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley tego wieczoru, kiedy się poznali, przypominała sobie niektóre spędzone we dwoje weekendy, uśmiechnęła się radośnie, przypominając sobie jego zdenerwowanie, kiedy miał się jej oświadczyć... I prędko znalazła się z powrotem w rzeczywistości, kiedy Ken jęknął cicho i poruszył się. Nagle otworzył oczy i zaczął wpatrywać się w sufit.

— Kochanie! — szepnęła, pochylając się nad łóżkiem i głaszcząc go po włosach.

Zobaczył ją.

— Carla!

Nie zdołał powiedzieć nic więcej.

Trzymała jego głowę w dłoniach i delikatnie całowała pokrytą szwami twarz.

— Kocham cię! Jak to cudownie, cudownie, że żyjesz!

— Kocham cię, Carla! — wyrzucił resztką sił. Uniósł zdrowe ramię, żeby ją objąć.

— Powiedzieli, że całkowicie wyzdrowiejesz! — Carla nie mogła opanować entuzjazmu. — Nie traciłam nadziei. Wiedziałam, że ci się uda! Co mówił lekarz ostatnio?

— Mówił, że wszystko będzie dobrze.

Staneła obok i trzymała go za rękę. Spojrzała na nią.

— Tak dobrze, że tu jesteś!

Uśmiechnęły się do siebie, znów nachyliła się, żeby go pocałować.

„A jeśli doktor Elliott i jego żona mają rację?” Nawet w tak porwijącym momencie nie mógł oderwać się od kłopotliwych myśli, które go męczyły. „A jeśli mają rację! Jak ja to zdołam wytłumaczyć Carli? Co ona pomyśli?”

— Powiedzieli ci, co się stało? — zapytał. — To znaczy... czy to nie dziwne?

— Aż trudno w to uwierzyć. Zeszłego wieczoru myślałam, że umierasz, a teraz - proszę! Nabrałeś rumieńców, oczy ci błyszczą jak zwykle!

— Tak się cieszę, że nie byłaś wtedy ze mną! Ciągle nie wiem, jak się to właściwie stało. Kocham cię, kochanie, bardzo cię kocham! Tak mi przykro, że tyle musiałaś przejść. To musiało być prawdziwe piekło...

— Sama nie wiem, jak to zniosłam! Chyba usiłowałam się nie załamać: udawałam wścibskiego reportera i dowiadywałam się, jak to było naprawdę. Ale jakoś bardzo trudno to ustalić... — przerwała na chwilę. — Może wolisz teraz o tym nie mówić?

— Nie — Ken potrząsnął głową. — Mów. Chcę usłyszeć.

— Rozmawiałam nawet z tym kierowcą ciężarówki. Powiedział, że jechałeś po jego paśmie i zrobił, co mógł, żeby cię wyminąć.

— Nic nie pamiętam. Doktor sądzi, że powoli wszystko sobie przypomnę.

— Zesłałam tam w dół i zobaczyłam samochód - to znaczy to, co po nim zostało, kiedy cię wyjęli.

Poszperała w torebce i wyjęła kasetę magnetofonową.

— Znalazłam w twoim pogruchotanym stereo. Nic jej się nie stało — podniosła, żeby zobaczyć.

— *Sweet Baby James*? To by się zgadzało.

— Sprawdziłam, czy jeszcze działa — dodała Carla. — Działa. Nie jesteś ciekawy, gdzie się zatrzymała?

— Nie wiem, czy to ma znaczenie, no ale gdzie?

— Tuż przed końcem *Fire and Rain* — położyła kasetę na stoliczku, obok kwiatów, które dopiero co przyniosła. — Zostawimy ją tu, aż nadejdzie ten cudowny dzień, kiedy sam ją stąd zabierzesz!

Popatrzył na nią z uznaniem.

— Nie wiedziałem, że jesteś taka sentymentalna. To wspaniale!

Uścisnęła mu dłoń.

— Kochanie, to coś więcej niż sentymenty. Gdybyś widział, co zostało z twojego jaguara, wiedziałbyś, że musiałam uczepić się jakiejś nadziei. Nie miałeś szans na przeżycie.

Ken wydał się jej nagle przygnębiony i oszołomiony.

- Przepraszam, kochanie — powiedziała. — Nie powinnam tego mówić.
- Nie, nie, nie szkodzi. Martwi mnie tylko, że nic z tego nie pamiętam. Muszę się dowiedzieć, co się stało i jak to się stało.
- 'Jechałeś jak szaleniec - tak to określono w raportach. Naturalnie zawsze jeździłeś jak szaleniec, ale zawsze było to szaleństwo bezpieczne.
- Odgarnęła mu z czoła jakieś niesforne kosmyki.
- Z tego, co się dowiedziałam w drogówce, a oni mają informacje od naczynych świadków, tym razem jechałeś autentycznie jak szaleniec. Nie mogę 'ego pojąć.
- To by się zgadzało — westchnął Ken z rozczarowaniem w gł*sie.
- Z czym by się zgadzało?
- Z tym, co mówi doktor Elliott.
- No a co on mówi?
- Muszę nad tym jeszcze pomyśleć.
- Kochanie... — nachmurzyła się — to ten chirurg, który się modli. Mieszać medycynę z religią - przecież to kompletny brak profesjonalizmu. Mam wrażenie, że on naprawdę myśli, że modlitwa mogłaby coś zmienić. Wiesz, on nawet mnie kazał się modlić! Miałam ochotę mu powiedzieć: „Ej, doktoru, jesteśmy w dwudziestym wieku!” Przed chwilą, kiedy spałeś, była l u grupa lekarzy. Niektórym też się nie podoba jego podejście.
- Tak powiedzieli?
- Takie odniosłam wrażenie.
- A po co tu byli?
- Oglądali cię jak jakiś rzadki okaz. Byli faktycznie zaskoczeni nagłym uzdrowieniem. Mówili, że to niemożliwe.
- Więc Elliott miał rację. Powiedziała, że cały szpital będzie chodził mnie oglądać i że opiszą mnie w kronikach medycznych.
- Carla nachmurzyła się jeszcze bardziej.
- Mówili coś o jakimś egzorcyzmie! Ken, czy ten lekarz robił ci jakieś hokus-pokus?
- Więc ta historia krąży po szpitalu? To oburzające! — zaperzył się.
- Patrzcie, patrzcie! Czy ja śnię, czy to naprawdę największy geniusz elektroniczny świata powrócił z martwych? — z progu dobiegł dudniący głos profesora Leightona.
- Frank! — wykrzyknął Ken. — Wchodź! Mamy tu już supermana i jego wybranekę, a teraz potrzebny nam tylko ksiądz.
- To znaczy sędzia — poprawiła Carla. — To by było cudowne, ale miesiąc miodowy z typem w gipsie na wyciągu... Niezupełnie tak to sobie wyobrażałam. Wolę jeszcze trochę poczekać. Ile to potrwa?
- Doktor nie powiedział, jak długo ... ale powiedział, że wyjdę prędzej, niżby ktokolwiek mógł przypuszczać.

— Wiecie co, nie będę się wam tu pchał w paradę... — Leighton zaczął zbierać się do wyjścia.

— W porządku, Frank — Ken spojrzał pytająco na Carłę, kiwnęła głową na zgodę.

Podchodząc do łóżka Leighton był wyraźnie podekscytowany.

— Mam ci tyle do powiedzenia, Ken! Ale mogę przyjść potem.

Ken jeszcze raz spojrzał na Carłę.

— Nie, w porządku Frank. Miło, że przyszedłeś.

Leighton zawahał się.

— W ciągu ostatnich dwóch dni zaistniały pewne zdumiewające okoliczności. Nawiązaliśmy kontakt na dobre.

— Co?!

— Nie mogłem czekać, Ken. Byłeś w śpiączce, nie dawali ci wielkich szans...

— I zrobiłeś to sam?

— Wprowadziłem w to kogoś. Kogoś, kogo znam od paru lat.

— To ja wprowadziłem ciebie, a teraz ty, nawet nie konsultując się ze mną...

— Jak ja się miałem z tobą skonsultować!

— Kto to jest?

— Jeśli się martwisz o przecieki, to spokojna głowa. To jezuita. Kapłan. Dobrze wiesz, że nikt lepiej nie dochowuje tajemnicy, przypomnij sobie konfesjonał i tak dalej. Więc się nie martw. To najlepsze naturalne medium, jakie kiedykolwiek widzieliśmy. Nie uwierzysz, co się stało za pierwszym razem, kiedy go podłączyłem do naszej „wyrzutni”!

— Frank, muszę o tym z tobą porozmawiać. Są pewne niebezpieczeństwa, którymi musimy się zająć i rozpracować, zanim posuniemy się z badaniami.

— Nie możemy się zatrzymać, Ken! To pilne. Liczy się każdy dzień! Podejrzewamy, że Sowietci mogą być na progu identycznego odkrycia.

— Kto?! A co u licha Sowietci mogą mieć z tym wspólnego? I skąd masz takie informacje?

Leighton wyglądał na zbitego z tropu.

— Musimy pogadać. Na osobności. Jutro wrócę. Nabierzesz więcej sił.

— Aha, rzeczywiście możemy mieć trochę do pogadania. Zwłaszcza kiedy obejrzą pewne wideo, które i ty, i Carla też musicie zobaczyć.

— Wideo? — zapytali równocześnie. -

— Bardzo przepraszam, ale muszą państwo już wyjść — do sali weszła pielęgniarka i gestem wskazała drzwi. — Za długo pozwoliłam państwu być.

Carla obdarzyła Kena długim pocałunkiem. Pochylona nad nim, wyszeptwała:

— A o czym jest to wideo?

- Później ci powiem, kochanie. To zbyt skomplikowane, żeby teraz za-
I /ynać... — wymamrotał i natychmiast zapadł w głęboki sen.

*

Harold Elliott i jego żona wrócili wieczorem, po godzinach odwiedzin, kiedy nikt im już nie mógł przeszkadzać. Doktor poprosił jakiegoś pielęgniarza, żeby podłączył odtwarzacz wideo do telewizora w sali Kena. Zamknąwszy drzwi, włożył kasetę, zabraną z dyżurki pielęgniarek.

— Ale muszę ci ostrzec — powiedział poważnie — możesz tego nie wytrzymać. Jeśli będziesz miał dość, wyłączę. Jesteś na pewno gotowy?

Ken spojrział na niego z wyrzutem.

— Chcesz mnie zniechęcić? Coś podejrzanego jest na tej taśmie?

— Zaraz zobaczysz, co mam na myśli.

Doktor wziął pilota i włączył. Oglądali wszystko razem — niemal godzina nielensyjnej, czasami jeżącej włos na głowie duchowej walki. Hal musiał dość często wyłączać ze względu na Kena, który na ekranie widział samego siebie, mówiącego i robiącego rzeczy zbyt makabryczne, by można je oglądać ot tak. Jednak po każdym przerwaniu, opanowawszy emocje, naciskał, by puścić dalej.

Kiedy egzorcyzm się zakończył i Hal wyłączył odtwarzacz, Ken dłuższą i chwilę leżał w milczeniu, oszołomiony tym, co zobaczył. Tego wszystkiego, od samego początku do samego końca - tak jak ostrzegał doktor - było za wiele, by dało się wytrzymać: tak jakby się w rzeczywistości przeżywało akcję kinowego horroru. Ken na własne oczy widział na ekranie samego siebie, słyszał wszystko na własne uszy; nie było już możliwości, by przeżyć czemuś tak oczywistemu. Głosy wydobywające się z jego własnych ust brzmiały przeraźliwie znajomo — od nowa przeżył torturę wspomnień tego, co wydarzyło się w laboratorium i w samochodzie. Najbardziej jednak wstrząsnęła nim zdumiewająca różnorodność obrzydliwych grymasów, jakie kolejno wykrzywiały jego twarz — i to kiedy znajdował się w stanie śpiączki! W takich momentach ogarniało go przemożne uczucie, że stoi za tym jakimś zło w najczystszej postaci, tak namacalne, że przyprawiało go o mdłości i odrzę. Zarazem jednak w obrzydliwej niegodziwości tego zła było coś fascynującego, coś, co go silnie pociągało — perwersyjny, lecz niemal nieodparty urok, od którego robiło mu się słabo.

Elliottowie modlili się po cichu, czekając, aż Ken się odezwie. Kilka razy próbował zacząć, ale ciągle rezygnował. Kiedy w końcu udało mu się wydożyć słowa, sam był zaskoczony uporem przez nie wyrażonym, uporem, którego wcale wewnątrz nie odczuwał.

— Widziałem na własne oczy, ale nadal nie wierzę. To przeczy całemu

mojemu światopoglądowi, i to nie tylko mojemu, ale opinii ogólnie przyjętej w świecie naukowym. To nie może być prawda. Musi istnieć jakieś inne wyjaśnienie.

— Chciałeś dowodu — powiedział Hal cicho. — Pozwól sobie przypomnieć, że znajdowałeś się w stanie śpiączki, z oznakami życia równymi praktycznie zera. Przez krótki czas wykazywałeś wyraźne oznaki poprawy, ale zaraz potem zacząłeś się pograżać coraz głębiej. Jakieś nieznanne istoty, które nie mogły być twoją świadomością czy nieświadomością, poruszały twoim ciałem. Tego nie da się ukryć, Ken. A jeśli to by dowodziło, że powszechnie przyjęty w środowisku naukowym światopogląd jest błędny... No cóż, pamiętaj, że mówisz o nauce materialistycznej, a w tym przypadku z pewnością mamy do czynienia z czymś spoza sfery fizycznej.

Ken milczał. Jego myśli pędziły w szalonym tempie, gdy rozpaczliwie próbował znaleźć uzasadnienie dla swoich wypieszczonych poglądów, wiedząc w głębi serca, że takie nie istnieje. „Te głosy, to, co mówią, i że nienawidzą imienia Jezusa i boją się go, i że chcąc nie chcąc poddają się jego władzy... Tego przecież nie da się wyjaśnić jako głębokie pokłady mojej jaźni ani jako archetypiczne obrazy z nieświadomości zbiorowej, ani cokolwiek innego, w co osobiście chciałbym wierzyć. Elliott ma rację! Oni mają rację!” Upokarzająca myśl uderzała go raz po raz. „To niemożliwe! To nie może być prawda! Muszę wiedzieć, co Frank i Carla o tym sądzą. Muszą to zobaczyć. Ale w jaki inny sposób można to wyjaśnić?”

— No, Ken! — łajał Elliott. — Jesteś naukowcem. Więc przeanalizuj fakty. Widziałeś na własne oczy. Istoty, z którymi nawiązałeś kontakt w laboratorium, opętały cię i próbowały cię zabić. Dlaczego tak trudno ci uznać, że to mogą być demony?

— Nie wiem — powiedział Ken zmęczonym głosem. — To mi po prostu wszystko burzy... — zamilkł na dłuższą chwilę, najwyraźniej przygnieciony bólem. — No, dobrze, przyjmijmy na razie twój scenariusz, doktorze. Więc jaki by miały plan gry?

— Zwodzenie i zniszczenie — odpowiedziała Karen — ale wszystko pod przykrywką pomagania ludzkości we wprowadzeniu nowej uoy pokoju, miłości i braterstwa.

— A imię Jezusa? Dlaczego je ucisza i zmusza w końcu do posłuszeństwa?

— Jesteśmy buntownikami, Ken — powiedział cicho doktor. — Chcemy być bogiem dla siebie samego, tak samo jak Szatan, i w ten sposób się od niego uzależniamy. Konsekwencją jest wieczne oddzielenie od Stwórcy. Ale on nas kocha. Tak bardzo, że stał się człowiekiem i przyjął na siebie wyrok wydany przez jego własną sprawiedliwość. Kiedy Jezus Chrystus umarł za nasze grzechy i powstał z martwych, pozbawił Szatana mocy. Przebaczenie i uwol-

nicnie jest dostępne darmo. Jest darem łaskawości Boga, dla każdego, kto zechce się nawrócić i uznać jego śmierć na krzyżu jako karę za swoje grzechy.

— Nawet pięciu sekund bym nie słuchał takiego gadania, gdybym sam nie przeszedł przez to piekło i nie zobaczył tego wideo — Ken zdawał się niemal przekonany. Spojrzał Elliottem prosto w oczy. — Frank musi to zobaczyć. I Carla. Muszę wiedzieć, co myślą. Mogę pożyczyć taśmę?

— Oczywiście — Harold wysunął szufladę przy łóżku i włożył taśmę. — Tu ją kładę. Jest własnością szpitala, więc jeśli chcą, mogą sobie zrobić kopie, ale oryginał musi wrócić.

— Martwisz się o Franka i Carłę — powiedziała Karen poważnie. — A ty sam? Jak potraktujesz Jezusa? Dziewięciu nie puści cię tak łatwo. Potrzebujesz Jego ochrony.

Ken wahał się. Wewnętrzna walka odbijała się w jego oczach.

— Zdaje się, że doskonale widać — wyznał w końcu — czy się do tego przyznam, czy nie, że udało się wam zrobić na mnie wrażenie.

Wyczerpany, zamknął oczy i znów pogrążył się w bolesnym milczeniu.

„Nie mogę tak po prostu odrzucić poglądów, na których konstruowanie poświęciłem całe życie. Nie zrobię tego. Nie przeczę, taśma i to, co oni mówią o Jezusie, ma ręce i nogi, ale przecież...” Z największym wysiłkiem otworzył oczy i zwrócił się do Elliottów:

— Nie wyobrażacie sobie, jak ciężko jest przyznać nawet tyle, ile ja przyznałem. Mam przed sobą poważne decyzje, ale chciałbym wiedzieć, co myśli I Frank i Carla... — znów zapadał w sen.

Alf-7

— Pewnie, Ken, jasne — powiedział Hal. — Zobaczmy się jutro.

Operacja CIA?

— Wcale się z tego nie cieszę, Frank. Ani trochę! — powtórzył Ken już trzeci raz.

Poranne słońce wlewało się przez otwarte okno. Ken upajał się swiergotem ptaków na dworze i wonią świeżo ściętej trawy. Był głodny jak wilk i nie mógł się doczekać śniadania. Nagle przy jego łóżku pojawił się Leighton. Dostał pozwolenie od dyżurnej pielęgniarki na krótką wizytę przed godzinami odwiedzin. Coś ważnego stało się w przedsiębiorstwie Kena — powiedział jej i obiecał, że nie potrwa to dłużej niż pięć minut, no, najwyżej dziesięć.

— Czym tu się martwić — któryś już raz odpowiedział Leighton tonem pełnym perswazji. Przysunął krzesło do łóżka i usiadł. — Mówiłem ci, Dei Sasso to jezuita, k a p ł a n. A wiesz, że oni... yy, są szkoleni do zachowywania tajemnic. Ufam mu całkowicie.

— Nie tym się martwię. Chcę wstrzymać badania, przynajmniej na razie. To jest niebezpieczne! Patrz, co się ze mną stało!

— Miałeś wypadek, Ken, to wszystko. Każdemu się mogło przytrafić. Może zasnąłeś za kierownicą.

— Ja nie zasypiam za kierownicą Frank. A już z pewnością nie o piątej po południu. Daj spokój! Wiesz, co świadkowie mówili o mojej jeździe?

— Nie słyszałem.

— Jechałem jak szalony. To nie w moim stylu, Frank! Nie ryzykuję na ślepych zakrętach, nie wjeżdżam na przeciwną stronę drogi... Tu jest jakiś związek, ale nie potrafię go dowieść, bo w ogóle nie pamiętam, co się stało. W jakim stanie byłem, kiedy opuszczałem laboratorium tego dnia?

Leighton zdawał się zakłopotany pytaniem. Przez dłuższą chwilę stał i gapił się w okno. W końcu przyznał:

— Byłeś bardzo zdenerwowany. Coś ci nie poszło w transie. Powinienem być cię zatrzymać, aż ochłoniesz, ale skąd mogłem wiedzieć, że tak się to skończy.

— Sądzę, że nie powinniśmy już prowadzić takich eksperymentów, przynajmniej na razie, w takiej sytuacji!

— Ty naprawdę nie wiesz, co mówisz! Przecież to była twoja pasja numer

jeden! Ken, Dei Sasso nawiązał stały kontakt. Posuwamy się naprzód. Współpraca z Dziewięcioma pozwoli osiągnąć wszystkie twoje marzenia, a nawet więcej!

Współpraca?! Próbowali mnie zabić!

To szalone słowa, Ken. Nie pojmuję tego nagłego negatywizmu. To do ciebie niepodobne. Dei Sasso początkowo też miał problemy. Te istoty kazały nam odciąć moc od platformy. Pole elektromagnetyczne desynchronizowało półkule mózgowe.

To mnie nie przekonuje. Próbowali zająć mi umysł.

Ty już doprawdy masz obsesję na punkcie tego idiotyzmu.

To nie idiotyzm. Popatrz na mnie! Dlatego tu jestem!

Leighton zaczął kroczyć po pokoju tam i z powrotem; opanowywał się najwyraźniej z coraz większym trudem.

Możemy się na ten temat kłócić bez końca, a i tak do niczego nie dojdziemy. A faktem jest po prostu to, że kiedy posłuchaliśmy rady Archontów i odcięliśmy moc, Dei Sasso momentalnie się dostroił. To był właśnie ten błąd w twojej konstrukcji.

— Ja stworzyłem to wyposażenie i nie chcę, żeby go używano, dopóki stąd nie wyjdę i sam nie sprawdzę. Muszę się upewnić, że nie jest to najkrót-sza droga do ... yy, opętania przez demony!

Leighton stanął jak wryty i utkwiał w Kenie zdumiony wzrok.

— Czy ty zwariował? Skąd u ciebie taki idiotyczny pomysł? Odkąd ty wierzysz w d e m o n y ?

— Nie powiedziałem, że wierzę. Rzucam tylko pewną hipotezę, na której przoczenie nie powinniśmy sobie pozwolić.

Leighton nawet nie próbował ukryć irytacji.

— Gadaj tak dalej, Ken, a będę cię musiał umieścić na leczeniu w klinice psychiatrycznej! Gadasz tak, jakbyś nie miał piątej kleпки!

Spotkali się wzrokiem. Kena przeraziło to, co zobaczył. „Ty byś to naprawdę zrobił, Frank!” — ta myśl była potworna. „Leż tu kompletnie bezbronny! Nigdy nie podejrzewałem, że można być tak bezbronnym, całkowicie na lasce psychiatrów, którzy wyznaczają społeczeństwu kryteria »zdrowia umysłowego«.”

Głos Leightona sprowadził go na powrót od teoretycznych możliwości do teraźniejszej rzeczywistości:

— Posłuchaj, Ken, musimy się jakoś porozumieć. Ty wyznaczyłeś sobie pewien cel, ale ja od samego początku dostrzegałem inny potencjał. Te badania są absolutnie bezcenne w kwestii obronności Zachodu. Zatrzymać je to czysty sabotaż, to wręcz zdrada stanu! Jeśli Sowieci pierwsi osiągną tę moc...

— Paranoja z tymi Sowiecami! A może raczej tymi Dziewięcioma, z którymi nawiązałeś współpracę, powinieneś się faktycznie martwić, a nie

Sowietami!

„Czy mam mu ją dać? Mógłbym mu tylko dostarczyć kolejny atut i już bez skrupułów będzie mi wmawiał chorobę psychiczną...” Po długim milczeniu Ken wskazał na stoliczek przy łóżku:

— W szufladzie jest kasetka wideo. Chciałbym, żebyś ją obejrzał i powiedział, co sądzisz.

— Bardzo przepraszam, doktorze Leighton. Musi pan natychmiast wyjść. Dałam panu aż 11 minut. Pacjent jest wyczerpany.

Leighton zastanawiał się, od jak dawna pielęgniarzka stała za nim i ile słyszała. Wysunął szufladę i wyjął kasetę.

— Obejrzę — obiecał, wymachując kasetą w drodze do drzwi. Ken już spał.

*

— Przykro mi, pani Bertelli, ale właśnie zjadł lunch i śpi, a tego bardzo mu potrzeba — dyżurna pielęgniarzka zauważyła Carłę, zmierzającą prosto do sali Kena, i zabiegła jej drogę. — Będzie pani musiała poczekać w świetlicy, tam na końcu korytarza, aż się obudzi. Dam pani znać.

— Ale wczoraj puścili mnie do niego — zaprotestowała Carla — i pozwolili tam siedzieć, aż się obudzi.

Surowy wyraz twarzy pielęgniarzki nie zmienił się ani na jotę.

— Nawet nie chrząknę — błagała Carla. — Tak samo chcę, żeby spał, jak i pani.

— Nie odpowiadam za to, na co ktoś inny wczoraj pani pozwolił — powiedziała pielęgniarzka antyseptycznym tonem. Wydawała się równie sztywna jak jej wykrochmalony fartuch. — Plan odwiedzin doktora Inmana kompletnie wymknął się spod kontroli i musimy nadać mu choć pozory porządku. Wie pani, że ten człowiek jeszcze 36 godzin temu praktycznie nie żył. To jest szpital, proszę pani, a nie stacja metra.

— Ale masz dziś jęzdę na dyżurze — powiedziała Carla, kiedy się obudził i kiedy pozwolono jej nareszcie wejść. — Mówi, że masz tutaj stację metra. Dlaczego wpuszczają wszystkich innych, a ja muszę czekać? Kto tu był?

— Z tego, co wiem, tylko Frank. No i oczywiście doktor Elliott. Może jest zdenerwowana, bo Frank ją przegadał i wpuścił go jeszcze przed śniadaniem.

— A po co Frank tak wcześnie przyszedł? Coś aż tak ważnego?

— Właściwie nie. Chciał mi powiedzieć, co się tam dzieje, a mnie to wcale nie ucieszyło. Nie chcę, żeby trwały jeszcze jakieś badania, dopóki stąd nie wyjdę. A on nawet zagroził mi półsłówkami, że umieści mnie na oddziale

psychiatrycznym.

Carla pałała gniewem.

- To mnie wcale nie dziwi! Mam o nim pewne informacje, które powinny nas skłonić do kwestionowania jego motywów. Mówił ci kiedyś, że ma powiązania z CIA?

- Nie. Ale zapewne nie mówił mi również wielu innych rzeczy na swój temat. Pewnie to trwa już jakiś czas. Jest w Stanford od dwudziestu lat.

- Wczoraj, zanim mnie wyrzucili, zaczęłam ci opowiadać o moim małym dochodzeniu — powiedziała. — Możesz sobie wyobrazić, co czułam, kiedy sie zastanawiałam, dlaczego jechałeś jak szaleniec, i to jeszcze nie tą stroną drogi, akurat naprzeciwko ciężarówki z balami. Franka to nie interesowało. Odmówił jakichkolwiek wyjaśnień, bardzo uprzejmie, ale również bardzo stanowczo. Oczywiście, rozumiem, problem zachowania tajemnicy naukowej, ale to było coś więcej.

- Wprowadził w to jakieś medium, które ma operować na moim wynalazku. Jemu się zdaje, że konkuruje z Sowietami.

- Słyszałam, jak wczoraj wspominał o Sowietach. A to by doskonale pasowało do tego, czego się dowiedziałam! Posłuchaj! Nie dałam się nabrać na jego słodkie słówka. Musiałam się dowiedzieć, co się tam wyrabia, kiedy ty siedzisz w szpitalu. Miałam dziwne przeczucia, więc dzięki różnym znajomościom udało mi się ustalić, jakie rozmowy prowadzono z laboratorium podczas twojej nieobecności. Otóż o 16.10 w dniu wypadku, pewnie wkrótce po twoim wyjściu, dzwonił do Langley w Virginii, potem dzwonił tam jeszcze kilka razy.

- Langley? Kwatera główna CIA?

- Otóż to. Pogrzebałam więc jeszcze trochę w sprawie, niektórzy znajomi w *Washington Post* mi pomogli. No i dowiedziałam się, że nie jest to jakaś ploteczka, jakiś byle informator, ale że w połowie lat pięćdziesiątych ukończył taki CIA'owski „West Point” koło Williamsburga. Na „Farmie” - tak to nazywali - uczono ich też technik szpiegowskich. Ken, facet siedział w tym po uszy przez całe lata, i najwyraźniej nadal siedzi!

- Może, a nie: n a j w y r a ż n i e j. Jakies powiązania przed laty - to się może zgadzać, ale parę rozmów telefonicznych obecnie... to żaden dowód. Nie wyobrażam sobie: Frank agentem CIA.

- No właśnie! Najlepsi agenci to tacy, których się nie podejrzewa.

- Ale parapsychologia? To po prostu tutaj nie pasuje.

- Jak to „nie pasuje”! Kochanie, przecież wiesz, jak CIA interesuje się badaniami parapsychologicznymi.

- No tak, publikowano pewne doniesienia, ale nie wiadomo, na ile były prawdziwe.

- Nie bądź naiwny! Już Frank o tym wie najlepiej, tego jestem pewna. I

zdaje mi się, że przede wszystkim dlatego się z tobą związał.

— Ale przecież cały czas wykładał w Stanford — protestował Ken. — Pracował razem ze mną. Nigdy nie zauważyłem niczego, przez co mógłbym go podejrzewać o jakieś potajemne działania na boku.

— Czy mam ci jeszcze przypominać, gdzie znajduje się Stanford? — naciskała Carla. — Tuż koło Krzemowej Doliny, czyli innymi słowy największej w kraju koncentracji agentów obcych wywiadów. Nie sądzę, żeby jego obowiązki w Stanford kolidowały z rolą, jaką pełnił w CIA; sądzę, że wręcz jej pomagały.

— Kochanie, czytasz za dużo literatury sensacyjnej — roześmiał się. Kończąc jednak wypowiedzianie tych słów, przypomniał sobie nagle, że zastanawiał się, dlaczego Frank tak łatwo dał się namówić do współpracy. W pewnej chwili uświadomił sobie nawet, że to w istocie Frank zainicjował ten pomysł, tyle że wtedy nie miało to dla Kena większego znaczenia.

*

Leighton wrócił późnym popołudniem. Dyżur miała inna siostra i tym razem Leighton nie miał najmniejszych kłopotów z wejściem, podparłszy się swym zwykłym „pięć minut, no, najwyżej dziesięć”. Ken nie spał. Czuł się nieco lepiej i próbował wypracować pewne trudne decyzje, raz po raz wracając myślami do makabrycznego wideo. Co myśli Frank? Jak zareaguje Carla, kiedy to zobaczy? Wtem do sali wpadł Leighton i bezceremonialnie przerwał tok jego myśli, bez choćby jednego „Serwus” czy „Dobry wieczór”.

Zdawał się śpieszyć, nie przysunął sobie nawet krzesła.

— To miał być jakiś kawałek? — zapytał. Potrząsała kasetą Kenowi pod nosem, a potem rzucił ją na stolik przy łóżku.

— O co ci chodzi?

— Jest czysta. Nic tam nie ma.

— Frank, nie wiem, jaką grę prowadzisz, ale to już jest poniżej pasa.

— Mówię ci, to czysta taśma.

— A ja ci mówię, że nie była czysta, kiedy ją stąd zabierałeś. Jest własnością szpitala i dla mnie samego też ma wielkie znaczenie. Chcę ją dostać z powrotem.

— Dałem ci ją. Możesz sam sprawdzić.

Gniewna gorycz, jaką Ken tłumił w sobie od tak dawna, wypłynęła nagle na wierzch.

— Nie wiem, jaką prowadzisz grę, ale mimo to nie musiałeś wymazywać tej taśmy!

— Wiem, że miałeś ciężkie przejścia — reakcja była klinicznie chłodna i pełna współczucia. — Nie jesteś sobą, Ken. To wyraźnie widać z tego, że nie

możemy się porozumieć, odkąd minęła śpiączka. Nie chcę zostawać za długo i męczyć cię...

Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął jakąś kopertę i położył ją na stoliku, obok kasety.

- Twój prawnik będzie musiał to przejrzeć. To kontrakt na nabycie całego wyposażenia w laboratorium, w tym wszystkich patentów i praw, za milion trzysta tysięcy. Sądzę, że to uczciwa cena. W środku jest czek na tę sumę. Jutro wieczorem chciałbym odebrać podpisaną umowę.

Ken na chwilę zaniemówił.

— A skąd ty masz takie pieniądze? CIA ma z tym związek?

Dokonałem kilku trafnych inwestycji. Posłuchaj, Ken. Ty chcesz wszystko zatrzymać, ja chcę kontynuować. Jesteśmy na takim etapie, że dalsze prowadzenie badań ma żywotne znaczenie. Gdybyś miał ochotę wrócić, kiedy wyzdrowiejesz i staniesz się na powrót dawnym sobą, to nic mnie bardziej nie uszczęśliwi. Pozwoliłem sobie powiadomić twojego biegłego księgowego i prawnika. Mają kopie umowy, jutro z rana tu będą. A tymczasem - odpoczywaj, stary, i trzymaj się.

- Więc jest to operacja CIA, a jeśli się nie zgodzę, to oni już mają swoje sposoby, czy tak?

Ale Frank już był za progiem.

8

Na rozstaju

— Masz kopię tej taśmy? — zapytał Ken z niepokojem, gdy późnym wieczorem Elliott i jego żona pojawili się w drzwiach.

— Stało się coś? — Hala ogarnęło złe przeczucie.

— Czy to jest taśma, którą mi dałeś? — Ken kiwnął głową w kierunku stolika.

— Tak, a co? — zaczął doktor, biorąc ją w dłoń i uważnie oglądając. — Na to wygląda. Nalepka szpitala. A co? Coś nie tak?

— Leighton twierdzi, że jest czysta — oczy Kena mówiły wszystko.

— Zaraz się okaże — Hal wziął taśmę i wybiegł z sali.

Wrócił kilka minut później, z ponurą miną. Podał kasetę Karen.

— Ktoś to wymazał — oznajmił gniewnie.

— Pożyczyłem Leightonowi. Nigdy bym nie podejrzewał... — Ken był załamany. — Powiniennem był przewidzieć.

— Nie obwiniaj się — powiedział Hal. — Nigdy nie wypuszczamy oryginału ze szpitala, jeśli nie zrobimy kopii. Popełniłem błąd. W głowie mi się nie mieści! — zwrócił się do żony. — Właśnie tę taśmę Komisja bezwarunkowo powinna obejrzeć...

— Kolejna lekcja — powiedziała Karen z powagą. — To wojna duchowa, a my straciliśmy czujność.

— Tak chciałem, żeby Carla zobaczyła! — głos Kena drżał. — Gdyby zobaczyła na własne oczy, może to by ją przekonało.

— Czy to by znaczyło, że ty już jesteś przekonany? — zapytała Karen z nadzieją.

— Jestem przekonany, że to, co widziałem na taśmie, było ... no, zgodne z prawdą. Co do ostatecznych tego konsekwencji, to ... yy ... ciągle się zastanawiam. Chciałem znać reakcję Carli na to wszystko, no i Franka też.

— Cała grupa modli się za Carlę — powiedział doktor. — I za ciebie. Dziewięciu nie odda cię bez walki. Szczerze mówiąc, podejrzewamy, że dzieje się coś, co wiąże się nie tylko z tobą i twoim domniemanym „wypadkiem”.

— To znaczy?

Hal przysunął sobie krzesło obok krzesła Karen i usiadł.

Posłuchaj, Ken. Nie chciałem tu wygłaszać tyrady obronnej, ale Nowy Testament ostrzega, że w „dniach ostatecznych”, tuż przed powrotem Chrystusa, nasili się działanie demonów, w tym także manifestację rzekomo nadprzyrodzonej mocy. A wszystko po to, by przygotować świat na nadejście Antychrysta.

Ken zatoczył oczami.

— Dni ostateczne?! Antychryst?! Jeszcze przedwczoraj śmiałyby się tak, że zatkalibyście uszy i pouciekalibyście, gdzie pieprz rośnie. Oczywiście |dybym wówczas mógł się śmiać. Ale już bym nie żył, gdybyście nie powyganiali tych demonów... no tak, powiedzmy, że sądzę, że to były demony. Ale Antychryst?!

Karen spojrzała na niego ze zrozumieniem.

— Wiem, co czujesz. Ale czy przyszło ci kiedy do głowy, że urządzenie, które skonstruowałeś, to, za pomocą którego Dziewięciu cię opętało, mogłoby się stać narzędziem w rękach Szatana? Że za jego pomocą mógłby opanować świat?

— Chyba żartujesz — zaprotestował Ken. — Nie wydaje ci się, że to już brzmi jakby nieco melodramatycznie?

Hal pogrzebał gdzieś w głębi szuflady stolika i wyjął Biblię Gedeona.

- Nie sam to wymyśliłem, Ken, i nie jest to niczyja spekulacja. Tak twierdzi Biblia, już od dwóch tysięcy lat. Posłuchaj na przykład tego: *Duch otwarcie mówi, że w czasach ostatnich niektórzy odpadną od wiary, skłaniając się ku duchom zwodniczym i ku naukom demonów.* To z listu Pawła do Tymoteusza.

Przysunął krzesło bliżej do łóżka i odwrócił Biblię w stronę Kena, żeby mógł patrzeć.

— A teraz posłuchaj, co mówi sam Jezus — kontynuował. — W dwudziestym czwartym rozdziale Ewangelii Mateusza, kiedy uczniowie pytali Go, jakie „znaki” będą charakteryzować ostatnie dni przed Jego powtórny przyścisaniem, powiedział: *Strzeżcie się, żeby was kto nie zwiódł... Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy i działać będą wielkie znaki i cuda, by w błąd wprowadzić, jeśli to możliwe, także wybranych.*

Odwrócił na inną stronę:

— A tu masz Drugi List do Tesaloniczan: apostoł Paweł ostrzega przed oszustwem w czasach ostatecznych. O Antychryście napisał na przykład: *ukaze się Niegodziwiec... Pojawieniu jego towarzyszyć będzie działanie szatana z całą mocą, wśród znaków i fałszywych cudów.*

Hal zamknął Biblię i położył ją na blacie stolika;

— To tylko parę prorocत्व na temat „dni* ostatecznych”. W trzynastym rozdziale Apokalipsy apostoł Jan ostrzega nawet, że w końcu cały świat odda hołd Antychrystowi, a zarazem Szatanowi, który go wyposaży w swoją rze-

komo nadprzyrodzoną moc.

— Toż to kompletne wariactwo, czegoś takiego jeszcze nie słyszałem! — powiedział Ken. — Science fiction. W życiu nie czytałem Biblii.

— A może by tak trochę poszerzyć wiedzę? — zażartowała Karen. — Nie możesz jej dyskredytować na podstawie pogłosek, jeśli jej sam nie czytałeś, tylko dlatego, że podważa jakieś twoje „naukowe” koncepcje.

Ken milczał długą chwilę. W końcu odezwał się:

— Czuję się kompletnie bezradny. Leighton prowadzi badania beze mnie i twierdzi, że nawiązał kontakt z Dziewięcioma i że razem zbawią świat. Szczerze mówiąc, brzmi to całkiem w zgodzie z tym, co mi czytałeś.

— Ken, być może to nie on wymazał to wideo — zamyślił się Hal. — Oni mogli to zrobić. Leighton może być całkowicie pod ich kontrolą.

— Nie chcę mieć nic wspólnego z istotami, które chciały mnie zabić. Powiedziałem Frankowi, żeby wstrzymał badania, aż się upewnimy, o co naprawdę chodzi. Ale on odmawia, mimo że to przecież ja zaprojektowałem i skonstruowałem całe wyposażenie i laboratorium. Mówi, że to pilne, bo trzeba wyprzedzić Rosjan. A tam - zmęczonym gestem wskazał kopertę zostawioną przez Leightona na stoliku - jest umowa i czek, który Frank zostawił. Chce kupić ode mnie laboratorium za milion trzysta tysięcy! I co zrobić?

Hal i Karen wymienili zdumione spojrzenia.

— Zwołam grupę i pomodlimy się specjalnie w tej sprawie — powiedział Hal. — Czy Leighton posiada takie kwoty?

— Nie. I nie zdołaby w tak krótkim czasie zorganizować grupy inwestorów, którzy by się złożyli. Carla uważa, że za nim stoi CIA i że on cały czas dla nich pracował.

— Niewykluczone — zgodził się Hal. — Dość powszechnie wiadomo, że Sowietom angażują się w badania parapsychologiczne i że prawdopodobnie są daleko przed nami. To by wyjaśniało, dlaczego Leighton tak się śpieszy i dlaczego CIA na tym zależy.

— Ale jeśli moc mediumistyczna ma charakter demoniczny, jak twierdzicie — zastanawiał się Ken — to jaki by to miało sens? To znaczy, po co demony miałyby pomagać i Rosjanom, i Amerykanom, jednym przeciw drugim?

— A dlaczego nie? — odparł Hal. Wstał i wyjrzał przez okno, na rozległy trawnik okolony krzewami i kwiatami, łagodnie oświetlony kolorowymi latarniami, potem na jaśniejący sztucznym światłem parking i na ciemność, która za nim zalegała. — Tam, w tym „prawdziwym” świetle, tak to wszystko właśnie wygląda. Międzynarodowe banki wspierają każdą stronę każdej wojny. Nie obchodzi ich, kto wygra, byle tylko uzależnić wszystkich od swoich zasobów. Dlaczego niby wojna „parapsychiczna” miałyby wyglądać inaczej?

Diabłu chyba wszystko jedno, byle tylko utrzymał się przy władzy.

Nastało długie milczenie. W końcu Ken zasugerował:

— Ale nawet międzynarodowym bankom nie zależy na zniszczeniu całego świata, bo straciłyby interes. Wydawało mi się, że pragną jednego, światowego rządu dla własnych, egoistycznych interesów.

— To prawda — zgodził się Hal. — I w Biblii jest powiedziane, że właśnie tego będzie Szatan próbował dopiąć poprzez Antychrysta. Przynieść pokój i pomyślność w nowym porządku światowym i dowieść, że ludzkość może sobie poradzić sama. Jeśli faktycznie są to „dni ostateczne”, to będziemy obserwować tendencje ku światowej jedności: pokój, miłość, braterstwo. Sowieci i Amerykanie będą się musieli połączyć, zresztą razem z innymi.

Wyraz twarzy Kena przeszedł metamorfozę: od sceptycyzmu do zafrasowania. Pokręcił głową wyraźnie zmęczony.

— Szczerze mówiąc, zbiliście mnie z tropu. Nie chcę w to wszystko wierzyć. To jak koszmar... Naprawdę — dodał — zależy mi na Franku, pomimo że najwyraźniej korzysta w tej chwili z faktu, że zniknąłem z pola widzenia. Jestem pewien, że Frank wierzy w swoje dobre intencje.

— Nie wiem, czy rzeczywiście należy się Leightonowi taka wyrozumiałość — ostrzegł doktor z powagą. — Na mnie on robi wrażenie osoby żadnej władzy, a to go czyni bezbronnym wobec każdego kłamstwa, które mu tę możliwość zaoferuje. Prawdę trzeba cenić ponad wszystko. Będziemy się modlić, żebyś jej szukał całym sercem.

*

— Doktor Elliott zapisał dziś pana na fizykoterapię — powiedziała wesoło siostra, kiedy z samego rana weszła, by zmierzyć Kenowi temperaturę i pobrać krew. — Jest pan gotowy?

— Czy ja jestem gotowy? Pani żartuje? Ja chcę stąd wyjść! Nie chodzi o to, że coś mi się tu nie podoba, naturalnie. A kiedy zaczynamy?

— Przyjdą po pana gdzieś koło 9.30. Chce pan dziś jak zwykle to obrzydliwe śniadanie?

— Dokładnie. Jem to 365 dni w roku. To mnie właśnie utrzymuje w formie tak świetnej, że muszę od czasu do czasu oberwać i trafić do szpitala, żeby wrócić do stanu przeciętnego.

Akurat kończył śniadanie, kiedy pielęgniarka wprowadziła jego prawnika, Phila Golda; parę chwil potem do sali wszedł jego biegły księgowy — Gordon Stuart.

— Obaj studiowaliśmy tę umowę — zapewnił Gold. — Wszystko jest w porządku i jak należy, oczywiście, jeśli się na to godzisz. To już zależy od ciebie. Nie mam pojęcia, czy milion trzysta tysięcy to uczciwa oferta, czy

może chcesz to sprzedać za każdą cenę.

— Podstawę obliczania podatku masz w tej chwili niższą od 100 tysięcy — ostrzegł Stuart. — Przy dochodzie tego rzędu trzeba wziąć pod uwagę poważne konsekwencje podatkowe. Jeśli chcesz to sprzedać, mogą się znaleźć lepsze sposoby niż branie gotówki.

— Nie wiem, co chcę, ale na pewno nie chcę tego sprzedawać. Wolałbym to wszystko zniszczyć.

Obaj popatrzyli na Kena, jakby oszalał.

— A dlaczego nie pozwolić Leightonowi, żeby cię od tego uwolnił? I jeszcze zarekwirujesz gotówkę — zasugerował prawnik. — Jeśli nie wiesz, co zrobić z milionem trzysta — dodał ze śmiechem — to mogę ci podać kilka propozycji.

— Tego się nie da tak zaraz wytłumaczyć.

Wstali, zbierając się do wyjścia.

— Musisz sam podjąć decyzję, w zgodzie ze swoimi zasadami — powiedział księgowy. — Ale z prawnego czy finansowego punktu widzenia, nie zominając oczywiście o potrzebie rozważenia kwestii podatkowej, nie widzimy żadnego powodu, żeby tego nie podpisać.

Carla zaniemówiła, kiedy jakiś czas potem zjawiła się w szpitalu i usłyszała o ofercie Leightona.

— Nie sprzedawaj, za żadną cenę! — ostrzegła. Pomyślała chwilę i dodała szybko: — Szykuje się niezła historia! Muszę to rozgryźć — była wyraźnie podniecona. — Pachnie mi CIA. To może być bomba. Szkoda, że nie wiem, o co chodzi Sowiетom. Czy to możliwe, żeby prowadzili podobne badania?

— Nic nie wiem o Sowietach i mało mnie to obchodzi. Wiem tylko, że Frank zawarł jakiś układ z istotami, które próbowały mnie zabić. I to mnie właśnie obchodzi.

— Próbowaly cię zabić?

— Kochanie, ja byłem dosłownie o p e t a n y. Dlategojechałem jak szaleńiec. Przypominam już sobie pewne rzeczy.

Carla popatrzyła na niego ze współczuciem.

— Przez trzy dni byłeś w śpiączce. Chciałbyś wiedzieć, co się wtedy zdarzyło, ale nie polegałabym w takim wypadku zανάdto na p a m i e c i.

— Nie muszę polegać na samej pamięci.

Ken odwrócił się. Na dworze przedrzeźniacze udawały kanarki, a łagodna bryza wiewiała przez okno aromat bukietu wiosennych woni. Taki piękny dzień. „Jestem tutaj, cudownie uzdrowiony, z kobietą, z którą wkrótce mam się żenić — i zamiast nieprzytomnego szczęścia odczuwam lęk!”

Odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na nią błagalnie.

— Carla, pamiętasz, kiedy poszliśmy na *Egzorcystę!* Nie mogliśmy pojąć, jak ktokolwiek rozumny mógłby być tak naiwny i uwierzyć Williamowi Błat-ty'emu, że ta historia opiera się na autentycznych faktach. Byliśmy bardzo rozczarowani J. B. Rhine'em, „ojcem parapsychologii amerykańskiej”, kiedy się dowiedzieliśmy, że badał sprawę i orzekł, że jest autentyczna. Pamiętasz? — przerwał, żeby nabrać powietrza i odwagi.

— Pamiętam. I byłam śmiertelnie przerażona, chociaż wiedziałam, że to nonsens.

Roześmiała się.

— Ty też byłeś przerażony! Ale dlaczego o tym mówisz?

— Istnieje coś takiego jak opętanie przez demona. Nie wierzyłbym w to, gdyby się nie przytrafiło właśnie mnie.

— Opętanie przez demona?! — oczy Carli błysnęły gniewem. — A więc dlatego mówili o egzorcyzmie! A ty pozwoliłeś, żeby Elliott, ten Świątoszkowaty chirurg, cię na to namówił! Nie mogę doprawdy pojąć, jak człowiek inteligentny może w jednej chwili wykonywać niezwykle złożoną operację chirurgiczną która dowodzi jego oddania nauce, a w następnej chwili zniżyć się do średniowiecznego hokus-pokus!

— On mnie do niczego nie namawiał, Carla. Dał mi dowód - wideo z m o j e g o e g z o r c y z m u .

Stała, opierając dłonie na biodrach, oburzona, gotowa do działania.

— A więc to jest taśma, o której mówiłeś. Gdzie ona jest?

— Tam, na stoliku. Ale teraz jest czysta. Pożyczyłem ją Frankowi i ktoś to wymazał.

— Więc Elliott wykonał egzorcyzm?! — jej spojrzenie mówiło wyraźnie: „Ale ci wyprali mózg!”

— Więc sądzisz, że dostałem bzika, pourazowe uszkodzenie mózgu? Że wszystko zapomniałem w śpiączce albo coś w tym rodzaju? Kochanie, dopóki tego nie powiedziałem, nie uważałaś, że cokolwiek jest ze mną nie w porządku.

— Kiedy to - ten e g z o r c y z m - się stało? To musiało być tu, w szpitalu, a to jest pogwałcenie etyki!

— Carla, błagam. Nie wchodź od razu na ścieżkę wojenną. Ty i ten twój irlandzki temperament...!

— Owszem, jestem zdenerwowana, ale mam ku temu powody! Lekarz wykorzystujący osłabienie pacjenta, żeby ładować w niego swoje poglądy religijne - to sprawa doprawdy kryminalna!

— Kochanie, daj mi szansę wyjaśnienia. To było tego wieczoru, kiedy pielęgniarka dzwoniła do ciebie i mówiła, że chyba nie przeżyję. To nie było żadne „osłabienie”: ja byłem w śpiączce, i to coraz głębiej. Elliott i jego żona

przyszli tu i rozmawiali z tymi... możesz je nazywać istotami, jeśli ci nie pasuje słowo „demony”. Kazali im wyjść ze mnie w imieniu Jezusa Chrystusa. Wszystko zostało zarejestrowane przez kamerę wideo, która była nad moim łóżkiem! I ja to obejrzałem: to się stało naprawdę. To było makabryczne!

— Więc ten spryciarz Elliott zdołał ci to wmówić — powiedziała, z całej siły próbując opanować wzburzenie w głosie. — Powinien się bardziej interesować chirurgią niż „klerurgia”. Szarlatan. Trzeba mu zabrać licencję!

— Ależ Carla, ja to widziałem na własne oczy! A te głosy... rozpoznałem je! Te same, które mówiły do mnie w laboratorium i w samochodzie. Nazywali siebie Dziewięcioma, czyli dokładnie tak, jak mi się przedstawili, kiedy nawiązałem „kontakt”. Elliott nie mógł tego wiedzieć. Słyszałem głosy dziewięciu różnych istot. Były autentyczne!

— Oczywiście, że były, ale nie były demonami! — wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni, a potem pogłaskała go po czole. — Daj spokój, kochanie, istnieją wyjaśnienia naukowe. Przecież wiesz, kim oni są. Kiedy twoja świadomość pograżyła się w śpiączce, uwolniły się głębsze pokłady jaźni, rozszczepienia osobowości, a może archetypy z nieświadomości zbiorowej. Frank mógłby ci podać z dziesięć psychologicznych wyjaśnień. Kiedy te archetypy zintegrowały się niespodziewanie, wróciłeś na poziom świadomości.

— Moja śpiączka nie miała charakteru psychologicznego. Znajdowałem się od krok od śmierci, a to dlatego, że doznałem wstrząsu mózgu i obrażeń ciała - w potwornym wypadku, o którym sama powiedziałaś, że nie miałem szans! To, co widziałem na wideo, to nie był seans Jungowskiej analizy głębi, który mi zorganizowali Elliott z żoną. To było rozkazywanie demonom, żeby ze mnie wyszły w imię Jezusa Chrystusa. I wyszły! I to mnie uleczyło.

— Kochanie, jeśli dajesz sobie to wcisnąć, chcę ci przypomnieć, że to sprzedaż wiązana: musisz dokupić jeszcze anioły i Boga, i Jezusa Chrystusa! — obróciła się na pięcie i zaczęła chodzić tam i z powrotem obok łóżka. — Jesteś naukowcem — kontynuowała z goryczą — a są pewne prawa nauki, których po prostu nie da się złamać.

— Prawa nauki — powtórzył. — Wymawiałem te słowa tysiące razy, nie uświadamiając sobie, jaki gigant za tym stoi. Nauka nie czyni tych praw: naukowcy odkrywają prawa, które ustanowił Bóg. Nie możemy ich łamać, ale On może. I wtedy to się nazywa cud.

— A więc kupiłeś cały pakiet!

— Nie miałem innego wyboru. Gdybyś tylko zobaczyła to wideo!

— To by nic nie zmieniło, Ken — zatrzymała się, stając blisko łóżka i spoglądając na niego z litością. — Ten lekarz postąpił tak źle. Wykorzystał twoje osłabienie, żeby wyprać ci mózg! Widzę, co się przytrafiło ukochanemu człowiekowi i... to nie do zniesienia. Ken, kochanie, przecież wiesz, że

nic ma żadnego Boga ani Szatana, ani demonów. Religia to zwykły wykręt, który pozwala ludziom umywać ręce od odpowiedzialności za własne życie!

Ken potrząsnął głową.

— I ja tak sądziłem, Carla, ale teraz widzę, że temu po prostu brak spójności. Zeszłego wieczoru wyjąłem Biblię z szuflady. Słyszałem masę pseudointelektualnych absurdów, jakie przeciw niej wygadywano, ale sam nigdy jej nie czytałem. Kiedy już zacząłem, nie mogłem się oderwać, aż byłem kompletnie wyczerpany. Przeczytałem całą księgę Marka: wszystko o Jezusie Chrystusie, kim jest, dlaczego przyszedł, o jego śmierci za nasze grzechy i o zmartwychwstaniu. Na pierwszej stronie tej Biblii jest werset, który przetłumaczono już na 1100 języków: Ewangelia Jana 3, 16.

— Matka mnie go uczyła, kiedy ledwo co umiałam mówić — przerwała mu. Przez chwilę złagodniała na wspomnienie kobiety, którą kochała i podziwiała aż do granic uwielbienia. Jedynej osoby naprawdę żyjącej według tej wiary, do której porzucenia skłoniła Carlę hipokryzja ojca.

— Nigdy go przedtem nie słyszałem — kontynuował podniecony Ken. — Nauczyłem się go wczoraj wieczorem. Poczekaj, sprawdzę, czy pamiętam: *Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne.* Najlepsza nowina, jaką zdarzyło mi się słyszeć. Uwierzyłem, czemu nie.

— Ja też, jako dziecko — powiedziała. — Ale teraz już nie wierzę.

— Posłuchaj, Carla! Nie potrafię tego wyjaśnić, ale coś się dziwnego stało. Znalazłem przebaczenie i pokój, i radość, o jakich nawet nie marzyłem! — miał łzy w oczach.

Przez długą chwilę stała przy łóżku i wpatrywała się w człowieka, którego kochała do szaleństwa. W końcu nachyliła się i mocno ucałowała jego usta.

— Jesteś okropnie zmęczony, kochanie — powiedziała. — Odpocznij sobie i przemyśl to jeszcze raz, kiedy lepiej się poczujesz.

Odwrociła się do wyjścia. Kiedy szła w kierunku drzwi, Ken słyszał, jak mruczy pod nosem: „Muszę stąd wyjść, bo nie wytrzymam. Niech no dostanę tego Elliotta!...”

Rozstanie

Kiedy w czasie popołudniowego obchodu Harold Elliott zajął do Kena, zastał go w wesołym nastroju, pomimo nowych trosk, które bardzo mu ciążyły. Wcześniej był tam Leighton ze swoim prawnikiem i notariuszem, który poświadczył złożony chwiejną ręką na dwóch egzemplarzach kontraktu podpis Kena. Ken dziwił się, że czuje wielką ulgę. Zarazem jednak sprawa samego Leightona leżała mu na sercu ciężkim brzemieniem i troską. Co do Carli, Ken znał ją na tyle dobrze, że zdawał sobie sprawę z nikłej szansy uratowania ich związku — chyba że wyparłby się nowej wiary w Chrystusa. Nie wiedział, czy potrafi to znieść. A jednak odczuwał radość, która zdawała się nie zależeć od okoliczności.

— Nie miałem siły ani ochoty walczyć z Frankiem i CIA — powiedział Halowi. — To by się zresztą na nic nie zdało. Kiedy tu leżę, mogą spokojnie skopiować wszystko, co zrobiłem, i zbudować własny model. Nie powstrzymałbym ich w żaden sposób. A tak przynajmniej spadło trochę gotówki.

— Chyba nie było innego wyjścia — Hal pokiwał głową ze zrozumieniem. — Nie zwracaj już sobie tym głowy i zostaw to w Bożych rękach.

— To nie takie proste, czuję się odpowiedzialny. Jeśli mój wynalazek umożliwia poddawanie władzy demonów samego Franka i kto wie, jak wielu innych, to jak mogę mieć dobry humor?

— To wcale nie to urządzenie, Ken. Czego byś nie wymyślił, nie będzie to tym, co sobie wyobrażacie, ty czy Leighton. To wcale nie twoja genialna elektronika pozwala się łączyć z Dziewięcioma.

— Skąd to możesz wiedzieć?

— Szamani kontaktują się z „duchowymi przewodnikami”, to znaczy mniej więcej takimi samymi istotami, od tysiącleci — powiedział sucho doktor. — Demony mają wiele twarzy, mogą trafić do każdego. Twarz „inteligencji pozaziemskiej” jest dla fanów fantastyki naukowej i dla naukowców, którzy wyobrażają sobie, że czas i przypadek mogły zrodzić bogopodobne istoty na jakiejś planecie odległej od nas o tysiące lat świetlnych.

Potrząsnął głową z przerażeniem.

Ken chwilę nic nie mówił. Myślał.

— Mówiłeś coś w tym rodzaju parę dni temu i nie przypało mi to do gus-

ni Ale teraz istotnie dochodzę do wniosku, że współcześni parapsycholodzy to po prostu ucywilizowani szamani. Chybabym się zgodził: stary towar z nową etykietką.

- Dokładnie tak — powiedział Hal. — Pod wieloma nazwami: Dziewięciu, Wysocy Mistrzowie i różne inne, demony od tysiącleci niezmiennie kontaktują się z ludzkością - przez wybranych joginów, czarowników, media i nu podobnych szamanów. Nie obwiniaj się. Urządzenia, za które Leighton naiwnie zapłacił milion trzysta tysięcy, nie są w niczym lepsze od tabliczek ouija czy szklanych kul.

Ken spojrzął na Hala i roześmiał się.

— Chcesz powiedzieć, że cała moja elektronika to lukier na torcie i że ja o tym nie wiedziałem?

— Otóż to. Jest wiele przyrządów do wróżenia, a ty po prostu skonstruowałeś kolejny. Jednak z drugiej strony może się okazać, że Dziewięciu ma wobec twojego dzieła szczególne plany, bo jest tak wymyślne i naukowe. Mógłby służyć jako idealny katalizator, który wyzwoli wypełnienie proroctw. A one mówią, że cały świat da się oszukać i odda hołd Antychrystowi jako zbawcy ludzkości.

Ken odwrócił głowę i w milczeniu patrzył w okno. W końcu spojrzął na Hala i powiedział:

— Scenariusz rodem z science fiction, ale nie pozbawiony sensu. Chyba rozumiem. Nie tyle twoje słowa brzmią aż tak przekonująco, ile pycha ludzka jest aż tak ślepa. Dobrze pamiętam, dlaczego dałem się w to wciągnąć. Ale najbardziej — dodał z powagą — mnie martwi, hm ... wiesz, co.

— Rozumiem — powiedział Elliott ze smutkiem. — Carla dopadła mnie dziś w gabinecie. Sina z wściekłości. Zarzucała mi, że zrobiłem ci pranie mózgu, i przysięgła, że doniesie na mnie do dyrekcji szpitala za praktykowanie „klerurgii” zamiast chirurgii.

— I zrobi tak. Cała Carla: masz to jak w banku. Jeśli coś postanowi, nie ma odwrotu. Mam nadzieję, że nie napyta ci kłopotów?

Doktor uśmiechnął się.

— Może się skarżyć, ile chce. To bez znaczenia. Nie zrobiłem nic nieetycznego, nic, czego bym się wstydził powtórzyć. Nie martw się — położył dłoń na ramieniu Kena. — Poza tym... Nie powiedziała tego wprost, ale odniosłem wrażenie, że zrywa zaręczyny. Czuję się odpowiedzialny, przynajmniej w części. Nie mieści mi się w głowie, że wypuściłem to wideo ze szpitala - zwłaszcza, że było tak ważne - i nie zrobiłem kopii!

— Rozmawialiśmy o tym. Powiedziała, że i tak by jej to nie przekonało. Też jestem tego pewien. Musisz ją zrozumieć - to jej pochodzenie. Mówi o sobie z ironią: d. d. Carla Bertelli. D. d. - to jest „dziecko duchownego”. Jej ojciec jest nadal pastorem wielkiego, o g r o m n e g o kościoła, ale z jej opo-

wiadań wnoszę, że to wyjątkowy hipokryta. Carla jest bardzo rozgoryczona. Kiedy mnie poznała, to, hm, byłem ateistą i posiadałem wszelkiego rodzaju intelektualne, rzekomo naukowe argumenty, które potwierdziły w jej oczach słuszność odrzucenia tego, czego jej uczono w dzieciństwie.

— Więc pozbawiłeś ją tego oparcia.

— Jej nigdy nie było potrzebne żadne oparcie. To bardzo silna osobowość. Carla nie chadza na kompromisy i wie, że ja też nie.

— Wielu ludzi się modli o was oboje — powiedział Hal. — Nie stawiaj Bogu ograniczeń.

— Próbuję się uczyć. Karen była tu po południu i czytała mi Biblię. Bardzo jej byłem wdzięczny. Tyle jest do poznania, czuję wielki niedosyt. Czytała ... chyba z listów Piotra? Coś o próbowaniu wiary. Mam nadzieję, że uda mi się przejść taką próbę.

— Nikogo na to nie stać na własną rękę, bez Jego pomocy — zapewnił go Hal. — Wiara to nie taka moc, którą się wymachuje i zabija duchowe smoki. Ani nic, czym można przyprzeć Boga do muru i tak Nim manipulować, żeby spełniał nasze zamiary. Wiara to zaufanie Bogu, poddanie się Jego woli. A to oznacza pozwolić Mu działać na Jego sposób!

— Tak mi się zdawało, ale miło słyszeć, jak to tłumaczysz. Coś fascynującego ... ta kwestia wiary. Zawsze sobie wyobrażałem, że to coś dla niewykształconych, którzy nie potrafią samodzielnie myśleć... — Kenowi zabrakło słów, ale nowy błysk w oku mówił sam za siebie.

— No, no, zrobiłeś postępy od naszej ostatniej rozmowy! — wykrzyknął Hal. — Zawsze miło patrzeć na kogoś, kto się „narodził na nowo” i zaczyna rosnąć! — ścisnął ramię Kena, popatrzyli sobie w oczy z jakimś nowym poczuciem braterstwa.

— Jestem wdzięczny tobie i Karen, że nie machnęliście na mnie ręką!

— Bóg na nas nie machnął ręką — odparł Hal, kiedy odzyskał głos. — Dla mnie to fantastyczne: świadomość, że Stwórca wszechświata kocha każdego z nas z osobna. Nigdy się nie mogę temu nadziwić. Naprawdę, warto oddać się w Jego ręce, bo jest cokolwiek inteligentniejszy od nas, no i kocha nas. Kiedy nabieramy co do tego pewności, wszystko w życiu wskazuje na właściwe miejsce.

Ken pokiwał głową.

— Nie wątpię. Jedyna sensowna rzecz, jaką udało mi się do tej pory odkryć. A kiedyś myślałem, że „wiara” to taki irracjonalny skok na oślep w ciemność! — w jego głosie pobrzmiwała wewnętrzna radość, która przenikała nawet ciężące mu w tej chwili przeczucie nieuchronnej straty.

*

Carla przysłała nazajutrz przed południem, żeby się pożegnać. Oczy były zaczerwienione i podpuchnięte, czego nie dało się ukryć pomimo grubszej niż zwykle warstwy makijażu. Tak, była silną osobowością, ale równie silna była jej miłość do Kena. Bał się tej chwili, tak bardzo, że starał się nawet poprobować sił w modlitwie. Była to próba dość nieudolna, ale brzemień zmalało nieco, poczuł też przypływ sił do przyszłych zmagañ.

— Ken, wolałabym, żeby to się nie przekształciło w emocjonalne katharsis — zaczęła Carla. — Oboje wiemy, że między nami powstała bariera... — musiała się odwrócić, żeby ukryć łzy.

— Carla, tak cię kocham! Zrobiłbym wszystko, co tylko uczciwie się da.

— Z wyjątkiem wyrzeczenia się nowych wierzeń. Nie oczekuję zresztą tego od ciebie.

— Mam nadzieję, że szanujesz moje poglądy.

— Szanuję ciebie i twoje prawo do wierzenia, w co ci się podoba, ale nie mogę szanować tego, w co wierzysz w tej chwili, bo sama w to niegdyś wierzyłam. A teraz wiem, że to nieprawda.

— Z tym bym się nie zgodził — powiedział cicho — ale chyba nie ma sensu się teraz spierać.

— Kocham cię, Ken. Tak samo, jak zawsze. Chcę, żebyś o tym wiedział.

Na chwilę spotkali się wzrokiem i dzielili się bólem.

— Kocham cię, Carla, bardziej niż kiedykolwiek. Dlatego tak boli. Nasza miłość ... nie możemy jej niszczyć.

Znów spotkali się wzrokiem, czując nawzajem swój ból.

— Miłości trzeba pomóc, Ken — Carla pierwsza zdecydowała się przerwać milczenie. — Sam wiesz. Nawet najbliższe związki mają okresy próby, (idy jesteście sobie tak dalecy, nie miałyby sensu rozpocząć coś, co jest dla nas tak istotne... — odebrało jej głos. Nastąpiła kolejna długa chwila milczenia. — To by nie miało sensu — powtórzyła za moment. — Nie miałyby.

— Czemu nie dasz nam trochę czasu? — błagała ją wzrokiem, ale nie odwzajemniała spojrzenia.

— Będę masę czasu — powiedziała nieobecny tonem — o ile to ma jakieś znaczenie. Przebywanie razem byłoby nie do zniesienia dla nas obojga. Już zdecydowałam. Wracam do Waszyngtonu. Mam tam wiele możliwości.

Teraz Ken zaniemówił. Znów zapadło dramatyczne milczenie.

— To nie do wiary — odezwała się w końcu Carla. — Byłeś największym ateistą. Gdzie się podziały twoje argumenty?

Wziął głęboki oddech. „O Boże, pomóż mi!”

— Carla, nie wydaje mi się, że istnieje ktoś taki, jak zdeklarowany ateista. Zawsze wiedziałem, że Bóg istnieje. Nie można z całą szczerością udawać, że wszechświat to dzieło przypadku! Ja po prostu nie miałem tylko ochoty borykać się z konsekwencjami faktu, że jestem moralnie odpowiedzialny

przed Stwórcą.

— Ken — przerwała mu — me przyszłam tu słuchać kazań. Przez całe niemal życie wysłuchiwałam podobnych rzeczy!

— Zadałaś mi pytanie. Proszę, wysłuchaj mnie! Żaden lekarz ani pielęgniarka w tym szpitalu nie zaprzeczy, że jestem żywym cudem! I ty nie możesz zaprzeczyć!

— O, czyżby? Mój ojciec wygłaszał kazania o c u d a c h . Och, jakże on występował przeciwko g r z e c h o w i — z pogardą wypluła te dwa słowa. — A wiesz, co robił? Cudzołożył, i żeby to z jedną kobietą! Bóg wie, z iloma. W końcu uciekł z sekretarką i rozwiódł się z mamą. Kiedy mama się dowiedziała, to ją zabiło. Umarła na złamane serce.

— To bardzo smutne — powiedział. — Ale to przecież nie dowodzi...

— Dowodzi?! — znowu mu przerwała. — Podaję ci fakty! Ojciec ma dziś potężny kościół! A jego styl życia nie zdaje się mu przeszkadzać w osiągnięciu powodzenia w tym całym faryzejskim c h r z e ś c i j a ń s k i m świecie!

— Ależ Carla, jest wielu chrześcijan, którym na myśl o obłudzie twojego ojca robi się tak samo niedobrze, jak i tobie. A twoja mama? Opowiadałaś mi, jaka była święta. Przecież była chrześcijanką. Więc jak możesz odrzucać Chrystusa z powodu ojca?

Zamilkł. Co mógł jeszcze powiedzieć? Odwróciła się od niego, nie mogąc znieść bólu patrzenia mu w oczy. Zaciągnęła pasek torebki na ramię, przygotowując się do wyjścia.

— Żałuję, że tak to wyglądało — powiedziała. — Nie przyszłam się spierać czy dyskutować. Chciałam po prostu tylko się pożegnać.

— Przecież my się kochamy! — błagał. — Jakoś to załatwimy.

Nagle przypomniał sobie kasetę magnetofonową, którą kiedyś przyniosła. Próbował ją ściągnąć ze stolika, ale nie sięgał. Kątem oka dostrzegła jego wysiłki, ale nawet nie drgnęła, żeby pomóc.

— *Fire and Rain*. James Taylor. Przyniosłaś ją z rozbitego wozu — przypomniał. — „To coś więcej niż sentyment”, tak mi powiedziałaś. Że to ci dawało nadzieję. Pamiętasz słowa?

Skinęła głową ledwo dostrzegalnie.

— Śpiewałem ją sobie dziś rano — kontynuował z zapałem — i pomyślałem, że to chyba coś więcej niż zbieg okoliczności, że akurat jej słuchałem tuż przed tym lotem w przepaść.

Zaczął nucić cicho:

Look down upon me, Jesus, You've got to help me make a stand. You've just got to see me through another day. My body's aching and my time is at hand. I won't make it any other way.

Spójrz na ranie, Jezu, chcę przy czymś mocno stać. Przeprowadź mnie przez

Sięgnął dłonią, żeby ją dotknąć, ale cofnęła rękę.

— Carla, proszę cię! Dziesiątki razy tego słuchałem, jeszcze wtedy, gdy Uważałem się za ateistę, i nigdy nie zastanawiałem się nad treścią słów. Razem jej słuchaliśmy. Nigdy nie mówiłaś, że te słowa cię drażnią. Ja tylko Uwierzyłem w Jezusa, tak jak mówi ta piosenka. Dlaczego to ma nas rozdzielić?

- Przestań, Ken! Przedłużać ból, który oboje czujemy - to nie ma sensu. Wiesz, że żadne z nas nie pójdzie na ustępstwa wobec tego, w co tak głęboko wierzy. Niech już będzie po wszystkim.

Poderwała się i zdecydowanym krokiem poszła ku drzwiom.

Kocham cię, Carla — wołał za nią. — Kocham cię!

Wyraz jej twarzy zmiękł na moment, kiedy zatrzymała się i odwróciła bokiem.

- Jeżeli mnie kochasz, wyświadcź mi pewną przysługę: nie marnuj czasu na modlitwę za mnie!

Przez zasłonę łez patrzył bezradnie, jak wychodzi z sali i z jego życia.

>skan-Alf-7

kolejny dzień. Moje ciało pełne bólu, i zbliża się mój czas. Inaczej przez to przebrnąć nie da się.

Wątek KGB

Przez jakiś czas klimat międzynarodowej polityki kształtowała nadzieja nowej współpracy między USA a ZSRR. Słowa *perestrojka* i *glasnost*, dzięki częstemu powtarzaniu, zadomowiły się na dobre w językach zachodnich i zdawały się takiej nadziei przydawać realność. Do prasy nie trafiały jednak żadne informacje o potajemnej i desperackiej rywalizacji między CIA i KGB, która osiągnęła niespotykane do tej pory natężenie. Jeśli jakiś postronny obserwator zajrzałby do środka pewnego tajnego ośrodka badań parapsychologicznych, zatopionego w gęstych lasach około godziny jazdy na północ od Moskwy, doszedłby do wniosku, że realizowane tam cele i podejmowane działania są całkowicie sprzeczne z inicjatywami pokojowymi promowanymi w ramach słynnej sowieckiej polityki nieagresji.

Pewnego wietrznego, pochmurnego dnia pod koniec kwietnia, dwa lata po tym, kiedy Ken Inman sprzedał CIA swoje tajne laboratorium, pułkownik armii sowieckiej Aleksiej Czernow, dowódca bazy, stał i obserwował pluton swoich doborowych oddziałów. Ćwiczyli *hwarangdo* na rozmokłym boisku, na którym można jeszcze było dostrzec łąty śniegu w spowitych nieustannym cieniem miejscach, gdzie czterometrowy mur okalający teren od południa nie dopuszczał promieni słońca. Czernow, potężny, brutalny typ, arogancko pyssałkowaty, jak przystało na zawodowego żołnierza, był w doskonałej formie fizycznej i wcale nie wyglądał na swoje 52 lata. Stracił rodziców pod Stalin-gradem i życie dało mu niezłą szkołę. Armia zresztą też. Wiedział, jak prze-
trwać, w pełnym znaczeniu tego słowa.

Owego dnia, niby posąg z rękami założonymi na piersiach, Czernow dłużej niż zwykle stał na ścieżce za żywopłotem. Pozwalało mu to obserwować żołnierzy z ukrycia. Paskudna sytuacja w bazie całkowicie zajęła jego myśli i nie pozwalała dostrzegać sceny, której już od pewnego czasu zdawał się przyglądać. Nagle jakby sobie przypomniał, że powinien być gdzie indziej. Obrócił się na pięcie, przeciął błotnisty plac apelowy i wszedł na ścieżkę, która biegła między dwoma długimi budynkami z cegły. Szedł najwyraźniej w kierunku największego budynku na terenie bazy, znajdującego się akurat na wprost. Stojący na warcie przed budynkiem dwaj żołnierze z bronią automatyczną już naprężyli się do salutowania, kiedy pułkownik niespodziewanie

skręcił w prawo, na inną ścieżkę, prowadzącą do czegoś, co wyglądało na salę gimnastyczną.

Wielki czerwony napis na frontowej ścianie strzeżonego budynku głosił tłustą cyrylicą: INSTYTUT BADAWCZY IM. BEKTERIEWA. NIEUPOWAŻNIANYM WSTĘP WZBRONIONY. Wewnątrz znajdował się prawdziwy labirynt korytarzy, dopełniony biurami i laboratoriami o rozmaitej wielkości, znaczeniu i stopniu ważności. W samym centrum było ogromne, wymyślne laboratorium badań nad mediumizmem, wiodły do niego koniec korytarzy wszystkie korytarze. Składało się ono z pomieszczenia głównego i kilku pomieszczeń pomocniczych, z których każde miało przynajmniej jedno okno

zaciemnionymi z jednej strony szybami. Okna te wychodziły na pomieszczenie centralne; można więc było z różnych punktów obserwować, co się dzieje w środku, nie zakłócając koncentracji pracujących tam ludzi. Osoby biorące udział w eksperymentach również nie wiedziały, że są obserwowane.

Sięgające od podłogi po sufit, zaciemnione z jednej strony szkło między głównym pomieszczeniem kontrolnym a laboratorium, usytuowane około trzy metry ponad zwykłym poziomem, dawało doskonały widok na to, co się dzieje. Wewnątrz tego punktu obserwacyjnego przebywał kierujący badaniami uczony Wiktor Chorew. Ten szczupły, przedwcześnie posiwiały mężczyzna kolo czterdziestki, o typowym wyglądzie naukowca, za pomocą całego zespołu urządzeń wydawał polecenia dwóm asystentom. Dzięki gorliwej, ciężkiej pracy i niekwestionowanej inteligencji doktor Chorew odgrywał pierwszą rolę w daleko posuniętych badaniach parapsychologicznych, badaniach o charakterze tak ściśle tajnym, że nawet na Kremlu wiedziała o nich tylko garstka przywódców. Jedynym mankamentem Chorewa była kłopotliwa skłonność do niezależnego myślenia, co nie najlepiej pasowało do sowieckiego systemu. Był to mankament, na który do tej pory w dużej mierze patrzone przez palce w uznaniu wielkiej wartości uczonego, zwłaszcza zaś w związku z obecnie prowadzonymi badaniami. W laboratorium na dole znajdowali się dwaj asystenci: Piotr Dobrowski, który przyszedł tam niedawno, i Dimitrij Pietriekow, bliski współpracownik Chorewa i jego powiernik od ładnych kilku lat. W tej chwili obaj byli zajęci podłączaniem ostatnich przewodów do jakiegoś mężczyzny, wyglądającego z góry niepozornie i bezbronne, usadzonego pod pewnym kątem w specjalnym miękkim fotelu.

Wiktor z uwagą śledził szybkie, pewne ruchy podwładnych. Jego własne zachowanie było wystudowanym profesjonalizmem, lecz pod maską obojętności kryła się obawa, że eksperyment skończy się katastrofą. Gdyby tylko mógł, nie dopuściłby do kolejnej próby. Podobne wątpliwości żywili jego asystenci, zbyt dobrze pamiętając tragiczne zakończenie dwóch ostatnich.

— Jesteśmy gotowi! — zaskrzeczał głos Dmitrija w interkomie.

— Jeśli zauważycie nieprawidłowość, choćby najmniejszą, natychmiast

dacie mi znać! — nakazał Wiktor przez stojący przed nim mikrofon. Siedział teraz przy głównej tablicy kontrolnej. — Zrozumiano?

— Tak jest! — zabrzmiała odpowiedź Dmitrija na dole. Dwaj siedzący obok Chorewa asystenci skinęli głowami nie spuszczać wzroku z tablicy. Na dziesiątkach wykresów i urządzeń pomiarowych obserwowali przebieg fal mózgowych, rytm serca, ciśnienie krwi, poziom tlenu we krwi i inne dane.

— Możesz wchodzić w trans, Jakow — powiedział cicho Wiktor. Choć starał się panować nad głosem, pobrzmiwały w nim wątpliwości i niepokój.

Człowiek-medium, starannie przypięty pasami do wielkiego krzesła, skinął głową ledwie dostrzegalnie. Był już blisko stanu gotowości opuszczenia własnego ciała. Dłonie, które jeszcze przed chwilą ścisnęły poręcze fotela, opadły bezwładnie. Każdy widoczny mięsień rozprężył się w całkowitym zrelaksowaniu.

— Jakow. Słuchaj mnie uważnie — Wiktor mówił powoli, jednostajnie. — Kiedy usłyszysz słowo STOP, natychmiast wyjdiesz! Zrozumiano?

— Tak — głos Jakowa ledwo dawał się słyszeć.

Wiktor przycisnął jakiś guzik po lewej stronie tablicy kontrolnej. Na ekranie przed medium natychmiast pojawił się slajd przedstawiający kompleks budynków otoczonych wysokim murem. Potem zobaczyli obraz centralnej budowli.

— To jest cel, Jakow. Lokalizacja: wzgórze nadmorskie na południe od San Francisco, około 20 kilometrów od Palo Alto w Kalifornii. Nasi agenci wskazują że to ośrodek CIA prowadzący zaawansowane badania parapsychologiczne, możliwe, że podobne do naszych. Wejdiesz do tego budynku — głos Wiktora stał się teraz wyraźnie hipnotyzujący — i zdobędziesz wszelkie możliwe dane, tyle, ile zdołasz w określonym czasie. Jeśli napotkasz problem, choćby najmniejszy, natychmiast daj mi znać. Zrozumiano?

Jakow powoli skinął głową. Oczy mu błyszczały, a na ich powierzchni można było dostrzec słaby refleks budynku-celu. Ciężkie powieki opadły, oczy się zamknęły.

Wiktor wcisnął inny guzik i na ekranie zaczęło się pojawiać komputerowo wzmocnione cyfrowe odbicie tego, co widział sam Jakow w domniemanej podróży poza ciało. Obraz przejmowano bezpośrednio z jego fal mózgowych poprzez genialny proces elektronicznego wzmacniania, który opracował niedawno sam Wiktor. Obraz, początkowo niewyraźny i przerywany, powoli uplastyczniał się, nabierając określonych kształtów. Wszystko nagrywano na taśmę wideo bezpośrednio z urządzenia, które przekazywało obraz odbierany przez mózg Jakowa.

W miarę, jak Jakow zbliżał się do budynku, obraz stawał się coraz wyraźniejszy. Miało się wrażenie szybowania w przestrzeni. Nastąpił lekki wstrząs i chwilowe zaciemnienie, po czym Jakow znalazł się w środku obie-

ktu, a na ekranie pojawiło się wewnątrz budynku. Ściany zdawały się nie mieć żadnej masy, kiedy badawczy umysł Jakowa przenikał przez nie, przechodząc korytarze i wchodząc do pokojów.

Nagle gdzieś od tyłu przybliżyły się dwie ciemne postacie, każda z przeciwnego rogu ekranu. Przez ułamek sekundy bardzo wyraźnie zamajaczyła twarz postaci po prawej stronie, odzianej jakby w szatę z kapturem. Wiktor nigdy przedtem nie widział tego człowieka. Zamruczał rozpoznając jednak widoczną przez chwilę twarz mężczyzny po lewej stronie. Rysy zostały wprawdzie lekko zniekształcone, ale trudno było go uznać za kogoś innego niż Frank Leighton, wschodząca gwiazda badań parapsychologicznych, o międzynarodowej już sławie. Fakt ów Wiktor szybko odnotował na komputerze.

— Jestem w środku. Na razie nic szczególnego — Jakow wypowiadał słowa powoli i z wielkim wysiłkiem. — Wyczuwam, że laboratorium centralne jest gdzieś po prawej.

Niespodziewanie zakapturzona postać zaszła Jakowowi drogę i wymierzyła groźnie palec w miejsce, gdzie się w sposób niewidzialny znajdował. W następnej chwili obraz przenoszony z mózgu Jakowa zmienił się w rozpedzony kalejdoskop zniekształconych odbić, fantasmagorię wirującej masy i linii. Wskaźniki określające podstawowe parametry życiowe jakby oszalały.

— Na pomoc! — zawył przerażony Jakow. — Wciągają mnie! Maj a mnie!

— Stop! — krzyknął Wiktor do mikrofonu. — Stop, Jakow! To rozkaz! STOP!

Twarz Jakowa stała się śmiertelną maską konającego. Ciało wiło się w konwulsjach, prężąc się rozpaczliwie w przytrzymujących je pasach. Nagle zajaśniał oślepiający błysk, a ciało Jakowa, wyrwane jakąś nieprawdopodobną mocą z fotela, poszybowało przez pomieszczenie. Uderzyło ze zdumiewającą siłą w odległą o dziesięć metrów ścianę i jakby wisiało na niej przez chwilę, pogruchotane, nim osunęło się na betonową posadzkę niczym ochłap surowego mięsa.

— K'nimu! Dawaj! — krzyknął Wiktor do mikrofonu, a potem sam pobiegł na schody prowadzące w dół.

Dmitrij szybko dotarł do zmiążdżonych zwłok Jakowa i cofnął się z przerażeniem. *Moj Bog!* — szepnął i patrzył w dół bezradnie. Zbiegłszy w dół, by zapanować nad sytuacją Wiktor nie potrafił się oderwać z miejsca obok Dmitrija. Gwałt, jaki zadano Jakowowi, był o wiele gorszy niż w dwóch poprzednich „wypadkach”. Zdawało się, że w jego ciele nie ma ani jednej złamanej kości. A jednak lewa dłoń ścisnęła pióro, którego prowadzący później dochodzenie nie potrafili zidentyfikować jako należącego do Jakowa czy w ogóle kogokolwiek w bazie.

Wiktor, Dmitrij i Piotr, trzej naukowcy biorący udział w badaniach, zmrozeni przerażeniem, patrzyli, jak martwe ramię zaczyna się poruszać. Wielkimi, drukowanymi literami wypisywało na gołej posadzce krótkie zdanie po grecku. Skrobanie stalówki o beton przydawało jedynie niesamowitości makabrycznej scenie. Potem nastąpiła martwa cisza.

Wiktor, wciąż w szoku, starał się ze wszystkich sił odzyskać zdrowy rozsądek.

— Niech komputer to przetłumaczy — powiedział do Piotra, który wyjął z kieszeni notatnik i na pół przytomnie dokładnie skopiował dziwny napis, a potem - co chwila rzucając za siebie przerażone spojrzenia - wybiegł z laboratorium.

— Jurij! — Wiktor zwrócił się do któregoś z oszołomionych asystentów. — Idź po pułkownika Czernowa.

*

Pułkownik przebywał w sali gimnastycznej, gdzie siedział właśnie w pozycji lotosu na wzniesionej lekko nad poziom podłogi platformie. Naprzeciw niego siedziało 40 nowo zwerbowanych członków doborowego oddziału, także w takiej samej pozycji. Czernow zakończył przed chwilą prowadzenie ich w dwudziestominutową medytację. Ostatnie *OM* wsiątkło w ściany. Każdy rekrut, podobnie jak sam pułkownik, nosił czarne *gi* ze znakami Armii Sowieckiej. Czernow podniósł się gwałtownie i wyprostował ramiona, zwracając zaciśnięte pięści w kierunku mężczyzn.

— Otworzyć oczy — nakazał i dał znak dwóm asystentom. Przynieśli ciężki kawał betonu i przytrzymywali go przed pułkownikiem. — Zaraz zobaczycie przekazywanie bioenergii — wyjaśnił. — Nauczymy was przekazywać tę energię poza ciało. Medytacja jest tutaj podstawą.

— DA! — szybkim ciosem karate dłoń Czernowa przeszła przez piętnastocentymetrowej grubości blok, rozsypując naokoło okruchy betonu.

— Zdaje się wam, że to moja dłoń roztrzaskała beton, ale oczy was oszukały.

Czernow urwał, by spotęgować wrażenie i dać rekrutom czas na przemyslenie jego słów.

— Prawda jest taka, że moja dłoń nawet nie dotknęła betonu. Blok roztrzaskała niewidzialna siła wychodząca z mojej ręki. Siła, którą poprzez medytację nauczymy się koncentrować, staje się tarczą ochronną wokół naszego ciała.

Lekki uśmiech grał w kącikach jego ust, gdy sięgnął po delikatny szklany puchar i włożył do niego prawą dłoń. Dał znak dwóm innym mężczyznom, którzy umieścili przed nim kolejny kawał betonu.

— I JA!

Odziana w szkło prawa dłoń pułkownika mignęła z prędkością pioruna i znów zniszczony blok roztrzaskał się na sto kawałków.

Triumfujący Czernow cofnął się o krok i spuścił delikatny i wciąż nieknięty szklany puchar z dłoni na podłogę. Naczynie rozprysnęło się w drobny mak.

Jurij, nadal w szoku, cicho wszedł do sali i stanął z szacunkiem w tyle, próbując w jakiś sposób przyciągnąć uwagę pułkownika. Wyraz przerażenia na jego twarzy przemawiał aż nadto wyraźnie. Czernow w końcu zauważył go i dał znak ręką, żeby podszedł do przodu.

— Jakow nie żyje! — szepnął Jurij bezgłośnie.

Oczy Czernowa zapałyły gniewem. Nie pytając o dalsze szczegóły, poprosił zastępcę, majora Rusaka, o dalsze prowadzenie zajęć i natychmiast wybiegł z sali, a Jurij zaraz za nim.

*

Kiedy Czernow pojawił się w laboratorium, Wiktor zdążył już wrócić do pomieszczenia kontrolnego. Przeglądał jakieś dane i kręcił głową z pełnym zdumienia niedowierzaniem. Na widok pułkownika stojącego przy zwłokach zszedł na dół i dołączył do niego.

— Ten człowiek to wasza wina, doktorze! — szczechnął Czernow.

— Nie! — odpowiedział Wiktor stanowczym tonem. — Nie byłem za tym, żeby ryzykować kolejne życie. To była wasza decyzja.

— Komisja wydała rozkaz.

— Z powodu waszych nacisków.

Na pozór kruchy w porównaniu z potężnej postury zwierchnikiem, Wiktor stał wobec niego nieugięte, twarzą w twarz, i świdrował go wzrokiem. Indywidualizm Wiktora i jego oryginalne zachowanie już od dawna wyprawały pułkownika z równowagi. Obserwując wszystko z bezpiecznej odległości, a zarazem kierując uprzątnięciem porwanych drutów i śmieci i zamykaniem sprzętu przez resztę personelu, Dmitrij czuł, jak narasta w nim lęk.

Czernow miał już sprecyzowane zamiary. Od miesiący powodowała nim jedna jedyna namiętność: powiesić na ścianie skórę Chorewa — choć nawet i to nie dałoby mu pełnej satysfakcji.

— Śmierć Jakowa stanowi zagrożenie dla kontynuacji programu. A w y pozwoliliście mu umrzeć! Dlaczego?!

— On nie u m a r ł! — warknął Wiktor. — Został z a b i t y, tak samo, jak tamci, przez coś poza naszą kontrolą. Mówiłem wam, że nas ostrzegano, ale nie pozwoliliście donieść o tym Komisji.

— Ostrzegano? To czysta fantazja!

— Pułkowniku, posłuchajcie taśmy z ostatnimi słowami Jakowa.
Wiktor podszedł do najbliższej kontrolki i nacisnął jakiś guzik.
— Na pomoc! — w głośnikach zabrzmiał głos Jakowa. — Wciągają mnie!
Maj ą m nie!

Wyłączywszy dźwięk, Wiktor powiedział stanowczym tonem:

— „Maj ą m nie!” Kto, pułkowniku? Jacyś oni. Jacy oni? Z pewnością nikt z naszego laboratorium. On był poza ciałem, w laboratorium CIA w Kalifornii. I to są właśnie ci oni, pułkowniku! To oni go dostali, tak samo, jak tamtych. I dlatego nie chciałem ryzykować z następnym człowiekiem, ale wyście się uparli!

— W tym momencie on był niespełna rozumu — nalegał Czernow, wskazując napis na posadzce. — Patrzcie na te bohomyzy.

— Jakow już nie żył, kiedy to napisał!

— Niemożliwe!

— Mamy dane na monitorach.

— Został wyrwany z kabli — powiedział Czernow. — Nie macie żadnego zapisu z czasu, kiedy tu leżał!

— Zobaczcie na jego ciało - i na zmiążdżone lewe ramię. Nawet jeśli by do teraz żył, nie mógłby nic napisać!

W tym momencie wrócił Piotr i wręczył Wiktorowi kawałek papieru.

— Tłumaczenie waszych bohomyzów, pułkowniku. To było po grecku.

Wiktor potrzymał kartkę przed oczyma Czernowa, a potem przeczytał na głos: „Śmierć Prometeuszowi. Archont.”

— To już trzecie ostrzeżenie, pułkowniku.

— Prometeusz? Archont? — zawył Czernow. — Jeśli to pseudonimy amerykańskich agentów, to ich wytropimy, nawet gdybyśmy mieli w to wciągnąć światową sieć KGB!

— Proponowałbym sprawdzić najpierw na Górze Olimp, głównej kwatery bogów — zasugerował kwaśno Wiktor, nie próbując wcale złagodzić sztydlerczego brzmienia głosu, choć wiedział, jak niebezpiecznie jest drażnić Czernowa. — Z pewnością dzięki waszemu wszechstronnemu odczytaniu pamiętacie, że w greckiej mitologii Prometeusz ukradł bogom ogień, a oni go ukarali. Widać z tego jasno, że Archont nas ukarał!

Twarz Czernowa posiniała z wściekłości. Braki w wykształceniu potrafił zawsze nadrobić wrodzoną przebiegłością. Kaśliwy sarkazm Wiktora otrzymał zapłatę nie w postaci brutalnej siły, ale fałszywego oskarżenia, które będzie trudno odeprzeć.

— Więc mówicie, że to zrobili bogowie... Jutro zbiera się Komisja, doktorze, aby zbadać sprawę dwóch poprzednich zgonów. No, a teraz doszedł nam trzeci. Ciekawe, czy i dla nich wasze baśnie będą zabawne!

Odwrócił się gwałtownie i wypadł z laboratorium.

Zatroskanie Dmitrija przerodziło się w przerażenie. Bał się o przyjaciela.

— Chodź no tu i zobacz — powiedział, dając Wiktorowi znak, żeby podszedł do strzaskanego fotela. Kiedy obaj pochylili się nad nim, Dmitrij wyszeptał: — To niebezpieczny człowiek, Wiktorze, i pragnie cię zniszczyć. Nie ułatwiał mu sprawy!

Umysł Viktora był jednak zaabsorbowany zagadką, wobec której stanęli:

— Pułkownik ma rację — powiedział cicho. — Umarli nie piszą wiadomości.

— Ale wszyscy widzieliśmy!

— Jakow nie żył, Dmitrij. A nawet gdyby żył, jego mózg nie mógłby wydać polecenia ruchu do ręki w takim stanie. Nie mogła to więc być podświadomość Jakowa. To stara teoria, której się kurczowo trzymamy, pomimo że dowody przeczą. Ale nie da się dłużej uciekać przed prawdą. Jeśli to nie jego podświadomość zadziałała, kiedy już nie żył, mogła to również nie być jego podświadomość, kiedy jeszcze żył! Coś innego tym kieruje, nawet jeśli sobie nie zdajemy z tego sprawy!

— Co masz na myśli?

— Obserwuje nas i manipuluje nami jakaś wyższa inteligencja. Ten ktoś czy to coś - Archont - daje nam znać, że to on ma klucze do siły mediumistycznej i nie podoba mu się, jak jej używamy.

Dmitrij był zbyt zdumiony rewolucyjnym pomysłem, by cokolwiek odpowiedzieć.

— Powiem ci, co to jeszcze oznacza — dodał Wiktor. — Archont musi istnieć poza wymiarem materialnym, ale ma zdolność dowolnego na ten wymiar oddziaływania!

Dmitrij w ułamku sekundy położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

— Mów tak dalej, a skończysz w łagrze! — szepnął.

Obaj rozejrzeli się z niepokojem i zauważyli stojącego w drzwiach żołnierza, który najwyraźniej wyęczał słuch, żeby coś usłyszeć.

— Co tu robicie? — zapytał Wiktor ostro.

— Przyszedłem po zwłoki.

— No, to zabierajcie — warknął Wiktor, a potem zwrócił się do Dmitrija: — Odetchnąłbym świeżym powietrzem.

Popatrzył na resztę personelu. Byli wciąż zbyt oszołomieni, by normalnie funkcjonować.

— Chyba dobrze nam wszystkim zrobi, jeśli wyjdziemy na zewnątrz. Odpocznijcie trochę. Jutro przesłuchanie; powinniście się przygotować do wiernego zdania sprawy z tego, coście widzieli.

*

Na zewnątrz dwaj przyjaciele znaleźli ławkę w odludnym miejscu, a twarze odwrócili od budynków, na których mogły się znajdować nakierowane w ich stronę urządzenia podsłuchowe. Wiktor próbował przekonywać przyjaciela.

— Posłuchaj mnie, Dmitrij! Każdy przyzna, że jeśli życie mogło powstać na Ziemi, mogło też powstać na innych planetach. Musi być tam, w kosmosie, jakieś inteligentne życie, a odnalezienie go to niezwykle istotne zadanie programu badań kosmicznych. I dla nas, i dla Amerykanów, zgadza się?

— Oczywiście — przyznał Dmitrij, dziwiąc się, co by to mogło mieć wspólnego z niebywałym zachowaniem Wiktora wobec Czernowa.

— Nawiązaliśmy kontakt z jakąś inteligentną formą życia spoza Ziemi. Nie widzisz tego? Ale nie wygląda to tak, jak się spodziewaliśmy, i nie odnaleźliśmy ich przez badania przestrzeni zewnętrznej. Przybyli do nas przez przestrzeń wewnętrzną. Nie widzieliśmy ich ciał, bo nie sądzę, że w ogóle je mają!

— Uważaj! — odparł Dmitrij. — Myśl tak sobie, jeśli chcesz, ale nigdy tego nie mów, nawet do mnie. Jeśli Komisja zacznie podejrzewać, że dopuszczasz możliwość istnienia bezcielesnych inteligencji, nie spodziewaj się, że będę cię odwiedzał na Syberii!

— Daj już spokój z tą Komisją i wysłuchaj mnie, kolego. Tylko z tobą mogę rozmawiać. Przypuśćmy jednak, że te byty naprawdę istnieją...

— Jakie byty? Twoja teza to czysta fantazja. Widzieliśmy na ekranie dwie postacie. Uważasz, że były bezcielesne?!

— Doktor Leighton oczywiście nie, zresztą też go rozpoznałeś. Nie wątpię, że był postacią fizyczną. Być może kieruje tym laboratorium. Ale ta druga postać, ta w kapturze - to przez nią wyszła siła. Jestem tego pewien. Odkąd to w CIA noszą takie szaty? To był Archont, ubrany jak śmieć!

Dmitrij rozejrzał się z niepokojem.

— Spuść głowę, kiedy mówisz — syknął. — Robisz się nieostrożny. Oni mają urządzenia.

— Znam te urządzenia. Jesteśmy za daleko, oczywiście z głowami odwróconymi od budynków. Posłuchaj mnie teraz — przysunął się jednak do Dmitrija. — Nie wydaje mi się, że Amerykanie potrafiliby robić to, co dziś widzieliśmy! Ten Archont zabił Jakowa i tamtych. „Archont” nie jest żadnym pseudo CIA! Nie sądzę, że Archont ma ciało - posługuje się ciałami innych. Może agentów CIA też zabija. Na pewno ma jakieś swoje cele. Kim jest Archont i o co mu chodzi? Muszę się tego dowiedzieć!

Z miejsca, gdzie siedzieli, było widać wojskowy uaz, jak podjeżdża do głównych drzwi kompleksu laboratoryjnego. Czując się dziwnie daleko od koszmaru, który dopiero co przeżyli, obserwowali, jak dwaj żołnierze wynurzają się z budynku i wnoszą zmiażdżone pozostałości po Jakowie. Wsunęli

zwłoki do pojazdu, sami wsiedli i odjechali.

— Nie wrócisz życia Jakowowi i pozostałym, jeśli się poświęcisz! — błagał Dmitrij. — Po co drażnić Czernowa? Nie rób tak! Jeśli chcesz przeżyć i kontynuować badania, to nie udawaj bohatera. Powiedz Komisji to, co chce słyszeć!

— Mam pewien plan — powiedział Wiktor tajemniczo. Kiedy Dmitrij wzrokiem prosił o wyjaśnienie, Wiktor tylko pokręcił głową.

Do archiwów

Komisja Nadzorcza Badań Nad Wojną Parapsychologiczną miała już wcześniej zaplanowane spotkanie w celu zbadania przypadku śmierci dwóch poprzednich mediów. Teraz dochodził trzeci zgon. Nic dziwnego, że atmosfera była wyjątkowo napięta. Kiedy wezwano go nareszcie do małej sali konferencyjnej, znajdującej się po przeciwnej względem laboratorium stronie korytarza, Wiktor zrobił, co w jego mocy, żeby stworzyć pozory opanowania (naturalnie wskazana była pewna dora zdenerwowania jako oznaka respektu). Przesłuchanie miało charakter zamknięty — tylko czterech dygnitarzy wojskowych: dwóch generałów i dwóch pułkowników — sędzia i przysięgli. Sprawa została uznana za tak tajną, że nie dopuszczono nawet stenografa. W trakcie przesłuchania oficerowie robili sobie notatki na własny użytek, wszystko nagrywano też na kasetę magnetofonową.

Wiktor wiedział dokładnie, co zawiera pisemny raport pułkownika Czernowa, choć nie konsultowano się z nim w czasie jego sporządzania: pokazano mu kopię późnym wieczorem poprzedniego dnia. Był to zbiór materialistycznych nonsensów, typowe chowanie głowy w piasek, tak denerwujące Wiktora odklepywanie linii partyjnej. Zgodzić się z tym — to chyba więcej, niż mógł znieść. Na tym poziomie operacyjnym *glasnost* i *pierestrojka* niczego nie zmieniły.

Razem z Dmitrijem rozmawiali do późna w nocy i wiedział, że przyjaciel ma rację. Próba tłumaczenia Komisji swoich domysłów równałaby się samobójstwu. Jedynym rozsądnym wyjściem będzie papugowanie raportu Czernowa, rzekomych „ustaleń”, które były właśnie tym, co jego zwierzchnicy chcieli usłyszeć. A Czernow był tego świadom. Moda na materializm dialektyczny nie przestała bynajmniej obowiązywać, pomimo wyolbrzymianych nieraz ustaleń, które mu przeczyły. Obrona starych dogmatów miała o wiele większe znaczenie niż odkrycie prawdy, choć oficjalnie odcinano się od nich, używając czasu przeszłego. Pewne rzeczy były po prostu częścią ludzkiej natury, bez względu na to, jaki reżim był akurat przy władzy i jakie ideały propagował.

Przez całe życie Wiktor pielęgnował, choć zarazem starannie ukrywał, gorzką nienawiść wobec konieczności przemilczania prawdziwych poglądów w

imię przetrwania. Nieustannie rozdarty między obłudę a groźbę więzienia, zawsze w końcu odkładał na bok dumę i opowiadał się za pierwszą możliwością, nieraz balansując na krawędzi. W głębi serca zachował jednak uczciwość wobec samego siebie, wiedząc, że kiedyś nadejdzie dzień, gdy tama pęknie i wypuści potop tak długo i starannie ukrywanych poglądów, a on z podniesioną głową nareszcie wyląduje w więzieniu. Jednak w tej chwili Wiktor miał pewien motyw, który go skłaniał do trzymania języka za zębami. Plan Wiktora zależał od przebiegu przesłuchania, plan, którego nie ośmielił się wyjawiać - przynajmniej na razie - nawet Dmitrijowi, jednemu człowiekowi w całej bazie, któremu ufał.

Jak zwykle, wzywano po jednym świadku na raz, a poza salą przesłuchań nie mogło być mowy o jakimkolwiek porozumiewaniu się pomiędzy przesłuchiwanymi. Nikt w laboratorium nie mógł wiedzieć, co powiedzieli inni. Wiktor czekał na korytarzu ponad dwie godziny, aż Czernow skończy relacjonować sytuację przed Komisją. Kiedy pułkownik wyszedł, wszedł Wiktor. Nie spojrzeli na siebie. Taki był powszechny zwyczaj — znak, że nie ma między nimi zmywy. Nawet najmniejszy grymas, najkrótsza wymiana spojrzeń mogły się stać przyczyną podejrzeń.

Wiktor stanął przed generałem Nikołajem Gorkim, przewodniczącym o lodowatym wzroku. Po jego prawej stronie, za tym samym stołem, ustawionym na niewielkim podwyższeniu, zasiadał generał Alijew. Po lewej ręce Gorkiego siedzieli dwóch pułkowników: Ostapienko i Łucki. Nikt nawet nie próbował dodać Wiktorowi otuchy. Na barkach tych mężczyzn spoczywała odpowiedzialność za przygotowanie Związku Sowieckiego na najpotworniejszą z wojen, odpowiedzialność, którą dźwigali z najwyższą powagą. Jedynym człowiekiem na Kremlu, który dokładnie orientował się w całej sytuacji, był sam szef KGB. Nie mogło być mowy o pomyłce. Wszystkim, co w tajnej bazie byłoby „nie po linii”, należało się zająć natychmiast, i to z całą surowością.

Wiktor z doświadczenia wiedział, że jest tylko pionkiem na szachownicy. Jak cała reszta, pułkownika Czernowa nie wyłączając, był człowiekiem, który wie stanowczo za dużo. Przetrwanie zależało wyłącznie od zdolności dalszego osiągania rezultatów przydatnych dla programu. Gdyby się kiedyś w tej dziedzinie potknął, skończyłby gdzieś w Gułagu, jeśli w ogóle darowaliby mu życie. Zdążył sobie też uzmysłowić, że nieugięci zwierzchnicy, przed którymi teraz stanął, doszli już do jakichś wniosków na podstawie sztygo grubymi nićmi raportu Czernowa i że nie wolno żadnym nieostrożnym sformułowaniem zachwiać ich pewności. Już cztery razy przechodził podobną gehennę; był zdecydowany zrobić to jeszcze raz.

Generał Gorki przeglądał jakieś papiery i zdawał się w ogóle nie zwracać na niego uwagi. W końcu znalazł to, czego szukał, podniósł głowę i lodowa-

tym wzrokiem spozrywał prosto w oczy Wiktora.

— Doktorze Chorew, autopsja wykazała, że przyczyną dwóch zgonów, a także tego ostatniego było zatrzymanie akcji serca. Wszyscy tutaj pojmujemy, że rodzaj eksperymentów, w jakich brali udział ci ludzie, to znaczy tak zwane „podróżowanie poza ciałem” w celu gromadzenia materiału wywiadowczego, w ogromnym stopniu obciąża serce. Czy były jakieś znaki ostrzegawcze, które by was zaniepokoiły? A jeśli nie - to dlaczego nie? A jeśli były, dlaczego w porę nie zatrzymaliście eksperymentu?

— Jak wiecie, towarzysze — zaczął Wiktor ostrożnie — mój asystent medyczny doktor Szewczenko, który jest obecny w trakcie wszystkich eksperymentów, został wprowadzony do programu dwa lata temu, dzięki swemu wieloletniemu doświadczeniu kardiologicznemu i chirurgicznemu. U żadnego z uczestników eksperymentu nie stwierdził żadnego sygnału wskazującego na groźbę bliskiego ataku serca, nie znalazł również tego rodzaju oznaki na wykresach, które od tego czasu wspólnie z uwagą analizujemy. Krótko mówiąc nie było żadnego ostrzeżenia, że coś jest nie w porządku. Nie byliśmy więc w stanie określić momentu, w którym należało przerwać eksperyment, żeby zachować życie tych ludzi, towarzyszy bardzo mi bliskich i oddanych celom, które wszyscy pragniemy realizować.

— Więc jak wytłumaczycie, co się stało?

— Pytałem doktora Szewczenkę, nie potrafi tego wyjaśnić. Uważa, że przede wszystkim powinno się podjąć dodatkowe środki ostrożności, ale nie skonkretyzował tego jak dotąd. Będziemy nad tym pracować, ale chyba wszyscy zdajemy sobie już w tej chwili sprawę, że eksperymenty są wyjątkowo niebezpieczne.

— Czy ktoś — Gorki zwrócił się do towarzyszy — ma jakieś inne pytania dotyczące procedur medycznych i środków ostrożności?

Potrząsnęli głowami.

— Teraz przechodzimy do czegoś o wiele poważniejszego. W raporcie przekazanym wam wczoraj wieczorem przez pułkownika Czernowa nie było o tym mowy. Poinformował on dziś komisję, że wspomnieliście o jakichś „bogach”. Przyjmujemy, że był to żart, lecz zarazem nie żartowaliście chyba, mówiąc mu, że jest to ostrzeżenie, aby nie kontynuować programu. Ta wypowiedź bardzo mnie niepokoi. Co macie do powiedzenia na ten temat?

Wiktor szybko nabrał powietrza.

— Oczywiście nie mówiłem o „bogach” poważnie. Przyjąłem, że pułkownik Czernow tak właśnie do tego podszedł, ale przyznaję, że nie była to najmądrzejsza uwaga. Obawiam się też, że moje inne wypowiedzi pod adresem pułkownika mogły być pochopne.

— W jakim sensie pochopne?

— No cóż, yy, mogą istnieć jakieś inne wyjaśnienia. Być może w ten sposób odreagowywałem stres. Muszę wam powiedzieć, że to, czego byliśmy świadkami, było nie tylko niezwykle, ale i przerażające. Inni uczestnicy zdarzenia na pewno to potwierdzą.

— Nie odpowiedzieliście na pytanie. W jakim sensie pochopne?

— Wyraziłem pewną opinię o treści tej wiadomości, a zrobiłem to bardzo na gorąco, nie dochodząc do żadnego głębszego wniosku.

— A czy teraz doszliście już do głębszego wniosku?

— Nie, nie doszedłem. „Śmierć Prometeuszowi” brzmi jak ostrzeżenie. Jednak dokładne znaczenie tych słów pozostaje tajemnicą i być może taki zresztą był zamiar.

Generał Alijew wiercił się na krześle i bębnił palcami w stół, jakby chciał okazać zniecierpliwienie miernym postępowaniem przesłuchania. W tym miejscu wtrącił się:

— Te tak zwane „wiadomości” zawsze mają pewien wspólny element. Czy nie tak? Przede wszystkim każdą podpisać „Archont”. Waszym zadaniem, doktorze Chorew, jest określenie ich źródła oraz znaczenia. Komisja chciałaby usłyszeć z waszych ust jakieś konkrety. Zamiast nich wysłuchujemy w kółko mętnych tłumaczeń.

— Gdyby przeprowadzić sondę wśród naszych czołowych psychologów — odparł Wiktor prędko — jestem pewien, że według powszechnej opinii źródłem tych „wiadomości” byłaby głęboka nieświadomość każdego medium. Fakt, że trzech różni osobnicy podali nam w chwili śmierci przesłania tak do siebie podobne, należy przypisać nieświadomości zbiorowej, wspólnej całej ludzkości. Konsekwentny sposób prezentowania tych wiadomości również można wyjaśnić na tej samej podstawie, dlatego też osobiście uważam, że jest to jedyna możliwa teoria.

Pułkownik Łucki głośno kartkował papiery. Wyraźny znak dezaprobaty. Pułkownik Ostapienko chrząknął, przygładził włosy i kilka razy przekręcał głowę, aby spojrzeć na generała Gorkiego. Zaś sam Gorki świdrował Wiktora stalowym wzrokiem, bez choćby jednego mrugnienia powieki.

Wiktor postanowił trzymać się swego toku myśli i nie dać się zbić z tropu. Wyjaśniał dalej:

— W odmiennym stanie świadomości, który - jak wiecie - jest przynajmniej na razie jedynym znanym nam sposobem prowadzenia tych eksperymentów, podświadomość kontroluje mięśnie motoryczne. Rezultatem tego bywa często coś, co nazywa się „automatycznym pisanie”. W każdym przypadku...

— Problemy mechaniki nie są nam obce — przerwał zniecierpliwiony generał Alijew. — Chcemy tylko poznać interpretację „wiadomości”.

— Zmierzam ku temu, generale — odparł Wiktor z uniesieniem w głosie. —

W celu dokonania interpretacji istotne jest ustalenie źródła, dlatego pozwoliłem sobie tak długo wyłuszczać moje przekonanie, że podświadomość jest tutaj winowajcą, przynajmniej wszystko na to wskazuje.

— Jakie wszystko? — zapytał ostro Alijew.

Wiktor zastanawiał się z niepokojem, dlaczego generał zdaje się tak walczyć z interpretacją, którą - jak był przekonany - przecież chcieli usłyszeć. Nie miał pojęcia, o co, jeśli nie o materialistyczną linię partyjną, może chodzić Alijewowi i pozostałym. Nie śmiał jednak zmieniać raz zaplanowanej odpowiedzi. To może być pułapka, przynęta, by sam się zdradził.

— Przede wszystkim: w każdym przypadku mamy odniesienie do mitologii greckiej — Wiktor robił, co mógł, żeby wyglądać na zrelaksowanego i szczerego. Nie może pokazać po sobie, że przesłuchanie go niepokoi. — Na przykład wczoraj mieliśmy Prometeusza, postać mogąca odzwierciedlać podświadomy lęk Jakowa, że kroczy po niepewnym gruncie. Wielu naszych psychologów akceptuje teorię Carla Junga, że zbiorowa nieświadomość zawiera całe bogactwo prymitywnych wspomnień w postaci archetypów. Niektóre z nich stają się tworzywem mitologii. „Wiadomości”, jakie dostajemy, w zupełności przystają do tej teorii. Czyli interpretacja...

— Doktorze — przerwał mu Gorki — chyba nie rozumiecie, o co nam chodzi. Generał Alijew powiedział: z jakiegoś źródła dostajemy wiadomości, które zakazują dalszych badań. Czy tak?

— Tak jest.

— A kto skorzystałby najbardziej, gdybyśmy zaprzestali badań?

Wiktor zaniemówił na tak niespodziewany obrót przesłuchania, ale zrobił wszystko, żeby nie zdradzić prawdziwych uczuć.

— Przypuszczam, że Amerykanie — odpowiedział ostrożnie. — Ale nie...

— Trzy nasze najlepsze media — przerwał mu znów Gorki, tym razem ostrzejszym tonem — ponoszą śmierć w trakcie badania czegoś, co uważamy za amerykańską bazę wywiadowczą, prowadzący podobne do naszych badania. I to nic wam nie mówi, doktorze?

— Nie myślę, że Amerykanie potrafiliby...

— Nie myślicie! Wy w ogóle nie myślicie! Zresztą opinie są tutaj bez znaczenia. Potrzebujemy faktów. Naszym zadaniem jest ustalić, jak to robią, i powstrzymać ich!

— Robimy, co w naszej mocy, generale, żeby przez sondy medialne odkryć ich metody, ale wątpię, czy możemy kontynuować obecny kierunek. Czy nie mamy agentów zagranicznych, którzy penetrują ich organizację?

— To nie ma nic wspólnego z tym przesłuchaniem — przypomniał chłodno Gorki. — Wasze laboratorium ma swoje własne cele i własne zadania. Sugerujecie, że nie różni się ono właściwie od naszych agentur zagranicznych i że powinno zostać zamknięte?

— Nie, nie to chciałem powiedzieć. Rozumiem, o co wam chodzi, i robimy, co możemy, żeby odpowiednio wypełniać zadania, ale zdaje się, że natrafiliśmy na siłę, która przekracza w tej chwili nasze możliwości.

— O właśnie! — wypalił Gorki. — I jest to stan niedopuszczalny, którym to przesłuchanie ma na celu się zająć i któremu ma zaradzić!

Generał zawahał się na chwilę, jakby rozważając, czy powinien napomknąć o jakiejś sprawie, potem mówił dalej:

— Pióro, którym Jakow napisał „wiadomość”, jest produkcji amerykańskiej. Takich piór nie kupuje się u nas. Skąd Jakow je dostał?

— Nigdy go przedtem nie widziałem. Ani ja, ani nikt inny w laboratorium. Przysiągłbym, że go tam nie było, aż do czasu wypadku.

Gorki podniósł pióro.

— Wy, doktorze, oraz Pietriekow i Dobrowski widzieliście, jak Jakow pisał tym piórem?

— Tak jest, i pisał lewą ręką. Był praworęczny i nigdy nie widziałem, żeby kiedykolwiek posługiwał się lewą przy pisaniu. Oczywiście w transie wszystko jest możliwe.

— Nie uważam, że to kogokolwiek obchodzi, doktorze. Interesuje nas natomiast samo pióro.

— To jest pióro a m e r y k a ŋ s k i e! — wtrącił Alijew. — Nie niemieckie, nie francuskie, nie angielskie, ale amerykańskie.

— Oczywiście — zaczął Wiktor z namysłem, postanawiając zgadzać się teraz ze wszystkim — psychicznie był w Ameryce w czasie, gdy się to zdarzyło. Nie mamy pojęcia, na jakiej zasadzie przebiega tego rodzaju projekcja astralna. Można założyć, że coś tam w Ameryce w jakiś sposób przywiązało się do niego psychicznie i pojawiło się w laboratorium, kiedy niespodziewanie powrócił do ciała.

— A skąd wiadomo, że powrócił? — zapytał Gorki ostro. — Co mówi doktor Szewczenko?

— On nie wie. Obawiam się, że w podróży poza ciało nieznanie przewyższa liczebnie znane.

— Chcieliście coś dodać, generale? — zwrócił się Gorki do Alijewa.

— Mamy do czynienia z Siłą — stwierdził ponuro Alijew — przy której bomba atomowa może się wydać prymitywna. Jeśli Amerykanie wygrają wyścig do mocy mediumistycznej, to koniec! Od lat zapewniano nas, że amerykańscy naukowcy nie traktują siły mediumistycznej poważnie, że ich rząd wydaje na ten cel bardzo niewielkie kwoty i że jesteśmy daleko przed nimi, tak daleko, że nigdy nas nie dopędzą. Zdaje się, że to już nieaktualne. A wina spoczywa na waszych barkach, Chorew.

— Jest to nagły zwrot w okolicznościach, który ma miejsce dopiero od paru tygodni — ziemia usuwała się Wiktorowi spod nóg. A był tak pewien, że

da sobie radę na przesłuchaniu. — Uwierzcie, nie chciałem ryzykować życia Jakowa, ale rozumiałem, że Komisji zależy na kontynuowaniu badań.

— A więc mieliście inny plan? — zapytał Alijew zgrzyliwie. — Czemuście nam nie powiedzieli?

Oczywiście nie mógł powiedzieć Komisji, że są bandą upartych, głupich osłów, tamujących wszelką uczciwą wymianę poglądów. A taką miał na to ochotę! Jakże chętnie by to z siebie wyrzucił!

— Nie mam w tej chwili żadnego planu, a dopóki się taki nie znajdzie, kontynuowanie prób nie byłoby chyba właściwe...

— Ale my mamy plan — przerwał mu Gorki. — Jutro, kiedy pojedziecie do Paryża, na otwarcie I Międzynarodowego Kongresu Parapsychologów, w waszej delegacji znajdzie się kilka dodatkowych osób. Każdy - również i w y - będzie się stosować do poleceń pułkownika Czernowa, który pojedzie w roli waszego asystenta. Kiedy będziecie się razem pokazywać publicznie, nie dacie w żaden sposób poznać, że to nie wy jesteście szefem delegacji. Zrozumiano?

— Tak jest! — odpowiedział szybko Wiktor, z ulgą że mimo wszystko wypuszcza go za granicę. Była to zasadnicza część jego planu - a może raczej marzenia? - rozważał to szczegółowo już od miesiący.

— Sporządziliśmy roboczy tekst oświadczenia; wygłosicie je w trakcie przemówienia na kongresie — kontynuował Gorki. — Wezwiecie do ustanowienia ścisłej kontroli nad użytkowaniem sił mediumistycznych i do swobodnej wymiany ustaleń naukowych. Waszym zadaniem będzie dopilnować, aby taka rezolucja została przyjęta. Oczekujemy, że wrócić tu z zaproszeniem odwiedzenia kalifornijskiego ośrodka badań CIA dla siebie i dwóch asystentów. Wy za to zaprosicie doktora Franka Leightona, aby was odwiedził tutaj.

Gorki zwrócił się do towarzyszy:

— Jeśli nikt nie ma nic do dodania...

— Raport lekarski, generale — przypomniał pułkownik Łucki.

— Aha. Jeszcze jedno pytanie, Chorew.

Wiktor z ulgą zauważył, że w głosie Gorkiego nie pobrzmiwa już groźba.

— Wasz raport zdawał się sugerować, że Jakow zmarł przed napisaniem „wiadomości”. To naturalnie niemożliwe, czy tak?

— To przeoczenie, generale. Pułkownik Czernow zwracał mi już uwagę na oczywisty fakt, że monitory funkcjonowały nieprawidłowo, jeszcze zanim Jakow został oderwany od urządzeń kontrolnych. A kiedy przewody zostały od niego oderwane, nie mieliśmy już oczywiście możliwości dokładnego ustalenia momentu zgonu. W takich przypadkach pozostaje nam kierować się wyłącznie zdrowym rozsądkiem, no i oczywiście absolutnie się zgadzam. Raport zostanie powtórnie zredagowany, a dane w archiwach poprawione.

Rozpaczliwa decyzja

Po skwapliwym wyrażeniu przez Wiktora zgody na „poprawienie” danych w raporcie medycznym cała reszta okazała się formalnością. Komisja poświęciła bardzo niewiele czasu na przesłuchanie doktora Szewczenki, Dmitrija i innych, których zeznania nie dodały nic ponad to, co już było wiadome. Kiedy pułkownik Czernow ponownie zjawił się przed Komisją, aby poznać jej oficjalne ustalenia, z wielkim przekonaniem powtórzył podejrzenia, które uparcie prezentował wcześniej.

— Na razie nie mam żadnego dowodu — oświadczył — ale jestem pewien, że osoba doktora Chorewa to główne ogniwo łączące te trzy zgony. Co więcej, podejrzewam, że on wcale nie jest marksistą. Donoszono mi już o niezbyt pochlebnych uwagach, jakie wygłaszał o Leninie, choć jak dotąd niczego takiego nie udało się zaobserwować na żadnym z monitorów - ani w jego biurze, ani w laboratorium, ani w mieszkaniu. Nalegam, aby Komisja odwołała decyzję o wysłaniu go do Paryża. Za naszymi granicami może się okazać bardzo niebezpieczny.

— Rozumiemy wasze odczucia i również mamy swoje podejrzenia — odparł Gorki. — Ale jeśli Chorewa nie będzie na czele delegacji, nikt nie potraktuje jej poważnie. To zagrazi powodzeniu misji. Chyba nie zaprzeczycie?

— • Rozważam ryzyko posiadania wśród członków zespołu osoby nielojalnej, towarzyszu generale.

— Wy dowodzicie, pułkowniku — przypomniał Gorki lodowatym tonem. — Czy ma to oznaczać, że nie dacie sobie rady? Komisja uznała was za kompetentnych, pomimo że wcześniej powierzyła wam ustalenie przyczyny zgonów i nie otrzymała w ostatnich waszych raportach żadnych rewelacji.

— Jest mi osobiście przykro z powodu miernych postępów, towarzyszu generale.

— Interesują nas rezultaty, a nie przeprosiny, pułkowniku. Znacie swoje zadanie. Jakież pytania?

— Nie, towarzyszu generale.

*

Kiedy późnym popołudniem Dmitrij wrócił do laboratorium, już po przesłuchaniu, nie miał możliwości wypytać Wiktora, jak mu poszło przed Komisją. Był tam doktor Szewczenko. Bez ustanku przeglądał tam i z powrotem karty wszystkich trzech mediów, szukając jakiegoś klucza, którego być może nie dostrzegł poprzednim razem. Jurij pomagał Piotrowi naprawiać porwane przewody, a pozostali pracownicy laboratorium przeglądali całą elektronikę w każdym urządzeniu monitorującym i nagrywającym. Chcieli się upewnić, że nie zaistniało ukryte uszkodzenie. Stawienie się przed Komisją dało każdemu nowy bodziec do wytężonej pracy, choćby i po godzinach, żeby za-
dośćuczynić za przeszłe niepowodzenia. Brzemie to doskwierało wszystkim. Czuli się winni trzech zgonów, które torturowały pamięć i rzucały cień na przyszłość. Upływały wieczorne godziny, a zmęczenie brało górę, nad każdym po kolei. Nareszcie, kiedy wskazówki wielkiego zegara na ścianie laboratorium minęły północ, pozostali tylko Dmitrij i Wiktor. Wiktor znajdował się już w swoim biurze po drugiej stronie korytarza. Dmitrij dołączył do niego. Zastał przyjaciela na przetrząsaniu zawartości szuflad, tak jakby to była sprawa życia i śmierci.

— Te papiery znajdziesz na miejscu, kiedy wrócisz — zauważył Dmitrij. — Powinieneś iść do domu i wyspać się jak należy!

— Pakuję się — powiedział Wiktor, nie przerywając. Nawet nie podniósł wzroku. — Staram się pozbierać pewne dokumenty.

— To wszystko?! — Dmitrij wskazał na zapchaną już do granic możliwości wielką aktówkę.

Wiktor otarł czoło i usiadł za biurkiem, ciężko wzdychając.

— Wyśpię się w samolocie. A to jest bardzo ważne.

— No, to powiedz mi, przyjacielu, jak ci dziś poszło? Umieram z niepewności!

— Chyba dobrze, Dmitrij. Były pewne przełomowe chwile, już myślałem, że nic nie wyjdzie z wyjazdu, ale w końcu chyba ich zadowolilem. Całkowicie zgodziłem się z tą idiotyczną koncepcją, że Amerykanie zabijają naszych najlepszych ludzi. No i to ich uszczęśliwiło.

Dmitrij prędko położył palec na usta i energicznie potrząsnął głową, prze-
rażony, że Wiktor pozwala sobie mówić tak swobodnie we własnym biurze.

— Nic się nie martw, stary — powiedział Wiktor i roześmiał się, widząc wyraz twarzy przyjaciela. — Sądzisz, że udałoby im się ukryć podsłuch przede mną? Zmontowałem sobie na prywatny użytek taki detektor i co rano nim tutaj zamiatam. Co mi podłączą swoje wtyczki, to je wyjmuję.

— Co ty? — Dmitrij był zdumiony śmiałością Wiktora.

— Tak. Chyba już wydali na mnie cały okup za cara. Te rzeczy kosztują. W końcu dali za wygraną. Już od tygodni nic nie znajduję, dziś rano też sprawdzałem, nic się nie martw.

Dmitrij uspokoił się trochę, ale nie do końca.

— Nic się nie martw — przekonywał go znowu Wiktor. Sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął świstek papieru. Dmitrij zauważył, że to ta sama kartka, na którą Piotr przepisał wiadomość od Archonta. — Dużo o tym myślałem.

— Powinieneś to zniszczyć, zanim to zniszczy ciebie! — Dmitrij był przerażony.

— Nie mogę. To mnie pochłania. Za tym stoi jakaś zewnętrzna inteligencja.

— Jeśli chcesz przeżyć — odpowiedział prędko Dmitrij — lepiej zgadzaj się z Gorkim. Amerykanie zobaczyli, że się ich podgląda, nie spodobało im się to i oddali wet za wet. To proste i wcale nie jest takie głupie. Czemu się z tym nie zgodzić?

— No, pewnie, pewnie — głos Wiktora ociekał ironią. — Amerykanie mogą nas sobie zabijać na odległość dziesiątków tysięcy kilometrów, jak im się żywnie podoba! Ty się poddasz pierwszy, czy może ja? Jakoś nie widziałem, żeby Gorki wymachiwał białą flagą jest nadal krwistoczerwona!

Wiktor przerwał na chwilę, aby Dmitrij to przetrawił, a potem mówił dalej:

— Tylko jedno wytłumaczenie pasuje do faktów, Dmitrij. Trudno mi je było zaakceptować, ale nie ma innego wyjścia. Mamy do czynienia z istotami na o wiele wyższym poziomie rozwoju niż Amerykanie. Jestem pewien, że nie mają ciał, ale mają niesamowite umysły. Na pewno w ich gestii jest siła Parapsychologiczną, której poszukujemy. I nie podoba im się to, co robimy.

— Błagam, Wiktor. Nie myśl w ten sposób.

— Bo mam się bać Czernowa czy Gorkiego? A fakty? Jako naukowiec, muszę znać p r a w d ę !

— Ale trzeba myśleć praktycznie — dowodził żarliwie Dmitrij. — Prawda nie wygra, jeśli wylądujesz w obozie pracy na Syberii! Tam możesz na całe gardło krzyczyć tę swoją prawdę, dużo to da. Przekonasz chyba wilki, bo nikt inny cię nie usłyszy!

Wstał, oparł się obiema dłońmi o biurko Wiktora i pochylił twarz tak nisko, że znalazła się może o trzydzieści centymetrów od twarzy Chorewa.

— Może ci się nie spodoba to, co powiem, Wiktorze, ale nie uważam twojej teorii za bardziej wiarygodną niż teoria Gorkiego. Weźmy na przykład kwestię motywu. Amerykanie mają motyw. Ale istoty na wysokim poziomie rozwoju ewolucyjnego? Cóż by takie byty mogły mieć wspólnego z ludzkością? Nie mamy im nic do zaoferowania, jeśli oczywiście w ogóle istnieją. I dlaczego miałyby nam przeszkadzać akurat wtedy, gdy podglądamy Amerykanów, a nie wtrącają się do innych badań? Mówię ci, to się tak prosto nie sumuje! Nawet jeśli Gorki się myli, to i tak potrafi się lepiej od ciebie wybronić.

Wybuch się skończył. Dmitrij opadł na krzesło, a potem dodał bardziej pojednawczym tonem:

— A mnie się zdaje, że obaj nie macie racji.

— Naprawdę? — Wiktor był zaskoczony. — No to powiedz: jaka jest twoja teoria?

— Jeszcze nie potrafię tego do końca wyjaśnić. Ale kiedy będę wiedział, powiem ci.

— Intrygujesz mnie, Dmitrij! Ale ja nie mogę czekać. To mi nie daje spokoju ani w dzień, ani w nocy. Muszę znaleźć odpowiedź na tę zagadkę!

Szukał czegoś dookoła. Wydobył z szuflady odbitki artykułów z jakiegoś czasopisma, pomachał nimi do Dmitrija, a potem rzucił je na stos piętrzący się na wypchanej aktówce.

— Czytałem parę artykułów, na przykład te tutaj. Człowiek nazywa się I Ken Inman, Amerykanin, pracuje w tej dziedzinie. Bardzo przekonująco argumentuje, że za wszelką siłą mediumistyczna stoją bezcielesne inteligencje. Ma pewne naprawdę ciekawe, wręcz rewolucyjne koncepcje, tyle że ostatnio nic z jego publikacji nie mogę dostać. Wszystko jest sprzed ponad dwóch lat. A może udało mu się nawiązać kontakt z jakimiś bytami, może takimi jak Archont, i dlatego nagle zamilkł. Może to właśnie jest sekret nowej siły Amerykanów. Jeszcze niedawno nie mieli takich zdolności.

— To do ciebie niepodobne, Wiktorze, żeby przejmować teorie od Amerykanów. To może być celowa dezinformacja.

— Ale to ma ręce i nogi, Dmitrij! I to bardziej niż ten ośli materializm, którym nas faszercują! Widziałeś, co się stało z Jakowem. To nie była dezinformacja! Taka moc mnie przeraża. To musi być jakaś energia umysłu, która przekracza wszystko, na co nas albo Amerykanów byłoby stać. !

— Zgadzasz się z tobą, ale walczysz z wiatrakami. Wiesz, że Amerykanie, na przykład ci eksperci od motywacji, sprowadzeni przez Kreml, żeby nam pomóc zainstalować nowoczesny kapitalizm, ciągle mówią o „nieograniczonym” potencjale ludzkim.

— Każde dziecko wie! — Wiktor uśmiechnął się pogardliwie. — Nie ma wątpliwości, że istnieją pewne o c z y w i s t e ograniczenia, Dmitrij, a to, co oglądaliśmy na własne oczy, wybiega lata świetlne przed to, co wydaje się nam rozsądne.

Obaj pograżyli się w pełnym refleksji milczeniu. Wiktor powrócił do przetrząsania szuflad w biurku w poszukiwaniu papierów, które chciał wziąć ze sobą. Po jakimś czasie przerwał i podjął rozmowę:

— Przewertowałem każdą encyklopedię, jaką tu mamy, próbowałem sobie przypomnieć wszystko, co wiem z historii czy mitologii, co by mogło być kluczem do ustalenia tożsamości tego Archonta.

— Tak? No i co?! — Dmitrij był bardzo zaciekawiony....Skan-Alf-7

— O! A sądziłem, że ten temat to tabu. Jesteś pewien, że powinniśmy o tym rozmawiać?

— Nie ma już czasu na zabawy — powiedział Dmitrij z powagą. — Nie żartuj sobie na tak ważny temat. Powiedz.

— *Archont* to greckie słowo oznaczające «władcę». Archonci stanowili grupę dziewięciu najwyższych urzędników, którzy panowali w starożytnych Atenach. Podejrzewam, że te istoty posługują się nazwą „Archont”, chcąc dać do zrozumienia, że stanowią pewną hierarchię istot, prawdopodobnie grupę dziewięciu bytów w wysokim stadium rozwoju, które rządzą sferą parapsychiczną i posiadają parapsychiczną moc. Zapewne dysponują siłami tak ogromnymi, że wydaliby się nam bogami w porównaniu z naszym poziomem. To by z pewnością pasowało do wzmianki o Prometeuszu.

— Zdawało mi się, że urządzasz sobie kpiny z Czernowa, ale ty naprawdę uważasz, że istnieją jakieś bogopodobne bezielesne byty! I że interesują się tym, co my i Amerykanie wycinamy w naszych laboratoriach! Powiedz to komuś innemu, a na pewno skończysz w łazrze albo w psychiatryku.

— Nie mam na myśli bogów w sensie mitycznym czy religijnym, choć nie wykluczam, że w poszczególnych religiach mogli stać się podstawą takiej właśnie koncepcji. Myślę o istotach na wysokim poziomie ewolucji, które nasi przodkowie mogli wziąć za bóstwa.

— Nie wiedziałem, że jesteś religijny, Wiktorze.

— Nie jestem.

— To mi wygląda na koncepcję religijną. Czym te twoje „bogopodobne” istoty różnią się od bóstw starożytnych Greków czy współczesnych szamanów syberyjskich?

— To jest teoria naukowa! — odparował oburzony Wiktor, tracąc w końcu cierpliwość. — Te istoty wyewoluowały do swego obecnego poziomu!

— Nazywaj to naukowym, jak chcesz — upierał się Dmitrij — ale to czysta religia. Osobiście nie uważam, że religia naukowa jest w czymś lepsza niż każda inna religia. Jeśli twoi „bogowie” zostali stworzeni przez ewolucję, to nie są w niczym lepsi od bóstw najprymitywniejszych, przesadnych ludów. I z pewnością nie mogli stworzyć wszechświata!

Wiktor rozparł się na krześle i patrzył na Dmitrija z zaciekawieniem.

— Nigdy nie przypuszczałem, że interesujesz się religią! Z tej strony, drogi przyjacielu, wcale cię nie znałem. Zrobiłeś się ostatnio religijny?

— Rozmawiamy o prawdzie i o faktach, i o tym, co ma sens — odparł Dmitrij, rozmyślnie unikając odpowiedzi. — Usiłuję ci tylko powiedzieć, że jedyny Bóg, który mógłby istnieć, to taki, który stworzyłby wszechświat i wobec którego byłibyśmy odpowiedzialni. Mogłyby też istnieć byty, które stworzył, posiadające siłę większą niż my, anioły czy demony, ale

nie istnieją żadni „bogowie”, do których mógłby się odnosić ateista.

— Zdumiewasz mnie, Dmitrij. Czy to ma związek z twoją teorią siły, jaka się kryje za zjawiskami mediumizmu?

Dmitrij skinął głową.

— Już od pewnego czasu miałem nadzieję, że będziemy mogli o tym porozmawiać, może kiedy wrócisz. Teraz nie ma czasu.

Wiktor znów obrzucił go długim spojrzeniem.

— I zawsze musimy tak uważać, prawda? Z kim rozmawiamy, co mówimy, zawsze w obawie, że ktoś na nas doniesie — głos Wiktora nabierał coraz głośniejszych tonów. — Ideologia partii jest jak kula u nogi! Powstrzymuje badania i przyprawia mnie o mdłości! Cała ludzkość może być zagrożona, a my nie możemy badać pewnych możliwości, bo Marks i Lenin poczuliby się obrażeni! Rządzą nami zza grobu!

Przytłoczeni beznadziejnością tej myśli, obaj znów pograżyli się w milczeniu. Wiktor powrócił do przeszukiwania szuflad. W końcu zdecydował, że wyjawia Dmitrijowi tajemnicę, którą od dawna ukrywał. Wyprostował się i pochylił nad biurkiem, na wprost Dmitrija.

— Podjąłem poważną decyzję, drogi przyjacielu. To, co jest niemożliwe tutaj, jest możliwe na Zachodzie. Oni nie boją się rozważać możliwości pozafizycznego aspektu wszechświata i innej inteligentnej formy życia.

Dmitrij spojrział najpierw na pootwierane szuflady, potem na wypchaną walizkę. Powoli docierała do niego prawda.

— Wiktor! Ty nie...?

— Muszę porozmawiać z Amerykanami. Chcę znaleźć doktora Inmana. Musimy porównać informacje.

— Możesz to zrobić w Paryżu, na kongresie! — wykrzyknął Dmitrij z nadzieją w głosie.

— Z Czernowem na karku? Nawet jeśli miałbym w Paryżu kompletną swobodę, będziemy tam tylko tydzień. To za mało nawet na powierzchowne poruszenie problemu, a i tak skąd wiadomo, że Inman tam będzie? Dmitrij, stary przyjacielu, tak długo byliśmy razem, ale teraz czas się chyba pożegnać.

Patrzyli sobie w oczy, milcząc. Słowa nie wyraziłyby tego, co czuli: czym było życie w społeczeństwie, gdzie nie istniało zaufanie, gdzie najlepszy przyjaciel, a nawet ukochana osoba mogli być donosicielem, jeśli jeszcze nie w tej chwili, to za jakiś czas, w zamian za jakąś korzyść lub wbrew woli, zmuszeni jednym z setek starych, wypróbowanych sposobów. Takiego życia nie sposób opisać komuś, kto nie doświadczył koszmaru lęku i bólu przygryzanego tysiąc razy dziennie języka.

A jednak, wbrew wszelkim oczekiwaniom, w tajnej bazie, gdzie nieprzerwana 24-godzinna inwigilacja każdej osoby została doprowadzona do absolutnej perfekcji, ci dwaj odnaleźli się. Nie było to łatwe. Długie tygodnie

ukradkowych spojrzeń, najpierw ostrożnych, nieufnych, pytających. Ani słowa. Jakiś przelotny błysk w oczach, aż do przeniknięcia myśli. A potem jeden z nich - Dmitrij - wypowiedział pierwsze ostrożne słowa, próbując Wiktora nagle w samym środku zdania za pomocą szepowanej ironicznej uwagi o podsłuchu. Wiktor nie odpowiedział słowami, ale jego wzrok wyjawiał to, co Dmitrij podejrzewał już od pewnego czasu. Tamtego dnia jedli razem kanapki siedząc na najbardziej oddalonej od budynków ławce i wyrzucali z siebie istną powódź od dawna dławionych żalów do reżimu. Śmiali się niemal histerycznie — katharsis było tak intensywne.

Potajemnie i z wielką ostrożnością, aby nikomu nie dawać podstaw do podejrzeń, umacniali i pogłębiali przyjaźń. A teraz miał nastąpić koniec. Obaj podnieśli się jednocześnie. Wiktor wyszedł zza biurka, objęli się w krótkim, mocnym uścisku.

Jeszcze przez chwilę trzymali sobie dłonie na ramionach.

— Jeśli ci się nie uda, wiesz, co to oznacza — Dmitrij nie przestał myśleć trzeźwo. — Będę się o ciebie modlił, Wiktorze.

Wiktor ze zdumieniem spojrzał na przyjaciela.

— M o d l i s z się?

Dmitrij skinął głową.

— Więc to mi próbowałeś powiedzieć. Jesteś w i e r z ą c y m ?

Dmitrij znów skinął głową.

— To całkiem nowa sprawa. Zastanawiam się, czy mogę dalej kontynuować taką pracę. Oczywiście jeśli się dowiedzą...

— Ja nie jestem wierzący — powiedział Wiktor stanowczo — i nigdy nie będę. Możesz się modlić, jeśli chcesz, ale „bogowie” chyba nie będą słuchać. Dlaczego mieliby to robić? Jest tak, jak mówiłeś. Co możemy im zaoferować? Wszechświat to dżungla - przetrwają najsilniejsi. I ja próbuję przetrwać.

— Będę się modlił, żeby ci się udało. I żebyś jak najszybciej uwierzył w prawdziwego Boga. To prawda, nie mamy Mu czego dać - chyba tylko samych siebie. Przebacza nam, ale to jest dar Jego łaski. On ciebie kocha, Wiktorze. Jest dobry, aż trudno to pojąć. Będziesz Go potrzebował. Nie zawiedzie ciebie, jeśli do Niego zawołasz. Proszę cię, pamiętaj o tym!

— A ty też uważaj — zdołał powiedzieć Wiktor, kładąc mu dłoń na ramieniu. — Będę się o ciebie martwił!

Znów uścisnęli się krótko. Łzy nie pozwalały widzieć wyraźnie, a głosy uwięzły w krtani.

Dmitrij prawie wybiegł z pokoju. W drzwiach odwrócił się jeszcze i lekko poruszył dłonią na pożegnanie, ale Wiktor zdążył się już pogрузić w gorączkowym przetrząsaniu materiałów. Dmitrij zrozumiał. Pobiegł korytarzem, a pustka w sercu rosła i z każdym krokiem stawała się boleśniejsza. Znów nastała cisza.

Paryż!

Podczas godzinnej porannej jazdy na międzynarodowe lotnisko Szeremietiewo, położone na północ od Moskwy przy drodze na Leningrad, pułkownik Czernow miał wiele do powiedzenia każdemu pasażerowi busa, tylko z Wikto-rem nie zamienił ani słowa. Wiktor poczuł się nieszczerólnie, jak outsider— którym zresztą był. Mieli występować jako delegacja czołowych so- wieckich parapsychologów pod przewodnictwem cieszącego się międzynaro- dową sławą doktora Chorewa. W rzeczywistości szefem był Czernow; spo- śród szóstki „delegatów” z tajnej bazy tylko Wiktor i Piotr byli naukowcami. Resztę stanowili oficerowie armii lub KGB.

Co do Piotra Wiktor też żywił podejrzenia. Prosił, żeby Dmitrij, jego za- stępca w laboratorium, pojechał jako asystent, jednak wniosek został odrzu- cony, a zamiast Dmitrija pojechał Piotr, osoba całkiem świeża. Dlaczego? To pytanie od pewnego czasu nie dawało Wiktorowi spokoju. Czyżby jednak zwrócili uwagę na jego zbyt ściśle więzy z Dmitrijem? Teraz i tak nie było się już po co martwić. Nie spuszcza go z oka i nie może liczyć na nikogo, kto by pomógł w ucieczce. Nie będzie łatwo. Czernow tylko o tym marzy, by przywieźć go do Moskwy jako zbrodniarza złapanego na gorącym uczynku.

— Trzymać się mnie — polecił Czernow, kiedy wydostawali się z pojazdu przed ruchliwym lotniskiem. — Mam paszporty i bilety.

Przypomnienie było całkowicie zbędne. Żaden uczestnik „delegacji” nie ujrzy swojego paszportu, aż pojawi się na powrót w kraju.

Wiktor zdumiał się, kiedy na lotnisku dołączyło do nich jeszcze ośmiu „delegatów” — agentów KGB, mających występować w roli sekretarzy, asy- stentów i badaczy. Niektórzy zostaną na Zachodzie po zakończeniu kongre- su, żeby dopilnować wyznaczonych zadań. „Innymi sposobami dokonają te- go, co się wam nie udało!” — uszczypliwie powiedział Czernow do Wiktora. Był to dla Wiktora potworny cios. Już przedtem ucieczka od mniejszej grupy wydawała się zadaniem ponad siły, ale uciec od trzynastu osób, któ- rych zadaniem jest pilnowanie go przez 24 godziny na dobę? Jak to zrobić? Jakoś będzie trzeba...

Kiedy szli przez halle lotniska, Wiktor robił, co w jego mocy, by stłumić podniecenie i ukryć obawę, że w ostatniej chwili może go zatrzymać w kraju

jakaś nieprzewidziana „trudność techniczna”. On, który nigdy nie był członkiem partii, opuszcza kraj: to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Całą siłą woli utrzymywał fasadę spokoju. Zmuszał się do ignorowania podejrzliwych spojrzeń, którymi Czernow świdrował jego wypchaną i bardzo ciężką aktówkę.

— Otwierać wszystko! — warknął celnik o ponurym wyrazie twarzy, gdy tylko Wiktor władował swój bagaż na długą ladę. Miał nadzieję, że oficjalna delegacja nie zostanie poddana szczegółowej inspekcji. W walizce nie było nic, czego mógłby się obawiać, ale kiedy otworzył aktówkę, ledwo opanował drżenie rąk.

Wyćwiczone palce celnika grzebały w środku i z całą premedytacją waliły o ladę drogocennymi dokumentami. Głównym celem wszelkich kontroli granicznych było nie tylko zapobieżenie szmuglowaniu publikacji *samizdatu*, ale i wszelkich informacji, które mogłyby w jakikolwiek sposób zaszkodzić interesom państwa. Paranoja tajności nadawała tym ostatnim tak szerokie znaczenie, że mieściły się w nim najkomiczniejsze fakty i dane. Urzędnik wyprostował się i spojrzał na Wiktora oskarżycielsko.

— Co to za papiery?

Pytanie, które niemal pozbawiło Wiktora tchu. Rozpaczliwie próbował zachować równowagę. „Bierz się w garść, Wiktor!”

— Jestem członkiem oficjalnej delegacji na konferencję — wskazał dłonią na resztę towarzystwa, przed i za sobą. — Mam wygłosić parę przemówień. To jest moja, yy, dokumentacja.

Oficer patrzył na niego jeszcze chwilę lodowatym wzrokiem, potem dał znak, że może iść. Wiktor myślał, że nigdy nie uda mu się załadować papierów z powrotem, ale za trzecim razem zdołał zatrzasnąć aktówkę. Fakt, że w pobliżu stał Czernow i uważnie go obserwował, nie ułatwił sprawy.

— Trzeba było zabrać kufer na te papiery! — syknął Czernow cicho, idąc tuż przy Wiktorze, kiedy delegacja przedzierała się przez ruchliwy tłum w kierunku „Odlotów”. — Całe swoje biurko wynieśliście. Pewnie wszystko to dokumenty archiwalne!

Wiktor zacisnął dłonie na aktówce i szedł bez słowa. Moment wahania, najłżejsza oznaka lęku oznaczałyby przyznanie się do winy.

— Mam dane liczbowe na wypadek, gdyby cokolwiek, co powiem, zostało zakwestionowane — powiedział w końcu stanowczym tonem. — I mam duże zaległości. Nie mam zamiaru zmarnować ani chwili!

Spojrzenie Czernowa mówiło: „Nie wierzę, ale to i tak bez znaczenia. Będziesz pod lupą!”

Wiktor podjął przynajmniej jedną słuszną decyzję: kasetę wideo ze śmiercią Jakowa włożył do wewnętrznej kieszeni zimowego płaszcza. Gdyby znalazła się w aktówce, odkryto by ją. Najbardziej zależało mu właśnie na poka-

zaniu Amerykanom tego, co Jakow „widział” w ośrodku CIA, i jego brutalnej śmierci. Musi się dowiedzieć, jaki to miało związek z tym, co faktycznie się dzieje na amerykańskim polu badań parapsychologicznych. Czy Leighton naprawdę pracuje z CIA? Czy i ta organizacja, podobnie jak KGB, ma tak ścisłe powiązania z badaniami w dziedzinie mediumizmu? Dlaczego Inman nie pojawia się już w środkach masowego przekazu? A ta postać w kapturze? Zdawała się źródłem tej mocy! Czy pozna odpowiedzi na te pytania? Czy uda mu się w ogóle zbiec? Musi — fiasko w ogóle nie wchodzi w rachubę.

*

Dopiero kiedy Ił 62 w barwach Aerofłotu przetoczył się przez długi pas startowy, zatrząsł niczym olbrzymie ptaszysko i wzniósł w powietrze, wspinając się w kierunku południowo-zachodnim, Wiktor z westchnieniem ulgi oparł się o siedzenie i rozluźnił. Czas lotu dawał szansę relaksu i przemyślenia poważnego problemu, który nie dawał mu spokoju. Na początku planował, że przy najbliższej okazji zdradzi delegacji amerykańskiej pragnienie ucieczki. Z pewnością będzie mógł liczyć na to, że przekażą wiadomość ambasadzie amerykańskiej, a ta z kolei skontaktuje się z jakąś gałęzią wywiadu, która mu w tym dopomoże, a przede wszystkim zapewni niezbędną ochronę.

Przedtem Wiktor był pewien, że Amerykanie uznają go za cenną zdobycz, a wobec tego zrobią, co konieczne, aby umożliwić ucieczkę. Jednak po śmierci Jakowa nic już nie było takie pewne. W tej chwili wątpił, czy może im zaoferować wiedzę, której by potrzebowali czy chcieli. Od lat było wiadomo, że Sowieci daleko wyprzedzili wszelką konkurencję w badaniach parapsychologicznych. Teraz jednak sprawa przedstawiała się inaczej. Stało się coś, co dało Amerykanom przewagę. Sam przecież prowadził penetrację ośrodka CIA, w którym zginęły jego trzy media. Czy to możliwe, żeby „Archont”, który -jak Wiktor od dawna podejrzewał - był przyczyną zjawisk parapsychicznych, to ta postać w kapturze? I czy wobec tego „Archont” prowadzi jakąś współpracę z Amerykanami? Taka byłaby nieunikniona implikacja faktu, że doktor Frank Leighton stał obok zakapturzonej postaci w scenie, która została zarejestrowana przez mózg Jakowa tuż przed śmiercią.

Im dłużej o tym myślał, tym większy odczuwał niepokój. Czy plan się powiedzie? Co go czeka? Jak wynikało z kasety wideo, Leighton patrzył dokładnie w miejsce położenia niewidzialnego Jakowa. Czy to by znaczyło, że wiedział, iż Jakow mediumistycznie penetruje ich tajny ośrodek badawczy? Czy mógł również zdawać sobie sprawę z sowieckich intencji i "możliwości, a także z roli, jaką odgrywa w tym programie Wiktor? Czy postać w kapturze, która wykonywała takie groźne gesty i która była bez wątpienia sprawcą śmierci Jakowa, będzie na paryskim kongresie? Wiktorowi zdało się dziwne,

że wywiad sowiecki nigdy nawet nie wspomniał o istnieniu wśród mediów amerykańskich osoby tak niezwyklej. Leighton na pewno będzie na kongresie. Został zapisany jako szef delegacji amerykańskiej i główny mówca na posiedzeniu plenarnym.

„Jeśli powiem Leightonowi, że chcę zbiec, czy mnie nie zawiedzie? A może nawet zdradzi? To byłby niezły sposób na opóźnienie badań sowieckich nawet o kilka lat. Nie mają mnie kim zastąpić. Co mogę zaoferować Amerykanom w zamian za zapewnienie mi bezpieczeństwa? Jeśli nie wiedzę z zakresu siły mediumistycznej, to przynajmniej aktówkę napchaną informacjami o ściśle tajnych badaniach sowieckich. To moja karta przetargowa. Ale czy na pewno? Czy naprawdę potrzebują tego, co mam?”

Takie myśli nie były dla Wiktora pocieszeniem, raczej przydawały mu trosk. Mimo tego, poddając się hipnotyzującemu działaniu ryczących silników i odpychając świdrujący serce lęk, zasnął; jeśli nie z innego powodu, to z wyczerpania. Zdawało się, że niemal w tej samej chwili ktoś chwycił go za ramię i potrząsnął. Z największym wysiłkiem Wiktor wydostał się z labiryntu nieświadomości w terażniejszość. Na pół przytomne oczy zdołały się w końcu skoncentrować na antypatycznej postaci pułkownika Czernowa, który zajmował teraz miejsce obok niego.

— Przeglądałem wasze przemówienia. Trzeba zmienić parę rzeczy — pułkownik oskarżycielskim gestem wskazywał słowo, które zakreślił już w pierwszym akapicie. — Telepatia! — zdawał się je wypluwać z pogardą. — To termin mistyczny, niezgodny z marksizmem.

— To nie jest termin mistyczny. Jest to termin powszechnie używany na Zachodzie, a moimi słuchaczami będą niemal wyłącznie obywatele zachodni.

— Zmienić na „biologiczne radio” — to był rozkaz.

Wiktor parsknął z obrzydzenia. Musi grać twardziela, od tego zależy przeżycie.

— Zachodni naukowcy wyśmieją nas. Biologiczne radio! Nawet najsilniejsze fale mózgowe nie rozchodzą się choćby na metr, a uczestnicy tego eksperymentu byli oddaleni o ponad dwa tysiące kilometrów!

Spojrzenie stalowoszarych oczu Czernowa przebijało Wiktora na wylot.

— Powiedzmy sobie jasno, doktorze Chorew, żeby nie było nieporozumień. To ja tu rządzę. A wy wypełniacie moje rozkazy. Zrozumiano?

„Jeśli dam się mu wodzić za nos i jeśli się nie postawię, cała wyprawa może się źle skończyć! Połóż łąpę na wszystkim, co będę mówił czy robił, i wyjdę na beztroknie pachotka marksizmu. Takiemu nikt nie pomoże w ucieczce! Do czego miałbym im się przydać! Ale co mam zrobić?”

Wiktor z całej siły próbował opanować ogarniającą go panikę i ukryć wszelkie zewnętrzne oznaki lęku i zagubienia, które przyprawiwały go o zawrót głowy. „Twardo, Wiktor, twardo. Inaczej nic z tego! Już jesteś tak bli-

sko. Nie rezygnuj teraz!"

Opanowawszy się, odzajemnił lodowate spojrzenie Czernowa bez jednego mrugnienia powieką.

— Ja natomiast uznaję za swój obowiązek udzielić wam pewnej zdrowej wskazówki technicznej, pułkownik — ostatkiem sił utrzymywał zrównoważony ton. — Jeśli jej nie przyjmiecie, będziecie odpowiedzialni za ośmieszenie naszych badań parapsychologicznych w oczach całego świata!

— Nie musicie się ze mną zabawiać. Wiem, że nie jesteście marksistą! — rozwścieczony głos Czernowa przebił się ponad tępy ryk silników, a kilku członków delegacji raz po raz rzucało w ich stronę ukradkowe spojrzenia. — Zbocz no choćby na centymetr, bratku, a zaraz wysyłam cię z powrotem do Moskwy!

Rozpalone oczy Wiktora potrafiły stawić mu czoła:

— Zdaje się wam, że Piotr może mnie zastąpić? Beze mnie nie macie delegacji. Odeślijcie mnie do domu, a stracie wszelką wiarygodność. Możecie już się właściwie zbierać z powrotem. Nie sądzę co prawda, że Komisja będzie z tego zadowolona!

Twarz Czernowa posiniała od tłumionej furii. Podsunął ową stronę pod sam nos Wiktora i wcisnął mu długopis do ręki.

— W tej chwili!

Powoli, z namaszczeniem, Wiktor wymazał „telepatię” i wstawił „biologiczne radio”. Potem oddał pokryty zimnym potem długopis pułkownikowi, który przypominał w tej chwili gotujący się wulkan tuż przed erupcją.

— Nie tak prędko, kolego. Jeszcze parę innych zmian! — Czernow przewracał stronę za stroną, pokazując Wiktorowi dalsze odchylenia od materialistycznej ortodoksji, każde zaznaczone na czerwono.

Plasnął długopisem na powrót w dłoń Wiktora i przekreślił się tak, że niemal stykali się nosami.

— Nie okpisz mnie, Chorew — syknął. — Niech zginę, a i tak cię dopadnę!

Te słowa dudniły w uszach Wiktora przez resztę lotu. A jeśli Czernow go jednak odeśle? To pomylenieć, stać by go było na to; a potem oskarżyć Wiktora o sabotowanie sowieckiej misji. Już w tej chwili podróż, na którą wcześniej spoglądał z taką nadzieją, przemieniała się w koszmar. Żeby zwiększyć szansę ucieczki, mógłby potakiwać głupkowatym uwagom Czernowa, a nawet udawać, że się z nimi serdecznie zgadza. Istniało jednak jeszcze coś takiego jak duma z wykonywanej pracy. Uspokoić Czernowa przez wprowadzenie idiotycznych poprawek na papierze to jedno. Ale ośmieszyć się na oczach międzynarodowego forum naukowców przez durnowate wypowiedzi podczas wykładów to zupełnie inna sprawa. Był to potworny dylemat, który w swoim czasie trzeba będzie rozstrzygnąć.

Jazda wielką czarną limuzyną z Portu Lotniczego imienia Charlesa de Gaulle'a przez przedmieścia Paryża, ponad Sekwaną mostem de Neully, potem szeroką, majestatyczną Aleją de Gaulle'a niemal odjęła Wiktorowi mowę. Moskwie i Leningradowi nie brakowało szerokich ulic, ale trudno było zaprzeczyć, że w porównaniu z pełną gracji elegancją, która się teraz przed nim roztaczała, tamte ulice wydałyby się szare i monotonne. Tutaj wszystko było jakby jaśniejsze: wesołe stragany, bogate ekspozycje w oknach wystawowych, tęczo kolorowe parasole rozpościerające się nad popijającymi wino czy herbatę paryżanami w niezliczonych kawiarenkach na chodniku. Obfitość owoców i warzyw wystawionych na stojakach przed co drugim sklepem oszałamiała — nikt jednak nie stał po nic w kolejce. Trudno było to pojąć. A drzewa! Wzdłuż każdej ulicy pełno drzew, pięknych i starannie przyciętych, dodających kobiecej miękkości do szarości kamieni i rozmachu alej.

Tłumy przelewające się przez chodniki zdawały się emanować namacalną wesołością. Wiktor czytał o tym kiedyś, *joie de vivre* — jak mówią tkliwie Francuzi. Powietrze jakby wibrowało jakimś podnieceniem, aromatycznym, niemal bezczelnym indywidualizmem, szokującym, a zarazem kuszącym. Wiktor skrzywił się, z nagłą wyrazistością uświadamiając sobie kontrast: otępiała, beznamiętna wytrwałość typowego sowieckiego klienta, rzadko nawet w największych sklepach znajdującego coś, co by go zadowoliło, nieustannie terroryzowanego przez sprzedawców, których mało obchodziło, czy coś sprzedadzą, czy nie. Czy to możliwe, że Paryż jest na tej samej planecie?

Była tu jakaś wymyślność i wszechobecna obfitość, całkowicie mu obca. Bardzo intensywny ruch uliczny, wiele luksusowych wozów, których nigdy przedtem nie widział. Wyteżał wzrok, żeby przeczytać: Mercedes, BMW, Citroen, Renault, Alfa Romeo. Jakby śnił. Więc to jest ten Zachód, o którym tyle słyszał i który pragnął zobaczyć! Więc w końcu się tu znalazł! Przez chwilę, porwany kalejdoskopem przedziwnych obrazów, zapomniał nawet o Czerno wie, jadącym inną limuzyną dostarczoną przez sowiecką ambasadę.

Wkrótce znaleźli się na wielkim rondzie, na które ruch wpływał dziewięcioma schodzącymi się alejami, przed Palais de Congres. Na wprost wznosił się przepyszny Łuk Triumfalny, widoczny w oddali na końcu Avenue da La Grandę Armee. Za nim rozciągały się słynne Pola Elizejskie. Po prawej niebo przecinała Wieża Eiffla. Kilka fotografii, jakie niegdyś zdarzyło mu się widzieć, przedstawiało się zachęcająco, ale prawdziwy Paryż przeszedł jego oczekiwania. Moskwa, robiąca zawsze wrażenie, była w porównaniu z tym ponura i uboga. Nawet Leningrad, wspaniałe miasto carów, zdawał mu się teraz szary i posępny.

Kiedy Czernow rejestrował delegację, Wiktor napawał się olśniewającym otoczeniem. Przejrzał kolorowy prospekt przedstawiający niektóre z wielkich sal konferencyjnych i wystawowych, audytorium z 3700 miejscami, luksusowe butik i restauracje oraz tysiącpokojowy hotel — drapacz chmur. Wszystko to stanowiło ogromny kompleks Palais de Congres. Moskwa też miała wspaniałe hotele. Z pewnej odległości wyglądały imponująco, ale dokładniejsze spojrzenie wyjawiało fatalnie partacką robotę. Nie dało się zaprzeczyć ostremu kontrastowi, jaki widział teraz na własne oczy. Taki był jego pierwszy rzut oka na „zgniłe owoce kapitalizmu”, których krytykę słyszał tyle razy. Przepych i bogactwo zdawały się Wiktorowi niewiarygodne — a przecież były namacalne.

Czernow prowadził przed sobą do windy sowiecką delegację. Pojechali na dwunaste piętro, gdzie ambasada zarezerwowała szereg pokoi. Przed rozdaniem kluczy pułkownik zorganizował króciutką odprawę w swoim wielkim, luksusowym apartamencie. Wiktor był pewien, że nikt z całej delegacji nie otrzymał takiego zakwaterowania!

— Po dwóch ludzi w pokoju — recytował Czernow, jakby już setki razy wygłaszał podobne przemowy. — Jeden klucz do pokoju, zawsze u oficera starszego rangą. Trzymamy się w grupie. Nikt nigdzie nie chodzi sam — patrzył prosto na Wiktora. — Każdy kontakt z kimkolwiek spoza naszej delegacji musi być codziennie zgłaszany. Znacicie swoje zadania.

Współlokator Wiktora Fiodor był bardzo uprzejmym młodym człowiekiem około trzydziestki. Fiodor usiłował już wcześniej nawiązać z nim rozmowę — na moskiewskim lotnisku, kiedy czekali na samolot, i kiedy jechali razem limuzyną do Palais. Nie ulegało wątpliwości, że jego zadaniem jest pozyskanie zaufania Wiktora, żeby potem przytapać go w jakichś obciążających okolicznościach. Z podobnymi grami Wiktor miał do czynienia niemal przez całe życie. Były to gry, w których - o czym dobrze wiedział - potrafił przechytrzyć każdego konfidenta i które czasami sprawiały mu nawet niejaką przyjemność. Ale nie w Paryżu. Tutaj tylko powiększając jego brzemię i staną się przeszkodą.

Wiktor, Piotr, Fiodor i Czernow, który występował jako parapsycholog nazwiskiem Aleksandr Pawłów, domniemany asystent Wiktora, udali się razem na wystawny obiad i przyjęcie, jakie zorganizowano wieczorem dla wszystkich delegatów. Miał to być „wieczorek zapoznawczy” przed oficjalnym rozpoczęciem obrad Pierwszego Międzynarodowego Kongresu Parapsychologów, mającym nastąpić nazajutrz rano. Pułkownik na krok nie odstępował Wiktora, brylującego wśród licznie zgromadzonych obywateli Zachodu, którzy znali publikowane wyniki jego badań i z niecierpliwością czekali na możliwość poznania go.

Nagle Czernow zamarł i zacisnął pięść na ramieniu Wiktora.

— Jest! Ten z wideo Jakowa! Więc to jednak byli Amerykanie!

Kątem oka Wiktor zauważył doktora Franka Leightona, który wychylał się w jego stronę. Nareszcie stanęli twarzą w twarz.

— Doktorze Chorew, cóż za przyjemność! — Leighton energicznie potrząsnął jego dłonią. — Pierwszy raz w Paryżu?

Wiktor kiwnął głową.

— Jakże się cieszymy, goszcząc tu pana i pańskich znakomitych współpracowników. To doprawdy historyczny moment!

Wyciągnął rękę i potrząsnął także dłonią Czernowa.

— To mój asystent, doktor Aleksandr Pawłow — powiedział Wiktor. — Bardzo jesteśmy szczęśliwi, że się tu znaleźliśmy. Spodziewam się, że będziemy mogli wymieniać koncepcje i dzielić się informacjami.

Leighton z zaciekawieniem przyglądał się „Pawłowowi” i nie próbował nawet ukryć rozbawienia na twarzy.

— Jakieś pokrewieństwo ze słynnym behawiorystą? — zapytał z udanym, przesadnie niewinnym zainteresowaniem.

— Istotnie, to brat mojego dziadka — odparł „Pawłow” bez zająknięcia.

Leighton przyglądał się jeszcze chwilę, a potem dodał swobodnym, rozbajającym tonem:

— Wydał mi się pan zadziwiająco podobny do pułkownika Aleksiej a Czernowa. Jestem pewien, że pan go zna, to dowódca elitarnego sowieckiego oddziału walki parapsychologicznej. Mają siedzibę na północ od Moskwy.

Nie ulegało wątpliwości, przynajmniej dla Wiktora, co Leighton w tej chwili robi. „Próbuje zbić nas z tropu ... pokazać, jak bardzo nas wyprzedzili ... jaką wielką mają moc ... że jesteśmy dla nich otwartą księgą. Jeśli wie, kim jest Czernow, i to nie dzięki zwykłym technikom szpiegowskim, ale dzięki mediumizmowi, to wie o wszystkim, co robimy, a także o mnie samym. Więc dlaczego miałby mi pomóc uciec, i po co mu w ogóle jestem na Zachodzie potrzebny?”

— Nie wiedziałem o istnieniu takiej jednostki — odparł „Pawłow” z udanym zaskoczeniem. Spojrzał na Wiktora, a ten potrząsnął głową na potwierdzenie nieistnienia takich oddziałów.

— Skąd u pana tak intrygujący pomysł? — powiedział Wiktor, któremu nic lepszego nie przyszło do głowy.

Leighton odrzucił głowę w tył i roześmiał się. Poklepał „Pawłowa” poufale po ramieniu.

— To typowe, prawda? Dopiero tysiące kilometrów od własnego podwórka dowiadujemy się, co się na nim dzieje.

Spojrzał na powrót na Wiktora:

— Nie mogę się doczekać, kiedy pan do nas przyjedzie i zobaczy, co robimy. Poczyniliśmy spore postępy, które, jak sądzę, mogą się przyczynić do

międzynarodowego pokoju. Otrzyma pan formalne zaproszenie do naszego kraju oficjalnymi kanałami.

— Będę bardzo szczęśliwy, jeśli do tego dojdzie — powiedział Wiktor, zastanawiając się, na ile poważnie mówi ten człowiek, zarazem dostrzegając jednak słaby błysk nadziei. — Z przyjemnością kieruję podobne zaproszenie również do pana.

„Gdyby tylko Czernow tak nie nadstawiał uszu!”

— Moglibyśmy się spotkać przed zakończeniem konferencji i omówić szczegóły.

„Gdybym tylko mógł być z nim sam na sam!”

— To może poświęćmy na to lunch — zaproponował Leighton z entuzjazmem — w jakimś miłym, zacisznym miejscu, gdzie nie będą nam przeszkadzali pańscy liczni zachodni wielbiciel. Może jutro? Znam taką restaurację - wyjątkowo francuska! - najwyborniejsze menu pod słońcem. Jest tu zaraz, niedaleko, ze dwie minuty piechotą, koło Boulevard Victor Hugo.

— Świetnie — powiedział zadumany Wiktor. — Więc do jutra?

Poczuł, że na ramieniu zaciska mu się stalowa pięść Czernowa.

— Oczywiście mój asystent zawsze mi towarzyszy — dodał posłusznie. — Mam nadzieję, że to panu odpowiada.

— Naturalnie — odparł Leighton i spojrzał na Czernowa przenikliwie. Po tem znów popatrzył na Wiktora: — Doskonale rozumiem. Obaj panowie będą moimi gośćmi jutro po rannej sesji. A więc do jutra.

*

— Następnym razem nie zapomnij, bratku, mówić swoim zachodnim kolegom, że nigdzie nie chodzisz bez asystenta! — szepnął Czernow z pogroźką w głosie, kiedy późną nocą wjeżdżali windą na górę po zakończeniu bankietu. — Na pewno zrozumieją.

— Leighton, zdaje się, rozumie bardzo dużo — odwzajemnił się Wiktor z przekąsem. — Na przykład, kim n a p r a w d ę jesteście, no i zapewne wszystko, co robimy.

— A naszym zadaniem jest wykryć, j a k zdobywa te informacje, i zapobiec temu w przyszłości!

Wiktora nieco pocieszyło słowo „naszym”. Czernow prawdopodobnie pojmuje, jak ważną osobą jest Wiktor, i zapewne nie wyśle go do Moskwy ot tak, bez ważnego powodu. Ale w jaki sposób oderwać się od tej pijawki na tyle długo, by zdążyć postarać się o azyl? To będzie o wiele trudniejsze, niż się spodziewał! Może mógłby przemycić karteczkę z informacją do Leightona. Nie, sprawa jest zbyt złożona, zbyt wielkie ryzyko błędnego zrozumienia. Musi być jakiś inny sposób.

Zdemaskowany

Jako jeden z czołowych dziennikarzy piszących o parapsychologii, Carla Bertelli już od miesiący z niecierpliwością oczekiwała kongresu. Niespodziewany obrót wydarzeń zmusił ją jednak do zmiany trasy podróży i w Paryżu pojawiła się dopiero w dniu oficjalnego rozpoczęcia konferencji. Chciała zdążyć choćby na ostatnie minuty sesji inauguracyjnej, jechała więc jak szalona z lotniska Orły do Palais de Congres, mimo że lało jak z cebra. Żeby nie tracić cennego czasu, postanowiła nie zgłaszać się na razie w hotelowej recepcji, a to znaczyło, że nie ma wstępu na hotelowy parking. Zostawiła więc wynajętego peugeota 205 kabrio przed hotelem na obszarze zakazu parkowania. Miała nadzieję, że oficjalne papiery z nadrukiem „Prasa”, jakie umieściła po obu stronach na przedniej szybie, powstrzymają miejscową żandarmerię aż do południowej przerwy między sesjami. Rozłożyła parasol i pobiegła szerokimi schodami do głównego wejścia.

W recepcji konferencji otrzymała oficjalną plaketkę akredytowanego dziennikarza i pobiegła do pękającej w szwach sali konferencyjnej. Kiedy przedzierała się jak najdyskretniej bocznym przejściem, doktor Wiktor Chorew, drugi, a zarazem ostatni mówca sesji inauguracyjnej, kończył właśnie przemówienie. Za chwilę miał nastąpić czas pytań i reakcji słuchaczy. Wsunęła się na przydzielone jej miejsce w sektorze dla prasy, prawie na samym przodzie, usiadła wygodnie i zaczęła słuchać. Już od lat obserwowała badania Chorewa, przynajmniej w tej części, która została oficjalnie opublikowana lub przeciekła na Zachód. Próbowwała czytać między liniami, starając się odgadnąć, jakimi faktycznie informacjami ów człowiek chciałby się podzielić. Nareszcie ta właśnie konferencja mogła stanowić okazję przeprowadzenia osobiście wywiadu z wyśmienitym sowieckim parapsychologiem, podczas jego pierwszej podróży na Zachód. Carla przygotowała kilka bardzo konkretnych pytań.

Chorew okazał się młodszy, niż oczekiwała. Miał uczciwą szczerą twarz, która skłaniała do zaufania temu, co mówi. Kiedy doszedł do kulminacji wykładu, sprawiał wrażenie odprężonego, lecz zarazem bardzo poważnego.

— ...a więc kongres ten, jak i zapoczątkowana przezeń przyszła współpraca międzynarodowa, mają wielką stawkę, a jest nią przetrwanie naszej cywi-

lizacji. Na koniec pozwolą państwo, że przypomnę o kilku sprawach. Po pierwsze: pomimo że od lat jest powszechnie używana i niemal ślepo akceptowana w medycynie, psychologii, szkolnictwie i kryminalistyce, hipnoza może być również używana jako potężne narzędzie sterowania umysłem. Nikt nie wie, na jakiej zasadzie działa hipnoza ani jaka siła się za nią kryje. W tego rodzaju badaniach jest potrzebna nie tylko międzynarodowa współpraca, ale także podjęcie odpowiednich środków dla zapobieżenia szkodliwemu użytkowaniu tej siły. Po drugie: wbrew powszechnej opinii, człowieka można zahipnotyzować wbrew jego zgodzie czy nawet poza jego wiedzą i zmusić do czynów niezgodnych z jego wolą. Podałem państwu kilka przykładów, gdy postępowaliśmy w ten sposób z osobami odległymi nawet o dwa tysiące kilometrów.

Przełknął ślinę.

— Po trzecie: możliwość zdalnego sterowania ludzkim umysłem na skalę światową nie jest już koncepcją fantastycznonaukową. To jest zupełnie realne! Głównym celem tego kongresu powinno się więc stać zapobieżenie takiej ewentualności. I po czwarte - hipnoza to tylko przykład. Siłą o charakterze mediumistycznym można się posługiwać na wiele innych, bardzo niebezpiecznych sposobów. Jest to ta ostateczna siła, która prawdopodobnie może uczynić nieskuteczną każdą broń konwencjonalną, być może w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Należy ustanowić międzynarodowe organy kontrolne, nim będzie za późno. Tu jest potrzebna współpraca wszystkich narodów. Nie zostało wiele czasu!

Przerwał na chwilę i zajął do notatek.

— Mam przygotowaną wypowiedź, o której wygłoszenie na sesji inauguracyjnej tego kongresu zostałem poproszony przez władze mojego kraju.

Znalazł to, czego szukał, i zaczął czytać:

— W imieniu miłujących pokój narodów Związku Radzieckiego wzywam delegatów Pierwszego Międzynarodowego Kongresu Parapsychologów, by wypracowali porozumienie w celu ustanowienia ścisłej kontroli nad przyszłymi badaniami i użytkowaniem siły o charakterze mediumistycznym, a także aby swobodnie wymieniali wszelkie informacje. *Glasnost* czy też -jak to nazywacie na Zachodzie - jawność nigdzie nie jest tak potrzebna, jak w dziedzinie badań nad mediumizmem. Związek Radziecki jest gotów na pełną współpracę z innymi narodami w celu zapewnienia użycia sił parapsychicznych wyłącznie w celach pokojowych. Dziękuję bardzo.

Aplauz był niezwykle burzliwy, nie tyle dlatego, że Chorew powiedział cokolwiek, co było dla zgromadzonych nowością, ile z powodu emocjonalnej wymowy końcowego apelu. Zebrani, jeden po drugim, wstawali z miejsc, nie zaprzestając klaskania. W końcu przewodniczący obrad w tym dniu, wysoki, szczupły i przystojny Norweg, doktor Hans Ericksen z Oslo, który zastąpił

Chorewa przy mikrofonie, zdołał się przebić przez burzę oklasków.

— Zechcą państwo usiąść. Trochę już przekroczyliśmy limit czasu, ale nie chciałbym skrać czasu przeznaczanego na pytania i odpowiedzi. Być może więc południowa przerwa przesunie się o 15 minut. Proszę zadawać pytania doktorowi Chorewowi, kiedy będę państwu udzielał głosu, i proszę, żeby pytania dotyczyły tematyki, jaką poruszył. Proszę, doktor Jacques Rouzier z Francji. Pańskie pytanie? — przewodniczący odsunął się od mikrofonu i Wiktor wrócił na to miejsce.

Francuski naukowiec był wyraźnie wzburzony:

— Doktorze Chorew, czy implikuje pan, że fale mózgowe mogą przebywać dystanse rzędu 2000 kilometrów, to jest odległość, na jaką były prowadzone wasze eksperymenty?

— Oczywiście, że nie. Fale mózgowe przenoszą się na odległość najwyżej kilkudziesięciu centymetrów.

— Dlaczego więc posługuje się pan terminem „biologiczne radio”?

Wiktor zacisnął dłoń na mównicy i chrząknął, z całej siły starając się stłumić furię, jaką miał w tej chwili ochotę wyładować na Czernowie, siedzącym nieopodal przy stoliku delegacji sowieckiej.

— Jest to kwestia wyłącznie semantyki. W moim kraju posługujemy się właśnie tym terminem. Na Zachodzie używacie naturalnie pojęcia „telepatii”.

Rouzierowi to nie wystarczyło. Najwyraźniej zamierzał naciskać dalej.

— Przeprowadzono wiarogodne eksperymenty telepatii umysłowej na odległość połowy kuli ziemskiej. Wykazują, że funkcjonuje ona poza ograniczeniami przestrzeni, czasu i materii. Zgadza się pan?

Wiktor z trudem przełknął ślinę.

— Nie będę polemizował z dowiedzionymi faktami, lecz oczywiście konkretne wyjaśnienie jest kwestią interpretacji.

— Ale nie zaprzeczy pan, że nie jest to żadna forma „biologicznego radia” i że używanie takiego terminu jest w najwyższej mierze bałamutne.

Rouzier przerwał, spodziewając się, że Chorew zareaguje, ale nie mogąc się doczekać odpowiedzi, kontynuował:

— A co powiedzieć o możliwości ingerencji w tym przypadku istot, które mogą się znajdować w takim stadium rozwoju ewolucyjnego, że przebyły już fazę fizyczną i istnieją w formie czystej świadomości? Czy można wykluczyć, że to właśnie one, być może bez naszej wiedzy, występują w roli kurierów czy też transmiterów tej telepatycznej komunikacji, która w takim wypadku mogłaby funkcjonować całkowicie poza ograniczeniami naszego fizycznego wymiaru?

Wiktor świdrował „Pawłowa” gniewnym wzrokiem, z wyraźnym przesłaniem „A nie mówiłem?!” Prawie nie słuchał Rouziera. Z największym wysiłkiem oderwał wzrok od „Pawłowa” i spróbował się skupić na pytaniu, które

stawało się coraz dłuższe, coraz bardziej skomplikowane — i coraz kłopotliwsze.

— Na Zachodzie stało się to już podstawową teorią — mówił Rouzier. — Ale czy Sowieci dopuszczają taką możliwość? Pytam o to naturalnie przede wszystkim dlatego, że jeśli mamy mówić o jakichkolwiek układach w sprawie kontroli sił mediumistycznych, o konieczności których jestem równie głęboko przekonany, to zdaje się, że przede wszystkim powinniśmy ustalić wspólne stanowisko co do natury tych sił. A jeśli istotnie wchodziłyby tu w rachubę jakieś inne byty, to być może nie moglibyśmy w ogóle sprawować żadnej takiej kontroli bez ich przyzwolenia czy współpracy. Czy tego rodzaju problemy były w Związku Sowieckim w ogóle rozważane?

„Jeśli się zgodzę, Czernow zaraz mnie wpakuje do samolotu jako zdrajcę idei materializmu! A jeśli się nie zgodzę, to tylko dam pretekst do dalszej dyskusji na ten temat. A to by była katastrofa!” Był tylko jeden sposób na rozwiązanie dylematu.

— Panie Przewodniczący — ostatkiem sił Wiktor zwrócił się do Hansa Ericksena — wydaje mi się, że odbiegamy od problematyki mojego referatu.

— Nic podobnego — prędko zaprotestował Rouzier. — Jeśli ludzkie fale mózgowe mają zasięg zaledwie kilkudziesięciu centymetrów, a mimo to telepatia zdaje egzamin nawet między kontynentami, to chyba udział w tym jakichś wyższych inteligencji ze sfery pozafizycznej nie jest hipotezą niedorzeczną prawdą?

Chorew dalej milczał, wobec czego Rouzier naciskał:

— Czy w waszych eksperymentach nic na to nie wskazywało?

Wiktor czuł na sobie mordercze spojrzenie Czernowa. Usłyszał siebie samego, jak wypowiada słowa:

— Sądzę, że postawił pan kilka niezwykle istotnych pytań, ale - jak już wspominałem - interpretacja radziecka będzie się różnić od tej uznawanej przez Zachód, a to z pewnością byłoby źródłem problemów: Jest to kwestia, która bezwzględnie powinna być przedmiotem dalszych badań.

Szybko zwrócił się do Przewodniczącego.

— Zdaje się, że są następni chętni.

— Tak, tak, rzeczywiście — zauważył Ericksen i wskazał na rękę podniesioną tuż za sektorem dla prasy. — Nie, nie, nie pan. Przedstawiciele prasy będą mieli odrębną możliwość zadawania pytań, później. Tam z tyłu, doktor Mitsuo Nakamoto z Japonii, jak się zdaje. Proszę bardzo, doktorze Nakamoto.

*

W tej właśnie chwili na terenie tajnej bazy na północ od Moskwy również

Dmitrij znajdował się w krzyżowym ogniu pytań. Zadawali mu je jednak nie zapaleni słuchacze z grona kolegów-parapsychologów, lecz sroga Komisja Nadzorcza Badań Nad Wojną Parapsychologiczną. Nie było to ogólne, oficjalne przesłuchanie, badano wyłącznie Dmitrija. Z jakichś złowróżbnych powodów odbywało się to w gabinecie Wiktora. Nie było czasu, żeby zwołać wszystkich członków Komisji — zjawili się tylko dwaj.

Generał Nikołaj Gorki, z twarzą czerwoną od tłumionego gniewu, siedział za biurkiem Wiktora, a pułkownik Łucki, z ponurą miną, zaraz obok niego. Dmitrij stał przed nimi z podniesioną głową choć zdawał się bardzo kruchy i nieodporny. Dwóch strażników strzegło drzwi.

Nie spuszczać z Dmitrija oskarżycielskiego wzroku, generał gniewnie wciskał jakieś guziki na stojącym przed nim magnetofonie.

— No, to powiedz mi, przyjacielu, jak ci dziś poszło? Umieram z niepewności!

W Dmitriju stanęło serce na dźwięk własnego głosu, który wychodził z urzędnika.

— Chyba dobrze, Dmitrij. Były pewne przełomowe chwile, już myślałem, że nic nie wyjdzie z wyjazdu, ale w końcu chyba ich zadowolilem. Całkowicie zgodziłem się z tą idiotyczną koncepcją, że Amerykanie zabijają naszych najlepszych ludzi. No i to ich uszczęśliwiło.

Gorki natychmiast zatrzymał taśmę.

— Przyznajecie, że byliście tu z Chorewem dwa dni temu?

Dmitrij kiwnął głową.

— I przyznajecie, że przed chwilą słyszeliście własny głos i głos Chorewa?

Dmitrij znów kiwnął głową. Gorki na powrót włączył taśmę.

— Nic się nie martw, stary — w głosie Wiktora brzmiała pewność siebie i pogarda. — Sądysz, że udałoby im się ukryć podsłuch przede mną? Zmontowałem sobie na prywatny użytek taki detektor i co rano nim tutaj zamiatam. Co mi podłączą swoje wtyczki, to je wyjmuję.

— Co ty?

— Tak. Chyba już wydali na mnie cały okup za cara. Te rzeczy kosztują. W końcu dali za wygraną. Już od tygodni nic nie znajduję, dziś rano też sprawdzałem, nic się nie martw.

Gorki wcisnął pauzę.

— To tyle co do kompetencji waszego buńczuczego kamrata! Niestety, nie przesłuchaliśmy taśmy wcześniej, dopiero dziś rano, bo nie byłby w tej chwili w Paryżu. Ale bądźcie pewni, że wkrótce się tu znajdzie.

Generał włączył przycisk szybkiego przesuwania. Kiedy głos znów się pojawił, Dmitrij usłyszał te przerażające słowa z ust Wiktora, które do tej pory nie dawały mu spokoju. Potem następowały jego własne żarliwe, lecz niesku-

teczone perswazje. Potem znów odezwał się Wiktor:

— Ideologia partii jest jak kula u nogi! Powstrzymuje badania i przyprowadza mnie o młodości! Cała ludzkość może być zagrożona, a my nie możemy badać pewnych możliwości, bo Marks i Lenin poczuliby się obrażeni! Rządzą nami z za grobu!

Na taśmie zapanowała cisza, a potem rozległ się głos Wiktora:

— Podjąłem poważną decyzję, drogi przyjacielu. To, co jest niemożliwe tutaj, jest możliwe na Zachodzie. Oni nie boją się rozważać możliwości pozafizycznego aspektu wszechświata i innej inteligentnej formy życia.

— Wiktor! Ty nie...?

— Muszę porozmawiać z Amerykanami. Chcę znaleźć doktora Inmana. Musimy porównać informacje.

— Możesz to zrobić w Paryżu, na kongresie!

— Z Czernowem na karku? Nawet jeśli miałbym w Paryżu kompletną swobodę, będziemy tam tylko tydzień. To za mało nawet na powierzchowne poruszenie problemu, a i tak skąd wiadomo, że Inman tam będzie? Dmitrij, stary przyjacielu, tak długo byliśmy razem, ale teraz czas się chyba pożegnać.

Generał wyłączył urządzenie i z furją walnął pięścią o biurko.

— Wy, Dmitriju Pietriekow, wiedzieliście, że w Paryżu Chorew ma zamiar zbiec! Nieprawda?

— Wiedziałem — powiedział Dmitrij cicho, ale bez cienia wstydu. — Próbowałem go od tego odwieść.

— Zachowaliście jego sekret! — Gorki szalał z wściekłości. — Wypuściliście zdrajcę z ojczystego kraju! Wy też jesteście zdrajcą! I to nie tylko... — Gorki zaciął się, jakby to, co chciał właśnie powiedzieć, było zbyt obrzydliwe, by to wyrazić. Całą wieczność zdawał się dążyć szyderczym wzrokiem nieskruszone oczy Dmitrija. — Powiedzcie no jeszcze raz — odezwał się w końcu — czegoście to właściwie szukali w tym gabinecie, kiedy was tu dziś nad ranem znaleźli?

Dmitrij nie spuścił wzroku. Był to wyraz nie tyle beczelności, ile odwagi.

— Szukałem aparatury podsłuchowej, która -jak sądziłem - mogła się tu znajdować.

— A dlaczegoż by was obchodziła taka aparatura? — zapytał Gorki lodowatym tonem.

— Chciałem ochronić przyjaciela — padła szczerza odpowiedź.

— Chcieliście chronić własną skórę!

— Macie prawo do swojego zdania, generale, ale nie bałem się o siebie.

— Każdy najpierw dba o siebie! — wtrącił się Łucki.

— Dwa miesiące temu — kontynuował odważnie Dmitrij — powierzyłem siebie w ręce Boga, tego Boga, o którym całe życie uczono mnie, że nie istnieje. Wszystko, co mi się teraz przytrafi, przyjmę jako Jego wolę. Czyniłem

wszystko w dobrej wierze. Wiktor Chorew służył krajowi lojalnie i sumiennie. Nie mógł jednak wyjawić Komisji swoich prawdziwych poglądów, mianowicie że to jakieś bezcielesne istoty spowodowały śmierć naszych mediów, bo nie słuchalibyście niczego niezgodnego z marksistowskim materializmem.

Generał uniósł dłoń.

— Dość! — nakazał. — Nie potrzeba nam większego dowodu winy, a tym bardziej religijnego wykładu — najwyraźniej ze wszystkich sił usiłował panować nad wzburzeniem. — Oczywiście rozumiecie — dodał opanowanym już głosem — że nie macie prawa do publicznego procesu, czego zresztą bardzo żałuję, bo pragnąłbym uczynić publiczny pokaz z was i z Chorewa. Ale te badania muszą pozostać tajemnicą.

Następnie zwrócił się do Łuckiego.

— Zabieram Pietriekowa ze sobą do Moskwy. Pośląłem już depeszę do ambasady. Chorew wyleci z Paryża pierwszym samolotem. Osobiście powitam go na lotnisku - nie mogę się tego doczekać!

*

Na Pierwszym Międzynarodowym Kongresie Parapsychologów Przewodniczący Ericksen dopuścił do głosu czwartego pytającego.

— Proszę bardzo, doktor Derek Balfour z delegacji brytyjskiej.

Zdenerwowany Wiktor wrócił do mikrofonu. Pytający byli bardzo uprzejmi, ale najwyraźniej starali się zdyskredytować w oczach świata ograniczony materializm ortodoksyjnego marksizmu. Czernow nie krył rosnącego wzburzenia.

Kiedy mikrofon dotarł właśnie do Balfoura, uwaga Wiktora skupiła się na nagłym wtargnięciu do sali dwóch krępych osobników, którzy prędko przedostali się do Czernowa. Jeden pochylił się nad nim i mówił mu coś do ucha. Cóż mogło być aż tak pilne, żeby nie mogło poczekać tych kilka minut do zakończenia sesji? Rzucając raz po raz krótkie spojrzenia na stojącego przy mównicy Chorewa, trzej mężczyźni naradzali się nad czymś pośpiesznie. Furia pułkownika rosła z każdym słowem. Wiktor poczuł, jak opada go nagle, zniewalające poczucie totalnej katastrofy.

Dwaj mężczyźni skończyli przekazywanie Czernowowi informacji, ale nie opuścili bynajmniej sali, lecz przykucnęli w przejściu obok pułkownika. Wiktor z największą trudnością koncentrował się na pytaniu Balfoura, które samo w sobie spotęgowało tylko jego niepokój.

— W doznaniach polegających na opuszczaniu ciała, tak jak w przypadku osób w stanie śmierci klinicznej, obserwuje się swoje ciało z góry, wszystko widząc i słysząc — w głosie Balfoura dało się słyszeć ton protekcyjny - ści. — Czy jako m a r k s i s t a uważa pan, że poza ciałem znajduje się i ob-

serwuje je wówczas coś fizycznego?

— Stanowisko radzieckie — odparł Wiktor, starając się unikać krępującego spojrzenia Czernowa — określiłoby to jako projekcję świadomości.

— Fizyczną projekcją świadomości, doktorze Chorew? — Balfour nie dawał za wygraną. — Przecież nawet marksista przyzna...

Rozwścieczony Czernow zerwał się na równe nogi i ryknął:

— Więc celem tego kongresu ma być ośmieszanie marksizmu!?

Brytyjski naukowiec, kompletnie zbity z tropu niespotykanym wybuchem, spojrzął na przewodniczącego, oczekując pomocy.

Ericksen stanął szybko obok Wiktora i spokojnie przemówił do mikrofonu:

— To pan Aleksandr Pawłow z delegacji sowieckiej. Uważam, że jego sprzeciw był uzasadniony.

— Ale chodzi mi o to — Balfour nie zamierzał ustępować — że ograniczony materializm Marks nie ma prawa stać na przeszkodzie możliwym wyjaśnieniom zjawisk parapsychologicznych.

— A ten kongres — krzyczał „Pawłow” — nie ma prawa być pretekstem do atakowania poglądów politycznych! Żądam przeprosin!

— Nie powiedziałem nic, co by przeprosin wymagało. Uwagi kierowałem do doktora Chorewa i chciałbym usłyszeć jego odpowiedź.

— Panie Przewodniczący — „Pawłow” miał zamiar postawić na swoim — daję delegacji brytyjskiej i komisji organizacyjnej kongresu trzy godziny na wygłoszenie oficjalnych przeprosin. Jeśli nie, delegacja radziecka opuści kongres!

Czernow wyjął w tym momencie, kto faktycznie jest na czele sowieckiej delegacji. „To może znaczyć tylko jedno!” Gdzieś z głębi żołądka ogarnęło Wiktora wrażenie zapadania się pod ziemię. Musiał złapać się mównicy, żeby nie ulec nagłemu zawrotowi głowy. Skonsternowany patrzył, jak wszyscy Sowietci, idąc w ślady Czernowa, zrywają się na równe nogi i śpieszą w stronę najbliższego wyjścia. Wiktor oniemiał. Prędko wrzucił notatki do aktówki, zamknął ją i stał tak w miejscu, zbyt oszołomiony, by myśleć normalnie. Popatrzył z rozpaczą i nadzieją w stronę doktora Leightona, który również zdawał się być w stanie szoku. Może właśnie teraz powinien pobiec do Amerykanów i wołać o azyl? Zanim zdążył trzeźwiej rozważyć desperacką myśl, Czernow wyrósł jak spod ziemi, chwycił go za ramię i pchnął w stronę wyjścia, a ci dwaj nowi szli za nimi krok w krok.

Sala konferencyjna zmieniła się w dom wariatów. Narastający szum głosów przekształcił stopniowo w ryk. Poszczególne delegacje tworzyły małe centra gorączkowej dyskusji, próbując pojąć zdumiewający obrót wypadków i znaleźć jakieś wyjście. Carla zerwała się z krzesła i pobiegła w stronę wychodzącej delegacji sowieckiej. „Przecież to chyba Chorew miał być szefem

delegacji. Kto to jest, ten Pawłow? Na pewno blefuje. Nie mogą opuścić kongresu! A jeśli mogą? Nie puszczę Chorewa bez wywiadu!"

Carla zauważyła coś, co uczyniło sprawę jeszcze bardziej zagadkową. Gdy reszta delegacji sowieckiej udała się w stronę wind na swoje piętro, „Pawłow” i dwaj osobnicy, którzy wcześniej tak gorączkowo z nim rozmawiali, wypychali i wyciągali najwyraźniej pozbawionego entuzjazmu doktora Chorewa z hallu, a potem w dół, po schodach na zewnątrz. Carla wypadła przez drzwi obrotowe tuż za nimi. Deszcz przestał padać i słońce usiłowało przedostać się przez chmury. Wyglądało na to, że Sowieci zmierzają w kierunku limuzyny zaparkowanej na wprost wejścia do hotelu.

Carla jak szalona zbiegła po schodach i przedarła się przez tłum zgromadzony na chodniku. Zdażyła akurat zobaczyć, jak „Pawłow” brutalnie wypycha Chorewa na tylne siedzenie samochodu.

— Doktorze Pawłow! — zawołała i podbiegła do niego ostatkiem sił. Czernow, który już miał wejść za Chorewem, zatrzymał się i odwrócił. — Jestem akredytowanym dziennikarzem — pokazała na plakietkę.

Czernow przerwał jej wściekłym „Niet!” Bezlitosne, zimne spojrzenie jego oczu napełniło ją nagłą obawą o Chorewa. Kilku innych dziennikarzy zdołało również przedrzeć się przez tłum. Nacierali na Czernowa i na Carlę z magnetofonami, kamerami i notatnikami. „Le docteur Chorew, s'il vous plait!” Dwaj mężczyźni, którzy przyjechali limuzyną, zaczęli odpychać dziennikarzy.

Carla próbowała wejść między Czernowa a otwarte drzwi wozu, co skończyło się jej brutalnym odepchnięciem, z taką siłą, że o mało się nie przewróciła.

— Aż z Waszyngtonu przyjechałam — protestowała głośno — po wywiad / .doktorem Chorewem!

— Niet!

Ciśnięty na tylne siedzenie, całkowicie załamany i zdezorientowany Wiktor Chorew próbował zrozumieć, co się właściwie stało. Dlaczego pozostali członkowie delegacji wrócili do pokoi, a tylko jego pognano na zewnątrz, do tego samochodu? Fakt, powiedział to i owo, ale przecież Czernow na pewno nie wini go za to, przy czym uparcie obstawali jego niektórzy słuchacze. „A może jednak było w moim gabinecie coś, co nagrywało ostatnią rozmowę z Dmitrijem? Sprawdziłem rano, ale po rozmowie z Komisją już nie! A może Dmitrij się załamał i zdradził naszą przyjaźń? Musieli się jakoś dowiedzieć o moim zamiarze!”

Z mrozącą krew w żyłach pewnością zrozumiał, że nie może być żadnego innego wyjaśnienia obecnych wydarzeń. W najlepszym razie mógł mieć nadzieję na obóz pracy, jeśli jakimś cudem uniknąłby wyroku śmierci. Tok posępnych myśli został przerwany odgłosami hałaśliwego zamieszania na chod-

niku. Wyglądając przez otwarte drzwi zobaczył, że Czernow i dwaj goryle z ambasady, odwróćeni do niego plecami, gwałtownie odpychają zachodnich dziennikarzy rycząc na nich po rosyjsku, dziennikarze zaś w odpowiedzi ryczą na nich po angielsku i francusku. W tym momencie podjął desperacką decyzję. „Lepiej zaryzykować, choćby bez nadziei, niż tak tu siedzieć!”

Przyciskając do piersi bezcenną aktówkę, otworzył drzwi od strony jezdni i wyskoczył na zewnątrz. Nie zważając na nic biegł co sił w nogach przez cztery czy pięć pasm pełnych rozpędzonych samochodów, na skrzyżowaniu Boulevard Gouvion i Pereire. Nie znając Paryża, nie miał pojęcia, jaką wybrać trasę. Skierował się w stronę jakiejś węższej ulicy, którą zauważył za bezładną masą pędzących pojazdów. Gdyby się tam tylko znalazł, zanim go Czernow zauważy! Nieustające odgłosy piszczących hamulców i trąbiących klaksonów towarzyszyły manewrom mknących po Porte de Maillot samochodów, usiłujących ominąć pieszego szaleńca, który chciał się z nimi mierzyć w samym środku wielopasmowego ruchu. Próbując wykonać podobny manewr, mały sedan marki Renault prowadzony przez starszą panią zajechał drogę rozpędzonej taksówce. Samochody zderzyły się. Zaraz dołączyły do nich trzy następne. Za parę chwil wielkie rondo zapełniło się gigantycznym korkiem i wyprowadzonymi z równowagi, zdenerwowanymi kierowcami.

Na dźwięk pisku hamulców, a zaraz potem kilkakrotnego chrupnięcia uderzonego i miażdżonego metalu Czernow odwrócił się. Ponad dachami roju samochodów dostrzegł sylwetkę Wiktora, który zdołał wyrwać się z korka ulicznego i wbiegł na Rue Debarcadere. Dotarłszy nareszcie do chodnika, potencjalny zbieg pędził tak szybko, na ile mu pozwalała ciężka aktówka.

Idąc za wzrokiem „Pawłowa”, Carla zdążyła jeszcze zobaczyć człowieka, z którym chciała przeprowadzić wywiad, a który za sekundę zniknął z pola widzenia, biegnąc w stronę Placu Ferdynanda. Przypomniała sobie natychmiast, że ma bardzo dogodnie zaparkowany samochód, ledwie kilka metrów stąd. Wydostała się z pęcznijącego tłumu i pobiegła w kierunku peugeot.

Jak kamień w wodę

Rycząc coś po rosyjsku Czernow wypadł na jezdnię. Ponieważ ruch się zatrzymał, Czernow miał o wiele lepszy czas niż Wiktor i wbiegając na Rue Debarcadere w dużym stopniu zdołał odrobić opóźnienie w stosunku do swojej ofiary. Dwaj funkcjonariusze KGB wskoczyli do limuzyny i ruszyli z piskiem opon. Niemal w tej samej chwili musieli użyć hamulców: skręciwszy na Port Maillot, żeby objechać rondo, zostali zatrzymani przez morze samochodów i ciężarówek, zgromadzonych się za piątką zgniecionych pojazdów.

Carla podjęła szybką decyzję. Wcisnęła guzik i odsunęła dach wynajętego kabrio, potem odjechała od wejścia do Palais w kierunku przeciwnym do obranego przez Rosjan. Następnie obróciła wóz i skierowała go pod prąd, aż znalazła się po przeciwnej stronie wielkiego ronda. Zostawiła w tyle unieruchomioną chwilowo wielką limuzynę, która wkrótce zniknęła jej z oczu. Kierowcy kleli i wyrażali pięściami, ale z powodu zablokowania ruchu, w jej kierunku zdołało się przedrzeć tylko parę samochodów. Po kilku niedoszłych zderzeniach zdołała znaleźć się w zgodzie z kierunkiem jazdy i wjechać w uliczkę, gdzie zniknął doktor Chorew i jego prześladowca.

W tej chwili Wiktorowi brakowało już tchu, a nogi miał jak z ołowiu. Wydawało mu się, że nie jest sobą, że z pewnej odległości, jakby na zwolnionym Icmpie obserwuje własną agonię. Aktówka zmieniła się w niewyobrażalne brzemie, bezsensowną przeszkodę w ucieczce. Ile razy jednak nachodziła go podobna myśl, tym mocniej ścisnął beczenny ciężar i biegł dalej. Ilekroć odwracał głowę, zauważał z przerażeniem, że Czernow jest coraz bliżej. Czy powinien się schronić w którymś sklepiku czy kawiarence? Nie, nie, Czernow rozniósłby takie miejsce. Gdyby tylko pojawił się jakiś żandarm, ale to mała uliczka, na pewno nie będzie żadnego patrolu. Co robić?

Rue Debarcadere była zbyt wąska, żeby Carla mogła wymijać inne pojazdy, na szczęście jednak nieliczne samochody posuwały się sprawnie do przodu. Po jakichś pięćdziesięciu metrach zobaczyła „doktora Pawłowa”: pędził chodnikiem jak rozwścieczony buhaj, roztrącając przechodniów w szaleńczym pościgu za uciekinierem, który był już niemal w zasięgu ręki. Carla minęła „Pawłowa” i zbliżyła się do prawie kompletnie wycieńczonego Chorewa. Z twarzą wykrzywioną przerażeniem, w agonii krańcowego wyczerpania,

nie miał już właściwie sił, by dźwigać ciężką aktówkę, a jednak wciąż ścisnął ją z determinacją, jakby wolał raczej umrzeć, niż ją oddać.

— Doktor Chorew! Doktor Chorew! — Carla całą siłą nacisnęła klakson i zamachała do doktora z odsłoniętego kabrio. Była akurat naprzeciw niego. Zwolniła, żeby dostosować się do jego tempa. — Wsiadaj! Prędko!

Wiktor nie miał pojęcia, kim może być ta młoda kobieta, ale uznał ją za ostatnią deskę ratunku. Wypad! na jezdnię, cisnął cenny bagaż do otwartego wozu i ostatkiem sił rzucił się w to samo miejsce. Czernow był ledwie kilka kroków za nim. Carla naciskała właśnie pedał gazu do oporu, kiedy pułkownik wykonał nadludzkiej długości skok i stalowym uściskiem chwycił się tylnego siedzenia. Bijąc nogami powietrze w próbie znalezienia oparcia na zde-rzaku, Czernow walczył z przyśpieszeniem pojazdu, usiłując dostać się do środka. W pewnej szalonej chwili Wiktor próbował nawet uderzyć prześladowcę aktówką, ale stracił już resztkę sił.

— Na podłogę! — krzyknęła Carla. Stopniowo zwiększając prędkość, wjechała na dość wąskie rondo Placu Ferdynanda z szybkością przekraczającą siedemdziesiątkę i wykonała ostry skręt w lewo, na Rue Brunei. Samochodem zarzuciło niebezpiecznie, tył okręcił się, a jedno z kół rąbnęło o krawężnik. Gwałtowność uderzenia była zbyt wielka nawet jak na niezwykłą siłę pułkownika Czernowa. Rozluźnił niebezpieczny uścisk i poszybował w powietrze. Odbił się od blatu kawiarnianego stoliczka i z trzaskiem runął przez szybę do środka lokalu. Rozhuśtany samochód zatrząsał się, o mało się nie przekoziołkował, lecz gdy Carli udało się odzyskać nad nim panowanie, wyrównał kurs i pomknął przed siebie.

We wstecznym lusterku Carla widziała, jak na Plac Ferdynanda wjeżdża sowiecka limuzyna i zatrzymuje się w miejscu, gdzie udało im się pozbyć prześladowcy doktora. Kierowca i jego towarzysz wyskoczyli na zewnątrz i wnieśli do wozu kulejącego i zakrwawionego „doktora Pawłowa”. Potem Carla straciła ich z oczu — skręciła w prawo, na Boulevard Pereirę. Za chwilę znów skręciła w prawo, tym razem na równie szeroką jezdnię Avenue des Ternes. Odetchnęła z ulgą.

— Udało się! Udało się! — krzyknęła uszczęśliwiona.

Wiktor, wciąż w szoku, przykucnął na podłodze. Nadal przyciskał aktówkę do ciężko dyszącej piersi.

— Ambasada amerykańska! — zdołał wyrzucić z siebie.

— Właśnie tam jadę. Proszę się nie martwić. Prosta droga, i nie za daleko.

Carla знаła Paryż niemal tak dobrze jak Waszyngton. Zaraz za Place Des Ternes aleja zwęzłała się do Rue du Faubourg St. Honore. Pojechała lekko krętą ulicą aż do końca. Wiktor zdołał się wdrapać na tylne siedzenie i opadł na oparcie. Nadal z trudnością łapał oddech. Co parę chwil odwracał z lekkim głowę, szukając wśród samochodów z tyłu jakiegoś śladu pościgu. Ni-

czego jednak nie dostrzegł.

Skreślając nareszcie na Rue Royal, Carla wykrzyknęła triumfalnie:

— Udało się! Teraz już nas nie złapia!

Zaś Wiktor czuł, jak jego koszmarny strach zmienia się w dziwnie surrealistyczne, senne odrętwienie. Akurat na wprost, na samym środku Placu Zgody, zauważył ze zdziwieniem ogromny egipski obelisk, który piętrzył się ponad pędzącymi samochodami. Zdawało mu się, że śni. Tak, jakby otworzył szkolny podręcznik na rycinie przedstawiającej liczący sobie trzy tysiące lat skarb Ramzesa II, sprowadzony ze starożytnej świątyni luksorskiej, a rycina zaczęła nagle rosnąć do naturalnych rozmiarów. To nie może być jawa...

— A ambasada? — z największym wysiłkiem wypowiadała słowa.

— Proszę spojrzeć na prawo! — zawołała Carla z satysfakcją.

Skreśliwszy ostro na Avenue Gabriel, zaraz zjechała do krawężnika. Ponad szczytem wysokiego kamiennego muru można było dostrzec znajdujący się w głębi posiadłości wielki budynek. Znajdował się tam wjazd dla samochodów, prowadzący do kolistego podjazdu pod front budynku, ale ciężka metalowa brama była zamknięta. Po obu stronach stało dwóch francuskich żandarmów z ręcznymi karabinami maszynowymi. Mosiężna tablica na murze głosiła: *Avenue Gabriel Nr 4. AMBASADA AMERYKAŃSKA*. Zbieg ze Związku Sowieckiego nie potrafił stłumić szlochu ulgi.

Kiedy oboje otworzyli drzwi, żeby wysiąść, najbliższy stojący policjant przędko do nich podbiegł, wymachując karabinem i krzycząc: „Parking interdit!”

Wiktor skulił się w aucie, ale Carla nie zatrzymała się, tylko dała mu znak ręką, żeby szedł za nią.

— Błagam o pomoc! To bardzo pilne! — zawołała po francusku. — To zbieg sowiecki! Ścigają nas.

— D'accord! — policjant skierował ich w stronę niskiej, wąskiej przybudówki, postawionej tuż przy murze, zaraz koło metalowej bramy wjazdowej, a sam, z karabinem w pogotowiu, zaczął się rozglądać za pościgiem. Carla i Wiktor pośpiesznie weszli do środka, gdzie znajdowało się dwóch umundurowanych Marines.

— To zbieg sowiecki! — powtórzyła Carla. — Musimy wejść do środka!

— Taa, psze pani — odpowiedziano z miłym, przeciągłym południowym akcentem. Marines nawet nie zmienili wyrazu twarzy. — Poproszę o torbę i aktówkę. Proszę przejść tędy, przez detektor metalu.

Oboje kilka razy oglądali się w stronę ulicy, gdy na pół biegiem przemierzali dziedziniec, a potem schody głównego gmachu ambasady. Patrząc ponad metalową bramą nadal nie dostrzegali żadnego znaku prześladowców.

— No! — krzyknęła Carla, odwracając się do Wiktora i triumfalnie wznosząc zaciśnięte dłonie kciukami do góry. Weszli przez wielkie drzwi. Nareszcie bezpieczni. Inny młody strażnik z Marines skierował ich na prawo, w

stronę lady recepcyjnej, znajdującej się za szeregiem kanap i krzeseł. Tam Carla zniżonym głosem wyjawiała urzędnicze: — To doktor Wiktor Chorew ze Związku Sowieckiego. Bardzo znamienity naukowiec. Prosi o azył p o l i t y c z n y !

Oczy dziewczyny zrobiły się znacznie większe niż dotychczas.

— Proszę tu sobie usiąść, zaraz ktoś do państwa przyjdzie.

Carla odrzuciła w tył długie, kasztanowate włosy i kilka razy głęboko odechnęła.

— No a teraz, skoro mamy chwilę spokoju — uśmiechnęła się — chyba czas, żebym się przedstawiła. Jestem Carla Bertelli.

— Carla Bertelli, amerykańska dziennikarka? — zapytał Wiktor z niedowierzaniem.

— Chyba nie jestem znana w Związku Sowieckim! To niemożliwe!

— Czytałem kilka pani artykułów. Znakomite! — popatrzył na nią z podziwem. — Sądziłem, że jest pani... yy... znacznie starsza — wyrwało mu się.

Roześmiali się oboje, napięcie zostało rozładowane. Nastąpił krótki, szczery powitalny uścisk. Wiktor przytrzymał ją chwilę za ramiona. Znow łzy napłynęły mu do oczu.

— Pani mi uratowała życie! Czy pani sobie zdaje z tego sprawę?

Carla kiwnęła głową.

— Chyba tak. Nie wiedziałam, co się dzieje. Działałam chyba pod wpływem impulsu.

Oboje rozsiedli się na długiej kanapie, naprzeciwko lady recepcyjnej. Wiktor kręcił głową ze szczęścia.

— Nie do wiary! Jestem wolny! Nie wierzyłem, że mi się uda. Jak ja się pani odwdzięczę? Wszystko pani zawdzięczam!

— No cóż, miałam w tym swój interes — powiedziała i popatrzyła na niego z figlarnym uśmiechem. — Od miesięcy czekałam na wywiad z panem i n i c mnie nie mogło od tego powstrzymać!

Zawahała się przez chwilę i zaraz spoważniała.

— Powiem panu, co może pan dla mnie zrobić, doktorze Chorew. Bardzo, bardzo szczególną przysługę.

— Tak, bardzo proszę mi powiedzieć! — dopytywał się zarliwie Wiktor.

— Co by pan powiedział na wyłączność na wywiad?

— To znaczy: nie rozmawiam z innymi dziennikarzami, a pani dostaje całą historię?

Carla skinęła głową:

— Czy nie proszę o zbyt wiele?

— Zbyt wiele?! — krzyknął. — Zawdzięczam pani życie. Jak wy tam mówicie w Ameryce? Umowa stoi ~you've got a deal? You've got a deall

— Doktor Chorew? — łysiejący czterdziestokilkuletni mężczyzna o ost-

rych rysach, w nienagannym garniturze człowieka interesu, pojawił się w drzwiach jakiegoś prywatnego pomieszczenia po lewej stronie i patrzył na nich pytająco.

— Tak, jestem Chorew — odparł Wiktor.

Mężczyzna podszedł w ich stronę cokolwiek pompatycznym krokiem, jakby na paradzie, skłonił lekko głowę i serdecznie potrząsnął dłonią Wiktora.

— Jestem Karl Jorgensen. Ma pan może jakieś dokumenty?

— Owszem — Wiktor podniósł aktówkę i poklepał ją z czułością. — I mam tu jeszcze więcej, niż można sobie wyobrazić!

Brwi Jorgensena powędrowały nieco do góry, a na ustach pojawił się lekki uśmiech.

— Proszę bardzo za mną.

— A pani Bertelli? — Wiktor pokazał na Carlę. — Przywiozła mnie tutaj, uratowała mi życie.

— Najpierw musimy porozmawiać z panem na osobności. Jeśli pani zechce — zwrócił się do Carli — proszę zaczekać kilka minut. Jest trochę formalności — uśmiechnął się, jakby na potwierdzenie swoich słów.

— Oczywiście, chętnie.

Już w drzwiach Wiktor zawahał się i odwrócił. Pomachała mu.

— Będę tu czekać! — zawołała.

*

Kiedy Pierwszy Międzynarodowy Kongres Parapsychologów zebrał się na popołudniową sesję, brak delegacji sowieckiej od razu rzucił się w oczy. Sala wrzała pogłoskami, że Chorew i Pawłow pokłócili się i że ostatnio widziano Chorewa, jak biegł przez Boulevard Pereirę w stronę Rue Debarcadere, ściągany przez Pawłowa. Przewodniczący obrad doktor Ericksen potrzebował więcej czasu niż zwykle na ucieszenie zebranych i pozyskanie ich uwagi.

— Nie zdołałem się skontaktować ani z doktorem Chorewem, ani z doktorem Pawłowem — zaczął Ericksen. — Nikt z delegacji sowieckiej nie wymeldował się jeszcze z hotelu, ale z nikim nie udało mi się skontaktować. Parę minut temu zdołałem się jednak połączyć z ambasadą sowiecką. Nie potrafili mi wprawdzie powiedzieć, co się dzieje z panami Chorewem i Pawłowem, ale zapewnili, że ich delegacja nie zmierza opuścić kongresu i że zaakceptuje formalne przeprosiny, które wystosowała delegacja brytyjska.

Powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

— Delegacja amerykańska oraz kilka innych delegacji również wyraziły głęboką troskę i pragnienie, by delegacja sowiecka nie opuszczała kongresu. Daliśmy im do zrozumienia, jak wielkie znaczenie ma ich nieprzerwana obecność, zwłaszcza w obliczu tak istotnych decyzji, jakie mają zostać podjęte w

trakcie tej konferencji. Jestem pewien, że wszystko dobrze się ułoży. Tymczasem jednak musimy zająć się realizacją przewidzianego programu. Pozwolą państwo, że przedstawię pierwszego mówcę popołudniowej sesji, znakomitego filozofa i matematyka, a także jednego z najsłynniejszych parapsychologów na świecie: doktor Bernard Rogers z Kanady.

Krótkie oklaski rozplynęły się prędko w podniosłej, niespokojnej ciszy, która wciąż zalegała nad zgromadzeniem niby całun śmierci. Pomimo zapewnień Ericksena miejsca delegacji sowieckiej były puste, a to przemawiało dobitniej niż słowa przewodniczącego. Atmosfera zrobiła się tak ponura, że Rogers, gdy powiódł wzrokiem po sali i chrząknął tuż przed zabranieniem głosu, zaczął się zastanawiać, czy słuchacze zdołają przezwyciężyć moment kryzysu i wysłuchać tak ważnych tez, które zamierzał wygłosić.

— Tytuł mojego referatu brzmi: Zastosowania mediumizmu w poszukiwaniu inteligencji pozaziemskich — zaczął. — Jak wiemy, istnienie gdzieś w kosmosie pozaziemskich inteligencji, i to nawet w milionach różnych miejsc, nie jest już poddawane w wątpliwość przez większość świata naukowego zajmującego się badaniem przestrzeni kosmicznej. Niewiadomą pozostaje tylko sposób nawiązania kontaktu. Podstawowym problemem są naturalnie olbrzymie odległości, jakie trzeba pokonać, aby nawiązać taki kontakt.

W tym właśnie momencie tok myśli Franka Leightona, słuchającego z wielkim zainteresowaniem, został zakłócony: goniec z ambasady amerykańskiej wręczył mu kopertę i pokwitowanie do podpisania. Zastanawiając się, co aż tak pilnego może zawierać koperta, rozdarł ją pośpiesznie i czytał wiadomość, gwizdząc pod nosem ze zdumienia.

W miarę, jak cała jego uwaga skupiała się na przesyłce z ambasady, głos Kanadyjczyka zaczął dochodzić zamazany, jakby z innego wymiaru:

— Przy prędkości miliona mil na godzinę, to znaczy czterdziestokrotnie większej od tej, którą pozwalają osiągnąć obecne możliwości, goście z najbliższego nam układu słonecznego, odległego o cztery i pół roku świetlnego, potrzebowaliby 30 tysięcy lat na dotarcie do Ziemi. Nasza galaktyka ma szerokość stu tysięcy lat świetlnych, a odległość do najbliższej galaktyki jest piętnaście razy taka...

— Prawdopodobieństwo bezpośredniego, fizycznego kontaktu z istotami z innych planet jest naturalnie zbyt małe, by traktować je poważnie. Pytanie, jak to osiągnąć, nie spędza mi oczywiście snu z oczu. Nawet kontakt radiowy wymagałby dziewięcioletniej podróży fal radiowych w obie strony do najbliższego układu słonecznego, a całe setki i tysiące lat do wszystkich możliwych lokalizacji inteligentnych form życia w naszej galaktyce, nie wspominając już o milionach lat, jakich wymagałoby nawiązanie radiowego kontaktu z innymi galaktykami...

— Nie jest moją intencją ośmieszanie Carla Sagana i całego programu

SETI - poszukiwania życia w kosmosie, na który rządy całego świata poświęciły dziesiątki milionów dolarów. Widzimy jednak jasno, że konieczne jest nowe podejście do problemu. Nie ma też chyba potrzeby mówić w tym miejscu, że problem ogromnych Odległości może łatwo zostać wyeliminowany. Mówię oczywiście o nawiązaniu kontaktu o charakterze *mediu i stycznym*...

— Istnieje inna, jeszcze bardziej frapująca ewentualność: że istnieją nie tylko inteligentne byty *poziemskie*, ale i inteligentne byty *pozawymiarowe*. W tej chwili znaczenie ma nie tyle czysto techniczna definicja tego określenia, ile nasze przekonanie o tego rodzaju faktycznej, naukowo uzasadnionej możliwości, której osobiście jestem pewien. Kwestia ta ma zupełnie pierwszorzędne znaczenie i wymaga pilnego rozpatrzenia..:

Leighton spojrzał na siedzącego obok wiceprzewodniczącego delegacji amerykańskiej, a kiedy ten podniósł wzrok, pochylił się ku niemu i szepnął:

— Sprawa najwyższej wagi. Muszę lecieć do Waszyngtonu. Mógłbyś mnie zastąpić? Bardzo proszę. Na szczęście mam referat dopiero w piątek, do tego czasu powinienem wrócić. A jeśli nie... Głupio mi o to prosić, ale może mógłbyś go za mnie wygłosić?

— Postaram się — padła odpowiedź szeptem.

Z aktówki Leighton wyjął skoroszyt i wręczył usłużnemu koledze.

— Wszystko jest wydrukowane w ostatecznym porządku, nie ma żadnych dopisków na marginesie.

Zamknął aktówkę i szepnąwszy jeszcze coś na ucho innemu koledze przedko wyszedł z sali.

*

Carla niecierpliwie spojrzała na zegarek, chyba po raz dziesiąty w ciągu ostatnich pięciu minut. Doktor Chorew zniknął za tymi drzwiami już ponad dwie godziny temu. „Coś nie tak?”

Podeszła do lady recepcyjnej. Dwie dziewczyny, które siedziały tam w chwili, kiedy zjawiła się z Chorewem, zostały zastąpione przez dwie inne. Jedna podniosła właśnie wzrok i uśmiechnęła się do podchodzącej Carli.

— Mogę w czymś pomóc?

— No cóż, mam nadzieję. Dwie godziny temu przyprowadziłam tu kogoś i od tego czasu czekam. Powiedziano mi, że to potrwa tylko parę-minut.

— Już sprawdzam. Jaką sprawę załatwiała ta osoba? Kogoś odwiedzała?

— To bardzo ważny sowiecki uczoney, zbieg. Prosił o azyl polityczny.

— Nie przypominam sobie takiego przypadku.

— Nie było tu pani, kiedy przyszliśmy. W każdym razie niejaki pan Jorgensen, chyba Karl Jorgensen, zabrał go przez te drzwi, o tam. Powiedział, że

to potrwa tylko parę minut i żebym poczekała. No więc czekam, czekam, i czekam. Mogłaby pani sprawdzić, co się dzieje z doktorem Chorewem, tak się on nazywa, i ile to jeszcze potrwa?

— Oczywiście.

Podniosła słuchawkę, wybrała numer.

— Tu Arlene, z sali przyjęć. Jest tu pani, która mówi, że parę godzin temu przyprowadziła sowieckiego zbiega, niejakiego doktora Chorewa. Czy ma pan dla niej jakąś informację? Czeką cały czas.

Odłożyła słuchawkę.

— Sprawdzi i da mi znać. Proszę sobie spocząć.

— Uprzejmie dziękuję, ale postoję.

Carla chodziła tam i z powrotem. Rosło w niej dziwne, złowieszcze przekonanie, że stało się coś okropnego.

Zadzwoił telefon, obróciła się natychmiast w stronę lady. Arlene podniosła słuchawkę i słuchała przez chwilę, potem odłożyła.

— Nic nie wiedzą o tym, że dziś przybył jakiś sowiecki zbieg. A ściślej mówiąc, nie było żadnego już od kilku lat. Czy jest pani naprawdę pewna?

— Jak to: czy jestem pewna?! Przecież sama go przywiozłam!

Arlene zdawała się jej współczuć i sama chyba była zdziwiona.

— To była sekretarka ambasadora. Proszę mi wierzyć, gdyby tu wszedł jakiś sowiecki zbieg, na pewno by wiedziała.

— Nie obchodzi mnie, co ona mówi — odparła Carla, starając się opanować wzburzenie, i przechyliła się ponad lady. — Kłamie. Przywiozłam tu doktora Chorewa osobiście!

— Zapewniam panią, że nikt tutaj nie kłamie, a z pewnością nie osobista sekretarka ambasadora!

— To nie do wiary! Chcę rozmawiać z Karlem Jorgensenem! Proszę go zawołać!

— Wydaje mi się, że doktora Jorgensena dziś nie ma. Nie bywa tu w czwartki.

— Proszę go tu zawołać. W tej chwili!

Arlene, całkowicie zbita z tropu, znów podniosła słuchawkę i wybrała numer. Po krótkiej rozmowie odjęła słuchawkę od ucha i powiedziała do Carli:

— Tak jak mówiłam: Karla Jorgensena nie było dziś przez cały dzień. A ściślej mówiąc, poleciał do Waszyngtonu.

— Proszę posłuchać! Jorgensen, nie Jorgensen, wszystko jedno! Proszę zawołać kogoś, kto ma tu coś do powiedzenia!

Arlene wyszeptała do słuchawki kilka słów.

Po jakichś dwóch minutach otworzyły się te same drzwi po lewej stronie i pojawił się w nich kolejny dobrze ubrany, szykowny, pachnący ambasadą dżentelmen.

— Pani Bertelli?
— Tak! — podbiegła do niego. — Co zrobiliście z Chorewem?
Zamknął za sobą drzwi i stał tak dotykając ich plecami.
— Recepcjonistka chyba już pani powiedziała, że nie słyszeliśmy o żadnym doktorze Chorewie, czy nie?
— I oboje wiemy, że to wierutne kłamstwo.
Twarz mu poczerwieniała.
— To ostre słowa, pani Bertelli. I ja mogę zarzucić pani kłamstwo.
— A więc moje słowo przeciwko pańskiemu, tak to wygląda? — oczy Carli błyszczały. — A skąd pan zna moje nazwisko?
Zawahał się.
— Podała pani recepcjonistce.
— Nie podałam. Przez telefon też nie wspominała żadnego nazwiska.
Wzięła głęboki oddech, a potem mierzyła go pogardliwym wzrokiem.
— Niech pan posłucha: nie jestem kimś z ulicy. Tak się składa, że jestem znaną dziennikarką o fotograficznej i niezawodnej pamięci, która wszystko tu rejestruje.
— Pani jest nierozsądna. Związek Sowiecki oficjalnie wszystkiemu zaprzeczy. W ogóle nie ma pani tematu.
— Absolutna racja. Niczego nie opublikuję, aż będę znała cały temat. A będę znała!
— No to powodzenia!
— Uratowałam życie doktorowi Chorewowi. Z pewnością wie pan o tym. Dał mi wyłączność na wywiad i trzymam go - i pana - za słowo! Niech pan nie zapomina! I niech pan jeszcze i to zapamięta: wiem, dokąd zabieracie doktora Chorewa. Jeśli nie będziecie go odpowiednio traktować, to obiecuję: cały świat się dowie!

Operacja „Archont”

— Nie powiem, że jestem kompletnie załamana. Na to jestem zbyt cyniczna. Ale można chyba poczuć rozczarowanie, kiedy twój własny rząd, a przynajmniej ci, którzy go reprezentują, kłama ci w żywe oczy! Tego rodzaju zachowań zwykle spodziewamy się po Sowietach, ale nie po naszych!

Oburzona i załamana Carla rozmawiała telefonicznie z bliskim znajomym z Nowego Jorku, jednym z naczelników redaktorów tygodnika *Time*. Mówiła chodząc nieprzerwanie po pokoju na czternastym piętrze Palais des Congres, na tyle, na ile jej pozwalał krótki kabel. W ramie okna, u samego końca Avenue Raymond Poincare widniał majestatyczny monument Place Victor Hugo i rozległy Palais de Chaillot, a tuż za nimi — czarna koronka Wieży Eiffla. Carla utkwiała wzrok w jej znajomym, niewzruszonym pięknie, jakby to właśnie był punkt odniesienia dla świata, który zszedł na psy.

— A czemu ty się dziwisz? — dobiegł ją spokojny głos z drugiej strony. — Eisenhower całemu światu zełgał o Garym Powersie i U2, który Sowieci zestrzelili w sześćdziesiątym roku. Kennedy kłamał o Zatoce Świń w sześćdziesiątym pierwszym, Nixon kłamał na temat udziału CIA w chilijskich wyborach w siedemdziesiątym, no i o swoich taśmach. Można wymieniać i wymieniać. Zaprzeczanie faktom to nie żadna doraźna gra - to długa i chlubna tradycja, zresztą ciągle w modzie. Chyba nie myślałaś, że chłopaki z ambasady powiedzą ci „Tak, tak, pani Bertelli, zabraliśmy doktora Chorewa do jednej tajnej kryjówki w naszych tajnych łajdackich celach i nikomu o tym nie powiemy, aż już wszystko będzie gotowe, więc niech pani z łaski swojej też nie puści pary z ust”?

— Wiem, George, wiem. Ale to potwornie deprymujące, jak policzek w twarz, kiedy ktoś ci łga w żywe oczy! Staram się zachować obiektywizm, ale kipię w środku!

— Słuchaj, Carla. Wiem, że ci się zdaje, że trafiłaś na coś większego niż Watergate. Ale zdajesz sobie chyba sprawę, co większość rekinów prasowych sądzi o badaniach parapsychologicznych: że to jest dobre do skrótowego podawania w brukowcach. Żadna' porządna gazeta czy magazyn palcem by tego nie tknął. Żeby tak Chorew był fizykiem, pisarzem, wojskowym, sportowcem albo nie wiem, kim jeszcze... Ale parapsycholog?! To ostami

gwóźdź do trumny dla twojego artykułu. Większość wydawców powie ci: „Aha, kolejny Uri Geller? Nie, nie to wariactwo na szczęście mamy już za sobą. Dziękujemy, nas to nie interesuje.”

— Przecież na Boga on nie jest medium! To naukowiec, który bada właściwości mediów, i to jeden z najznakomitszych na świecie!

— Prawie wszystkie - jeśli nie wszystkie! - media to szarlatani, więc dlaczego ich badanie ma świadczyć o takiej znakomitości?

— George, CIA w tym siedzi po uszy.

— Skąd wiesz?

— Nie mogę jeszcze powiedzieć, ale wiem już od paru lat. Zresztą dość powszechnie wiadomo, że CIA angażuje się w pewnym stopniu w badania nad mediumizmem. A skoro o n i traktują to poważnie, to chyba powinno dodać tej sprawie wiarygodności.

— O, tak, rzeczywiście mnie przekonałaś. Mam ci przypomnieć o kompletnie trefnych interesach, w jakie się CIA pakowała, o tych wszystkich gafach, o durnych, półgłówkowatych spiskach na życie Castro, Lumumby i tak dalej, o współpracy z tytami w rodzaju Noriegi, o bezdennej studni łgarstw i dezinformacji?

— Nie ma takiej potrzeby. Czytałam Woodwarda, Agee'ego, Stockwella, Sneppa, te wszystkie wyznania byłych agentów... — urwała, wpatrując się z nachmurzoną miną w Wieżę Eiffla. — No, dobra, skoro nawet stary kumpel się tym nie zainteresuje...

— Interesuję się. Wiesz dobrze. Ale przypominam ci, na co się porywasz.

— Nie musisz, od lat to słyszę. Tylko mówię ci: dzieje się coś kompletnie nienormalnego.

— Przekonaj mnie.

— Wiesz, po co tu przyjechałam. To pierwszy na świecie Międzynarodowy Kongres Parapsychologów. I nie ujrzyś tu bynajmniej gromady zwariowanych profesorków, którzy żyją w wieżach z kości słoniowej i płodzą teorię nie z tej ziemi. To oficjalni przedstawiciele rządów, dyskutujący nad możliwościami zastosowania siły mediumistycznej i traktujący to zupełnie serio.

— Na przykład?

— Słuchaj, nie mam teraz czasu wchodzić w szczegóły.

— W tym problem, Carla. To jest zawsze takie ulotne.

— George, to nie jest ulotne, uwierz mi. Tylko zlituj się nade mną, ja płacę za tę rozmowę. Sowieci są tym aż tak zainteresowani, że w swoim dzisiejszym porannym wystąpieniu Chorew apelował o ustanowienie międzynarodowej kontroli i o wolny przepływ informacji. Kiedy ostrzegał przed niebezpieczeństwami siły parapsychologicznej, mówił śmiertelnie poważnie!

— Ale ty uważasz, że gnali go na lotnisko i chcieli odtransportować do Moskwy?

— Nie ma innego wytłumaczenia tego, co na własne oczy widziałam i w czym brałam udział. O mało oboje nie zginęliśmy!

— Więc Sowietom nie podobało się jego przemówienie?

— Nie chodzi mi o przemówienie. To było przygotowane wcześniej oświadczenie, które jego władze kazały mu odczytać.

— I uważasz, że je zmienił?

— Nie, nie, za tym się coś kryje. Posłuchaj, nie mam żadnej informacji od mojego znajomego w paryskim departamencie policji. Czołowy naukowiec sowiecki zbiega za granicę, jeden z ich delegacji jest w szpitalu z zapewne dziesiątkami świeżutkich szwów, a tu kompletna cisza.

— Sprawdziałaś w szpitalach?

— Co do jednego. Położyli na tym łapę! A amerykańska ambasada posuwa się aż do tego, że mówi mnie - to jest OSOBIE, KTÓRA GO PRZYWIOZŁA - że Chorew w ogóle nie istnieje. Ukryć zbiega - to powszechna praktyka. Ale zawsze mówi się światu, że się go ma, a wtedy druga strona woła o ekstradycję. Teraz wszyscy nabrali wody w usta. Jest w tym coś, czego nie rozumiem, a cokolwiek by to było, to musi być bomba, prawdziwa bomba!

— Przyznaję, śmierdzi jakby nieco bardziej niż zwykle. To tyle na razie.

— A na dobitkę doktor Frank Leighton, szef delegacji amerykańskiej, też zniknął. Daję głowę, że jest na pokładzie tego samego samolotu, którym Chorew w tej chwili zmierza do USA. I jeszcze coś ci powiem: Leighton od lat pracuje dla CIA!

— Nie on jeden.

— To nie jakiś tam płatny informator. Bierze udział w takich tajnych badaniach, że głowa boli. Nawet nie mogę jeszcze o tym pisać. Kręcę się koło tego, bo ktoś mi to poufnie zdradził.

— No dobra, czego ode mnie oczekujesz?

— Żebyś pamiętał, co ci powiedziałam, i dawał mi znać, jak tylko zobaczysz na dalekopisach cokolwiek, co choć trochę będzie pachnieć tą sprawą.

— No dobra. Więc w Paryżu jesteś pod tym numerem, tak? A potem z powrotem w Waszyngtonie?

— Nie, kiedy kongres się skończy, w sobotę, wpadam do Waszyngtonu tylko po kilka rzeczy, a potem do Kalifornii. Zadzwonię do ciebie stamtąd.

— Do Kalifornii?

— Trudna decyzja. To nie będzie łatwe.

— Ken?

— Chyba nie ma innego sposobu. On nadal może dotrzeć do Leightona, a to jedyny łącznik z Chorewem.

Wzrok Carli powędrował w dół, na Rue Debarcadere i Plac Ferdynanda. Przez moment w jej myślach pojawiła się potworna wizja obrazu w lusterku wstecznym: Pawłow odbija się od blatu stolika i wpada do wnętrza kawiaren-

ki przez roztrzaskaną szybę. Zadrżała, lecz zaraz uśmiechnęła się. „Dobrze ci tak, przebrzydły gorylu! Co bym dała, żeby wiedzieć, co teraz myślisz!”

— Carla, jesteś? Halo!

— Aj, przepraszam, zamyśliłam się. Pewnego pięknego dnia, George, dam ci artykuł nie z tej ziemi! Obiecuję. To na razie.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała w dół, na Plac Ferdynanda. Powróciły świeże wspomnienia. Nagle dotarło do niej: „Boże, czemu o tym nie pomyślałam?! Przecież będą mnie szukać! Mnie nie znają, ale znają samochód!”

Pogrzebała w torebce, wyjęła kwity wynajmu i pośpiesznie nakręciła jakiś numer. Ktoś się zgłosił, zaczęła prędko mówić po francusku:

— Tu Carla Bertelli. Wzięłam od państwa dziś rano niebieskiego peugeota 205 na Orły. Tak, tak, to było na tydzień, ale nie mogę nim już jeździć. Nie, nie, z wozem wszystko w porządku, to ze mną raczej nie. Nie jestem w stanie prowadzić. Ktoś tu będzie musiał przyjechać i go odebrać. Jestem w Palais de Congres. Wszystko opłacam, za odwołanie, grzywnę, za odebranie — wszystko. Koszt nie gra roli. I jeszcze sto franków napiwku, jeśli ktoś zjawi się tu przed upływem godziny. Będę czekać w głównym lobby, koło recepcji.

*

Wiktor protestował gwałtownie, gdy zabierano go tylnym wyjściem z ambasady do czekającej już limuzyny: chciał się zobaczyć z Carla Bertelli, żeby jeszcze raz podziękować za ocalenie życia.

— To bardzo pilne, żeby pana wywieźć z Francji — upierał się Jorgensen — i bezpiecznie dowieźć do USA, zanim Sowietci podniosą międzynarodową wrzawę.

— Ale pani Bertelli? — pytał Wiktor. — Przecież pan wie, że ona czeka.

— Jeden z moich asystentów wszystko jej wyjaśni. Ona zrozumie.

Od tej chwili wzrastało w nim uczucie euforii, aż w końcu miał wrażenie, że wybuchnie z radości i ulgi. W drodze na lotnisko co chwilę gładził dłonią powierzchnię leżącą na kolanie aktówki, jakby chciał się upewnić, że jeszcze tam jest. Wszystko zdawało się snem, zwłaszcza gdy ominąwszy kontrolę celną i paszportową wprowadzono go na pokład wielkiego, lśniącego odrzutowca, należącego widocznie do jakiejś agendy rządu Stanów Zjednoczonych. Traktowano go z wielką uprzejmością i troską, jakby cały lot i wszystkich ludzi obecnych na pokładzie zorganizowano wyłącznie ze względu na niego. Wkrótce przekonał się, że było tak w istocie.

Gdy maszyna wzbiła się na odpowiednią wysokość, Wiktor znalazł się w centrum uwagi — uwagi wyrażającej się pytaniami, które początkowo zdawały się dowodzić autentycznego zainteresowania nim jako osobą, ale które wkrótce przerodziły się w intensywne, a nawet wyczerpujące przesłuchanie.

Przez pierwszą godzinę w zasadzie mu to nie przeszkadzało. Niemal do nieprzytomności odurzony przedziwnym obrotem wypadków, ledwo potrafił odpowiadać na pytania, rzucane mu jedno po drugim. Jednak wkrótce prawda zatraciła pozory surrealizmu, a przekształciła się w nagą rzeczywistość. Istotnie, znajdował się wysoko nad Atlantykiem, w drodze do Waszyngtonu. Zrozumiał, że współpasażerowie to albo pracownicy ambasady, albo agenci CIA. Był nawet pewien, że przesłuchujący muszą mieć coś wspólnego z Agencją.

— Doktorze, bardzo nam przykro, że zadajemy tyle pytań, ale rozumie pan, musimy działać jak najskrupulatniej. Dla pańskiego bezpieczeństwa i dla naszego — Jorgensen powtarzał te słowa już co najmniej piąty raz, ale w jego głosie brzmiała szczerłość i Wiktor doceniał tę może i przesadną troskliwość. W końcu opadł na oparcie, kompletnie wycieńczony.

Fotele były ustawione w dwóch rzędach przodem do siebie, po obu stronach samolotu. Wiktor siedział pośrodku w prawym rzędzie, tyłem do kierunku lotu. Wokół usadowiło się pięciu innych mężczyzn. Trzej byli najwyraźniej specjalistami od zadawania pytań, pozostali dwaj to Jorgensen i jego asystent. W samolocie znajdowało się jeszcze co najmniej dziesięć innych osób, ale Wiktor nie miał dotąd okazji z nimi rozmawiać, choć niewątpliwie stanowili część jego eskorty. Kiedy się rozglądał, widział, że kilka osób prowadzi rozmowy przez telefon. Zdumiewał go rozmach tej operacji.

— Czy zechciałby pan, doktorze, jeszcze raz nam wyniszczyć powody swojej ucieczki?

Dlaczego w kółko to powtarzają? Nawet gdyby nie zechciał - a właśnie nie chciał - przecież i tak nie mógłby im tego powiedzieć. Ta cała uprzejmość wydawała się zupełnie zbędna i bardzo dziwna w porównaniu z tym, jak postępowała w takich przypadkach Komisja w podmoskiewskiej bazie.

— Jak już mówiłem — zaczął Wiktor któryś raz z kolei — materiał dowodowy, jaki zgromadziłem w ciągu ostatnich pięciu lat, skłaniał mnie do poszukiwań w takich kierunkach, które były nie do zaakceptowania w społeczeństwie opartym na zasadach marksistowskich, gdzie materializm jest świętą krową. Mam przy sobie tyle dokumentacji na ten temat, ile zdołałem zmieścić w tej aktówce. Nie muszę chyba panom mówić, że w Związku Sowieckim nie ma zbyt wielkiej wolności myśli, a ja stęskniłem się za wolnością. Potrzebuję swobody, żeby kontynuować badania, które są moim całym życiem, a także wolności osobistej, jak każda istota ludzka.

Przerwał, wzruszył ramionami.

— I to w zasadzie wszystko.

— A kongres paryski dał panu pierwszą szansę w życiu?

— Nie jestem członkiem partii komunistycznej, nigdy nim nie byłem, a bez tego ktoś taki jak ja nie wyjedzie z kraju. Zresztą nawet bardzo nielicznym członkom partii udaje się odwiedzić Zachód. Nie ma sposobu, żeby

przedostać się do Finlandii czy Turcji - przynajmniej takiego sposobu, jakiego bym się odważył użyć. Nie wysłaliby mnie na kongres, gdyby nie istniała konieczność nadania delegacji pozorów wiarygodności. Każdy tak zwany „delegat”, oprócz mnie, pracuje dla KGB.

*

W oddzielonej kotarce przedniej części samolotu siedział Frank Leighton, w poluźnionym krawacie, zmęczony, ale wyraźnie podekscytowany, a obok niego—jeszcze dwaj mężczyźni: czołowy ekspert ambasady w sprawach sowieckich i szef komórki CIA w Zachodniej Europie. Na ekranie monitora z uwagą obserwowali przesłuchiwanie Chorewa.

— Nie sądzę, że jest podstawiony — powiedział urzędnik ambasady, chyba szósty raz. Sam zbiegł z Rosji ponad dwadzieścia lat wcześniej. Wszystko w Chorewie tchnęło prawdą, nie tylko w zestawieniu z dogłębną wiedzą na temat sowiezizmu, jaką ekspert posiadał, ale również w zestawieniu z jego intuicją.

— A ja wiem, że nie jest podstawiony — upierał się Leighton. — Jest dla nich zbyt ważny, żeby go narażać. I potrzebuję go zaraz w Kalifornii!

— To nie jest w żadnym razie możliwe już teraz — zaprotestował szef komórki CIA. — Nic z tego.

Za chwilę dodał ponuro:

— Nie byłyby pierwszą grubą rybą, jaką nam podrzucili.

— Nie jest żadną „grubą rybą” — odparował Leighton. — To ich czołowa postać w badaniach nad mediumizmem! Nie mogliby sobie pozwolić, żeby nim ryzykować. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo zostaną w tyle przez jego utratę.

— Jednak myślę, że może być podstawiony — przestrzegł wysoko postawiony goryl. — Trzeba z nim poczekać, aż się go dokładnie nie prześwietli.

— A co ty chcesz zrobić? — zdenerwował się sowiecki ekspert. — Potraktować go tak jak Jurija Nosenkę? Zamknąć na trzy lata w klatce na cztery spusty i usiłować coś z niego wyciągnąć, bo komuś się zdawało, że to podwójny agent?

— Nie musisz tego przypominać — odparł człowiek z CIA. — Wiem, że Jurij był twoim przyjacielem, ale to odosobniony przypadek, fatalny błąd. Ale w drugą stronę też popełniono mnóstwo fatalnych błędów. A Fedora i Tophat? Ich fałszywe informacje o sowieckich ICBM-ach przez całe lata prowadziły nas w złym kierunku. A pułkownik Pieńkowski? Beniaminek brytyjskiego wywiadu, nasz zresztą też, miał być największym osiągnięciem zachodniego wywiadu w XX wieku. A wiesz, co się dziś o nim słyszy. Po prostu chcę być pewny.

— Nie da się być p e w n y m . Kłamstwa stają się prawdą, zbiegowie okazują się podstawieni, wielu naszych agentów pracuje dla drugiej strony. Krety ryją wszędzie, a ty wkrótce możesz przestać wierzyć własnemu zdrowemu rozsądkowi i dowodom czarno na białym, podstawionym ci pod sam nos!

Wyrzucił ręce w górę.

— Ryzyko zawodowe.

Leighton celowo nie angażował się w spór. Dla niego nie miało to żadnego znaczenia. Zamówił już rozmowę z Dyrektorem Generalnym Centralnej Agencji, załatwi tę sprawę bezpośrednio z nim. Widząc, że Leighton nie interesuje się dyskusją pozostali dwaj poszli w jego ślady, rozparli się na fotelach i w milczeniu oglądali obraz na monitorze. Chorew podawał akurat więcej szczegółów niż poprzednio: opowiadał o swoim ostatnim eksperymencie.

— To już trzecie medium, które straciliśmy. Przebywał poza ciałem, przynajmniej według mojej obecnej wiedzy, i badał cel, którego zdjęcia dostarczyło nam KGB... bardzo duży ośrodek, prawdopodobnie koło Pało Alto. Powiedziano nam, że to laboratorium parapsychologiczne CIA.

Pytający, którzy siedzieli wokół Wiktora, wymienili sceptyczne spojrzenia. Ale w przodzie samolotu Leighton wyprostował się nagle jak sprężyna i wychylił do przodu.

— Opisywał, co widzi? Jakieś ciekawe szczegóły?

Wiktor skinął głową.

— Owszem, ale mieliśmy coś lepszego niż opis ustny. Opracowałem metodę przenoszenia obrazów z ludzkiego mózgu na taśmę magnetowidową. W mojej aktówce ... ktoś mi ją zabrał, gdy wchodziłem na pokład... — Wiktor patrzył po nich pytającym wzrokiem, ze zmartwieniem na twarzy.

— Możemy ją panu przynieść, kiedy będzie potrzebna.

— Są tam pewne rzeczy, które naprawdę muszę wyjaśnić — powiedział Wiktor pośpiesznie.

— Będzie pan miał potem na to dużo czasu. Więc mówił pan...

— Tak, że mam kasety ukazującą to, co widział nasz Człowiek-medium. Przypuszczam, że słyszeli panowie o doktorze Franku Leightonie, naszym czołowym parapsychologu. Jego też przez chwilę będzie widać na tym filmie.

Za kotarą ekspert sowiecki i szef komórki CIA popatrzyli na Leightona pytającym wzrokiem. Zerwał się na równe nogi:

— Tego już za wiele! Żądam przerwania przesłuchania - i to już! Odpowiedzialność biorę na siebie.

Odsunął kotarę i cała trójka pośpieszyła w stronę rozmawiających.

— Już nie żył, to nie ulega wątpliwości — kontynuował Chorew, kiedy podeszli bliżej. — I to zdruzgotane, martwe ramię, piórem, którego nigdy przedtem nie widzieliśmy, wypisało drukiem po grecku: „Śmierć Prometeuszowi. Archont”.

Idąc za spojrzeniem siedzących obok mężczyzn, Wiktor obrócił się i zdumiał, widząc, kto za nim stoi i słucha. Leighton pochylił się nad nim i poklepał po ramieniu. Zaskoczony i uradowany, Wiktor wyciągnął rękę i serdecznie uściśnęli sobie dłonie.

— Brakowało mi dziś ciebie przy lunchu — zażartował Leighton — ale nadrobimy to kolacją. Chyba obaj jesteście radzi, że twój „asystent” nie będzie nas słuchał.

Wiktor zdobył się na zmęczony uśmiech.

— Musisz mi powiedzieć, skąd wiedziałeś, kim on jest.

— No, wyjaśnię ci i to, i wiele innych rzeczy w swoim czasie. Czernow to paskudny przypadek - ledwo się mieści w jednej z naszych najszerzych, oflagowanych na czerwono przegródek. Ale nie musisz się już nim więcej martwić.

— No właśnie! — wykrzyknął Wiktor, a potem powtórzył te słowa, jakby dopiero teraz zaczynała do niego docierać świeżo zdobyta wolność: — No właśnie! Koniec z Czernowem! Nie rozumiecie, co to znaczy.

Napięcie zniknęło z jego rysów — dołączył do beztróskiego śmiechu Leightona.

— Spodziewałem się, że będę ci mógł pokazać atrakcje Paryża — dodał Leighton z lekką zadumą. — Ale może zgodzisz się zamiast tego na Waszyngton, a potem na San Francisco.

— Trudno w to wszystko uwierzyć — Wiktor jakby z trudem wypowiadał słowa. — Czy jestem tu naprawdę? Czy to się dzieje naprawdę?

— Z całą pewnością. Cieszymy się razem z tobą. Możesz liczyć na każdą pomoc z naszej strony. A teraz chyba czas, żeby się czegoś napić i odprężyć przed kolacją.

*

W samym środku kolacji Leightona poproszono do telefonu. Dzwonił Dyrektor Generalny Centralnej Agencji.

— Więc masz Chorewa — powiedział dyrektor.

— Tak. I o tym chciałem rozmawiać.

— No to gratulacje! Potem opowiesz, jak to było. Jak wygląda?

— Piękny okaz! To znaczy: to jest Wiktor Chorew, jedyny i niepowtarzalny. I nie prowadzi żadnej gry.

— Skłonny byłbym się z tobą zgodzić, choćby ze względu na jego format.

— Przejrzeliśmy jego całą aktówkę. Takich skarbów chyba jeszcze nigdy nie widziałeś - cóż za papiery! Daję głowę, że niczego nie ukrył.

— To dobry znak. No więc?

— Muszę go natychmiast mieć w Kalifornii.

- Tak się tego u nas nie załatwia.
- Wiem, że nie, ale to wyjątkowa sytuacja.
- Wiesz, że dostanę po głowie od kogoś ze Starej Gwardii?
- Tak, ale pomyśl tylko, jaką rolę mógłby odegrać w przybliżeniu światu naszego Planu. Tylko pomyśl!

Po drugiej stronie zapadła długa cisza. Kiedy w końcu dyrektor przemówił, w jego głosie brzmiało tłumione podniecenie, podniecenie, któremu nigdy w swojej pracy nie dawał ujścia na zewnątrz, ale które trudno mu było w tej chwili opanować: z całą mocą dotarła do niego prawda słów Leightona.

— Masz go. Jeden warunek: nie może opuszczać bazy. Trzeba go tam trzymać pod strażą, 24 godziny na dobę. Dla jego i naszego bezpieczeństwa.

— Zadbam o to! — odparł Leighton.

— I posłuchaj: ten plan to sprawa tak delikatna, że jeśli Chorew choć na centymetr wyjdzie poza linię, to cześć pieśni!

— Chcesz, możemy po drodze zajechać do Langley, to byś go zobaczył?

— Jutro jadę na Bliski Wschód. Zatrzymam się u was, kiedy będę na Zachodnim Wybrzeżu. To przełom. Jeszcze raz gratuluje!

*

Po kolacji Leighton dał znak Wiktorowi, żeby udał się za nim. Poszli do tylnej części samolotu, gdzie nikt im nie przeszkadzał.

— To, o czym teraz powiem, jest sprawą tak poufną — mówił Leighton stłumionym głosem, z dłońmi na ramieniu Wiktora, nachylony ku niemu — że nikt na pokładzie o tym nie wie oprócz mnie, a wkrótce i ciebie. Nie mów o tym nikomu, nie opowiadaj o swoim wideo ani o swojej pracy, bez względu na to, kto będzie pytał. Wydałem polecenie, żeby nikt już więcej nie zadawał ci żadnych pytań. Jeśli ktoś by jednak tego próbował, zaraz daj mi znać.

Przerwał i ciepło uśmiechnął się do Wiktora.

— Traktowano mnie tu bardzo uprzejmie.

— Tak będzie już zawsze — oznajmił Leighton z powagą. — Ale ja nie wiem, jakie są twoje oczekiwania. To znaczy, co chciałeś robić w Ameryce.

— Oczywiście chcę tu kontynuować badania -jeśli znajdzie się gdzieś dla mnie miejsce... — popatrzył na Leightona pytająco, wiedząc, że to, o co chciałyby prosić, to zbyt wiele, przynajmniej na tak wczesnym etapie. — Miałem nadzieję, że będę mógł poznać twoje badania, ale zdaję sobie sprawę, że mogą być tajne.

— Żaden problem. Z przyjemnością wszystko ci pokażę.

— Naprawdę? To byłoby wspaniale! — Wiktor zaczął nabierać przekonania, że mógłby się z Leightonem zaprzyjaźnić. — Mam nadzieję, że będę cię jeszcze mógł zobaczyć. Bo nie wiem, dokąd mnie zabiorą.

— To faktycznie zależy od ciebie.

— Naprawdę? — Wiktor nie wierzył uszom, ale przecież bądź co bądź to Zachód, leci do Ameryki, a Ameryka to kraj wolności. To mu dodało odwagi do kolejnego pytania: — Jest ktoś, kogo już od lat pragnę poznać.

— Kto taki?

— Doktor Ken Inman. Czytałem jego niektóre prace i uważam niektóre jego teorie za niezwykle ciekawe, ale jakoś o nim cicho. Nic ostatnio nie czytałem.

W spojrzeniu Leightona zaszła ledwie dostrzegalna zmiana. Wiktor nie wiedział, jak ją zinterpretować. Wystraszył się, że naruszył jakąś granicę.

— Przepraszam, nie powinienem chyba mówić tak swobodnie, skoro ledwo co się poznaliśmy...

— Nie, wszystko w porządku. Więc chcesz się zobaczyć z Inmanem. Ale on już od dwóch lat nie pracuje w tej dziedzinie.

— Przeszedł na emeryturę? Sądziłem, że jest jeszcze młody.

Leighton rozważał pewną możliwość, która mogła okazać się pożyteczna.

— Na pewno da się jakoś zorganizować spotkanie. Chyba nie będzie trudności. Ale czy zgodzi się rozmawiać o swoich badaniach nad mediumizmem - to już zupełnie inna sprawa. Ale z tobą... kto wie? Może akurat tobie uda się to, co nie udało się innym: na nowo rozbudzić jego zainteresowania.

Wiktor nie rozumiał, co Leighton ma na myśli, i nie wiedział, co odpowiedzieć. Stali naprzeciw siebie w milczeniu. W końcu Leighton powtórnie położył dłoń na ramieniu Wiktora i znów zaczął mówić poufnym tonem.

— Pewnie masz ochotę na krótkie wakacje, chyba uda mi się to zorganizować, ale nieco później. Są pewne niecierpiące zwłoki sprawy i zastanawiałem się, czy nie chciałbyś dołączyć do mojego personelu w naszym kalifornijskim ośrodku?

Oczy Wiktora rozbłyły, a na twarzy pojawił się uśmiech.

— Mówisz poważnie? Czy to możliwe?

— Załatwię ci przepustkę od służb bezpieczeństwa. Zwykle nie udziela się jej tak od razu, ale mam do ciebie wielkie zaufanie. Nie zawiedziesz mnie, prawda? — patrzył mu głęboko w oczy.

— Nigdy! — odpowiedział Wiktor żarliwie. — To wielki zaszczyt. Nawet o tym nie marzyłem!

Leighton uściśnął mu ramię.

— Zobaczysz, że to, co robimy, jest niesamowite. Pamiętaj: nikt na pokładzie nie wie nic o tym przedsięwzięciu, więc nie zdradz się ani słowem.

Wskazał Wiktorowi hotel. Usiedli, a Leighton nachylił się blisko niego.

— Otóż zajmujemy się tam najbardziej intrygującym zadaniem, z jakim miałem się możliwość zetknąć. Trochę ci o nim teraz opowiem. Ma kryptonim „Operacja Archont”.

Dziwna propozycja

Carla zwołniła prędkość wynajętego samochodu do żółwiego tempa. Dała się porwać fali wspomnień i nostalgii. Eleganckie nowe domy w głębi akrowych posiadłości, miła, falista podgórska okolica, a nade wszystko dom, który ostatni raz widziała jeszcze w trakcie budowy. Wszystko przywoływało na pamięć dawno zapomniane marzenia. „Piękny dom, ale nie wierzę, żeby mieszkał w nim sam jeden od dwóch już lat! Na pewno się jeszcze nie ożenił, przynajmniej nic o tym nie wiem. Wiele kobiet by go chciało. Prawdopodobnie musi mieć jakieś plany, a może już się zaręczył?”

Dom, wyrastający na szczycie porośłego trawą i bluszczem pagórka, na samym końcu ślepej uliczki, był przedmiotem jej planów i celem marzeń, kiedyś, dawno, nieprawdopodobnie dawno. Zarys niskiego, rozległego dachu pokrytego dachówką z beżowego betonu wtapiał się w obfitość dostojnych jałowców, kwitnących azalii i rododendronów. Wspaniałe rodzime dęby, które oszczędzono w trakcie budowy, dopełniały gustownego arcyzmu, współ z tłem zalesionych wzgórz, wznoszących się opodal. Gdy była tu ostatnim razem, widziała w zasadzie tylko pustą działkę i własne marzenia.

Przyjechała bezpośrednio z lotniska, nawet nie zajrzała jeszcze do hotelu. Na początku miała zamiar najpierw stamtąd zadzwonić, ale byłoby to jeszcze bardziej bolesne. Musi działać z zaskoczenia. Wiedziała, że jeśli nie poradzi sobie teraz, potem może jej braknąć odwagi. Odwagi? Nie czuła jej ani trochę, kiedy w wzrastającym napięciem i zakłopotaniem zmuszała się do wspinaczki po szerokich schodach i do naciśnięcia dzwonka na ganku. „Może go nawet nie ma w domu. Mógł gdzieś wyjechać a może jest zajęty. Powinam najpierw zadzwonić. Kompletnie wariactwo!” Niepokojąco długie chwile poprzedziły odgłos znajomych kroków za drzwiami. Drzwi otworzyły się na oścież. Stał w nich z wyrazem zdumienia i niedowierzania na twarzy.

— Carla?

— Pamiętasz ten komiks o facecie, który najpierw leciał samolotem, potem płynął łodzią potem jechał saniami, aż dotarł do chałupki gdzieś pod biegunem i powiedział: „Pomyślałem sobie, że może wpadnę na chwilę, bo akurat byłem niedaleko”? No, a ja właśnie byłem tu niedaleko, musiałam tylko przylecieć z Waszyngtonu, już bez łodzi i bez sań.

Nie roześmiał się z dowcipu, nawet się nie uśmiechnął. Był zbyt oszołomiony, nawet nie wiedział, czy poprosić ją do środka. Co by nie powiedzieć, była to zaskakująca niespodzianka.

— Prawdę mówiąc — kontynuowała Carla — śledzę pewną sprawę. I bardzo potrzebuję twojej pomocy, inaczej bym nie przyjechała.

Jej głos drżał lekko, gdy wyschniętymi nagle ustami próbowała wypowiedzieć starannie dobrane słowa.

„Cała Carla, nic się nie zmieniła. Otwarta, szczerza, kawa na łąwę. Między innymi dlatego tak ją kochałem.” Ken całą wieczność zdawał się nie ruszać z miejsca, próbując przekonać się, że jego oczy i uszy mówią prawdę, że to się rzeczywiście dzieje. Tam naprawdę stoi Carla, piękniejsza niż kiedykolwiek, stoi naprzeciw niego na ganku domu, o którym wspólnie marzyli i który razem wymyślali.

— Może wejdz — zdołał w końcu powiedzieć i odsunął się na bok. — Wiesz, że zrobię wszystko, co będę mógł.

— Wiem. Dlatego przyjechałam.

Weszła, ocierając się o niego powiewną sukienką. Poczuł zapach perfum, o których wiedziała, że to jego ulubione. Próbował o niej zapomnieć i sądził, że prawie mu się to udało. Tak było najlepiej. Spotykał się z kilkoma innymi kobietami, ale żadna mu nie odpowiadała. A teraz, nagle, wbrew sobie samemu, znów poczuł ten nieodparty pociąg. „Weź się w garść, Inman. Sprawa jest pogrzebana.”

Stali w przedsiönku, nic nie mówiąc, tylko patrząc na siebie. Szukała blizn na jego twarzy, ale nie mogła się dopatrzeć.

— Wspaniałe ozdrowienie! Jesteś aż tak zdrowy, na jakiego wyglądasz?

Kiwnął głową.

— Stan idealny, tak twierdzi lekarz. A twoja praca? Przyznaję, że nie czytałem zbyt wielu twoich artykułów. Nie czytam już tego, „co by należało”.

— Nie tłumacz się. Wcale bym się tego nie spodziewała.

Chłoneła wzrokiem prosto, lecz wygodnie umeblowany mroczny salon, rozciągający się zaraz za przedsiönkiem. Ogromne okna sięgały od podłogi do drewnianych belek pod sufitem i dawały zapierający dech widok na leżące dole miasto. Wielki kamienny kominek z podniesionym paleniskiem, zajmujący cały kąt w drugim końcu pokoju, to jedna z jej własnych twórczych koncepcji. Plany, które razem snuli, miały w sobie znacznie więcej z jej smaku niż z jego. „I zrobił wszystko właśnie tak — i jeszcze w tym mieszka!”

Przez chwilę widziała siebie razem z nim, jak spacerują po pustej działce trzymając się za ręce, a potem śmiejąc się chodząc po zarysie podłogi na położonych już fundamentach, a potem, ostatnim razem, tuż po zakończeniu budowy i tuż przed wypadkiem, niby dzieci bawiące się w dom, obchodzą budynek, w podnieceniu oglądając własne pokoje i rozkład pomieszczeń. Szyb-

ko podniosła dłoń do ust, żeby nie zauważył, jak drżą jej wargi. Zaskakujące wezbranie uczuć - uczuć, o których sądziła, że już dawno wygasły - całkowicie zbiło ją z tropu. Były dziwnie intensywne.

Wprowadził ją do salonu i przyciągnął do kominka drugi fotel. Siedzieli przez chwilę w kłępującym milczeniu.

— Jadłaś kolację? — zapytał w końcu. — Mama akurat szykuje.

Dostrzegł zaskoczenie na jej twarzy, więc wyjaśnił:

— Tato zmarł przed Bożym Narodzeniem. A tu jest taki duży dom, który... — załamał mu się głos. Odwrócił się na chwilę, a potem mówił dalej: — No i mama jest teraz ze mną. Zimy w Maine są dość ostre. Będzie trzymać tamten dom dla wnuków na lato. Leży akurat nad zatoką. Zresztą przecież sama pamiętasz...

Miała ochotę oprzeć głowę na jego ramieniu i rozpłakać się; ogarnęło ją poczucie winy. Odejść od niego w chwili, kiedy leżał w szpitalu na progu śmierci — cóż za bezdusność. Udało się jej jednak odrzucić głowę w tył i roześmiać, tym wesołym, dźwięcznym śmiechem, który tak dobrze znał.

— A co w tym śmiesznego? — zapytał z udanym oburzeniem.

— Ty! Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

— A nie zobaczyłem?

Oboje roześmiali się nerwowo.

— Kolacja nie wchodzi w rachubę — powiedziała stanowczym tonem. — Nie zabawię długo. Przyjechałam prosto z lotniska. To dość pilna sprawa.

Znów rozejrzała się po pokoju, patrząc na wszystko z wyraźną aprobatą.

— Znakomicie ci poszło, Ken. Tu jest pięknie.

— Może chcesz zobaczyć resztę?! — zapytał z żarliwością w głosie i zeskoczył z fotela. Nawet nie drgnęła, jakby nie usłyszała. Zawahał się, wyraźnie zakłopotany, potem usiadł.

— To może powiedz mi, w czym ci mogę pomóc.

— Masz jeszcze kontakt w doktorem Leightonem?

— Z Frankiem? Raczej nie. Dlaczego pytasz?

— A mógłbyś mieć?

— Pewnie tak, ale po co. Odkąd wykupił laboratorium, w zasadzie nie utrzymujemy kontaktów. Będzie już ze dwa lata.

— Ale przeniósł twoje wyposażenie, przez ciebie wymyślone i wykonane, w inne miejsce. Wiesz dokąd?

Kiwnął głową.

— Byłem tam nawet raz, jakiś rok temu. Potrzebował technicznej konsultacji, kiedy powtórnie wszystko instalował. Ale kompletnie się już tym nie zajmuje. A Frank zrobił się bardzo tajemniczy. Chyba miałaś rację z tą CIA.

— Miałam rację, i z tym, i z innymi sprawami.

W zamyśleniu patrzyła na ogień.

— Pewnie bardzo by chciał, żebyś się na powrót zaangażował, prawda?

— Mówił mi to parę razy — Ken wyraźnie nie czuł się swobodnie w tym temacie. — A skąd to nagłe zainteresowanie Frankiem? Zdaje się, że niegdyś skreśliłaś go ze spisu znajomych, co mnie zresztą zdziwiło. Leighton to niewątpliwie bogate źródło informacji.

— Wzajemna antypatia. A ty masz chyba nadal dobre układy?

— Prawdopodobnie tak. Tylko, jak mówiłem, już od dawna nie mieliśmy kontaktu, na pewno przypominasz sobie powody.

Przez chwilę wyglądała na skrzepowaną, ale postanowiła nie dać się sprovokować, jeśli na to właśnie były obliczone jego słowa. Zamiast tego zaskoczyła go:

— Posłuchaj, a gdybym powiedziała, że się zgadzam, że Leighton zaangażował się w coś z tego?

Widząc wyraz nadziei w oczach Kena, podniosła dłoń i potrząsnęła głową.

— Tylko błagam, nie wyciągaj zaraz pochopnych wniosków. Mam oczywiście całkowicie inne powody niż ty, ale również nie podoba mi się to wszystko... — przerwała, ważąc słowa. — Posłuchaj, a jeśli powiem, że mam pewne podejrzenia, które muszę jakoś sprawdzić?

Podniósł się i dorzucił kawałek drewna. Staął tyłem do kominka, patrząc na nią pytająco:

— Powiedz mi nareszcie, o co właściwie chodzi.

— Na sto procent sama nie wiem. W tym szkopuł. Mam po prostu złe przeczucia... — zawahała się, potem wzduszyła ramionami i mówiła dalej. — To naprawdę zbyt skomplikowane, żeby wchodzić w szczegóły. Wygląda na sensację, pewnie zresztą się domyślasz. Wszystko tu jest: i CIA, i KGB, i rosyjski zbieg. I przypuszczam, że Frank jest w samym środku całej sprawy.

— Wielki temat, jaki zdarza się tylko raz w życiu? — przerwał Ken. — Nagroda Pulitzera?

— Nagroda, nie nagroda. Chodzi o wiele więcej. W Paryżu uratowałam komuś życie. Znasz to nazwisko: Wiktor Chorew.

— Żartujesz! Jak to?!

— Po prostu niechcący znalazłam się na właściwym miejscu we właściwym czasie. Uratowałam Chorewa, kiedy postanowił zostawić zabawki. O mało go nie złapali. Dowiozłam go do ambasady amerykańskiej. Wzięli go gdzieś na rozmowę, a potem zaprzeczali, że go przywiozłam. Chcieli mi wmówić, że go nawet nie widzieli!

— To ci się chyba śniło — przerwał Ken sceptycznie. — Chcesz powiedzieć, że kłamali ci w żywe oczy? Aż tak?

Kiwnęła głową a Ken się roześmiał.

— Departament stanu nie zdaje sobie sprawy, jak fatalny popełnił błąd. Nie wiedzą, jaką tygrysicę ściągnęli sobie na kark. Ale ty im pokażesz!

Uśmiechnęła się i podniosła obie ręce w geście udawanej skromności.

— No, no, rzeczywiście częściowo to prawda. Ale przyznaj, że mam poza tym resztkę serca. Naprawdę martwię się o Chorewa. Nie chcę, żeby go eksploatowano. Tak się kończyła sprawa ze zbyt wieloma zbiegami politycznymi i nie można tego po prostu tak sobie zostawić. Chorew na pewno jest w tej chwili gdzieś w tym kraju, i spodziewam się, że Frank go dostał.

— No i poza tym — dodał Ken żartobliwie — tak się składa, że przypadkiem jest to również świetny materiał dziennikarski, rzadko spotykany kaliber. Więc nie możesz tego przepuścić.

— Nie powiedziałam, że c a ł a jestem z serca. Bądź co bądź Chorew zawdzięcza mi życie, no i dał mi wyłączność na wywiad. Mam tylko wrażenie, że wpłatał się w coś znacznie większego niż ucieczka z kraju, no i również w tej sprawie będzie moją wtyczką.

— Sądzę, że pewnie masz rację: Frank prędzej czy później będzie go miał. Ale wątpię, czy już tam z nim jest.

— Otóż sądzą, że już jest, i mam ku temu podstawy. Ale to naprawdę zbyt długa historia...

— A ty chcesz, żebym się w miarę moich skromnych możliwości dowiedział, czy Chorew tam naprawdę jest i w ogóle co się tam mniej więcej dzieje. Zgadza się?

— Chcę jeszcze więcej. Chcę się sama dostać do tej bazy i na własne oczy zobaczyć, co się dzieje!

— To czemu sama nie idziesz do Franka? Przecież można go złapać w Stanford. Właśnie do Stanford będę dzwonił. Jeszcze tam prowadzi jedno czy dwa zajęcia. Nawet został szefem wydziału, gdybyś nie słyszała. Ucieszyłby się, gdybyś zadzwoniła. Prawdopodobnie sam by cię tam zaprosił, gdyby pomyślał, że możesz mu zapewnić dobrą prasę. Oczywiście nie życzyłby sobie, żebyś pisała o jego tajnej pracy. Sama wiesz, jak się paranoicznie boi Sowietów i tym podobnych rzeczy.

Potrząsnęła głową.

— Nie mam szans! Nie wiesz, jaka była moja ostatnia rozmowa z Frankiem, jak usłyszał ode mnie, że wykorzystał twój pobyt w szpitalu i że wykradł ci dzieło życia za małą część należnej sumy. I jeszcze parę innych rzeczy. Nie spodziewam się, że zechce mi poświęcić choćby chwilę czasu.

Wstała.

— Czy to zbyt wielka prośba?

— Ken, kolacja za pięć minut! Słyszysz? Gdzie ty jesteś?

Głos jego matki dochodził z coraz mniejszej odległości. Nim Ken zdążył odpowiedzieć, weszła do salonu i stanęła, zaskoczona.

- Ojej, nie wiedziałam, że masz gościa.
Poznała Carłę i podniosła obie ręce do ust w geście zdumienia.
- Carla... Jak miło, że przyszedłaś! — podbiegła i uściśnęła ją. — Zjesz z nami kolację?
- Bardzo miłe zaproszenie, ale już mówiłam Kenowi: nie mogę.
- Umiem lepiej przekonywać niż mój syn. Byłoby nam tak miło! Zgadzisz się?
- Nie mogę.
- Carla ruszyła w stronę przedsiionka, chcąc uciec przed ogarniającą ją falą uczuć i zakłopotaniem. Ken poszedł za nią. Otworzył drzwi.
- Zobaczę, co się da zrobić. Jak się z tobą kontaktować?
- W hotelu Hilton. Ale tylko wtedy, jeśli będziesz mi tam mógł załatwić wejście albo jeśli znajdziesz Chorewa.
- Zaczęła schodzić po stopniach. Szedł za nią aż do samochodu.
- Hotele są takie drogie. Mogłabyś spać tutaj. Nie narzucałbym się. W tyle domu jest odrębne mieszkanie, z łazienką, gabinetem pracy i sypialnią, ma oddzielne wejście.
- Wiem. Nie pamiętasz? To był mój pomysł.
- Ten dom jest pełen twoich wspaniałych pomysłów, wszystkie udało się doskonale zrealizować, z wyjątkiem schronu pod garażem. Bo z półtora metra pod ziemią zaczyna się granitowe podłoże.
- No, ale to była twoja koncepcja.
- Zdawało mi się, że tobie też przypadła do gustu... — popatrzył na nią tęsknie. — Powinnaś sobie obejrzeć, jak wszystko wypadło.
- Położyła dłoń na jego ramieniu.
- Twoja mama przemiła, jak zawsze. Przeprós ją jeszcze raz, że nie mogłam zostać. I może lepiej nie mów jeszcze Frankowi, że tutaj byłam.

*

Zaraz po kolacji Ken podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer Elliotów. Odebrała Karen.

— Wszystko w porządku? — zapytała. — Brakowało nam ciebie we czwartek. Hal miał do ciebie dzwonić.

— Też żałuję, że nie byłem. Lekka grypa, ale teraz jest już dobrze. Hal jest? Niech też podejdzie do telefonu.

— Nie ma go. Wezwany do wypadku. A co?

— Carla jest w mieście! Dopiero co tu była!

— Chwała Bogu!

— Hm, no tak... Ale zdaje mi się, że jest równie jak kiedyś daleko od Boga. Nie dała najmniejszej szansy na poruszenie tematu.

— Wcale bym jeszcze na to nie liczyła, Ken! — powiedziała Karen cicho. — Nie do ciebie należy, żeby jej „świadczyć”. Już tego próbowałeś. Ona dobrze wie, co jest słuszne. Teraz decyzja należy do niej. Jeśli Pan otworzy drzwi i Carla wykaże jakieś zainteresowanie, to co innego. A teraz możesz być dla niej tylko przyjacielem, jeśli na to pozwoli. Daj jej zobaczyć miłość i przebaczenie Chrystusa we własnym życiu.

— Hm... chyba dość wyraźnie dała mi do zrozumienia, że nie ma zamiaru dać mi choćby i takiej szansy. Chce, żebym jej wyświadczył przysługę, co uczyniłbym z największą chęcią, gdyby tylko chodziło o co innego... — zawałał się. W końcu dodał: — Nie jestem wcale przekonany, ale obiecałem...

— Co jej obiecałeś?

— Chce, żebym ją skontaktował z Leightonem.

— Ken!

— Nie martw się. Wiesz, że nie wchodzi w rachubę, żebym sam do tego wracał, choćby w najmniejszej sprawie. Ale obiecałem jej, że z nim porozmawiam i dowiem się czegoś. Trafiła właśnie na wielką sensację.

Po obu stronach zapanowało długie, pełne zadumy milczenie. Pierwszy odezwał się Ken.

— To było takie niezwykle: znów móc ją zobaczyć. Nie wszystko jeszcze wygasło, to pewne. Byłem zdumiony, ale dałem się przekonać; muszę przyznać, że ostatnio tak bardzo próbowałem o niej zapomnieć, że przestałem się nawet modlić jak należy. Ale teraz od nowa zacznę.

— A ja nigdy nie przestałam, w dzień i w nocy. Bóg włożył we mnie dziwną troskę o nią i miłość. Z Halem jest podobnie. No cóż, to ciekawe. Więc jednak po tym wszystkim skontaktujesz się z Leightonem... Ale przynajmniej masz kontakt z Carla. Zaraz zawiadomię wszystkich z grupy.

— Właśnie, dlatego dzwonię.

— Więc rozpracowuje jakąś sensację związaną z Leightonem. To ciekawe! Czy jeszcze coś mam przekazać innym, żeby się modlić o konkretne sprawy?

— Jeszcze nie. To tajemnica Carli. Ona uważa, że to afera jej życia. Jeśli to to, o czym myślę, to znaczy, jeśli Archont zamierza zrobić takie posunięcia, o jakich mówiliśmy, to lepiej zacznijmy się modlić bez przerwy, i niech inni do nas dołączą!

*

Ken zadzwonił do biura Leightona w Stanford z samego rana następnego dnia.

— Właśnie wszedłem! — wykrzyknął Leighton, ze zdumieniem, ale i zadowoleniem w głosie. — Kopę lat!

— Myślałem, żeby do ciebie zadzwonić, ale wiesz, jak czas leci. I co słyszać?

— Chodzi ci o szkołę czy laboratorium?

— Czytałem o tobie w biuletynie absolwenckim. I przykro mi, że nie zadzwoniłem wcześniej i nie pogratulowałem szefostwa wydziału i tak dalej. Ale szczerze mówiąc, interesuje mnie raczej, jak idą prace.

— Ciagle się martwisz, że igram z demonami?

— Frank, nie dzwonię po to, żeby cię faszerować moimi poglądami, chyba że sam byś tego chciał. Naprawdę interesuje mnie, co się u was dzieje.

— Ken, z największą przyjemnością ci pokażę! — Leighton rozplątywał się z entuzjazmu. — Kiedy zobaczysz, co robimy i do czego to prowadzi, to... no, zapomnij o tych wszystkich „mocach ciemności”. Nie mogę o tym mówić przez telefon. Za gruby kaliber.

— I oczywiście za tajny. Rozumiem.

— Hm, racja. Ale musisz wiedzieć, nie będzie już tajny zbyt długo. W każdym razie nie całkowicie. Musimy to powoli przekazywać prasie. Trzeba poinformować opinię publiczną.

— Naprawdę? Już tak daleko zaszliście?

— Nie uwierzysz! Ciekawe, że akurat teraz dzwoniysz, bo wczoraj wieczorem o tobie myślałem. I o twojej byłej narzeczonej. Mignęła mi przez chwilę w Paryżu, w zeszłym tygodniu na kongresie. Chyba najlepiej by się nadawała, żeby napisać kilka kluczowych artykułów o naszych badaniach.

— Frank, to zdumiewające. Odkąd zerwaliśmy zaręczyny, Carla nie dawała znaku życia, ale wczoraj wieczorem pojawiła się w mieście i rozmawialiśmy o tobie i twoich badaniach. Była bardzo zainteresowana.

— Naprawdę? Posłuchaj. Co byś powiedział na to: Dei Sasso... Pamiętasz Dei Sassa?

— Nie miałem okazji go poznać, ale opowiadałeś mi.

— No właśnie. Otóż jutro Dei Sasso będzie robił coś szczególnego w naszym laboratorium. Może wpadlibyście z Carla? Mielibyście okazję przekonać się na własne oczy, jak daleko zaszliśmy. Pamiętasz, jak dojechać?

— Tak sądzę. O której?

— Rozpoczyna się o 10.00 rano, więc powinniście być tutaj najpóźniej o 9.30. Szczerze mówiąc organizujemy to specjalnie dla kogoś, kto właśnie przybył z... No, ale jutro sam zobaczysz. Właściwie nawet miałem do ciebie dzwonić, bo ten ktoś bardzo chciałby się z tobą zobaczyć. To twój wielki fan.

— A któż to mógłby być? No dobrze, będziemy. Do zobaczenia o 9.30.

— Aha, Ken, jeszcze jedno. Tam naokoło jest pełno ludzi z ochrony. Środki ostrożności. Zostawię im wiadomość, żeby was wpuścili.

*

Kiedy Ken zadzwonił, Carli nie było. Odtelefonowała zaraz po lunchu.

— To co, chcesz zobaczyć jutro swojego sowieckiego kolegę? — zapytał.

— Słuchaj no, panie Zawodowy Błaźnie, to zbyt poważna sprawa, żeby tak sobie żartować.

— Ja nie żartuję.

Usłyszał, jak gwałtownie nabrała powietrza.

— Nie?

— Nic podobnego. Zabrałbym cię z hotelu jutro o dziewiątej rano. Obiecuję nie wjeżdzać w żadną przepaść.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem...

— Wiesz co, może ja podjadę pod twój dom. Potem będę za tobą jechać swoim wozem, tak mi chyba bardziej odpowiada. Naprawdę mnie nie nabierasz?

— Carla, Carla, co ja mam z tobą zrobić? Gdzie twoje zaufanie? Kiedy superagent Inman jest na tropie, powinnaś wiedzieć, że sprawa jest przesądzona! Jutro dowiesz się wszystkiego, co chciałaś. Zaproszono nas oboje, żebyśmy zobaczyli, co Dei Sasso wyczynia w laboratorium, a jak wiesz, jest to ulubione medium Franka. I znów okazuje się, że miałaś rację. Jestem prawie na sto procent pewny, że spotkamy tam twojego sowieckiego kolegę.

— Fantastycznie, Ken! — była wniebowzięta.

— Aha, ale to nie wszystko — dodał rzeczowym tonem. — Jesteś w stanie przyjąć jeszcze inne dobre wieści?

— Jeśli będą jeszcze lepsze niż te dotychczas, to tylko dowiedzie, że mnie nabierasz. Nic już lepszego nie może być!

— Frank mówi, że mają zamiar puszcząć pewne wiadomości do prasy, i chciałby, żebyś napisała kilka artykułów. I co?

— Teraz już przekreśliła swoją wiarogodność. Nie wierzę ani jednemu słowu z tego, co mówiłaś.

— Carla, to prawda, co do słowa.

— Więc i tu miałam rację. Mówiłam ci, że Frank będzie chciał cię jeszcze raz zaangażować. To wszystko przez to.

— I ty, i ja wiemy, że to się nie stanie. I nie chcę mu robić żadnych nadziei. Wprowadzę cię tam tylko, a potem zostaniesz już sama. Taka była umowa, prawda?

— Prawda.

— No, to dobrze. Czyli zobaczymy się tutaj jutro rano o 9.15. To jest jakieś dziesięć minut jazdy stąd, a mamy tam być o 9.30.

— Będę. I dzięki, Ken. Naprawdę bardzo dziękuję.

*

Biuro generała Nikołaja Gorkiego znajdowało się na drugim piętrze nowoczesnego wieżowca, do którego KGB przeniosło się latem 1972 roku. Wielki budynek na planie półksiężyca ukryto za gęstą ścianą lasu przy obwodnicy moskiewskiej, podobnie jak w przypadku odizolowanej od świata siedziby Centralnej Agencji Wywiadowczej koło Waszyngtonu. Był zresztą podobnie do siedziby CIA rozwiązany architektonicznie. Gorki należał do tych nielicznych, którzy przeszli całą drabinę hierarchii, jeszcze w budynku Wszecchrosyjskiej Kompanii Ubezpieczeniowej na moskiewskim Placu Dzierżyńskiego, który osławiona Czeka, poprzedniczka KGB, przejęła w 1918 roku. Gorki bardzo się cieszył, że nie urzęduje już w wiekowym budynku. Wielu oficerów KGB miało tam swoje biura, zresztą wraz z siedzibą osławionego więzienia na Łubiance, w którym Gorki startował jako strażnik więzienny. Tam nauczył się ekskluzywnej sztuki wydobywania za pomocą tortur takich zeznań, jakie aparat państwowy chciał usłyszeć, bez względu na ich faktyczny związek z rzeczywistością. Od tamtego czasu przeszedł długą drogę, by w końcu stać się zwierzchnikiem elitarnych oddziałów komandosów szkolenych do walki parapsychologicznej. O istnieniu tych oddziałów nie wiedzieli nawet czołowi sowieccy przywódcy, poza samym szefem KGB, Sekretarzem Generalnym KPZR i kilkoma bliskimi współpracownikami.

W okresowych raportach dla zwierzchników Gorki zawsze wykazywał zrozumiałą i pozornie uzasadnioną pewność siebie. Jednak w tej chwili nie mógł przetrwać upokarzającego spotkania z dwoma najpotężniejszymi postaciami Kremla, spotkania, które przeciągnęło się aż do wczesnych godzin rannych. Musiał przyznać, że to prawdopodobnie Amerykanie zabili ich trzy najlepsze media. Na dobitkę najbardziej inteligentny i pożyteczny parapsycholog sowiecki uciekł sprzed nosa dowódcy parapsychologicznych oddziałów bojowych i dwóch najlepszych agentów i pracuje teraz dla Amerykanów.

Gorki nie miał w tej chwili ochoty nikogo widzieć, ale sprawa była pilna, a czas naglił. Pułkownik Aleksiej Czernow też nie miał nastroju do cierpliwości i uprzejmości. Dopiero co zdjęto mu szwy. Dwie długie blizny, nadal brzydkie i czerwone, wciąż za bardzo rzucały się w oczy jak na człowieka, który powinien umieć mieszać się z tłumem. Jedna ciągnęła się od nosa po lewy policzek, druga przecinała szyję pod podbródkiem. Jeszcze kilka milimetrów, a rozcięcie uszkodziłoby tętnicę szyjną.

Dwóch pysznych, lecz teraz upokorzonych i rozjuszonych mężczyzn stanęło twarzą w twarz w biurze Gorkiego. Obaj wiedzieli, że w operacji coś poszło fatalnie, ale żaden nie chciał tego przyznać, a tym mniej wziąć na siebie odpowiedzialność.

— Mielicie w Paryżu rozkazy - i nie wywiązaliście się.

Gorki z bólem wypowiadał te słowa, wiedząc, że porażka podwładnych obciąża w rezultacie jego samego.

Czernow stał sztywno wyprostowany.

— Nie będzie już więcej porażki, chyba że amerykańska. Nigdy nie ufałem metodom, za pomocą których Chorew chciał penetrować CIA przez projekcję świadomości. Dokończymy misję na miejscu. Nie mam wątpliwości.

— Nie macie się co tak puszyć — ostrzegł Gorki. — Wiecie, że nadmierna pewność siebie nieraz prowadziła do przegranej silniejszego.

Czernow kiwnął głową z ponurą miną i przestąpił z nogi na nogę.

— Nie będę nadmiernie pewny siebie, będę tylko pewny siebie, i nie bez powodu. Biorę dwóch najlepszych ludzi. Dokonamy niemożliwego.

— Zapomnieliście o mężczyźnie w kapturze? Z najnowszych informacji, jakie do nas dotarły, wynika, że jest wyjątkowo niebezpieczny!

— Zniszczymy go.

— Chcę Chorewa żywego, pamiętajcie. Otrzymaliśmy potwierdzenie, rzeczywiście pracuje z Leightonem. Zakwaterowali go w tej bazie w Pało Alto. To twierdza!

— A ja chcę go widzieć martwego, dziewczynę zresztą też, ale wiecie, że słucham rozkazów.

— Na kobiecie, która mu pomogła, możecie się zemścić, jak się wam podoba. Nazywa się Carla Bertelli. Zapewne agentka CIA. Dziennikarstwo to przykrywka. Już jest w Pało Alto. I pamiętajcie — generał wstał. — Chcę Chorewa żywego, ma tu stanąć przede mną, tak jak was widzę! Osobiście wypoczę i wykrwawię z niego wszystkie zeznania.

Podniósł z biurka wielką, wypchaną kopertę i podał pułkownikowi.

— To wasze dane osobowe, paszporty, instrukcje dla was i waszych ludzi. Spodziewają się was w konsulacie w San Francisco, ale poza tym o niczym nie wiedzą. Pułkownik Łucki będzie tam mianowany doradcą. Składacie raporty wyłącznie jemu lub mnie osobiście. I oby tym razem się wam powiodło, drogi towarzyszu!

W środku

Gęsta mgła, która w nocy napłynęła znad oceanu i otuliła nadmorskie wzgórze, rozmywała się w ciepłych promieniach porannego słońca. Kilka ociągających się wstążek pary zamazywało tu i ówdzie przejrzystość powietrza, nadając listowiu i kwieciu drzew i krzewów subtelny świetlisty połysk. Nadzwyczajny urok tego poranka zdawał się jedynie wzmacniać mieszaninę rozgoryczenia i nadziei, jakiej dał się ogarnąć Ken. Pomimo że już dawno stracił wszelkie złudzenia co do odzyskania Carli, ich krótkie spotkanie poprzedniego wieczoru poruszyło tłumione uczucia, o których sądził, że wygasły, i których nie chciał teraz podsycać.

Wyjechał z garażu i puścił swojego jeepa cherokee w dół stromym podjazdem. Akurat zza zakrętu wyłoniła się Carla w wynajętym chryslerze. Zatrzymała wóz w ślepej uliczce i czekała na niego.

— Idealny czas! — zawołał, kiedy do niej podjechał. — Jedź za mną, za parę minut będziemy na miejscu.

Poprzez labirynt krętych uliczek stawersowali pagórkowatą dzielnicę willową i w końcu znaleźli się na głównej drodze. Ken skręcił w lewo i pojechał w kierunku nadmorskich wzgórz. Kiedy się do nich zbliżali, ogarnęła go fala wspomnień. Właśnie dlatego zawsze unikał tej trasy. Za niecałe dwadzieścia kilometrów jest skała, z której spadł. Był tam tylko raz od owego pechowego dnia. Kiedy spoglądał w dół, w przepaść, przepełniło go uczucie bojaźni wymieszanej z wdzięcznością: fakt, że przeżył, to prawdziwy cud. A przecież w rezultacie makabrycznego spadku, który miał skończyć się śmiercią, Ken znalazł nowe życie; tak różne od życia, jakie wiódł do tamtego dnia, jak różny jest dzień od nocy.

Po jakichś dwóch kilometrach krętej autostrady oba wozy skręciły w prawo, na nowo zbudowaną wąską drogę ze znakiem: *Teren prywatny. Wstęp wzbroniony*. Po kolejnych dwóch kilometrach kluczenia przez gęsty las młodych sosen wjechali w drzewostan potężnych sekwoi. Była to jedna z nielicznych grup, którym dzięki spóźnionej interwencji władz udało się przetrwać bezmyślną rzeź tych starożytnych gigantów w dziewiętnastym wieku. Wkrótce pojawił się o wiele większy i najwyraźniej niedawno wykonany znak: *Zastrzeżona posiadłość rządowa. Wstęp wzbroniony!* Podjechali na strome

wzniesienie. Drzewa rozstały się, ukazując rozległą polanę. Meandry drogi wyprostowały się nieco: trasa wiodła wzdłuż trzymetrowej wysokości muru, którego nie było tu jeszcze, gdy Ken ostatnim razem odwiedził tajną bazę. Gdyby nie zwoje drutu kolczastego na szczycie muru, bazę można by uznać za pozostałości średniowiecznej twierdzy otoczonej fosą.

Ken zjechał w lewo, w stronę wąskiej bramy wjazdowej. Nie było żadnych oznaczeń, które by wskazywały, jakaż to działalność rządowa może mieć tutaj miejsce. Ciężka, solidna stalowa brama miała niemal wysokość muru i pozwalała ujrzeć jedynie kilka wierchołków drzew rosnących wewnątrz. W mur wbudowano umocniony posterunek straży, w którym przebywało dwóch mężczyzn z bronią automatyczną, w kamizelkach kuloodpornych na cywilnym ubraniu. Jeden zbliżył się do wozu Kena, drugi został w środku, obserwując wszystko z uwagą.

— Doktor Inman? — zapytał strażnik.

— Zgadza się.

— Proszę o dowód tożsamości.

Schylił się i zajrzał do samochodu, penetrując wzrokiem wnętrze.

— A tam za panem, to pani Bertelli?

Ken skinął głową.

— Zechce pan otworzyć bagażnik?

Nastąpiło krótkie przeszukanie, potem padło wypowiedziane rzeczowym tonem polecenie zamknięcia. Tej samej procedurze poddano Carłę. Po chwili wielka brama otworzyła się powoli i zamknęła ze zdumiewającą precyzją, gdy tylko oba samochody znalazły się wewnątrz.

W odległości około pięćdziesięciu metrów przed nimi, na samym końcu szerokiej alei wysadzonej po obu stronach kwiatami i egzotycznymi krzewami, znajdował się główny budynek: jednopiętrowa, ciężka konstrukcja z wieloma oknami i ciężkimi drzwiami wejściowymi ukrytymi za kamiennym murkiem wysokości półtora metra. Rozległy trawnik, który rozciągał się przed nimi na lewo i na prawo, okalały jeszcze inne budynki, niskie, wznoszone bez żadnego wyraźnego planu. Od ostatniej wizyty Kena bazę znacznie powiększono. Przypominała teraz gigantyczną podkowę, otwartą na - jak im się zdawało - jedyną bramę w masywnym, wysokim murze otaczającym posiadłość.

Podjazd rozszerzał się przed głównym budynkiem tworząc po dwanaście miejsc do parkowania dla gości po obu stronach wejścia. Ken i Carla zostawili tam samochody i pieszo przebyli krótką odległość dzielącą ich od drzwi, pod czujnym okiem dwóch innych strażników, również odzianych w kuloodporne kamizelki, z bronią automatyczną przewieszoną przez ramię.

— Ot, takie sobie najzwyklejsze laboratorium parapsychologiczne — szepnęła Ken z udawaną naiwnością. — Dlaczegoż od razu podejrzewać, że CIA

mogłaby mieć coś wspólnego z tą niewinną działalnością na małą skalę!

— Wiedziałam, że c o ś się za tym kryje — odparła Carla cicho. — Ale to tutaj jest nie do wiary! Niepodobne do żadnego laboratorium parapsycho-logicznego, jakie udało mi się do tej pory oglądać!

— Mogę prosić o pani torebkę? — zapytał przepraszająco jeden ze strażników, kiedy podeszli do drzwi. — Czysta formalność.

Kiedy dokonywał inspekcji, jego towarzysz przesunął po nich detektorem metalu.

— W porządku. Proszę wejść. Doktor Leighton państwa oczekuje.

Leighton czekał w niewielkim hallu, tuż za ciężkimi dębowymi drzwiami, które - jak podejrzewał Ken - musiały mieć stalowy rdzeń. Kiedy weszli, Leighton podbiegł do nich, szeroko rozwierając ramiona. Potrząsał energicznie dłońią Kena i wykrzykiwał:

— Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczył twój telefon, Ken! Tak się cieszę, że znów jesteśmy w kontakcie, że znów się interesujesz! Twoja wiedza z pewnością by się nam przydała! I Carla! Cóż za cudowna niespodzianka!

Odwrocił się, żeby ją serdecznie przywitać. Z wahaniem podała mu dłoń. Potrząsnął nią lekko, a potem przytrzymał jeszcze chwilę w swoich dłoniach.

— Miałem zamiar rozmawiać z tobą jeszcze w Paryżu, ale musiałem nagle wyjechać. Ale ty - proszę! - jesteś tutaj!

Potem zwrócił się do obojga, przepraszającym tonem:

— Mam nadzieję, że te ścisłe wymogi bezpieczeństwa nie okazały się dla was zanadto uciążliwe. Zwykła ostrożność.

— Czyżby znów dawna paranoja co do Sowietów, Frank? — Ken potrząsał głową z lekką dezaprobatą. — A ja sądziłem, że mamy teraz *glasnost*, pokój, miłość, braterstwo, rozbrojenie i te wszystkie wspaniałości.

— Bo mamy! — odparł Leighton spoglądając na Carle. — Uczyniliśmy jednak pewne ustępstwa na rzecz normalnego świata bomb i kul. Ale nie na długo! To, nad czym tutaj pracujemy, przyniesie długi i trwały pokój całemu światu, to wcale nie slogan. I wcale nie po dziesięcioleciach czy po latach. To kwestia m i e s i ę c y!

— Jeśli potrafisz to osiągnąć, Frank — powiedział Ken szczerze — to masz po swojej stronie i mnie, i wszystkich. Bardzo bym chciał wiedzieć, jak zamierzasz to zrobić. Przyjechaliliśmy tu chyba właśnie po to, żeby się tego dowiedzieć.

— A ja dopiero mam dla was niespodziankę! — oczy Franka błyszczały. — Zapiąć pasy i czekać!

Dał znak, żeby szli za nim, i powiodł ich długim korytarzem. Zatrzymali się przy pierwszych drzwiach po prawej.

— Wstąpmy na chwilę do mojego biura.

Położył rękę na klamce i odwrócił się do Carli:

— Jesteś gotowa na niespodziankę? Ktoś tam w środku bardzo chce się z tobą zobaczyć. Ciekawe czy zgadniesz.

Wyglądała na zakłopotaną. Potrząsnęła głową. Chyba nie byłoby dobrze dać mu poznać, że podejrzewa, iż Chorew tutaj jest, i że przyjechała właśnie z jego powodu.

Leighton otworzył drzwi i wszedł pierwszy. Szczupły mężczyzna średniego wzrostu, o czarnych, przedwczesnie siwiejących włosach i słowiańskich rysach, zerwał się z kanapy naprzeciwko wielkiego biurka i z otwartymi ramionami podbiegł do Carli.

— Pani Bertelli!

— Doktor Chorew!

Nastąpił krótki, serdeczny uścisk, a potem chwila krepującej ciszy.

— Nie pozwolili mi się pożegnać — powiedział w końcu Wiktor. — Bardzo mi przykro. Ale wszystko pani wyjaśnili, prawda?

Carla już miała powiedzieć: „Nic podobnego”, ale rzuciła okiem na Leightona i instynktownie przełknęła te słowa.

— To cudownie, że jest pan cały i zdrowy! — wykrzyknęła. — To najważniejsze.

Wiktor znów otoczył ją ramieniem i zwrócił się do Leightona:

— Nie wyobrażasz sobie, cóż to za odważna kobieta! Gdyby nie pani Bertelli, nie byłoby mnie tutaj!

Leighton wskazał na Kena.

— Wiktorze, to jest Ken Inman, człowiek, którego chciałeś poznać. Prawdę mówiąc, to on jest tym geniuszem, który wymyślił Psitron.

— To wielki zaszczyt poznać pana — powiedział Ken z entuzjazmem. Wyciągnął rękę i potrząsnął serdecznie dłońią Wiktora. — Od lat śledziłem pańską pracę, na tyle, na ile do nas docierała. Czytałem wszystkie pańskie publikacje wydane na Zachodzie.

— To wielki zaszczyt poznać pana, doktorze Inman. Doktor Leighton opowiadał mi o pańskich badaniach i o tym potwornym wypadku. Przyjechałem dopiero wczoraj w nocy i nie mogę się doczekać...

— Dajmy sobie spokój z tym „doktorowaniem”, co, Wiktorze? — wtrącił się Leighton wesoło. Wiktor przyjął upomnienie skinieniem głowy i odwzajemnił uśmiech Leightona. Najwyraźniej już wcześniej przechodzili podobną procedurę.

— Jeszcze pięć minut, Frank! — przenikliwy, lekko chropawy głos należał do wysokiej, szczupłej, atrakcyjnej kobiety około czterdziestki, ubranej w biały fartuch. Mignęła na chwilę w drzwiach i zniknęła gdzieś w głębi korytarza.

— Chodź no tu, Kay! — zawołał za nią Leighton. Z uśmiechem pojawiła się w progu, a potem postąpiła dwa kroki do środka gabinetu.

— To Kay Morris — powiedział Leighton. — Szefowa laboratoriów, zawsze ma ostatnie słowo.

— Może daj mi to na piśmie — roześmiała się kobieta. — Ale będzie bal!

— Kay zawdzięczamy parę naprawdę fantastycznych osiągnięć — odparł Leighton, dziwnie wylewnym tonem. W Carli niespodziewanie ożyły dziennikarskie instynkty śledcze. Jako wykładowcę, w dodatku nieszczególnie przystojnego, Leightona zawsze uważano w Stanford za oziębłego uczuciowo. A jednak między nim i Kay było jakieś nietypowe ciepło, jakby zachodziły tam intrygujące procesy chemiczne, o wiele intensywniejsze niż choćby najbardziej przyjacielski stosunek między zwierzchnikiem a podwładnym.

To by jednak nie wystarczyło, by głębiej zainteresować Carłę, gdyby nie jeszcze co innego, co przyciągnęło jej uwagę, kiedy Leighton przedstawiał wszystkich Kay Morris.

— Kay, nie poznałaś jeszcze doktora Wiktora Chorewa. Dopiero co przybył ze Związku Sowieckiego. Przyłącza się do naszego zespołu.

Wiktor skłonił głowę, a uśmiech na twarzy Kay zamarł nagle, gdy spojrzała na niego po raz pierwszy. Prędko jednak doszła do siebie.

— Chyba nie mówisz o parapsychologu światowej sławy! — wykrzyknęła lekkim tonem.

— Otóż to! — kontynuował Leighton z entuzjazmem. — To jest właśnie ów Wiktor Chorew, prosto z bazy, którą tak dobrze znamy, na północy Moskwy. Będzie cennym nabytkiem dla naszej ekipy i wiem, że ogromnie nam pomoże.

— Jestem tego pewna — odparła Kay. Potem zwróciła się do Wiktora, bez zbytniego entuzjazmu: — Cieszę się na naszą współpracę, doktorze Chorew.

Coś było nie w porządku, ale Carla nie potrafiła tego sprecyzować. „Może ma bzika na punkcie Sowietów? A może czuje, że światowej klasy parapsycholog-mężczyzna zagrozi jej pozycji w bazie? A może ja się daję ponosić swoim reporterskim instynktom? Nie wiem, ale coś w tym jest...”

— A to Carla Bertelli, dziennikarka — mówił właśnie Leighton. — Na pewno czytałaś jakieś jej publikacje.

Kay zdołała się zmusić do bardziej przekonującego uśmiechu niż w przypadku Wiktora, odwrócenie uwagi od niego zdawało się wręcz sprawiać jej ulgę.

— Rzeczywiście, czytałam. Wyjątkowo wnikliwe. Bardzo mi przyjemnie panią poznać.

— No i w końcu postać bynajmniej nie poślednia — kontynuował Leighton, tym razem szybciej, spoglądając na zegarek — czyli Ken Inman, który kilka lat temu wynalazł Psitron i chce zobaczyć, do czego już doszliśmy.

Kay wyciągnęła dłoń.

— Myślę, że będzie pan zdumiony — oświadczyła z niekłamany entuz-

jazmem — kiedy pan zobaczy, jak daleko się posunęliśmy dzięki pańskiemu niezwykłemu urządzeniu, no i paru naszym własnym innowacjom.

— Czekam na to z niecierpliwością— odparł Ken.

Kay powtórnie skinęła głową pod adresem każdego z nich.

— To wielki zaszczyt poznać państwa — powiedziała serdecznym tonem. Spojrzała na zegarek i dodała: — Bardzo przepraszam, ale muszę wracać do laboratorium. Zobaczymy się już tam. Za jakieś dwie minuty — ostatnia uwaga była skierowana do Leightona.

Odwróciła się i szybkim krokiem opuściła biuro.

— Doktorat z robotyki w Massachusetts Institute of Technology — powiedział Leighton z wyraźną dumą. — Inteligentna, bardzo pracowita. Zatrudniłem ją trzy tygodnie temu i to chyba najmądrzejsza rzecz, jaką udało mi się w życiu zrobić. Odkąd tu jest, wszystko ma ręce i nogi... — zawiesił głos, jakby się wystraszył, że zabrzmiał zbyt wylewnie. — Nie muszę wam chyba tłumaczyć związku między problematyką sztucznej inteligencji, w której Kay jest ekspertem, a naszymi pracami.

Ruszył w stronę drzwi, dając znak, żeby szli za nim.

— Później porozmawiamy dłużej. Człowiek, którego chcę wam przedstawić, to Antonio Dei Sasso, najniezwyklejsze medium na świecie. Już jest w laboratorium, przygotowuje się. Antonio jest bardzo czuły na punkcie punktualności, więc musimy się pośpieszyć.

Wyprowadził ich na korytarz, a za najbliższym rogiem skęcili w prawo. Carli wciąż coś nie dawało spokoju. „Założmy, że Frank i Kay mają romans. Nie jest to wprawdzie moja sprawa i - jeśli o mnie chodzi - to życzę im szczęścia, którego Frankowi ewidentnie potrzeba. Do stresu wynikającego ze związku z przełożonym należy jeszcze dodać stres związany z pełnieniem obowiązków, no a teraz jeszcze wielka niewiadoma: przybycie nieznanego Wiktora... Tę jej reakcję na Wiktora można by chyba uznać za całkowicie naturalną.” Chwilowo odłożyła do akt wszystkie te wrażenia i zdecydowała, że nie pozwoli im wpływać na swój stosunek do nietuzinkowej kobiety.

Serdeczny głos Leightona znów przyciągnął jej uwagę.

— Antonio to pierwszy przypadek w pełni wykorzystujący Psitron. Już od dwóch lat działa pod kierunkiem Archontów. Oni mają program kształcenia innych mediów, w zasadzie jest to plan na skalę światową.

— Macie kontakt z Archontami?! — zapytał Wiktor, patrząc na Leightona z nagłą konsternacją.

— Chyba ci już mówiłem.

— Zaprosiłeś mnie do przyłączenia się do „Planu Archont”, ale nie miałem pojęcia... — Wiktor był wyraźnie przestraszony.

Zatrzymali się przed drzwiami z napisem *Laboratorium 1. Czerwona lampka nad nimi wyświetlała ostrzeżenie: Trwa eksperyment.* Leighton popatrzył

na Wiktora z zatroskaniem:

— Czy nieustanny kontakt z Archontami i przyjmowanie ich wskazówek będą ci przeszkadzać?

Wiktor zawahał się.

— Nie wyrządzili wam żadnych szkód?

— Szkód?! — Leighton roześmiał się. — Nic podobnego! To nasi mento-
rzy. To jest właśnie istota całego planu. Zapomnij o wszelkim kontakcie, jaki
być może miałeś z nimi w Rosji. Jesteś teraz po naszej stronie i nie ma się
czego bać.

Wiktor jakby się uspokoił.

— To by co nieco wyjaśniało. Chyba zaczynam rozumieć, czego napraw-
dę oczekiwałem po wyjeździe na Zachód.

Leighton oparł rękę na ramieniu Wiktora i wskazał na Kena.

— Mój przyjaciel niegdyś sądził, że Archonci to demony marzące o
nikczemnych wyczynach. Myślę, że to, co za chwilę zobaczymy, będzie dla
was niezbitym dowodem, że to naprawdę inteligencje na wysokim poziomie
rozwoju ewolucyjnego, które chcą uratować ludzkość przed samozagładą.

— Uwierzę, jeśli zobaczę — powiedział Ken ze szczerym uśmie-
chem. — Więc popatrzmy, co potrafi ten Dei Sasso. Po to tu przyszliśmy,
prawda?

— Otóż to! — Leighton promieniał. Położywszy palec na ustach, pchnął
drzwi.

Antonio Del Sasso

Carla z trudnością opanowywała podniecenie, gdy Leighton wprowadził ich do olbrzymiego, wysokiego pomieszczenia. Wciąż nie mogła uwierzyć, że udało się zlokalizować Wiktora Chorewa, a na dobitkę dostać zaproszenie do supertajnego ośrodka badań parapsychologicznych, o którym była już w stu procentach przekonana, że jest sponsorowany, a zapewne i kierowany, przez CIA! Czyżby jej oczekiwania były zbyt wygórowane, a wyobrażenia za- nadto pobudzona, czy też jest to naprawdę temat wart nagrody Pulitzera? Tak czy inaczej, musi zachować obiektywizm, który pozwoli jej na publiczne za- prezentowanie faktów, nie może dać się zwieść złotoustemu Frankowi. Dobrze wie, że ocena zjawisk parapsychologicznych to śliska sprawa. Od- dzielenie znikomej w tym przypadku autentyczności od oceanu fałszerstwa nigdy nie jest łatwe.

Znalazszy się w gigantycznym laboratorium, Ken na próżno szukał wzro- kiem „wyrzutni raketowej w przestrzeń wewnętrzną”, którą wynalazł i którą Leighton nazwał Psitronem. Nigdzie nie było tego widać.

Leighton zauważył zagadkę na twarzy Kena i wyjaśnił szeptem:

— Psitron jest w innym laboratorium. Del Sasso już go nie potrzebuje. Od razu przechodzi do Omega. Zaczęliśmy przyuczać dwóch następnych. To początek. Pewnego dnia będzie takich tysiące, a w końcu miliony - wszyscy ze zdolnościami Dei Sassa, w każdym kraju świata. To fantastyczne, Ken, fantastyczne!

Pośrodku ściany, naprzeciw wejścia, znajdowała się platforma, na której stał tylko potężny, miękki fotel z wygodnymi poręczami i wysokim oparciem. Przypominał właściwie tron i nie pasował do laboratorium doświadczalnego. Na takim to wyniosłym miejscu, w pozycji jogi, zasiadał mężczyzna. Olbrzy- mi wzrost i władcze rysy twarzy nadawały mu przerażający wygląd, nawet teraz, gdy znajdował się w stanie głębokiej medytacji. Długi mniszy habit z kapturem miał barwę najgłębszej czerni, podobnie jak szerokie brwi i gęsta, krótko przyszyżona broda. Leighton nie musiał bynajmniej poznajmiac, że kontrowersyjna postać to słynny ojciec Antonio Dei Sasso.

„Człowiek w kapturze!” Wiktorowi zaparło dech. „Więc Jaków rzeczywi- ście trafił do tej bazy! Czy zabił go Del Sasso, czy Archonci? A może to jed-

no i to samo." Poczul na sobie wzrok Leightona i z całej siły próbował opanować emocje.

Kay Morris ledwo dostrzegalnie skinęła głową w stronę Leightona, a potem powróciła do niezmiennie efektywnego kierowania pracą dwóch asystentów. Jeden przygotowywał zdalnie sterowaną, ustawioną na ruchomym statywie kamerę wideo klasy telewizyjnej, drugi robił coś przy komputerze, stojącym obok całego zestawu grafów i monitorów ze wskazówkami. Ken zauważył, że do Dei Sassa nie podłączono żadnych przewodów. Zastanawiał się, co w takim razie będzie mierzone. Leighton znowu domyślił się niemego pytania i odpowiedział szeptem:

— Antonio wytwarza nieprawdopodobne pole elektromagnetyczne i siłę antygravitacyjną, i jeszcze jakieś dziwne siły, których jak dotąd nie potrafimy sklasyfikować. Później to wyjaśnię.

Potem zwrócił się do pozostałych:

— Nie uwierzycie własnym oczom!

Na niewielkim wózku widłowym, przyciągniętym przez obu asystentów z jakiegoś magazynu po przeciwnej stronie laboratorium, wjechało kilka ciężkich przedmiotów. Ułożono je starannie przed Dei Sassem, w odległości około pięciu metrów. Był wśród nich pusty bęben na olej pojemności 200 litrów, silnik benzynowy z jakiegoś przestarzałego modelu samochodu, ustawiony na płozach, wielki silnik elektryczny, ustawiony w podobnej pozycji, oraz sztanga z nałożonymi na nią ciężarami, która - jak szeptem zapewnił Leighton - ważyła „dobre pół tony!”

Kiedy wszystko stało już na swoim miejscu według jej życzenia, Kay Morris dała znak asystentom, żeby stanęli obok niej, za przepierzeniem z grubej stali, które otaczało monitory i urządzenia kontrolne. Potem cichym głosem zwróciła się do medytującego medium:

— Jesteśmy gotowi, ojcze Dei Sasso.

Nastała długa, prawie namacalna cisza. Carla i Wiktor rzucali w stronę Leightona zatrwożone spojrzenia. Odpowiadał na nie krótkim, uspokajającym uśmiechem. Niespodziewanie bęben na olej niewidzialną siłą został uniesiony w górę. Utrzymywał się w powietrzu bez ruchu jakieś trzy metry nad posadzką. Trwało to całą minutę. Potem, z ogłuszającym niby przekroczeniem bariery dźwięku odgłosem, zwinął się w kulę i spadł na podłogę.

Wiktor i Carla oniemieli. Popatrzyli na siebie, a potem na Leightona. Uśmiechał się i kiwał głową w ich stronę. Wyraz twarzy Kena nie zmienił się. Niewzruszony i pograżony w myślach, unikał spojrzeń pozostałych.

Za chwilę silnik samochodowy ryknął i rozterkotał się do szybkiego, miarowego pustobieg. Silnik elektryczny także się uruchomił. Żaden przewód ani kabel nie łączył go ze źródłem energii elektrycznej. Sztanga uniosła się z podłogi i zaczęła wznosić się coraz wyżej. Z triumfującym uśmiechem Leigh-

ton spojrzął na Wiktora i Carlę, którzy osłupieli ze zdumienia.

Ken - podobnie jak Dei Sasso - zamknął oczy. „Ojciec” — modlił się — „w Imieniu Jezusa Chrystusa i poprzez Jego krew przelaną na krzyżu za nasze grzechy, proszę Cię, abys związał demony, które posiadały Dei Sasso, i żebyś obnażył zło, jakie się za tym kryje, i prawdziwe źródło tej mocy.”

Niespodziewanie sztanga jakby zawahała się w swojej przedziwnej lewitacji i zaczęła się chybotać. Najwyraźniej coś poszło nie tak. Wiktor i Carla spojrzeli pytająco na Leightona. Na jego twarzy malowało się pełne niedowierzania osłupienie.

Dei Sasso poruszył się niespokojnie w fotelu i wyraźnie było po nim widać wzrastające zburzenie. Zawieszona w powietrzu sztanga drgnęła i zaczęła się kołysać jak szalona. Nawet widłak bez kierowcy zaczął się poruszać w tę i z powrotem, jak gdyby trzęsła nim gigantyczna niewidzialna ręka. Oba silniki prychały i drgały spazmatycznie, potem przewróciły się na bok i zamarły. W tym samym momencie ciężka sztanga rąbnęła o stalową osłonę wokół elektronicznego sprzętu, odbiła się od niej i roztrzaskała o posadzkę. Zapadła cisza.

Doktor Morris i dwaj asystenci w szaleńczym tempie sprawdzali grafy i monitory komputerów. Leighton zamarł. Dei Sasso otworzył oczy, niczym człowiek budzący się po koszmarnym śnie. Przez chwilę siedział w onieśmiałym bezruchu, świdrując wzrokiem Kena. A potem z jego gardła wyrwał się przeraźliwy ryk, początkowo udręki, potem już tylko wściekłości. Dei Sasso zerwał się na równe nogi, jego oczy płonęły. W oskarżającym geście wymierzył palec prosto w Kena i ryknął:

— To on! Wyrzucić go!

Ken, nieporuszony, bez trudu wytrzymywał to spojrzenie. Wiktor w zdumieniu i przestraszeniu wodził wzrokiem od jednej do drugiej strony pojedynku.

— Lepiej wyjdź — powiedział Leighton zniżonym głosem. — On ma gwałtowny charakter.

— Ja się go nie boję. A ty? — przytyk był bardzo wyraźny.

— Ken, ja tu nie chcę żadnej konfrontacji.

— Wyrzucić go! Już! — zagrzmiął Dei Sasso.

— Wyjdźmy wszyscy — wyszeptał skonsternowany Leighton. Ken bez oporów poszedł za pośpiesznie opuszczającym laboratorium Leightonem, a zaraz za nim — Wiktor i Carla.

Już na korytarzu, oparłszy się plecami o zamknięte drzwi, Leighton zwrócił się do Kena:

— Teraz powiedz: co tam się stało? Dlaczego on mówił, że to ty? Co ty właściwie zrobiłeś?

— A może jest zazdrosny o Kena — zasugerowała Carla nieśmiało. — Ken wynalazł Psitron i pierwszy nawiązał kontakt. Media bywają

bardzo wybuchowe.

— Fakt, Antonio to prawdziwa primadonna — zgodził się Leighton. — Łatwo wybucha. Ale w ten sposób nigdy się nie zachowywał. Z drugiej strony, jeszcze nigdy nie widziałem, żeby mu coś nie wyszło.

Otarł czoło chusteczką i zwrócił się do Wiktora:

— A ty co myślisz?

Wiktor był kompletnie oszołomiony.

— Nie wiem, co się stało, ale czegoś takiego nigdy jeszcze nie widziałem! Siły, którymi dysponuje Del Sasso, są... po prostu... — zrezygnował z dalszego poszukiwania odpowiedniego angielskiego epitetu i bezradnie wzruszył ramionami.

— Skoro dysponuje takimi siłami, dlaczego nie użyje ich wobec mnie? — w zapytaniu Kena znów krył się wyraźny przytyk.

— Co ty właściwie chcesz powiedzieć? — Leighton spojrzał na niego za zdumieniem.

— Że on się mnie boi, i wiem, dlaczego.

— Chyba oszalałeś. On się nie boi nikogo ani niczego, daję głowę. I już ci mówiłem, że nie chcę dopuścić do konfrontacji. Tego rodzaju demonstracji nie chciałbym oglądać. No więc, dlaczego mówił, że to t y?

— Wiem, co miał na myśli, i on wie, że ja wiem. Ale niech sam wam powie. Nie spodobałoby się wam moje wyjaśnienie.

— Ken chyba zakłócił jego koncentrację — myślała głośno Carla.

— Koncentracja nie ma tu nic do rzeczy — odparował Ken. — To bajki.

— Więc co? — nalegał Leighton.

— Frank, mówiłem, zapytaj j e g o .

— Ale ja pytam ciebie. Celowo coś takiego zrobiłeś?

Ken nie odpowiedział. Odwrócił się i powoli zaczął zmierzać w stronę wyjścia. Frank i reszta poszli za nim.

— Ken, ja chcę to wiedzieć! Od ciebie! — nalegał Leighton.

Ken odwrócił się powoli i spojrzał na nich.

— Dei Sasso nie dysponuje żadną mocą parapsychoiczną — powiedział ci cho, patrząc Leightonowi prosto w oczy. — Dajecie się oszukiwać. Fatalnie oszukiwać.

Załamany Leighton zwrócił się do Wiktora i Carli:

— Nie dysponuje mocą parapsychoiczną? — powiedział ironicznym tonem. — Ten człowiek oszalał! Przecież sami widzieliście.

— Owszem, j a k i e ś siły widzieliśmy — odparł Ken. — Bardzo wielkie siły. Ale Dei Sasso nie ma nad nimi kontroli. Właśnie tego dowiodłem. Ludzie nie dysponują siłą mediumistyczną. W żaden sposób nie mogą jej opanować. To iluzja. Archonci posługują się Dei Sassem - i tobą też. Ten człowiek jest opętany, tak jak ja kiedyś.

— Daj spokój, Ken! Sądziłem, że już ci minęło to wariactwo.

— Prosiłeś, żebym powiedział, co takiego zrobiłem. Więc dobrze, powiem. Po prostu bardzo spokojnie, w Imieniu Jezusa, poprosiłem jedynego prawdziwego Boga, żeby związał demony, które urządzają ten show. I widziałeś, co się wtedy stało.

Leighton otworzył usta ze zdziwienia. Przez chwilę był naprawdę wstrząśnięty i zdezorientowany. A potem twarz poczerwieniała mu z wściekłości.

— To zbieg okoliczności! — wyrzucił z pogardą. — Antonio jest bardzo wrażliwy. Wyczuł w tobie wrogie nastawienie i to zakłóciło mu koncentrację. To bardzo subtelna procedura!

— Ken, twoje wyjaśnienie jest idiotycznie dziecinne i w sam raz tobie na rękę! — Carla postanowiła natychmiast zdystansować się od religijnego fanatyzmu. Dziennikarz o światowej renomie musi zachować twarz, zwłaszcza jeśli jest płci żeńskiej.

Zakłopotany Wiktor patrzył i słuchał w milczeniu. Taka rozmowa nigdy nie mogłaby się odbyć w laboratorium w jego kraju! Ken powiedział: opętany. Czyżby mówił o demonach i czy, podobnie jak Dmitrij, jest wierzący?!

W tej właśnie chwili drzwi laboratorium otworzyły się gwałtownie i Del Sasso wypadł na korytarz. Od razu zauważył Kena i znów dostał ataku szału.

— Mówiłem wam: wyrzucić go! — ryknął. — Jeszcze raz go tutaj zobaczę, a z a b i j ę !

— Dlaczego? — zapytał Ken spokojnie. — Dlaczego?

— Precz!! — Dei Sasso ruszył w ich kierunku.

Ken nawet nie drgnął, tylko patrzył prosto w pełne nienawiści oczy medium:

— Nie boję się ciebie. Większy jest Ten, który jest we mnie, o d e m o n ó w , które są w tobie.

Dei Sasso zawył, na pół z wściekłości, na pół z bólu. Leighton chwycił Kena za ramię, odwrócił go i zaczął popychać w stronę wyjścia. Ken nie stawiał oporu. Kiedy skręcali za róg, Leighton odwrócił się jeszcze i krzyknął:

— Dopilnuję, żeby odjechał, Antonio. Już go zabieram. Zaczekajcie na mnie w biurze — dodał pod adresem pozostałych.

Kiedy wciąż popychany przez Leightona Ken zbliżał się do drzwi, usłyszał, jak Carla mówi do Wiktora: „Dobrze, że przyjechaliśmy w oddzielnych samochodach.” Te słowa były jak sztylet wbity w serce.

Już na zewnątrz szli obok siebie, uparcie milcząc. Kiedy doszli do samochodu, Frank położył dłoń na ramieniu Kena.

— Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiłeś!

— Co ci zrobiłem?

— Oszukałeś mnie! Myślałem, że cię to naprawdę interesuje. Inaczej bym cię nie zaprosił.

— Bo mnie interesowało, i nadal interesuje, Frank. I martwię się o ciebie.

— Zdaje mi się, że celowo przyjechałeś, żeby przeszkodzić realizacji programu. Sprowokowałeś Antonia. Nie umiesz się pogodzić z tym, że wykupiłem twój sprzęt, chociaż przecież cały czas miałeś drzwi otwarte do powrotu.

— Nie chcę wrócić. Przyjechałem, bo naprawdę chciałem zobaczyć, co się dzieje. I cieszę się, że przyjechałem. Udało mi się poznać Dei Sassa i to spotkanie tylko potwierdziło moje przypuszczenia. Ostrzegam cię, Frank: zmierzasz ku katastrofie.

— Nie rozumiem, Ken, jak możesz w ten sposób mówić! Gdybyś tylko wiedział, jaki potencjał stoi otworem przed ludzkością, nie tylko przed Del Sassem. Dei Sasso jest pierwszym, ale to szansa dla nas wszystkich!

— Dobrze znam iluzję tej fałszywej obietnicy, Frank. I wiem, kto za tym stoi. Próbowali mnie zabić, i będą próbowali zabić i ciebie, kiedy wypełnisz swoje zadanie i nie będziesz im już do niczego potrzebny.

— Ken, przecież już ci tłumaczyłem. W twoim oryginalnym projekcie była pewna wada. Bardzo niewielki błąd, który każdemu mógłby się zdarzyć, ale na tyle istotny, że właśnie przez niego tak się wystraszyłeś i skończyło się wypadkiem. Archonci pokazali nam tę wadę, powiedzieli, jak ją poprawić. Tak też zrobiliśmy. To nie teoria. Wykazaliśmy, Ken, że to, co powiedzieli, jest zgodne z prawdą. Po dokonaniu tej modyfikacji Antonio nie miał już żadnych problemów, najmniejszych.

— On jest kompletnie opętany!

— Nie chcę już tego słuchać!

— Czy chcesz, czy nie chcesz, taka jest prawda.

— Ken, posłuchaj. Gdybyś tylko zechciał na chwilę odłożyć na bok tę swoją obsesję i przyjrzeć się wszystkiemu na nowo, z otwartym umysłem.

— Przyjrzałem się.

— Ale z tym swoim starym uprzedzeniem. Ken! Już niedługo będziemy potrafili rozwiązać wszystkie problemy ludzkości! Powstanie zupełnie nowy świat, bez ubóstwa, chorób, wojen!

— Au steru władzy będą Archonci, tak?

— Bo co? — nie zaprzeczył Frank. — Coś mi się zdaje, że i w tym dopatrzysz się zaraz czegoś złego! Ale to przecież naturalne. To ich plan i oni dysponują potrzebną wiedzą i siłą. Muszą stać na czele, ale tylko do momentu, aż my nie posiadziemy odpowiedniej siły, żebyśmy mogli podołać temu sami.

— To nie brak siły jest tu problemem, Frank. Sądziłem, że zdajesz sobie z tego sprawę. Wiesz, jak się mówi o dzisiejszym pokoleniu: „giganty nuklearne, karły moralne”. Wiesz o tym. A to niebezpieczne!

Frank zamilkł. Ken wsiadł do samochodu i opuścił okno.

— Kto to są, ci Archonci?

— Pozafizyczne inteligencje w wysokim stadium ewolucji, które od po-

czątku sterowały naszym rozwojem.

— No to chyba nie poszło im to sterowanie!

— Dlatego teraz interweniują żeby zapobiec zagładzie ekologicznej, może i nuklearnej. Jeslibyśmy zniszczyli siebie samych, to by cofnęło I nr|J całej galaktyki.

— Frank, częstujesz mnie najczystszym hinduizmem. Dlaczego to |i dla ciebie do przyjęcia, a chrześcijaństwo nie?

— To nie jest hinduizm. To nauka.

— Doskonale wiesz, Frank. Karma, Mistrzowie z wysokiego stadium ewolucji, siły magiczne osiągane w transie jogicznym - to jest nauka?!

Leighton nie odpowiedział. Odwrócił się i poszedł w stronę wejścia i - wychylił się z okna i zawołał:

— Więc od tej pory jestem *persona non grata*?

Leighton zatrzymał się i odwrócił jeszcze raz.

— Chciałbym, żeby było inaczej, ale jaki by to miało sens? Kolejna umni tura z Del Sassem?

— Powinieneś sobie zadać kilka poważnych pytań, Frank. Na przykład, • się stało z tymi cudownymi mocami Del Sassa? A gdzie są ci Archonci aż tak słabi? Kiedyś o mało mnie nie zabili, a dziś się ich nie boję. Spóźn na fakty, Frank. Ja powiedziałem ci prawdę, powiedziałem ci, co naprawi li, | • biłem tam, w laboratorium: unieruchomiłem Dei Sassa za pomocą zwykłej modlitwy!

Leighton patrzył na niego najpierw ze zdumieniem, potem z politowaniem, u

— Tak wyjątkowy umysł - a kompletnie zrujnowany. Do tego doszedł! Od czasu tego wypadku cierpisz na omamy natury religijnej. Tobie potrzeba lekarza, Ken. Mógłbym się postarać o najlepszą diagnozę psychiatryczną ile czenie.

— Może daj sobie spokój z analizowaniem mojej osoby, a przeanalizować swoje położenie. Pakujesz się po uszy, Frank. Całymi nocami powinieneś zastanawiać, czy Archonci rzeczywiście mówią ci prawdę! Dlaczego li ufasz? Dlaczego nie rozważysz przypadku, że mogą nie być tym, kim twierdzą dą że są? A co by było, jeśli jednak ja miałbym rację?

Leighton patrzył na niego w milczeniu. Potem odwrócił się i bez słowa i po śpieszył do drzwi.

Ken wyprowadził wóz z parkingu i powoli pojechał ku bramie. Ciężka mu niezmiernie troska o Franka i o Chorewa, ogarnął go strach o Carle i do Del Sassa: ten człowiek był uosobieniem zła, zdolnym do wszystkie Archonci trafnie wybrali swoje narzędzie.

Plan

Po powrocie do biura Leighton zastał Del Sassa zrelaksowanego i w przyślepym nastroju. Mnich siedział w wygodnym krześle i rozmawiał z Carla i Wiktorem. Zadawali mu podchwytliwe pytania dotyczące niebezpieczeństw władania zdumiewającą siłą parapsychiczną, czego przykład dopiero co oglądali. Co będzie, jeśli ta siła dostanie się w niepowołane ręce? Jak można w ogóle zapobiec takiej ewentualności, skoro siła parapsychiczna to normalny potencjał ludzki, osiągalny w zasadzie dla wszystkich? Jak wyglądałby świat, gdyby każdy człowiek posiadał tak niebezpieczne zdolności? Przecież byłby to świat czarnoksiężników, którzy może i ruszyliby się nawzajem za pomocą nieograniczonych sił umysłu!

Del Sasso śmiał się z ich obaw i zapewnił, że wbrew obiegowym opiniom o nieograniczonym potencjale ludzkim siła mediumistyczna jest darem dla ludzkości od wyżej postawionych inteligencji, to jest Archontów. Nierozpoznanie i nieuhonorowanie prawdziwego źródła tej mocy jest w rzeczywistości przyczyną nikłego postępu badań i licznych znaków zapytania, które już od końca dziewiętnastego wieku, od momentu jej powstania są plagą dziedziny parapsychologii na całym świecie. Moment przełomowy nastąpił wówczas, gdy tajna baza naukowa kierowana przez Franka Leightona zgodziła się wejść w porozumienie z Archontami i zostać, pod ich kierunkiem, dystrybutorem tej mocy na cały świat. Ta współpraca pozwoliła Amerykanom zostać pracującym na tym polu Rosjan i innych całe lata świetlne w tyle.

Wiktorowi wszystko zaczynało się zgadzać. Nawet pewne krytyczne pytania, które dotąd tak go niepokoiły, zdawały się po drodze znajdować odpowiedzi, nie musiał ich wcale zadawać. Wyjaśnienie przez mnicha roli Archontów idealnie zgadzało się z wnioskami, do których Wiktor doszedł jeszcze w Rosji, a na dodatek wypełniało wszystkie brakujące w układance klocki. Teraz już jasny zdawał się powód powtarzanych raz po raz ostrzeżeń i przerażających wydarzeń, jakich doświadczały w podmoskiewskim laboratorium: niepotrzebnie upierali się przy prowadzeniu badań według własnego widzimisię.

Jednak dla Carli, pozbawionej doświadczeń i wiedzy Wiktora, wypowiedzi Del Sassa były zbyt rewolucyjne, by je przyjąć bez dalszych dowodów. Nie miała oczywiście większych wątpliwości co do autentyczności niezwyk-

lej mocy, jaką się popisał, ale przypisywanie jej źródła tajemniczym bezcielesnym istotom raczej jeszcze bardziej gmatwało problem, niż go rozwiązywało. Kim są ci Archonci, o których Dei Sasso i Leighton mówią tak, jakby ich znali, i o których Wiktor zdaje się co nieco wiedzieć i jakby się ich obawiał? Jakie są ich zamiary i motywy? Niechętnie przypomniawszy sobie pewne wypowiedzi Kena, jeszcze ze szpitala. Żadne demony oczywiście nie wchodzi w rachubę, ale jeśli jednak gdzieś istnieją jakieś wysoko rozwinięte bezcielesne istoty, to czy można wykluczyć, że niektóre z nich mogą być z ł e? Zdecydowała w końcu, że będzie otwarta na wszystko, ale postanowiła nie rozstawać się ze sceptycyzmem, który powinien charakteryzować wszystkich dziennikarzy i ich podejście do każdego relacjonowanego tematu.

— Skąd ten szalenię się tu wziął? — zapytał ostro Dei Sasso, ledwo Frank Leighton pojawił się w drzwiach.

Leighton pokręcił głową z zakłopotaniem i niedowierzaniem.

— To moja wina, że go zaprosiłem. Wybacz, Antonio, nie miałem pojęcia.

— Nawet o tym nie myśl — odparł Dei Sasso z pogardą. — Fundamentalistyczny fanatyk, z paranoją na punkcie demonów. Spotykałem dziesiątki takich, kiedy jeździłem z wykładami w Towarzystwie Jezusowym. Spierali się ze mną podczas przemówień, cytowali mi wersety biblijne, które miały dowodzić, że papież to Antychryst. A kiedy się zgadzałem i mówiłem: „Kto wie, może tak”, to nie znajdowali słów. A nawiasem mówiąc — dodał konspiracyjnym tonem — na pewno wiecie, że już od lat stosunki między jezuitami a papieżem nie układają się zbyt dobrze.

Związił oczy jak szparki.

— Niech tu więcej tego szaleńca nie oglądam!

— Masz moje słowo — powiedział Leighton z przekonaniem, sadowiąc się od niechcenia na swoim wielkim biurku. — A teraz mi wyjaśnij: co się tam naprawdę stało?

Mnich rozparł się wygodnie w fotelu i roześmiał się, patrząc po kolei na trójkę wielbicieli. Status wielkiej osobistości wyraźnie sprawiał mu przyjemność, poza tym jednak mnich tchnął nieodpartą szczerością. Jego czar - kiedy decydował się nim emanować - miał w sobie coś niemal nadprzyrodzonego. „Trzymaj nogi na ziemi, a głowę ponad chmurami — zreflektowała się Carla.

— Byłem właśnie w Omega — mówił Dei Sasso — miałem zamknięte oczy i czekałem, aż Kay da sygnał rozpoczęcia. Wtedy wesłiście wy wszyscy. W tej samej chwili, w której o n wszedł do laboratorium, w i e d z i a - ł e m, że tam jest, choć nigdy przedtem się nie spotkaliśmy. Archonci określili go mianem w r o g a .

Dei Sasso odczekał, aż jego słowa wywrą odpowiednie wrażenie, a potem mówił dalej:

— Starłem się go ignorować i kontynuować ze względu na nich — skinał

głową w stronę Carli i Wiktora. — Ale byłem w takiej harmonii z nieświadomością zbiorową, że jego negatywne myśli oddziaływały jak statyka radiowa, zakłócały częstotliwość, z której czerpałem energię. To mnie wyprowadziło z równowagi. W końcu musiałem zarządzić przerwę i wyrzucić go.

— Nam powiedział, że to on cię zmusił do przerywania — powiedziała Carla. Chciała z ust Del Sassa usłyszeć konkretną odpowiedź, która by na zawsze odebrała rację bytu fundamentalistycznym fantazjom Kena.

Ciepłe, brązowe oczy Del Sassa w jednej chwili zapały wściekłością. Ta nagła zmiana za bardzo kojarzyła się z doktorem Jekyll'em i panem Hyde'em, by podziękować na Carle kojąco. Z drugiej strony słowa mnicha miały wielką siłę przekonywania:

— Dlaczego człowiek potrafi tak kłamać? Prześwietlałem każdą jego myśl: żalosne, archaiczne przesady o *d e m o n a c h* — zatoczył oczami z pogardą, a potem zwrócił się do Wiktora: — Jak się ma ta niewielka demonstracja, której byłeś świadkiem, do poziomu, który udało się wam osiągnąć w Związku Sowieckim?

— Wcale się nie ma. Jesteście daleko na przedzie w porównaniu z tym, do czego udało się nam dojść. No tak, nie da się ukryć, pańskie wyjaśnienie kwestii Archontów jest bardzo trafne — Wiktor pochylił się do przodu i kiwał głową w wyrazie pełnej podziwu zgody. — Potwierdza niewątpliwie wyniki moich własnych badań i wyjaśnia pewne tajemnicze zajścia, jakie miały miejsce w naszym laboratorium. Zapewne wiecie, o czym mówię.

Tego rodzaju potwierdzenie z ust Wiktora zrobiło na Carli wielkie wrażenie, ale nadal nie wiedziała, o czym oni właściwie rozmawiają.

Leighton nie skrywał zadowolenia.

— Więc Antonio wyjaśniał wam kwestię Archontów?

Dostrzegając pytający wzrok Carli, zaproponował Wiktorowi:

— Skoro złączyły was tym razem - powiedzmy sobie - nieco dogodniejszej okoliczności niż w Paryżu, pewnie dobrze by było, gdybyś w wolnej chwili opowiedział Carli o swoich dawnych konfrontacjach z Archontami.

— Więc i ty miałaś z nimi kontakt? — zapytała zdumiona Carla.

— Dali się nam we znaki, i to bardzo mocno — odparł poważnie. — Chciałbym oczywiście uzyskać jakieś dodatkowe poświadczenia, ale jak dotąd wszystko, co doktor Del Sasso...

— „Antonio”, bardzo proszę, a jeśli już koniecznie, to „ojciec Del Sasso” — zaproponował wspaniałomyślnie Człowiek-medium.

— ...więc to, co Antonio powiedział, brzmi bardzo prawdopodobnie — kontynuował Wiktor.

Potem zwrócił się do Leightona.

— Może mógłbym pokazać pani Bertelli... Carli... — przy tej poprawce zaczerwienił się lekko. — Może pokazałbym jej moje wideo.

— Doskonały pomysł! — zareagował Leighton z miną człowieka, który nagle przypomniał sobie, że ma w zanadrzu rozmaite niezwykle niespodzianki. — To by jej wiele wyjaśniło. A to jest bardzo ważne, bo przecież w końcu o mocy, do której Archonci nas przygotowują, świat musi się dowiedzieć.

Zwrócił się do Carli:

— I właśnie w tym momencie wchodzisz ty, oczywiście jeśli się zgodzisz. Porozmawiamy o tym później. To trzeba starannie przygotować.

Pytająco spojrzął na Del Sassa.

— Nie sędzę, Antonio, żebyś miał teraz ochotę wracać do laboratorium i robić wszystko od nowa po tym fatalnym incydencie.

Del Sasso spojrzął na zegarek i pokręcił głową.

— Muszę zaraz być w Laboratorium 4. Zbliża się pora codziennej transmisji, muszę się podłączyć — wstał i uściśnął dłonie Carli i Wiktora. — Bardzo się cieszę, że was poznałem i że będziemy współpracować.

— To wielki zaszczyt — powiedział Wiktor z entuzjazmem.

— Muszę przyznać, że zrobiłeś na mnie wrażenie — dodała Carla. — Czy mam rozumieć, że dajesz wścibskiej dziennikarce kompletną swobodę?

— Właśnie to nam najbardziej odpowiada — zapewnił Del Sasso patrząc jej prosto w oczy. W tym spojrzeniu była taka prostota i szczerość, że nie można było mu nie ufać.

Kiedy Del Sasso opuścił biuro, Leighton obszedł je naokoło i usadowił się na wielkim dyrektorskim krześle za swoim potężnym biurkiem. Nieliczne papiery, które leżały na blacie, były starannie uporządkowane. Nie ulegało wątpliwości, że pod kierownictwem Leightona wszystko chodzi jak w zegarku, a on sam jest osobą bardzo systematyczną. Splótł dłonie na karku i wychylił się do tyłu, co było wyraźną i uzasadnioną oznaką satysfakcji.

— No, to słyszeliście wszystko z samego źródła. Takiego Antonia można ze świecą szukać, prawda? Gdyby was to interesowało, to dodam jeszcze, że w dalszym ciągu pełni normalną posługę jezuickiego kapłana, ale oczywiście w żadnym razie nie zalicza się do grona ograniczonych zwolenników chrześcijańskich dogmatów, zresztą to chyba widać. Zrobił doktorat z orientalistyki. Kiedy go poznałem, już był wybitnym medium. Zdolności rozwinął w Japonii, gdzie studiował buddyzm, wkrótce po wojnie koreańskiej. Od pierwszej chwili wiedziałem, że będzie idealny na Psitron. Więc kiedy Ken miał wypadek i wycofał się, natychmiast wprowadziłem Antonia. Prawie zaraz nawiązał kontakt z „Dziewięcioma”, i od tamtej pory jest to jedna wielka przygoda.

Przerwał na chwilę, żeby wzmóc napięcie, a potem dodał:

— Ale po co o tym rozmawiać? Skoro pozbawiono was możliwości zobaczenia, co Antonio naprawdę potrafi, to teraz czymś was zafrapuję, póki nie ma lunchu. Zgoda?

— F r a p u j e ? — zapytał Wiktor.

— Zdziwię, zaskoczę, zainteresuję — wyjaśniła Carla. — No, no. Czemu nie.

Poklepała Wiktora po ramieniu:

— Nic się nie martw. To takie przeintelektualizowane słowo. Twój angielski jest o niebo lepszy niż mój francuski czy niemiecki. A jeśli interesuje cię mój rosyjski, to potrafię powiedzieć „Zdrastwujtie”, „Doswidanja” i „Kak ty sibia czustwujesz”.

Leighton wcisnął jakiś guzik i odezwał się do sekretarki w pokoju obok:

— Proszę nie łączyć rozmów. Będę dopiero po obiedzie.

Ze stosu równiutko poukładanych na brzegu biurka kaset wyjął jedną, podszedł do odtwarzacza podłączonego do wielkiego odbiornika i włożył ją. Wziął do ręki pilota, wrócił i usiadł obok nich, na długiej kanapie. Włączywszy taśmę, powiedział jeszcze:

— Jeśli będą pytania, zaraz dajcie znać, zatrzymam taśmę.

Film zaczynał się od ujęcia przedstawiającego Del Sassa. Z zamkniętymi oczyma mnich siedział w jakimś pomieszczeniu, w dłoniach trzymał cienki drucik, którym poruszał powon jakby po obwodzie okręgu, w płaszczyźnie poziomej, kilkanaście centymetrów nad mapą w ogromnej skali rozłożoną przed nim na biurku. Nagle jego dłonie przestały się poruszać i zdawały się unosić w powietrzu. Gdzieś z boku podszedł asystent i położył we wskazanym miejscu na mapie wyskalowane urządzenie powiększające. Kamera zbliżenie pobliskiego komputera, na którym ukazały się konkretne współrzędne geograficzne.

Leighton wcisnął pauzę.

— To jedno z pierwszych odkrytych przez nas zastosowań mocy Archontów. Współrzędne, które widzieliście na komputerze, oczywiście zmieniono, ale poza tym wszystko było właśnie tak, jak na filmie. Inżynierowie z armii jeszcze opracowują mapy, ale już teraz widać, że będzie to największe pole naftowe, jakie do tej pory odkryto. Znajduje się na pustyni na terenie Stanów, Zjednoczonych, w miejscu, które zdumiałoby każdego geologa. Może właśnie dlatego do tej pory nikt go nie odkrył. Wiercili tam już trochę, zrobili testy, opieczętowali otwory. Lokalizacja jest jeszcze oczywiście tajemnicą.

Następna scena przedstawiała wewnątrz olbrzymiej szklarni w kształcie piramidy. Zobaczyli wielką różnorodność warzyw i rozmaite gatunki melonów. Między rzędami roślin przechadzał się Dei Sasso, zatrzymując się co chwila i kładąc na krótko dłonie na każdą roślinę. Bezpośrednio po tej scenie następowała inna, na której kilku pracowników w tej samej cieplarni zbierało zdumiewająco obfity plon kapusty i kantalupy wielkości piłki do koszykówki oraz ogromnych pomidorów, marchewek, buraków i innych płodów ziemi, a wszystkie kolosalnych rozmiarów i najwyższej jakości.

Leighton znów zatrzymał taśmę.

— To kolejne praktyczne zastosowanie, prawdziwe dobrodziejstwo dla świata. To wszystko, co widzieliście, ma o jedną trzecią krótszy okres wegetacji i zużywa o połowę mniej wody, i to w znacznie gorszej glebie. A jednak zawartość witamin i soli mineralnych jest o wiele wyższa od tego, co udawało się osiągać do tej pory. Tajemnicą takich rezultatów jest konwersja energii parapsychicznej, niezmiennie obecnej w kosmosie, nawet w warunkach próżni. Identyczne rezultaty można osiągnąć na Saharze, wszędzie. Nie muszę mówić, co to oznacza dla świata.

— No, to jest rzeczywiście coś! Tym się można zainteresować!—wykrzyknęła Carla. — Czy już się to robi?

— Jeszcze nie. Potrzeba tysięcy takich Del Sassów. Trzeba ich szkolić, a to będzie możliwe tylko wówczas, jeśli światowi przywódcy polityczni poznają i zaakceptują Plan. Nastanie prawdziwa, niesłychana jutrzienka Nowej Ery. To będzie raj na ziemi!

— Plan? — zaniepokoił się Wiktor. — Jaki Plan?

— Nie znamy jeszcze wszystkich szczegółów, ale Archonci mają konkretny plan rozwiązania kryzysu, wobec którego stoimy. Później o tym porozmawiamy. Teraz pokażę wam jeszcze jeden przykład umiejętności Archontów. Jest to coś, co - jak sami zobaczycie - może zagwarantować trwałą pokój między narodami, a nawet - między poszczególnymi osobami.

Puścił taśmę, a Wiktor osłupiał. Było to ujęcie jego laboratorium w Związku Sowieckim. Jakość obrazu była niemal tak dobra, jak telewizyjny przekaz na żywo. Dmitrij przypinał właśnie Jakowa do fotela. Wiktor dojrzał siebie samego, jak energicznie kieruje operacją z pomieszczenia kontrolnego na górze. Całe tragiczne wydarzenie znów rozegrało się na jego oczach, tak samo, jak je kiedyś widział. Zobaczył, jak Jakow zostaje oderwany od urządzenia i potężną siłą Ciśnięty przez całą szerokość pomieszczenia. Wiktor jęknął i odwrócił wzrok.

Carla mimowolnie położyła dłoń na jego ramieniu.

— Przepraszam — Leighton zatrzymał film. — Powinienem być was ostrzec. Chyba za bardzo dałem się ponieść ochocie zaskoczenia was.

— Nie, w porządku — odparł Wiktor poważnie. — Musiałem to zobaczyć jeszcze raz. Czasami wydaje mi się, że to nie wydarzyło się naprawdę, jak koszmar albo moja fantazja. Pewnie zorientowałaś się, że to w moim laboratorium pod Moskwą— zwrócił się do Carli.

— Tak naprawdę było? — zapytała zdumiona.

Wiktor skinął głową.

— To trzecie medium, które straciliśmy.

— Ty przywiozłeś ze sobą ten film?

— Przywiozłem jeden film, ale nie ten. Teraz już rozumiem, co znaczy słowo „frapować” — zwrócił się do Leightona. — Nie wiem, co powiedzieć.

Więc wiedzieliście o wszystkim, co robimy?

— O wszystkim — odpowiedział Leighton rzeczowo.

Carla wciąż nie mogła pojąć.

— Jak się wam udało wkręcić tam swojego agenta? — zapytała Leightona. — I jak mógł nakręcić ten film, że nikt tego nie zauważył?

Zanim Leighton zdołał odpowiedzieć, Carla zwróciła się do Wiktora:

— Czy kiedykolwiek podejrzewałeś, że któryś z twoich ludzi to robi?

— To nie było tak — odparł Wiktor. — Wiem, co Frank nam za chwilę powie. My też próbowaliśmy podobnych rzeczy, tylko wyniki w porównaniu z tym tutaj były z ery kamienia łupanego.

Leighton obrócił się nieco, żeby patrzeć im prosto w oczy, i nachylił się do nich. Był to znak zaufania wobec przyjętych do wewnętrznego grona.

— Del Sasso nakręcił ten film za pomocą swojego umysłu, siedząc w tym właśnie laboratorium, w którym go dzisiaj widzieliście.

Mówił zrównoważonym głosem, ale jego twarz wyrażała crescendo triumfu.

— Niemożliwe! — wykrzyknęła Carla. Spojrzała na Wiktora. Kiwał poważnie głową na potwierdzenie.

— W naszych piwnicach — w oczach Leightona płonęło podniecenie, którego nie potrafił ukryć — mamy kilometry taśm z tajnymi sowieckimi eksperymentami, nie tylko z laboratorium Wiktora, ale też z rozmaitych innych laboratoriów, nawet filmy z tajnych obrad najwyższych władz na Kremlu. To, co wam teraz mówię — zniżył głos i nachylił się jeszcze bliżej — to zastrzeżone informacje. Nie wolno się nimi z nikim dzielić, aż Archonci dadzą nam znak. Na palcach jednej ręki można policzyć ludzi spoza tej bazy, którzy o tym wiedzą. Żaden z filmów, o których wspomniałem, ale to żaden, nie był pokazywany nikomu w FBI ani w Departamencie Stanu, ani w Pentagonie... Ta wiedza ani ta moc nie zostaną użyte przeciw Związkowi Sowieckiemu ani przeciw żadnemu innemu narodowi, o ile zgodzą się na realizację Planu, kiedy przyjdzie na to czas - to znaczy już wkrótce.

Leighton dał im chwilę czasu na przetrawienie informacji. Wstał i w milczeniu spacerował po pomieszczeniu. W końcu zaczął mówić z wielką pasją:

— Rozumiecie, co to znaczy? Wojna stanie się niemożliwa. Zapanuje trwały pokój, nawet zbrodni już nie będzie. W takim Nowym Świecie nikt już nie będzie mógł knuć po kątach. Nie będzie sabotaży, terroryzmu. Nie będzie można ukryć przed władzami żadnej myśli ani uczynku. Przywrócimy raj.

— Przed w a d z a m i ? — zapytał Wiktor zgrzyliwie. Było po nim znać zaniepokojenie. — A któż to będzie?

— Początkowo naturalnie Archonci — oświadczył Leighton bez wahania. — A potem ci, których sami wybierają jako kanały swojej mocy.

— A jeśli jakieś kraje nie zgodzą się na zaakceptowanie nowego

-

ku? — zastanawiała się Carla.

— A co mają do wyboru? — odparł Leighton. — Tylko szaleni by się nie zgodzili. Współpraca przyniesie nieograniczone korzyści. Każdy naród będzie miał własne media, tysiące, nawet miliony, z siłami jak Del Sasso. Przeciętnemu obywatelowi da to całkiem nowy sposób postrzegania siebie i otoczenia. Taka transformacja w zupełnie naturalny sposób wyniknie z codziennego, rutynowego doświadczania tego, co dotychczas uważało się za niemożliwe. Sądzę, że nawet na podstawie tak niewielkiego wycinka, jaki obejrzeliscie na wideo, zdajecie sobie sprawę, że tego rodzaju siła kreuje radykalną zmianę w świadomości, całkowicie nowy sposób patrzenia na rzeczywistość, że eliminuje iluzję ograniczeń, które wskutek jakichś dawnych uwarunkowań całkowicie niepotrzebnie nas zniewalają. Nowy proces przystosowawczy będzie zachodził właśnie dzięki manifestacjom tej siły. I to samo w sobie jawocuje nowym światopoglądem, a w rezultacie - nowym światem.

Wiktor prawie nie słyszał tej rozmowy. Był wciąż tak oszołomiony, że nie potrafił znaleźć słów.

— To zdumiewające — mruzczał, bardziej do siebie niż do nich. — Sądzilem, że to Archonci zabili Jakowa, a moi przełożeni upierali się, że to Amerykanie. Kto to właściwie był...

— Jedni i drudzy — odpowiedział Leighton bez ogródek.

— Ale dlaczego? — wtrąciła się Carla. — Dlaczego mieliby pomagać Del Sassowi, a zabijać sowieckie media?

— Dla tego samego powodu, dla którego Wiktor uciekł na Zachód: materializm sowiecki. Materializm, który nie chce uznać istnienia bytów bezcielesnych. A Archonci... No cóż, trzeba w nich wierzyć, żeby z nimi współpracować.

— A jednak nie pojmuję tego rodzaju faworyzowania — upierała się Carla. — Czemu to ma służyć?

— Chcą pomóc nam, a w rezultacie całemu światu. Jednak na tym etapie działają za pośrednictwem Amerykanów, bo to my nawiązaliśmy z nimi kontakt i my w nich wierzymy.

Spojrzał na Carlę ze współczuciem.

— Na tym właśnie polega problem Kena. Nie zechciał im zaufać.

— Ale kim oni są? — zapytała.

— To tak, jakbyś pytała, co to jest ciężkość albo energia. Nie znamy pełnej odpowiedzi na to pytanie i prawdopodobnie nigdy jej nie poznamy - są tak daleko przed nami. Ale zasadniczo, tak jak mówiłem, są istotami w wysokim stadium rozwoju ewolucyjnego, które wydostały się z niższych stadiów uzależnienia od ciała. Ze swojego wyższego wymiaru sterowali ewolucją ludzkości już od tysięcy lat. W ich wymiarze nie istnieje śmierć ani czas. Twierdzą, że doszliśmy teraz do fazy krytycznej, która wymaga ich interwencji.

Inaczej sami się unicestwimy.

— Nie wątpię, że ich interwencja jest potrzebna — wymamrotała, nie do końca przekonana. — Tylko nie jestem pewna, czy podoba mi się sposób, w jaki to robią.

— Przystaniesz kwestionować ich mądrość i kompetencje, kiedy sama zaczyniesz z nimi pracować. To ci gwarantuję.

Wiktor nie mógł wyjść z osłupienia:

— Taka moc! Ale na jakiej zasadzie ona działa? Dlaczego muszą ją przekazywać poprzez ludzi? Dlaczego nie wystarczy im jeden, tylko potrzebują aż tysiące czy miliony takich Del Sassów?

— Jeszcze tego nie wyjaśnili. Ale wydaje mi się, że oni nie tyle muszą działać za pośrednictwem ludzi. To chyba kwestia tego, że chcą, żebyśmy byli odpowiedzialni za samych siebie — zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, zadumany nad własnymi słowami. — Odnoszę wrażenie, że nie chcą robić wszystkiego za nas. Musimy się nauczyć robić to sami, żeby koniec końców uniezależnić się od nich. I dlatego potrzebują Del Sassów. Trzeba wyszkolić miliony takich ludzi. To nasza jedyna nadzieja przetrwania. Czasu zostało niewiele, a wspaniałopracować musi cały świat.

Zatrzymał się przed Carla i uważnie przypatrywał się jej zwróconej w górę twarzy.

— I właśnie tutaj wchodzi ty. To bardzo delikatna sytuacja. Nie możemy wyjawiać tej informacji ot tak, prosto z mostu. To by wywołało międzynarodową panikę - albo sceptycyzm. Ani jedno, ani drugie nie jest pożądane. Musimy wzbudzić wiarę i autentyczne zaufanie, inaczej nic z tego nie będzie. W tej chwili Del Sasso jest naszym jedynym łącznikiem, jedyną nadzieją. Jeśli coś by mu się stało... Nawet nie chcę o tym myśleć.

*

Tego wieczora Ken i jego matka udali się jak zwykle na cotygodniowe spotkanie modlitewne w wielkim domu Hala i Karen Elliottów. I - jak zwykle - był tam cały szereg „spraw do modlitwy”; wymienił je na początku spotkania przewodzący grupie miejscowy prawnik Roger Andrews. Za nie mniej ważne niż nowe prośby, których zresztą nigdy nie brakowało, uważano podziękowania za modlitwy już wysłuchane.

Kiedy przyszła kolej na Kena, wstał i powiedział:

— Wiecie, że już od dłuższego czasu mamy na liście Carlę Bertelli i Franka Leightona — zaczął, z trudem hamując emocje. — Chciałbym przekazać najnowsze wieści; łatwiej będzie się wam modlić o konkretne sprawy. Carla znów jest tutaj i prawdopodobnie zaangażuje się w program badawczy Franka. Ten sam program, przez który dałem się opętać demonom i o mało nie

zginąłem. Chwała Bogu, że zło, które zamierzył Szatan, obróciło się na dobre. W ten sposób, jak wiecie, poznałem Pana.

„Dzięki Ci, Panie!”, „Chwała Bogu!”, „Dzięki, Jezu!” — z różnych stron salonu dobiegały ciche wyrazy dziękczynienia. Większość z dziś obecnych spędziła na żarliwej modlitwie tamtą pamiętną noc, gdy Hal i Karen pojechali do szpitala i wyrzucali z Kena złe duchy. Od tamtej pory wszyscy z zainteresowaniem i satysfakcją śledzili dynamiczne pogłębianie się jego wiary.

— Ten Człowiek-medium, który zajął moje miejsce — kontynuował Ken z powagą — jest poważnie opętany przez demony. Nie mam co do tego wątpliwości. Obawiam się, że Carla jest pod tak wielkim wrażeniem tego, co uważa za siły parapsychiczne, że da się bez oporów wciągnąć w cały ten omam. Ona musi przejrzeć. Bardzo proszę, módlcie się konkretnie o to, żeby straciła złudzenia, żeby zasłona odsunęła się na tyle, aby Carla mogła dojrzeć zło, które się za tym kryje.

Już miał usiąść, kiedy przypomniał sobie o Wiktorze.

— Chcę jeszcze prosić o modlitwę za rosyjskiego uczonego, który dołączył do zespołu Leightona. To czołowa postać Sowietów w parapsychologii. Zdaje się, że ma pewne wątpliwości. Módlcie się, żeby i jego Pan uwolnił.

Przerwał na chwilę i zamyślił się, a potem dodał:

— Oczywiście oboje muszą tego chcieć. Wybór należy do nich. Więc módlmy się może, żeby Bóg uczynił, co tylko możliwe, by skonfrontować ich z prawdą. Żeby przynajmniej mogli dokonać naprawdę świadomego wyboru. W tej chwili są pod wpływem fałszywej teorii i ten wpływ może się tylko pogłębiać, tak długo, jak długo mają kontakt z Frankiem i jego zespołem.

Padło oczywiście wiele innych prośb o modlitwę; spotkanie, jak zwykle, przeciągnęło się aż do północy. Jego uczestnikami byli ludzie, którzy zdążyli się przekonać, że modlitwa to coś więcej niż pośpieszne wyliczenie pierwszych lepszych prośb. W ich słowach brzmiała żarliwa szczerłość i nieustępliwość. Nie tylko przedstawiali Bogu liczne potrzeby, ale i raz po raz odwoływali się do Jego Słowa i łaski, i miłości.

Po zakończeniu spotkania mimo późnej pory wszyscy pozostali jeszcze chwilę, rozmawiając w mniejszych grupkach. Don Jordan, Szef Kontrwywiadu FBI na Zachodnie Wybrzeże, mocno uściśnął dłoń Kena.

— Miło cię widzieć, bracie. Będę się codziennie modlił o te sprawy.

Położył dłoń na ramieniu Kena i powiedział nieco ciszej:

— Możemy na chwilę odejść na bok?

Kiedy znaleźli się z dala od domu, na samym końcu słabo oświetlonego podwórza, Jordan powiedział:

— Nie wiem, czy mogę cię o coś zapytać. Mówiłeś, że do zespołu Leightona dołączył jakiś sowiecki uczoney?

Ken skinął głową.

— W Ameryce nie było do tej pory żadnego Rosjanina, który nadawałby się do takich badań, przynajmniej nic o tym nie wiem — kontynuował Jordan. — A to by znaczyło, że to zbieg wysokiej klasy, i to zupełnie świeży, bo nawet ja o tym nic nie słyszałem. Czy tak?

— Zgadza się. Carla nie zdradziła mi żadnych szczegółów. Powiedziała tylko, że to się stało kilka tygodni temu w Paryżu, na Pierwszym Międzynarodowym Kongresie Parapsychologów. Zdaje się, że odegrała zasadniczą rolę w jego ucieczce.

Don potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— To może znaczyć tylko jedno: Leighton działa pod szyldem jakiejś agencji rządowej i podejrzewam, że to CIA. Nikt inny nie dostałby tak szybko sowieckiego zbiega tej klasy. Okres próbny trwa zawsze co najmniej kilka tygodni miesięcy, a często nawet lat. Jesteś tego pewien?

— Absolutnie. Byłem tam i widziałem go na własne oczy.

— Zalety biurokracji — mruknął Don. — Nie wie prawica, co czyni lewica. A człowiek spodziewa się, że ktoś raczy go poinformować, że na naszym terenie rozpoczął pracę świeży zbieg sowiecki. Sowietci mogą próbować odzyskać tego człowieka albo go zabić. Ale czy ktoś mi piśnie choć słowo na ten temat? Nic podobnego. Dowiaduję się przez przypadek!

— To Rosjanie ścigają swoich zbiegów? — Ken był zaskoczony. — Nic o tym nie słyszałem.

— To rzadko przecieka do prasy. Jeśli to gruba ryba - a wygląda na to, że tak - to będą go szukać, jeśli się domyśla, gdzie jest. Właśnie z tego powodu zbiegom, którzy dysponują ważnymi informacjami albo stanowią tajne ogniwa, daje się nową tożsamość, i znikają na co najmniej kilka lat, aż temat przestaje być gorący. Nie mam cienia wątpliwości, że Sowietci dowiedzą się, gdzie jest ich zguba, a to oznacza problemy!

Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— W głowie mi się nie mieści, że CIA nam nie powiedziała.

— Może jeszcze nie zdążyli wam powiedzieć. Jest tu dopiero od paru dni. Poza tym ta baza to istna forteca — dodał Ken. — Nie wydaje mi się, że Rosjanie mogliby się tam wedrzeć.

Don uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Sowietci mają elitarny oddział, który specjalizuje się właśnie w takich sytuacjach. Są b a r d z o skuteczni. Zaraz zadzwonię do mojego biura.

— Ale w CIA chyba wiedzą, co robią.

— Ja bym na to nie liczył. Zwłaszcza jeśli moje życie by od tego zależało. A ty jesteś pewien — położył dłoń na ramieniu Kena — że to właśnie twoja była naręczona pomocła mu uciec?

Ken kiwnął głową.

— Tak powiedziała.

- Jeśli Sowieci o tym wiedzą- a prawdopodobnie wiedzą - to jest w niebezpieczeństwie. Zemsta to bardzo silna pobudka, nawet w KGB. Wiesz, gdzie ona mieszka?
- W Hiltonie, przynajmniej do wczoraj.
- Poślę tam kogoś, żeby miał ją na oku. Tyle tylko mogę obiecać. CIA powinno jej kogoś przydzielić, powinni jej pilnować w dzień i w nocy.

Kot i mysz

Było już bardzo późno, kiedy Carla tłumiąc ziewanie podniosła się nareszcie i z ociąganiem zaczęła się żegnać. Frank i Wiktor też wstali. Dla wszystkich był to dzień bardzo wyczerpujący psychicznie. Del Sasso pożegnał się już wcześniej, męczył go dokuczliwy ból głowy, co zresztą ostatnio zdarzało się coraz częściej i przydawało tylko trosk Leightonowi.

— Bardzo mnie to wszystko intryguje. Tyle nowych informacji! — powiedziała Carla. — Ale chyba muszę się przespać. Nie zjawię się wcześniej niż w południe. A ty, Wiktor, gdzie mieszkasz? Może cię podwieźć?

— Mieszkam tutaj. W apartamencie gościnnym. Nigdy jeszcze nie mieszkałem w takich warunkach.

— To dla jego bezpieczeństwa — dodał Leighton. — Gdybyśmy mu dali nową tożsamość i pozwolili zniknąć z powierzchni ziemi na jakiś czas, nie pomogłby w niczym w realizacji Planu. Ale jako czołowy rosyjski autorytet w tej dziedzinie, o międzynarodowej reputacji... Jego poparcie będzie miało wielkie znaczenie. Więc pilnujemy go tutaj, aż Plan zostanie wprowadzony. Wtedy już każde miejsce na świecie będzie dla każdego jednakowo bezpieczne!

Carla uścisnęła Wiktora.

— To cudownie, że mogłam cię znowu zobaczyć i że wiem, że jesteś w dobrych rękach. Pomyśleć tylko, że od razu będziesz mógł się zaangażować w takie badania, o jakich marzyłeś.

— Nigdy nie przestanę ci dziękować! — odparł. — Gdyby nie twoja odwaga...! Nawet nie chcę myśleć, gdzie bym teraz był.

— No, ale nie zapominaj o naszej małej umowie.

— Absolutnie! Tak się cieszę, że i ty będziesz w tym brać udział. Czy tak? — spojrział pytająco na oboje.

— Mam taką nadzieję — powiedział Leighton i popatrzył na Carlę: — Przyjmujesz zadanie?

Była już przy drzwiach.

— Wrócę jutro, przyjrę się nieco dokładniej i zadam jeszcze trochę pytań... — przerwała na chwilę, a potem dodała ostrożnie: — Byłabym głupia, gdybym nie wykorzystała takiej okazji. Tak, chciałabym przyjąć to zadanie,

Frank, pod warunkiem, że jako dziennikarz zachowam niezależność.

— To jasne — powiedział Leighton — nawet nie masz potrzeby o tym mówić.

Kiedy ciężka stalowa brama zamknęła się za nią, a samochód wjechał na leśną drogę wiodącą ku autostradzie, Carla odetchnęła z ulgą. „No! Co za dzień! Nie do wiary! Czy przyjmuję to zadanie? Ha! Chyba udało mi się odegrać chłodną obojętność! A myślałam, że będzie tak trudno się dowiedzieć, o co w tym chodzi. A tu proszę: sami mnie zapraszają, prawie błagają.” To przekraczało jej najśmielsze marzenia. Jednak pomimo radosnego podniecenia wciąż boleśnie dręczyły ją jakieś wątpliwości. Coś nie dawało jej spokoju.

Zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe? A może dlatego, że Del Sasso, który potrafił być czarujący i tak niewiarygodnie szczery, pokazał też swoją drugą stronę, przerażająco nienawistną? A ci Archonci? Czy to naprawdę istoty na wysokim poziomie rozwoju, czy może głębokie pokłady ludzkiej psychy? Frank zapewnił ją, że sam spotkał ich osobiście i że pewnego dnia ona też będzie miała taką możliwość. Mówił też, że ich prawdziwa tożsamość nie ma większego znaczenia i że i tak przechodzi ludzkie pojęcie. W końcu przecież liczy się tylko możliwość zapewnienia światu pokoju i pomyślności, a tutaj nie ma większych wątpliwości. Mimo tego nie potrafiła zdefiniować dziwnego niepokoju i przeczucia, że coś jest nie w porządku.

Jazda od bazy do autostrady wydała jej się dłuższa niż w odwrotną stronę. Odludzie i głęboka ciemność zalegająca pod potężnymi drzewami obudziły jeszcze inny niepokój, który dotąd udawało jej się skutecznie tłumić. A jeśli ludzie, którzy ścigali Wiktora i z których macek udało jej się go dosłownie wyszarpnąć, będą próbowali go odszukać? To nie jest wykluczone. Naturalnie nie przedostaną się do wnętrza bazy, to pewne. Ale w przypływie wściekłości — czy nie będą próbowali zemścić się na niej?

Niespodziewane odbicie przednich świateł jakiegoś samochodu we wstecznym lusterku sprowadziło ją do rzeczywistości. Z całej siły próbowała stłumić panikę. Nie da się ukryć, już samo myślenie o tym to czysta paranoja, a mimo tego — obezwładniał ją lęk. Ale właściwie któż to może być? Po niej nikt już nie wyjeżdżał z bazy. Słyszała, jak jeden ze strażników mówił to do drugiego. A droga kończy się właśnie na bazie. Samochody nie biorą się z powietrza. Czyżby ktoś się przyczaił w lesie i czekał na nią? Przycisnęła mocniej pedał gazu. Opony protestowały z piskiem, kiedy zataczała się po licznych zakrętach. Jadący za nią wóz również przyspieszył.

Dojeżdżając do autostrady, znieruchomiała w przerażającej bezradności. Wyjechała na drogę nie zwalniając, prosto pod koła pędzącego pojazdu. Zgrzyt hamulców, poślizg, w końcu nieznajomy wóz zdołał wyrównać kurs. Rozgniewany kierowca zaryczał klaksonem i zamigotał przednimi światłami.

Ale przynajmniej ktoś trzeci pojawił się między nią a tym, kogo już bez cienia wątpliwości uznała za prześladowcę. Przypomniała sobie zaproszenie Kenana, ale zdołała odeprzeć pokusę skreślenia na drogę wiodącą do jego domu. Jeszcze czego! Dwa lata temu podjęła słuszną decyzję, a teraz, kiedy już dał jej to, czego chciała, szaleństwem byłoby dalsze utrzymywanie kontaktu. Jego nieobliczalne zachowanie w laboratorium raz na zawsze przesądziło sprawę. Zrobił się z niego nieznośny fundamentalistyczny fanatyk, dokładnie tak, jak się obawiała.

Przez całą drogę w dół samochód, który jechał za nią po drodze z bazy, nie próbował wcisnąć się przed ten drugi wóz. Kiedy droga zeszała w dolinę, drugi samochód skręcił na którymś skrzyżowaniu. Pierwszy został nieco w tyle. Carla wykonała kilka zakrętów na ulicach miasta, ale wciąż widziała go za sobą. Nie było wątpliwości co do intencji jego pasażerów.

Jeśli pojedzie prosto do hotelu, dowiedzą się, gdzie mieszka! Może jechać prosto na policję? To by nic nie dało, zrobi tylko z siebie idiotkę. „Myśl, Carla, myśl!” Na siłę skłoniła przerażone myśli do posłuszeństwa. W końcu wpadła na pomysł przedostania się do innego hotelu tak, żeby prześladowcy się o tym nie dowiedzieli. Nie dawało się ich zgubić przez szybką jazdę. Wobec tego najpierw pojedzie do swojego hotelu. Jeśli jednak wjadą za nią do garaży, będzie w pułapce. Żeby tego uniknąć, zajechała przed główne wejście i dała kluczyki szwajcarowi. Odwróciwszy się, zauważyła, że zaparkowali przy końcu ulicy i wyłączyli światła.

W hallu sprawdziła, czy w recepcji nie ma żadnych wiadomości. Był jeden telefon od jej przyjaciela - wydawcy z Nowego Jorku. Szybkim krokiem poszła do wind. Już z pokoju zadzwoni do innego hotelu i poprosi o rezerwację, spakuje rzeczy i zamówi taksówkę, żeby podjechała pod wyjście dla personelu. Winda już czekała, z otwartymi drzwiami. Carla weszła i z westchnieniem ulgi nacisnęła guzik na ósme piętro. Już zamykały się drzwi, kiedy weszło jeszcze dwóch mężczyzn.

Zdławiła pierwszy atak paniki i próbowała myśleć racjonalnie. Z tego, co zobaczyła, kiedy wchodzili, i co mogła dostrzec w tej chwili kątem oka, nie wyglądali na sowieckich agentów. A może jednak? Skąd można to wiedzieć? Byli koło czterdziestki i pomimo garniturów dały się zauważyć muskularne i wysportowane sylwetki. Próbowała sama siebie przekonać, że nie mogli być pasażerami tamtego samochodu. Potem uświadomiła sobie, że lekkomyślnie czekała na pocztę akurat w takim punkcie recepcji, gdzie nie było widać bocznego wejścia, którym przecież mogli się dostać do środka. „Idiotka! Oni przecież nie wcisnęli żadnego piętra! Oczywiście planują wysiąść na ósmym razem ze mną! Co robić?”

Winda zatrzymała się na szóstym i weszła jakaś młoda para, cokolwiek zmieszana. Pośpiesznie tłumaczyli, dlaczego nie są jeszcze w pokoju, tylko

na zewnątrz, i to w piżamach i szlafrokach.

— Na naszym piętrze nie działa maszyna do lodu — bąkali, nie wiadomo do kogo. Wcisnęli piątkę, a potem mężczyzna krzyknął: — Ojej, myśleliśmy, że to jedzie w dół!

— No, kochanie, to mamy darmową przejażdżkę! — dodała dziewczyna. Oboje uznali to za niezwykle śmieszne.

Na ósmym otworzyły się drzwi. Dwaj mężczyźni nie ruszyli się z miejsca. Carla ustąpiła na bok i gestem zaprosiła ich do wyjścia:

— Panowie też chyba na to piętro. Proszę bardzo. Ja nie wysiadam. Przypomniałam sobie, że muszę jeszcze wrócić po coś do hallu — wcisnęła parter.

— A to zabawne! — powiedział wyższy. — Bo my też.

„Nie panikuj! Myśl! Musi być jakiś sposób.” Co ma zrobić? Co może zrobić? Winda dotarła do samej góry i zaczęła zjeżdżać. Dwaj mężczyźni stali nieruchomo jak sfinksy. Młoda para, kompletnie nieświadoma jej położenia, ćwierkała ściszonymi głosami. Może z nimi wysiąść? Nie, to nic nie da. Jeszcze ich narazi na śmierć jako świadków. A może to jej paranoja? Niby w beznadziejnym koszmarze, winda zwolniła przed piątym piętrem. Carla patrzyła bezradnie, jak otwierają się drzwi i para wychodzi, nie przestając płać. Drzwi zamknęły się, zostawiając ją - bezbronną mysz - na pożarcie dwóm gotującym się do skoku kotom.

Doszła do wniosku, że musi doprowadzić do konfrontacji. Może jeśli przejdzie do ofensywy, uda jej się zająć cały czas potrzebny do dojazdu na parter. Już otwierała usta, kiedy człowiek stojący blisko niej prędko sięgnął do kieszeni. Zamiast rewolweru, którego się obawiała, ujrzała legitymację.

— Jesteśmy z FBI, pani Bertelli. Chcieliśmy tylko dać pani znać, że będziemy od czasu do czasu sprawdzać, czy nie ma żadnych problemów.

Carla odetchnęła z ulgą, a zaraz potem ogarnęła ją złość.

— Wy, bałwany, aleście mnie wystraszyli! Myślałam, że jesteście z KGB! Czemuście nic nie mówili?

— Chcieliśmy wysiąść z panią na tym samym piętrze, ale akurat wsiadło to małżeństwo. Nie mogliśmy się ujawnić w ich obecności. Bardzo nam przykro, że panią wystraszyliśmy. Proszę powiedzieć, dlaczego przyszło pani do głowy, że możemy być z KGB?

Winda zatrzymała się na parterze, otworzyły się drzwi. Razem wyszli do hallu. Carla wciąż burczała pod nosem.

— Gdybyście się wcześniej ujawnili, moglibyście złapać jakiegoś agenta KGB! Bo nie wiem, kto inny mógł za mną jechać aż tutaj! Chodźcie, pokażę wam. Zaparkowali na ulicy.

Dwaj mężczyźni pobiegli ku wyjściu, a Carla za nimi, tak szybko, jak mogła. Kiedy dołączyła do nich już na zewnątrz, nie dostrzegła ani śladu

pojazdu.

— Stali o tam — pokazała dłonią miejsce. — Jechali za mną bez przerwy aż od tych wzgórz na zachodzie miasta.

— Potrafi nam pani opisać wóz i pasażerów?

— Byli ciągle za daleko, żeby się lepiej przyjrzeć, a zaparkowali aż tam. Zdaje się, że to był czterodrzwiowy sedan, granatowy albo czarny, chyba jakiś starszy model forda, takie mam wrażenie.

— Pojeździmy po okolicy i rozejrzemy się — powiedział agent, który pokazał legitymację. Wręczył jej wizytówkę. — Jeśli będą jakieś problemy, proszę dzwonić.

— Miałam zamiar się stąd wymeldować i przenieść do innego hotelu, bo jeśli ktoś za mną jechał, to wie, gdzie jestem. Powinnam tak zrobić?

— To nic nie da. Znajdą panią wszędzie. Lepiej niech pani zostanie tutaj, i zalecam 24-godzinne czuwanie. Nie możemy pani trzymać pod ścisłą ochroną, ale będziemy się rozglądać za sowieckimi agentami. Na jedno wyjdzie.

— Więc mam być przynęta? No, no! Nie za bardzo mi się to podoba! Ale chyba nie mam wyjścia?

— Nie pytamy pani o pozwolenie. To się i tak stanie, czy pani chce, czy nie chce. Nie będziemy do pani podchodzić publicznie, a jeśli nas pani zauważy, proszę nie dawać po sobie poznać. Zgoda?

— Zgoda. I bardzo dziękuję. Wybaczcie moją wybuchowość. Czuję się już o wiele lepiej.

Lekkomyślny krok

Modląc się za Carlę następnego poranka Ken poczuł ogromne brzemie odpowiedzialności, wiedząc, że przyczynił się do narażenia jej na obecne niebezpieczeństwo. W końcu to on zainteresował ją badaniami parapsychologicznymi i zachęcał do jeszcze głębszego oddania się tej dziedzinie. A przecież wówczas nie bardzo się tym interesowała, a jej wydawcy też nie popierali nowego kierunku, jaki sobie obrała. Nie sprzymierzyłaby się z Frankiem i nie narażała na śmiertelnie niebezpieczne ogłupienie, a nawet zniszczenie z ręki tych „Dziewięciu”, gdyby nie wpływ Kena w przeszłości. Świadomość tego stawała się nieznośnym ciężarem.

Nie przyszło mu jakoś do głowy, żeby jak zwykle udać się do Boga po przebaczenie i radę, za to zaczął przemyślać, w jaki sposób zadośćuczynić poprowadzeniu Carli na manowce, jak jej teraz pomóc. Wkrótce stało się to obsesją. Nie opuszczała go natrętna myśl, że powinien zadzwonić do CIA w San Francisco. Taki ruch nie miał większego sensu, ale pod presją druzgocącego poczucia winy Ken uległ irracjonalnemu przymusowi. Nakręcił numer międzymiastowej, ale nie mieli numerów CIA ani tu, ani w Los Angeles. W końcu zadzwonił do informacji w Virginii, dostał numer kwatery głównej w Langley i nakręcił go, zastanawiając się, co właściwie ma powiedzieć.

— CIA — odezwała się dziewczyna w centrali.

— Muszę rozmawiać z kimś, kto szefuje operacjom na Zachodnim Wybrzeżu.

— Jakiego typu operacjom?

— To ma związek z ośrodkiem badań parapsychologicznych.

Zapadła długa cisza. Kiedy dziewczyna wróciła na linię, powiedziała:

— Nie mam tu żadnego spisu badań parapsychologicznych ani niczego, co by miało w nazwie słowo „parapsychologiczny”.

— Niech pani posłucha! — mówił Ken wzburzonym tonem. — To bardzo ważne! Czyż życie jest w niebezpieczeństwie! Proszę mnie połączyć z kimkolwiek z kierownictwa, kto ma coś wspólnego z tamtym rejonem.

— Połączę pana z kimś, kto może coś pomóc — zapewniła prędko.

Po kilku chwilach odezwał się męski głos:

— Hogan.

— Panie Hogan, nazywam się Ken Inman. Dzwonię z Pało Alto. Jest tu ktoś, kto dla was pracuje, i chciałem was zawiadomić, że jej życie jest w wielkim niebezpieczeństwie.

— Hmm. Jakim niebezpieczeństwie?

— Od agentów sowieckich, którzy chcą się zemścić!

— Naprawdę?

— Naprawdę. Niedawno pomogła zbiec czołowemu parapsychologowi sowieckiemu i...

— Kiedy niedawno? I gdzie?

— W zeszłym miesiącu. W Paryżu.

— Chyba ktoś pana nabrał. W ostatnim czasie nie było żadnego sowieckiego zbiega większego kalibru, i to na całym świecie. Gdyby był, na pewno bym o tym wiedział.

— Niech pan posłucha, Hogan. Jestem na liście osób dopuszczonych do spraw ściśle tajnych w NASA i w Pentagonie, a wam zaprojektowałem system komputerowy, wywiadowi wojskowemu zresztą też. Nie jestem nawiedzonym idiotą. Wiem, o czym mówię, a jeśli pan tego nie wie, to widać informacja kompletnie zastrzeżona. Czy wie pan coś o tajnym ośrodku badań parapsychologicznych koło Pało Alto, którym kieruje Frank Leighton?

— Gdybym wiedział, to i tak nie mógłbym panu powiedzieć.

— Obywatelka Stanów Zjednoczonych, która dopomogła w ucieczce sowieckiemu naukowcowi i która rozpoczęła współpracę z waszą agencją, jest w wielkim niebezpieczeństwie. Trzeba ją chronić, a nic się w tej kwestii nie robi! Jak was skłonić do działania?

— Panie Inman, nie wątpię, że jest pan dopuszczony do ściśle tajnych informacji, nie wątpię w pańską szczerość, tylko wątpię w wiarygodność tego, co mi pan teraz opowiada. Ktoś panu dał fałszywe informacje. A nawet jeśli to, co mi pan opowiada, byłoby prawdą, to człowiek o pańskiej inteligencji powinien wiedzieć, że nie mogę działać na podstawie pogłosek. Jeśli pańska znajoma rzeczywiście bierze udział w jednej z naszych operacji, które wiążą się z jakimś niebezpieczeństwem, to może pan być pewien, że otrzyma odpowiednią ochronę...

— Ale wy na pewno nie wiecie, że ona dla was pracuje! — przerwał wzburzony Ken, uświadamiając sobie jednocześnie, że jego słowa nie mają większego sensu. Za wszelką cenę chciał jednak powstrzymać Hogana od wyłączenia się.

— Te rzeczy naprawdę zawsze się właściwie układają. Na pańskim miejscu nie martwiłbym się, panie Inman. Dziękuję za telefon— odłożył słuchawkę.

Ken wiedział, że nie ma po co dzwonić drugi raz. To, co mówił, brzmiało bezsensownie, choć tak bardzo się starał wszystko wyjaśnić. „Biurokracja to

dopiero plaga! Nie do wiary! Ja wiem, że ona jest w niebezpieczeństwie, a CIA prawdopodobnie nawet nie wie, że ona dla nich pracuje. Może Leighton coś przedsięwziął, ale mocno wątpię."

Tok jego udręczonych myśli przerwał dzwonek telefonu. Ken podniósł słuchawkę.

— Halo.

— Ken, tu Don Jordan. Chciałem ci tylko powiedzieć, że dwóch naszych ludzi skontaktowało się z Carla wczoraj w nocy. Dalej mieszka w Hiltonie, bardzo późno wróciła. Ktoś za nią jechał jeszcze od wzgórz, ale na razie niczego nie ustaliliśmy. Jej pokój jest pod całodobową obserwacją.

— Don, nie chciałybym się wtrącać, ale przecież ona jeździ sama do tej bazy Franka i z powrotem. Skoro jechali za nią zeszłej nocy...

— Ken, gdyby nie to, że jesteś na liście dopuszczonych do ściśle tajnych informacji, w ogóle nie mógłbym o tym z tobą rozmawiać, zresztą nie powinienem. To, co Leighton robi, ma tak poufny charakter, że jak dotąd nie trafiłem w CIA na nikogo, kto by się przyznał, że słyszał o takim laboratorium. Pojedziemy za nią tą boczną drogą do bazy, przez jakieś dwa kilometry od autostrady, aż do znaku posiadłości rządowej. Ale potem teren jest już pod jurysdykcją CIA. Nasi ludzie wyszliby na głupków. Nie możemy tego zrobić.

— Głupków, nie głupków...

— Rozumiem, jak się czujesz. Uwierz mi, robię, co mogę. Szczerze mówiąc, chyba nawet więcej.

— Wiem, że tak jest, i doceniam to. Dzięki, bracie, i błagam, módl się dalej.

*

Ken wcześniej niż zwykle wyszedł z biura w swojej firmie komputerowej. Nie mógł się opędzić od upartej myśli, że Carli grozi niebezpieczeństwo i że powinien coś z tym zrobić. Aż nadto wyraźnie zrozumiał, że CIA się nią nie zajmie. Nadział się na barierę biurokracji. Całe szczęście, że przypadkowo udało mu się zawiadomić FBI i że ją obserwują, ale nie obserwują jej na najniebezpieczniejszym odcinku tej drogi dojazdowej! Postanowił, że sam pojedzie i sprawdzi. Jeśli Sowieci wysłali ekipę po Wiktora, a dowiedzieli się, że dzień i noc jest pod strażą w niedostępnej twierdzy, to nie wiadomo, co z tym robią. A Carla jest najbardziej narażona. Najdogodniejszym miejscem, żeby ją złapać - skoro hotel, w którym się zatrzymała, jest strzeżony - byłby właśnie ten fragment drogi, gdzie FBI już nie dociera. „Może to idiotyzm, ale pojedę tam. Przynajmniej zobaczą, jak to wygląda.” Po drodze wstąpił do domu, żeby włożyć jakieś dzinsy. Pod wpływem chwilowego przebłysku chwycił ocieplacz, starą, od lat nie używaną strzelbę myśliwską i trochę amunicji.

Kiedy wybiegał na zewnątrz w kierunku garażu, matka siedziała właśnie przed domem i czytała.

— Nie szukaj dla mnie kolacji — powiedział jakby nigdy nic. — Mogę wrócić późno.

Patrzyła znad okularów, jak przechodzi obok.

— Wielkie nieba! Nie wiedziałam, że to sezon polowań! Dlaczego się tak śpieszysz?

— Chcę trochę powęszyć tu na wzgórzach. Do jutra. Uważaj na siebie.

— To ty uważaj! — zawołała za nim. — Słyszysz? Uważaj!

Przejeżdżając powoli obok znaku *Zastrzeżona posiadłość rządowa. Wstęp wzbroniony!*, poczuł się trochę głupio. Byłby bardzo zakłopotany, gdyby akurat spotkał Leightona albo Carlę po drodze do Paño Alto. Gdy był już na tyle blisko, że widział mur wokół ośrodka, podjechał jeszcze kawałek krętą drogą, tak żeby nikt z bazy nie mógł go zobaczyć, zjechał nieco w bok i siedział tak z silnikiem na chodzie. „No i sobie obejrzałem. I co teraz? Tylko strata czasu. Nic nie mogę zrobić.” Przypomniał sobie, że jakieś sto metrów wcześniej widział taki mały prześwit między drzewami, tuż przy drodze, w którym od biedy można by chyba ukryć samochód. Postanowił, że sprawdzi w drodze powrotnej.

Pod sklepieniem wyniosłych sekwoi zmrok zapadał prędko. Kiedy Ken znalazł się na wysokości maleńkiej polanki, zatrzymał samochód. Zabrawszy ze sobą latarkę, wysiadł i obejrzał polankę. Zachodziła głębiej w las, niż się spodziewał, jakieś sześć - siedem metrów. Zauważył ślady opon, o wiele dalej, niżby to było potrzebne przy zawracaniu. „Ktoś tu parkował! Może myśliwy, kłusował na rządowym gruncie? Chyba nie, tu nie ma dużo zwierzyny. Ślady wyglądają na świeże!”

Przemknęła mu przez umysł szaleńcza myśl, natychmiast ją odrzucił. Znow się pojawiła... i jeszcze raz... Wrócił do samochodu, podjechał dalej z pięćset metrów i zjechał na pobocze, jak najdalej mógł, w jednym z tych niewielu miejsc, gdzie było nieco szersze niż zwykle. Na kawałku kartki nabazgrał: „Zabrakło benzyny. Zaraz wracam” i zatknął ją za wycieraczkę.

Załadował strzelbę, do kieszeni włożył trochę amunicji, zamknął wóz i poszedł drogą, ze strzelbą zawiniętą w ocieplacz. Pięć minut szybkiego marszu doprowadziło go z powrotem do niewielkiej przecinki. Było już po szóstej wieczorem i zaległa prawie zupełna ciemność. „A jeśli sowieccy agenci planują użyć tego miejsca właśnie dziś wieczór! Ktoś tu parkował, i to całkiem niedawno. Chcę ich odstraszyć, ale chciałbym również ich zidentyfikować. Jak to zrobić?” Bał się użyć latarki, więc szedł po omacku, aż natknął się na leżące na ziemi złamane gałęzie, jakieś dwie kłody, na tyle nieduże, że mógł je wlec po ziemi, i kilka ciężkich okrągłaków. Starannie wybudował między

drzewami niską zaporę w odległości od drogi nieco mniejszej niż długość samochodu. Gdyby jakiś kierowca próbował tam wjechać, nie zauważył jej w ciemności, zwłaszcza jeśli wjeżdżał tam już wcześniej, i to bardzo głęboko.

Znalazł kryjówkę w kępie wysokich paproci, około siedmiu metrów dalej, za potężnym drzewem. Usadowił się tam i czekał. Nocne powietrze było coraz chłodniejsze, dobrze, że wiał kurtkę. Wsunął ręce głęboko w grube kieszenie, strzelbę położył na kolanach. Minęła godzina, dwie. Musiał się zdrzemnąć. Na dźwięk silnika zbliżającego się pojazdu poderwał się gwałtownie.

Dostrzegł już światła, coraz mocniej przebijające się między drzewami. Samochód zwolnił i zatrzymał się dokładnie naprzeciw niego. Potem zaczął tyłem wjeżdżać na wąską przecinkę. Serce Kena waliło jak oszalałe. Odbezpieczył broń i przesunął się trochę, stając za drzewem. W nikłej iluminacji tylnych świateł majaczył kształt wzniesionej przez niego konstrukcji, ale kierowca najwidoczniej niczego nie zauważył. Rozległ się trzask: tylny zderzak rąbnął w wielki głaz, potem chrupnięcie — następny kamień znalazł się pod pojemnikiem z paliwem, w końcu dało się słyszeć głucho uderzenie: tylne koła trafiły na kłody.

Otworzyły się drzwi. Dwaj mężczyźni wypadli na zewnątrz i pobiegli do tyłu, żeby zbadać sytuację. Potok wściekłych słów, jakie z siebie wyrzucali, nie pozostawił cienia wątpliwości: to Rosjanie! Ken zamarał za potężnym pnem. Snopy światła latarek tańczyły po jego barykadzie, a mężczyźni kopali ją gniewnie. Krzyknęli coś do kierowcy. Odjechał kawałek, a oni zaczęli usuwać kamienie i kłody. Potem jakby ogarnęły ich wątpliwości; przzerwali pracę. Ken słyszał, jak naradzają się stłumionymi głosami. Za chwilę w pośpiechu wsiedli do samochodu i odjechali. „A więc jednak jakaś grupa Sowieców tropi Carlę i chcieli się tutaj na nią zacząć! Muszę zawiadomić FBI!”

Może powinien podjechać do strażników przy bramie... Prawdopodobnie by go przepędzili i nie chcieli słuchać ani słowa. A jeśli za szybko pojedzie za Sowiecami, to z kolei oni mogą na niego zaczekać. A jeśli zechcą zawrócić? Po dwudziestu minutach niespokojnej rozterki pełen obaw wyszedł na drogę. Bez najmniejszych przeszkód dotarł pieszo do samochodu. Nietknięty. Kartka za wycieraczką, tak jak ją zostawił. Wsiadł i wyjechał na autostradę, tak szybko, na ile mu pozwoliły meandry drogi. Po drodze nikogo nie zauważył. Zdawało mu się, że całe wieki minęły, zanim dotarł do pierwszej budki telefonicznej po drodze do Paño Alto. Zadzwoił do mieszkania swojego przyjaciela Dona Jordana — ten numer znał na pamięć.

Po kilku sygnałach rozległo się zmęczone „Słucham”. To była żona Jordana.

— Gloria, jest Don?

— A, kto mówi? Aha, Ken. Nie poznałam cię. Don się właśnie ubiera, biegnie do biura. Jakiś alarm.

— U mnie też alarm. Bardzo pilne. Możesz go dać tylko na sekundę?

— Poczekaj.

Nastała chwila ciszy, a potem...

— Halo. Ken, ale ja się naprawdę śpieszę.

— Posłuchaj, byłem na drodze do tej twierdzy Leightona i nadziałem się na sowieckich agentów!

— Tak? A skąd wiedziałeś, że to Sowietci?

— Ukryłem się obok takiego miejsca, które może służyć za kryjówkę dla samochodu, ze dwieście metrów od bazy. Wtedy pojawił się ten wóz. Dwaj wysiedli i rozmawiali, po r o s y j s k u! To byli Sowietci, Don, Sowietci! Potem odjechali.

— Kiedy to było?

— Ze czterdzieści minut temu, może trochę więcej.

— Ken, możesz być b a r d z o wdzięczny Bogu. Dwóch naszych agentów specjalnych stało przy tej drodze gdzieś od dziesiętej, czekali na Carlę, żeby ją eskortować. Musieli tam wjechać tuż przed wyjazdem Rosjan. Podali przez radio, że próbują zatrzymać samochód, który wypłoszyli z prywatnej drogi. Ścigali go w stronę Pało Alto, potem skręcili na północ. Do czasu, gdy nasze jednostki pomocnicze i patrol drogowy znaleźli ich wóz, obaj nie żyli. Daliśmy wszędzie sygnały, ale właściwie nie wiemy, kogo szukamy. Mamy pobieżny opis samochodu, ale nie mamy numeru tablicy.

— Chcesz powiedzieć, że wasi ludzie nie dali im rady? — Ken z trudem wydobywał słowa. — Kim są ci faceci!

— Specjalna grupa sowiecka, tego właśnie się spodziewałem.

— Chcesz powiedzieć: Specnaz?

— Nie. Tajny oddział szkolony do walki parapsychologicznej, dziesięć razy bardziej niebezpieczny. Na Zachodnim Wybrzeżu nie mamy nikogo, kto by sobie umiał z nimi poradzić. Z Virginii mają przysłać oddział specjalnych komandosów. Do jutra wieczór droga będzie obstawiona.

— A co z Carla?

— Nie sądzę, że coś jej bezpośrednio grozi. Zdaje się, że ich odstraszyliśmy, przynajmniej na chwilę. Ale postawiliśmy tam na drodze jeszcze jedną grupę, która na nią czeka. Doeskortują ją do hotelu. Ken, muszę bieć. Będę się z tobą kontaktował.

— Dzięki, Don.

— Posłuchaj jeszcze, wyświadcz mi jedną przysługę, co?

— O co chodzi?

— Nie próbuj się już bawić w policjantów i złodziei. Być może uratowałeś dziś Carli życie, ale więcej się do tego nie mieszaj. Mówię poważnie! Dla twojego dobra i dla Carli! Jasne?

— Tak, Don.

Inwazja

Odludna droga dojazdowa była pusta i po opuszczeniu bazy Carla bez przeszkód dotarła do autostrady. Nie miała oczywiście pojęcia o tragedii, jaka rozegrała się w tym miejscu zupełnie niedawno. Nie miała też pojęcia, że znalazła się na styku drogi z autostradą zaledwie kilka minut przed pojawieniem się tam drugiej ekipy z FBI, która miała ją eskortować. W rezultacie agenci spędzili w tamtym miejscu dobrą godzinę, aż ich powiadomiono, że Carla jest już w Paño Alto.

Po dwudziestu minutach wbiegała po stopniach do hotelu. Rzut oka na hall pozwolił jej dostrzec jednego z dwóch agentów specjalnych FBI, których spotkała zeszłej nocy. Siedział w wygodnym fotelu. Spojrzał na nią znad gazety, a potem powrócił do czytania, bez choćby najmniejszej oznaki, że ją rozpoznał. Sam jego widok - plus fakt, że tym razem nikt za nią nie jechał - bardzo poprawił jej nastrój. Ludzie Wuja Sama nie objają się! Carla z trudem powstrzymała się od drugiego spojrzenia.

„Jakiś zjazd, czy co?” — pomyślała, kiedy zauważyła tłum ludzi. — „Ale tłok!” Co najmniej dziesięć osób wcisnęło się do windy razem z nią. Normalni ludzie, tak jej się zdawało — z wyjątkiem tamtych dwóch z tyłu, których zauważyła dopiero, gdy winda ruszyła. W jednym z nich było coś dziwnie znajomego. Może to ten niższy agent, którego spotkała z tym drugim wczoraj w windzie? Ma brodę. Rzuciła jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie. „Pawłow? Nie, niemożliwe!” Obrócił się i spojrzał na nią. Spotkali się wzrokiem akurat w momencie, gdy jej usta bezgłośnie, z niedowierzaniem wypowiadały jego nazwisko.

Pędkiem odwróciła głowę, ale nie mogła się powstrzymać od kolejnego ukradkowego spojrzenia. Musi się upewnić. Nie patrzył akurat na nią, więc zdołała się przyjrzeć jego twarzy nieco dokładniej. Świeżo zapuszczona broda - „może żeby ukryć nieładne blizny” - o mało jej nie oszukała, ale nie było najmniejszej wątpliwości. Ów mężczyzna to nikt inny jak doktor Aleksandr Pawłow z Paryża, który - jak jej wyjaśnił Wiktor - w rzeczywistości nazywa się Aleksiej Czernow i jest oficerem armii sowieckiej, dowodzącym specjalnymi oddziałami wyszkolonymi do walki parapsychologicznej! Jego intencje też nie budziły w niej cienia wątpliwości!

Wcale nie dała się ogarnąć panice - choć zawsze się obawiała, że taka będzie jej reakcja w podobnej sytuacji - za to poczuła dziwny spokój, jakby patrzyła na samą siebie i na wszystkich w windzie z pewnej odległości. Czyżby śniła? Zdaje jej się, że winda zaczyna wirować. Chyba zemdleje. Z całego serca tęskniła za utratą świadomości, ale przerażona natychmiast przewyciężyła to pragnienie. Oparła się o ścianę, zacisnęła pięści, rozpaczliwie usiłując zachować zimną krew i coś wymyślić. „Co robić?! Za żadne skarby nie wysiądę na swoim piętrze! Wyjście z kim innym też nic nie da. Jeśli pojedą do samej góry, to w końcu zostaną sam na sam z tymi dwoma. Może powinnam zacząć krzyczeć? Wtedy mogliby wszystkich pozabijać!”

Pozostało tylko jedno wyjście. Złapała się za lewy bok, oparła się o mężczyznę, który stał obok i słabym głosem, ale na tyle głośnym, żeby wszyscy usłyszeli, błagała go:

— Chyba mam atak serca... Błagam, proszę mnie zwieźć do hallu! Pogotowie...

Głośno dysząc, jedną dłonią przyciskała klatkę piersiową, a drugą rozpaczliwie ścisnęła ramię mężczyzny i osunęła się na podłogę. Ludzie wyciągali szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje. Jej twarz wskutek paniki była trupio biała, co niechcący tylko przydało autentyczności scenariuszowi, który ostatkiem sił próbowała odegrać.

— Proszę się cofnąć! — mężczyzna obok postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Ułożył ją na podłodze i spychał resztę pasażerów w tył, żeby zrobić jej dość miejsca. — Jej trzeba powietrza! Jak zawrócić tę windę?!

— Nie da się — powiedziała jakaś kobieta. — Gdzie wszyscy wysiadają?

— Tylko cztery piętra są wciśnięte — zauważył ktoś.

— Niech nikt nie wysiada! — jęczała Carla. — Błagam, zostańcie ze mną. Pomóżcie!

— Dobrze, proszę pani. Niech się pani uspokoi. Niech nikt nie wysiada! — zalecił uspokajający, władczy głos. — Jak tylko się zatrzyma, proszę nacisnąć ZAMYKANIE DRZWI.

— Kto się zna na reanimacji? — zapytał zatroskany męski głos.

— Ja! — odezwała się jakaś kobieta. — Ale jeszcze nie potrzeba. Wszyscy mężczyźni muszą pomóc ją wynieść, kiedy staniemy na dole!

Zadziwiająco: nikt nie wysiadł. Drzwi zamykano, ledwo się otwierały, i już wkrótce byli na dole. Przez las kostek i łydek Carla z uwagą obserwowała nogi Czernowa i jego towarzysza. Szurali nimi po tej drugiej stronie windy, ale nie zrobili żadnego ruchu w jej stronę. Kiedy pozostali schylili się, żeby ją podnieść, tamci dwaj wymknęli się do hallu.

— FBI! — wrzasnęła Carla, odpychając schylonych nad nią mężczyzn i żwawo zrywając się na równe nogi. — Pomocy! FBI! — krzyknęła jeszcze głośniej. Agent specjalny, który siedział w hallu, kiedy weszła, zaraz przy-

biegł zza rogu, drugi nadbiegł z przeciwnej strony. Współpasażerowie Carli cofnęli się, zdumieni, i stali obok patrząc na nią w osłupieniu.

— Dwaj Sowietci, jeden z brodą! — wyrzuciła z siebie. — Biegli do głównego wyjścia! Tędy!

Nagle uświadomiła sobie, że cała się trzęsie.

Obaj agenci błyskawicznie wybiegli na zewnątrz, a roztrzęsiona Carla poszła z wahaniem za nimi, w bezpiecznej odległości. Minęła hall i wyszła przed budynek. Po kilku minutach agenci wrócili, każdy oddzielnie i każdy z pustymi rękami. Przed hotelem zgromadził się tłum ciekawskich.

— Nie możemy tu rozmawiać — powiedział agent, który wydawał się do-wódcą. Pokazał jej legitymację i przedstawił siebie i towarzysza:

— Jestem Carl Richardson, a to George Lawton. Idźmy stąd gdzieś.

Zaprowadzili ją do nieoznaczonego żadnymi symbolami samochodu, który stał przy krawężniku, i usadzili w tyle. Richardson usiadł obok.

— Niech nam pani powie, co się stało — zażądał kategorycznie.

Kiedy opowiadała, Lawton jeździł powoli po okolicy, a potem zaparkował przecnicę dalej, tak żeby zachować widok na hotel.

— Ma pani szybki refleks — powiedział Richardson, kiedy skończy-ła. — Prawdopodobnie uratowała pani życie. Materiały na temat Czernowa le-dwo mieszczą się nam w kartotece. To najdzikszy, najniebezpieczniejszy człowiek, jakiego KGB ma pod ręką. Ale potrzebny nam jak najdokładniej-szy opis jego obecnego wyglądu, jego towarzyszy też.

— No cóż, fizycznie Czernow się nie zmienił, odkąd go widziałam trzy ty-godnie temu w Paryżu — powiedziała Carla, próbując odmalować go sobie w wyobraźni. — Z wyglądu około 45 lat, metr dziewięćdziesiąt, potężnie zbu-dowany, waży, powiedziałabym, około 90 kilo. Ostry nos, mocno zarysowa-ne, kwadratowe szczęki, oczy jakies takie podpuchnięte i wąskie, szerokie czoło, gęste czarne włosy, bardzo krótko ścięte, ale leżą płasko. Króciutka broda, na pewno nie starsza niż kilka tygodni; w Paryżu jej nie miał. Jego to-warzysz też potężnie zbudowany, gdzieś z pięć centymetrów wyższy, ale nie zdołałam się lepiej przyjrzeć. Chyba miał krótkie, płowe włosy i szerokie ko-ści policzkowe, ale więcej chyba nie pamiętam. Obaj w ciemnych garni-turach.

Lawton przez cały czas dyktował to, co mówiła, przez radio.

— To zostaje natychmiast puszczane do wszystkich mogących pomóc jed-nostek — wyjaśnił Richardson. — Nie tylko do naszych agentów, ale i lokal-nej policji, szeryfów, patrolu drogowego, każdej instytucji związanej z egze-kwowaniem prawa. Niestety, mamy tylko ten opis samochodu, który nam pa-ni podała ostatnio, a to niewiele.

Wrócili do hotelu, tym razem zaparkowali za rogiem. Cała trójka weszła bocznymi drzwiami i pośpiesznie minęła hall. Natychmiast ich rozpoznano i

kilku najbardziej dociekliwych gości pobiegło za nimi.

— Proszę się cofnąć! — nakazali obaj agenci, kiedy drzwi windy otworzyły się. Nie pozwolili nikomu wejść. Drzwi zamknęły się, oddzielając trójkę od reszty, i Richardson wcisnął piętro czwarte, szóste i dziesiąte. Widząc zdziwione spojrzenie Carli wyjaśnił:

— Niektórzy będą chcieli zaobserwować, na jakim piętrze wysiądziemy, a potem będą dosłownie biegać z nosem przy ziemi po korytarzach i węszyć za jakąkolwiek informacją.

Na piętrze czwartym i szóstym Richardson natychmiast wcisnął ZAMYKANIE DRZWI. Na dziesiątym wysiedli. Carla zbiegła za dwoma agentami po schodach na swoje ósme piętro.

Otworzyła drzwi pokoju. Weszli razem z nią, żeby się upewnić, że wszystko w porządku.

— Lawton i ja spaliliśmy swoje incognito — wyjaśnił Richardson. — Już nas pani w hallu nie zobaczy. Zamienimy się miejscami z zespołem, który jest tu, w pokoju obok — wskazał na boczne drzwi. — Te drzwi są zawsze z naszej strony otwarte. W razie niebezpieczeństwa proszę tylko otworzyć kluczem i wejść. Będziemy tam non stop. Jeszcze jeden zespół jest po drugiej stronie korytarza; mają widok akurat na pani drzwi.

— Z wami naprawdę czuję się bezpiecznie — powiedziała Carla z wdzięcznością. — Nie wiedziałam, że jestem aż tak ważna. Nie mieści mi się w głowie, że ktoś mógłby chcieć mnie zabić. To potworne uczucie!

— Z tego, co nam pani opowiadała, o mało nie zabiła pani Czernowa — powiedział Lawton. — On nie należy do ludzi, którzy puszczejają takie rzeczy płazem.

— Proszę tylko nie zapominać, że to nie pani jest ich głównym celem — dodał Richardson. — Tu ma pani przewagę. Czernow ściga zbiega, któremu pani pomogła uciec. Wie, że odkąd go pani dziś rozpoznała, będzie pani pod całodobową strażą. Może uznać, że gra nie jest warta świeczki. Mamy na to nadzieję, ale gdyby jednak próbował, to jest pani chroniona. Nie będzie pani więcej sama jeździć windą. Wszędzie, gdzie pani pójdzie, ktoś będzie z panią szedł. Nie zawsze to będzie widać, ale może pani być tego pewna.

Carla leżała już w łóżku, bezskutecznie próbując zasnąć, gdy zadzwonił telefon.

— Pani Bertelli — odezwał się niski męski głos — tu mówi Don Jordan. Dowodzę tymi zespołami FBI, które panią obserwują. Chciałem tylko wyjaśnić kilka spraw. Po pierwsze, być może zainteresuje panią, że mężczyźni, których widziała pani dziś w windzie, byli najprawdopodobniej parą godzin temu na bocznej drodze do ośrodka badawczego. Prawdopodobnie szykowali na panią zasadzkę. Nasz wspólny znajomy Ken Inman zdaje się ich odstraszył.

- Pan żartuje! A cóż Ken by tam robił?!
- Dokładnie to, czego nie powinien robić, już go ostrzegłem. Ale tak się o panią martwił, że nawet nie pomyślał, w co się pakuje. Teraz już wie. To bardzo niebezpieczny oddział sowiecki. Zabili naszych dwóch ludzi, którzy usiłowali ich potem zaarrestować.
- Więc Ken uratował mi życie, i w dodatku ryzykował własne?
- Chyba można tak powiedzieć — odparł Jordan.
- Przez chwilę Carla miała przed oczyma siebie samą, jak wychodzi z sali szpitalnej, a Ken woła coś za nią. Nagle uświadomiła sobie, że Jordan mówi do niej coś ważnego.
- ...no i nie wiemy, ilu dokładnie ludzi jest w tym oddziale, ale przyjeżdża grupa specjalnie szkolonych komandosów z Virginii, powinni sobie z nimi poradzić. Od jutra wieczór rozstawia się na całej długości tej drogi dojazdowej, od samej autostrady aż do laboratorium. Więc nie ma się pani już czego obawiać.
- Sądzicie, że mogą zaatakować laboratorium? — zapytała zaskoczona.
- Nie mogę powiedzieć, co sądzimy. Oczywiście wszystko, co pani teraz mówię, jest poufne. Chciałem przede wszystkim upewnić panią, że panujemy nad sytuacją. Proszę się odprężyć i dobrze wypaść.
- Naprawdę, bardzo wam dziękuję — powiedziała Carla. — Miałam olbrzymie trudności z zaśnięciem. Nie lubię brać proszków.
- Absolutnie proszę nawet o tym nie myśleć w tej sytuacji! — ostrzegł Jordan.
- Jeszcze raz dziękuję. Naprawdę lepiej się poczułam.

*

Carla spała niespokojnym snem. Koszmary mieszały się z fantazjami na pół-jawie. Całe jej życie stało się jak zły sen, z którego miała nadzieję przebudzić się pewnego dnia. Czy warto się tak poświęcać? „O c z y w i ś c i e!” — powtarzała sobie, ilekroć nachodziły ją takie myśli. Nie ma cienia wątpliwości, że złapała za ogon temat do nagrody Pulitzera, pięć milionów dolarów za odsprzedaż praw do scenariusza filmowego, no i nieskończenie wiele innych korzyści. Nie tylko złapała za ogon temat, jaki zdarza się raz w życiu, ale wręcz nim żyje, bierze udział w przerażającym rozwoju wypadków, doświadcza wszystkiego na własnej skórze, od podszewki! Któremu dziennikarzowi trafiła się kiedykolwiek podobna gratka?

Śniadanie zjadła późno, przyniósł je jakiś agent FBI. Ubrała się i zeszła do samochodu. Mężczyzna z hallu, który jechał z nią w windzie i poszedł do garażu, nieoznaczony samochód z dwoma ludźmi w środku, który jechał tuż przed nią, i inny, podobny, który jechał za nią aż do samej bramy ośrodka,

dały jej poczucie nie tylko doskonale szczelnego bezpieczeństwa, ale również ważności własnej osoby, co było nadzwyczaj przyjemne. Długo nie mogłaby jednak w ten sposób żyć. W każdym razie było jasne, że Czernow nie zdoła wypełnić swoich planów wobec niej, no a Wiktor jest z pewnością poza jego zasięgiem w niezdobytej twierdzy Leightona.

— Podobno miałaś przygody — wykrzyknął Leighton, gdy tuż przed południem pojawiła się w jego biurze.

— Przeżyłam kilka niespokojnych chwil, ale już wszystko w porządku — odparła, usiłując mówić zblazowanym tonem. — Pomyślałbyś, że jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych — dodała ze śmiechem — gdybyś tylko zobaczył, jak pilnują mojego pokoju i jak mnie tu doeskortowali!

— No, tu jesteś bezpieczna, bez wątplenia. To miejsce jest lepiej strzeżone niż Fort Knox. Może jednak namówię cię, żebyś się tu wprowadziła. Miałaś swój apartament, jak Wiktor, świetne jedzenie, nawet w Hiltonie nic lepszego nie dostaniesz, saunę, salę gimnastyczną, basen...

Rozeźmiała się i potrząsnęła głową.

— I mam dobrowolnie zrezygnować z tego pozoru wielkiej osobistości, którego doznaję chodząc wszędzie z tymi goryłami i agentami? Doceniam twoją propozycję, ale już się nie boję. Powiedzieli mi, że cała kompania specjalnych komandosów będzie od wieczora pilnowała tej drogi, tak że nawet ten straszny odcinek, którego zawsze się śmiertelnie bałam, będzie dziecinnie prosty do przejścia.

— Wiem — powiedział Leighton krzywiąc się — i uważam, że ta przesadna ostrożność jest wręcz śmieszna. Eskorta, którą ci przydzielili, powinna aż nadto wystarczyć. Nie podoba mi się taki nadmiar uwagi, przynajmniej nie w tym stylu. A jeśli jakiemuś senatorowi zachce się zadawać pytania, na które nie możemy jeszcze odpowiadać?

Wzruszył ramionami i zdobył się na krzywy uśmiech.

— Posłuchaj, nie chcę powiedzieć, że to twoja wina. No cóż, ale my tu mamy swoje zadania. Poczekaj chwilę, skontaktuję się z laboratorium przez interkom i zobaczę, co tam u Antonia. Wiktor już tam jest. Mamy dziś dużo do zrobienia.

*

Noc była czarna jak atrament. Przyczynił się do tego nie tylko czas nowiu, ale i ciężki wał mgły, która wpełzła na kilka kilometrów w głąb łądu od strony oceanu i podchodziła w kierunku gór, sącząc się w dół ku ziemi poprzez wierzchołki drzew. Zaległa dziwna cisza i bezruch. Dwaj strażnicy na dyżurze przy bramie wjazdowej stanęli przed perspektywą znajomej wieczornej nudy. Było około pół do dziewiątej i nic się nie działo. Asystenci z laborato-

riów i sekretarki wyjechali jak zwykle po pracy, zaraz po siedemnastej.

Nie była to robota, w której można sobie pozwolić na karty czy telewizję w wolnej chwili. Choć polegała w zasadzie wyłącznie na wypatrywaniu i wyczekiwaniu czegoś, co do tej pory nigdy się nie zdarzyło, czujność była konieczna w każdej chwili. Przez grubą, kuloodporną szybę swojej małej twierdzy na zmianę obserwowali mgłę, która kotłowała się w dole na zalanej światłem drodze przed bramą. Doniesienia, że w okolicy kręcą się sowieccy agenci, że próbowali już zabić panią Bertelli i że mogą próbować wedrzeć się do bazy i zabić doktora Chorewa, nie wpływały kojąco na nerwy.

— Nie mieści mi się w głowie, jak mogą liczyć na to, że uda im się wejść do takiej fortecy — zamruczał młodszy strażnik już piąty czy szósty raz, bardziej do siebie niż do towarzysza, który nie miał ochoty słuchać tego któryś raz z kolei.

— Tak, tak. Już mówiłeś. Ale ja nie byłbym niczego pewien.

Młodszy z głośnym ziewnięciem odwrócił spojrzenie od spowitej mgłą drogi przed bramą.

— A gdybyś ty miał zadanie, żeby się tu dostać i kogoś zabić, to jak byś to zrobił? Chyba nie bezpośredni atak?

— Nawet bym o tym nie myślał. Poczekałbym, aż gość wyjdzie na zewnątrz, w końcu musi to zrobić. Przyciąłbym się gdzieś w trawie i dorwał go, kiedy byłby spokojny i niczego się nie spodziewał.

— A gdybyś z jakiegoś powodu nie mógł tak długo czekać?

— Musiałbym czekać. Nie ma innego wyjścia z taką fortecą. Dobrze wiesz. Przez ścianę nie przejdziesz, a nawet jeśli by ci się to udało, to elektronika zaraz włączy alarm. Trzeba by przejść przez to miejsce, po naszych trupach. A nie mam pojęcia, jak by to było możliwe.

Nadeszła jego kolej na wyglądanie przez okno.

— Może helikopterem? — młodszy nie dawał za wygraną.

— Zwariowałeś? Oglądasz za dużo telewizji.

— A spadochroniarze? Niektórzy potrafią wylądować nawet na dolarówce.

— Wśród tych wielkich drzew, i to w nocy? Tobie chyba naprawdę odbiło!

Puk, puk, puk. Na ten dźwięk obaj w ułamku sekundy obrócili się i wycelowali broń. W maleńkim okienku w ciężkich stalowych drzwiach prowadzących na wewnętrzny obszar ośrodka - gdyby kiedyś zaszła potrzeba wycofania się - dostrzegli znajomą twarz.

— No, no, popatrz, kogo tu widzimy — odezwał się młodszy. — Nieczęsto zdarzają się wizyty grubych ryb.

Podszedł, odkręcił zamek przy wejściu i otworzył drzwi.

— Na spacer, co?

— Aha. W głowie mi się już miesza. Dobrze mi zrobi krótka przechadzka naokoło bazy. Efekt murowany.

— No to prosimy do środka — powiedział starszy — trochę rozrywki nie zawadzi, taka tu nuda. Kazali nam wypatrywać oczy, ale jaki to ma sens? W lesie roi się od komandosów z armii. Żaden sowiecki agent by się nie przedostał ani na milę w stronę bazy. A nawet jeśli, to chętnie bym zobaczył, jak by się tu chcieli dostać!

Niespodziewanie gość, który zawitał do małego posterunku, utkwiał zdumiony wzrok gdzieś z tyłu, za strażnikami, w oknie, i zapytał stłumionym głosem:

— A co to takiego tam na drodze?!

Obaj strażnicy prędko przyskoczyli do kuloodpornej szyby i wpatrzyli się w mgłę.

— Tam prosto? — zapytał starszy, odwracając się bokiem do gościa. W tym momencie kątem oka zauważył jakiś szybki ruch.

Błyskawicznym ruchem kamera wideo została strącona na ziemię. Gość z pogardliwym uśmiechem celował w niego z rewolweru zaopatrzonego w tłumik. Strażnik nie miał szans na wycelowanie z własnej broni. Trzy naboje wryły mu się w twarz i w głowę, zabijając na miejscu. Młodszy obrócił się, ale nie żył, nim zdążył podnieść lufę karabinu.

Gość natychmiast wcisnął guzik otwierający pancerne drzwi, przeskoczył nad trupami i znalazł się na zewnątrz. Zamachał w stronę opustoszałej drogi. Z gęstego lasu wybiegło prędko czterech mężczyzn w czarnych dresach. Czernow pierwszy znalazł się na posterunku.

— Charaszo! — mruknął, odbierając rewolwer, który dopiero co zabił obu strażników i miał być wyniesiony z bazy po wykonaniu zadania.

Kiedy cała czwórka znalazła się wewnątrz, gość na powrót zamknął pancerne drzwi i pokazał na operujący nimi przycisk. Potem rozległy się słowa wypowiedziane płynnym rosyjskim:

— Dajcie mi dwie minuty na powrót do środka. Potem idźcie w lewo, do bocznego wejścia. Zaraz odejdźcie od muru i trzymajcie się od niego z dala. Tam są wszystkie urządzenia alarmujące. A tak zostaną wam tylko psy i strażnicy.

„Gruba ryba” znikła za drzwiami prowadzącymi do wnętrza bazy.

Wojna Parapsychologiczna

Czernow i jego ludzie co prędzej umieścili kamerę podglądową na dawnym miejscu. Zawlekli oba ciała do pancernych drzwi, poza zasięg jej widzenia. Jeden z nich włożył kamizelkę kuloodporną, pośpiesznie ściągniętą z któregoś strażnika. Włosami i wzrostem przypominał jednego z zabitych i jego widok z tyłu mógł przejść przez pobieżną kontrolę wewnętrznej komórki bezpieczeństwa. Umieszczono kamerę na dawnym miejscu. Potem czekali. Dwie minuty zdawały się wiecznością, ale było to niezbędne, żeby zachować incognito ich człowieka wewnątrz bazy. Nareszcie odliczono ostatnią sekundę i zostawiono nowego „strażnika”, który wyglądał przez okienko na drogę na zewnątrz. Czernow poprowadził pozostałych dwóch do ośrodka, starannie zamykając za sobą drzwi.

Krótki, szybki bieg doprowadził ich po około trzydziestu metrach do grupki młodzieńskich świerków przy ostatnim budynku po lewej stronie od bramy. Stanęli tam w ukryciu, aby ocenić sytuację i porównać wygląd terenu z mapą, jaką zapamiętali. Wiedzieli, że są tu cztery świetnie wyszkolone i niezwykle agresywne rottweilery obronne, które biegają po całym terenie po zapadnięciu zmroku. Nie minie wiele czasu, a zwęszą intruzów i ruszą ich tropem.

Liczba strażników i ich trasy różniły się z dnia na dzień, Rosjanie w każdej chwili ryzykowali więc odkrycie. Przykucnęli i czekali na psy. Najlepiej pozbyć się ich od razu. Czernow uśmiechnął się pod nosem. Psy i strażnicy nie stanowili dla niego i jego ludzi większego problemu. Martwił się tylko postacią w kapturze.

Odgłos szczekania, który dobiegł z dwóch stron naraz, skłonił ich do przykucnięcia jeszcze niżej. Dwóch zbliżających się do nich zwierząt pozbyli się, gdy tylko znalazły się w zasięgu strzału, dwoma strzałami z broni z tłumikiem. Potem najeźdźcy wyskoczyli ze schronienia, żeby uporać się z pozostałymi dwoma. Psy natarły z obnażonymi kłami, charcząc zajadłe. Pułkownik cofnął się i patrzył, jak zachowują się dwaj ludzie, których tak starannie szkolili. Psy nie miały szans. Znajdowały się właśnie w powietrzu, skacząc na intruzów, gdy błyskawicznie zadane kopniaki w gardła złamały im karki.

Czernow mruknął z aprobatą.

— Teraz! — szepnął.

Ruszyli w stronę rzędu niskich budynków po lewej. Kiedy do nich dobiegli, zaczęli czołgać się ostrożnie, trzymając się jak najbliżej murów i pokonując jak najszybciej krótkie przerwy między nimi. Dotarłszy do końca ostatniego budynku, przystanęli na chwilę dla złapania oddechu i uważnie przypatrywali się terenowi przed bocznym wejściem, które miało być otwarte.

— Stać! — surowy nakaz padł gdzieś spoza skradających się postaci. Zza przeciwległego rogu wyszedł strażnik. Spozobiegł ich. Zbliżył się szybkim krokiem, z bronią automatyczną gotową do strzału.

— Ręce do góry! Stanać przodem do ściany! Już!

Czernow i jego ludzie niechętnie posłuchali.

— Stanać w rozkroku, żadnych gwałtownych ruchów!

Podszedł do nich ostrożnie, żeby się lepiej przyjrzeć w słabym świetle. „Jak się mogli tu dostać?” Rozejrzał się podejrzliwie, czy nie ma ich więcej.

Musi zaraz zawiadomić centralną komórkę bezpieczeństwa, no i będzie potrzebował pomocy. Nie spuszczać oka z intruzów i nie opuszczając karabinu, wyciągnął zza pasa przenośny aparat nadawczy. Kątem oka Czernow dostrzegł, co się dzieje. Wiedział, że musi działać natychmiast.

Okręcając się szybciej, niż wzrok strażnika mógł zarejestrować, wykonał zamaszty ruch dłonią. Niczego nie dotknął, a jednak walkie-talkie rozprysł się w drobne kawałki. Broń automatyczna została wyrwana ze ściskających ją dłoni i ciśnięta o betonową ścianę z taką siłą, że lufa się zgięła, a łożysko roztrzaskało. Kolejnym błyskawicznym, zdecydowanym ruchem Czernow złamał kark już bezbronnego człowieka, tym razem wymachem nogi. Prędko zaciągnęli zwłoki pod jakiś wielki krzew i pobiegli do głównego budynku.

Trzymając się miejsc nieoświetlonych, wkrótce dotarli do bocznego wejścia, o którym wiedzieli, że będzie otwarte. Strażnika nie było. Bezszelestnie weszli do środka. Idąc według zapamiętanego z mapy planu, zmierzali prosto, bezszelestnie, do biura Leightona.

— Pamiętajcie! — szepnął Czernow, powtarzając rozkaz, który już dawno wraził w pamięć swoich ludzi. — Wysoki w kapturze jest najniebezpieczniejszy. Od razu zastrzelić! A dziewczyna jest moja.

*

Po kolejnym wyczerpującym dniu obserwowania eksperymentów, notowania wyjaśnień i analizowania codziennych „transmisji” od Archontów Carla wzięła jeszcze udział w trwającej cały wieczór intensywnej sesji poświęconej strategii działania, na której byli też obecni: Wiktor, Dei Sasso, Kay Morris i Leighton. Odbywała się w biurze tego ostatniego. Dzisiejszy „przekaz” od Archontów wyjawiał pierwsze szczegóły zaprezentowania Planu światu i niezbędne kroki, które trzeba będzie następnie podjąć w celu jego wdrożenia.

Postępowanie według określonej procedury miało zupełnie kapitalne znaczenie. Zawierałoby się w nim kilka „przecieków” do prasy, zrobionych przez Carlę na rzecz swojego przyjaciela-wydawcy w Nowym Jorku. Do tego doszłyby jej własne artykuły, które trzeba będzie napisać, a następnie rozpo-
wszechnić z wielką starannością.

Od dziesięciu minut Carla i Leighton byli sami. Kay przeprosiła i poszła do laboratoriów przygotować je do jutrzejszych prac. Wiktor wyszedł na chwilę, przejść się i trochę ochłoniąć. Del Sasso poszedł do swojego apartamentu, żeby się przebrać. („Mam przeczucie” — wyjaśnił wcześniej — „że przez resztę wieczoru nie powinienem nosić habitu”). Jeszcze nie wrócił.

— Może ból głowy mu się pogorszył i poszedł spać — zastanawiał się Leighton.

Wiktor dołączył do nich akurat w chwili, gdy Carla podjęła decyzję:

— Czy ta oferta pokoju na noc jest jeszcze aktualna? — zapytała.

— No pewnie! — padła szybko odpowiedź.

— To może ją wykorzystam, przynajmniej dzisiaj.

— Pewnie musisz daleko jechać z powrotem — próbował domyślić się Wiktor.

Zawahała się. Cały wieczór bila się z myślami, czy powiedzieć im, co się stało; w końcu zdecydowała, że powie.

— Nie chciałam cię denerwować, Wiktorze. Oczywiście wszyscy wiedzą że ta droga dojazdowa jest obstawiona specjalnym oddziałem komandosów.

— Przecież to śmieszne! — nie wytrzymał Leighton. — Komu to potrzebne? Komuś się wydaje — zwrócił się do Wiktora — że widział specjalny oddział sowiecki, który miałby cię zabić.

Wiktor wyraźnie się przestraszył.

— W ogóle nie ma o czym mówić — kontynuował Frank. — Posłuchaj, Wiktor, to, co się dzieje tam, na zewnątrz, to nie jest nasz problem. Ta twierdza to jak inny świat i nikt się tu nie przedostanie, możesz mi wierzyć! Dlatego tu właśnie jesteś.

— Jest coś, o czym nie wiesz, Frank — przerwała Carla. — Kiedy Wiktor wskoczył do mojego kabrioletu w Paryżu i udało się nam uciec, pewien delegat sowiecki, którego znałam pod nazwiskiem doktora Aleksandra Pawłowa, naprawdę brutalny typ, ten, który pobiegł za Wiktorem, skoczył mi na samochód. Już się drapał do środka, kiedy zrobiłam ostry zakręt. On się nie mógł utrzymać i rzuciło go na jakąś szybę wystawową...

Oczami wyobraźni widziała już nie „Pawłowa” we wstecznym lusterku, jak trzyma się jej paryskiego samochodu, ale Czernowa, w windzie w Pałó Alto, z oczyma pałającymi żądzą zemsty. Musiała przerwać na chwilę, żeby opanować drżenie głosu. „Dlaczego się tak czuję? Już się nie mam czego bać. Weź się w garść, przez wzgląd na Wiktora. Nie utrudniaj mu tego!”

Wiktor przejął opowiadanie.

— Jak powiedziałeś, Frank - choć wówczas nie miałem pojęcia, skąd możesz to wiedzieć - „Pawłow” to w rzeczywistości pułkownik Aleksiej Czernow, dowódca tajnej bazy, gdzie znajduje się moje laboratorium. Jest to również baza wojskowa, gdzie szkoli się specjalne oddziały do wojny parapsychologicznej.

Leighton uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Wiedziałem, kim jest, jak tylko go zobaczyłem. Oboje już wiecie, że mamy go na wielu filmach.

Roześmiał się.

— Zniszczyłem ten jego parawan na kongresie. Oczywiście nie publicznie. Pamiętaj, Wiktor?

Wiktor kiwnął poważnie głową.

— Czernow jest tutaj! — powiedziała Carla, patrząc ze współczuciem na Wiktora. — O mało mnie nie zabił w hotelu wczoraj w nocy! — przerwała na chwilę, żeby się opanować. — Jestem pewna, że zależy mu na nas obojgu!

— Wobec tego musisz tu zostać! — wykrzyknął Leighton. — I nie tylko na dzisiejszą noc, ale tak długo, aż Plan zostanie wdrożony i wszystkie narody, włączając Rosjan, będą jego częścią. Tylko wtedy skończy się zagrożenie ze strony Czernowa i jego ludzi!

Z twarzy Wiktora odpłynęła cała krew. Leighton zauważył to i usiłował go pocieszyć.

— Nie ma się czego bać, Wiktorze, naprawdę. Czernow nawet nie podejździe do bazy, skoro koło drogi kręci się cała kompania tych komandosów. Chyba tylko armia z czołgami dałaby im radę. A przez las, jeśli nie jedzie się drogą, trzeba iść ze sześć kilometrów. Las jest gęsty, a ścieżek nie ma. O czym tu w ogóle mówić! Nawet jeśli jakimś cudem by się tu dostali, to gwarantuję: do środka nigdy nie wejdą. To niemożliwe! Nie zaprzataj już sobie tym głowy.

— Nie wiesz, do czego ci ludzie są zdolni — powiedział Wiktor słabym głosem. Wyglądał na zrezygnowanego i przybitego.

— Daj sobie spokój! — upierał się Leighton. — Carla, chodź, pokażę ci mieszkanie. Jest zaraz obok Wiktora, wszystko uszykowane i przygotowane. Chcesz coś zabrać z samochodu?

Skinęła głową:

— Co nieco.

— Weźmiemy po drodze. Idziesz z nami, Wiktor?

Wiktor apatycznie skinął głową. Wyglądał jak skazaniec, dla którego nastał właśnie dzień egzekucji.

Leighton podniósł się.

— Wiktor! Mówię, nie ma się czego obawiać. Szkoda, że nie widzisz sie-

bie w lustrze. Komicznie wyglądasz. Daj spokój, człowieku, uśmiechnij się!
Nagle coś sobie przypomniał.

— Zaczekajcie chwilę. Byłbym zapomniał. Zadzwonię do FBI, żeby wie
dzieli, że dziś jesteś tutaj.

*

A na zewnątrz, w korytarzu, zaraz za rogiem koło biura Leightona, jeden I
goryli CIA, praktykujący katolik, żartował sobie z ubioru Del Sassa.

— O mało ojca nie poznałem! Myślę sobie: „A któż tu wpuścił tego dziw
nego wycieczkowicza?” Bez swojego habitu ojciec nie wygląda jak ojciec. A
mi się zdawało, że ojciec go nigdy nie ściąga.

— No, raz na rok daję go do pralni, wtedy też biorę doroczną kąpiel. Nie
jestem takim znów dzikusiem.

W tej właśnie chwili na horyzoncie pojawił się Czernow z dwoma ludźmi.
Bez trudu dotarli korytarzem od bocznego wejścia. Agent zobaczył ich w tym
samym momencie, gdy oni zobaczyli jego. Błyskawicznie kucnął, wyciągając
automatyczną broń spod ramienia. Nie zdążył wycelować. Seria stłumionych
wystrzałów z broni Czernowa i agent był już martwy, w kałużę krwi. Del
Sasso powoli uniósł dłoń nad głowę.

— Ten jest wysoki — powiedział Czernow. — Będzie tarczą!

Jeden z ludzi Czernowa chwycił człowieka-medium, przyłożył mu rewol
wer do skroni i popchał go przed sobą. Dotarli do drzwi biura Leightona akii
rat w chwili, kiedy ten je otwierał.

— O Boże! — krzyknął Leighton. Wskoczył z powrotem do gabinetu i
usiłował zamknąć drzwi. Ramię Czernowa otworzyło je z hukiem i powaliło
na podłogę nieprzytomnego Leightona. Jeden z Rosjan został przy drzwiach
jako straż, a pułkownik i drugi agent, pchając przed sobą Del Sassa, wtargnę
li do pomieszczenia.

Carla krzyknęła, a Czernow wymierzył jej cios w twarz grzbietem dłoni,
powalając ją na podłogę. Stamtąd patrzyła na wszystko w półprzytomnym
przeżeniu.

— I znów się spotykamy, pani Bertelli. Bardzo była pani dzielna w Pary
żu, w windzie też całkiem inteligentne zachowanie. Ale tym razem nie ma ju*
wyjścia! — „Pawłow” piętrzył się nad nią, zachłystując się chwilą triumfu.

— Nic jej nie rób! — zawołał Wiktor błagalnie.

Z oczyma pałającymi nienawiścią Czernow i jemu wymierzył cios w
twarz. Wiktor osunął się na ziemię.

— Biorę cię ze sobą, Chorew, z powrotem do Moskwy. Z przyjemnością
zabiłbym cię od razu, ale masz pewne długi wobec kraju, który zdradziłeś!

Pułkownik obrzucił szybkim spojrzeniem całe biuro, jakby szukał kogoś,

kogo spodziewał się tu znaleźć. Nachylił się nad Wiktorem i zapytał tonem nie znoszącym sprzeciwu:

— Gdzie zakapturzony?

— Zakapturzony? — wyjąkał Wiktor, udając, że nie rozumie.

Potężną dłonią Czernow chwycił Wiktora za kark i zmusił do wstania, wsuwając mu lufę pistoletu pod brodę.

— Dobrze wiesz, o kim mówię! Gdzie on jest?

— Ja jestem tym, którego nazywasz zakapturzonym — powiedział Del Sasso. — A wy już nie żyjecie.

Wyrwał się agentowi, który przystawiał mu lufę do skroni, i stanął naprzeciw nich, z krzywym uśmiechem, który zdumiał Wiktora i Carlę. Był to uśmiech szyderstwa, pogardy i ironii, jak uśmiech tchórza, który pastwi się nad bezbroną ofiarą. Było to owo drugie, przerażające oblicze Dei Sassa, o którym Wiktor i Carla próbowali nie pamiętać.

— Wysokiego zakapturzonego mieliście od razu zastrzelić. No, proszę bardzo — naigrawał się mnich ze śmiechem.

Carla miała wrażenie, że atmosfera w pomieszczeniu naładowała się tajemniczą siłą. Była to nie tyle moc, co o b e c n o ś ć, coś odwiecznego i przerażającego, jak coś, czego nie da się zgłębić ani nazwać. A r c h o n c i ?

Lufa rewolweru, który wcześniej stykał się ze skronią Del Sassa, nagle zgięła się i wykręciła, a bezużyteczna broń wysliznęła się z trzymającej ją dłoni i spadła na ziemię. Twardy i niepokonany wojownik, „dziesięć razy bardziej niebezpieczny” niż Specnaz, który przed chwilą jeszcze trzymał Del Sassa, teraz trząsał się jak liść osiki. Nagle powoli uniósł się nad podłogę i zaczął wirować z coraz większą prędkością, a potem śmignął przez powietrze, z całej siły uderzył w towarzysza, który stał w drzwiach, i obaj potoczyli się na korytarz. Drzwi zatrzasnęły się. Gdzieś od strony hallu dobiegł huk licznych wystrzałów, potem rozległ się odgłos zbliżających się kroków i gorączkowo rozprawiających głosów.

Teraz Del Sasso skupił uwagę na Czernowie. Doświadczony Mistrz bezskutecznie usiłował wycelować broń. Przypominała żywe stworzenie, odmawiając skierowania się w stronę „zakapturzonego”, którego Czernow zdołał w końcu rozpoznać. Ledwie widoczny gest Del Sassa, a rewolwer wyrwał się z dłoni Czernowa i potoczył po podłodze, do Wiktora. Wiktor chwycił go.

Czernow uczynił ruch, jakby miał zamiar ruszyć w stronę Wiktora i rewolweru, ale niespodziewanie obrócił się gwałtownie i z szybkością błyskawicy uniósł swą śmiercionośną stopę w kierunku gardła Del Sassa. W jednej sekundzie coś rzuciło go na przeciwległą ścianę biura, tak jak Jakowa w laboratorium. Posiniaczony i zakrwawiony, zdołał się jednak podnieść. Otrząsnął się i zaczął ostrożnie podchodzić do niecodziennego przeciwnika.

— Brzydę się gwałtem — powiedział Del Sasso. Carla zwróciła uwagę,

że jego głos brzmiał teraz bardzo spokojnie, niemal pojednawczo. — Poddaj się w tej chwili, a nic ci się nie stanie.

Z okrzykiem wściekłości Czernow rzucił się do natarcia. Nie zdążył nawet postawić drugiego kroku, kiedy śmiertelnie przerażona Carla ujrzała, jak ciężka płyta szklana, która przykrywała blat potężnego biurka Leightona, niespodziewanie uniosła się w powietrze. Wirując z prędkością szybkoobrotowej piły tarczowej przeżeglowała płynnie przez brzuch Czernowa, przecinając jego ciało na wysokości pasa. Roztrzaskała się na ścianie z tyłu, eksplozując tysiącem krwawych okrucich. Carla oniemiała z grozy i zemdłała.

*

Odzyskawszy przytomność, Carla zauważyła, że leży na kanapie w hallu. Wiktor, trupio blady i sam w szoku, pochylał się nad nią, delikatnie ocierając jej krwawiące usta trzymaną w drżących dłoniach wilgotną chusteczką papierową.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

Kiwnęła głową ledwo dostrzegalnie.

— Nie mieści mi się w głowie. Po prostu nie...

Wstrząśnięty, ale z wyrazem dzikiego triumfu w oczach, Leighton stał opodal, to rozmawiając przez telefon, to wykrzykując polecenia do obecnych. Znow był szefem. Kay Morris kręciła się tuż przy nim, omawiając coś między kolejnymi rozmowami.

Carla widziała wszystkie te pośpieszne działania jak przez mgłę. Usiłowała dojść do siebie. Po pierwsze: pomieszczenie roiło się od goryli. Było ich więcej, niż mogłaby się spodziewać po tej bazie. Przyciszonymi głosami naradzali się z Mike'iem Bradfordem, szefem komórki bezpieczeństwa, z niedowierzaniem kręcąc głowami na taki rozwój wypadków. Potem rozbiegli się do swoich zadań. Spokojny i opanowany - jakby nic się nie stało - Dei Sasso stał obok Leightona, obserwował i słuchał. Był w nim niezmierny, jakby nadprzyrodzony spokój.

Wiktor mocno uściśnął jej dłoń.

— To było straszne!

— Już po wszystkim? — zapytała. — A tamci dwaj?

— Kiedy Antonio wyrzucił ich za drzwi, zastrzelili ich strażnicy. Akurat nadbiegali korytarzem i szukali ich.

Z największym trudem Carla zdołała usiąść. W uchu wciąż jej dzwoniło od ciosu Czernowa, a jedna strona twarzy spuchła. Zobaczyła, że Leighton odkłada słuchawkę. Podeszedł, usiadł obok niej i czule objął ją ramieniem.

— Już dobrze? — zapytał.

Kiwnęła głową.

— Zawołać lekarza? — zmartwionym wzrokiem patrzył na spuchniętą twarz i rozciętą wargę.

— Nic mi nie jest Frank, naprawdę — potrząsnęła głową.

— Nawet nie wiem, jak powiedzieć. Tak mi przykro, że to się stało.

— Proszę, przestań, to nie twoja wina.

— Dalej twierdzą, że to niemożliwe — przepaszającym tonem Leighton zwrócił się do Wiktora. — To się praktycznie nie mogło stać. Musieli podejść lasem. W jakiś sposób zdołali się wedrzeć do strażnicy przy bramie i zabili strażników. Musieli ich jakoś podejść, ale jak? To nie do wiary!

— Antonio uratował nam życie — wymamrotała Carla.

Z drugiej strony hallu Del Sasso odwrócił się i uśmiechnął.

— Byłeś wspaniały, Antonio! — zawołała.

Przyszedł, przysunął sobie krzesło i opadł na nie ciężko.

— Bardzo mi przykro, że cię zranił, Carla. I przepraszam za twoje biuro, Frank. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Nie chciałem, żeby tak się to skończyło, ale czasami jedyny sposób na powstrzymanie gwałtu to samemu zadać większy gwałt.

Przypominał skruszone dziecko, które przeprosza za jakiś wybryk.

— Antonio, błagam! — powiedział Leighton. — Gdyby nie ty, już byśmy nie żyli!

Del Sasso zwrócił się do Wiktora i Carli:

— Chciałem mu darować życie. Słyszeliście, prawda? Prosiłem, żeby się poddał. Jesteście moimi świadkami.

— Tak, jesteśmy twoimi świadkami — powiedział uroczyście Wiktor. Wciąż zdawał się być w szoku.

— Słyszałam i widziałam na własne oczy — zapewniła go Carla.

— Tyle krwi! — zamruczał Del Sasso. — Nie lubię tego. W gruncie rzeczy jestem łagodną osobą.

Zdawał się mieć obsesję na punkcie dowodzenia, że nie miał zamiaru dawać tak krwawego gwałtu. Carłę to zastanowiło.

Ostrożnie dotknęła opuchniętej twarzy. Nie spodziewała się znaleźć w takiej sytuacji, nigdy nie brała tego pod uwagę. Naturalnie, za cenne rzeczy zawsze trzeba płacić. W tej chwili nie miała już wątpliwości, że udało jej się złapać temat o wiele większy, niż sobie wyobrażała. Bez względu na koszty, jakie przyjdzie ponieść, nie ma już odwrotu.

Pomimo wielkiej wdzięczności wobec Del Sassa nie mogła stłumić lęku: moc, jaką demonstrował mnich, miała w sobie przerażającego. A może to raczej ta moc w jakiś tajemny sposób posługiwała się n i m? Czy właśnie to usiłuje im teraz powiedzieć i czy dlatego tak się usprawiedliwia? Czyżby Del Sasso miał być ledwie pionkiem w rękach Archontów? Było to bardzo niepokojące pytanie.

Nieskończony potencjał?

— Straciliśmy czterech dobrych i odważnych ludzi — zaczął Leighton. — Ludzi, którzy wierzyli w to, co robią i oddali życie, by wywiązać się z powierzonych im zadań. Nie przyniesiemy ujmy im i ich pamięci ani osieroconym rodzinom, które zostawili, i nie zaprzestaniemy dążenia do szlachetnego celu, dla którego i oni siebie poświęcili. Niech będzie to dla każdego z nas okazją, aby uroczyście ponowić postanowienie oddania się szczytnym ideom dobrej woli i propagowania ich między wszystkimi ludami i narodami.

Okazją wygłoszenia tej przemowy było nabożeństwo ku czci zabitych, odbywające się w wielkiej sali teatralnej w środku głównego budynku następnego dnia po ich pogrzebaniu. Minęły już cztery dni od rosyjskiego ataku. Carła zdumiała się, widząc, jak wiele personelu pracuje w tajnej bazie. Na nabożeństwie zjawiło się około 50 zatrudnionych: od naukowców, asystentów i sekretarek po kucharzy, sprzątaczkę i oczywiście wewnętrzną komórkę bezpieczeństwa, do której doszło właśnie osiem nowych osób — mieli zastąpić czterech zabitych. Był obecny cały personel, personel, który wyszedł z potwornych doświadczeń z bardzo wysokim morale, pomimo tak ciężkich strat.

Leighton zakończył przemowę pozytywnym akcentem:

— Będziemy kontynuować prace nie oglądając się wstecz. Nic ani nikt nie odciągnie nas od realizacji naszych celów. Działamy na rzecz Nowego Świata pokoju, miłości i braterstwa, świata, w którym nie będzie miejsca na lęk przed zbrodnią czy wojną, świata bez głodu, wzorcowego społeczeństwa, które obdarza każdego równymi możliwościami i długim życiem. Na horyzoncie już mający ten cel i wkrótce zostanie osiągnięty!

Tu i tam rozległo się staccato gorących oklasków.

— Audytorium, w którym się znajdujemy, pewnego dnia wypełni się przywódcami całego świata. Zbiorą się tutaj, aby zapoczątkować Plan dla Nowego Świata. Ten Plan, jak wam wiadomo, ma nadal charakter bardzo poufny i nie mogę go jeszcze wyjawić. Wasz indywidualny wkład w program i wasze zaufanie mi jako szefowi doprowadziły nas na próg sukcesu. Jestem wdzięczny za ducha lojalności i poświęcenia, który jest waszą motywacją. Nie minie wiele czasu, a każdy mieszkaniec świata pozna ów sekret i doświadczy korzyści waszych nieustających wysiłków. Z radością pragnę powiedzieć, że

otrzymaliśmy właśnie deklarację całkowitego poparcia od prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nawiązujemy wstępne kontakty z kluczowymi postaciami w Senacie i Izbie Reprezentantów. Naturalnie nie możemy im zdradzić żadnych szczegółów, aż nadejdzie czas. Co stanie się, zapewniam was, już niedługo.

Rozległa się kolejna burza oklasków.

Leighton wyjął z kieszeni kopertę, otworzył ją i rozłożył kartkę papieru.

— Chciałbym przeczytać fragment telegramu, który otrzymałem od pana prezydenta dosłownie kilka minut przed rozpoczęciem tego zgromadzenia. Pozostała część ma charakter poufny, ale dowiecie się o niej później. Czytam: „Rozmawiałem telefonicznie z szefem państwa sowieckiego i opisałem mu atak agentów sowieckich na wasz ośrodek, służący przecież propagowaniu pokojowego użycia odkryć parapsychologicznych dla dobra ludzkości. Zapewnił mnie, że nic nie wiedział o wysłaniu grupy zamachowców i że podejmie kroki, aby takie wydarzenia już nigdy nie miały miejsca. Zaręczył mi swoim słowem, że pokój zajmuje czołowe miejsce w jego hierarchii wartości i że jego kraj weźmie udział w przyszłym kongresie, przygotowywanym przez wasz ośrodek. Składam serdeczne gratulacje Panu i Pańskim współpracownikom za wasz udział - teraz i w przyszłości - w budowaniu spokojnego i pomyślnego świata dla całej ludzkości.”

Leighton przerwał na chwilę, żeby spotęgować efekt, i znów otrzymał entuzjastyczne brawa.

— Widzicie więc, że pan prezydent w stu procentach podpisuje się pod naszą działalnością. Wiadomo też, że chociaż nie wątpimy w szczerść słów sowieckiego prezydenta i jesteśmy wdzięczni za obietnicę pokoju, nie spocznijemy, aż cel nasz zostanie osiągnięty. Ślubowałem sobie, że śmierć tych, których pamięć czcimy, nie okaże się daremna. Również i wam zachęcam do złożenia w swoim sercu, wobec własnej wyższej jaźni, podobnej obietnicy.

Burza oklasków wkrótce przekształciła się w owację na stojąco. Przez kilka chwil Leighton łaskawie przyjmował hołd, jaki składano w ten sposób jemu jako przywódcy. Potem zszedł z podium, na znak, że zgromadzenie skończone. Przez jakiś czas było jeszcze słyhać szmer głosów członków personelu, którzy przed rozejściem się do zadań w laboratoriach i biurach podchodzili do przodu, by uścisnąć mu dłoń i jeszcze raz zapewnić o swoim oddaniu.

*

Wróciwszy do biura, Leighton zwołał naradę „wewnętrznego kręgu”. Zjawili się: Morris, Chorew, Bertelli, Del Sasso i Mikę Bradford, szef komórki bezpieczeństwa. Było to bardzo poważne spotkanie.

— Chyba wszyscy znacie Mike'a — zaczął Leighton. — Poprosiłem go o spotkanie, żeby omówić najbardziej niepokojące aspekty ataku Sowietów.

Mikę był weteranem tajnych operacji CIA, od Kuby po Wietnam i Angolę, i wiele innych miejsc po drodze. Kiedy weszli, ujrzeni jego znajomą twardą i bystrą twarz. Wyraźnie znać było po nim zaniepokojenie. Przyglądał się uważnie wchodzącym, potem chrząknął i zaczął mówić.

— Bardzo nieciekawa była sytuacja tamtej nocy. Nadal trudno mi to pojąć. Ani na chwilę nie przestaję się nad tym zastanawiać. Taki przebieg wypadków był praktycznie niemożliwy. Grupa sowiecka wchodząc na nasz teren nie tknęła żadnych czujników alarmowych. Jest to możliwe tylko w przypadku, jeśli by weszli w pewnym szczególnym miejscu, a to z kolei można wytłumaczyć tylko w jeden sposób, i to niezbyt przyjemny: wpuścił ich ktoś od wewnątrz!

Kamienna cisza, która potem zapadła, mówiła dobitniej niż słowa. Mikę założył ręce na piersi i obserwował ich reakcje.

— Jesteś pewien? — zapytał w końcu Wiktor, wyraźnie wstrząśnięty, i

— Niczego nie jest się pewnym na sto procent — przyznał Mikę. — Mogli w jakiś sposób podejść naszych ludzi, ale jest to tak mało prawdopodobne, że może być praktycznie wyeliminowane jako możliwość.

— Ale n i e jest wykluczone? — upewniła się Kay Morris.

— Jest bardzo mało prawdopodobne — powtórzył. — Czy możecie sobie wyobrazić powód, dla którego nasi ludzie otwierają drzwi swojej minifortecy i wpuszczają kogoś obcego? Tym bardziej, że mieliśmy stan podwyższonej gotowości!

— Może oddziaływanie hipnotyczne — zastanawiał się Wiktor. — Ręczę wam głową, że Czernow dysponował niewiarygodnymi umiejętnościami parapsychicznymi.

— Poskładajmy cały obraz — powiedział Frank. — Brama zamknięta, ale jedne i drugie drzwi do posterunku otwarte na oścież. To jedyna możliwa droga wejścia, no i najwyraźniej również wyjścia, dla jednego z Sowietów.

W odpowiedzi na pytające spojrzenia Mikę wyjaśnił:

— Brakuje jednej kamizelki kuloodpornej, prawdopodobnie miał ją na sobie ktoś, kto pośpiesznie uciekał. Ilu jeszcze ich było, tego nie wiadomo.

— To mi nie daje spokoju — powiedziała Kay. — Myślę, że nie powinniśmy nawet sugerować, że to ktoś z wewnątrz, dopóki się nie upewnimy. Myśl o zdradcy w naszych szeregach jest nie tylko straszna; ona może wytworzyć atmosferę podejrzliwości, w której ja osobiście nie potrafiłabym pracować. Jeśli grapa Rosjan zdołała zasiać między nami ziarno podejrzeń, które będą nas powoli trawić, to można powiedzieć, że w pewnym sensie ich misja się powiodła. Ja nie mogę się zgodzić na takie postawienie sprawy!

Leightona porwała ta myśl i skwapliwie przytaknął:

— Kay ma rację. Wszyscy jesteśmy świadomi, że atmosfera braku zaufania mogłaby nas dosłownie sparaliżować. To byłoby psychologiczne zwycię-

stwo Sowietów. Potrzeba nam nie tylko wiary w Archontów, ale i w siebie samych, i wobec siebie nawzajem. Tylko wtedy Plan się powiedzie.

— Jedno mi nie daje spokoju — mówiła dalej Kay. — Nie mogę sobie wyobrazić, jak się Rosjanom udało wejść. Ale przypuśćmy, że zdołali zatrzeć wszystkie ślady wejścia. To by im dało dwie rzeczy: zostawiłoby tajne przejście na przyszłość, dla jakiejś innej gry, a po drugie - pozwoliłoby zostawić „dowody”, że dostali się do środka przez posterunek, a w ten sposób wskazać, że to robota kogoś stąd, i zasiać ziarno podejrzeń.

Zapanowało długie, pełne skrępowania milczenie.

— A gdyby było tak, jak mówi Kay? — zapytała w końcu Carla. — Rosjanie weszli do środka - oczywiście nie wiemy, jak - a dwaj strażnicy z posterunku dostrzegli ich pierwsi. Wyszli na zewnątrz i zostali zabici, a ciała zaciągnięto z powrotem na posterunek, żeby nie było widać...

— Zostali zabici w e w n ą t r z posterunku — przerwał Mike, który dotąd słuchał bez słowa, ale kręcił głową z wyraźną dezaprobatą.

— No to złapano ich, zawleczono na posterunek i tam zabito, żeby uprawdopodobnić wersję wewnętrznego spisku — prędko wtrąciła Morris.

— Bardzo spokojnie siedzisz, Antonio — Leighton zwrócił się do Del Sassa. — Czy Archonci dali ci wyjaśnienie?

— Nie mówią nam wszystkiego, z powodów, które sam nie do końca rozumiem, ma to na pewno związek z odpowiedzialnością i osobistym wzrostem. Zdawało mi się, że FBI to bada, chciałem się dowiedzieć, co sądzą.

— No? — Leighton spojrzął na Mike'a.

Mike był nieco zakłopotany.

— Szczerze mówiąc, w zasadzie odrzucają teorię wewnętrznego spisku. Zdaje się uważają że było tak, jak sugeruje doktor Morris.

Leighton był wyraźnie zadowolony. Jego protegowana znów popisała się wyjątkowymi zdolnościami analitycznymi, no i rozwiązał się przykry całun podejrzeń.

— Więc przyjmuję taką wersję — powiedział stanowczo. Widząc rozczarowanie na twarzy Mike'a, dodał: — Naturalnie jeśli Mike dostarczy jakichś konkretnych dowodów, to inna sprawa. Ale na razie powinniśmy chyba odłożyć na stronę podejrzenia i zabrać się do roboty. A w twoim, Mike, przypadku będzie to ustalanie, w jaki sposób oni się tutaj f a k t y c z n i e dostali!

Leighton wstał, żeby zakończyć spotkanie.

— Nie muszę chyba mówić, że to, co zostało tutaj powiedziane, to sprawa ściśle poufna. Ze względu na morale nie możemy sobie pozwolić na najmniejsze choćby sugestie wobec personelu, że zrobił to ktoś stąd. To by załużyło atmosferę w całym zespole.

Carla nakręciła znajomy numer i wygodnie rozparła się w fotelu za biurkiem. Przeprowadziła się nareszcie do własnego gabinetu kawałek dalej za gabinetem Leightona i atmosfera prywatności sprawiała jej prawdziwą przyjemność. Ulegając zachęcie Leightona zamierzała, z opóźnieniem wprawdzie, odpowiedzieć na cały szereg telefonów od znajomego wydawcy Time'a w Nowym Jorku, który raz po raz dzwonił do Hiltona. Operacja „Archont” była realizowana pełną parą i teraz pozwolono Carli puścić do prasy parę prowokacyjnych informacji.

Połączenie się ze Wschodnim Wybrzeżem zabrało jej ładnych parę minut. W końcu rozległ się bardzo zdenerwowany głos George'a Conklina:

— Carla! Nie docierają do ciebie moje telefony? „Dwaj agenci FBI zabici w Paño Alto podczas rutynowego pełnienia obowiązków” - takie coś jest teraz nieustannie na linii. Może to.i było „rutynowe”, ale mój dziennikarski nos zaczyna mnie swędzieć, chyba coś wyczuwam. Może to ma jakiś związek z twoim wielkim tematem? A z tobą w ogóle nie można się skontaktować! Gdzie ty się podziewasz? Wakacje na Hawajach?

— Ja w tym wszystkim siedzę, George, w samym śródeczku! I to nie jest bylejaki wielki temat, to jest największy z możliwych tematów! Ja dosłownie nie miałam ani chwili czasu, żeby do ciebie zadzwonić. Dopiero teraz.

— Więc chcesz powiedzieć, że jest w tym jakieś powiązanie?

— Jeszcze jakie!

— Wysłaliśmy tam paru ludzi z najlepszym nosem, węższą wszędzie, ale bez skutku. Jutro drukujemy na przyszły tydzień, no więc jakie są te powiązania i o co tam chodzi? Możesz coś powiedzieć?

— Bardzo mi przykro, George, ale odpowiedź brzmi: nie. Sprawa z każdym dniem nabiera coraz większych rozmiarów. Ale mogę ci podać parę informacji, które możesz puścić, jeśli chcesz, ale bez mojego nazwiska. Niech to będzie „z wiarygodnego źródła”, i teraz podyktuję ci najczystsą prawdę. Gotowy?

— Magnetofon pracuje.

— George! Lepiej zakop tę taśmę!

— Nic się nie bój. Taśma nie istnieje, chyba żeby trzeba ją koniecznie wskrziesić. No więc co się dzieje?

— Twoje wiarygodne źródło podaje, że dwóch agentów FBI zabito, gdy próbowali zatrzymać specjalny oddział sowiecki, który był tu z tajną misją.

— Żartujesz!

— Chciałabym! Widziałam wszystko na własne oczy; o mało sama nie zginęłam. Ale tego nie drukuj. Wracając do spraw drukowalnych: Rosjanie zaatakowali ściśle tajny ośrodek badań parapsychologicznych koło Paño Alto, działający pod patronatem CIA. Dlaczego? Bo Amerykanie dokonali epokowego odkrycia, co wysuwa ich lata świetlne do przodu przed Sowietów i każ-

dego, kto zajmuje się rozwojem niezwykłych sił parapsychicznych.

— Już ci mówiłem — przerwał George. — Ta Parapsychologiczną paplana nadaje się do magazynów ilustrowanych z prasowanymi informacjami.

— Sowietci mają widocznie inne zdanie na ten temat — odparła cierniko. — Na własne oczy widziałam grupę, którą przysłali, i mogę ci zaświadczyć, że w ich mniemaniu jest to sprawa najwyższej wagi, zresztą również w mniemaniu naszego rządu. George, przestań chować głowę w piasek!

— Muszę przyznać — zabrzmiała niechętna odpowiedź — że w tej sprawie siedzą i kongresmeni, i eks-astronaucci, i nobliści. Nie mogę tylko pojąć, dlaczego.

— Może by tak trochę więcej zaufania do ich inteligencji, George, co? I posłuchaj, nie doszłam jeszcze do sedna sprawy. Nie wolno ci drukować niczego, co wcześniej powiedziałam, jeśli opuścisz to, co ci powiem teraz. Przyczyną, która pozwoliła Amerykanom tak się wybić, jest to - teraz trzymaj się mocno krzesła - że nawiązali kontakt z wysoko rozwiniętymi inteligentnymi istotami, które sterują naszą ewolucją i...

— To twój wymysł czy żart? — przerwał George. — Daj sobie spokój, Carla, zabierasz mi czas.

— To absolutna prawda. Uważasz, że ludzkość to jedyna inteligentna forma życia w całym kosmosie?

— Więc jednak, „nie jesteśmy sami”. Ile to już filmów science fiction ograło ten temat! „Byli tu przed nami, a teraz, proszę państwa, mamy parę małych zielonych ludzików w bazie lotniczej.”

— Niczego takiego nie mówiłam!

— Powiedziałaś, że CIA ma kontakt z „wyższymi inteligencjami”. Ja tego nie mogę wydrukować.

— No to pójdę do *Washington Post*. Chcę ci dać najlepszy temat, jaki się może w życiu trafić. To tylko wierzchołek góry lodowej. No, ale oczywiście macie tam swoje zasady, a skoro nie możecie sobie na to pozwolić, to...

— Carla, przecież wszyscy nas wyśmiejają na śmierć. „Wyższe inteligencje” przejmują władzę? I na pewno przyjechały w latających spodkach! Dobrze wiesz, ludzie lubią wariować. Zrobi się panika w narodzie, jak za Wellsa i jego „marsjańskiej inwazji”!

— Wcale nie powiedziałam, że przejmują władzę, i wcale nie przylatują w spodkach. To ty z tego robisz śmieszniejszą sprawę. Ja ci tylko mówię, George, że nawiązano kontakt parapsychiczny.

— Orientujesz się, na ile to wszystko jest zmyślane?

— A ty zapomnieliś, że „prawda bywa dziwniejsza od fikcji”? Jeśli nie wiesz, z czym to podać, to proszę bardzo: powiąż to z programem Poszukiwania Inteligencji Pozaziemskich Sagana. To się nazywa SETI. Gdyby udało im się nawiązać kontakt radiowy, to byś na pewno to puścił. A jest to o wiele

mniej prawdopodobne niż to, o czym ja mówię. Fale radiowe musiałyby wędrować z setki tysięcy lat, żeby przedostać się do najbliższej zamieszkałej planety. A kontakt mediumistyczny nawiązuje się w jednej sekundzie. I to się stało, George! Wiem to na pewno! Możesz to powiedzieć, jak ci się podoba, podaj to jako możliwość, którą zasugerowało twoje „wiarygodne źródło”. Chyba ci nie muszę mówić, co masz robić.

Zapanowała długa cisza na linii. W końcu George zamruczał:

— I to jest faktycznie to, co się kryje za śmiercią tych dwóch agentów?

— To tylko wierzchołek góry lodowej, później możesz dostać więcej, jeśli będziesz chciał.

— To temat stulecia - jeśli jest autentyczny.

— „Jeśli jest autentyczny”? George, ty mnie obrażasz! George, posłuchaj, od jak dawna mnie znasz? Sześć lat? Czy kiedykolwiek przesadziłam albo podałam informację, która nie była najwyższej próby? A teraz ci mówię, że wkrótce zdarzy się coś większego, niż ja czy ty możemy sobie wyobrazić. I nie próbuj tego teraz weryfikować. Z Białego Domu i wszędzie niżej otrzymasz same dementi.

— Carla, przecież wiesz, skądś muszę otrzymać jakieś potwierdzenie.

— Nie, w tym wypadku nie musisz, George! To informacja „z wiarygodnego źródła”. Na to nie możesz dostać weryfikacji. Albo to drukujesz tak jak jest, albo nie masz nic.

— Białej gorączki przez ciebie dostaję, Carla. Musiałbym oszaleć, żeby to wydrukować. Posłuchaj, może lepiej będzie, jeśli w dalszym ciągu będziemy w kontakcie, co?

— W porządku. Trzymaj się.

Gdy tylko odłożyła słuchawkę, nakręciła na interkomie numer Leightona.

— Właśnie rozmawiałam z George'em. Wydrukuję, ale miałeś rację, że będzie się stawiał. Kiedy wspomniałam o „wyższych inteligencjach”, o mało nie zaczął chodzić po ścianie. Nawet uważa, że takie doniesienie - jeśli ludzie w nie uwierzą - może wywołać panikę na świecie.

— To właśnie główny problem: pogardliwa niewiara albo panika, obie te reakcje byłyby totalnym fiaskiem. Świat trzeba zapoznać z Archontami w taki sposób, żeby było łatwo zaakceptować ich samych i ich misję, no i żeby wzbudzić wiarę w ich zdolności i dobre intencje. Twoja rola jest kluczowa.

— I już widzę, że to nie będzie łatwe. Pracuję nad pierwszym artykułem. Wyszlifuję go, jutro albo pojutrze go przejrzysz.

— Idealnie! I pamiętaj: po kolacji spotkanie u mnie w biurze.

*

Kay Morris wymówiła się od udziału w wieczornym spotkaniu w biurze

Leightona. Musiała przygotować na następny dzień aż trzy laboratoria. Reszta była obecna: Wiktor, Antonio, Carla, no i oczywiście sam Leighton. Leighton zauważył, że od jakiegoś czasu Wiktor jest dziwnie zamknięty w sobie, i w końcu postanowił zapytać, co się dzieje.

— Coś cię gryzie, Wiktor. To nasza wspólna sprawa, a jedną z zasad jest ta, że nie mamy przed sobą tajemnic. O co chodzi?

— Muszę najpierw sam się z tym uporać.

— No, Wiktor, powiedz. Chcielibyśmy pomóc.

— Musicie zrozumieć — zaczął Wiktor z wahaniem — że wyrosłem w atmosferze twardego totalitaryzmu. Oczywiście sowiecka konstytucja „gwarantuje” pewne tak zwane „swobody”, i dużo się mówi o równości wszystkich, ale w rzeczywistości krajem rządzi elitarny wewnętrzny krąg i nikt poza nimi nie ma na nic wpływu.

— Ale to już poza tobą — powiedział Leighton, usiłując go pocieszyć. — I nie będziesz już musiał długo siedzieć za tymi murami.

— Ja się nie skarżę, Frank. Jestem bardzo wdzięczny za wszystko. Tylko martwi mnie, że... To tak, jakbyśmy zaprzędali dusze Archontom. Co powiedzą, to robimy. Kropka. Mówi się nam, że Plan zostanie wkrótce wprowadzony. Jakieś zgromadzenie wyżej rozwiniętych istot, które czuwały nad naszą ewolucją, niedługo będzie interweniować, żeby uchronić nas przed samozniszczeniem. Czemu nie nazwać tego po imieniu: po prostu przejmą władzę nad światem. To się do tego sprowadza. Nie rozumiecie? W moich oczach to wygląda tak, jakbyśmy próbowali wtrącić świat w ręce nowego totalitaryzmu, który może okazać się jeszcze gorszy niż ten, z którego uciekłem.

Leighton uśmiechnął się dobrodusznie.

— Między systemem sowieckim a Nową Erą, którą Archonci sprowadzą na świat, są pewne zasadnicze różnice, Wiktorze. Po pierwsze: Archontami nie kierują egoistyczne pobudki. Oni nic z tego nie będą mieli: ani pieniędzy, ani siły, ani własności. To oni będą naszymi dobrodziejami, a nie odwrotnie. Są tak daleko od naszego stadium ewolucji, że niczego od nas nie oczekują.

— No tak — zgodził się Wiktor — ale coś jeszcze mnie w tym niepokoi. Nie chodzi mi o to, że chcę się wycofać. Proszę, żebyście tego w ogóle nie brali pod uwagę. Wierzę w to, co robimy, ale próbuję po prostu pojąć niektóre aspekty.

Dei Sasso, który do tej pory słuchał bez słowa, teraz wstał, podszedł do biurka Leightona i usiadł na jego krawędzi, skąd miał dobry widok na każdą twarz.

— Jest w tym jeszcze coś o wiele głębszego, i tego ci brakuje — zaczął ojcowiskim tonem. — Nie wiem, dlaczego nie miałbym ci tego teraz wyjaśnić.

Carla z ulgą zauważyła, że nie jest to Dei Sasso z tamtego wieczora, mistrz walki parapsychologicznej, który emanował tak potwornym złem i który do-

konał tak okrutnego mordu na Czernowie. W tej chwili zdawał się tchnąć miłością i współczuciem równie ponadludzkim, jak tamta nienawiść, i równie namacalnym.

— Od paru lat jestem w kontakcie z Archontami — kontynuował Antonio — i znam ich lepiej niż ktokolwiek. Czytaliście lub słyszeliście — zwrócił się do Wiktora i Carli — o zaledwie ułamku przekazów, jakie od nich otrzymałem. Pozwólcie, że wyjaśnię, iż istota Planu polega na czymś więcej niż tylko parapsychologicznej mocy, pokoju światowym i pomyślności. Ostatecznym celem Archontów jest wydobycie z człowieka tego, co w nim najlepsze, autentycznej wewnętrznej dobroci, tłumionej długimi tysiącletnimi religii o charakterze negatywnym, które skłaniały do oddawania czci bóstwom zniewalającym nas i fałszywym. Archonci pragną, żebyśmy uświadomili sobie, że to my jesteśmy uosobieniem dobroci i że sami jesteśmy bogami.

— Nie powiem, to mnie naprawdę porywa! — wykrzyknęła Carla. — Idealnie współgra z moim własnym doświadczeniem! Nie wyobrażacie sobie nawet upokorzeń, przez jakie musiałam przejść wychowując się pod bokiem ojca. Pastora! fundamentalistycznemu kościołowi. Misją jego życia było wbijanie w głowę całej kongregacji, a już zwłaszcza mnie, swojej jedynaczce, jakimi to wszyscy jesteśmy nic niewartymi nędznikami i że wszyscy jesteśmy potępieni przez jakiegoś Boga, który nas wszystkich powysła do piekła i tam się będziemy smażyć na wieki wieków, chyba że się pokajamy i zaczniemy wieść prosty, trzeźwy i smętny, pozbawiony wszelkich przyjemności, nędzny chrześcijański żywot. Tego się wymaga od wszystkich chrześcijan. To mnie o mało nie zniszczyło, zwłaszcza od chwili, kiedy dowiedziałam się, że mój ojciec wcale nie wie o takim żywocie, do jakiego zmusza innych! Mówisz o totalitaryzmie i systemach ucisku! — zwróciła się do Wiktora. — Nawet sobie nie wyobrażasz, jak przecudownie wolna poczułam się w chwili, kiedy pojęłam, że nie muszę wierzyć w innego boga niż samą siebie!

Del Sasso kiwał głową z aprobatą.

— Wiesz, że jestem mnichem jezuickim, ale Carla wypowiedziała w tej chwili dokładnie moje credo. Wstyd mi, że mój własny kościół był jedną z głównych sił winnych uciskania ludzkości, zwłaszcza kobiet, w ten właśnie sposób, jaki Carla opisała. Tymczasem to właśnie kapłan-jezuita Teilhard de Chardin miał zaszczyt otrzymać przydomek „Ojca Nowego Wieku”. Cóż dziwnego - to przecież właśnie Teilhard pisał o punkcie Omega, w którym został nawiązany pierwszy kontakt z Archontami. Pisał o nim jako o punkcie, w którym człowieczeństwo zlewa się z boskością.

— Takie koncepcje to dość jednoznaczne zaprzeczenie tego, czego katolicy i protestanci zawsze nauczali — zauważył Leighton. — Trzeba niemało odwagi, żeby zerwać z wielowiekową tradycją.

— Ale to musi być dokonane — oznajmił Del Sasso. — Biblia to fatalne

przeinaczenie odwiecznych mitów natury, które są wspólne wszystkim ludom. Pewien bardzo dziś popularny duchowny ujął to niezwykle trąmie: tale zwany „grzech pierworodny” jest w rzeczywistości „pierworodnym błogosławieństwem”. A „wąż” nie jest wrogiem ludzkości, lecz jej wybawcą i najwenniejszym przyjacielem. Wiele mądrości kryje się w micie o Ogrodzie Eden. Dana przez węża obietnica boskości nie była kłamstwem, lecz oswobadzającą prawdą która wyzwala nas z fatalnej wiary w zazdrosnego boga, ustawiającego siebie ponad wszystkim. Jest to uraganie poczuciu godności każdej istoty ludzkiej! W rzeczywistości bowiem wszyscy jesteśmy równi, bo wszyscy mamy dostęp do drzemiającej we wszechświecie mocy.

— Nawet nie wiesz, jak to cudownie brzmi! — zawołała Carla z przekonaniem. — To niewiarygodne: słyszeć jak przedstawiciel kleru przemawia w ten sposób i przydaje autorytetu ideom, które od lat usiłują propagować! To jak haust świeżego powietrza. Żałuję tylko, że moja matka nie miała okazji tego usłyszeć.

Del Sasso podszedł do Wiktora i usiadł obok. Położył dłoń na jego ramieniu i spojrzął mu w oczy ze współczuciem.

— Widzisz więc, Wiktorze, że Nowy Świat, na rzecz którego działamy, w niczym nie przypomina systemu ucisku pod wodzą Stalina, Chruszczowa i tak dalej ani niesprawiedliwego ustroju kapitalistycznego. Oba te systemy mimowolnie odrzucasz, a przyczyną jest to, że jesteś bogiem, który potrzebuje nieskrępowanej wolności i którym nikt inny nie może rządzić. Jesteśmy rasą boską która zgubiła drogę, zapomniała o prawdziwej tożsamości i musi sobie przypomnieć, kim naprawdę jest. Archonci nie chcą przejąć władzy, chcą nas uwolnić, żebyśmy mogli doświadczyć własnego nieskończonego potencjału. Ich ostateczny cel to przywrócenie pozytywnego obrazu samego siebie u każdego człowieka. Ludzie to istoty przytłoczone brzemieniem negatywizmu. Właśnie to brzemienie uniemożliwia człowiekowi rozwój godny stworzeń kosmosu. Musimy odzyskać chwalebne poczucie własnej wartości.

Oczy Carli błyszczały. Nachyliła się do Wiktora i uściśnęła go.

— Nie dostrzegasz prawdy w jego słowach? — zapytała.

— Chyba tak — odpowiedział. — Chyba tak.

Uśmiechał się w tej chwili tak, jak nie uśmiechał się od czasu spotkania z Czernowem i swej niedoszłej śmierci. Oto człowiek, który wcześniej uratował mu życie, wskazuje drogę do jaśniejszej przyszłości, o której Wiktor nigdy przedtem nawet nie śnił.

— Zdaje mi się, że teraz rozumiem już pewną rzecz — zamyśliła się Carla.

— Mówisz o tym, jak się zachowałem, kiedy zobaczyłaś mnie po raz pierwszy — powiedział Antonio, jakby czytał jej myśli.

— No właśnie. Teraz rozumiem, dlaczego obecność mojego byłego narzeczonego tak cię wzburzyła. To chrześcijanin-rundamentalista o bardzo ogra-

nicznej perspektywie. Reprezentuje w zasadzie kompletną antytezę tej wyzwalającej prawdy, którą tak cudownie wyłożyłeś. Dlatego Archonci określili go mianem „wroga”.

— Doskonale to rozumiesz! — powiedział ciepło Dei Sasso. W jego głosie było coś niezmiernie czułego i krzepiącego.

*

Leżąc w łóżku hotelowym tej nocy Carla znów poczuła, jak odchodzi ją sen. Nie wiadomo, gdzie podział się poprzedni entuzjazm, który ją wypełniał, gdy Dei Sasso jeszcze parę godzin wcześniej jasno tłumaczył różne sprawy. Zaczęły ją nachodzić dawne wątpliwości. „Jak to się dzieje, że w jednej chwili jestem tak pewna, że Archonci i Dei Sasso to wcielenie dobroci - bo w końcu Antonio to tylko ich przedstawiciel - a w następnej gnębią mnie zupełnie podstawowe pytania? I dlaczego kiedy jestem z Del Sassem, nigdy nie mogę sobie przypomnieć pytań, które miałam mu zadać? Jego charyzma tak mnie porywa, że kompletnie tracę zdolność samodzielnego myślenia!”

Niezwykle przekonujące stwierdzenia Del Sassa o nieskończonym potencjale ludzkim i wrodzonej dobroci i mocy człowieka wydały jej się bardzo atrakcyjne. A przecież nawet w tej chwili bardzo dobrze pamiętała, jak przy ich pierwszym spotkaniu powiedział, że takie poglądy to czysta wiara w iluzje. Mówił, że to właśnie uświadomienie sobie, iż ludzie nie posiadają w sobie samych żadnej mocy mediumistycznej i że pochodzi ona od tych „wyżej rozwiniętych istot”, stało się przyczyną wielkiego przełomu w badaniach parapsychologicznych. To właśnie gotowość uznania w Archontach źródła mocy mediumistycznej pozwoliła Amerykanom zostawić Rosjan daleko w tyle.

Jaka jest prawda i dlaczego Del Sasso sam sobie przeczy? A może są dwie prawdy: jedna taka, którą się mówi całemu światu, a druga — znana wyłącznie wewnętrznemu kręgowi? Dlaczego dzisiejszego wieczoru Del Sasso przedstawił jako prawdę coś, co poprzednio określił mianem kłamstwa? Od dawna już wprawdzie w to nie wierzyła, jednak nie przestawał ją niepokoić fakt, że Biblia uważa koncepcję człowieka jako boga o nieograniczonym potencjale za wielkie oszustwo Szatana. Pamiętała też słyszane w dzieciństwie kazania różnych kaznodziejów, którzy ostrzegali, że pojawi się człowiek wypowiadający wielkie kłamstwa i zwodzący cały świat. Łączenie biblijnego mitu z osobą Del Sassa, Archontami i Planem byłoby oczywiście fatalną paranoją, niemniej jednak istniało tu pewne krepujące podobieństwo, któremu nie potrafiła zaprzeczyć.

Bliskie spotkanie

— Widzę u ciebie nagrodę Pulitzera! — udawany cygański akcent, zaintonowany z całą powagą, sprawił, że Carla podniosła wzrok. Na progu jej gabinetu stał Del Sasso i udawał wytrawną wróżkę. — O! Widzę świat dziennikarski u twoich stóp!

— Coś nie tak z twoją wizją — odparła ze śmiechem. — Kiepski z ciebie szarlatan. Świat dziennikarski może być co najwyżej zielony z zazdrości, ale do stóp na pewno nie padnie.

Szeroko uśmiechnięty, wszedł do środka i stanął nad nią.

— Dalej ten artykuł?

— Wciąż jesteś niedoinformowany. Myślałam, że każdy już słyszał wielką nowinę: tamten artykuł został wczoraj skończony i łapczywie schrupany przez *Washington Post*. Uznali go za r e w e l a c j ę . Inne gazety nic się nie dowiedzą, dopiero jak Post to jutro puści. Ale jestem podniecona!

— *Magnifique!* No, ale czas do głównego laboratorium. Nie opuść dziś transmisji. Będzie coś szczególnego dla ciebie i Wiktora.

*

Po krótkiej przerwie na lunch Carla i Wiktor poszli razem do laboratorium, gdzie zawsze otrzymywano codzienne przekazy od Archontów. Był to budynek pierwszy po lewej stronie, patrząc od bramy wjazdowej. Wybrali najdłuższą z możliwych tras, delektując się wysmakowanym pięknem terenu ośrodka i niebotycznych sekwoi wyrastających za murem.

— Zdajesz sobie sprawę, że to jedna z niewielu okazji, kiedy możemy rozmawiać sam na sam? — zauważyła Carla, kiedy poszli wyspaną żwirem ścieżką, oddalającą się od głównego budynku.

— Jakoś o tym nie pomyślałem — zadumał się Wiktor. — Jednak kiedy się zastanawiam, przyznaję ci rację. Ale nie jest to chyba niczyją zamierzoną intencją.

— Nie, nie, nie o to mi chodziło. Po prostu byliśmy cały czas tak zajęci, dzień i noc.

Zatrzymała się i pokazała na wyjątkowo wielką sekwoję tuż za murem

ośrodka.

— To ci drzewka, co? Widziałeś kiedyś coś tak ogromnego? Najstarsze stworzenia na ziemi!

— Zdjęcia, jakie oglądałem, nie oddawały rzeczywistości — przyznał Wiktor. — Jest w tym coś niewypowiedzianego, czego nie da się zrozumieć, dopóki się nie zobaczy! Jakże ja bym chciał wyjść tam, na zewnątrz, i powędrować choćby jeden dzień po takim lesie!

— Nie masz pojęcia, jakie są wspaniałe, kiedy podejdziesz się zupełnie blisko. Wybierzemy się na długą, porządną wędrowkę między te drzewa, Wiktorze, i to niedługo!

Spojrzał na nią z przyjemnością.

— Czy to obietnica?

— Obietnica.

— Musimy spędzać ze sobą więcej czasu, Carla, rozmawiać, poznawać się, a to nie jest możliwe w tym miejscu. Wszystko tu biegnie w tak nieprawdopodobnym tempie. Nie miałem pojęcia, że Amerykanie tak ciężko pracują!

— Nie wszyscy — roześmiała się. — Frank to niezwykła osoba, a w dodatku przynagła go poczucie uciekającego czasu, które - przynaję - i ja podzielam.

— Ależ ja także. Nie skarzę się na to. Wiesz, o co mi chodzi.

— Wiem i odczuwam to tak samo.

Nastąpiło wymowne milczenie. Kiedy Carla je przerwała, w jej głosie dało się słyszeć tłumione podniecenie:

— Antonio mówi, że Archonci powiedzą nam dziś coś szczególnego. Frank podejrzewa, że pierwszy Kongres Światowy i inauguracja Nowej Ery mogą odbyć się choćby za miesiąc. Wszystko toczy się szybciej, niż przypuszczałam.

Zbliżał się koniec spaceru. Wiktor zwolnił kroku i zniżył głos.

— Chciałem cię o coś zapytać. Co sądzisz o doktor Morris?

— Kay? Dość niezwykła kobieta, jeśli o to ci chodzi.

— Nie, chodzi mi o co innego.

Carla przystanęła i przyjrzała mu się.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Po prostu pytam, co sądzisz.

— Skoro już o tym wspomniałeś, to wydała mi się trochę dziwna już przy pierwszym spotkaniu, ale nie wiem, dlaczego.

— Myślę, że jest Rosjanką — powiedział prosto z mostu.

— Co?

— A nawet jestem pewny.

— Wiktor, dajże spokój! Przecież ona skończyła MIT i ma nowojorski akcent!

— Wiem, że to brzmi idiotycznie, być może powinienem to zachować dla siebie, ale obserwuję ją od początku. Zauważam takie drobiazgi, pewne maniere, sposób, w jaki buduje zdania... Nawet pewne określenia, jakich używa, wydają mi się jakby rosyjskie, tylko przetłumaczone na angielski.

Ruszyli dalej, bardzo powoli. Carla była oszołomiona.

— Mówiłś Frankowi? — zapytała.

— Jeszcze nie. To by chyba do niczego dobrego nie doprowadziło. Nie potrafiłbym tego dowieść, może zresztą nie mam racji.

— Ona wyszła z biura Franka tamtego wieczoru pół godziny zanim... — Carla urwała. — Nie, nie wolno mi nawet tak myśleć. Bądź co bądź, ona jest szefem laboratoriów, haruje tak samo, jak Frank. Naprawdę całym sercem.

— Nie sądzisz, że Frank się w niej zakochał?

— Ty też zauważyłeś? Wpadł po uszy, to pewne, ale ona chyba się bardzo stara nie okazywać tego publicznie. No tak, ludziom zdarza się zakochiwać.

Niechący otarła się ramieniem o ramię Wiktora. Spotkali się wzrokiem i maleńką chwilę patrzyli sobie w oczy.

— Rozmawiałem z Mike'iem — kontynuował Wiktor. — Twierdzi, że jest absolutnie pewien, że to ktoś od środka wszedł, zastrzelił strażników i wpuszcił Czernowa. Prosił, żeby nie mówić o tym Frankowi. Może dlatego, że uważa, że to Kay?

— Czemuś go nie zapytał?

— Nie mogłem tego zrobić!

— Wiesz, głupio mi z powodu tej całej rozmowy — powiedziała w końcu Carla. — To nie jest w porządku wobec Kay... — nie wiedziała, jak skończyć.

Spacer zawiódł ich aż za budynek. Kiedy Carla wypowiadała to zdanie, doszli do narożnika i ujrzeli Leightona, który biegł prosto przez trawnik, a potem jednym susem znalazł się przed drzwiami laboratorium.

— Później porozmawiamy — szepnęła jeszcze.

— No, no, któż to się wybrał na przechadzkę! — wykrzyknął Leighton, wyraźnie w świetnym humorze. — To naprawdę wielka szkoda, że nie mieliście dotąd czasu na bliższą znajomość.

Zamaszyście otworzył drzwi i gestem zaprosił ich do wejścia.

— Bardzo przystojna z was para.

— Dziękujemy za komplement — roześmiała się Carla, wsuwając rękę pod ramię Wiktora. Zaczerwienił się lekko, ale wyglądał na zadowolonego.

Po wejściu do laboratorium cicho zajęli miejsca. Del Sasso był już jak zwykle na swoim miejscu. Doktor Morris i jakiś asystent podłączali przewody od różnych części jego ciała do całego zestawu sprzętu elektronicznego. Kiedy skończyli, asystent wyszedł. Na sesjach mógł być obecny tylko we-

wewnętrzny krąg. Antonio natychmiast wszedł w trans. Przez kilka chwil oddychał gwałtownie, potem oddech stał się powolny, miarowy.

Nagle całe ciało drgnęło, a głowa przechyliła się w bok. Z gardła zaczął się wydobywać nieprzyjemny, dziwnie metaliczny i bardzo wysoki głos.

— Dziewięciu przekazuje wam pozdrowienia z wymiaru, który bezpośrednio przylega do waszego. Atak na bazę był koniecznym sprawdzianem. Przeszliście go bezbłędnie, ale będą jeszcze inne. Tajemnica ich wejścia jest zagadką. Musicie wobec niej stanąć i ją rozwiązać, by przyspieszyć proces duchowego wzrastania. W dążeniu do naszego celu liczy się każdy krok. Artykuły Carli Bertelli odegrają kluczową rolę w podnoszeniu poziomu świadomości. Wiktor Chorew wygłosi przemówienie inauguracyjne podczas Kongresu. Jest sprawą podstawową, aby tych dwoje ujrzało nas na własne oczy. Nie będą mogli do nas podejść, ale wejdą i będą oglądać nasze spotkanie z trójką wprowadzonych wyższego stopnia. Odbędzie się to dokładnie o 3.15 dziś po południu. Wówczas podamy datę rozpoczęcia Kongresu. Żegnajcie.

Gdy tylko Del Sasso wyszedł z transu, triumfujący Leighton podbiegł do Wiktora i Carli, również podnieconych, ale i zbitych z tropu i zaniepokojonych.

— Gratulacje! — wykrzyknął Leighton. — Nawet nie wiecie, cóż to za dobra nowina! Do chwili otrzymania tej daty i dopuszczenia was przez Archontów do Planu nie możemy się właściwie ruszyć z miejsca. To na zawsze odmieni wasze życie!

— Ale co oni mówili - ujrzeć ich?! — zapytała Carla. — Fizycznie? Myślałam, że nie mają ciał.

— Za pierwszym razem to będzie prawdziwa niespodzianka — odparł zagadkowo Leighton.

*

Dokładnie o 14.30 Leighton zaprowadził Del Sassa, Morris, Chorewa i Bertelli do starego modelu chevroleta. Sam usiadł za kierownicą, Kay obok niego, a pozostała trójka na tylnym siedzeniu. Opuścili bazę w eskorcie jednego niepozornego samochodu z przodu i jednego z tyłu. Do każdego wozu poza kierowcą wsiedli dwaj agenci CIA w pełnym uzbrojeniu, ubrani w kombinезony robocze. Dotarli do położonej na przeciwległym krańcu części Pała Alto i znaleźli się w starej, zaniedbanej dzielnicy przemysłowej. Jechali długą, krętą ulicą, która -jak się okazało - miała ślepe zakończenie, uwieńczone na całej szerokości rozległym budynkiem, na pozór opuszczonym. Na miejscach do parkowania nie stał ani jeden samochód, całe otoczenie przedstawiało obraz wyjątkowego zaniedbania. Trzy pojazdy wjechały do zatoczki przed budynkiem i zaparkowały. Z wozów wyszli wszyscy oprócz kierowców

dwóch pozostałych pojazdów.

— To własność Kompanii — oznajmił Leighton poufnym tonem, kiedy podeszli do wejścia.

— K o m p a n i i ? — zapytał Wiktor.

— Taka pieszczotliwa nazwa CIA. Celowo dopuściliśmy do takiego zaniedbania — dodał Leighton, wskazując dłonią na zniszczoną elewację. — Słuchaj nam wyłącznie do tych spotkań. Odbywają się nieregularnie, tak jak zarządza Archonci.

Dwaj agenci CIA z samochodu, który jechał pierwszy, zostali za budynkiem, udając, że wykonują jakieś naprawy, pozostali dwaj zajęli się plewieniem chwastów na trawnikach, każdy po jednej stronie szerokiego gmachu. Leighton - a za nim reszta - poszedł po krótkiej brukowanej cegłą drodze do wejścia. Wyjął klucz, otworzył je i wszystkich wpuścił. Nie włączał świateł, więc w głębokim mroku posuwali się przez pomieszczenie, które niegdyś musiało służyć za biuro, w stronę jakichś tylnych drzwi.

Przed otwarciem ich Leighton zatrzymał się.

— Carla, Wiktorze — przestrzegł z powagą — to, co za chwilę zobaczycie, zaskoczy was, może nawet przerazi. Cały czas trzymajcie się z tyłu, opamiętajcie emocje. Nie wpadajcie w panikę i pod żadnym pozorem nie próbujcie podejść do pojazdu. My troje uczynimy to w odpowiedniej chwili, ale dla swojego własnego bezpieczeństwa musicie bezwzględnie trzymać się w odpowiedniej odległości.

— P o j a z d ? — Wiktor dosłownie trząsł się ze strachu. Więc naprawdę z o b a c z a tych Archontów?

Carla drżała z niecierpliwego podniecenia, lecz zarazem bała się przekroczyć ten próg.

— To musi być niespodzianka! — powiedział Leighton. — Przecież wam mówiłem. Więc już o nic nie pytajcie!

Potem dodał poważnie:

— Inicjacja Kay odbyła się zaledwie na tydzień przed waszym przyjazdem.

Otworzył drzwi i wprowadził ich do czegoś, co przypominało ogromny magazyn z bardzo wysokim sufitem, niemal hangar. Przez chwilę stali bez ruchu. Potem Leighton, Del Sasso i Morris postąpili dwa kroki do przodu, złożyli przed sobą dłonie w tradycyjnym orientальnym pozdrowieniu i skłonili się równocześnie dziewięć razy. Wiktor i Carla, zdumieni i wystraszeni, pozostali koło drzwi, obserwując dziwną scenę. Rozglądali się naokoło, próbując przyzwyczaić wzrok do przyćmionego światła, które sączyło się przez zakurzone żaluzje zaciągnięte na wysoko położonych świetlikach. Budynek здаwał się pusty.

Nagle rozległo się wibrujące buczenie, jakby tysiąc mnichów jęło powta-

rzać: OM. Atmosfera zdawała się łądować prawie namacalnym potencjałem elektrycznym. I wtedy —jakby materializując się z przejrzystego powietrza...

— Patrz! — szepnął zdumiony Wiktor.

Olbrzymi statek kosmiczny, przypominający to, co ogląda się na filmach science fiction, wypełnił przeciwny koniec magazynu, unosząc się tuż nad ziemią. Jego wierzchołek sięgał dachu. Wielkością pojazd dorównywał boeingowi 747, ale nie miał skrzydeł, za to bardziej futurystyczną sylwetkę. Carla o mało nie zemdleła z oszołomienia i strachu.

— To niemożliwe! — powiedziała szeptem. — Też to widzisz?

— Niemożliwe! — odpowiedział Wiktor zachrypłym głosem. Nie mógł uwierzyć oczom.

Nagle na szczycie obiektu zapaliły się dwa światła. Zaczęły się kręcić, połykując czerwień i zielenią i nadając metalowej powierzchni nieziemskiego blasku. Był to widać jakiś sygnał, bo zaraz statek zaczął jakby pulsować życiem, mieli wrażenie, że lada chwila zmieni się w gigantycznego drapieżnika. Porażeni niepojętym lękiem, z trudem pozostawali przy zdrowych zmysłach, tłumiąc instynkt ucieczki. Mimowolnie cofnęli się i przyłgnęli do ściany.

Migocząca piramida jaskrawego białego światła na podstawie o boku jakichś dziesięciu metrów pojawiła się niespodziewanie przed unoszącym się w powietrzu statkiem. Światło promieniowało jakoś dziwnie, Carli zakręciło się w głowie. Zawrót głowy minął jednak, tak prędko, jak się pojawił. Odczuwała jedynie nieodparty pociąg ku płonącej piramidzie o nieziemskim blasku, jak gdyby jej umysł przekroczył barierę innej świadomości, która zlewała się z jakąś żywą istotą wewnątrz tego dziwnego światła. W całym magazynie odczuwało się przytłaczającą o b e c n o ś ć. Carla zauważyła, że to ta sama obecność, którą wyczuła w biurze Leightona, kiedy Del Sasso pokonał Rosjan.

— To nasz sygnał — powiedział Leighton podnieconym głosem, dając Wiktorowi i Carli znak, żeby zostali w tyle. — Zaczekajcie tutaj. Nie ruszajcie się pod żadnym pozorem!

Cała trójka z Leightonem na przedzie posuwała się wolno w stronę tajemniczego statku. Wiktor i Carla w paraliżującej fascynacji dostrzegli, że wewnątrz piramidy pojawiło się dziewięć świetlistych, niemal przeźroczystych istot. Połykające szaty jakby utkane ze światła zakrywały całe ich ciała oprócz gadzich głów, sterczących znad szerokich barków niczym kaptur kobry. Było w tych stworzeniach coś zniewalająco nadprzyrodzonego. Zdawały się groteskowe, a zarazem piękne, obrzydliwe, a jednocześnie pociągające. W kłującej uszy ciszy otoczyły kołem Leightona, Del Sassa i Morrisa, a troje ziemian uroczyście wstąpiło w piramidę światła i upadło na ziemię w hołdzie. Najważniejszy między Dziewięcioma dał znak, żeby wstali.

— To niemożliwe, niemożliwe — Carla nie przestawała powtarzać tych słów przez szcękające zęby. Drżała, jakby od przejmującego, mroźnego wiatru.

— Nie mamy chyba oboje tej samej halucynacji — powiedział Wiktor, wilgotną dłońią ocierając z czoła zimny pot.

Dziewięciu zdawało się toczyć rozmowę z Leightonem i jego towarzyszami. Podczas niej z ich ust i całych ciał wydobywał się ogień, który stawał się tysiącem świetlistych punktów i rzucał na ściany magazynu dziwaczne cienie sylwetek ludzkich i nieludzkich. Pomimo przerażenia Carla zauważyła, że nie potrafi oderwać wzroku od niezwyklej sceny. W miarę, jak jej fascynacja nabierała niemal hipnotycznych proporcji, strach rozpląwał się powoli, a o b e c n o ś ć, która przesiąkała całą atmosferę, stała się nagle dobroduszną i nieskończenie mądra. Carla już nie drżała, lecz dała się ogarnąć uczuciu wdzięczności za przywilej oglądania takiej sceny. Jakże szczęśny jest świat, że nawiedziły go stworzenia tak pełne miłości i że chcą go ocalić przed samozagładą!

Bunt Antychrysta?

Okrag nieziemskich istot otworzył się tak nagle, jak się zamknął. Wiktor i Carla, oniemiałi ze zdumienia, obserwowali, jak troje ich towarzyszy wraca powoli w ich stronę. W jednej chwili znikła piramida, a razem z nią— Dziewięciu. Kiedy Leighton, Del Sasso i Morris zajęli poprzednie miejsca, przodem do dziwnego statku, tuż przed Carla i Wiktoorem, znów złożyli dłonie i skłonili się dziewięć razy. Wibrujące OM powoli cichło, a w jego miejsce pojawił się nieznaną furczący dźwięk, którego natężenie nieustannie rosło. Wiktor i Carla w krańcowym przerażeniu uświadomili sobie, że UFO obróciło się w ich kierunku. Zaczęło nabierać szybkości i sunąć prosto na nich.

Leighton wyczuł ich przestrach i dał ostrzegawczy znak ręką. Nie spuszczać wzroku z przedziwnego pojazdu, krzyknął co sił w płucach:

— Nie ruszać się!

Łoskot przeszedł w pisk o bardzo wysokiej częstotliwości, a UFO z ogromnym przyspieszeniem prześliznęło się ledwie kilka centymetrów nad ich głowami i znikło za ścianą magazynu. Carla ścisnęła ramię Wiktora. Przytulili się do siebie, ogarnięci nagłą falą mdłości, która jednak szybko minęła.

Carla skuliła się, spodziewając się zobaczyć potworne zniszczenia, jakie sprawił przedzierający się przez ściany magazynu pojazd. Ku jej zdumieniu magazyn był kompletnie pusty i nienaruszony. Napotkała wzrokiem spojrzenie Wiktora i przez chwilę z niewypowiedzianą ulgą patrzyli sobie w oczy.

— Znieśliście to świetnie— powiedział Leighton, kiedy już przestało im dzwonić w uszach. — Lepiej niż ja, kiedy pierwszy raz to przechodziłem.

Nie potrafił jednak stłumić drżenia, nawet teraz. Morris najwyraźniej opanowywała się maksymalnym wysiłkiem. Jedynie Del Sasso był całkowicie niewzruszony. Carli zdawało się, że nie sposób odróżnić go od samych Archontów, tak bardzo się z nimi utożsamiał.

Leighton wyprowadził ich na zewnątrz. Agenci CIA w dalszym ciągu plewili trawniki, powoli i bez wielkiego zaangażowania. Czyżby oglądali scenę wypadania gigantycznego statku przez ścianę magazynu już tyle razy, że nie robiła na nich wrażenia? Wiktor chwycił Leightona za ramię.

— Jak to wygląda z tej strony, kiedy to wylatuje na zewnątrz?

Leighton podniósł palec do warg i potrząsnął głową. Chciał przypomnieć

Wiktorowi, że nikomu nie wolno opowiadać o tym przeżyciu.

— Oni tutaj nic nie widzieli! — zniżył głos. — Jak dotąd Archonci postanowili objawiać się wyłącznie nam, i to tylko w tym budynku. Na zewnątrz są niewidzialni. Ale pewnego dnia objawią się całemu światu.

— W tej piramidzie światła — wyszeptała Carla, nie mogąc powściągnąć ciekawości — o czym z nimi rozmawialiście?

Leighton znów podniósł palec do warg i potrząsnął głową.

— Później opowiemy — odparł i podszedł do samochodu.

Kiedy już byli w wozie i zmierzali w stronę bazy, Leighton dał nareszcie ujście tłumionemu podnieceniu:

— Podali datę! — oznajmił Wiktorowi i Carli. — Za sześć tygodni od przyszłego piątku. Nie ma dużo czasu. Pierwszy artykuł Carli ukaże się jutro. Archonci obiecują entuzjastyczne reakcje, i ze strony prasy, i czytelników.

Carla i Wiktor, wciąż w szoku, nie byli w stanie pojąć słów Leightona.

— Słyszeliście?! — zapytał. — Znamy już datę Kongresu Światowego!

— Fantastycznie — powiedziała Carla — tylko mam jakiś taki mętlik w głowie, nie mogę pozbierać myśli. Dopiero co pewien ogromny, solidny obiekt wyleciał prosto przez ścianę tego budynku tak, jakby ona w ogóle nie istniała. A ty mówisz, że na zewnątrz nie było tego widać! Cóż to takiego?

— Możesz to nazwać UFO — odparł Leighton. — Dziewięciu mówi, że w żaden sposób nie mogą nam wytłumaczyć takich zjawisk na naszym obecnym poziomie rozwoju. To swego rodzaju magiczna metamorfoza energii mediumistycznej. Tyle tylko mogą nam powiedzieć.

— Frank — Wiktor nie mógł się już opanować — w porównaniu z tym, co teraz widzieliśmy, odkrycie Ameryki przez Kolumba, rewolucja bolszewicka, człowiek na Księżycu i wszystko inne razem wzięte to pestka! To jest właśnie to! To jest ta ostateczność!

— Wizje Maryi Dziewicy to zjawiska tego samego rodzaju — stwierdził Del Sasso od niechcienia. — Wszystkie religie mają zasadniczo swoje źródło w takich właśnie zjawach.

— Zjawach?! — Carla była zdumiona. — Więc to, co widzieliśmy, nie istniało naprawdę?

— I tak, i nie — odparł Leighton. — Stare, znane pytanie o to, co jest prawdą. Jak wiadomo, nie ma na to odpowiedzi!

— Widziałem na własne oczy — powiedział Wiktor, wciąż roztrzęsiony — inaczej nigdy bym nie uwierzył!

— Ach, byłbym zapomniął! — powiedział Leighton, zwracając się znów do Carli i Wiktora. — Przekazali nam, że zgromadzenie przywódców będzie się nazywać „Kongres Światowy 666”.

— 666? — zapytał Wiktor. — Czy to coś oznacza?

— Oho! Oto jedna z korzyści wychowania w społeczeństwie ateistycz-

nym! — roześmiała się Carla. — Żaden mit o Antychryście nie przyprawi tam przedszkolaków o koszmary, tak jak to było w moim przypadku.

— Antychryst? — Wiktor wciąż nie rozumiał.

— Ach, przepraszam — powiedziała Carla. — To taka diaboliczna postać opisana w Biblii. Ma rzekomo być czczona jako „Bóg” i przejąć władzę nad światem. Nie uwierzysz, Wiktorze, jak przesąd ten zakorzenił się na Zachodzie. Liczba 666, która ma być rzekomo symbolem tego Antychrysta, działa jak straszak. Nawet w Hollywood nakręcono parę dużych obrazów; zrobili na ludzkim strachu niezłe pieniądze. To dla mnie zagadka — zwróciła się do Leightona — czemu Archonci postanowili utożsamić Nowy Porządek Światowy z symbolem, który na pewno wzbudzi paranoiczne reakcje i opozycję.

— Nie wyjaśnili tego — Leighton sam nie wyglądał zbyt pewnie. — Też jestem ciekaw, dlaczego wybrali symbol, z którym większość ludzi ma negatywne skojarzenia.

— Po cóż wyjaśniać coś tak oczywistego? — zniecierpliwił się Del Sasso. — To idea geniusza, i to pierwszorzędną. Nawet osoby, które nie chodzą do kościoła, chętnie płacą żeby obejrzeć film o tej paranoi. I zamiast oglądać go jak każdy inny horror, siedzą przerażone, że taki scenariusz mógłby się naprawdę wydarzyć.

— O to właśnie chodzi — przerwał Leighton. — Powołanie się na symbol 666 na pewno nie usposobi przychylnie do Archontów i nie zyska poparcia!

— I ty jesteś psychologiem, Frank? — odparował Del Sasso. — Wstydzi się, bo nie rozpoznałeś istoty tego, co robią Archonci. To genialni psycholodzy. Zmuszą świat, żeby wziął za rogi całą tę obsesyjną paranoję Antychrysta, i w ten sposób pozbędziemy się jej raz na zawsze!

— A nie pomyślałeś o protestach chrześcijan?! — zaoponowała Carla. — Tylko powiedz „666”, a zaraz wyjmą Biblię i zaczną wołać, że właśnie spełniło się proroctwo. Dopiero będą mieli pretekst: „Aha, nie mówiłem? Spisek Antychrysta!”

— Niech mówią. To właśnie sedno całej strategii. Genialne! — odchylił się do tyłu i dał się porwać atakowi śmiechu. — Bardzo inteligentne — dodał w końcu, ocierając łzy. — Jeśli fundamentalistyczni szpicle zaczęliby węszyć i wywęszyliby jakiś związek z Antychrystem... No, to by mogło być niepożądane. Ale jeśli zwołamy zjazd przywódców światowych pod hasłem „Szczyt 666”, to jest to tak jasno powiedziane, że nikt nie może podnosić zarzutów o ukrytym spisku. Nie widzicie?

Leighton i Morris kiwali głowami ze zrozumieniem.

— Inteligentne — powiedziała Kay.

— Jestem pewien, że to wykracza daleko poza naszą obecną zdolność rozumienia — dodał Del Sasso. — Ale jest w tym coś jeszcze głębszego i ważniejszego, co wyraźnie widać. Wiecie, o czym mówię?

— To musi być coś więcej niż tylko sprytnie rozbrojenie opozycji — Carla myślała na głos. — To chyba również pewnego rodzaju deklaracja, jakby wyznanie wiary, którego oni oczekują od międzynarodowych przywódców, a w końcu i od wszystkich mieszkańców Ziemi. O to ci chodziło?

— *Voilà!* — Del Sasso wyciągnął rękę i żartobliwie poklepał Carle po policzku. — Dostrajasz się, naprawdę! Archonci, którzy cię dzień i noc obserwują, muszą być bardzo zadowoleni.

— Zgubiłem się — przyznał Wiktor.

— To w zasadzie bardzo proste — powiedział mnich. — A prostota to jak wiadomo oznaka geniuszu. Utożsamiając się z zakazaną liczbą 666 przywódcy światowi, którzy przecież w żadnym razie nie są zwolennikami jakiegoś mitycznego Antychrysta, jednym ruchem ręki zniszczą idiotyczny przesąd!

— I to się właśnie nazywa wytrącić oręż z ręki! — powiedział Leighton, coraz bardziej zapalony. — Każdy, kto by oskarżył Nowy Porządek Światowy o maskowanie Antychrysta, zostanie z miejsca wyśmiany.

— No właśnie! To tak, jak wódz prymitywnego plemienia narusza jakieś tabu — kontynuował Del Sasso. — Albo zostanie zabity, albo położy kres zakazowi i wyzwoli swój lud. Utożsamiając się z 666 przywódcy światowi na Kongresie wyzwolą świat z przesądnego lęku, który już od wieków tamuje autentyczny postęp. I raz na zawsze nastąpi koniec mitu o Antychryście!

— Przerwę ci na chwilę, Antonio — Carla z trudem opanowywała podniecenie. — W tym śmiałym kroku jest coś jeszcze bardziej genialnego. Trudno ci to pojąć — zwróciła się do Wiktora — bo wyrosłeś się w środowisku ateistycznym, wolnym do fatalnego wpływu chrześcijańskich przesądów. Gdybyś wiedział, jak mocno idea Antychrysta zakorzeniła się na Zachodzie, rozumiałbyś, że jeśli Archonci chcą zaprowadzić Nowy Porządek, m u s z a ją unicestwić. Biblia mówi, że „666” reprezentuje człowieka, który zaprowadzi na świecie nowy porządek; że będzie to bunt przeciw Najwyższemu. Chrześcijanie będą wołać „Hańba!” przeciw tym, którzy ten znak zaakceptują aleja zawołam „Brawo!” To bunt, który m u s i mieć miejsce, i teraz właśnie nadszedł na to odpowiedni czas. Świat zostanie nareszcie wyzwolony od szkodliwej iluzji, że ludzkość nie potrafi sobie sama poradzić i że musi się zniżyć do wyznawania grzechów i swoich słabości i żyć z okrucichów „łaski”, które jakiś „Chrystus” od czasu do czasu zrzuca tu i tam ze swojego wystawnego stołu.

— A więc jednak można to nazwać buntem Antychrysta — powiedział Wiktor, który nagle zaczął pojmować.

— Naturalnie! — Del Sasso zacisnął szczęki, a oczy pały mu ogniem. — Rzeczywiście wprowadzimy to, co Biblia nazywa panowaniem Antychrysta. Nie będzie jednak ono złe, tak jak Biblia ostrzega, lecz będzie monumentem ku czci wrodzonej dobroci i boskości człowieka. A będzie mu przewodził ktoś, kto boskość tę uosobi, w całej jej wspaniałości i pełni!

Bies

Po wczesnej kolacji w hotelowym pokoju Carla leżała na łóżku przełączając kanały telewizyjne tam i z powrotem. Usiłowała znaleźć coś, co by ją zainteresowało, a przede wszystkim miała nadzieję, że zdoła usnąć: zasypianie stało się jej nagminnym problemem. W końcu wyłączyła telewizor i leżała po ciemku, rozważając ostatnie wydarzenia i rozmowy i zmagając się z myślami.

Kiedy późnym popołudniem wrócili do bazy, nikt już nie miał ochoty nic robić. Spotkanie z Archontami było tak wyczerpujące emocjonalnie, ich zapowiedzi tak podniecały. Leighton dał wszystkim wolny wieczór. A jednak sen, którego Carla rozpaczliwie potrzebowała, nie przychodził.

Irytowało ją, że nie schodzi jej z myśli liczba 666. Im bardziej próbowała temu przeczyć, tym bardziej niepokoił ją fakt, że Archonci postanowili utożsamić siebie i swój Plan właśnie z symbolem Antychrysta. Wszystko, co powiedział Del Sasso i co ona sama do tego dość inteligentnie dodała, brzmiało bardzo sensownie. Było logiczne, żeby nie powiedzieć: genialne, co do czego wszyscy się zgodzili. A jednak właśnie to ją niepokoiło. Chwilami zdawało się wręcz zbyt genialne. I pomimo całej błyskotliwości tej koncepcji, brakowało w tym jednego, ale podstawowego elementu: dowodu, że właśnie to, a nie przeciwstawne poglądy chrześcijańskie, jest *p r a w d ą*. Niełatwo będzie sprzedać to światu — a zadanie należy właśnie do niej!

Najbardziej niepokojąca myśl była dziecinnie prosta: wprowadzenie Nowego Porządku Światowego związanego z liczbą 666 będzie - jak by na to nie spojrzeć - wypełnieniem biblijnych prorocत्व o Antychryście! Uwagi Del Sassa, choć bardzo przemyślane, były zwykłą próbą przeczenia oczywistym faktom. Bez względu na wszelkie wysiłki zmierzające do odwrócenia od niego uwagi, jeden fakt był pewny: Biblia zapowiada, że przyszły Antychryst zbuduje swoje królestwo używając w jakiś sposób liczby 666. A właśnie to mają zamiar zrobić Archonci!

Carla przez całe lata powtarzała sobie, że nie wierzy w Biblię. A jednak wciąż nie dawało jej spokoju, że sama bierze udział w wydarzeniach bardzo przypominających to, o czym jest w niej mowa, wydarzeniach prowadzących do ustanowienia królestwa Antychrysta, które sprowadzą gniew Boga na biorących w nich udział. Najgorsze zaś było to, że nawet sam Del Sasso, mimo

wszystkich swoich pokrętnych wyjaśnień, przyznał, iż Plan jest istotnie spis-kiem Antychrysta. A ten „ktoś”, kto miałby w nim przewodzić? Czyżby mó-wił o samym sobie? Jakże ona ma to przekazać światu i nie wzbudzić wątpli-wości, opozycji, nawet paniki? Było to jej osobiste zadanie jako dziennikarza i dosłownie spędzało sen z oczu.

Dziś po południu wszystko wydawało się przejrzyste i jasne, całym sercem zgadzała się z Del Sassem. Ale w tej chwili nie była już tak pewna siebie. Plan był czymś, w co z całej siły chciała wierzyć. Dawał nadzieję światu zna-dującemu się na skraju przepaści i brzmiał całkiem sensownie. Ale czy może być pewna, że powiedzie się tak, jak to obiecują Archonci? Za wszelką cenę próbowała odpowiedzieć na to pytanie niezachwianym „tak”, ale wciąż drę-czyły ją wątpliwości. A to ją bardzo niepokoiło. Del Sasso powiedział, że Archonci obserwują ją dzień i noc. Czy potrafią czytać w myślach? Jeśli tak, to czy przestali być z niej zadowoleni, czy też uważają, że wątpliwości to rzecz normalna dla rodzaju ludzkiego?

Archonci! Kiedy tylko próbowała zamknąć oczy, widziała statek kosmicz-ny, który naciera prosto na nią, a potem niespodziewanie przenika przez ścia-nę budynku nad jej głową. Frank twierdzi, że to nie był przedmiot fizyczny. Cóż, ale wyglądał na fizyczny. Fizyczny przedmiot nie mógłby przecież wy-frunąć przez ścianę — a może? Względność, niepewność, czarne dziury, antymateria. Kto wie, co jeszcze może się wydarzyć i czy można w ogóle wy-powiadać dogmatyczne stwierdzenia głoszące, że coś jest niemożliwe? Jeśli jednak Archonci nie mają natury fizycznej, to to coś, w czym się przemiesz-czali, też nie musiało być fizyczne. A wobec tego po co im w ogóle potrzeb-ne te pojazdy? A może UFO służy jakiejś innej zwodniczej praktyce?

Carla nigdy nie wierzyła w UFO. Już sam termin: „niezidentyfikowany obiekt latający” wydawał się czystym idiotyzmem. A teraz sama taki zoba-czyła, na własne oczy, z bliska — i dalej pozostał n i e z i d e n t y f i k o -w a n y. A te istoty, które z niego wyszły i rozmawiały z Leightonem, Del Sassem i Morris... Dlaczego wyglądały tak ... g a d z i o? Jeśli rzeczywiście wyewoluowały poza istnienie cielesne i materializują się czasowo tylko po to, żeby ludzie mogli je zauważyć, dlaczego wybrały kształt nie tylko odstrę-czający, ale wręcz — demoniczny? Zadrżała na samą myśl. Czy to przypad-kiem nie przed tym Ken ją ostrzegał, a ona drwiła sobie z niego? A może przez cały czas miał rację? Nie, nie, Carla nigdy nie przyzna, że jej ojciec wcale nie jest człowiekiem zniszczonym przez chrześcijaństwo, a tylko nik-czemnikiem, który przekreśla prawdę.

Zdołała już zasnąć, gdy nagle zerwała się gwałtownie, zupełnie trzeźwa. Łóżko się trzęsło, ale nie było to trzęsienie ziemi. Budynek się nie ru-szał — tylko samo łóżko. Przestało. Zastony nie były zaciągnięte i w mdłym świetle napływającym z ulicy zdawało jej się, że spostrzegła zamazaną po-

stać, która prędko wśliznęła się do łazienki. Carla zamarła z przerażenia, krzyk na jej zdrtwiałych ustach był niemy.

Łóżko znowu zaczęło się trząść, potem przechyliło się na jedną stronę i Carla wylądowała na podłodze. „Światło! Włącz światło!” Zdołała się podnieść i włączyć nocną lampkę. Żarówka się zapaliła, ale światło nie rozchodziło się, jakby pochłaniała je wszechobecna w pokoju ciemność. Po omacku podeszła do lampy stojącej na brzegu biurka. Siegnęła do włącznika, ale on wymknął się jej z rąk, jak żywa istota.

Poczuła się całkowicie bezradna i bezbronna. Co robić? Zmagając się z tym pytaniem, zauważyła, że zza na pół otwartych drzwi łazienki, za którymi zniknęła tajemnicza postać, sący się dziwna luminescencyjna poświata. Usłyszała jakby niskie, gardłowe mamrotanie. Przeszły ją ciarki. Jeśli zechce wyjść na korytarz, będzie musiała tamtędy przejść. Myśl o ucieczce z pokoju zmieniła przerażenie w prawdziwą panikę.

Kątem oka zauważyła, że na ścianie naprzeciwko okna pojawiło się odbicie znajomych czerwono-zielonych świateł, które wcześniej widziała na UFO. Archontci! Czyżby rzeczywiście, jak się tego obawiała, nie podobały im się jej wątpliwości i zrobili teraz specjalną manifestację swojej mocy? Czy chcą ją tylko nastraszyć, czy może zamierzają ją ukarać?

Czy ma podejść do okna i na cały głos w środku nocy zawołać, że wierzy w Archontów? Czy wtedy wszystko wróci do normy? Wierzyć w ich istnienie i moc — cc do tego nie miała wątpliwości, ale kim są naprawdę, jakie mają zamiary? Najtrudniej było odpowiedzieć na najistotniejsze pytania. Doszła do wniosku, że nie potrafi złożyć deklaracji wiary, której oczekują. Czy to oznacza koniec współpracy z Frankiem? Czy starczy jej odwagi, żeby tam wrócić?

Czuła teraz w pokoju tę obecność, przytłaczającą nieprzyjemną, gądzia, przeraźliwą. A przecież wtedy, w magazynie, atmosfera była tak pełna miłości. Czy i teraz zmieni się w ten sam sposób? Gdyby tylko FBI było jeszcze w pokoju obok — zawołałaby do nich! A dlaczego nie zawoła do tego Archonta, który bez wątpienia jest teraz tutaj?

Stanęła na środku pokoju. Czuła się jak idiotka, wypowiadając słowa gdzieś w ciemność, ale skłaniał ją do tego obezwładniający lęk:

— Błagam, czy mogę z tobą porozmawiać? Jeśli chcesz, żebym ci wierzyła, nie strasz mnie! Proszę, zostaw mnie w spokoju. Jestem po waszej stronie. Bardzo chcę, żeby Plan się powiódł, ale mam jeszcze pytania. Błagam!

Luminescencyjna poświata w łazience znikła, a światło zapalanej wcześniej lampki rozproszyło mrok w pokoju. Z głośnym westchnieniem ulgi Carla opadła na łóżko i zaczęła płakać. Więc usłyszeli ją i poszli sobie. Była im wdzięczna. Ale myśl o powrocie do łóżka wydała jej się szalona. Nawet jeśli sobie poszli, to i tak nie zostanie dłużej w tym pokoju!

Podniosła słuchawkę, żeby połączyć się z recepcją i poprosić o inny pokój, przynajmniej na resztę nocy. Zamiast sygnału usłyszała jednak gardłowy głos, który wcześniej mamrotał w łazience.

— Nikt nie zakpi z Dziewięciu... Nikt nie zakpi z Dziewięciu...

Brzmiało jak popsuta płyta, makabrycznie.

Natychmiast opuściła słuchawkę i ostatkiem sił podbiegła do biurka. Na blacie leżała jej walizka. Półprzytomna ze strachu, wyjęła z szuflady parę swoich rzeczy i wrzuciła do środka, szlochając bez przerwy i powtarzając: „Ja z was nie kpię... Ja z was nie kpię...”

Kiedy się ubrała, uświadomiła sobie, że wszystkie dziwne zjawiska ustały. To ją napełniło od nowa odwagą i nadzieją. Ostrożnie poszła w stronę łazienki, sięgnęła dłońią przez na pół otwarte drzwi i włączyła światło. Zapaliło się. Wszystko najwyraźniej wróciło do normy.

Postawiła jeden krok do środka i chwyciła kosmetyczkę ze szczoteczką do zębów, grzebieniem i podobnymi rzeczami. Kiedy wyprostowała się, żeby postawić krok w tył, niechcący spojrzała w lustro. Zamiast swojego odbicia ujrzała w wielkim zbliżeniu oblicze jednego z Archontów, takiego, jakich widziała w piramidzie światła. Patrzył na nią nieruchomymi, półprzymkniętymi, gadzimi oczyma.

Krzyknęła przeraźliwie i wyskoczyła z łazienki, zatraskując za sobą drzwi. Wielki obraz na ścianie przy łóżku spadł na podłogę i rozprysł się na kawałeczki. Dźwięk tłukącego się szkła wskrzesił potworne wspomnienia. Zobaczyła przecinanego na pół Czernowa i zakrwawiony szklany blat biurka

się o ścianę. Makabryczna wizja była kroplą która przepełniła kielich.

Spazmatyczny szloch z trudem wyrывał się ze ściśniętego gardła, kiedy Carla ostatkiem sił wrzucała kosmetyczkę do walizki i zamykała wieko. Drżąc z przerażenia, przebiegła obok drzwi do łazienki ściskając mocno walizkę i wypadła na korytarz.

*

Sprawa Carli przez cały dzień nie dawała Kenowi spokoju. Nie mógł się opędzić od przeczucia, że grozi jej niebezpieczeństwo. Wyszedł z biura wkrótce po lunchu i całe popołudnie i wieczór spędził w swoim pokoju na żarliwej modlitwie. Wołał do Boga o wyrwanie jej spod zwodniczego wpływu Del Sassa, o ochronę przed złem i zagładą do której - czego był zupełnie pewien - prowadzi ten Plan, o cokolwiek, co otworzyłoby oczy Carli na rzeczywistą tożsamość Archontów. Około dziewiątej brzemień nareszcie ustąpiło i Ken był przekonany, że jego modlitwy zostały usłyszane. Poszedł do gabinetu, żeby trochę popracować przy komputerach, musiał coś jeszcze zrobić

na następny dzień. Po skończonej pracy, kiedy czytał Biblię przed snem, rozległ się dzwonek do drzwi.

Dzwonek brzęczał jak szalony przez cały czas, kiedy Ken biegł do drzwi, wystraszony, że matka się obudzi. „Któż to może być o tej porze?” Ostatnie burzliwe przeżycia skłoniły go do ostrożności. Przed otwarciem zawołał:

— Kto tam?

— Carla! Błagam!!

„Chwała Bogu!” Otworzył drzwi i zobaczył ją. Rozwichrzone włosy, oczy spuchnięte od płaczu, panika i przerażenie na twarzy. Ścisnęła walizkę, z której wystawały kawałki garderoby. Wziął walizkę, objął Carłę ramieniem i pochnął do środka. Przytuliła się do niego i nie przestawała szlochać:

— Coś mnie goni! Ledwo tu dotarłam. Samochód walczył ze mną, jakby był żywy!

Przez ułamek sekundy przed oczami Kena stanęła jego własna jazda, skończona spadkiem ze skały.

— Wiem, co masz na myśli. Dobrze, że przyjechałaś — zapewnił, prowadząc ją do salonu. Opadła na kanapę i próbowała walczyć z łzami. Usiadł obok. — Możesz powiedzieć, co się stało?

— Prawdziwe piekło w moim pokoju! — wyrzucała słowa z płaczem. — Łóżko się trzęsło, obrazy spadały, głosy... Czyjaś potworna o b e c n o ś ć. To było straszne. Nie mogę mówić teraz...

Delikatnie objął ją ramieniem. Bezpieczny uścisk wydusił jeszcze więcej tłumionych szlochów.

— Przepraszam — powiedziała, kiedy trochę ochłonęła. — Wiesz, że to do mnie niepodobne.

Wyprostowała się, przyglądała włosy i otarła łzy.

— Jakoś dojdę do siebie. Kiedyś zapraszałeś mnie tutaj - czy to jeszcze aktualne?

— Jak długo zechcesz!

— Ken, jesteś taki dobry. Tylko do czasu, aż dojdę do siebie. Czuję się jak idiotka, plotę coś od rzeczy...

— Carla! Co się stało? — do salonu weszła pani Inman. Natychmiast podbiegła do nich i również objęła Carłę ramieniem.

— Jakieś demoniczne zjawiska u niej w pokoju, coś okropnego — odpowiedział Ken. — Nie może teraz o tym mówić.

— Biedactwo! Chodź, pójdziemy do pokoju, tam będziesz spać — pani Inman wzięła Carłę za rękę. — Ken, zabierz walizkę.

Poszli korytarzem aż na sam koniec domu, gdzie matka Kena otworzyła drzwi do przestronnego oddzielnego mieszkania.

— Łóżko jest pościelone — powiedziała, wprowadzając ją do środka. — Tam masz łazienkę. Przyniosę ręczniki. A tamte drzwi to gabinet. Nikt

ci tutaj nie będzie wchodził.

Pani Inman prędko wróciła na korytarz, gdzie znajdowała się drewniana szafa. Wyjęła kilka ręczników i jeszcze jeden koc. Położyła wszystko na łóżku. Ken postawił walizkę i stał z boku, nie bardzo wiedząc, co robić.

— Może podejdiesz do kuchni? Przekąsisz coś, napijesz się, trochę ochłoniesz?

— Mogę coś specjalnego przygotować - na co masz ochotę? — dodała matka Kena, przyjaźnie gładząc jej włosy.

„Muszę, muszę o tym koniecznie z kimś porozmawiać! Ale nie z nim. Znowu zaczniesz prawić kazania o demonach...”

— Nie, naprawdę dziękuję. Bardzo jesteście mili, ale już tak późno, a ja jestem wykończona. Marzę o tym, żeby się choć trochę przespać. Rano wszystko opowiem.

— Śpij, jak długo chcesz — powiedziała pani Inman. — Śniadanie będzie, kiedy wstaniesz.

Dołączyła do Kena stojącego na korytarzu.

— Do jutra, Carla.

— Dobranoc. I bardzo dziękuję.

Parę sekund i Carla już była w nocnej koszuli. Światło w łazience zostawiła zapalone i uchyliła drzwi, żeby w pokoju nie było całkowicie ciemno. Runęła na łóżko, zupełnie wyczerpana. Spokój, bezpiecznie... Ten dom i jego mieszkańcy dawali jej takie właśnie uczucie. Wydarzenia z ostatnich kilku godzin rozplynęły się w przyjemnej nieokreśloności — i Carla zapadła w sen.

Nie wiedziała, ile czasu już śpi, gdy nagle coś ją zbudziło. Z trudem otworzyła oczy. Zza zaciągniętych zasłon docierały stłumione błyski różu i zieleni, najwyraźniej zaraz zza szklanych zasuwanych drzwi. „Ten ich statek!” Coś podpowiedziało jej, żeby odwróciła głowę: Tak, on tam stał. Widziała go wyraźnie w słabym świetle, serce jej zamarło ze zdumienia. Długi czarny habit i kaptur były jedyne w swoim rodzaju.

— Antonio? — szepnęła. — Co tu robisz?

Postać nie odpowiedziała, ale zaczęła złowieszczo sunąć w jej stronę; zdawała się płynąć nie dotykając podłogi.

— Antonio!

Stał nad nią nieruchomy i milczący. Nie rozróżniała rysów twarzy w głębi kaptura, jedynie połyskujące oczy. Nagle schylił się i wyciągnął ręce. Krzyknęła akurat w chwili, gdy jego dłonie chwyciły ją za gardło, tłumiąc dźwięk.

Niewiasta i wąż

Ken gasił właśnie światło w swoim gabinecie, gdy usłyszał stłumiony krzyk. Puścił się biegiem przez salon i korytarz w kierunku mieszkania Carli. Energicznie otworzył drzwi i wpadł do środka. Postać w kapturze pochyłona nad łóżkiem puściła Carłę i prędko zwróciła się ku nowemu przeciwnikowi.

Wysokiej sylwetki, długiego habitu i stanowczych, płynnych ruchów nie dało się z nikim pomylić. Przez krótką chwilę zaskoczony i zdezorientowany Ken zastanawiał się, jak Del Sasso zdołał się tu dostać. Ale zaraz zrozumiał.

Sunącą prędko w stronę Kena postać dzieliło od niego już tylko parę kroków. Wyciągnęła prawą rękę w złowróżbnym geście, a w tej samej chwili z sufitu na głowę i ramiona Kena spadła gigantyczna kobra. Carla obserwowała całą scenę sparaliżowana przerażeniem, ściskając obolałe gardło i z trudem łapiąc oddech.

— Boże, ratuj! — krzyknął Ken. Instynktownie sięgnął po grube cielsko, które oplatało się wokół niego, ale złapał jedynie powietrze. Przez ułamek sekundy stanęło mu przed oczyma wspomnienie, kiedy nie potrafił się obronić przed podobnym atakiem. Ale teraz już wiedział, co ma robić.

— W imię Jezusa Chrystusa z Nazaretu: precz! I nie wracajcie tu! — mocnym głosem rozkazał wężowi i postaci w kapturze.

W jednej chwili zniknęli.

Podbiegł do Carli. Łkała. Położył dłoń na jej ramieniu, skuliła się, wystraszona.

— Już ich nie ma — powiedział cicho. — Nic ci nie jest?

— Jestem przerażona, Ken! — odparła cichym, ochrypłym głosem. Zauważyła, że mówi z trudnością. — Dokąd poszli? — rozglądała się z lękiem.

— Nieważne, dokąd. Poszli, i obiecuję, że już nie wrócą. Przynajmniej nie tutaj. W tym domu będziesz od tej chwili bezpieczna.

— Moje gardło... Nie nie mogę przełknąć śliny...

— Może napijesz się czegoś ciepłego? Na co masz ochotę? Pobiegnę do kuchni i zrobię ci. Za minutę wracam.

Ścisnęła go za ramię.

— Nie idź, błagam!

Wygramoliła się z łóżka i wstała.

— Pójdę z tobą.

Pomógł jej włożyć szlafrok i podtrzymawał za ramię przez całą drogę przez salon do kuchni z drugiej strony domu. Carla zagłębiła się w fotelu, a on postawił czajnik na kuchence i rozglądał się za herbatą.

— Jak Antonio się tu dostał? Gdzie oni zniknęli? — była oszołomiona.

Usiadł przy stole naprzeciw i spojrzał na nią ze współczuciem.

— Nie wiem, jak ci powiedzieć, Carla. Wiesz, że mieliśmy już na ten temat pewne nieporozumienia i nie chciałbym...

— Ken, proszę. Powiedz. Będę słuchać — odpowiadała na jego spojrzenie wzrokiem zmęczonym, przygnębionym i zdecydowanym na wszystko.

— To nie był Del Sasso.

— Przecież go widziałam!

— Ja też widziałem, ale to nie był on. To był zły duch...

— D u c h ? Jak możesz tak mówić! Ciągłe czuję te jego dłonie na gardle.

Patrz: muszą być ślady!

Pochylił się bliżej, żeby zobaczyć.

— Są ślady, ale nie zrobił tego Del Sasso w ciele. To był jeden z Archontów, a wiesz, co na ich temat uważam. To demony!

Skrzywiła się.

— Wiedziałaś, że to powiesz. Ale czy coś, co nie ma ciała, mogło mnie dusić, a na dodatek zostawić ślady?

— A czy widziałas, jak ktoś, kto miał ciało, trząsł twoim łóżkiem w hotelu i zrzucał obrazy? — zapytał. Pokręciła głową nie wiedząc, co myśleć. — I czy to ktoś, kto ma c i a ł o, rzuca przedmiotami w tak zwanych nawiedzonych domach, czy może raczej robią to d u c h y ? — kontynuował Ken. — I czy to ci czegoś nie mówi o wyczynach Del Sassa?

W milczeniu popijali herbatę. Myślała nad ostatnim pytaniem. W końcu odpowiedziała:

— Moc mediumistyczna. Zawsze nazywaliśmy to: „umysł ponad materią”.

— Czyj umysł? — zapytał rzeczowo.

— No, naturalnie chyba umysł medium.

— A dlaczego nie kogoś innego, na przykład umysł jakiegoś ducha, który oszukuje media, żeby myślały, że to ich własny umysł dokonuje tych rzeczy?

— Ależ duchy nie są fizyczne — zaprotestowała — a te zjawiska mają zwykle coś wspólnego ze sferą fizyczną.

— Znowu to samo: a czy umysł medium jest f i z y c z n y ? — zapytał.

— Zawsze zdawało mi się, że umysł to mózg.

— Więc widziałas kiedyś, jak mózg medium wychodzi sobie z głowy i przenosi jakieś przedmioty? Czy to jest właśnie ten „umysł ponad materią”?

Roześmiała się z goryczą.

— To boli! — zawołała. Powoli przełknęła herbatę, znów milcząc. Kojące

ciepło napoju łagodziło ból gardła. — Zabierasz mi wszystko, na czym stoję, Ken — przyznała niechętnie. — Dlaczego nigdy o tym nie myślałam?

— Zaryzykowałbym słowo „pycha”. To był w każdym razie mój problem i można chyba powiedzieć, że to uprzykrzony grzech całego rodzaju ludzkiego. Archonci o tym wiedzą. Więc zakładają na przynętę koncepcję, że zjawiska parapsychiczne są wyrazem mocy, którą my posiadamy, mocy naszego umysłu, że w każdym z nas istnieje nieograniczony potencjał, który wystarczy tylko rozwijać. A cały czas operują przez nas swoją mocą. W ten sposób nas zwodzą, a w końcu doprowadzają do kompletnego podporządkowania się ich kontroli.

Potrząsnęła głową, oszołomiona:

— Tu by się przydała kolejna filiżanka. Może być trochę mocniejsza?

Ken przyniósł dzbanek na stół i z powrotem usiadł.

— Dodaj do tego element strachu. Groźba ze strony czegoś czy kogoś fizycznego nie wzbudza tyle lęku, co groźba ze strony czegoś niewidzialnego.

Kiwnęła poważnie głową:

— Przekonałam się o tym dziś w nocy.

— Więc rozumiesz, o co mi chodzi. Gdybym ci powiedział, że w pokoju obok jest lew, wywołałoby to w tobie pewien poziom lęku. Zaraz zaczęłabyś się zastanawiać, w jaki sposób się obronić, jeśli pojawi się w drzwiach. Ale gdybym ci powiedział, że za chwilę do tego pokoju wejdzie duch, i gdybyś wierzyła w takie rzeczy, doznałabyś przerażenia daleko głębszego niż w przypadku jakiegokolwiek groźby fizycznej, prawda?

— Uwier mi — powiedziała — nawet jeśli człowiek twierdzi, że nie wierzy w takie rzeczy, to i tak, gdy przyjdzie co do czego, sztywnieje ze strachu. Tam, w hotelu, usiłowałam siebie przekonywać, że w to nie wierzę, a i tak kiedy tu przyjechałam, musiałam wyglądać jak trzęsąca się galareta.

— Carla, każdy człowiek intuicyjnie wie, że złe duchy istnieją. Ale nasza duma, no i strach każą nam udawać, że ich nie ma. Chowamy się za dawno zdyskredytowanymi teoriami materializmu, obierając sobie tak zwaną „nowoczesną naukę” za pretekst do zamknięcia na klucz Szatana i Boga, aniołów i demonów.

Wypiła już kolejną herbatę i obracała w dłoniach pustą filiżankę, przyglądając jej się uważnie.

— Ale to nie ma większego związku z tym, co mi się dziś przytrafiło — powiedziała w końcu. — Wcale mnie nie przekonałeś, że miały z tym coś wspólnego jakieś demony. Naprawdę wciąż uważam, że to byli Archonci, i nadal wierzę, że są to dobrane istoty w wysokim stadium ewolucji, z jakiejś innej części wszechświata. Nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby tak być.

— W każdym razie zachowują się jak demony! — powiedział ostro.

Odłożyła filizankę i zaczęła cicho popłakiwać. Oparła ramiona na stole i ukryła w nich głowę, żeby stłumić łkanie.

— Próbują mnie przestraszyć, ale nie rozumiem, dlaczego uważają, że to konieczne.

Podniosła głowę i spojrzała na Kena przez łyżę.

— Wiem, że tego nie zrozumiesz, aleja ciągle chcę z nimi pracować. Zgoda, przerażają mnie śmiertelnie, ale ich Plan ma sens...

Ken potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Carla, jeśli to, przez co przeszłaś, nie zdołało cię przekonać, to nie wiem, co może tego dokonać!... — przełknął resztę zdania.

— Ken, przecież w twojej Biblii jest powiedziane, że sam Bóg karze ludzi, czasami nawet bardzo surowo — dowodziła. — A uważasz to za normalne.

Kiwnął głową:

— Wiem, co chcesz powiedzieć, ale to nie tak. Bóg jest bez wątpienia sprawiedliwy i kochający, Jego postępowanie jest doskonałe. Można Mu zaufać. Ale jeśli zaufałaś Archontom, Carla, to koniec z tobą!

— Opowiem ci, jak to było — upierała się. — Rozmawiałam z tym Archontem w pokoju w hotelu, Ken, naprawdę. I na jakiś czas przestali mnie straszyć. Owszem, to, co zrobili w hotelu, było okropne, ale może chcieli mnie ukarać za wątpliwość? Ty przecież też uważasz, że Bóg karze? Nie chcę, żeby to się powtórzyło. Umierałam z przerażenia!

— A tutaj, w sypialni?

— Tu chyba było inaczej. Przypuśćmy, że istnieją również źli Archonci i że próbowali mnie nastawić przeciwko tym dobrym i ich Planowi?

— Chyba jesteś już zbyt zmęczona — powiedział, załamany. Spojrzał na zegar kuchenny i wstał. — Prawie trzecia. Jestem wykończony, a ty pewnie w jeszcze gorszym stanie. Prześpijmy się trochę.

Odsunęła krzesło i niechętnie wstała.

— Boję się wyjść z tej bezpiecznej kuchni i iść do sypialni.

— Coś ci obiecuję, Carla — zapewnił. — Oni tu nie wrócą. Uwierz mi.

— Masz nad nimi moc. Widziałam. Dlatego czuję się bezpiecznie.

— To nie moja moc — przerwał szybko. — Mogę im tylko rozkazywać w imieniu Jezusa Chrystusa. A to ci powinno powiedzieć, kim właściwie są!

Patrzyła na niego błagalnie.

— Mogę cię jeszcze o coś zapytać? Fizycznie dusiła mnie istota duchowa. I byłaby mnie zabiła, gdyby nie ty. I na własne - fizyczne - oczy widziałam tę wielką kobrę. I był tam Del Sasso, tylko że to nie był on, i nie była to też prawdziwa kobra. To mi chcesz powiedzieć, prawda?

Kiwnął głową.

— Ale dlaczego akurat ja, o co tu w ogóle chodzi?

Już otworzył usta, ale zawahał się. Po długim, pełnym zadumy milczeniu

odezwał się w końcu:

— Carla, te pytania są zbyt złożone, żeby je teraz roztrząsać, jesteście bardzo zmęczeni. Porozmawiamy jutro rano albo kiedy będziesz chciała.

Powoli ruszyli w stronę jej mieszkania.

— Na razie powiem tylko tyle — dodał jeszcze. — To, co ci się dziś przydarzyło, to nic nowego pod słońcem. To ma miejsce w najrozmaitszych postaciach już od początku świata.

— Tak? Na przykład kiedy i gdzie?

— Zaczęło się od pewnej kobiety i pewnego węża w pewnym ogrodzie. Wiesz, kiedy to było. Wąż jej jednak nie straszył, a zamiast tego zmyślnie za oferował nieograniczoną wiedzę i moc. Ale to zniszczyło i ją i całe jej potomstwo. Genialne kłamstwo.

— Ken, daj spokój. Dobrze wiesz, co myślę o tej całej historii. Gdybym nie była tak zmęczona...

— Carla, zdumiewasz mnie. Byłem przekonany, że to, co ci się przytrafiło, mówi samo za siebie, ogłędnie to ujmując! Na własne oczy widziałas węża, a wiesz, że Biblia zawsze określa Szatana jako „węża starodawnego”. Co cię może przekonać?

— Chcesz powiedzieć, że to był Szatan we własnej osobie? — zapytała kategorycznym tonem.

— Niewykluczone — odparł bez wahania. — Ale tak czy inaczej to on bez wątpienia kryje się za twoimi dzisiejszymi przeżyciami.

— Del Sasso ma całkowicie różną interpretację wydarzeń w Ogrodzie Eden — powiedziała cicho. — Kiedy to wyjaśniał, brzmiało sensownie, byłam tego zupełnie pewna, ale teraz nie wiem, co myśleć. Sama już nie wiem, w co wierzę.

— Bardzo dobrze wiem, czego naucza Del Sasso i jemu podobni — oznajmił rzeczowo. — Wywrócili wszystko do góry nogami i zrobili z węża Wybawcę. A obietnica boskości dla człowieka przestała być podstępem, który zniewolił całą ludzkość; propagują ją jako „prawdę”, która nas wyzwoli.

— Uważam, że to brzmi bardzo rozsądnie — próbowała się bronić.

— Carla, błagam, pomyśl przez chwilę! Nie widzisz, że to samo kłamstwo? A każdy Leighton, Del Sasso i Chorew, i my wszyscy jesteśmy na nie tak samo podatni, jak wtedy Ewa?

Zatrzymali się przed drzwiami pokoju Carli.

— Możesz być bardzo wdzięczna za to, co się wczoraj stało — stwierdził z przekonaniem.

Protest na twarzy Carli wymagał dalszych wyjaśnień.

— Pewnego dnia będziesz wdzięczna, bo to cię zmusi do decyzji. Archońcy wiedzą że masz wątpliwości, więc nie mogą cię zniszczyć podstępem. Nie chcesz kupić kłamstwa w całości, więc następnym krokiem, jakiego na

tobie próbują, jest zastraszenie i gwałt. Zajrzałaś już za ich maskę i widziałaś prawdziwe oblicze. Bóg do tego dopuścił, i to była Jego łaska. Teraz przyjrzyj się wszystkim dowodom i podejmij odpowiednią decyzję!

Milczała, oszołomiona.

— Dobranoc — wymamrotała w końcu.

— Dobranoc. I niech ci Bóg dopomoże.

Wierni

Kiedy późnym rankiem Carla weszła do kuchni, Ken rozmawiał akurat przez telefon, a jego matka wyciskała sok z pomarańczy. Z garnka na kuchence dochodziło ciche bulgotanie owsianki. Zdrowy aromat, swojskie domowe odgłosy, powitalny uścisk, jakim pani Inman obdarzyła ją na dzień dobry, przydały życiu orzeźwiającej normalności.

— Bardzo się cieszę, że nie krępowałeś się przyjść — padły słowa wypowiedziane szczerze przez stateczną panią w fartuchu w niebieski wzór gałązkowy. — No, ale żeby tutaj, w tym domu, działy się takie rzeczy... Nie mogłam uwierzyć! Ken mi troszkę opowiedział. Mam nadzieję, że chociaż potem trochę się przespałeś.

— Może pani wierzyć albo nie, ale usnęłam jak zabita, obudziłam się dopiero parę minut temu. Tylko ciągle czuję się zmęczona.

Uśmiechnęła się, złapała dłoń pani Inman i dodała:

— Jesteście tacy mili. Nie wiem, jak wam dziękować.

— Czuj się jak u siebie.

Pani Inman wróciła do soku pomarańczowego, mówiąc dalej przez ramię:

— Bardzo przepraszam za to spartańskie śniadanie, ale Ken się upierał, że jesz to samo co on. Nie mam w domu ani plasterka boczku. On mówi, że to śmieci, a nie jedzenie.

— Założę się, że macie za to niesłodzony jogurt.

— I to ile! I całe słoje granulek lecytynowych, masz ochotę?

— *Toujours*, naturalnie — roześmiała się Carla. — A pani jeszcze jakoś udaje się prowadzić ten dom pomimo dietetycznego bzika Kena?

— No cóż, raz na jakiś czas udaje mi się przemycić coś niedrowego, ale aż takiego bzika to on nie ma, mam nadzieję. Trzeba raczej powiedzieć, że jest przeczniejszy niż reszta z nas. Twierdzi, że ty jesteś równie fanatyczna.

— Prawie.

Ken odłożył słuchawkę.

— Dobrze spałeś? Żadnych „gości”? Świetnie.

— Nawet nie pamiętam, żeby mi się coś śniło.

Przy wspólnym śniadaniu toczyła się zwykła rozmowa o codziennych

sprawach. Ken najwyraźniej nie palił się, żeby wracać do wydarzeń zeszłej nocy ani kontynuować przerwanej dyskusję, dopóki Carla sama nie wyrazi ochoty. Rzeczywiście, poruszyła ten temat. Zaskoczyło go jej pytanie:

— Co sądzisz o UFO?

— Są „prawdziwe”, ale z pewnością nie fizyczne — odparł bez wahania. Spojrzała na nią pytająco, zastanawiając się, co to ma wspólnego z horrorem, jaki przeżyła.

— Dlaczego tak uważasz?

— Jest wiele przyczyn. Chyba znasz je równie dobrze, jak i ja. Na przykład radar wychwytił, że robili zakręt o 90 stopni przy prędkości ponad 11 tysięcy kilometrów na godzinę. Obiekty fizyczne nie są w stanie tego dokonać nie ulegając dezintegracji. UFO najpierw unoszą się bez ruchu w powietrzu, potem gwałtownie przyspieszają aż do bariery dźwięku, którą przekraczają bezgłośnie! Obiekt fizyczny również tego nie mógłby dokonać. Są też inne przyczyny. Dlaczego pytasz?

— A ja ci podam jeszcze jeden powód — wtrąciła matka Kena. — Kiedy się im powie, żeby znikły w imieniu Jezusa, znikają. Nie pytałaś mnie wprawdzie o zdanie, ale i tak ci je zdradzę: to zjawiska demoniczne, i nie chciała-bym mieć z nimi nic wspólnego!

Carla wodziła wzrokiem od matki do syna z udawanym zaskoczeniem.

— No, no, więc i panią Ken zmiótł do owczarni! Nie jest pani tą samą kobietą, którą pamiętam jeszcze z Maine sprzed paru lat.

— Mam nadzieję, że ta nowa podoba ci się bardziej — powiedziała pani Inman. — Bo mnie tak.

— No, niech będzie... — Carla przez chwilę grzebała łyżką w owsiance, a potem z ociąganiem przyznała: — Szczerze mówiąc, choć niełatwo mi to przyznać, oboje macie w sobie taki pokój i zadowolenie, i taką pewność. Po-dziwiam to i... hm, zazdroszczę. To miejsce jest jak oaza.

Zapadła długa cisza. Carla łyknęła soku, rozparła się na krześle i wpatry-wała w szklanke.

— Prawie się boję zadać te pytania. Doskonale wiecie, że jeszcze wczoraj w ogóle nie chciałabym słuchać waszych opinii... — znów umilkła.

— Dlaczego przyszło ci do głowy UFO? — zapytał Ken.

Zawahała się, a potem postanowiła, że powie choć cześć.

— Obiecałam, że zachowam to wyłącznie dla siebie, ale po tym, co o ni mi zrobili w nocy, mam chyba prawo zadać pewne zasadnicze pytania.

— Zachowamy dyskreję — obiecał.

— Będę wdzięczna. No więc, nie wiem, czym są te UFO, ale z pewnością wczoraj widziałam takiego pierwszy raz w życiu, i to z bliska — próbowała nie nadawać głosowi dramatycznego brzmienia. — A zeszłej nocy, i w hote-lu, i tutaj, kiedy te koszmary na mnie napadły, na zewnątrz, na dworze, były

te same światła, które widziałam na UFO.

Pani Inman osłupiała.

— Widziałas U F O ? Z bliska? Carla, ja się naprawdę o ciebie boję! Nawet mi nie opowiadaj, jak to wyglądało!

— I miało to związek z Archontami? — upewnił się Ken.

— Zgadza się. Archonci kazali nam przyjechać w pewne miejsce. Zdaje się, że Frank, Del Sasso i Kay spotykają się z nimi w ten sposób już od jakiegoś czasu.

Ken był bardzo poważny.

— Carla, znasz moje zdanie, nie będę go powtarzał. Nie igraj z tym! Możesz zabrać tak daleko, że nie będzie odwrotu. Jak zareagowałaś na ten widok?

— Byłam wstrząśnięta! I całkowicie zbita z tropu. W pierwszej chwili było to potworne uczucie, ale już za moment to wszystko jakby zaczęło mnie wciągać, jakby mnie hipnotyzowało. Od tamtej pory było już cudownie i wspaniale. To bardzo dziwne: złe i odstręczające, a z drugiej strony dobre i pociągające. Było w tym coś dziwnie kuszącego, to mnie fascynowało.

— Tego się obawiałem — powiedział Ken. — I co to UFO robiło, to znaczy - po co mieliście ich zobaczyć?

— To było niezwykle spotkanie z Archontami; ale naprawdę, nie powinienam już nic więcej mówić. Chciałam tylko wiedzieć, co sądzicie o UFO, no i powiedzieliście mniej więcej to, czego po was oczekiwałam. Na własne oczy widziałam całą scenę, ale wciąż trudno mi uwierzyć. Wiktor też widział. Archonci i ten ich statek na pewno byli a u t e n t y c z n i , tyle że już nie bardzo wiem, co znaczy to słowo.

— Tak jak Del Sasso i wąż w nocy — przypomniał jej Ken. — Też byli autentyczni, prawda?

— Nawet jeszcze okropniejsi, i jeszcze mniej wiem, co o tym myśleć.

— To tego samego rodzaju zjawiska, Carla. I chyba już widzisz, że twoja zgoda na udział w pierwszym i wywołane przez to wątpliwości spowodowały to drugie. Jeśli nie uwierzysz w ich kłamstwo, będą musieli cię zniszczyć, żebyś nie uwierzyła w Tego, który cię może uwolnić spod ich mocy.

Skrzywiła się na tę aluzję do Chrystusa i znów pogrążyła w milczeniu. W końcu przypomniała mu:

— Mówiłam ci już w nocy: nie uważam, że chcą mnie zniszczyć. Mogli to zrobić, gdyby chcieli, ale przerwali ten swój popis, kiedy poprosiłam, żeby poszli. No tak, potem jeszcze wrócili, ale...

— Carla, posłuchaj! — powiedział z żarliwością. — Bardzo wielu ludzi się za ciebie modli. Jeśli Archonci nie zniszczyli cię zeszłej nocy w hotelu, to zasługę przypisałbym raczej Bożemu miłosierdziu niż ich dobremu sercu.

Pochylił się nad stołem w jej stronę.

— Ale nie chcę, żebyś mnie źle rozumiała: choćby cały świat się za ciebie modlił, nic ci to nie pomoże, jeśli w końcu odrzucisz Chrystusa. I tylko Bóg wie, kiedy to się stanie.

— Dziękuję za modlitwy — powiedziała cicho.

— Nawet jeśli wyłączysz z tego Boga i Szatana — kontynuował Ken — to chyba dotarło już do ciebie, że bez względu na to, czy Archonci to demony, czy istoty z zaawansowanego stadium ewolucji, to ty - jako dziennikarka - dysponujesz taką wiedzą i siłą, która może być dla nich zagrożeniem.

— To mnie właśnie martwi.

— Jeśli traktują cię już nie jako element po stronie aktywów, ale jako obciążenie konta... — nie skończył zdania.

Po długiej chwili milczenia zapytała:

— Uważasz, że mogą czytać mi w myślach?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem, co demony mogą, a czego nie mogą. Ich moc jest ograniczona przez Boga i przez nasz związek z Nim. Jeśli grasz według ich reguł, poniesiesz konsekwencje. Ja sam i, Imi gardzę i wcale się ich nie obawiam.

— Podziwiam cię za to i szanuję, Ken.

— Miło to słyszeć, ale jak mam do ciebie przemówić? Jak Bóg może cię doprowadzić do punktu, w którym w końcu pogodzisz się z prawdą? Jezus Chrystus jest jedynym sposobem ucieczki przed zgubą, w którą wciągają cię Frank i Del Sasso. Jeśli nie otworzysz się na Niego...

— Chcesz mnie skłonić do zawierzenia Jezusowi w celu samoocelenia? — jej głos brzmiał oskarżycielsko.

— To nie może być jedyny motyw, ale jest jak najbardziej zasadny. Jednak istotnie, koniec końców musisz uwierzyć, że On oferuje najlepszy sposób. Jeśli Archonci rzeczywiście są bardziej pełni miłości niż Chrystus i mają ci więcej do zaoferowania, to głupio postąpisz, jeśli za nimi nie pójdziesz, i wcale nie próbowałbym cię do tego namawiać. Ale jeśli Chrystus ma w tych dziedzinach przewagę, to ... chyba nie muszę ci mówić.

Carla znów zamilkła. Kiedy w końcu przemówiła, drżały jej wargi.

— Wiesz, do czego doprowadziła nas kiedyś podobna dyskusja. Lepiej uniknijmy tego powtórnie.

Spojrzeni sobie w oczy, oboje przepełnieni smutkiem. Lekko dotknęła jego dłoni i zaraz cofnęła rękę. Odwróciła się do pani Inman. Zauważyła, że starsza pani akurat otwiera oczy. Podejrzanie, że właśnie się modliła, okazało się dla Carli dziwnie pocieszające.

— Śniadanie wyśmienite — zaczęła nieśmiało. — Bardzo dziękuję. Mogę pomóc zmywać?

— Dajże spokój. Cały dzień się tutaj wałęsam i wymyślam sobie robotę. Masz o wiele pilniejsze sprawy.

Carla odsunęła krzesło od stołu.

— To prawda, powinnam już tam jechać. Frank się będzie zastanawiał, co się ze mną dzieje.

— Powinien się jeszcze nad czymś zastanowić — zauważył uszczypliwie Ken.

Rozległ się dzwonek do drzwi, Ken zerwał się z miejsca.

— Otworzę. Carla, jeśli możesz jeszcze chwilę zostać... Ktoś bardzo chce się z tobą zobaczyć.

Za chwilę Ken wrócił do kuchni, razem z płowowłosym człowiekiem o miłej powierzchowności i ruchach charakterystycznych dla wojskowego.

— Carla, to mój dobry przyjaciel, Don Jordan. Ma ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Ken przysunął krzesło dla Dona i obaj usiedli.

— Chyba nie będę wam potrzebna — powiedziała pani Inman, wstając i zabierając ze stołu pozostałe naczynia. — Mam trochę roboty. Jeszcze zanim sobie pójdę: przynieść ci coś, Don?

— Może kawy, jeśli jest pod ręką.

— Może być rozpuszczalna?

— Świetnie, tylko czarna.

Carla wodziła pytającym wzrokiem od Kena do Dona.

— Znam skądś to nazwisko.

— Jestem z FBI — zaczął Don. — Kilka dni temu rozmawialiśmy przez telefon, jeśli pani pamięta.

— Rzeczywiście, pamiętam! To pańscy ludzie obserwowali mój pokój i wszędzie za mną chodzili, jako za wabiem na Sowietów.

Don nie miał najszcześliwszej miny.

— Robiliśmy, co w naszej mocy.

— Ach, nie, nie o to mi chodziło — sprostowała szybko. — To nie miała być skarga. Bardzo jestem wdzięczna za ochronę!

Uśmiechnął się:

— Dziękuję. Ken mówi, że musi pani zaraz jechać do tego ośrodka, więc będę się streszczał. To, co teraz pani powiem, musi być zachowane w ścisłej tajemnicy, również przed Leightonem, Chorewem, Morris, Del Sassem - wszystkimi. Zgadza się pani na to?

Zawahała się i spojrzała na Kena. Odwrócił głowę. To miała być jej decyzja.

— Jeśli uważa pan, że to coś, o czym naprawdę powinnam wiedzieć, i jeśli takie są pańskie warunki, to zgoda.

Nachylił się do niej.

— Wśród was w tej bazie działa agent sowiecki — powiedział prosto z mostu. Carla wstrzymała oddech. Ken miał ponurą minę. — Mówię to ze

względu na moją przyjaźń z Kenem i jego troskę o panią którą zresztą podzielałam. Ale chciałbym również uznać panią za nasze oczy i uszy, które dadzą nam znać o wszystkim, co się dzieje w bazie, a co mogłoby mieć choćby słaby związek z tą sprawą. Nie sądzę, że grozi to jakimś niebezpieczeństwem. Chyba raczej przyczyni się do pani bezpieczeństwa.

Próbowała przetrwać te informacje i podsumować wnioski.

— Nie wiem, kto by to mógł być — powiedziała w zamyśleniu. — Na pewno nie Wiktor ani Leighton. Może ktoś z ochrony?

Don łyknął z filiżanki, którą umieściła przed nim pani Inman.

— Nasze stanowisko jest takie — powiedział — że każdy, kto był tam tamtego wieczora, jest podejrzany.

— Więc chyba powinnam zapytać, dlaczego ja nie jestem na tej liście — uśmiechnęła się kwaśno. — Chyba zawdzięczam to Kenowi. Ale wie pan, to ciekawe. Mikę Bradford, szef ochrony, też jest pewien, że to ktoś z wewnątrz. Ale Leighton nie chce o tym słyszeć. Nawet nam powiedziano, że FBI uważa, że to nie jest robota od środka — spojrzała na niego pytająco.

— To trochę jak poker — odparł. — Musieliśmy ich zmylić co do naszych opinii. Mamy ku temu powody. A co do tego, że to ktoś od wewnątrz był kluczem całej operacji, nie ma najmniejszych wątpliwości. Jedną z najciekawszych rzeczy, o której Mikę zresztą nie wie, jest to, że zabójca strażników oddał rewolwer pułkownikowi Czernowowi, dowódcy tej grupy. Czernow miał go ze sobą w chwili śmierci w biurze Leightona. Był to rewolwer amerykański, nie sowiecki. Próbujemy to zbadać.

Carla osłupiała.

— Rozumiem. Rzeczywiście nie ma wątpliwości! Ale dlaczego nie powiedzieć Frankowi? On na pewno nie jest podejrzany!

— Są dwa powody. Po pierwsze, chcemy dać rosyjskiemu agentowi fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Po drugie, chcemy, żeby wszystko dalej biegło normalnym torem. Bardzo trudno byłoby Leightonowi zapanować nad sytuacją, gdyby wiedział to, co teraz pani powiedziałam.

Ogarnęło ją uczucie bezradnego niedowierzania.

— Sądziłam, że trafiłam na temat stulecia, ale nie miałam pojęcia, że tak to będzie wyglądać! Robi się kompletne szaleństwo.

— Jeśli tam dalej zostaniesz, czego bym nie chciał — dodał Ken — to zobaczysz jeszcze większe szaleństwa, kiedy Archonci osiągną swój cel.

— Teraz się nie wycofam — oświadczyła stanowczo. — i chyba pan Jordan by tego nie chciał. Do niedawna moim głównym motywem był Nagroda Pulitzera. Teraz stawka wzrosła. Jest w tym pewna ironia, Ken. Im bardziej uzasadnione wydałyby mi się twoje argumenty co do tego, kim są Archonci i co zamierzają, tym więcej miałabym powodów, żeby się nie wycofywać.

Spojrzął na nią przerażony.

- Nic nie rozumiem.
- Weszłam w to wszystko, bo udało mi się kiedyś znaleźć na właściwym miejscu we właściwym czasie: uratowałam życie Wiktora Chorewa. I na pewno go teraz nie zostawię, bez względu na wszystkie demony!
- Nie wiem za bardzo, o czym w tej chwili mówicie — odezwał się Don Jordan, wstając. — Rozumie pani w każdym razie, że ktoś z personelu bazy, ktoś, z kim pani być może styka się dzień w dzień, jest okrutnym mordercą, który z zimną krwią zastrzelił dwóch strażników, wpuścił do bazy grupę Sowietów i prawdopodobnie wciąż żywi takie same zamiary. Czy jest ktoś, kto przychodzi pani na myśl jako potencjalny podejrzany?
- Raczej nie — powiedziała i zawahała się. — Ale może powinnam coś powiedzieć: Wiktor mówił mi, że podejrzewa, że Kay Morris jest Rosjanką. Oczywiście to by niczego nie dowodziło...
- Już ją sprawdziliśmy, tak jak innych. Z całą pewnością nie jest Rosjanką! — oznajmił Don. Wyjął notatnik z wewnętrznej kieszeni i coś zapisał. — Ale sprawdzimy jeszcze raz.
- No, to chyba jestem gotowa na wasze polecenia — powiedziała Carla.
- Doskonale — odparł. — Liczymy na to, że będzie nas pani zawiadamiać o wszystkim, co się pani wyda związane z tą sprawą. Nie ma rzeczy nieistotnych. Wszystko, co się pani wyda podejrzane, niezwykle - proszę mi natychmiast dawać o tym znać.
- Wręczył jej jakąś kartkę.
- Tylko proszę nie dzwonić z tamtych telefonów. Na pewno pani wie, że wszystkie mają podsłuch.
- Tak myślałam — powiedziała. — Tej kartki zresztą też nie będę ze sobą nosić. Zapamiętam numer.
- Cała trójka poszła razem do wyjścia. Don sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął rewolwer - .38 z krótką, zadartą lufą - i wręczył go Carli.
- Umie się pani z tym obchodzić?
- Wzięła, otworzyła, przekreśliła cylinder. Był pusty.
- Strzelałam trochę. Owszem, umiem. Czasem nawet trafiam do celu, tak, tak...
- Ken mówił, że pani umie, ale chciałem się upewnić.
- Otworzył aktówkę i wyjął paczkę z amunicją.
- Proszę bardzo. Teraz załaduję i proszę nigdzie się bez tego nie ruszać. Papiery już załatwione i ma pani pozwolenie na noszenie ukrytej broni. Proszę się nie wahać użyć, jeśli będzie to konieczne.
- Carla wodziła ponurym wzrokiem od rewolweru i amunicji w dłoniach do Dona i Kena.
- No, chyba się nieźle wpakowałam, nie da się ukryć!

Coraz większe wątpliwości

W drodze do bazy Carla zatrzymała się w hotelu. Weszła bocznymi drzwiami i od razu poszła do restauracji. Okrążyła bufet śniadaniowy, wzięła trochę owoców, sok i grzanekę. W pośpiechu jedząc jak najwięcej, kazała wypisać rachunek na swój pokój. Był to najprostszy pozór, jeśli chciała udawać, że spędziła tam całą noc. Potem podeszła do recepcji.

— Chciałabym odebrać wiadomości. Carla Bertelli, pokój 815.

— Ach, pani Bertelli! — wykrzyknął dyżurny młodzieniec. — Wszyscy pani szukają. Nie mogliśmy się do pani dodzwonić.

— Często wychodziłam, ani chwili czasu. Proszę mi je dać.

Już zbierała się do odejścia, kiedy o czymś sobie przypomniała:

— Aha, w nocy ze ściany spadł obraz i rozbił się. Nie mam pojęcia, jak to się stało.

— Bardzo nam przykro z powodu takiej przygody, pani Bertelli. Proszę się nie martwić, zajmiemy się tym.

Było grubo ponad dwadzieścia telefonów. Przeglądała je pośpiesznie, szybkim krokiem wychodząc z hallu. Każda z głównych sieci telewizyjnych dzwoniła co najmniej raz, niektóre — dwa razy. W każdym przypadku opatrzone komentarzem „pilne”. Także George próbował się z nią skontaktować, z komentarzem „bezzwłocznie!” Reporterzy z *San Francisco Chronicle* i *Los Angeles Times* również próbowali ją złapać, podobnie jak miejscowe stacje telewizyjne i radiowe. A więc artykuł, który ukazał się rano w *Washington Post*, wywołał niezłą burzę! Będzie się musiała porozumieć z Leightonem w sprawie odpowiedzi na prośby o wywiady.

Kiedy jechała do bazy, ekstaza spowodowana powszechną reakcją na artykuł powoli ustępowała miejsca ponownie nachodzącej ją trosce: jak się zachować wobec Del Sassa po wydarzeniach ostatniej nocy? Czy on wie, co się stało? Zakładanie, że nie miał żadnego związku z atakiem postaci wyglądającej identycznie jak on, wydało jej się kompletnie niepoważne. Jeśli to rzeczywiście był Archont, dobry czy zły, któż to wie, dlaczego upodobnił się akurat do Del Sassa, próbując ją zastraszyć, a może nawet zabić? Musi być jakiś powód, jakiś związek. No, naturalnie, to on jest łącznikiem między Archontami a światem, więc do kogoż by innego?...

A może dusił ją „parapsychologiczny dubler” Del Sassa? Swego czasu pisało się o tym, że Sai Baba z Ananthapur w Południowych Indiach potrafił zjawiać się w dwóch miejscach naraz. Nigdy nie akceptowała takich wieści, uznając je za religijne przesady. Ale teraz nie wiedziała, co myśleć. Sai Baba miał rzekomo wiedzieć, kiedy i gdzie pojawia się jego „dubler” oraz co robi i dlaczego. Czy Antonio mógł wiedzieć, co się jej przytrafiło, i czy jest świadomy swego „udziału” w tym potwornym zdarzeniu? Czyżby miał to być koniec ich przyjaźni, a zarazem jej udziału w Planie? Do tego nie może dopuścić!

Zdażyła w sam raz na odbywające się jak zwykle o 11.00 spotkanie wewnętrzznego kręgu. Antonio zmierzał akurat korytarzem z przeciwnej strony w kierunku biura Leightona. Spotkali się przy drzwiach. „Rozegraj to na zimno, Carla! Jakby nic się nie stało.” Robiła, co mogła, ale Człowiek-medium zdawał się wyczuwać coś anormalnego... A może wiedział o wszystkim i tylko udawał, że dopiero teraz coś zauważa?

— Co się stało, kochana? Zobaczyłaś ducha? — zaciekawili się i na moment objął ją przyjaźnie ramieniem.

— Jesteś wyjątkowo spostrzegawczy! — odparła nonszalancko, jak gdyby dołączyła się do niewinnej gry w udawanie. — Ścisłej mówiąc, w hallu zauważyłam, jak jeden na mnie bezczelnie łypie, dowaliłam mu ciosem karate i zniknął.

Weszli razem do gabinetu, Carla zajęła miejsce na kanapie obok Wiktora, który skinął głową w jej stronę i uśmiechnął się. Antonio natomiast kontynuował wcześniej rozpoczęty monolog.

— Tego rodzaju zjawy mogą mieć miejsce — nie przestawał uroczystym tonem deptać jej po piętach. — Negatywne myśli przyciągają energię medialną, pozostała po jakimś dramatycznym wydarzeniu, tak że mogą jej nawet nadawać pozory fizyczności.

Opuścił potężną sylwetkę na podłogę i zasiadł w pozycji jogi.

Dlaczego mówi na temat mediumistycznych zjaw?! No, jeśli się spodziewa, że zobaczy u niej jakąś emocjonalną reakcję, to traci czas. Nikt się nie dowie o jej potwornych przeżyciach, nawet Wiktor. Czy Archonci powiedzieli Del Sassowi, że Carla ma wątpliwości? Jeśli wpadli aż w taką furję, że zaczęli ją atakować, to może zdemaskują ją przy następnej transmisji? Ale przecież nie wykryli zdrajcy wśród personelu. Dlaczego? Widocznie nie są wszechwiedzący, więc może jednak nie potrafią czytać w jej myślach. Wszystko było bardzo zawiłe.

Udając, że nie interesuje jej już temat, na który gawędziła z Del Sassem, Carla zaczęła rozmawiać z Wiktorem. Ale akurat w tym momencie do pokoju wpadł Leighton — z całym entuzjazmem oraz Kay Morris u boku. Podbiegł do biurka i chwycił pilota. Prędko usadowił się na kanapie obok Wiktora i

Carli i dał znak reszcie, żeby zajęli miejsca przed wielkim ekranem telewizyjnym:

— Niech każdy siądzie tak, żeby dobrze widział — wyrzucił ostatkiem tchu. — Wszystkie sieci nadają dziś o 11.00 specjalne wydanie wiadomości. W sam raz zdążymy.

Kiedy ekran się rozjaśnił, wiadomości już trwały:

— ...według krótkiego artykułu w ostatnim wydaniu magazynu *Time*. Nic nie wzbudziło tak intensywnego obustronnego zainteresowania na Kapitolu od czasu afery Iran-Contras. Obawiając się kolejnej nieautoryzowanej potajemnej operacji CIA, członkowie obu izb domagają się śledztwa, o ile Biały Dom nie wyjawi kulisów sprawy. Jak dotąd prezydent utrzymuje, że informacje są ściśle tajne i że nie ma mowy o żadnych działaniach poza prawem. Jeżeli chodzi o przypuszczenia *Time'a*, że dokonano jakiegoś przełomu w tajnych badaniach parapsychologicznych CIA, to Dyrektor Centralnej Agencji, który dziś rano wystąpił z prezydentem na wspólnej konferencji prasowej, przyznał, że istotnie osiągnięto pewne przełomowe punkty, ale odmówił dalszych informacji na ten temat.

Komentarz ciągnął się dalej:

— Kongres z zaskoczeniem zauważa, że ma związane ręce. Nie istnieje żadna komisja czuwająca oficjalnie nad badaniami parapsychologicznymi, gdyż większość członków obu izb do tej pory odmawiała traktowania tego typu zjawisk poważnie. Nie ma żadnych wytycznych czy punktów odniesienia, ponieważ entuzjastyczne opinie zwolenników tych badań co do możliwości ich wykorzystania były konsekwentnie odrzucane przez krytyków, jako w najlepszym razie fantazje, a w najgorszym oszustwo. Jeśli jednak CIA naprawdę nie tylko osiągnęła jakieś zdolności w zakresie prowadzenia „wojny parapsychologicznej”, ale i -jak twierdzi artykuł w *Time'ie* - używa tego rodzaju broni przeciwko Rosjanom, którzy wysłali specjalną grupę w celu zniszczenia tajnego ośrodka badań parapsychologicznych CIA, to oznacza, że ktoś z najwyższych sfer rządowych angażuje się w działalność, której Kongres nie autoryzował. Jedyne komentarz z Kremla to jak dotąd „no comment”.

Carla nie odrywała oczu od ekranu.

— Iw takiej oto gorącej atmosferze pojawia się nagle w dzisiejszym wydaniu *Washington Post* artykuł Carli Bertelli, uznawanej powszechnie za najbardziej wiarygodnego dziennikarza piszącego o badaniach nad mediumizmem. Spekuluje się, że to ona może być owym „wiarygodnym źródłem” cytowanym przez *Time*. Pani Bertelli posuwa się jeszcze dalej niż *Time*, w którym czytamy, że CIA nawiązało kontakt z „wyższymi inteligencjami”. Bertelli twierdzi bowiem, że właśnie „istoty pozaziemskie” umożliwiły ów przełom w parapsychologii i że ich ostatecznym celem jest udzielenie swojej mocy ca-

łemu światu. Naszej sieci nie udało się jak dotąd skontaktować z panią B telli i przeprowadzić wywiadu na żywo. Będziemy dla państwa nadawać k lejne wydania wiadomości, gdy tylko pojawią się nowe szczegóły.

Leighton wyłączył telewizor i skoczył na równe nogi.

— No! I jak się wam podoba?! — krzyknął. — Wszystko idzie dokładnie tak, jak zapowiedzieli Archonci!

Podszedł do biurka i usiadł na jego brzegu, naprzeciw wszystkich obecnych.

— To na pewno potężny bodziec, ale przed nami jeszcze długa droga, i nie będzie łatwo. Wiele czołowych postaci w rządzie jest już po naszej stronie, a więc spokojnie można startować ze Światowym Kongresem. Ale faza druga obejmuje resztę populacji świata. Trzeba ich całkowicie zwerbować na naszą stronę. Archonci zaczęli już pracować nad czołowymi postaciami w rozrywce, biznesie, szkolnictwie, a także wśród mniejszości etnicznych i innych. Dużą rolę odegrają seminaria z zakresu sukcesu i motywacji oraz taśmy subliminalne, a także te z ćwiczeniami z zakresu autohipnozy. Głównym czynnikiem — zwrócił się do Carli — w położeniu fundamentów pod to wszystko, jak to zresztą przed chwilą widzieliśmy, będą przecieki do prasy i artykuły. Jak ci to idzie?

Carla z niepokojem uświadomiła sobie, że Antonio podczas całego programu telewizyjnego nie spuszczał jej z oka. Była więc wdzięczna, że Leighton przypomniał mu, no i reszcie, o kluczowej roli, jaką Carla ma do odegrania.

— Telefon w hotelu nie przestawał dzwonić — oznajmiła. — Nie wiedziałam, co mówić, więc nie podnosiłam słuchawki i udawałam, że mnie nie ma.

Wyjęła z torebki cały plik przekazów telefonicznych i pomachała nimi w stronę Leightona.

— Te tutaj są tylko z dzisiejszego ranka, po artykule w Post. Goni mnie każda sieć telewizyjna i co tam jeszcze. Co im mówić?

— Od tej pory trzeba postępować bardzo rozważnie — ostrzegł Leighton. — Dziś bez przerwy jestem na linii z szefem CIA. Jest rozanielony. Wkrótce Antonio i ja lecimy do Waszyngtonu. Dyrektor przygotowuje dla nas kilka bardzo istotnych spotkań z czołowymi senatorami i kongresmenami.

— A te telefony? — przerwała Carla. — Mam udzielać wywiadów? A jeśli tak, to co mówić?

— Właśnie do tego zmierzam. O tym rozmawiałem przez całe rano I Dyrektorem Agencji. Nie możesz podawać żadnych dalszych szczegółów. Można je ujawniać wyłącznie w twoich artykułach i przeciekach do tego znajomego w *Time*'ie, tak jak nam będą podpowiadać Archonci. Tymczasem musisz po prostu mówić, że nie jesteś upoważniona do udzielania dalszych informacji. I nieustannie podkreślaj te trzy podstawowe punkty. Możesz je różnie ubierać w słowa dla urozmaicenia, ale żeby to były te trzy: Po pierw-

sze wyjaśniaj, że wkrótce na ziemi wydarzy się coś absolutnie nowego, co przyniesie całej ludzkości wielkie korzyści. Po drugie, podkreślaj, że żadna partia polityczna ani żaden pojedynczy naród nie będzie mógł ani wziąć na siebie odpowiedzialności za ten proces, ani nim sterować dla własnej korzyści. I po trzecie: wszystko będzie pod kontrolą wyżej rozwiniętych istot, które od tysiącleci kontrolowały ewolucję naszego gatunku, a teraz chcą wkroczyć, aby ocalić życie na ziemi i zapoczątkować Nową Erę pokoju i pomysłowości.

— Ale czy na tym etapie jestem upoważniona do udzielania wywiadów reporterom telewizji czy radia? — chciała się upewnić.

— W żadnym razie. To by było przedwczesne. Musisz im odmawiać. Informuj ich, że szef i medium z tego tajnego ośrodka będą występować publicznie w Waszyngtonie, no i możesz ewentualnie, między wierszami, zdradzić co nieco przyszłych zamiarów. Ale nic poza tym.

— Pracuję nad następnym artykułem dla *Posta*. Ma wyjść w przyszłym tygodniu.

— No, naturalnie. Pracuj, pracuj.

— I Frank, ja naprawdę potrzebuję osobnej sekretarki. Na razie mamy jedną wspólną z Wiktorem.

— Zaraz się tym zajmę. Będziesz miała jutro rano.

— Jeszcze nie rozmawiałem z Carla i nie przedstawiałem jej pewnych moich przemyśleń — wtrącił Del Sasso.

W odpowiedzi na pytające spojrzenie Carli, Frank dał znak Antoniowi i powiedział:

— A może wszystkim nam je teraz pokrótce przestawisz?

Del Sasso wstał i ustawił się tak, żeby widzieć każdą twarz.

— Jak wiemy — przypomniawszy — Plan może upaść albo wskutek sceptycyzmu, albo strachu. Może się zdarzyć, że nikt w to nie będzie chciał uwierzyć, lub też uwierzą, ale nie zechcą zaufać Archontom. Wielu ludzi utożsamia istoty pozaziemskie ze statkami kosmicznymi, które najeżdżają Ziemię, żeby nas zniewolić. Psycholodzy, psychiatry, socjologowie, wielu ludzi uczonych i wykształconych bardzo sceptycznie odnosi się do możliwości nawiązania kontaktu z istotami pozaziemskimi. Musimy więc dać im coś, czemu będą mogli uwierzyć. Skłonimy ich do myślenia, że prezentujemy Archontów jako wysoko rozwinięte istoty spoza Ziemi tylko w celu pobudzenia wyobraźni prostych ludzi, lecz że w rzeczywistości Archonci są Jungiańskimi archetypami, które przychodzą do nas z nieświadomości zbiorowej. W ten sposób zadowolimy każdego.

— Chcesz powiedzieć — przerwała Carla — że prawda się nie liczy?

— P r a w d a ? — odparł Del Sasso z ledwie uchwytną pogardą w głosie. — A co to znaczy?

— Nie jest to łatwo zdefiniować, ale chyba wszyscy wiemy, co to znaczy.
— Na poziomie elementarnej matematyki i nauk fizycznych być może — przyznał. — Ale sekret ludzkiego szczęścia i pełni spoczywa poza dziedziną nauki, w sferze świadomości, a tam liczy się w i a r a. My chcemy, żeby uwierzyli w Archontów i zaufali im. A opinie poszczególnych jednostek na temat prawdziwej tożsamości Archontów mają znaczenie doprawdy drugorzędne.

Carla była wyraźnie zbита z tropu.

— Zajrzę później do twojego biura — oznajmił mnich — i jeszcze raz to omówimy. Przede wszystkim pamiętaj, że wszystko, co mówisz czy piszesz, ma mieć pozytywny wydźwięk. Wszystkie problemy dzisiejszego świata wynikają z faktu, że rasa bogów zamieszkujących tę planetę złapała się w stworzoną przez siebie pułapkę. Uwikłali się w beznadziejną spiralę negatywnych myśli, która obniżyła w nich poczucie własnej wartości. Ludzkość musi się nauczyć kreować nową rzeczywistość poprzez moc pozytywnego myślenia.

*

Pracując w swoim biurze Carla zauważyła, że nie wystarczy jej samo pozytywne nastawienie. Kiedy odpowiadała na niezliczone telefony, przedstawiciele środków masowego przekazu natarli na nią z problemem, nad którym nigdy przedtem nawet się nie zastanawiała i na który nie potrafiła im udzielić trafnej odpowiedzi. Typowym przykładem może być rozmowa z George'em Conklinem.

— Dostaję porządnie po głowie od tych z góry — powiedział, kiedy zdołała się w końcu do niego dodzwonić. — Uważają, że to wszystko wygląda tak, jakby jakaś elitarna grupa, odpowiedzialna jedynie sama przed sobą, tworzyła rząd w ramach rządu i ustalała własne prawa.

— George, to nie jest żadna elitarna operacja — odparła szybko, chcąc co prędzej wykluczyć taką możliwość. — To w niczym nie przypomina tego, w czym do tej pory tak często CIA oglądano, to nie żadna grupa nawiedzonych, którzy przed nikim nie muszą się tłumaczyć. Plan utworzenia Nowego Porządku Światowego został stworzony przez istoty w wysokim stadium ewolucji i jest przez nie wdrażany. A one nie są stronnicze. Chcą, żeby zyskała na tym cała planeta i cała ludzkość.

— Carla, nie wiem, czy długo bym pożył, gdybym wydrukował to coś o tych istotach i tej ewolucji. Nikt tutaj w to nie wierzy, szkoda, że nie możesz zobaczyć naszej poczty. Sceptycy nie zostawiają na nas suchej nitki.

— Na pewno nie wszystkie listy są negatywne.

— Tego nie powiedziałem.

— Więc jak się to przedstawia procentowo?

- Po drugiej stronie zapadło pełne skrępowania milczenie, a potem...
- Nie mam takich danych.
 - Daj spokój, George. Na pewno masz jakieś pojęcie.
 - No dobrze. Więc w zasadzie większość jest przychylna. Ale te sceptyczne opinie są od bardziej wykształconych i inteligentniejszych czytelników.
 - Coś takiego. Widać znasz wszystkie wyniki testów na inteligencję. Czy może raczej określasz poziom „inteligencji” na podstawie tego, czy zgadzają się z twoim sceptycyzmem, czy nie? Wstydźcie się, wielce inteligentna elito *Time'a*! Czy naprawdę uważacie, że ludzie są jedynymi inteligentnymi istotami w całym wszechświecie? A może człowiek to najwyższej rozwinięta istota?
 - Oczywiście nie, ale do tej pory nie było żadnego kontaktu, a jak dotąd niema...
 - Właśnie to ci próbuję powiedzieć, George! Kontakt jest!
 - Udowodnij! Niech zobaczą te zielone ludziki w Owalnej Sali. Bo przecież tam w końcu wylądają, nieprawdaż? Jak zwykle: „Prowadzić do dowódcy!”
 - Zobaczą ich w swoim czasie, tak jak i cały świat. George, oni nie są zieloni.
 - Chcesz mi powiedzieć, że ich widziałas?
 - Tak, widziałam. Ale tego jeszcze nie drukuj.
 - Co oni tam sypią wam do wody w tym Pało Alto?
 - Nie jesteś zbyt grzeczny. Nie mam halucynacji i nie kłamię.
 - Pokaż ich publicznie, wszystkich nas wtedy przekonasz.
 - George, nie da się „pokazać publicznie” istot, które stoją daleko wyżej od nas na drabinie ewolucji, tak daleko, jak my nad robakami. To oni dyktują warunki. Pokażą się w odpowiedniej chwili.
 - Zwykła zasłona dymna. Przepraszam cię, Carla, ale to urocze wyrażenko „w odpowiedniej chwili” nie ułatwia sprawy. Rzuciłaś parę kasków na zaostrenie apetytu i jeśli nie podasz zaraz głównego dania, stracisz całą wiarygodność i reputację, na którą pracowałaś lata. Nie chciałbym tego oglądać.
 - George, posłuchaj. Sam mi powiedziałeś, że gdyby rzeczywiście został nawiązany kontakt, to zbyt pośpieszne oznajmienie tego światu mogłoby wywołać międzynarodową panikę, strach, że to atak Marsjan, a może nawet jakaś straszliwa inwazja „Obcych”. Nie pamiętasz?
 - To było prawie tydzień temu, a od tego czasu nie widzieliśmy niczego, czego by się można wystraszyć albo czym by się można podniecić. No więc co się dzieje?
 - Mogę ci powiedzieć jedno: Medium, które dysponuje niesamowitymi mocami i ma stały kontakt z tymi istotami, będzie w Waszyngtonie razem z szefem tego tajnego ośrodka badawczego. Spotkają się z czołowymi figurami

w Kongresie, żeby przekonali się na własne oczy, co ten człowiek potrafi. W Waszyngtonie nie znajdziesz już potem ani jednego sceptyka. Jeśli chcesz to zobaczyć, skontaktuj się z Dyrektorem CIA i poproś o przepustkę prasową.

Przez chwilę panowało milczenie. Kiedy George w końcu odpowiedział, jego słowa uświadomiły Carli jeszcze jedną możliwość, której dotąd nie brała pod uwagę.

— Dobra, pomyślę o tym. Ale wiesz co, już ci mówiłem: śmierdzi mi to jakąś elitarną grupą w CIA, która chce przestawić grę na własne zasady.

— A ja ci też już mówiłam, George, że to Archonci sprawują kontrolę, a nie CIA! — przerwała.

— Tak, tak, słyszałem — powiedział. — I to mnie właśnie niepokoi. To idealna pozycja do przejścia władzy nad światem. Jeśli taka grupa zdołałaby jakoś wszystkich przekonać, że wykonują wyłącznie instrukcje pozaziemskich istot o nieograniczonej mocy, które chcą zaprowadzić Nowy Porządek Światowy... Rozumiesz, o co mi chodzi?

*

Ken spędził większość wieczoru na modlitwie i studium Pawiowego Listu do Efezjan, zwłaszcza szóstego rozdziału, w którym jest mowa o walce duchowej. Jeszcze nie spał, kiedy bardzo późno wróciła Carla. Zapukała cicho, a on pobiegł, żeby otworzyć.

— Przepraszam. Zupełnie zapomniałem dać ci rano klucze — powiedział przepraszająco, kiedy ją wpuszczał. — Masz osobne wejście z boku, jeśli ci tak wygodniej. I musisz mieć własnego pilota, jeśli chcesz trzymać samochód w garażu. Przypomnij mi przy śniadaniu, wszystko ci dam.

— Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby mieć swoje klucze. Myślałam tylko o tym, że moja torba jest straszliwie ciężka i co będzie, jeśli nie pozwolą mi nosić rewolweru na terenie bazy. Nie mogłam im przecież powiedzieć, że to ma być ochrona przed czymś, co może mi się przydarzyć nie w straszonym dzikim świecie na zewnątrz, ale właśnie w bezpiecznej bazie.

— Zabrali ci?

— Nie. Znaleźli oczywiście, ale pokazałam pozwolenie, jakie Don załatwił, i powiedziałam, że dalej mi grozi niebezpieczeństwo od pozostałych członków tej grupy sowieckiej, bo nie wiadomo gdzie są ani kim są. Zapytali Franka, on się zgodził...

— Co ci przynieść? Gorąca czekolada, herbata, sok, owoce... Coś innego?

— Jestem jak nieżywa, ale taka podniecona, że może trochę gorącej herbaty bez kofeiny by mnie rozluźniło? Masz?

— Jest, jest.

Poszli do kuchni, Ken postawił czajnik na palniku.

— Frank to poganiacz niewolników! — rzucił sucho. — To normalna długość dnia pracy?

— Normalna? — roześmiała się. — Już nie wiem, co znaczy to słowo, i to nie tylko w odniesieniu do dnia roboczego, ale w ogóle.

— Coś cię gryzie — zauważył. — Mogę w czymś pomóc?

Zawahała się. W końcu jednak zapytała:

— Jest taka teoria, że nasz umysł kreuje rzeczywistość. Co o tym sądzisz?

— Absurd — oznajmił bez wahania.

— Jak możesz tak mówić, skoro wielu czołowych naukowców w to wierzy?

Nalał herbaty i usiadł z nią przy stole.

— W rzeczywistości bardzo niewielu naukowców z prawdziwą reputacją traktuje to poważnie, być może nawet żaden. Spopularyzowało tę teorię paru pisarzy w rodzaju Fritjof-Capry czy Żukowa, ale to bardzo niewielki margines w świecie fizyków. W ciągu 30 sekund potrafię ci udowodnić, jakie to niedorzeczne.

— Proszę bardzo.

— Czy to ty „wykreowałeś” kubek, który wyjąłem z kredensu, żeby ci nalać herbaty?

— No...

— Nawet nie wiedziałas, jakiego będzie koloru, jakiego kształtu, nawet o tym nie myślałaś. Więc oczywiście jest, że ani ty, ani ja go nie „stworzyliśmy”, prawda?

— To całkiem jasne, muszę przyznać, ale pozostaje możliwość, że kubek został stworzony przez umysł kogo innego, a my to po prostu zaakceptowaliśmy.

— I umysł tej innej osoby utrzymywał istnienie tego kubka oraz jego odpowiednią pozycję w przestrzeni, nawet nie wiedząc, gdzie ten kubek się znajduje? — spojrzała na nią z wyrzutem. — Daj spokój, Carla! A co powiesz o milionach mikroskopijnych stworzonek w wodzie, którą właśnie zagotowałam, albo o molekułach i atomach w wodzie? Czyj umysł stworzył tę rzeczywistość?

— Nigdy o tym nie pomyślałam.

— Kształt i kolor tego kubka to bardzo powierzchowne wrażenia, interpretowane w dodatku przez nasze oczy; nie ma to zbyt dużo wspólnego z kubkiem jako takim. Na przykład przez mikroskop elektronowy wygląda on całkiem inaczej. Składa się na niego cały wszechświat cząsteczek, atomów i cząstek elementarnych, w tym i tych, których nauka jeszcze nie odkryła. A przecież nasze oczy ich nie widziały, a już na pewno nie potrafiłyby ich wymyślić. Czy sądzisz, że jakaś rzeczywistość, o której jeszcze nawet nie wiemy, jest produktem ludzkiej myśli? Czy naprawdę wyobrażasz sobie, że od-

ległe galaktyki, wnętrza gwiazd, czarne dziury i miriady dziwów we wszechświecie, których ludzkie oko nigdy nie widziało i które powstały na długo przed nami - że to wszystko stworzył ludzki umysł? Bardzo cię przepraszam, Carla, ale nie mam zbyt wysokiego mniemania o ludziach, którzy upierają się, że opis stworzenia w Biblii to mit, a sami łapią się na tak infantylne koncepcje!

Podniosła ręce do góry.

— Poddaję się — powiedziała. — Ludzie kochani, kiedy ty wjedziesz na ten swój temat...! No dobra, to rzeczywiście absurd. Więc dlaczego ta teoria wydaje się rozsądna tak wielu inteligentnym ludziom? Dlaczego?

— Już ci mówiłem, Carla, to pycha. Kolosalne wymiary tego omamu dają się prześcignąć jedynie gigantycznemu „ja”, które go chętnie pożera. Tu nie można mówić o tym, że stwarzamy wszechświat naszym umysłem, tu należy raczej powiedzieć, że bardzo ciężko idzie nam poznawanie sekretów wszechświata stworzonego przez inny Umysł daleko przewyższający nasz.

„Umysł daleko przewyższający nasz...” — pomyślała. — „Podaje mi argument na istnienie Boga, i sama się o to prosiłam!” Popijali herbatę w milczeniu.

— A co powiesz na taką koncepcję: UFO i Archonci, których widziałam w tym magazynie, byli iluzją stworzoną przez projektory kinowe, które tam zainstalowano, żeby oszukać mnie i Wiktora? I że tego samego mechanizmu użyje się, aby oszukać innych?

Zastanawiał się przez chwilę.

— To jest możliwe, ale mało prawdopodobne. Skąd u ciebie taki pomysł?

— Rozmowa z jednym wydawcą którego znam od lat. Bardzo się podejrzliwie ustosunkował do całej sprawy. Myśli, że to może być spisek jakiejś elitarnej grupy w Waszyngtonie, która chce przejąć kontrolę nad światem i wmówić wszystkim, że wypełniają rozkazy istot z wyższego poziomu ewolucji.

— Nie wiem, co się stało w magazynie. Nie byłem tam przecież. Ale mogę cię zapewnić, że w twoim pokoju przedwczoraj w nocy żadnych projektorów nie było, ani tutaj, ani w hotelu. I nie było ich też w tym laboratorium, kiedy Del Sasso robił swój show. Nie mam wątpliwości, że jest w tym wszystkim wydatny udział demonów.

— Oczywiście, zawsze wracamy do tego samego — powiedziała. W jej głosie była nutka goryczy.

Wzruszył ramionami.

— To tak, jakby się powiedziało: żywność ma wydatny związek z jedzeniem, albo...

— Dobrze, dobrze — podniosła dłoń — wystarczy! Wiem, o co ci chodzi.

— Przepraszam... Ale to, co mówił ten twój znajomy o elitarnej grupie w

Waszyngtonie czy w CIA... Kto wie, może i coś w tym jest. Zachowałbym tę koncepcję gdzieś w zapasie, może późniejsze wydarzenia akurat dopasują się do tego scenariusza?

— Tak myślisz? Jestem zaskoczona, że słyszę to z twoich ust.

— Zło działa na dwóch poziomach — wyjaśnił. — Demonicznym i ludzkim. Szatan ma te same problemy z przewrażliwionymi na swym własnym punkcie zwolennikami, co i Bóg ma ze swoimi. Jeśli przywódcy chrześcijańscy nieraz próbują budować swoje małe prywatne księstwa, nie zdziwiłbym się, gdyby zwolennicy Antychrysta przejawiali podobne zapędy.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Wiesz, zdumiewasz mnie, Ken. Dwa lata temu byłeś zdeklarowanym ateistą, a teraz jesteś ideałem chrześcijanina!

— Jeśli takim ci się wydaje, to muszę się pokajać — odpowiedział. — Bardzo mi daleko do idealnego chrześcijanina.

— Nie ulega wątpliwości, że już sobie wszystko poukładałeś. Nie mam na myśli nic złego. Jestem pod wrażeniem. Masz szczególnie sposób wyrażania różnych rzeczy: „Szatan ma te same problemy z przewrażliwionymi na swoim punkcie zwolennikami, co Bóg ma ze swoimi!” — roześmiała się. — Żeby tak to ująć!

— Nie próbuję udawać wszystkowiedzącego — odparł. — Sama możesz wyczytać to w Biblii, wszystko, co ci mówię. Potem spójrz na świat przez pryzmat tej mądrości, a ujrzysz go z całkiem nowej perspektywy. Nie trzeba być aż tak inteligentnym, żeby wziąć pod uwagę możliwość, że Frank i Del Sasso mogą chcieć wykorzystać Archontów dla swoich zamiarów. Nie musi to być wcale fantastyczna koncepcja, jeśli pamięta się o ludzkiej chciwości i pysze.

— Może i masz rację. Co by po trosze uzasadniało obawy George'a.

— Tak czy inaczej — powiedział Ken z żarliwością — powiem ci jedną rzecz na pewno: Koniec końców każdy, kto ma do czynienia z Archontami, stanie się ich ofiarą, a ja się modłę dzień i noc, żebyś ty nie była jedną z nich!

Ostrzeżenie

— Ken już pojechał do biura — usłyszała Carla od pani Inman, kiedy następnego ranka weszła do kuchni. Widząc rozczarowanie na jej twarzy, matka Kena dodała: — Za ciężko pracuje, jak zwykle, właściwie już od dziecka. Zawsze jak nie taka pilna praca, to inna.

— To jedna z tych spraw, które mnie do niego przyciągnęły — powiedziała Carla. — Zawsze gdzieś gonił, zawsze z jakąś misją, nie tracił czasu. Ciagle robił coś pożytecznego, dążył do jakiegoś celu...

— I dalej taki jest — odparła pani Inman — ale oczywiście diametralnie zmienił kierunek. I to na lepsze, uwierz mi, naprawdę!

Carla najpierw się nachmurzyła, a potem uśmiechnęła.

— To na co masz dziś ochotę? — zapytała pani Inman. — Może by tak jajka na boczku dla odmiany? Kupiłam parę, na wszelki wypadek.

— Chce pani powiedzieć, że oczekuje pani mojego udziału w minirebelii przeciwko tyranii zdrowej żywności? Czemu nie - z miłą chęcią!

*

Ken wstał wcześniej niż zwykle i poświęcił sporo czasu, żeby znów wołać do Boga o Carłę. Prosił, żeby demoniczne zło stało się dla niej czymś tak oczywistym, by nie potrafiła mu już przeczyć; żeby Bóg otoczył ją murem ochronnym; żeby Wiktorowi i Frankowi też otworzyły się oczy; żeby Plan się nie powiódł. Błagał Boga o uczynienie wszystkiego, co w Jego mocy, aby prawda stała się dla niej jasna i by Carla potrafiła podjąć decyzję nie ulegając zwodniczym wpływom, lecz zarazem zachowując wolność wyboru.

Trapił się, że mimo wszystkich szczerych rozmów, jakie prowadzili, Carla - zamiast uciekać przed Archontami - zdawała się wchodzić coraz głębiej, przygotowując się do swej kluczowej roli w nawracaniu świata na Plan. Mocno odczuwał konieczność modlitwy, zwłaszcza o to, by Carla zdołała zająrzeć za parawan, dojrzeć ukryte za nim zło i stracić złudzenia. Tak pragnął ochronić ją przed demoniczną mocą jaka niewątpliwie skieruje się przeciw niej z nową furią kiedy tylko Carla będzie znów próbowała się wycofać.

W ciszy wczesnego poranka Ken doszedł do wniosku, że dalsze dyskusjo

nie mają większego sensu. Powiedział jej aż za dużo. Pozostało tylko modlić się i wierzyć, że Bóg zrobi wszystko, by doprowadzić ją do momentu decyzji, w którym będzie musiała dokonać samodzielnego wyboru. A skłonić ją do podjęcia decyzji właściwej nie może już nikt, nawet sam Wszechmocny.

Carla i pani Inman kończyły śniadanie, kiedy w kuchni zadzwonił telefon.

— Ken - do ciebie — powiedziała jego matka, wręczając Carli słuchawkę.

— Dzień dobry! — odezwał się Ken. — Chciałem się upewnić, że wzięłaś klucz i pilota do garażu. Leżą na blacie w kuchni.

— Twoja mama mi pokazała. Dzięki.

— Wszystko gra?

— Tak, tak.

— Mogę w czymś pomóc?

— Hm, zastanawiałam się, czy cię nie poprosić, żebyś podjechał do hotelu. Muszę zabrać rzeczy, a za nic w świecie nie wejść do pokoju bez ciebie.

— Rozumiem. Chciałaś to zrobić rano czy wieczorem?

— Hm, gdyby ci pasowało, może moglibyśmy za pół godziny?

— Żaden problem. Zobaczymy się w hallu.

*

— Ależ tu ziemsko, wszystko takie codziennie-zwyczajnie-rutynowo-biznesowe — powiedziała Carla, kiedy wyszli z windy i poszli korytarzem w stronę jej pokoju. — Szczerze mówiąc, głupio mi, że muszę cię prosić o pomoc w zabraniu paru ciuchów.

Słowa były dobrane nonszalancko, ale głos Carli zdradzał niepokój.

— Doskonale to rozumiem — odparł Ken.

Otworzyła drzwi. Zrobiła krok do środka, zapaliła światło i krzyknęła przerażona:

— Ken! Patrz! Nie! Niemożliwe! Dlaczego?

Wyminął ją szybko, a za chwilę stanął jak wryty, zdumiony widokiem zniszczenia. Materac i pościel zostały zdarte z wielkiego łóżka i ciśnięte o ścianę — przy okazji roztrzaskały lampę. Trzy obrazy leżały potłuczone na podłodze, razem z dwoma innymi lampami. Szuflady wyrzucono na zewnątrz, a kotary zdarto z karniszy.

Carla z bólem chłonęła całą scenę.

— Archonci nie znizyliby się do tego! — powiedziała. — Na pewno!

— Więc uważasz, że to nie Archonci? — zapytał zaskoczony.

— No tak, Ken, ty w każdym kącie widzisz demona. Ale ja widzę tutaj robotę CIA albo KGB, może nawet FBI. Czegoś szukali, to oczywiste.

— A co takiego masz, co by ich interesowało?

— O niczym takim nie wiem, ale widać myśleli, że coś mam.

— Carla, pomyśl trochę! W CIA i KGB, a już w żadnym razie w FBI, nie mieli powodów, żeby to robić, a Archonci - tak.

— Ale po co? — zapytała. — Przecież mnie tu nawet nie było.

— Może chcieli ci udowodnić, jak bardzo jesteś bezbronna, że mogą pociągać za sznurki, a ty zrobisz wszystko, jak marionetka!

Stanęła i patrzyła na niego w osłupieniu.

— Chodź — powiedział. — Pakujmy te rzeczy i wynośmy się.

Pozbierali ubrania i wepchnęli do walizki.

Kiedy zjeżdżali do hallu, powiedziała jej:

— Pomyślałem sobie, Carla, że to może nawet dobrze, że tak się stało. Masz pretekst, żeby się wymeldować. Będzie wyglądać tak, jakbyś się przenosiła do innego hotelu. Myślę, że powinnaś powiedzieć tak...

*

W recepcji Carla zwróciła klucze.

— Niestety, będę się musiała wymeldować — zaczęła zniżonym tonem. Była wyraźnie roztrzęsiona i dla każdego, kto na nią spojrział, nie ulegało wątpliwości, że doświadczyła jakichś dramatycznych przeżyć. — Ktoś wdarł mi się do pokoju, dzięki Bogu akurat mnie nie było, i kompletnie go splądrował.

— Bardzo mi przykro! Nie mam pojęcia, jak ktoś mógłby tam się dostać.

Pochyliła się bliżej, jakby chciała zdradzić jakiś sekret.

— Pamiętaj pan, że parę dni temu było tu FBI?

— Tak.

— Naturalnie nie mógł pan o tym wiedzieć, ale oni byli do mojej ochrony — skinęła głową w kierunku Kena, a recepcjonista podniósł brwi, jakby wszystko zrozumiał. — Sądziłem, że niebezpieczeństwo minęło, ale najwyraźniej mój prześladowca zdołał się wedrzeć do pokoju. Oczywiście nie mogę powiedzieć, dokąd się udaje. Przyjadę jutro i odbiorę wszelkie depesze. Czy może są jakieś teraz?

— Ależ oczywiście! Byłbym zapomniał. Ma pani całą stertę telefonów.

Na parkingu Ken włożył walizkę do wozu Carli i przytrzymał drzwi, kiedy wchodziła do środka. Prędko przejrzała telefony.

— ABC, CBS, NBS, *New York Times*... Wszyscy chcą ze mną robić wywiad albo mieć mój artykuł. Nigdy jeszcze nie byłam tak rozchwytywana.

Spojrzała na niego. W jej oczach dostrzegł żyły, ale w głosie usłyszała tylko starą, znajomą determinację:

— Nie myśl, że nic do mnie nie dotarło. Dotarło. Poważnie rozważałam, czy sobie nie dać spokoju z tym wszystkim, ale nie widzę takiej możliwości.

— Carla!

— Posłuchaj, nie jestem marionetką na sznurkach, ale podjęłam pewne zo-

bowiązania wobec Franka.

— Nic nie jesteś mu dłużna! Jest żądny władzy, a tobą się tylko wysługuje!

— Być może, ale nie mogę zostawić Wiktora.

— No i tego wielkiego tematu, za którym gonisz!

— Nie wiń mnie za to. Jestem dziennikarką i muszę dotrzeć do końca.

— Będę się za ciebie modlił...

Nic więcej nie mógł już dodać.

— Bardzo proszę, Ken.

Przygryzła wargę i odwróciła wzrok. Włączyła motor i wychyliła się przez okno, zmuszając usta do uśmiechu.

— A poza tym sam wiesz, że mam zadanie od twego przyjaciela Jordana. Jego też nie mogę zawieść. Kiedy będzie po wszystkim, może napiszę książkę *Życie wśród szpiegów Biura Federalnego*.

*

Wjechała właśnie na drogę dojazdową do bazy, gdy ujrzała przed sobą migające czerwone światła zbliżającego się szybko wozu policyjnego. Jechała powoli, z niepokojem. „Cóż to znowu takiego?” Kiedy minęła zakręt, kilkaset metrów od bramy wjazdowej, ogarnęło ją przemożne uczucie zagrożenia i jakby de ja vu: jej oczom ukazał się kolejny koszmar. Wozy policyjne, funkcjonariusze, umundurowani i po cywilnemu, leżące twarzą do ziemi ciało kobiety... Reakcje Carli ograniczały się w tej chwili do sennych ruchów, a jej umysł okrył całą scenę poczuciem ochronnej nierzeczywistości.

Machinalnie zmniejszyła prędkość do minimum. Jakiś umundurowany funkcjonariusz machnął, żeby jechała dalej. „Muszę wiedzieć, kto to jest... co się dzieje! Myślałam, że już koniec gwałtu.” Na pół przytomnie zignorowała rozkaz, zjechała na bok i wysiadła.

— Pomogę pani — usłyszała miły, znajomy głos. Uświadomiła sobie, że obok stoi Don Jordan i podtrzymuje jej ramię.

— Co się stało? — zapytała, odwracając wzrok od ciała, które przykryto właśnie prześcieradłem, wystraszona, że ten ktoś, kto tam leży, mógłby mieć związek z bazą.

— Wisiała dziś rano na drzewie, niedaleko przy drodze, zobaczył ją któryś strażnik po drodze do pracy — padła zwięzła odpowiedź.

— Kto to jest?

— Młoda kobieta, wiek około 26 lat. Inger Krieg.

— Nie!! Samobójstwo?

— Jeszcze nie ustalono, ale podejrzewamy, że tak.

— Zostawiła jakąś wiadomość?

— Tak, chyba napisaną własnoręcznie. Daliśmy do analizy. Z tego, co wiem, Krieg pracowała w bazie, tak?

— Była drugim medium — powiedziała Carla, próbując opanować zawrót głowy. — Mieliliśmy kilkoro innych mediów, ale z żadnym nie wychodziło. Inger przyjechała aż z Niemiec, jakieś trzy miesiące temu. Nikt inny nie potrafił się przystosować do Psitronu, kończyli w szpitalach psychiatrycznych. Dwaj nawet jeszcze są w tutejszym, w Pało Alto. Ale Inger? Bardzo dobrze jej szło. Zdarzało mi się ją czasem obserwować. Del Sasso ją szkolił. Przemiała dziewczyna. To potworne!

— Muszę już tam wracać — powiedział Jordan. — Prowadzę śledztwo osobiście, bo wypadek miał miejsce na terenie posiadłości rządowej. Nie otrzymuję od pani żadnych wieści. Nic się nie dzieje?

— Nic... Nie, nic, co bym zauważyła. Nic, co by obciążało Kay Morris. Bardzo ciężko pracuje i mam wrażenie, że jest oddana sprawie w 110 procentach.

— Sprawdzalem ją jeszcze raz, wydaje się czysta. Dałem tam trójkę ludzi. Strażnik nocny Stan Kirby, strażnik dzienny Art Denham i asystentka w laboratorium Annę White. Może pani przesyłać informacje przez któreś z nich, a jeśli będzie potrzebna pomoc, to też można na nich liczyć.

— A oni coś zauważyli?

— Jeszcze nie. Do zobaczenia.

*

Kiedy Carla zajechała na swoje miejsce parkingowe, zauważyła Wiktora, idącego przez trawnik z laboratorium transmisyjnego do głównego budynku. Wyskoczyła z wozu i zawołała go. Twarz mu pojaśniała, kiedy zobaczył, kto ku niemu zmierza. Zeszli się na środku trawnika i mocno uścisnęli. Potem poszli wolnym krokiem w stronę drzwi wejściowych.

— Słyszałeś o Inger? — zapytała zaraz.

Skinał głową, twarz mu spoważniała.

— Leighton oznajmił to dziś rano całemu personelowi.

— Co powiedział?

— Nazwał to wielką tragedią. To się chyba stało w nocy. Zasugerował, że to frustracja spowodowana tęsknotą za domem. Ale ja w to nie wierzę.

— Ani ja — zgodziła się Carla. — To już który przypadek? Szósty? Dlaczego nikt nie może sobie poradzić z Psitronem, tylko sam Del Sasso?

— W tym wszystkim jest coś grubo nie w porządku — powiedział ponuro Wiktor, zniżając głos, bo zbliżali się do wejścia.

„Nie, siódmy!” — pomyślała Carla. — „Ken był przecież pierwszy, to razem daje siedem. Więc dlaczego Del Sasso czuje się na Psitronie jak ryba w

wodzie? Frank powtarzał to już co najmniej dziesięć razy. Dlaczego ten mnich miałby być takim wyjątkiem? Czyżby Ken miał rację?" Spojrzała na Wiktora. Wydawał się zmagać z własnymi myślami.

— Plan ma przynieść światu pokój, miłość i braterstwo — mamrotał, bardziej do siebie niż do niej. — Czy nie ma w tym ironii?

*

Na późniejszym spotkaniu personelu o 11.00 Carla wyczuła, że Leighton jest zmęczony i zniechęcony. Mówił do wewnętrznego kręgu o śmierci Inger, chodząc nerwowo tam i z powrotem wzdłuż biurka.

— To straszliwy cios dla programu. Potrzeba nam milionów Antoniów, a jak dotąd tracimy każdego, kogo uda się wyszkolić. Nie mogę tego pojąć! Analizujesz program — zwrócił się do Wiktora. — Wiem, że blisko współpracowałeś z Inger. Masz jakieś koncepcje?

— W tym wszystkim jest coś grubo nie w porządku! — Wiktor z przekonaniem powtórzył słowa wypowiedziane wcześniej do Carli. — Były problemy z równowagą psychiczną mediów, więc zmieniliśmy podejście, zwolniliśmy tempo. Przedtem za bardzo ich poganialiśmy. Inger była pierwszym medium poddanym nowej metodzie, szło jej bardzo dobrze. Była - można powiedzieć - drugim Antoniem. Nawet wczoraj ją tak nazwałem na głos. I proszę! Dlaczego Archonci tego nie wyjaśnia?

— Wyjaśnili — włączył się Del Sasso. — Działaliśmy zbyt szybko. Z własnej woli przyśpieszyliśmy program. Przypominacie sobie, że Archonci nic nam jeszcze nie mówili, żeby rozpocząć program szkolenia mediów. Ale nawet wobec tego wszystkiego uważam, że nie powinniśmy się zniechęcać, Frank. Po pierwsze, taka była karma każdej z tych osób. Powrócą dzięki temu w lepszym kształcie, więc — żyją czy nie żyją — nie ma co po nich płakać. A my wszyscy po drodze wiele się nauczyliśmy i ta wiedza okaże się bezcenna w chwili, kiedy Plan będzie wprowadzany na skalę światową.

— Antonio ma rację — odezwała się Kay. — Jeśli przejrzyście transkrypty wszystkich transmisji, a ja to zrobiłam ostatnio, nie znajdziecie żadnych instrukcji, żeby szkolić nowe media. Wydaje mi się, że w całym naszym zapale za bardzo się pośpieszyliśmy. Lekcja bardzo kosztowna, ale skuteczna.

— O jednym nie wolno nam chyba zapominać — dodał Leighton. — Jesteśmy pionierami w zupełnie nowej dziedzinie, badaczami kosmosu wewnętrznego, a tam czyhają niebezpieczeństwa. Pomyślcie o tych, którzy w przeszłości stracili życie w związku z jakimiś nowymi postęпами ludzkości, choćby ta jeszcze świeża sprawa naszych astronautów. Zawsze trzeba płacić jakąś

cenę. Nie jest wykluczone, że jeszcze ktoś z nas tutaj obecnych będzie musiał oddać w tym celu swe życie. Ale kiedy pomyśleć o korzyściach, jakie odnie- sie cała ludzkość... No cóż, uważam, że jest to dla nas ogromny przywilej!

— I jeszcze coś — wtrącił Del Sasso. — Nie ja powinienem to mówić, bo to może zapachnieć egotyzmem i autoreklamą, ale próba szkolenia innych na Psitronie na tym etapie była kolosalnym błędem. Gdyby pojawiła się cała grupa mediów o siłach porównywalnych z moimi, rozmyłoby się kierownic- two, mogłaby się nawet pojawić rywalizacja. A to by nie było właściwe na tym etapie, nieprawdaż?

— Chyba masz rację — przyznał Leighton z ociąganiem. — Chciałem mieć przynajmniej jeszcze jedno medium wyszkolone na Psitronie, żeby się nim pochwalić na Kongresie, ale dałem się powodować własnym ambicjom, a nie mądrości Archontów. Teraz rozumiem, dlaczego Archonci powstrzymy- wali szkolenie mediów, pomimo że są one niezbędne we wdrażaniu Planu.

— Cała ta mądrość niewiele teraz pomoże Inger i pozostałym — powie- dział Wiktor poważnie. — Muszę na siebie wziąć część odpowiedzialności.

— Lepiej nie obwiniajmy się nawzajem — zaproponował Leighton. — To nic nie da. Musimy iść naprzód. Antonio i ja odlatujemy do Waszyngtonu ju- tro rano i spodziewam się, że przywieziemy jakieś krzepiące wieści.

Wstał, dając znak, że spotkanie skończone.

— Wiesz, co robić — zwrócił się do Kay. — W laboratoriach jest mnós- two roboty, z którą trzeba się uporać, póki nie ma Antonia. Wiktor ci pomo- że. Tylko pamiętaj, pierwszeństwo ma przygotowywanie jego przemówienia. Zgadza się, Wiktorze? — klepnął go po plecach. — Wiesz, że jesteś głów- nym mówcą.

Wiktor miał bardzo poważny wyraz twarzy.

— To wielkie zadanie, ale oczekuję tego z niecierpliwością.

— No i Carla — dodał Leighton — kiedy tylko skończysz szkicować dra- gi artykuł, zabieraj się za trzeci. Przejrzemy je wspólnie, kiedy wrócę.

*

— Puk, puk - można?

Carla oderwała wzrok od pracy i zauważyła, że Del Sasso uchylił drzwi jej biura i zagląda do środka. Rozparła się na krześle i przeciągnęła, wzdychając ciężko.

— Proszę bardzo. Spakowany i gotowy?

Otworzył drzwi szerzej i wszedł.

— Ach, nie biorę z sobą wiele. W ostatniej chwili chwycę to i owo. Jak zawsze.

— Naprawdę? Tak dużo podróżowałeś?

— Po całym świecie.

— Nie wiedziałam. Nie opowiadałeś mi o sobie zbyt wiele, Antonio.

— A mam tutaj choć chwilę czasu, żeby składać wizyty pięknej kobiecie? Zdumiał ją niespotykany błysk w jego oku.

— Więc co chcesz usłyszeć? Gołe fakty? Proszę bardzo: urodziłem się w Rzymie, tam się wychowałem, zostałem jezuitą i zacząłem przemierzać świat z wykładami, jako specjalny wysłannik czarnego papieża.

— Czarnego papieża?

— Tak się nazywa głowę Towarzystwa Jezusowego. Następca Ignacego Loyoli, naszego założyciela, nosi czarne szaty, takie jak moje, no a papież nosi białe.

— Ciekawe. Nie wiedziałam o tym.

Zaczął się jej uważnie przyglądać, co stało się właściwie normalną praktyką od t a m t e j nocy. Zauważył jej skrępowanie.

— Nie lękaj się — powiedział kojąco. — Jestem tu, żeby cię napomnieć za wątpliwości. Każdy musi sobie z nimi radzić na swój sposób i jestem pewien, że wyjdiesz z tego okresu konfliktów jeszcze bardziej ugruntowana.

— Dziękuję za zaufanie.

Następne słowa niespodziewanie zbiły ją zupełnie z tropu:

— Wiesz, Carla, doktor Inman ma w pewnym sensie rację, kiedy mówi o „demonach”.

— Tak?!

Wychodziło na to, że jednak potrafi czytać w jej myślach. Świadomość tego była załamująca.

— Rozwój parapsychologii ma swoje pułapki — kontynuował. — A świat mediumizmu jest światem pełnym niebezpieczeństw. O czym właśnie przekonała się nieszczęsna Inger.

— To prawdziwa tragedia! — odparła, zachodząc w głowę, do czego on zmierza. — Taka młoda i taka pełna życia.

— Próbowałem ją przestrzec, ale nie chciała słuchać. Musisz wiedzieć, że jest w tym wszystkim również i ciemna chirona medalu.

„Czy to ma być ostrzeżenie pod moim adresem?”

— Nigdy nie licz, że ktoś cię wybawi — powiedział. — Taką właśnie zasadniczo błędną koncepcję większość chrześcijan ma o Chrystusie. Musisz szukać boskiego pierwiastka w sobie samej, nie w kimś innym. Bądź świadoma własnej jedności z kosmosem, a wówczas te wykołejone stworzenia zwane przez doktora Inmana „demonami” nie będą miały nad tobą władzy.

Zauważyła, że mimowolnie kiwa głową na zgodę, zmuszona siłą osobowości mnicha. Nie potrafiła jednak wydobyć głosu. Czy on chce powiedzieć, że jej ostatnie makabryczne przeżycia były spowodowane wątpliwościami wobec Archontów? Czy przestrzegają żeby w przyszłości już nie wątpiła?

— Jest oczywiście miejsce na uczciwe wątpliwości... do pewnego punktu — powiedział sucho, jakby czytał w jej myślach. — W początkowych fazach realizacji Planu będziemy zachęcać do dyskusji nad tymi kwestiami, żeby wyprostować myślenie szczerze poszukujących prawdy.

Podszedł bliżej i stanął nad nią.

— Z przykrością muszę powiedzieć, że w końcu likwidacja wszelkiej opozycji okaże się konieczna. Stawka jest zbyt wysoka, by ryzykować. Nie muszę ci chyba mówić, że chrześcijanie są niestety główną siłą opozycyjną wobec Planu. Będą musieli zmienić zdanie albo...

— Jeśli dobrze rozumiem to, co mówisz, Antonio — odezwała się — to zdaje mi się, że coś przeoczyłeś. Chrześcijan, ludzi takich jak Ken Inman, są miliony, i oni raczej umrą, niż wyprą się swojego Pana. Chyba nie mówisz poważnie o ich likwidacji?

— Nie ma wyboru. Nie dlatego, że Archonci są przeciwni religii jako takiej, wręcz przeciwnie. Jednak dogmaty ludzi o wąskich horyzontach muszą ustąpić na rzecz o wiele bardziej stosownej religii, na tyle szerokiej, żeby cały świat mógł ją zaakceptować.

Mówił to bez śladu niechęci w głosie, jak lekarz, który dyktuje receptę.

— Nowa religia światowa będzie ekumeniczna, obejmująca wszystkie wyznania, z wyjątkiem naturalnie tych, które roszczą sobie prawa do monopolu na prawdę. Są miliony chrześcijan, którzy nie stanowią żadnego problemu, rozumiejąc, że Chrystus, wbrew temu, co mówi Biblia, nigdy nie twierdził, że jest jedyną drogą, lecz przedstawicielem wszystkich dróg. Tacy bez trudu dopasują się do Nowego Porządku. Natomiast fundamentaliści o ograniczony ci horyzontach, czy to chrześcijanie, muzułmanie, Żydzi, czy kto inny, jeśli dobrowolnie nie porzucą swoich bardzo krępujących, negatywnych dogmatów, wówczas trzeba będzie naturalnie przedsięwziąć inne środki. Stawką jest pokój na świecie. Ograniczone sekciarstwo nie może stanąć mu na drodze.

Ruszył w stronę drzwi, ale po drodze przystanął jeszcze na chwilę.

— Chciałem cię ostrzec, zanim wyjadę. Nigdy nie ufaj żadnej istocie, bez względu na to, jak wysoko rozwinięta się wydaje. Niektórzy z najbardziej oświeconych opowiedzieli się po ciemnej stronie Siły. Mogą czynić wielkie zniszczenia. A jeśli dasz im się straszyć, to już jesteś w ich mocy.

Więc wiedział! Z całej siły próbowała stłumić gwałtownie wzbierającą panikę. Usłyszała własny głos:

— Dziękuję, Antonio. Bardzo mi to pomogło. Wyjaśniło pewne sprawy, nad którymi się zastanawiałam.

— Zdaję sobie sprawę z twoich pytań i wątpliwości. Nie rozstrzygnąć ich właściwie równałoby się prawdziwej tragedii.

Nie spuszczał z niej wzroku i zdawał się wwiercać nim aż do głębin jej duszy. Potem odwrócił się i wyszedł, bezszelestnie zamykając drzwi.

Przechytrzona

Kilka następnych dni minęło szybko i bez szczególnych wydarzeń. Carla, zajęta przyuczaniem nowej sekretarki i odpowiadaniem na zaległe telefony, nie miała wiele czasu na rozmyślanie o starych wątpliwościach i niepokojach. Zostały chwilowo odłożone na bok, ale nie stłumione. Niestety, ostatnio nie otrzymywała od Kena odpowiedniej pomocy w ich rozstrzygnięciu. Czasem miała nawet wrażenie, że jej unika. Parę razy zdarzyło im się jednocześnie usiąść do śniadania czy późnowieczornej herbaty, ale Ken był dziwnie mało skory, by kontynuować dawne dyskusje. Nie mogła tego pojąć. Czyżby machnął na nią ręką? Jeszcze niedawno byłaby z tego rada, ale teraz nie dawało jej to spokoju. Czuła się porzucona.

Bez Franka i Antonia ośrodek zdawał się pusty. Uświadomiła sobie, że żywi wobec ich obu uczucia cieplejsze, niżby to chciała przyznać. Wywarli wpływ na jej życie pod wieloma względami i Carla miała szczególne poczucie wspólnoty ze współtowarzyszami podróży do jednego celu: obdarzenia pokojem świata, który znalazł się na skraju przepaści. Bez względu na to, czy Operacja „Archont” okaże się rozwiązaniem właściwym, czy nie, była to jednak szlachetna próba. Carla odczuwała głęboki, wewnętrzny imperatyw, by współpracować z nimi do końca, aż do pomyślnego wypełnienia Planu, jeśli to oczywiście możliwe.

W tym czasie rzadko spotykała Wiktora. Zdawało się, że dzień i noc pracuje z Kay. Carla zastanawiała się, jak im się udaje dogadywać. Któregoś dnia miała zamiar zapytać go o to przy lunchu, ale nie pojawił się. Dochodziła już 14.00, a po Wiktorze nie było ani śladu, i to nawet w jego biurze, znajdującym się naprzeciw jej gabinetu. Odjechała od komputera, wstała i przeciągnęła się. Postanowiła sprawdzić, jak im idzie.

W głównym laboratorium zastała troje asystentów: dwóch mężczyzn, których znała, i dziewczynę, której jeszcze nie widziała. Kay i Wiktora nigdzie nie było.

— Nie wie pani, gdzie może być doktor Chorew? — zapytała Carla.

— Wyszedł jakiś czas temu, z doktor Morris — odparła dziewczyna. — A ja jestem Annę White. Widziałam już panią kilka razy, ale nie miałyśmy okazji się poznać.

— Miło mi panią poznać — powiedziała Carla. Lekko skinęła w jej stronę głową, na znak, że wie, kim jest. — A nie wie pani, dokąd mogli pójść?

— Zdawało mi się, jakby toczyli bardzo ostrą dyskusję — włączył się jeden z mężczyzn. — Może chcieli pójść gdzieś w osobne miejsce, żeby ją spokojnie skończyć.

— Naprawdę? A nie wie pan, o co im mogło chodzić?

— Trudno mi powiedzieć. To chyba nie dotyczyło pracy, ale spraw bardziej osobistych.

— Dawno wyszli?

— Jakies dziesięć minut, jak myślisz? — młody człowiek spojrzał na Annę. Kiwnęła głową. — Chyba jakoś tak.

— Hm, na pewno nie poszli do biura Wiktora — powiedziała Carla pod nosem. Podeszła do najbliższego telefonu i wybrała numer biura Kay, potem Leightona, a potem - dla pewności - Wiktora. Sekretarki odpowiadały, że od południa nie było ich widać. Zadzwoiła do świetlicy dla personelu, ale tam też ich nie było, potem do mieszkania Wiktora — cisza. Zaczęła się niepokoić.

— Hm, w każdym razie nie mogli zniknąć, prawda? — powiedziała głośno nie wiadomo do kogo, starając się, aby brzmiało to nonszalancko. — Mam z nimi coś pilnego do omówienia. Może są w mieszkaniu Wiktora, ale nie odbierają telefonów? Sprawdzę.

Leightonowi prawdopodobnie nie odmówiono niczego, co sobie zażyczy! podczas budowy kompleksu. Za głównym budynkiem stał długi, jednopiętrowy dom z cegły, mieszczący sześć luksusowych mieszkań. Jedno z nich zarezerwowano dla Dyrektora CIA, który nie pojawił się w ośrodku od czasu, gdy Carla tam przyjechała, ale który - jak się zdążyła zorientować - bywał tam często w przeszłości. Leighton korzystał z jeszcze innego mieszkania, podobnie jak Mikę Bradford, szef ochrony. Oczywiście Wiktor, który ze względów bezpieczeństwa znajdował się non stop na terenie bazy, miał własny apartament, gdzie Carli kilka razy zdarzyło się być.

Zbliżając się do budynku, zauważyła, że drzwi mieszkania Wiktora - numer 5 na piętrze - są na pół uchylone. Wchodząc po schodach, uśmiechnęła się. Cały Wiktor. Był troszeczkę pruderyjny i żadna kobieta nie znalazłaby się w jego mieszkaniu przy zamkniętych drzwiach. To może być znak, że on i Kay są tam jednak. A jeśli tak, dlaczego nie odbierają telefonu? To do Wiktora niepodobne.

Znalazłszy się na piętrze, usłyszała zniżone, ale wyraźnie wzburzone głosy dobiegające zza uchylonych drzwi. Zaglądając ukradkiem do środka słyszała już wyraźnie słowa, ale jakoś nie potrafiła ich zrozumieć. Nagle z impetem rozpędzonego pociągu uderzyło ją odkrycie: rozmawiają w ojczystym języku! Więc Wiktor miał rację. Ona jest Rosjanką! Czy zdemaskował ją w labo-

ratorium, a potem poszli na górę, żeby to wyjaśnić?

Ostrożnie popchnęła drzwi i bezszelestnie wsunęła się do przedpokoju. Z tamtego miejsca widziała kawałek kuchni i salonu. Głosy dobiegały gdzieś z głębi. Wyjmując z torebki rewolwer i odbezpieczając go, prędko przebiegła salon. Potem na palcach weszła w długi korytarz, trzymając broń w pogotowiu. Głosy dochodziły zza otwartych drzwi po prawej, Carla pamiętała, że jest to obszerny gabinet. Sunąc pod ścianą, podeszła bliżej.

Teraz już widziała Wiktora. Siedział na drugim końcu pokoju, przed kominkiem, zwrócony w jej stronę prawym profilem. Mówił szybko po rosyjsku, tonem wyraźnie wzburzonym i oskarżycielskim. Postawiła jeszcze jeden krok i przez otwarte drzwi zobaczyła Kay. Stała twarzą do Wiktora, dziwnie opanowana. Carli zdawało się nawet, że Kay dobrze się bawi. „I co robisz? Wejść? Czekać? Może wrócić i przyprowadzić kogoś z ochrony?” Już w następnej chwili serce podeszło jej do gardła, bo została pozbawiona możliwości wyboru: Kay przesunęła wzrok i spostrzegła ją!

Z sercem walącym dziko Carla wskoczyła do pokoju i wycelowwała w nią swoją .38. Nie było innego wyjścia. Bieg wydarzeń zbił ją jednak całkowicie z tropu: Kay bowiem zerwała się na równe nogi i powitała ją z wyraźną ulgą.

— Carla! Jak to dobrze, że jesteś! W samą porę!

Reakcja Wiktora zdumiała ją jeszcze bardziej.

— Carla! Jak tu weszłaś? — zapytał ostro, wyraźnie niezadowolony.

Kay ruszyła w jej kierunku.

— Zostań, gdzie stoisz! — rozkazała Carla, mierząc w jej głowę, żeby było jasne, że mówi poważnie. — Ani kroku dalej!

— A dlaczego ty celujesz we mnie?! — Kay miała zagadkowy wyraz twarzy i mówiła wyraźnie urażonym tonem. — Myślałam, że przysłałaś, żeby je go aresztować! Bo tak jest, prawda?

Spojrzała na Wiktora oskarżycielsko.

— Właśnie go zdemaskowałam.

— Chwileczkę! — syknął Wiktor. — Mnie zdemaskowałaś? I sądzisz, że ci się to uda?

— Spryciarz z ciebie, nie ma co — powiedziała Kay, mierząc go pogardliwym wzrokiem. Potem dodała pod adresem Carli: — Idealny typ na podwójnego agenta. Wtyka, i to niepoślednia!

— Kłamie! — powiedział Wiktor z gniewem. — Nie wierzysz jej, Carla, prawda?

— No, mam taką nadzieję! — powiedziała Carla. Zwróciła się do Kay: — Słyszałam, jak mówiłaś po rosyjsku. Wytłumacz się!

Kay zaśmiała się nerwowo.

— I na to się nabrałaś? Oczywiście, że mówię po rosyjsku. Moi rodzice są imigrantami. W domu mówiło się po rosyjsku. Między innymi dlatego CIA

mnie tutaj postawiła.

— CIA? — Carla była zaskoczona.

— Nawet Frank nie wiedział — odparła Kay. — Jeden Dyrektor Agencji wie, kim jestem i co tu robię. Mam zadanie wykryć rosyjską infiltrację tej operacji. Wiktor o mało mnie nie nabrał.

— Chwileczkę! — przerwała Carla. — Tak się składa, że byłam przy ucieczce Wiktora, a gonił go pułkownik Czernow, ten sam, który zjawił się tu, żeby zabrać Wiktora z powrotem do Rosji.

— Zgadza się — Kay wpadła jej w słowo. — Żeby go zabrać do Rosji. Nie miał zamiaru zabić Wiktora tak jak nas. Niechący wzięłaś udział w zainscenizowanej „ucieczce” w Paryżu, a to dało Wiktorowi wyśmienite atuty. Dopóki ja się nie pojawiłam. Dopiero co zagroził, że mnie zabije, a wtedy weszłaś ty!

— Carla, ta jęzda kłamie w żywe oczy — powiedział Wiktor. — Byłem pewien, że już ją kiedyś widziałem, a w końcu sobie przypomniałem. To kochanka Czernowa!

— Wiktor! — krzyknęła Carla. — I ty myślisz, że ja w coś takiego uwierzę?!

Podniósł się i zrobił krok w stronę Carli.

— Stój! — rozkazała, celując w jego głowę. — Nie ruszaj się!

— Posłuchaj, Carla! — błagał. — Widziałem jej zdjęcie na biurku Czernowa! Zmieniła trochę wygląd, dlatego tak długo nie mogłem jej rozpoznać. Ale sama się przyznała!

— Chorew, ty zgniły kłamco! — Kay posiniała z furii. — Posłuchaj — zwróciła się do Carli — nie musimy tutaj stać i słuchać tych bzdur. Tam jest telefon. Zadzwoń i połącz się z Dyrektorem Agencji. Niech sam ci powie. Podam ci numer prosto do jego własnego biura w Langley w Virginii. Nie więcej jak pół godziny temu z nim rozmawiałam, tuż przed konfrontacją między mną a tą ruską wtyka.

„Ona kłamie” — pomyślała Carla. — „Znam Wiktora. To nie wtyka! A jeśli jednak? Żadnemu nie mogę ufać!”

— Nie dzwonię do Langley — oznajmiła Carla. — Sprowadzę tu ochronę; aresztują was oboje, i wtedy sprawa się wyjaśni.

— Wreszcie coś rozsądnego — stwierdziła Kay. — Byle go zamknąć, tyle tylko trzeba. A wtedy okaże się, kto kłamie.

— Zamknijcie się, oboje! — krzyknęła Carla. Z zaskoczeniem zauważyła, że Wiktor posmutniał.

— A więc moje słowo przeciw jej słowu — powiedział. — Nie mam szans. Wiesz o tym, Carla.

— Powiedziałam: zamknij się! — odparła. — Nie wiem, kto mówi prawdę. Więc posłuchajcie: zastrzelę każde, które się ruszy! Stać tak, jak stoicie.

Bokiem przesunęła się do telefonu, który znajdował się na stoliku przy kanapie, po lewej stronie Kay. Lewą ręką podniosła słuchawkę, prawą trzymając rewolwer wymierzony w Kay. Kiedy usłyszała sygnał, położyła słuchawkę obok i lewą ręką zaczęła przyciskać numery. Żeby to zrobić, musiała na ułamek sekundy rzucić okiem na telefon, a wówczas lufa rewolweru lekko zjechała z celu. Kay to wystarczyło.

— Uważaj! — ryknął Wiktor, ale było już za późno. Zanim Carla zareagowała, Kay jednym skokiem znalazła się przy niej i wymachem nogi wytrąciła rewolwer z ręki. Kolejnym błyskawicznym ruchem, tak szybkim, że Carla nawet go nie zauważyła, ta sama stopa podcięła jej nogi. W następnej sekundzie Carla zauważyła, że Kay stoi nad nią z rewolwerem w dłoni i mierzy w jej głowę.

— Wstawać, panno Bertelli — głos brzmiał jak stal. Carla podniosła się. — A teraz na fotel, tam, gdzie ja siedziałam! — machnęła rewolwerem. — Chorew, siadaj z powrotem.

Pozostało tylko wypełniać polecenia.

— Nie uwierzycie! — upajała się Kay. — Tydzień temu Moskwa kazała wynosić się stąd i wracać. Nie posłuchałam. Żadna *glasnost* nie pozbawi mnie słodkiej zemsty. Ale nigdy nie marzyłam, żeby podano mi taką okazję na srebrnej tacy! Zaskoczyłaś mnie, Carla, naprawdę. Nie podejrzewałam, że masz broń - to idealnie!

— Naprawdę byłaś kochanką Czernowa? — zapytała Carla.

— I dlatego sprawi mi to tyle przyjemności!

— A twój nowojorski akcent?

— Tam się wychowałam, ty idiotko. Ojciec był w sowieckiej delegacji w ONZ. Starczy! Nie mam już czasu.

— Co do tego się zgadzam — powiedziała Carla. — Twoje incognito diabli wzięli, paniusiu. Mamy tutaj cały komplet urządzeń podsłuchowych, wszystko się nagrywa. Możesz z nami robić, co chcesz, i tak nie ujdzie ci to na sucho!

Na wargach Kay pojawił się szyderczy uśmiech.

— Owszem. Wiem, gdzie są wszystkie urządzenia, więc niestety zostajecie pozbawieni i tej satysfakcji, że mnie złapią.

Przesunęła się kawałek i stanęła za Carla.

— Zrobimy z tego jednoznaczne morderstwo i samobójstwo. Kochacie się, nieprawdaż? Od dawna wiedziałam. Mielicie romans, pokłóciliście się i zabiłaś go, Carla. A potem skierowałaś lufę w samą siebie. W towarzystwie tych wszystkich chorób psychicznych i samobójstw, jakie się tu dzieją, podobno za sprawą Archontów, będziecie po prostu kolejnymi ofiarami pościgu za boskością.

Zepchnęła Carłę na jedną stronę fotela, a sama przyklęła obok, żeby wy-

celować w Wiktora, który przymknął oczy, czekając na tę chwilę.

— Muszę dokładnie wymierzyć kąt.

Gdzieś na korytarzu rozległ się strzał. Wiktor z krzykiem runął na podłogę. Carla uświadomiła sobie nagle, że głowa Kay jest dziwnie blisko jej własnej i że dziwnie podryguje, i że jest czerwona. Uderzenie kuli zważyło Kay na podłogę.

Carla jakby we śnie obróciła się i zobaczyła Annę White, która biegnie od drzwi w jej kierunku, z rewolwerem wycelowanym w nieruchome już ciało Kay. Stała tak nad nią przez chwilę, potem włożyła broń do torebki.

— O mały włos! — odetchnęła Annę.

Wiktor podnosił się z podłogi.

— Nic ci nie jest? — Annę zapytała Carlę.

Carla ledwo dostrzegalnie pokręciła głową. Dopiero teraz dotarła do niej przerażająca rzeczywistość kilku ostatnich minut.

— Nie wiem, jak ci dziękować.

Zamknęła oczy. „To ja z Wiktorem mogliśmy leżeć teraz na podłodze, a nie Kay.” Poczuli, jak obejmuje ją czyjeś ramię. Spojrzała w twarz Wiktora. Trząsał się — jak i ona.

— Przepraszam! — powiedziała. — Bardzo!

— Przestań, proszę! — odezwał się Wiktor. — Potrafiła kłamać! A ty musiałś się upewnić.

— Nie chciałam jej zabijać, ale nie miałam wyboru — powiedziała rzeczowo Annę. — Nie mogłam ryzykować, że kiedy każe jej rzucić broń, zdąży was jeszcze zastrzelić.

— Szłaś za mną? — zapytała Carla słabym głosem.

Annę potrząsnęła głową.

— Nie od razu. Ale im więcej myślałam o tym, że tu poszłaś, tym bardziej nie dawało mi to spokoju. Więc zaczęłam się modlić: „Boże, powiedz, co robić?” Dzięki Bogu, dotarłam na czas!

— Dzięki Bogu! — powiedziała Carla.

— Należała tych oddziałów walki parapsychologicznej Czernowa — wyjaśnił Wiktor. — Przyznała się przede mną że zabiła strażników i wpuściła Czernowa.

— Oboje będziecie głównymi świadkami — powiedziała Annę. — A teraz wyjdźmy stąd, uważajcie, żeby niczego po drodze nie ruszać. Wiktorze, skorzystam z twojego telefonu w kuchni.

Mistyfikacja?

Podniósłszy godzinę później słuchawkę telefonu, Carla usłyszała rozgorączkowany głos Leightona.

— Nie uwierzysz, cóż się tu w Waszyngtonie dzieje! — entuzjasmował się. — Bierz Kay i Wiktora i idźcie do mojego biura, będę mówił do was przez głośnik. Dzwonię za dziesięć minut!

— Próbowałam się z tobą skontaktować, Frank. Kay, yy ... jej już tu nie ma. Ona ... nie żyje.

— Co? — krzyknął.

— To była rzeczywiście robota od wewnątrz, Frank. To Kay zabiła strażników i wpuściła Sowietów.

— Nie wierzę! Mówisz, że nie żyje?

— Agentka FBI ją zastrzeliła, w samą porę. Czernow ją szkolił, była jego kochanką. To się stało w mieszkaniu Wiktora.

— K o c h a n k ą Czernowa?

Po dłuższej chwili bolesnego milczenia rozległ się stłumiony głos Leightona.

— To niemożliwe. Była tak oddana Planowi, tak samo nim zafascynowana jak my. Bardzo lubiłem Kay. Byliśmy bardzo blisko. Ja ... nie rozumiem. Jak mogła mnie tak oszukać?

Zaległa długa cisza.

— Frank, jesteś jeszcze?

— Dlaczego Archonci nie powiedzieli...? — zapytał w końcu.

— Powiedzieli, że to tajemnica, którą musimy rozwikłać sami, dla własnego duchowego rozwoju. Nie pamiętasz?

— Pamiętam. Ale gdy pomyślę, że to właśnie Kay, członek wewnętrznego kręgu, wyżej wtajemniczona! Bardzo mi na niej zależało, Carla, i czułem, że ona to samo odczuwa do mnie. Tak świetnie się porozumiewaliśmy. Jak mogłem być tak głupi?

— Ciekawe, ile przekazała do Moskwy — myślała głośno Carla.

— Musimy założyć, że wszystko. Rosjanie wiedzą więc wszystko! Nie sądzę, że nam to zaszkodzi, ale dobrze, że startujemy z Planem już wkrótce. Ja nie mogę tego pojąć!

— Bardzo mi przykro, Frank. Dla mnie to też szok. Mam iść po Wiktora i wrócić do twojego biura?

— Nie mam teraz sił nic mówić. Jutro wracam. Poczekajmy z tym **do jutra**.

*

Carla wywołała na interkomie **biuro** Wiktora, żeby zrelacjonować rozmowę z Leightonem. Odebrała jego sekretarka.

— Nie ma go teraz — powiedziała. — Może jeszcze być w mieszkaniu. Przyszedł tu agent FBI, może godzinę temu, i powiedział, że jakiś pan Jordan chce się tam z nim zobaczyć.

— Dziękuję — **Carla** odłożyła słuchawkę akurat w momencie, gdy Wiktor pojawił się na progu jej gabinetu.

— Więc odbyłeś już sesję z FBI — powiedziała. — Chciałabym, żeby w końcu zabrali się i za mnie. Nie mam ochoty tu dłużej siedzieć. Po tym wszystkim nie potrafię się zabrać za nic konkretnego.

— Chcą rozmawiać z tobą — odparł Wiktor. — Jordan prosił, żeby cię przyprowadzić. Udało ci się skontaktować z Frankiem?

— Tak. Złe to przyjął. Zawrócił sobie głowę Kay, i zdaje się, że ona udawała, że jej na nim zależy.

— To nie do wiary! — potrząsnął głową.

— Wiktor, ja nie wiem, jak cię przepraszać! Ona mi zrobiła taki mętlik. Mało brakowało, a byłabym cię zastrzeliła!

— **Carla**, proszę! Nie chcę nawet o tym myśleć.

— To potworne — westchnęła. — Świat szpiegów i międzynarodowego knucia, o którym czytywałam w książkach. Nigdy nie wiedziałam, ile w tym prawdy. A teraz sama do niego należę!

— KGB gra według własnych zasad — powiedział Wiktor z goryczą. — Złe staje się dobrym, silniejszy ma rację... — zawahał się przez moment, a potem wyrzucił z siebie słowa w taki sposób, jakby od dawna je skrywał i tłumił. — I doznaję nieprzyjemnego uczucia, że to, co reprezentują sobą Archonci, działa według identycznych zasad. Nie podoba mi się to, **Carla**.

Położyła palec na ustach i potrząsnęła głową.

— Oboje od czasu do czasu miewamy wątpliwości — powiedziała szybko. — To zupełnie naturalne w sprawie takiego kalibru i tak rewolucyjnej. Nic takiego nie zdarzyło się jeszcze w całej historii świata. Doskonale rozumiem twoją niechęć wobec tego, że musimy przyjmować rozkazy od Archontów, ale bądź co bądź to i c h Plan. Pewnego dnia cały świat będzie im dziękował, nam zresztą też. To mi dodaje sił.

Wstała.

— No, ale mówiłeś, że FBI chce ze mną rozmawiać; pewnie są ciekawi mojej wersji tego koszmaru. Więc chodźmy.

Kiedy byli na zewnątrz, upomniała go:

— Zapomniałeś? Nasze biura mają uszy! Nie możesz tam w ten sposób mówić!

— Nie wiem, czy mnie to jeszcze obchodzi — odpowiedział gniewnie. — Zaczynam się czuć, jakbym był z powrotem w Rosji. Kto wie, może zresztą wylądowałem w czymś jeszcze gorszym? Jestem przywiązany do tego więzienia, nie mogę nawet wyjść na zewnątrz, a Archonci dyktują nam każde posunięcie, już niedługo będą dyktować, co mamy myśleć!

— Ale jeśli Archonci są tym, kim twierdzą, że są — upierała się Carla — to, hm, to znaczy, że są daleko przed nami i słuchanie ich rozkazów to najmądrzejsza decyzja.

Zatrzymali się, żeby chwilę porozmawiać. Stali między głównym budynkiem a domem mieszkalnym. Wiktor nachylił się bliżej Carli i szepnął:

— A jeśli Archontów nie ma? Jeśli ta cała sprawa to mistyfikacja?

— Chyba w to nie wierzysz, Wiktor!

— Dniami i nocami męcę się, żeby dopasować wszystkie klocki, i posłuchaj, co wymyśliłem. Bez wątpienia Antonio dysponuje wielkimi siłami, to rzeczywiście przechodzi ludzkie pojęcie. W trakcie całej mojej kariery naukowej nie spodziewałem się, żeby choć połowa z tego mogła być kiedyś możliwa.

Carla zauważyła, że na galerii przed drzwiami Wiktora stanął Jordan. Patrzył na nich. Pomachała do niego, a on odpowiedział tym samym.

— Jordan czeka — powiedziała. — Potem skończymy.

Ścisnął ją mocno za ramię i nie przestawał mówić, bardzo prędko. Nigdy nie widziała go tak wzburzonym.

— Muszę ci to powiedzieć, i to teraz! Posłuchaj! Antonio posiada wszelkie siły, jakie są mu potrzebne do opanowania świata. Nikt nie jest w stanie go powstrzymać. Ale gdyby miliardy ludzi się o tym dowiedziały, wybuchłby powszechny bunt. Więc udaje, że to Archonci nim kierują. Zamiast robić to we własnym imieniu i wywoływać ogólny sprzeciw, łąduje się na stanowisko władcy świata przy pomocy grupy „pozaziemskich inteligencji z wysokiego poziomu ewolucji, które od tysięcy lat czuwały nad naszym rozwojem”. Genialny sposób. Naturalnie Del Sasso, jak i wszyscy inni, musi wypełniać ich rozkazy, a to czyni z niego nie łotra, a bohatera. Ten pomysł wysoko rozwiniętych inteligencji z innego wymiaru ma w sobie tyle romantyzmu, a zarazem tyle science fiction, że każdy chętnie mu się podporządkuje, a w najgorszym razie będzie się bał tego nie zrobić. I tak aż do chwili, gdy Del Sasso tak się umocni, że żaden bunt nie będzie już możliwy... — Wiktorowi zabrakło tchu.

Carla miała wrażenie, że za chwilę odpadnie jej głowa.

— Czy ty mówisz poważnie? Nigdy mi się o tym nawet nie śniło, ale... — nagle przypomniał jej się głos George'a przez telefon, a potem wszystko zaczęło się jakby układać. — Czy uważasz, że w CIA mogłaby być jakaś elitarna grupa, która razem z Del Sassem konspiruje w tym kierunku? — zapytała.

— Niewykłuczone. Nie myślałem jeszcze o takich szczegółach. Dręczy mnie to bez przerwy od śmierci Inger. Sądzę, że to Del Sasso nakłonił ją do samobójstwa!

— Nie opowiadałam ci, jak o mało nie zabił mnie!

— Kiedy? Jak to?!

— No, może to był niezupełnie on, ale-na pewno miał z tym jakiś związek. Postać o dokładnie jego wyglądzie, ten habit z kapturem i tak dalej, weszła prosto do sypialni, gdzie spałam w nocy, i próbowała mnie udusić!

— To mi wygląda na dublera parapsychologicznego! Dlaczego potem tutaj wróciłaś? I dlaczego nic mi nie powiedziałaś? — Wiktor był wyraźnie zdenerwowany.

— Nie chciałam cię zostawiać, a nie wiedziałam, co właściwie powiedzieć. To wszystko jest bardzo dziwne. Chciałam o tym porozmawiać, ale jakoś nigdy nie było czasu.

— No, a jak ci się wtedy udało obronić przed Del Sassem? — zapytał rozgorączkowany.

— Nie mogę o tym mówić.

— Carla, jesteśmy tylko we dwoje, jak w Paryżu. A Czernow już nas nie ściga. I stoimy przed czymś kolosalnie większym niż wtedy. Ja już nie wiem, kto jest naszym wrogiem. To może być każdy! Musimy trzymać się razem i wszystko sobie mówić.

— Ktoś mnie uratował... — powiedziała z ociąganiem. — Sam by musiał wyjaśnić, jak to zrobił.

— Doktor Inman?

Kiwnęła głową.

— Ciekawa jestem, co on by powiedział o twojej teorii.

— Ja też — przyznał Wiktor. — To wprawdzie on wynalazł Psitron, ale jest jednym z tych nielicznych, którym potrafiłbym zaufać. Chciałbym wiedzieć, co myśli. Dlaczego tylko jednemu Del Sassowi udało się przystosować do Psitronu? Straciliśmy sześciu ludzi.

— Siedmiu — poprawiła. — Ken był pierwszy, i Archonci o mało go nie zabili, zapomniałaś?

— Nie Archonci, ale Del Sasso.

— On wtedy nie miał z tym jeszcze nic wspólnego.

— Sądzę, że miał, tylko nikt o tym nie wiedział, z wyjątkiem Franka. Mu-

szą w tym razem siedzieć. Obaj pracują dla CIA, a w tej chwili nie widzę żadnej różnicy między Agencją a KGB.

— Ale jak Del Sasso mógł kontrolować umysł Kena wtedy, skoro teraz Ken ma nad nim całkowitą władzę?

— On się nie może równać z siłą Del Sassa! — zaprotestował Wiktor.

— Jestem pewna, że może, i to mnie właśnie zbija z tropu.

— Chodzi ci o ten incydent w laboratorium? Przecież Del Sasso to wyjaśnił.

— Od tamtego czasu widziałam też inne dowody, muszę ci o nich opowiedzieć. Ale zrobię to tylko w obecności Kena, kiedy będzie mógł się wytłumaczyć.

Zastanawiła się przez chwilę.

— Musi być jakiś sposób, żeby cię stąd wydostać. Mógłbyś się zobaczyć z Kenem. Chyba nawet wiem, jak. Chodź. Nie pytaj mnie, skąd to wiem, ale Jordan jest kimś, komu również można ufać.

Poszli w stronę domu. U podnóża schodów Carla zawołała do Jordana:

— Mamy do pana jedno pytanie, mógłby pan tu zejść?

Kiwnął głową i zbiegł, po dwa stopnie na raz.

Dała znak Jordanowi i cała trójka oddaliła się od pełnego pracowników ochrony i agentów FBI mieszkania Wiktora.

— Don, Wiktor ma coś, co chyba powinieneś usłyszeć. Nie może ci tego powiedzieć tu, w ośrodku, bo Ken też to musi usłyszeć. Potrzebna nam jego opinia. To bardzo ważne. Czy nie mógłbyś jakoś wydostać Wiktora z tego więzienia na tyle długo, żeby dało się spotkać z Kenem, na przykład dziś wieczór?

Don myślał przez chwilę.

— Aha — powiedział. — Chyba da się zrobić. On jest głównym świadkiem i muszę go bezwzględnie przesłuchać u siebie w biurze. Zabiorę go swoim wozem. I tak miałem tam od razu jechać po przesłuchaniu ciebie.

— Cudownie! — powiedziała Carla. — Będę się czuła swobodniej mówiąc o pewnych sprawach, jeśli będzie to u ciebie. Mogę?

— Jak najbardziej. Nawet sam to miałem zaproponować.

— Świetnie. Pojadę za wami. Jak myślisz, ile czasu ci zabiorę?

— Z pół godziny, może trochę więcej.

— Dobra. Jeszcze jedno. Wiktor od przyjazdu do Stanów nie widział nic poza tym sterylnym ośrodkiem. Kiedy ze mną skończysz, może zamiast rozmawiać z Kenem w twoim biurze, poszlibyśmy do jakiejś przyjemnej restauracji? Taka mała przysługa dla człowieka, który uciekając żywił tak wielkie nadzieje, co ty na to?

— Proszę bardzo — powiedział Don. — Co proponujesz?

— Może Old Wharf Fish House? Teraz jest 16.30, to może o siódmej, co?

— Niech będzie. Dajcie mi jeszcze chwilę, muszę tu co nieco uporządkować. Za kwadrans będę z Wiktorem czekał przy bramie.

— Wróć do biura i zadzwonię do Kena, upewnię się, czy ma czas — do-dała Carla z widoczną ulgą.

W biurze wrzuciła do aktówki jakieś papiery, a potem zadzwoniła do firmy Kena. Odezwał się miły kobiecy głos:

— Sensitronics International. Czym mogę służyć?

— Chciałabym mówić z doktorem Inmanem.

— Proszę chwileczkę poczekać.

Nastąpiła przerwa, centrala łączyła ją z sekretariatem Kena.

— Biuro doktora Inmana, słucham.

— Tu Carla Bertelli. Czy jest Ken? To pilne.

— Chwileczkę, pani Bertelli.

W słuchawce rozległ się głos Kena.

— Carla! Nic ci nie jest?

— Nic. Ken, masz wolny wieczór?

— Mogę mieć. A co?

— Po prostu pomyślałam sobie, że byłoby miło spotkać się z tobą na kolacji w Old Wharf Fish House ... może o siódmej?

Po drugiej stronie zaległa cisza, wreszcie...

— Żartujesz?

— Nie. Tutaj stało się coś okropnego, potrzebuję jakiejś odmiany, żeby odetchnąć. Byłoby mi miło, Ken.

— No, to cudownie. Mam zarezerwować miejsca?

— Bardzo proszę. Dla czterech osób.

— Czterech?

— Mhm. Jest parę osób, które bezwzględnie musisz zobaczyć.

Konkurencyjny plan

Kiedy Carla przyjechała, Ken był już w restauracji. Czekając na Jordana i Wiktora, zdała mu sprawę z ostatnich wydarzeń: kim była Kay Morris, jak z Wiktorem znaleźli się o krok od śmierci i jak w ostatniej chwili uratowała ich agentka FBI nazwiskiem Annę White.

— Bardzo dobrze ją znam — powiedział Ken. — Spotykaliśmy się nawet jakiś czas.

— Naprawdę? Atrakcyjna kobieta — powiedziała Carla.

— Bardzo miła osoba. Polubiłabyś ją — powiedział Ken. — W rzeczywistości nazywa się Annę Bartkowski, ale przy zadaniach specjalnych, takich jak to, występuje jako „White”.

— Skąd znasz ją i Jordana?

— Oboje chodzą na te same spotkania modlitewne w czwartki wieczorem, na które ja chodzę z mamą... Te u doktora Elliotta. Na pewno go pamiętasz.

— Jak mogłabym nie pamiętać? — nachmurzyła się. — Ale muszę przyznać, że masz bardzo interesującą grupę „chrześcijańskich przyjaciół”. Wygląda na to, że dbacie tam o siebie nawzajem.

W tym momencie pojawili się Wiktor i Don. Natychmiast usiedli przy stole. Kiedy przeglądali menu, Carla przypomniała sobie coś, o czym zapomniała powiedzieć Jordanowi.

— Don, wiesz, że Annę White ma mój rewolwer. Przypuszczam, że włączyliście to do materiału dowodowego, ale chciałam się upewnić, że wiesz, co się z nim stało. Wolałabym już następnego nie dostawać. Ale dzięki!

— Bardzo dobrze się spisałaś, więc puścimy cię na wcześniejszą emeryturę — obiecał Don. — Annę wszystko mi opowiedziała. Powiedziała, że ty i Wiktor zachowaliście się bez zarzutu.

— To miło z jej strony, że tak to ujęła, i względem Wiktora to prawda, ale ja się znalazłam poza konkurencją. Przeciw Kay potrzebny by mi był nie rewolwer, ale czołg. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam. A Annę była brawurowa! Wiedziała, co robi. Uratowała nam życie, i to w ostatniej chwili.

— Jest jedną z lepszych — przyznał Don. — To nasza „Annie Oakley”. No, ale co zamawiamy?

— Ja biorę combo — zdecydowała Carla — i ty, Wiktor, też.

Pochyliła się w stronę jego menu i pokazała swój wybór.

— Czegoś takiego w Moskwie nigdy nie jadłeś, za daleko od oceanu. Dlatego chciałam, żebyśmy tu przyszli. To taki zestaw dań: łosoś chinook z Alaski, najwyżmienisty homar z Karaibów i gigantyczne krewetki z Zatoki Meksykańskiej. Wszystko świeżuteńkie, a krewetki w najwspanialszej na świecie panierce. Pyszne! I co?

Wiktor, który dotąd niczego podobnego nie widział, tyleż samo uwagi poświęcał wystrojowi restauracji, co studiowaniu menu.

— Brzmi niesamowicie — powiedział. — Jeśli polecasz...

— Nie pożałujesz — potwierdził Don z zapałem. — Ja biorę to samo.

— I ja też — dokończył Ken.

— Czyli wniosek przeszedł jednogłośnie — roześmiała się Carla. Kiedy zamówili dania, postanowiła nie tracić czasu. — Zanim przejdziemy do rzeczy, chciałabym zapytać Dona, czy FBI nie mogłoby wytłumaczyć CIA, że Wiktorowi należy pozwolić obejrzeć co nieco na zewnątrz, przynajmniej raz na jakiś czas. Wiem, że przeżycia z dzisiejszego wieczoru bardzo dobrze mu zrobią, i nie widzę powodu uważać, że grozi mu jeszcze jakieś poważne niebezpieczeństwo. Nie mam racji?

— Klimat na Kremlu nieco się polepsza — odparł Don. — Niewykluczne, że naprawdę dążą do pokoju, ale oczywiście mają w tym swój własny interes. Rosyjski prezydent i nasz wyraźnie przypadli sobie do gustu. Ale nie ma tu żadnych gwarancji.

— Więc uważasz, że Kay Morris mówiła prawdę, twierdząc, że już wcześniej wzywano ją do Moskwy, ale nie posłuchała, bo chciała się zemścić na mnie i na Carli? — zapytał Wiktor.

— Na bazie tych informacji, jakie są mi znane, to rzeczywiście prawda. Ale mogą się tu kręcić jacyś inni agenci-renegaci. Na twoim miejscu, Wiktorze, dokonałbym całkowitej zmiany tożsamości. To wielki kraj. Nietrudno ci będzie zniknąć z pola widzenia, w każdym razie, jeśli przestałeś być już tak ważnym dla Sowietów.

Wiktor miał ponurą minę.

— To nie jest możliwe przed Kongresem. Właśnie dzięki mojej prawdziwej tożsamości jestem dla Leightona tak cenny. Leighton mówi, że sprawą najważniejszą jest, żebym to ja wygłosił główną przemowę.

— Wobec tego poproszę CIA, żeby się tym zajęli natychmiast po Kongresie, kiedy już twoja prawdziwa tożsamość wypełni swoją rolę. A do tego czasu nie opuszczajmy waszej twierdzy. Mam tu teraz czterech ludzi do twojej ochrony. Dość drogo kosztuje Wuja Sama ta kolacja.

— Żartujesz! — Carla rozejrzała się po sali. — Nie podejrzewałam, że to będzie konieczne, ale myślę, że nie pożałujesz. Wiktor bardzo chciał przedyskutować z Kenem kilka swoich myśli, a - jak ci wiadomo - Ken jest w bazie

persona non grata. Więc to był jedyny sposób. Wiesz co — zwróciła się do Wiktora — może powiedz im to, co mówiłeś mi dziś po południu.

— Byłem półprzytomny z radości, kiedy się tu znalazłem — zaczął Wiktor. — Kiedy zobaczyłem siły Del Sassa, całkowicie zmieniło się moje myślenie. A Plan dawał tak wielką nadzieję na uratowanie Ziemi... Ale powoli przestało mi się podobać, że Archonci tak wszystko dyktują. Ich słowo jest prawem i trzeba go słuchać, bo inaczej... Zupełnie jak w tym represyjnym systemie marksistowskim, z którego udało mi się uciec. Zauważyłem, że wszystko, co robią Archonci, w jakiś sposób umacnia pozycję i siłę Del Sassa. To on jest kluczem całej sprawy. Codziennie przez usta Del Sassa dociera do nas „transmisja” od Archontów, w której mówią, co mamy robić. Ale nie da się wykazać, czy przez Del Sassa rzeczywiście mówią Archonci, czy on po prostu gra. Zaczęło mnie to męczyć.

Próbował jeść w trakcie rozmowy. Najwyraźniej nigdy dotąd nie miał do czynienia z homarem i nie wiedział, z której strony zacząć.

— No, kto prowadzi? — droczyła się Carla. — Ty czy potwór morski?

Nie chcąc otwarcie przyznać się do porażki ze skorupiakiem, powiedział:

— Koniec końców moje będzie na wierzchu — i dalej atakował jeden z kleszczy.

— Poczekaj, pokażę ci — zlitował się Ken ze śmiechem.

— Mmm! Pyszne! — powiedział w końcu Wiktor. Przełknąwszy kilka sporych kęsów soczystego, białego mięsa, z zapałem mówił dalej. — Plan obiecuje, że Del Sasso jest tylko pierwszym wśród wielu. Że pojawią się miliardy podobnych do niego, które będą używać sił mediumistycznych dla dobra ludzkości. Jednak dotąd nie udało się nam wyszkolić a n i j e d n e g o . Szkoliliśmy na Psitronie po kolei sześć mediów, każdy skończył tragicznie. Pięciu zaczęło się dziwnie zachowywać, stracili poczucie rzeczywistości - dwóch jest nadal w szpitalu psychiatrycznym. Ostatnie medium, to jest Inger - rzekomo się powiesiła.

— Tego jeszcze nie ustalono — wtrącił Don. — Bardzo dziwny przypadek.

— W każdym razie chodzi o to — podjęła Carla — że ktokolwiek, kto zdaje się posiadać siły mogące zagrozić pozycji Del Sassa, zostaje w ten czy inny sposób wyeliminowany.

— Komunizm na papierze też wygląda atrakcyjnie, tylko że obiecany przez niego raj jakoś nigdy nie potrafi się zmaterializować — powiedział Wiktor. — Podobnie z Archontami. Obiecują pokój, miłość i braterstwo, ale jak dotąd oglądamy wyłącznie gwałt i śmierć. Powiem szczerze: uważam, że Archonci to może być wielka mistyfikacja, a Plan to po prostu przebiegły sposób Del Sassa na zdobycie władzy nad światem. Podejrzewam, że Frank jest tu współwinny, ale może i on dał się nabrać, jak i my.

— I co myślisz? — Carla zwróciła się do Kena.

— Wiesz, jakie jest moje zdanie. Ale Wiktor nie wie; może więc co nieco wyjaśnię. Biblia mówi, że pewien nikczemny człowiek nazwany Antychrystem obejmie władzę nad światem.

— Aha, „Pan 666”? — powiedział Wiktor. — Więc ty w to wierzysz?

— Mhm, tak. W przeszłości mieliśmy kilku obiecujących kandydatów. Hitler był już bardzo blisko. Ale to się może stać tylko wtedy, gdy Bóg do tego dopuści, natomiast sam Antychryst będzie prawdopodobnie wcieleniem Szatana, określanego również mianem węża. Nie wiem, czy akurat plan Archontów doprowadzi do tego wszystkiego. Choć Del Sasso dysponuje wielkimi siłami, przynajmniej na razie, wątpię w to, że on jest Antychrystem. Ale niewątpliwie spełnia kilka podstawowych warunków.

— Na przykład? — zapytała Carla.

— Jeślibyśmy zajrzeli do Drugiego Listu Pawła do Tesaloniczan, do drugiego rozdziału, albo do trzynastego rozdziału Apokalipsy, to przeczytalibyśmy, że Antychryst będzie objawia c a ł ą moc Szatana „wśród znaków i fałszywych cudów, z całym zwodzeniem”. To z pewnością pasuje do Del Sassa, a fakt, że się urodził w Rzymie, w niczym nie przeszkadza. Jednak wydaje mi się, że Antychryst będzie startował z mocnej bazy politycznej, a więc w tym wypadku na dwoje babka wróżyła.

— To Del Sasso jest naprawdę taki niezwykły? — zapytał Don.

— Nieprawdopodobny! — powiedziała Carla. — Jego siły parapsychiczne dadzą się porównać chyba tylko z tym, co Nowy Testament mówi o Jezusie. Nie widziałam, żeby wskrzeszał umarłych, ale nie wątpię, że by potrafił. I nie tylko to: on ma również niewiarygodną siłę przekonywania, taką charyzmę, że w głowie się nie mieści. To z pewnością najodpowiedniejszy człowiek do poprowadzenia Planu, który zresztą jest -jak uważam - genialny i naprawdę oferuje światu prawdziwą nadzieję. To ma sens. Szczerze mówiąc, dalej ufam, że się powiedzie.

Ken spojrzał na nią zawiedzionym wzrokiem, a potem zwrócił się do Wiktora:

— Nie wiem, co wychodzi podczas tych transmisji ani czy Del Sasso czasami nie gra, bo nigdy mnie na nich nie było. Ale z tych strzępów, które sły-
szałem, wnioskuję, że nie jest to plan Del Sassa. To plan Archontów, a to są demony.

Zauważył cyniczny uśmiech Wiktora.

— Byłem takim samym sceptykiem, jak ty, Wiktorze, może nawet większym. Pytasz o moje zdanie, więc muszę ci wyniszczyć choć niektóre powody, dlaczego tak uważam. Inaczej jeszcze trudniej byłoby ci zrozumieć.

— Ja tego nie odrzucam — odparł Wiktor. — Chcę dokładnie wiedzieć, jakie jest twoje zdanie.

— Więc posłuchaj — powiedział Ken. — Del Sasso może mieć wielkie nadzieje na władanie światem. A ze swoją pokręconą teologią może nawet sądzi, że zostać Antychrystem - to byłby wielki honor. Może właśnie dlatego prawdopodobnie pozbył się każdego, kogo zdolności mogłyby mu w przyszłości zagrozić. Ale Archonci istnieją naprawdę. Musisz wiedzieć, że w historii okultyzmu znajdujemy do nich bardzo wiele odniesień, choć najczęściej nazywa się ich „Dziewięcioma”. Tak mi się zresztą na początku przedstawili.

Wiktor skinął głową.

— Więc Del Sasso nie wziął niczego z powietrza. Udawał, że kontaktuje się z istotami znanymi z tradycji, które nie są obce przynajmniej okultystom i mediom. To by dawało Planowi pewne uzasadnienie. Może takie istoty rzeczywiście istnieją. Nie będę w tej chwili z tym polemizował. W końcu do ucieczki na Zachód skłoniło mnie właśnie przekonanie, że za zjawiskami parapsychologicznymi stoją bezcielesne istoty; chciałem mieć możliwość kontynuowania badań.

— No to jak w końcu? — niecierpliwiła się Carla. — Zdawało mi się, że sugerowałeś, że oni nie istnieją.

— Chodzi mi o to, że nie istnieją w takiej formie, w jakiej Del Sasso ich przedstawia. Nie wiem, kim czy czym są naprawdę, ale wydaje mi się, że on zrobił z nich coś, co mu się bardzo przyda.

Ken sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął książeczkę w czarnej oprawie. Potrzymał przed Wiktorem, żeby mógł się przyjrzeć.

— Mam tu coś, co bywało chyba w Związku Sowieckim rzadkim okazem; może nigdy tego nie widziałeś.

— A co to takiego? — zapytał Wiktor.

— Nowy Testament, część Biblii.

— Masz rację. Nigdy tego nie miałem w ręku.

— Chciałbym ci przeczytać parę wersetów... — Ken rzucił okiem na Carlę. Wyraz wyczekiwania na jej twarzy ucieszył go.

— Wiercie lub nie, ale o Archontach powiedziano tutaj już 1900 lat temu — dodał. Carla była wyraźnie zdumiona. — Pewien żydowski przywódca religijny imieniem Szaweł, który nienawidził chrześcijan, wtrącał ich do więzień i zabijał, twierdził potem, że Jezus Chrystus zmartwychwstał, ukazał mu się i skłonił go do nawrócenia. To jedyne rozsądne wyjaśnienie, dlaczego Szaweł nagle sam został chrześcijaninem. Znano go później jako Apostoła Pawła. Bywał wtrącany do więzień, został też zabity. Przeczytam wam fragment listu, który napisał do kościoła istniejącego w tamtym czasie w Efezie, mieście, które znajduje się teraz w Turcji: „W końcu bądźcie mocni w Panu - siłą Jego potęgi. Obleczcie pełną zbroję Bożą, byście mogli się ostać wobec podstępnych zakusów diabła. Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rzą-

dcom świata tych ciemności, przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich. Dlatego weźcie na siebie pełną zbroję Bożą, abyście w dzień zły zdołali się przeciwstawić i ostać, zwalczwszy wszystko."

Wiktor zdawał się nieporuszony.

— No i co?

— W miejscu słowa „Władze” w oryginale greckim - bo Paweł pisał po grecku - jest użyte słowo „Archonci”. Kiedy zobaczyłem to pewnego wieczoru podczas czytania, o mało nie spadłem z krzesła.

— Wiedziałem, że to greckie słowo — oznajmił Wiktor. — Ale nie miałem pojęcia, że w oryginale Biblia została napisana po grecku, czyli tak, jak te „wiadomości”, które dostawaliśmy w moim laboratorium w Rosji! — nie spuszczał teraz z Kena wzroku.

— Archonci, jak zapewne wiesz — kontynuował Ken — byli dziewięcioma urzędnikami, którzy w czasach Apostoła Pawła rządzą Atenami. Jednak Paweł, który twierdzi, że pisze to wszystko z Bożego natchnienia, daje wyraźnie do zrozumienia, że wspomina ateńskich władców tylko w celu zobrazowania podobnej hierarchii istot demonicznych, władającymi siłami zła na świecie. Mówi nawet konkretnie, że bitwa nie toczy się przeciw ciału i krwi, to jest nieprzyjaciołom-ludziom, ale przeciw istotom duchowym, wyjątkowo potężnym i nikczemnym. A one najwyraźniej znajdują się pod rozkazami tych, których Paweł nazywa Archontami, to znaczy Dziewięcioma.

Carla słuchała tych wyjaśnień z ewidentnym zdumieniem.

— Dlaczego nigdy mi nie mówiłeś, że Biblia identyfikuje Archontów? — zapytała ostro. — To zdumiewające!

— Hm, nie przejawiałaś szczególnej ochoty, żeby słuchać czegokolwiek związanego z tą księgą, nie pamiętasz?

— Ależ Del Sasso zna Biblię — upierał się Wiktor. — Na pewno wie, że jest tam mowa o Archontach, i to mu daje jeszcze jeden powód, żeby udawać, że nim kierują.

— Nie „udawać”. Oni nim faktycznie kierują — powiedział Ken stanowczo. — Doszedłeś do wniosku, że źródłem siły mediumistycznej są jakieś bezcielesne istoty, a nie umysł medium, jak się popularnie uważa. Całkowicie się z tym zgadzam. Archonci, to znaczy Dziewięciu, muszą być źródłem tej siły!

— Ale skąd można wiedzieć, że mają jakiś Plan, który na dodatek wychodzi przez usta Del Sassa podczas transmisji? — nie ustępował Wiktor. — A może nie obchodzi ich, w jaki sposób ta siła jest używana? Więc Del Sasso udaje, że to oni nim kierują, a w ten sposób może tę siłę zmonopolizować i zawiązać światem?

— To dlaczego rozmaite inne media nie mogą zyskać do niej dostępu? A przecież sam przyznałeś, że Del Sasso to wyjątkowa osoba. To by wskazywa-

ło, że jest ich wybrańcem i ma realizować ich, a nie własne cele. Ta sprawa przerasta Del Sassa, a nawet całą ludzkość. Między Bogiem a Szatanem toczy się kosmiczna wojna, a ludzkość dołączyła do sił Szatana, akceptując kłamstwo, że możemy się stać bogami. I to właśnie kłamstwo jest też osnową Planu.

— Skoro Bóg jest tak wszechpotężny — zaoponowała Carla — dlaczego nie dołoży Szatanowi w szczękę i nie zamknie go gdzieś raz na zawsze? I będzie spokój!

— Mogę się wtrącić? — zapytał Don, który z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie.

— Proszę bardzo! — powiedział Ken.

— To nie tylko kwestia typu „kto silniejszy?” — zauważył Don. — To jest kwestia moralna. Dobro i zło nie mają nic wspólnego z siłą. Siły nie można utożsamiać ze słusnością. Każda istota musi dobrowolnie dokonać pewnego wyboru moralnego. A jedyny sposób, którego Bóg chciałby - i którego może - użyć, żeby wygrać tę bitwę o ludzkie serca, to miłość. On nas tak ukochał, że stał się człowiekiem i umarł za nas z grzechy, żeby mieć prawną podstawę nas usprawiedliwić. Kto kocha Boga w zamian za Jego miłość i kto uznaje w Chrystusie swojego Zbawcę i Pana, ten jest uwolniony z mocy Diabła. A w imieniu Jezusa Chrystusa ma całkowitą moc nad Szatanem i jego demonami.

Ken pochylił się nad stołem i z zapałem mówił do Carli i Wiktora.

— Oboje widzieliście, jak wtedy w laboratorium pozbawiłem Del Sassa mocy. Słyszałem, że on próbował to wyjaśniać inaczej, ale to kłamstwo. Widzieliście, że się go nie bałem. A Carla może ci, Wiktorze, powiedzieć, że ktoś podobny do Del Sassa, a w rzeczywistości był to demon, który przybrał jego postać, wszedł do jej sypialni i próbował się jej pozbyć. Mnie zaatakowało coś, co przypominało potężną kobrę. Ale kiedy kazałem im się wynieść, natychmiast zniknęli. W Biblii Szatan jest wiele razy nazywany „wężem”.

Wiktor spojrział na Carlę pytająco, a ona energicznie pokiwała głową.

— Wspominałam ci o tym, ale chciałam usłyszeć wytłumaczenie Kena, bo to dzięki niemu zniknęły. To coś mnie naprawdę dusiło, i byłoby mnie zabiło, gdyby nie Ken.

— Ja też zostałem uratowany, Wiktorze — powiedział Ken. — Jak wiesz, to ja wynalazłem Psitron i jako pierwszy nawiązałem poprzez niego kontakt z Archontami. W rezultacie zostałem przez nich opełniony. Próbowali mnie zabić, i byłoby im się udało, ale chirurg, który mnie operował, był chrześcijaninem. Wyrzucił te demony. Bo to są demony. I całkiem prawdopodobne, że to wcale nie Del Sassa zabił Inger i doprowadził resztę do szaleństwa, ale raczej sami Archonci. O mało im się to nie udało w moim przypadku.

— Czyli to ty powstrzymałeś Del Sassa wtedy w laboratorium... — dumał

Wiktor, nie do końca przekonany. — To by znaczyło, że masz większą moc. A więc mógłbyś przejąć władzę nad światem. To chcesz powiedzieć?

— Moc, dla której stałem się tamtego dnia kanałem, była w nie większym stopniu moja i do mojej dyspozycji niż moc Archontów, którą posługuje się Del Sasso. I żadna z tych sił nie ma charakteru mediumistycznego, Wiktorze. To zupełnie co innego. Władza, jaką mam i której muszą się podporządkować Archonci, a nawet sam Szatan - dlatego zresztą nie boję się Del Sassa - ta władza spoczywa w imieniu Jezusa Chrystusa. On pokonał Szatana, umierając za nasze grzechy i powstając z martwych. To był dowód, że kara została zapłacona i że wszyscy, którzy Go uznają za Pana i Zbawcę, będą mieli wybaczone i znajdą się pod ochroną Boga. Właśnie to powiedział ci przed chwilą Don. A ja chciałem to powtórzyć, bo żadna inna siła nie uchroni cię przed Del Sassem i Archontami, którzy za nim stoją.

— Nie mam zamiaru oddać się Archontom — oznajmił Wiktor z determinacją — bez względu na to, kim są i kogo reprezentują. I nie zostanę - jak to się mówi? - l o k a j e m Del Sassa ani Franka.

— Śmiałe słowa, Wiktorze — powiedział Don. — Podziwiam twoją odwagę. Ale pamiętaj, stajesz naprzeciwko siły, która w mgnieniu oka zmiotła z tego świata Czernowa i jego ludzi! Na jakiej podstawie wyobrazasz sobie, że narazisz się Archontom, a uda ci się uniknąć podobnego losu?

— Nie wiem — odparł ponuro Wiktor — ale nie poddam się nowemu totalitaryzmowi. Jest jeszcze gorszy niż marksizm, z którego wyszedłem!

— Wiktor, błagam cię! — zawołała Carla.

— Oboje jesteście w śmiertelnym niebezpieczeństwie — ostrzegł Ken. — Stanowiliście pewien atut w ramach Planu. Ale jeśli sprzeciwiacie się Archontom i jeśli uświadomią sobie, że nic was już nie zmusi do zaufania im, będą was chcieli zniszczyć. Bóg ma lepszy plan. Dla wszystkich, którzy zrezygnują z buntu i uwierzą w Jezusa Chrystusa.

Wiktor myślał o czymś w milczeniu. W końcu powiedział:

— Ja mam własny plan. Wiem, co zrobię.

Było to wyraźne zakończenie dyskusji.

Ocalić świat

Była już późna noc, gdy Carla wróciła do domu Kena. Po kolacji pojechała z powrotem do bazy, próbować przekonywać Wiktora — bezskutecznie. Ken czekał na nią. Usiedli przy stole w kuchni, żeby porozmawiać — pierwszy raz od prawie tygodnia.

— Bardzo lubię Wiktora — powiedział Ken — ale nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś tak upartego. Powiedział ci, co zrobi?

— Nie. Powtórzył tylko to, co mówił przy kolacji: że ma własny plan i że już dobrze wie, co ma robić. Niczego nie precyzował. Martwię się o niego.

— A ja się martwię i modlę o was oboje. Miałaś tam zostać ze względu na Jordana, a teraz to zadanie jest już wykonane. Wiem, że nie chciałaś opuszczać Wiktora, ale, Carla, on już sobie wszystko poukładał po swojemu, dokonał wyboru... I nawet ci nie powie, jakiego! Nie uważam, że masz jeszcze wobec niego jakiegokolwiek zobowiązania.

— Mam zobowiązania wobec Franka i nie mogę się teraz wycofać. Poza tym jest w tym temat, Ken, temat stulecia, jeśli nie tysiąclecia! Nie straciłam nadziei, że Archonci to wyżej rozwinięte istoty o dobrych intencjach i że to one umieściły nas tutaj na Ziemi i obserwowały naszą ewolucję.

— Coś takiego! — odezwał się z sarkazmem. — Więc jesteście eksperymentem, który rozpoczęli w jakimś laboratorium, a potem przenieśli na tę planetę? A jeśli jesteście jakimś stadium ewolucji, które ni z tego, ni z owego pojawiło się samo z siebie na Ziemi, to kto im dał stanowisko dozorców w tym zwierzyńcu i kto ich upoważnił do kontroli nad naszym losem? Poza tym: jeśli Archonci „nas tu umieścili”, to kto umieścił tam gdzieś i c h ? A kto umieścił tego kogoś, kto ich tam gdzieś umieścił, tam gdzie on jest, a z kolei tamtego kogoś kto umieścił...? *Adfinitum, ad absurdum*, Carla.

— *Dozorcy w zwierzyńcu!* — odchyliła się w tył i wybuchnęła śmiechem. — Nie dajesz człowiekowi żadnych szans, Ken. Zgoda, to absurd, że nas tu umieścili i że jeszcze jakieś „wyższe” istoty umieściły gdzieś ich, *reductio ad absurdum*.

— Więc co się robi, jeśli coś jest absurdem? — zapytał prędko rzeczowym tonem.

— Hej, nie tak szybko! — podniosła obie ręce w geście protestu. — W

twoich oczach wszystko jest takie biało-czarne, proste. Ale ja nie tak to widzę. Tutaj jestem w kropce. Czasami mam ochotę wyć o ratunek i uciekać stamtąd ile sił w nogach. A czasami znowu wyczuwam wokół Antonia autentyczne ciepło i miłość. Sam Bóg wie, że trzeba pewnych drastycznych rozwiązań, jeśli planeta Ziemia ma przetrwać. A Archonci - już mniejsza o to, kim czy czym są - oferują w końcu przynajmniej coś pozytywnego. Pierwszy raz natknęłam się na plan, który ma ręce i nogi.

— Nie ma rąk ani nóg. Brak mu podstaw moralnych, bazy indywidualnej wolności sumienia, a wobec tego autentycznej miłości, a poza tym - cuchnie złem. Wiktor to wyczuwa.

— Ja czasami też, ale nie zawsze. Zdaje mi się, że ja po prostu chcę, żeby się powiodł, bo nie widzę alternatywy.

— Jest alternatywa, Carla, i to bardzo sensowna. Wiesz, o czym mówię.

Przez chwilę jeździła łyżeczką po wzorze na obrusie. W końcu powiedziała:

— Dostrzegam duże podobieństwo między sobą a Wiktorem. Może dlatego jest mi tak bliski. Jego nienawiść do marksizmu, a teraz obawa, że Archonci mogą dążyć do zapanowania nad światem, bardzo przypominają mój stosunek do chrześcijaństwa, kiedy dorastałam. Zdawało mi się bardzo restrykcyjne, a ja chciałam kompletnej wolności.

— Jeśli taka „wolność” by istniała — powiedział Ken — to stalibyśmy się ofiarami niczym niehamowanych działań innych ludzi, które bez wątpienia bywałyby często przeciwne naszym interesom. Prawdziwa wolność może istnieć jedynie w ramach praw, które ją definiują. Posłuszeństwo prawom naturalnym pozwala latać samolotem lub szybowcem, podróżować na Księżyc, posługiwać się energią atomową. Posłuchaj! Przecież wszystkie najwspanialsze osiągnięcia ludzkości powstały dzięki posłuszeństwu prawom, które rządzą fizycznym wszechświatem, dzięki współdziałaniu z tymi prawami, a nie zwalczaniu ich. Istnieją również prawa moralne i duchowe, których trzeba przestrzegać. Ten fatalny omam, że możemy sobie pozwalać na wszystko i łamać te prawa, to przyczyna wszystkich naszych bolączek.

Nie nastąpiła żadna odpowiedź, więc poczekawszy chwilę kontynuował.

— Jedyne prawdziwa wolność jest w Jezusie. A jedyne powody, dla których się Go odrzuca, są związane z ludźmi, którzy Go fałszywie przedstawiają, a nie z samym Chrystusem. Winić Go za to, co inni zrobili w Jego imieniu, to doprawdy nie fair. Zapamiętaj: On cię kocha i jest gotowy wybaczyć ci wrogość.

Wyraz twarzy Carli oscylował między oburzeniem a rozbawieniem.

— Nie wiem, jak to się dzieje, że siedzę tutaj spokojnie i nawet nie mrugnę okiem, kiedy usiłujesz mnie nawracać — powiedziała w końcu i roześmiała się niepewnie. — Gdybyś parę tygodni temu pozwolił sobie na coś takiego,

wypadłabym stąd jak burza. Nie przekonałeś mnie oczywiście, ale cieszę się, że przynajmniej potrafimy już rozmawiać.

*

Wróciwszy z Del Sasse z Waszyngtonu, Leighton zwołał cały personel do sali teatralnej, żeby zdać im relację. Przedtem powiedział kilka słów na temat Kay, nie wymieniając jednak jej nazwiska ani nie podając żadnych szczegółów tego, co wydarzyło się w mieszkaniu Wiktora. Ciało Kay zostało pośpiesznie usunięte jeszcze tej samej nocy, a CIA i FBI spuściły na całą sprawę zasłonę tajemnicy. Annę White następnego dnia nie wróciła już do pracy, a cały ośrodek wrzał od plotek. Dwaj strażnicy z FBI zostali jeszcze na wszelki wypadek, ale nawet Mikę, szef ochrony, nie był świadom ich prawdziwej tożsamości.

— Od jakiegoś czasu podejrzewaliśmy, że wśród nas jest zdrajca... — zaczął Leighton, a Carla zwróciła uwagę na stanowczość w jego głosie. Najwiśdziej zdołał już uznać Kay i o woje ku niej uczucie za sprawę należąca całkowicie do przeszłości.

— ...morderca — kontynuował Leighton — który zabił dwóch strażników i wpuścił tutaj grupę Rosjan. Cóż, osoba ta została już usunięta. Musimy to uznać za przeszłość i spojrzeć w przyszłość, która - co chcę powiedzieć z najwyższą przyjemnością- nigdy przedtem nie wyglądała tak jasno. Pozwólcie, że przedstawię kilka szczegółów z tego, co miało miejsce w Waszyngtonie. Otóż pan prezydent jest z nami całym sercem. Zaprosił do Camp David grupę wybranych ambasadorów z ponad czterdziestu państw, a także życzyliwie do sprawy ustosunkowanych członków Izby Reprezentantów i Senatu. Był obecny niemal cały jego gabinet, a także spora liczba wysokich rangą przedstawicieli Pentagonu. Żałuję, że nie mogliście na własne oczy zobaczyć tego, co się działo, ale mass mediów nie zaproszono. Bylibyście dumni z Antonia Del Sassa. Specjalnie dla tak dostojnego grona wykonał niebываły pokaz, doprawdy nie b y w a ł y .

Leighton uśmiechnął się, a za chwilę roześmiał:

— Naturalnie, znaleźli się i sceptycy, ale Antonio finezyjnie porozstawiał ich po kątach. Był taki senator z Południa, wcielenie sceptycyzmu. Otóż Antonio doprowadził do lewitacji czołgu, który sprowadzono specjalnie na tę okazję. Czołg wisiał w powietrzu na wysokości piętnastu metrów przez całe pięć minut, a Antonio w tym czasie kontynuował prelekcję na temat pokojowego zastosowania siły mediumistycznej. Nie wyobrażacie sobie, co za zdumienie i konsternację to wywołało! Każdy dosłownie osłupiał - z wyjątkiem naszego senatora, którego nazwisko niech pozostanie tajemnicą. Był przekonany, że to jakaś sztuczka. To ci sztuczka! — roześmiał się. — Był jeszcze

pewien kongresmen, który uważał, że to po prostu strata cennego czasu. Ten co chwila powtarzał bardzo napuszczonym tonem: „Nie widzę, żeby ta siła umysłu, którą się nam tutaj prezentuje, mogła mieć jakiegokolwiek praktyczne i pokojowe zastosowanie.”

Leighton uśmiechnął się.

— Antonio to doprawdy uosobienie cierpliwości. Wiecie, że pan prezydent uwielbia strzelać do gołębi. Więc Antonio poprosił, żeby przygotowano przyrząd do wyrzucania tych „gołębi” w powietrze. „Wyobraźcie sobie teraz” - mówi - „że te gliniane gołębie to pociski sowieckie, amerykańskie albo jakieś inne. A teraz patrzcie!” Kiedy „gołąbki” wylatywały z przyrządu, Antonio je roztrzaskiwał niemal w tej samej chwili, jednego po drugim...

Przerwał mu burzliwy aplauz. Leighton dał Del Sasso znak, żeby wstał i przyjął pochwałę współpracowników. «

— Na zakończenie powiem — dodał Leighton — że gdy nadszedł czas naszego odjazdu, wszyscy jedli Antoniowi z ręki. Jedyнным problemem pozostaje tylko rozmiar tej sali, bo - wiercie mi - wszyscy chcą wziąć udział w Kongresie. Panu prezydentowi pozostawiłem zadanie zaproszenia osobistości, które w swoich krajach cieszą się największym wpływem. Dzięki jego poparciu sukces jest w zasadzie gwarantowany!

Nastąpiła burzliwa owacja na stojąco. Po uściśnięciu dłoni wszystkim obecnym i przyjęciu od nich gratulacji Leighton pośpieszył do biura. Zgromadził się tam wewnętrzny krąg, pomniejszony teraz o osobę Kay Morris. Leighton miał zamiar przedstawić im dalsze szczegóły. Najpierw jednak zwrócił się do Wiktora:

— Kiedy przemawiałem do personelu w sali teatralnej, nie dawał mi spokoju wyraz twojej twarzy, Wiktorze. Wiem, że to, przez co przeszłście z Carla, musiało być potwornym przeżyciem. Czy o to chodzi?

— To nic nowego — powiedział Wiktor. — Kiedyś już o tym mówiłem. Sądziłem, że udało mi się z tym uporać, ale tak nie jest.

„Wiktor, uważaj!” — Carla prędko rzuciła w jego stronę ostrzegawcze spojrzenie, ale nie przejął się tym. Słowa wypływały z niego jakby wypychane nadmiarem uczuć.

— Nadal nie daje mi spokoju autorytaryzm Archontów i podobieństwo między Nowym Porządkiem, jaki proponują a systemem sowieckim, z którego udało mi się zbiec...

Potem jakby odzyskał panowanie nad sobą. Bezradnie wzruszył ramionami i spoglądał z żalem to na Leightona, to na Del Sassa.

— Nie chciałybym być tym, który wstrzymuje postęp.

— Ależ to i c h program — powiedziała Carla łagodnie, ale z przekonaniem. — A oni są tak daleko przed nami, że jedyne rozsądne wyjście to posłuchać ich rad. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej, i nie wiem,

co w tym złego.

— To nie przyjmowanie rad mnie dręczy — odparował Wiktor — tylko całkowite poddawanie się ich kontroli.

Leighton był wyraźnie zażenowany. Zwrócił się do Del Sassa:

— Wiktor uczciwie zwierzył się z wątpliwości co do intencji Archontów. Może moglibyśmy mu dać jakiś znak, który by przywrócił w nim zaufanie do Archontów?

Antonio z powagą skinął głową.

— Jestem pewien, że Archonci zechcą potwierdzić swoją dobrą wolę w sposób, co do którego Wiktor nie będzie miał wątpliwości.

Prędko zasiadł w pozycji jogi i niemal natychmiast zapadł w trans. Z jego krtani jał się wydobywać głos starszego mężczyzny. Głośno, powoli, z namaszczeniem głos intonował słowa w języku, którego Carla nie potrafiła rozpoznać i który nie był znany komukolwiek z obecnych... Komukolwiek — z wyjątkiem Wiktora. On sam znieruchomiał z wrażenia.

Głos umilkł równie niespodziewanie, jak się rozległ, a Del Sasso powoli wyszedł z transu.

— No i? — zapytał zaraz.

Wiktorem wstrząsały niekontrolowane dreszcze. Kiedy nareszcie zdołał wydobyć głos, jąkał się.

— On... Mówił do mnie w takim nieznanym dialekcie... używanym tylko w jednej syberyjskiej wiosce, w Karakalińsku. W dzieciństwie odwiedzałem w niej dziadków, mieszkali tam.

Znów porwała go fala emocji. Musiał przerwać, otarł łzy.

— To ... brzmiało zupełnie jak mój dziadek — mówił dalej. — Te same manierezmy, te same frazy. Tak samo mówił, kiedy mnie łąjał, żebym się nie bał krowy mlecznej. Bardzo się jej bałem, gdy byłem mały. Ten głos mówił, że nie muszę się bać Archontów, bo ich cel jest podobny do celu istnienia tej krowy: karmić mnie i całą ludzkość.

Znów zwyciężyły uczucia. Po dłuższej chwili Wiktor kontynuował:

— Właśnie teraz sobie przypomniałem, że dokładnie dwadzieścia lat temu mój dziadek poszedł do lasu i nigdy już nie wrócił. Nie znaleziono ciała. Taki znak dał mi ten głos, ale nie wiem, co by to miało znaczyć.

— To najzupełniej oczywiste — powiedział prędko Del Sasso. — Świat, podobnie jak niegdyś twój dziadek, kroczy ścieżką z której nie ma powrotu. Trzeba go ocalić. Wówczas nie potrafiłeś pomóc dziadkowi, ale teraz możesz pomóc całemu światu.

Wiktor spuścił głowę i szlochał konwulsyjnie.

— Przepraszam... Wstyd mi, że wątpiłem.

Leighton spróbował podjąć wątek rozmowy, chcąc odwrócić uwagę od skrepowanego Wiktora:

— Wiemy już, że Archonci dysponują nieprawdopodobną i przypuszczam, że nieograniczoną mocą. Gdyby ich intencje były złe, już dawno mogliby z nami skończyć.

— Otóż to! — zgodziła się Carla. — Zresztą i tak nie wyobrażam sobie, czego by mogli od nas chcieć.

*

Carla nie zdziwiła się wcale, że odnowiona pewność, wzbudzona przez tę niezwykłą demonstrację, nie trwała zbyt długo. Już od samego początku, od wyrwania Wiktora z rąk Czernowa w Paryżu znajdowała się na emocjonalnej huśtawce. Ostatnio zaś zaczęła się obawiać, że pewnego dnia rozdygotane emocje całkowicie wymkną się jej spod kontroli. Stare, znajome wątpliwości, z którymi od dawna się zmagала, nie przestawały wracać, z coraz większą siłą. Miała jednak nadzieję, że przynajmniej Wiktor wybił sobie z głowy swój „plan”. Bez względu na istotę tego „planu” Carla była pewna, że doprowadziłyby on do bardzo niebezpiecznej konfrontacji z Archontami. A dobrze wiedziała, jak by się to mogło skończyć!

Obietnica, którą sobie nawzajem dali — żeby spędzać ze sobą więcej czasu, padła ofiarą szybkiego tempa zajęć, jakie oboje utrzymywali. Carla udzielała obecnie trochę wywiadów przez telefon i już dwa razy była w San Francisco, na realizacji programów telewizyjnych. Dwa dni po niezwykłym popisie Del Sassa w biurze Leightona postanowiła jednak wstąpić do Wiktora. Był tak wpatrzony w komputer i tak zamyślony, że nawet nie zauważył jej wejścia. Musiała się dopiero pochylić nad jego biurkiem.

— To pamiętniki, czy polerujesz jeszcze przemówienie? — zażartowała.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się, a potem rozparł się na krześle, prostując zdrętwiałe ramiona i plecy.

— Nie. Pytałem tę maszynę, w jaki sposób trafiłem z maleńkiej wioski na Uralu do tego ... tego... — szukał słów, w końcu wzruszył ramionami i rozprostował ręce.

— Chciałbyś tam być z powrotem?

Znów wzruszył ramionami.

— Może. Kiedy pomyślę, dokąd zmierza ten świat, to albo mam ochotę zamknąć oczy i wrócić do dobrych, starych czasów, albo zrobić, co tylko się da, żeby go ulepszyć. A w tej chwili nie jestem już pewien, co jest większą fantazją.

— Trudno stać się zdeklarowanym cynikiem — odparła ze zrozumieniem. — Czasem czuję to samo. Wiesz co? Chodźmy na dwór, na łąk świeżego powietrza. Przyda mi się szybki spacer, łatwiej poukłada się w głowie.

Znalazłszy się na zewnątrz, z dała od budynków, poszli ścieżką tuż pod

murem.

— No — odezwała się cicho — więc przedwczoraj otrzymałeś swój „znak”. Muszę przyznać, że zrobił na mnie wrażenie.

— Mało powiedziane — przyznał Wiktor. — To było niewiarygodne. To był naprawdę głos mojego dziadka, i te jego charakterystyczne powiedzonka, modulacja głosu!

— Po twojej twarzy widziałam, że to coś autentycznego, choć nie miałam pojęcia, co on mówi.

— W tamtej chwili to mnie przekonało, ale potem uświadomiłem sobie naturalnie, że nie jest to „znak” czy dowód ani trochę lepszy niż wszystko inne, co robi Del Sasso. Byłem jak glina w jego ręku. A to mnie skłania do podejmowania dalszych decyzji wyłącznie na własną rękę, a nie w obecności jego czy Franka, czy kogokolwiek innego. Wstyd mi, że tak się wtedy ugiąłem.

— Nie powinieneś w ogóle w ten sposób myśleć.

— Wiem, co mówię, Carla. Kiedy ochłonałem i jeszcze raz wszystko prze-myślałem, zrozumiałem, że widziałem po prostu kolejny przejaw siły mediu-mistycznej i że błędnie uznałem tę siłę za równoznaczną z prawdziwością czy uczciwością. A to było głupotą z mojej strony.

— Masz rację! — powiedziała. — Też o tym myślałam, ale nie śmiałam niszczyć wiary, jaką to w tobie rozbudziło. Ken już od dłuższego czasu pró-bował mi na to zwrócić uwagę: siła nie zawsze oznacza słuszność, a moc nie zawiera w sobie automatycznie moralnego uzasadnienia. Ale nie wydaje mi się, że byłoby w porządku już teraz przypisywać Del Sassowi i Archontom taki błąd.

Wiktor przystanął i wpatrywał się w rosnącą tuż za murem ośrodką gigan-tyczną sekwoję, która zawsze tak go zdumiewała. Kiedy odwrócił się do Car-li, miał zwężone oczy, a w głosie zabrzmiała surowa determinacja.

— Ryzykowałem życie uciekając przed uciskiem marksizmu. Teraz znowu położę je na szali, żeby pomóc światu uniknąć jeszcze gorszego totalitaryz-mu. Zdaję sobie sprawę, że może się to skończyć moją śmiercią, ale stosow-niejszego wyjścia nie widzę.

— Wiktorze, nie bądź głupcem! Boję się o ciebie!

— Miałem bliskiego przyjaciela, asystenta u mnie w laboratorium; mówił mi mniej więcej to samo, kiedy wyjawiałem, że mam zamiar uciec — zadumał się. — Był chrześcijaninem, jak twój przyjaciel Ken. Ciekawe, co się stało z Dmitrijem po moim wyjeździe.

— Tak bym chciała znać twoje plany. Może mogłabym w czymś pomóc.

Potrząsnął głową.

— Zobaczysz, kiedy przyjdzie na to czas.

Kongres Światowy 666

Był 14 lipca, dzień, który już na zawsze pozostał pamiętnym. Data ta – według postanowienia uczestników Kongresu Światowego 666 – miała być datą kluczowego wydarzenia w historii, kładącego podwaliny Nowej Ery niezakłóconego pokoju na świecie oraz ekologicznej i gospodarczej pomyślności. Owa data miała też być zawsze wspominana i czczona jako dzień, w którym ocalono planetę przed niechybną zagładą. W pamięci mieszkańców obszaru słynnego z mgieł dzień ów miał pozostać jako jeden z najpiękniejszych lipcowych dni. Niecodzienna aura zapewniła dygnitarzom przybywającym z całego świata na Lotnisko Międzynarodowe w San Francisco kryształowo przejrzystą i rozległą panoramę: od Pacyfiku i Mostu Golden Gate, przez Nob Hill i drapacze chmur wzdłuż Market Street, Most Oakland Bay, aż do Berkeley, a potem obszar nad Walnut Creek, poza którym majaczył zarys góry Diablo, przypominając zadumanego olbrzyma.

W oczach codziennie dojeżdżających do pracy mieszkańców okolic San Francisco liczba cudzoziemców odzianych w narodowe stroje, począwszy od długich szat po turbany, jacy wysypali się na lotnisko, nie była niczym nadzwyczajnym. Bystre oko z łatwością jednak dostrzegło, że nie jest to zwykły kaliber przybyszów. Trzeba by się cofnąć aż do 1945 roku, do konferencji, która dała początek Narodom Zjednoczonym, aby znaleźć porównywalną liczbę przywódców o międzynarodowym znaczeniu, którzy zebrali się w tej części świata. Zresztą nawet w takim porównaniu wcześniejsze zgromadzenie wypadłoby blade. W roku 1945 pojawili się przedstawiciele tylko 50 narodów – tego zaś dnia w rejon Zatoki San Francisco zjechali dygnitarze z ponad 120 krajów. Postacie ze światowej sceny nie udały się jednak z lotniska na północ, do reprezentacyjnej dzielnicy miasta; nieprzerwany strumień limuzyn skierował się na południe, w kierunku ukrytej pośród sekwoi i nie znanej jeszcze szerszemu ogółowi bazy CIA, na zachód od Paño Alto.

Podniecona, lecz wciąż targana wewnętrznymi konfliktami, Carla kroczyła nerwowo po swoim gabinecie, oczekując wezwania przez interkom, zwiastującego przybycie gości. Będzie wtedy musiała stanąć obok Franka i innych grubych ryb i oficjalnie witać przybyłych. Podniecenie spotęgowało się, gdy rzuciła okiem przez okno i dostrzegła sznur limuzyn wjeżdżających na teren

bazy. Pojawili się dyplomaci z całego świata, w tym także z krajów słabo rozwiniętych i komunistycznych, oraz wysokiej rangi przedstawiciele wojska i paktów militarnych. Jednym z pierwszych przybyłych pojazdów był wóz oznaczony godłem U. S. Army, z flagą czterogwiazdkowego generała umocowaną przy błotniku. Wkrótce dwa tuziny miejsc do parkowania przed głównym budynkiem zostały zajęte i kierowcy musieli wysadzać modnie przyodzianych pasażerów, a potem wyjeżdżać za bramę i parkować na zewnątrz. Obecni wszędzie strażnicy sprawdzali tożsamość i wręczali każdemu zaproszonemu oficjalny pakiet materiałów, ale brama wjazdowa była na oścież otwarta dla uczczenia wielkiego dnia. Od tej chwili pozostanie otwarta już na zawsze, symbolizując nowe zaufanie, jakie zapanuje pomiędzy narodami.

Zgromadzili się również liczni przedstawiciele prasy, ale ponieważ ilość miejsc w sali teatralnej była ograniczona, większość poproszono o pozostanie poza bramą. Zebrało się ich tam prawie dwustu i trzeba było interwencji policji, żeby zapobiec blokadzie wąskiej drogi prowadzącej do bramy. Do środka wpuszczono trzydziestu przedstawicieli czołowych gigantów informacyjnych, których Carla wybrała osobiście. Pozwolono im zmieszać się z gośćmi i na własne oczy oglądać historyczne wydarzenie od podszewki.

Punktualnie o godzinie 16.00 Frank Leighton, nie bez powodu dumny i rozpromieniony, wywiódł swój „wewnętrzny krąg” na zewnątrz. Ustawili się za nim i po kolei witali wszystkich przybywających, których zdążono wcześniej oprowadzić po ważniejszych obiektach ośrodka. Na tę niezwykłą okazję Leighton przyodział się w ciemny garnitur w dyskretne prążki. W klapę wpiął skromny znaczek, który identyfikował go jako szefa Ośrodka Badań Parapsychologicznych. W górnej części znaczka umieszczono symbol: duże, złote cyfry — 666. W pakiecie wręczanym każdemu delegatowi znajdował się podobny znaczek identyfikacyjny: imię, nazwisko, kraj, zajmowany urząd oraz oczywiście ta sama rzucająca się w oczy kompozycja cyfr.

Po lewej stronie Leightona ustawił się Antonio Del Sasso, w swoim długim, czarnym mniszym habicie, z kapturem odrzuconym do tyłu. Uśmiechał się dobrodusznie, ujmując wszystkich nieodpartym urokiem. Potem stała Carla, niebywale piękna, w powiewnej, kwiecistej sukni z jedwabiu, i nareszcie Wiktor, bardzo bladej i spięty. Czuł się okropnie w nowym, bardzo droгим garniturze, który Leighton zamówił specjalnie dla niego, na miarę. Jako główny mówca, musiał przecież jakoś wyglądać.

— Panuje tu wszędzie jakaś ciepła, przecudowna atmosfera miłości, prawda? — szepnęła Carla do Wiktora. — Tak jakby przez cały dzień narastała, nie zauważyłeś?

Potrząsnął głową.

— Nie zauważyłem — powiedział nieobecny głosem.

— Dobrze się czujesz? — zapytała szeptem.

Kiwnął głową i odwrócił wzrok.

— Martwię się o ciebie!

Zeszywniał, ale nie powiedział nic.

Wśród uścisków dłoni i ukłonów zaproszeni delegaci powoli przesuwali się do przodu. Byli zaszczyceni możliwością poznania Leightona i podnieceni okazją uściśnięcia dłoni najwybitniejszemu medium na świecie, temu, który poprowadzi ludzkość w Nowy Wiek. Także Carla i Wiktor stali się adresatami niekończących się gratulacji za wkład wniesiony w sukces ośrodka. Pośród euforii prześwietnego momentu Carla zapragnęła bardziej niż kiedykolwiek uwierzyć, że Plan istotnie uleczy bólączki świata. Cóż za czasy nastana dla Ziemi i jej mieszkańców, jeśli to rzeczywiście nastąpi!

U. S. Marines w paradnych mundurach przechadzali się między gośćmi, nosząc tace pełne rozmaitych napojów i zakąsek. Na rozległym trawniku po prawej stronie bramy ustawiono długie stoły z tym samym. Roilo się tam od gości. Nastąpiła wreszcie chwila, kiedy wszyscy przeszli przez ceremonię powitania. Leighton podszedł do mikrofonu, ustawionego na niewielkim podwyższeniu.

— Czy mogę państwa prosić o uwagę?

Gwar podnieconych głosów przycichł.

— Przed wejściem do sali, gdzie będą miały miejsce główne wydarzenia tego historycznego dnia, Antonio Del Sasso chciałby skierować do państwa kilka słów na temat znaczków, jakie wszyscy państwo otrzymali. A przy okazji, może ktoś nie ma jeszcze znaczka?

Zrobiło się małe zamieszanie — delegaci, którzy wcześniej zapomnieli przypiąć znaczek, zrobili to właśnie w tej chwili. W tym czasie Del Sasso podszedł do mikrofonu.

— Witamy na Światowym Kongresie 666 — zaczął mówić ciepłym, a zarazem mocnym głosem. — Wszystkim państwu wiadomo, że i nazwa, i przedmiot, i data kongresu zostały ustalone przez wyższe inteligencje, które od tysiącleci obserwują nasze postępy. Właśnie w tym kluczowym momencie zdecydowały się interweniować, aby ustrzec nas przed nieuchronną zagładą nuklearną i położyć fundamenty pod nowy rewolucyjny system polityczno-ekonomiczny, który zapoczątkuje Nową Erę pokoju i pomyślności oraz wolności dla wszystkich ludów.

Spojrzenia wszystkich były utkwione w nim.

— Z pewnością wszyscy państwo znają nazwisko Pierre'a Teilharda de Chardina, kapłana-jezuity, słusznie określanego mianem „ojca Nowego Wiek”. Ale być może nie wszyscy państwo wiedzą, że przepowiedział on jutrzennkę tego dnia, dnia, gdy ludzkość wykona milowy skok w przód w swej podróży do punktu Omega, w którym wszyscy uświadomimy sobie własną boskość. Taka zawsze była nadzieja wszystkich religii. Są jednak pewne - na -

zwijmy to - „źle poinformowane” fundamentalistyczne elementy wśród Żydów, chrześcijan i muzułmanów, które tej wspaniałej prawdy nie chcą zaakceptować. Tego rodzaju negatywizm nie może dłużej wstrzymywać rozwoju ludzkości. W tej sprawie zostaną później udzielone szczegółowe pouczenia. Tymczasem jednak zniszczenie mitu o Antychryście, czego dziś wspólnie dokonujemy, jest pierwszym krokiem na tej ścieżce.

Powiódł wzrokiem po wszystkich zgromadzonych.

— Każdy z państwa nosi - z wielką dumą i godnością, jak mnie mam - znaczek z liczbą 666 oraz z własnym nazwiskiem, krajem i zajmowanym stanowiskiem. Waga tego właśnie kroku została już państwu wyłożona w literaturze, jaką otrzymali państwo wraz z formalnym zaproszeniem na ten Kongres. A jednak wielu z was, podając nam dłonie, wyrażało pewne pytania co do tej kwestii, a niektórzy zdawali się wręcz zdezorientowani. Pozwolę więc sobie w kilku zdaniach wyjaśnić niezwykle doniosłość tej chwili. Delegaci z krajów Wschodu być może nie są świadomi tego, że świat zachodni przez całe stulecia drżał z obawy przed mającym nadejść tak zwanym Antychrystem, który miałby przejąć władzę nad naszą planetą i pod karą śmierci zmusić każdego mieszkańca Ziemi do noszenia na sobie znaku „666”. Wasza odwaga i zdeterminowanie, jakie dziś wykazaliście identyfikując się z tą złowrogą liczbą, zniszczyło raz na zawsze wszechpotężne tabu i oswobodziło świat od zniewalającego przesądu, który w przeszłości krępował tak wielu. Świat może uwolnić się teraz od negatywnych koncepcji grzechu i zbawienia oraz upokarzającej, szaleńczej idei, że człowiek jest zależny od jakiegoś mitycznego „Boga”. Wasz odważny przykład będą naśladować ludzie dobrej woli na całym świecie, ci, którzy zechcą utożsamić się z Nowym Porządkiem i nosić taki znaczek. Gratuluję więc roli, jaką dziś odegraliście. Wznieśmy wspólnie toast, by uczcić siebie nawzajem i chwalebłą wolność od destruktywnych wierzeń religijnych, które aż nazbyt długo wstrzymywały postęp i rozdziły nietolerancję.

Po aplauzie nastał czas swobodnych i wesołych rozmów, było słycać brzęk kieliszków. Carla poczuła, że ktoś klepie ją po ramieniu. Odwróciła się, by ujrzeć uśmiechniętą twarz George’a Conklina. Podniósł kieliszek i dotknął jej kieliszka.

— No, to za pokojowe użycie sił mediumistycznych! — mrugnął do niej.

— I to z twoich ust, George — roześmiała się, unosząc swój kieliszek. — To największy komplement, jaki mógł mnie spotkać!

— Mówię poważnie — powiedział. — Dziękuję, że mnie tu wkręciłaś. Niezwykła atmosfera tu panuje. Odczułem to zaraz, kiedy tylko przekroczyłem bramę. Z każdą chwilą to odczucie miłości się potęguje!

— Cudownie, George! Bajecznie!

— Wiesz, że prawienie komplementów nie jest w moim stylu, ale to nie-

zwykłe zjawisko. Nigdy jeszcze się tak nie czułem!

— Nawet sobie nie wyobrażasz, co za chwilę zobaczysz! — dodała Carla. — Twardy z ciebie orzech, ale uwierz mi: zostaniesz zadziwiony - i narwrocony. Po dzisiejszym dniu nie będzie już żadnych wątpliwości!

Odwrociła się, żeby dotknąć kieliszków innych osób, o rozmaitych barwach skóry, ubiorach i zachowaniu; wznoszono toasty za nową erę pokoju, która - w co nikt nie wątpił - właśnie zaświtała. Carla, unoszona na fali wszechogarniającej miłości i ekstatycznego optymizmu, które nie zdołały jednak ukoić jątrzących się w niej rozterek, zauważyła, że z dumą dotyka znaczka Kongresu. Cóż za przywilej: ścisnąć dłonie i obejmować się w prawdziwym poczuciu braterstwa z ludźmi światowej sławy, reprezentującymi dziesiątki różnych krajów, które ich tu przysłały jako przedstawicieli. To jakby przelotny rzut oka na przyszły świat, który wkrótce stanie się rzeczywistością, dzięki ich wspólnemu oddaniu idei Planu.

Straciła z oczu Wiktora i zastanawiała się, gdzie się mógł podziać. „Czy Archonci wiedzą o tym, co planuje? Czy to nie zaszkodzi Planowi? A jeśli miałyby zaszkodzić — go w jaki sposób go powstrzymają? Powiedzieć Frankowi, że Wiktor ma własny plan? Czy to by nie wyszło na dobre Wiktorowi, i w ogóle całemu światu?”

Wyczuła, że ktoś się jej przygląda. Podniosła wzrok i ujrzała Antonia Del Sassa, który powoli przesuwiał się przez tłum i był teraz może dwa metry od niej. Uśmiechał się. Odpowiedziała tym samym i zdmuchnęła w jego stronę pocałunek.

Leighton znów podszedł do mikrofonu.

— Za parę minut wejdziemy do środka, gdzie na własne oczy zobaczycie niewiarygodne możliwości, jakie spoczywają w Antoniu Del Sassie. W tej właśnie chwili przechadza się on pomiędzy wami. To doskonała okazja, żeby osobiście zamienić z nim kilka słów. Jak już wam wiadomo ze sporządzonego przez Biały Dom raportu, który wysłano do każdego z was, doktor Del Sasso dysponuje siłami, których nikt do tej pory, czy to z żywych, czy umarłych - wliczając w to Krisznę, Buddę, Jezusa Chrystusa czy Mahometa - nie przejawiał.

Wszyscy słuchali z uwagą.

— Celem naszym nie jest jednak oddawanie mu hołdu. Nie jest też jego zamiarem skłaniać nas do tego. To człowiek wielkiej pokory, którego jedynym pragnieniem jest służba ludzkości. Antonio przypomina mi nieustannie, że został wybrany przez wyżej postawione inteligencje jedynie jako swego rodzaju prototyp milionów, a w końcu i miliardów innych, którzy za jego przykładem i pod jego przewodnictwem osiągną we właściwym czasie takie same, boskie w naturze zdolności. To jest właśnie sednem Planu i jedyną nadzieją na zbudowanie nowego świata pokoju, miłości i prawdziwego braters-

stwa między wszystkimi narodami. Tylko wówczas możemy być przyjęci do międzygalaktycznej społeczności cywilizacji planetarnych, które cierpliwie przez długie stulecia oczekiwały naszej mocno spóźnionej dojrzałości. Cóż za wspaniałe dziedzictwo dla naszych dzieci i wnuków!

Przebiegł wzrokiem całe zgromadzenie.

— Już w tej chwili możecie zacząć przechodzić w prawo, w kierunku tamtych dwóch wejść, do sali teatralnej, zobaczycie tam dwóch marines. Żeby wejść, trzeba mieć znaczek przypięty w widocznym miejscu. Zbierzemy się tam wszyscy za około 15 minut.

*

Przez ponad tydzień Kenowi bardziej niż zwykle ciążyła troska o Carlę. W tej sprawie doszedł do wniosku, że poza żarliwą modlitwą nie ma już żadnych innych możliwości działania. Przez kilka ostatnich dni kontakt między nimi był coraz słabszy, Carla zdawała się zamknięta w sobie i małomówna. Nie uważał, że powinien wdziierać się w jej prywatny świat, czuł, że trzeba* ją teraz zostawić samą i że sama musi rozstrzygnąć swoje rozterki. Ani modlitwa, ani przekonywanie nie zmusi jej do podjęcia właściwej decyzji — ta musi wypłynąć z głębi jej własnej duszy. Argumenty, zachęcanie, namawianie — tego było już z jego strony aż nadto. Znała prawdę, pozostawało tylko według niej postępować; on nie miał tu już nic więcej do zrobienia. Kiedy przybliżał się dzień Kongresu, z coraz większym bólem i żarliwością błagał Boga, żeby wszelkim możliwym sposobem otworzył jej oczy na prawdę.

Trzynastego rano, przy śniadaniu, pokazała mu znaczek. Wyglądała tak, jakby w ogóle nie przejęła się wielkim napisem „666”; a on osłupiał:

— Nie wiem nawet, co powiedzieć... To potworne! Igrasz z losem nieśmiertelnej duszy!

— Uspokój się, Ken — padła natychmiast odpowiedź. — Jeszcze nigdy tak się nie zachowywałeś!

— Carla... Twoja matka, gdyby żyła, o wiele bardziej przejęłaby się tym, że nosisz znak „666”, niż niewiernością ojca!

Włożyła znaczek z powrotem do torby i nie mówiąc ani słowa wstała od stołu i wyszła, nie tknąwszy śniadania.

— Kto przyjmuje ten znak, będzie cierpiał gniew Baranka! — wołał za nią kiedy biegła korytarzem. — Nie ściągaj na siebie gniewu Bożego! Carla, proszę!

Wybiegła z domu, nie odzywając się wcale.

Z rozpaczliwym pośpiechem zadzwonił do Hala i Karen Elliottów, których považał i szanował jako swoich duchowych rodziców.

— Modlitwa nie zmieni jej zdania — zauważył Hal. — Ale możemy sta-

nać do bitwy z mocami duchowej ciemności i zła. Bo to one omotały Carłę i innych tak, że nie mogą już odróżnić prawdy od kłamstwa. Możemy prosić Boga, żeby interweniował i udaremnił ten diabelski Plan, przynajmniej na jakiś czas. Żeby świat zyskał jeszcze szansę na zwrócenie się do Chrystusa.

Rozważywszy to, postanowiono, że kto będzie mógł, 14 lipca weźmie wolne w pracy i spotka się z innymi na modlitwie i poście.

Tego dnia Carla i Ken widzieli się tylko krótko, przy śniadaniu. Pani Inman próbowała nawiązać rozmowę, bez większego sukcesu. Ken poczekał do samego końca śniadania, a potem jeszcze raz, delikatnie, próbował uświadomić Carli powagę sytuacji, w jakiej za chwilę się znajdzie. Grzecznie podziękowała mu za z troskanie i zaraz odjechała w kierunku ośrodka, krzyknąwszy jeszcze w ostatniej chwili: „To wielki dzień!” pod jego adresem. Parę minut później Ken z matką również odjechali — do Elliottów. Dla nich także miał to być „wielki dzień”.

W znajomym salonie, gdzie zebrało się około 20 osób, panowała atmosfera powagi.

— Jestem przekonany, że to największa do tej pory próba, przed jaką stanęliśmy jako grupa — powiedział doktor Elliott przed rozpoczęciem modlitwy. — Jak wiadomo, to od dawna oczekiwany dzień. Leighton i Del Sasso podejmą próbę przekonania delegatów z całego świata, by powierzyli swoje kraje Archontom. Chyba wszyscy wiecie, że archont to greckie słowo, które w Liście do Efezjan jest tłumaczone jako «władze» albo «zwierzchności». Apostoł Paweł wyjawia, że to oni kierują złymi mocami ciemności nad ziemią. Delegaci na Kongres nie zdają sobie oczywiście z tego sprawy, ale zaakceptowanie Planu Archontów jest równoznaczne z oddaniem Antychrystowi władzy nad światem. Przekonano ich nawet, żeby nosili na sobie znak „666”. To ma ośmieszyć biblijne ostrzeżenie z 13 rozdziału Apokalipsy. Jestem pewien, że w niebiosach toczy się teraz wielka bitwa, a nasze modlitwy mogą w istotnym stopniu wpłynąć na jej rezultat.

Pokiwał głową.

— Oczywiście, jeśli to wyznaczony przez Boga czas przejścia władzy przez Szatana, modlitwa nic tu nie zmieni. Ale - nie wiem dlaczego - jestem przeświadczony, że ta chwila jeszcze nie nadeszła. Gdyby tak było, to wierzę, że zostalibyśmy już stąd zabrani, no, a to się nie stało. Więc módlmy się. I zwiążmy siły zła w imieniu Jezusa Chrystusa, aby nie zwiódły tych, którzy wciąż jeszcze są otwarci na prawdę. Módlmy się, żeby zamiary Diabła zostały pokrzyżowane i żeby nie udało się jeszcze wprowadzić Planu. Żeby Bóg zechciał udzielić jeszcze trochę czasu na głoszenie ewangelii i żeby wielu jeszcze przyszło do Chrystusa, zanim będzie za późno.

— Chciałbym jeszcze prosić o modlitwę o dwie konkretne rzeczy, w zwią-

zku z Carla — dodał Ken. — Żeby otworzyły się jej oczy i żeby miała dość odwagi, by odwrócić się od złego i zwrócić do Chrystusa. I żeby nic się jej fizycznie nie stało. W tej chwili ośrodek to beczka z prochem. Wszystko się może zdarzyć. Módlcie się też o Wiktora Chorewa, tego Rosjanina, i o Fran-ka, no i o wszystkich delegatów z całego świata. Żeby otworzyły im się oczy i żeby wyrwali się z tego omamu i spod wpływu kłamliwych duchów.

Gdy więc na terenie bazy Leighton, jego zespół i wielka rzesza zgromadzonych przywódców światowej sceny politycznej delectowali się jedyną w swoim rodzaju chwilą w życiu, niepozorna grupa orędowników klęczała, zanosząc modlitwy, by te właśnie wielkie nadzieje nigdy się nie spełniły.

*

Delegaci wchodzili do sali drzwiami z zewnątrz, tymczasem Carla i pozostali członkowie zespołu, którzy mieli siedzieć na podwyższeniu, weszli tam przez hall od środka. Skręcili w lewo, minęli drzwi do biura Leightona, potem skręcili w prawo, minęli główne laboratorium, w którym Carla i Wiktor pierwszy raz widzieli, jak Del Sasso demonstruje swoją siłę, a potem znów poszli w lewo wąskim korytarzem wychodzącym na drzwi na podwyższenie w sali teatralnej. Do Leightona, Del Sassa, Wiktora i Carli, którzy zajęli specjalne miejsca na podwyższeniu, za mównicą, dołączył Mikę Bradford, szef ochrony, jego zastępca, sekretarka Leightona oraz były wykładowca Cal Tech — Chris Burton, który przybył niedawno, by jako szef laboratoriów zająć miejsce po Kay Morris.

Z honorowego miejsca na podwyższeniu zafascynowana Carla obserwowała przedstawicieli ponad 120 krajów, jak śpieszą, by zająć pierwsze rzędy w liczącym zaledwie 250 miejsc audytorium. Wybitni luminarze - wielu z nich o światowej sławie - przypominali ciekawskie i podniecone dzieci, które niecierpliwie pchają się na poranek filmowy. A do tego pomyśleć jeszcze, że prezydent Stanów Zjednoczonych został dosłownie zalany prośbami z całego świata, od ambasadorów, parlamentarzystów, kongresmenów, senatorów, którzy błagali o umożliwienie uczestnictwa w Kongresie. Tysiącom musiano odmówić: brak miejsc! Zdumiewająca akceptacja i poparcie w tak wczesnym stadium, jeszcze przed wyjawieniem światu całej prawdy o Planie, wywarły znaczący wpływ na myślenie Carli. Ściślej mówiąc, właśnie to - bardziej niż jakiegokolwiek inne wydarzenie z ostatnich dwóch tygodni - przyczyniło się do rozwiania jej wątpliwości i oddania się idei Planu z jeszcze większym zapałem.

Sprowadzono całą armię inżynierów dźwięku i elektroników, którzy mieli wspomóc miejscową kadrę. Byli rozsiani po całej sali, przy kamerach i kabinach nagłaśniania i nagrywania. Skomplikowane operacje pozwoliły dopro-

wadzić kable do każdego fotela, co miało umożliwić proces tłumaczenia simultanicznego, na dwadzieścia języków przez czterdziestu tłumaczy, sprawdzonych specjalnie na tę okazję, po części nawet z zagranicy. Usadowiono ich w kabinach rozmieszczonych pod półkolistą ścianą z tyłu audytorium, pomiędzy potężnymi, oklejonymi dębem wspornikami, które podtrzymywały kopułę dachu. Zaś z tyłu, za Carla piętrząc się od samej podłogi aż do pochyłego sufitu, znajdował się zainstalowany tam ostatnio kolosalny panoramiczny ekran telewizyjny.

Było to dla Carli niezwykle przeżycie: oglądać wszystko na własne oczy i przypominać sobie wypadki, które doprowadziły do tak przedziwnej kulminacji w jej życiu. Jakże prędko toczyły się zdarzenia! Teraz zaś nadeszło ukoronowanie tego wszystkiego, a oczy całego świata kierują się na nich! I pomyśleć, że zaczęło się od tego, że kiedyś" w Paryżu przypadkiem zaparkowała samochód w odpowiednim miejscu i czasie i uratowała Wiktora Chorewa, człowieka, który właśnie siedzi obok niej, człowieka, który za chwilę wygłosi główne przemówienie do tak dostojnego grona zebranych. Jest to zaszczyt i odpowiedzialność, na które z pewnością nie liczył, podejmując decyzję o ucieczce! Rozpaczliwie żywiła nadzieję, że będzie to dla niego moment uhonorowania, wywyższenia i uznania przez cały świat — na co tak sprawiedliwie zasłużył — i że przyniesie mu to szczęście, którego tak bardzo potrzebuje.

Tok jej myśli został przerwany przez stłumiony szept Leightona, nachylającego się do Wiktora:

— Dobrze się czujesz, Wiktor?

— To tylko nerwy — Wiktor machnął ręką. — Kiedy stanę na podium, wszystko wróci do normy.

Leightona to widocznie usatysfakcjonowało, bo wrócił na swoje miejsce obok Del Sassa i oczekiwał na moment, w którym oficjalnie zainauguruje Światowy Kongres 666.

Carla z zatoroskaniem spojrzała na Wiktora. Przeglądał notatki i czerwonym flamastrem podkreślał kluczowe tezy. Nie ma sensu powtarzać mu któryś z kolei raz, że martwi się o niego, ani ostrzegać, żeby nie zrobił niczego głupiego. Mówiła to zbyt wiele razy. Wszystko zrozumie, „kiedy przyjdzie na to czas" — tak jej powiedział. Zdaje się, że ten historyczny moment właśnie nadchodzi. Wciąż podekscytowana, odkryła w sobie nagle potworny lęk.

Całopalenie

— Panie i panowie, dostojni przedstawiciele narodów świata, wybrani reprezentanci środków masowego przekazu — zaczął Leighton. — Wielkim zaszczytem i radością jest dziś dla mnie możliwość przywitania każdego z was na wydarzeniu tak ważnym w długiej i często tragicznej historii rodzaju ludzkiego. Zgromadziliśmy się tutaj, na południu San Francisco, gdzie w 1945 roku pełni nadziei delegaci z krajów o połowę mniej licznych niż dziś spotkali się, by położyć fundamenty pod ideę Narodów Zjednoczonych. Dziś jednak kładziemy fundament pod coś daleko istotniejszego: nie pod organizację narodów, które w dalszym ciągu separują się od siebie nawzajem beznadziejną rywalizacją- ale pod Nowy Porządek Światowy, który uczyni wszystkie narody i wszystkich ludzi równymi i który uczyni ich jednym. Kiedy udowodnimy, że sami potrafimy żyć w jedności i pokoju, wówczas otworzy się przed nami możliwość wejścia do międzygalaktycznej społeczności cywilizacji, które ewolucyjnie daleko nas wyprzedziły i które wyrażają gotowość udzielenia nam ze swoich technologii i nadprzyrodzonych mocy. Da nam to wymarzony dostęp do przepastnego wszechświata kosmosu i jego nieograniczonych zasobów.

Spojrzał gdzieś ponad głowami.

— Zanim nauczymy się chodzić, raczkujemy, zanim nauczymy się biegać, kroczymy niepewnie, potem dopiero uczymy się latać. Klucz do Nowej Ery spoczywa właśnie w tym pierwszym kroku: w zakwalifikowaniu się do uzyskania daru mocy parapsychicznej i otrzymaniu go od inteligentnych istot z zaawansowanego stadium ewolucji, które już od tysiącleci obserwują nasz rozwój. Pierwszy kontakt z nimi nawiązaliśmy już parę lat temu. Wówczas egoistycznie przyjąłem, że siła ta ma być używana wyłącznie przez mój naród jako narzędzie w wyścigu z Sowietami, którzy także próbowali opanować zdolności przydatne w walce parapsychologicznej. Niebawem jednak miałem się dowiedzieć, że intencją Archontów jest, byśmy podzielili się tą wiedzą i siłą sprawiedliwie, z całym światem.

Uśmiechnął się.

— Również w tym widać pewną bardzo istotną różnicę między naszymi dzisiejszymi nadziejami a osiągnięciami Konferencji w San Francisco w

1945 roku. Wtedy również Stany Zjednoczone pierwsze zyskały dostęp do niespotykanej dotychczas siły, jednak obawiały się podzielić nią z resztą świata. Tamta siła stała się przyczyną wielu cierpień w ramach śmiertelnego wyścigu, który się wówczas rozpoczął, a dziś napawa nas lękiem przed nuklearną zagładą. Również i dziś, jak niegdyś, Stany Zjednoczone znają sekret zdumiewającej nowej siły. Jednak tym razem, na szczęście, siła ta znajduje się w rękach wyższych istot i ma się stać udziałem całego świata, a nie tylko strzeżonym przez nas gorliwie amerykańskim skarbem. A ściślej mówiąc, to właśnie równomierny jej podział jest podstawowym warunkiem udzielenia jej nam. Już sam ten fakt powinien uspokoić wszystkie narody i zagwarantować powodzenie wielkiego przedsięwzięcia, które mamy zaszczyt dziś zapoczątkować dla dobra całej ludzkości. Będzie to doprawdy milowy krok.

Podniósł jakąś kartkę. »

— Otrzymacie szkic porozumienia, jakie ma zostać podpisane przez wszystkie narody świata. Kongres nie będzie wprowadzać zmian w tym porozumieniu, bowiem jego treść została w całości ustalona przez Archontów i nie może ulec zmianie. Zobaczycie jednak sami, że jest bardzo prosta w swej wymowie i nie przedkłada jednych narodów nad inne, lecz sprzyja wspólnemu dobru. Przybyliście tu, aby zobaczyć przejawy siły, jaka stanie się udziałem również waszego narodu, jeśli przyłączycie się do Nowego Porządku. Następnie zawieziecie własne wrażenia, wraz z formularzem porozumienia i własną rekomendacją, w powrotem do swoich krajów i przekazecie je głowom waszych państw. W ciągu 60 dni wszystkie narody świata muszą zgodnie podpisać to porozumienie, w przeciwnym razie oferta utraci moc. Nie potrafisz sobie wyobrazić, że jakikolwiek naród mógłby zechcieć zrezygnować z tej siły, ale naturalnie jest to indywidualna decyzja każdego państwa. Nie będziemy wywierać żadnego nacisku, lecz wynik decyzji nie może być anonimowy. Jak sami zobaczycie, otrzymanie prawa dysponowania tą siłą wiąże się z poddaniem się kierownictwu Archontów do chwili, aż zdecydują, że Nowy Porządek został ugruntowany i że dalej poradzimy sobie już sami. Dopóki w każdym kraju nie pojawią się media mogące sformować kompetentną Radę Światową, rozkazy Archontów będą przekazywane ustami Antonia Del Sassa. Jest to człowiek, którego jeszcze raz chciałbym wam zaprezentować, najpierw na tym olbrzymim ekranie z tyłu za mną, a potem już osobiście, kiedy będzie demonstrował swoje możliwości.

Aplauz był burzliwy. Przyciemniono oświetlenie. Wiktor i Carla powtórnie obejrżeli wideo, które Leighton wyświetlił im pierwszego dnia u siebie w biurze. Na początku pokazano odkrycie złóż ropy naftowej, ale dodano jeszcze wypowiedzi kilku geologów komentujących niezwykły rozmiar zasobów, których obecność w tym bardzo nietypowym miejscu została już potwierdzona. Wmontowano również „transmisję” od Archontów przez usta Del Sassa,

w której obiecywali, że podobne złoża znajdują się w wielu innych miejscach na świecie, również na obszarach skrajnego ubóstwa, i że będą ujawniane w odpowiednim czasie.

Potem następowała sekwencja ukazująca Del Sassa w cieplarni w kształcie piramidy, kładącego dłonie na młodych roślinach; później pokazano niezwykle obfity zbiór płodów. W tym momencie przerwano projekcję i zapalono światła, a wiceminister rolnictwa Stanów Zjednoczonych wyniósł na scenę autentyczne płody ziemi i wyjaśnił, że mogą być uprawiane na bardzo lichych i jałowych glebach bez potrzeby nawożenia.

— Jedyną przeszkodą we wprowadzeniu tej obfitości do najuboższych rejonów świata — powiedział z entuzjazmem — jest brak odpowiednio przygotowanych mediów w poszczególnych krajach i miejscach. Im szybciej świat zaakceptuje Plan, tym szybciej doczekamy się całkowitej eliminacji głodu i niedożywienia. Apeluję do państwa, aby po powrocie zachęcili państwo rządy swoich krajów do jak najszybszego zaakceptowania Planu!

Puszczono dalej materiał filmowy. Pokazało się kilka ujęć laboratorium Wiktora na północ od Moskwy. Było widać samego Wiktora w pomieszczeniu kontrolnym. Wycięto jednak makabryczną scenę śmierci Jakowa. Potem następował zdumiewający ciąg obrazów: przywódcy sowieccy na tajnych naradach na Kremlu, generałowie i ich doradcy na nadzwyczajnych spotkaniach w głównej kwaterze NATO, zamknięta sesja gabinetu prezydenta w Białym Domu, potajemne spotkania baronów narkotykowych w Kolumbii, konklawe mafii na najwyższym szczeblu na Sycylii, papież pogrążony w modlitwie w swoich prywatnych apartamentach, jacyś oficerowie analizujący mapę na mostku sowieckiej atomowej łodzi podwodnej, gdzieś pod biegunem. Napisy w języku angielskim wyjaśniały każdą scenę.

Zapalono światła, a na podium, wśród szmeru komentarzy oszołomionej sali, prędko wszedł Leighton.

— Zastanawiacie się pewnie, jak udało się nam zrobić ujęcia tych wszystkich tajnych spotkań na całym świecie — powiedział z uśmiechem. — Nigdy byście nie zgadli! Ujęcia te wykonał Antonio Del Sasso, siedząc w laboratorium, które znajduje się parę kroków stąd, kawałek dalej korytarzem w lewo. Ze swojego mózgu przekopiował je bezpośrednio na taśmę magnetowidową tak jak to widzieliście.

Przerwał i delektował się wrażeniem, jakie wywarły te słowa, a kiedy sala trochę ucichła, mówił dalej:

— Widzieliście na przykład doktora Chorewa w jego laboratorium na północ od Moskwy. Było to, jeszcze z a n i m przyjechał do tego kraju. Wówczas nie miał pojęcia, że kręci się film z jego laboratorium. Proszę nie zapominać, że działo się to w tajnej, doskonale strzeżonej bazie, o której istnieniu wiedziała tylko garstka czołowych przywódców sowieckich. Nie muszę chy-

ba wyjaśniać, jaki potencjał stanowią tego rodzaju zdolności, nie tylko jeśli chodzi o zapobieżenie wojnie, ale i wszelkim przestępstwom. Dlatego właśnie pokazaliśmy ujęcia z tajnych spotkań baronów narkotykowych z Kolumbii i szefów mafii na Sycylii. Ci ludzie nie zostali jeszcze aresztowani, ale z pewnością stanie się to, gdy Plan dojdzie do skutku. Panie i panowie! Zarówno wojna, jak i zbrodnie będą czymś zupełnie obcym tej planecie!

Entuzjastyczne oklaski nie pozwalały mu kontynuować przez prawie minutę. Malujący się początkowo na twarzach entuzjazm prędko ustąpił jednak miejsca głębokiemu zafrasowaniu. Leighton zauważył to i uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Wiem, co niektórzy myślą w tej chwili. Że przekreśli to jednocześnie wszelką prywatność! Nic podobnego. Możecie od razu porzucić takie obawy. Del Sasso nie jest zainteresowany zaglądaniem do sypialni. Nie będzie szpiegowania gospodarczego ani sportowego. Archonci chcą wprowadzić parapsychologiczny system monitoringowy mający na celu penetrowanie wyłącznie działań nielegalnych i nie rejestrujący niczego poza tym. Jedynym wyjątkiem może być tylko sytuacja zagrożenia życia danej osoby. Korzyściom więc nie ma końca, a jednocześnie podejmuje się środki przeciw wszelkim nadużyciom tej siły.

Powiódł wzrokiem po audytorium.

— A teraz chwila, na którą wszyscy czekaliście: oto Antonio Del Sasso na żywo zaprezentuje jedynie maleńką próbkę sił, jakimi Archonci są gotowi obdarować świat. Panie i panowie, doktor Antonio Del Sasso, niezwykle jezuita, ale nie tylko: oto reprezentujący Archontów na ziemi ambasador do specjalnych poruczeń!

Napięcie osiągnęło szczyt i wyładowało się częściowo w burzliwej owacji na stojąco. Del Sasso stał przed nimi w skromnej pozie, z pochyloną głową. Nareszcie gestem poprosił o zaprzestanie braw.

— Na początek krótkie wyjaśnienie — zaczął, gdy oklaski ucichły. — Jeśli ktoś z obecnych ma pewne pojęcie o badaniach nad mediumizmem, które przez ostatnie stulecie rozwijają się dynamicznie w różnych miejscach na świecie, to zdaje sobie sprawę, że jest to niezwykle trudna dziedzina badań. W celu uzyskania najmizerniejszych choćby rezultatów trzeba przestrzegać ściśle określonych reguł. Bardzo trudno powtórzyć wyniki najowocniejszych eksperymentów, nawet jeśli zachowamy identyczne warunki. Co więcej, siła parapsychiczna pozostaje wciąż nieznośnie nieobliczalna i zawodna, a osiągnięte rezultaty - przygnębiająco niepozorne i nie poddające się kontroli. Pamiętając o tym, zechciejcie zwrócić uwagę, że okoliczności te mnie nie trapią. Nie musicie siedzieć w skupieniu, nie trzeba przyciemniać światła, nawet ja sam nie muszę być w pobliżu tego, co ma się stać. A jednak wszystko jest idealnie kontrolowane, nie przeze mnie, a przez Archontów. Mówię o tym je-

szcze raz, ponieważ kluczem do otrzymania tej mocy jest zaufanie i poddanie się tym, którzy nią kierują dla naszego dobra. Ja sam mogę robić tylko to, na co mi pozwolą, i w granicach mocy, której zechcą w danym momencie udzielić. Granice te zresztą przestaną istnieć, gdy Plan zostanie w pełni wprowadzony.

Na twarzy Del Sassa pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech:

— Mamy wśród nas przedstawiciele około trzydziestu gigantów informacyjnych. Siedzą w sektorze po mojej prawej, a waszej lewej stronie. Nie poproszę, żeby wstali albo podnieśli ręce, bo i tak wszyscy będziecie mogli ich zobaczyć. Proszę bardzo!

Ku krańcowemu zdumieniu publiczności oraz udręce i przerażeniu prasowych notabli cała trzydziestka została nagle porwana z foteli i poszybowała wysoko, aż pod sufit. Rozpętało się istne piekło.

— Nie będzie żadnego ataku serca — zapewnił prędko Del Sasso. — Medyczne zalety tej siły, o których nie było jeszcze mowy, są niezwykle. Możliwość uzdrowienia wszelkich chorób na ziemi i zapewnienia każdemu długiego życia jest praktycznie nieograniczona.

Dał znak ręką i zawieszeni w powietrzu powoli wrócili na miejsca.

— A teraz — roześmiał się — zademonstruję, jak selektywna potrafi być ta siła. Na pewno wyobrażacie sobie, że każdy, kto przeżył tak niezwykle wydarzenie, jak to, które przed chwilą oglądaliście, od razu z całym entuzjazmem we wszystko uwierzy, prawda? Ale okazuje się, że jednak nie tak się sprawy przedstawiają. Sceptycyzm dziennikarzy i reporterów jest doprawdy niewiarygodny. Niektórzy z nich nadal uważają że to, co się im przytrafiło, to jakaś sztuczka. Za chwilę ci z nich, którzy wciąż powątpiewają w tę moc i w Plan, doświadczą tego jeszcze raz, i zobaczymy, czy uda nam się z nich zrobić gorliwych neofitów.

W jednej sekundzie pięciu mężczyzn i dwie kobiety wystrzelili w górę i znalazło się pod sufitem. Carla z satysfakcją zauważyła, że nie ma wśród nich George'a Conklina. Del Sasso opuścił ich na dół wśród śmiechu i oklasków.

Stał teraz naprzeciw publiczności z rękami założonymi na piersi i badawczo przypatrywał się zgromadzonym. Salę sparaliżowało napięcie: Co ten człowiek ma zamiar teraz zrobić? Nagle wybuchnął szczerym śmiechem:

— Nie martwcie się — zapewnił. — Koniec z udziałem publiczności.

Dały się słyszeć westchnienia ulgi.

— Niektórzy z was byli obecni w Camp David kilka tygodni temu — kontynuował Del Sasso — kiedy pewien powszechnie znany senator z Południa wątpił, czy ta siła może się w jakikolwiek sposób przyczynić do osiągnięcia światowego pokoju. Wtedy ustawiono tam przyrząd do wypuszczania „gołębi”. Kiedy wypuszczał gliniane gołębie, natychmiast je unicestwiałem, siłą umysłu rozbijałem na tysiąc kawałeczków, sugerując, że kiedy Plan zostanie

wprowadzony, ten sam los spotka międzykontynentalne pociski raketowe, bez względu na to, gdzie zostaną wystrzelone. W pierwszym rządzie należałoby oczywiście rozbroić i zniszczyć wszystkie tego typu pociski, bo i tak nie będą już potrzebne. Później zadano mi pytanie, czy tego rodzaju zniszczenie pocisku nuklearnego w locie nie spowoduje jego detonacji lub rozprzestrzenienia odpadów nuklearnych i skażenia środowiska. To bardzo trafne spostrzeżenie. Lecz w rzeczywistości nie będziemy dezintegrować pocisków nuklearnych w ten sam sposób, jak niszczyłem gliniane gołębie. Wówczas symulowałem działanie broni palnej. W przypadku pocisków nuklearnych moglibyśmy -jeśli zaszczytała taka potrzeba - po prostu przerwać ich połączenie z naszym wszechświatem, innymi słowy - przerwać ich istnienie, spowodować zniknięcie, tak jakby zetknęły się z antymaterią.

Nagle zmienił ton głosu.

— Potrzebny jeden ochotnik spośród słuchaczy, kogoś silnego. Szybko.

Z pierwszego rzędu wyskoczył trzydziestopięcioletni na oko atletycznie zbudowany młody pułkownik armii amerykańskiej, w mundurze. Sądząc po karku, bulwiastych uszach i skrzywionym nosie musiały niegdyś trenować boks. Del Sasso dał mu znak i pułkownik prędko wbiegł na podwyższenie. Z plakietki z napisem „666” Del Sasso odczytał informację:

— Pan pułkownik Rob Blaisley, adiutant dowódcy Sił Zbrojnych NATO.

Wyciągnął rękę i serdecznie potrząsnął dłonią pułkownika.

— Miło mi pana poznać, pułkowniku.

Któryś z asystentów z laboratorium wprowadził wielki metalowy wózek na artykuły żywnościowe, wyładowany kulistymi przedmiotami.

— Mamy tutaj przeszło dziesięć kul do gry w bowls i kilka stalowych kul do rzutów.

Gdy Del Sasso mówił, pułkownik podnosił je i szacował ciężar.

— Zgadza się, pułkowniku?

— Przepisowe — powiedział pułkownik. — Bardzo lubię grać w kule, a kiedyś uprawiałem też rzut kulą. To nie piłeczki z gąbki. Przepisowe szesnastofuntowe kule do bowls i porządne stalowe szesnastofuntowe kule do rzutów. I co mam z nimi zrobić - rzucić w pana?

— A może byśmy się wybrali razem na tournée — odparował Del Sasso ze śmiechem. — Ma pan kilka niezłych numerów w zanadrzu. To by dopiero był show! Nie, nie, proszę ich we mnie nie rzucać. Proszę je rzucić w publiczność. Najpierw kule do gry w bowls.

Pułkownik podniósł którąś z kul i przygotowywał się do rzutu, gdy Del Sasso wtrącił jeszcze:

— Proszę ją najpierw spuścić na podłogę, żeby nikt nie wątpił, że jest ciężka.

Pułkownik uniósł kulę ponad głowę i spuścił. Nikogo nie trzeba było już

przekonywać.

— Nie trzeba było aż z takiej wysokości! — powiedział Del Sasso. — Będziemy musieli wzmocnić tu podłogę — zwrócił się do Leightona — jeśli zechcemy to powtórzyć.

— Proszę raczej nie powtarzać! — co prędzej zareagował Leighton.

— No, dobrze. Proszę zacząć rzucać — powiedział Del Sasso.

Pułkownik zawahał się.

— Jest pan pewien, że nikomu nic się nie stanie? — zapytał. Z tymi słowami na ustach wznosił się aż do sufitu.

— Oto, co się dzieje z niedowiarkami — zażartował Del Sasso, spuszczać go z powrotem na dół. — Niech pan to rzuci o tam. Tam w pierwszym rzędzie koło pańskiego miejsca siedzi generał z czterema gwiazdkami. Proszę wycelować w niego.

— Za nic w świecie! — powiedział pułkownik i szybko rzucił kulę w zupełnie innym kierunku. Nie przeleciała więcej niż trzy metry, gdy nagle rozpłynęła się w powietrzu. Można było wyraźnie usłyszeć, jak 250 krtaniom zaparło dech. Pułkownik rzucił kolejną kulę, w trochę innym kierunku — z takim samym rezultatem. Potem trzecią. Del Sasso podniósł rękę.

— Chyba wystarczy, pułkowniku. Nie ma sensu pozywać się następnej kuli. Bądź co bądź, trochę one kosztują a Archonci nie wyjawili mi jeszcze, jak się je sprowadza z powrotem. To może teraz te dwie kule? Jak daleko rzucał pan szesnastofuntowąkulę?

— Ponad dwadzieścia metrów, jeszcze w studenckich czasach. Nie byłem w tym absolutnym asem, ale często brałem udział w zawodach, zdarzało mi się nawet wygrywać.

— Dobrze. Nie będę pana prosił o spuszczenie na podłogę, bo przeleciała-by na wylot. Proszę tylko powiedzieć wszystkim, czy jest ciężka.

— Cała ze stali — powiedział pułkownik, przekładając kulę tam i z powrotem z ręki do ręki.

— No to zobaczymy, jak daleko uda się ją panu wyrzucić w publiczność — powiedział Del Sasso.

Pułkownik wykonał potężny zamach. Stalowa kula poleciała nad audytorium po wysokiej trajektorii — i nagle znikła.

— Chyba nie musimy się już facygować z następną — powiedział Del Sasso. — A może ma pan ochotę?

— Pewnie, niech będzie jeszcze raz! — pułkownik był pełen entuzjazmu.

— Np to: hej-hop! — zachęcił Del Sasso.

W przestrzeń wyleciała kolejna ponad siedmiokilogramowa kula ze stali. Wystrzeliła łukiem nad siedzących i rozpłynęła się w powietrzu. Z gardeł widzów wydobył się okrzyk zachwyty, potem wybuchła burza oklasków. Del Sasso podniósł rękę, prosząc o spokój, a potem dał znak komuś po prawej

stronie sceny. Zza kurtyny wyłonił się asystent niosący jakiś dziwaczny przyrząd. Wcisnął go w ramiona zdumionego pułkownika.

— Zechce pan powiedzieć zebrany, co to jest? — poprosił Del Sasso.

Pułkownik jakby oniemiał.

— To... To miotacz ognia! — wyjąkał. — Co ja mam z tym zrobić?

— Proszę sobie przymocować do pleców, a potem spalić mnie na frytkę.

— Nie mówi pan poważnie!

— Owszem. Przed chwilą chciał pan rzucać we mnie kulami. Szczerze mówiąc, ogień bardziej mi odpowiada. Proszę zaczynać.

Pułkownik przymocował sobie broń do pleców, cofnął się kilka kroków i w odległości około siedmiu metrów od Del Sassa uruchomił miotacz. W ułamku sekundy wydobyła się z niego ściana ognia, kierując się prosto na mnicha, ale nie docierała dalej niż na metr przed jego klatkę piersiową. Del Sasso ruszył powoli w stronę pułkownika, zaś strumień ognia stopniowo się skracał, aż w końcu, gdy Del Sasso stanął tuż przed miotaczem, znikła również sama broń.

Publiczność, która przez całą długą chwilę niezwyklej manifestacji mocy wstrzymywała oddech, zerwała się na równe nogi wśród okrzyków entuzjazmu i oklasków. Del Sasso uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie, ukłonił się kilka razy i wrócił na swoje miejsce.

Nażęczenie braw ogłuszało. Leighton podniósł ręce prosząc o ciszę.

— Rozumieją państwo naturalnie — powiedział, kiedy jego głos zdołał przedrzeć się przez wrzawę — że to, co przed chwilą widzieliśmy, to zaledwie maleńki ułamek siły, jaką oferuje ludzkości zyczliwa nam interwencja Archontów. Co więcej, jak powiedzieliśmy, ich Plan przewiduje wyszkolenie wielu milionów mediów o zdolnościach takich samych, jakimi dysponuje Antonio Del Sasso. Ścisłej mówiąc, nie będzie tu żadnych ograniczeń. Każdy kraj będzie mógł szkolić dowolną liczbę mediów. Istnieje nieograniczona siła dostępna dla każdego, nawet dla najmniejszych, najuboższych krajów. W końcu każdy człowiek na ziemi będzie miał swobodny dostęp do organicznie obecnej we wszechświecie mocy, już bez pośrednictwa Archontów!

Słuchano go z uwagą przemieszaną z podnieceniem,

— Aby to było realne, trzeba będzie oczywiście wytworzyć wielką liczbę Psitronów, to znaczy genialnych elektronicznych urządzeń wróżących, przez które nawiązuje się pierwszy kontakt z tymi istotami w punkcie Omega. Psitron został uznany za oficjalny przyrząd szkoleniowy. Otrzymaliśmy już zobowiązanie od konglomeratu światowych banków, że udzielią pożyczki w wysokości pięciu miliardów dolarów na budowę zakładów wytwarzających Psitron w strategicznych punktach naszego globu na wszystkich kontynentach. Gwarancja na tę pożyczkę zostanie oczywiście udzielona przez sygnatariuszy Konstytucji Nowego Świata, która, jak państwo wiedzą będzie musia-

ła objąć każdy naród na ziemi. Naturalnie aby osiągnąć pomyślny rezultat tego przedsięwzięcia w jak najkrótszym czasie, trzeba sporo zainwestować w ekspertyzy techniczne. Szczęśliwie udało się nam dla tego celu pozyskać człowieka, który bez wątpienia jest najświetniejszym parapsychologiem, jakiego wydał Związek Sowiecki. Mówię oczywiście o doktorze Wiktorze Chorewie. Zbiegł on ze swojego kraju, by móc wziąć udział w realizacji tego programu. Jednak teraz doktor Chorew został uznany w ojczyźnie za bohatera i ostatnio jego praca doczekała się pochwały z ust samego szefa jego państwa.

Leighton zerknął w stronę Wiktora.

— Z największą przyjemnością przedstawiam państwu głównego mówcę dzisiejszego wieczoru, człowieka, którego postać uosabia nie tylko naukową znamienitość, ale i solidarność między dwoma wielkimi narodami: Ameryką i Rosją. Doktor Wiktor Chorew!

Wiktor wszedł na podium powoli, jakby z namaszczeniem. Z plastikowego skoroszytu wyjął notatki i rozłożył je przed sobą.

— Przedstawiciele narodów świata i dostojni goście — zaczęł, wodząc wzrokiem po zgromadzonych. — Od czasu przybycia do tego słynnego ośrodka badań czyniłem to, co i wy powinniście dziś z całą uwagą i odwagą uczynić. Próbowałem mianowicie zrozumieć zajścia w tutejszych laboratoriach, zajścia, które z dnia na dzień zdumiewały mnie coraz bardziej, oraz skutek, jaki mogą one przynieść dla ludzkości. Wszystko, co widzieliście tutaj na ekranie, było autentyczne. Jest to skok całe lata świetlne w przód w porównaniu z tym, co osiągałymi do tej pory lub o czym choćby tylko marzyliśmy podczas wielu lat moich badań parapsychologicznych w Związku Sowieckim. To samo można zresztą powiedzieć o każdym innym kraju. Nie istnieje żaden sposób, jak już doktor Leighton i doktor Del Sasso zechcieli dokładnie wyjaśnić...

Tu Wiktor odwrócił się bokiem i skinął głową w stronę Leightona i Del Sassa.

— ...nie istnieje żaden sposób, by takiej siły się dopracować bez pomocy bytów zwanych Archontami czy też Dziewięcioma. Opierając się na wielu latach moich badań, mogę powiedzieć państwu, bez najmniejszych obaw, że ktoś mógłby mi zaprzeczyć, iż ludzkość tego rodzaju sił ani się nie dopracowała, ani dopracować się nie jest w stanie. Pochodzą one wyłącznie od Archontów. To oni sprawują kontrolę nad tą siłą i udzielają jej wedle swojej woli. A teraz ustami Antonia Del Sassa oznajmili nam swoją gotowość udostępnienia tej siły światu, by zapobiec zniszczeniu naszej planety, zniszczeniu, które w przeciwnym razie jest nieuniknione.

Wziął głęboki oddech.

— Aby świat mógł tę siłę otrzymać, trzeba koniecznie, jak nam powie-

dziano, całkowicie podporządkować się rym istotom, poprzez ich ambasadora Antonia Del Sassa oczywiście. Sądzę, że nikt z państwa nie ma wątpliwości co do zasadniczej roli, jaką odegra on w Planie, ani co do jego niezwykłych cech, istotnych dla tej roli. Oczywiście jeśli mamy całkowicie poddać się Archontom, musimy im całkowicie zaufać. Szczytem głupoty byłoby poddać się istotom, co do których wiarygodności nie jesteśmy absolutnie przekonani. I tu właśnie tkwi sedno problemu, z którym zmagalem się przez ostatnie tygodnie. Chciałbym państwu opisać wątpliwości, przez które przechodziłem, i doprowadzić państwa do szczęśliwego zakończenia, do którego dotarłem. Zdałem sobie sprawę, że jeśli ja i my wszyscy, cały świat, mamy im zaufać - a jest to niezbędna konieczność, jeśli chcemy wprowadzić Plan - to są pewne kryteria, według których musimy dokonać oceny sytuacji.

Przestąpił z nogi na nogę.

— Oto proces myślowy, z którym się niegdyś zmagalem. Po pierwsze: wychowałem się w kraju ateistycznym i sam jestem ateistą. Jednak przyznaję, co na pewno uczyni każdy rozsądny człowiek, że jedynie Bogu — jeśli taka istota w ogóle istniała — można zaufać całkowicie. Bóg bowiem, już z samej definicji, jest kochający i dobry i nie podlega zepsuciu moralnemu, nawet za sprawą własnych pragnień. Istnieje On bowiem sam w sobie, jest nieskończony, a wobec tego nie potrzebuje niczego od nikogo, gdyż sam jest Twórcą wszystkiego. Skoro Bóg, znów z samej definicji, jest niezmienny, możemy więc na podstawie Jego charakteru i Jego dotychczasowych działań wywić pełne zaufanie wobec tego, co uczyni w przyszłości. Niestety, Bóg nie istnieje, jesteśmy więc pozostawieni sami sobie i pod żadnym pozorem nie powinniśmy się zdać na łaskę kogokolwiek innego. Przemyślawszy to dokładnie, zrozumiałem, że logicznie rzecz biorąc, należy tu również wliczyć Archontów. Będąc oczywiście czymś niższym od Boga, a zarazem przecząc istnieniu jakiegokolwiek najwyższego bóstwa i utrzymując, że każdy z nas jest udzielnym bogiem, Archontci mogliby łatwo ulec moralnemu zepsuciu przez własne egoistyczne pragnienia. W tym miejscu stanąłem naprzeciw trudnego dylematu: Archontci - nawet jeśli stali wysoko w hierarchii ewolucji - są czymś niższym od Boga, a wobec tego podległym zmianie. Pojawia się więc poważny problem. Jeśli nawet od tysiąca lat wykazywali względem ludzkości wyłącznie dobre intencje, nie możemy mieć całkowitej pewności, nawet na podstawie tak przychylnego im materiału dowodowego, że w przyszłości nie zwrócą się przeciw nam lub nas nie oszukają.

W tym momencie Wiktor odwrócił się i wskazał dłonią na Leightona i Del Sassa. Ich twarze były lekko zatroskane, ale zdawali się ogólnie zadowoleni z jego dotychczasowego wyводу.

— Doktor Leighton i doktor Del Sasso wiedzieli o moich wątpliwościach i łaskawie zechcieli gorliwie pomagać mi w ich przewyciężaniu. Nie było to

łatwe, ponieważ problem należał do bardzo złożonych. Oczekuje się od nas bowiem całkowitej uległości wobec Archontów, choć przecież są oni bytem niższym od Boga i mogą dążyć do realizacji własnych, egoistycznych i nieznanych nam interesów. Naturalnie wobec nas utrzymują, że są nam życzliwi, ale na jakiej podstawie można zaakceptować tego rodzaju zapewnienia? Jednym z mocniejszych argumentów jest fakt, że Archonci tak bardzo nas wyprzedzają, iż właściwie nie jesteśmy im do niczego potrzebni. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że nie możemy im niczego zaoferować, więc nie mogą niczego od nas chcieć. A więc nie mają żadnego motywu, żeby kłamać, oszukiwać nas czy krzywdzić. Bo i po cóż mieliby to robić? Przez jakiś czas akceptowałem ten tok rozumowania. W końcu musiałem jednak stanąć wobec takiego problemu: Jeśli nie są zainteresowani tym, żeby nas skrzywdzić, dlaczego mieliby być zainteresowani tym, żeby nam pomagać? Dlaczego mieliby się w ogóle nami interesować? To pytanie nie dawało mi spokoju, aż zdałem sobie sprawę, że do tej pory nie brałem czegoś pod uwagę.

Przerwał i kilka razy głęboko odetchnął, żeby nabrać odwagi. Na widowni zapanowała niemal namacalna cisza. Wszyscy utkwili wzrok w Wiktorze z pełnym napięciem oczekiwaniem. Carla zauważyła, że Leighton zamarł w swoim fotelu, a Del Sasso, złowieszczo nieruchomy, jakby pogrążył się w transie. Powoli zaczęła ją ogarniać uczucie przerażenia, jednocześnie czuła się jakoś dziwnie odgradzona od tego, co się wokół dzieje.

To, co Wiktor powiedział o Bogu, uderzyło ją z wielką siłą. Oto ateista mówi jej, kim jest Bóg - oczywiście jeśli, jak sam zaznaczył, Bóg istnieje - i dlaczego tylko Jemu można ufać. Nie potrafiła obalić zniewalającej logiki tego rozumowania. Wyzwoliło w niej ono rwącą rzekę głębokich i coraz mocniejszych przekonań, które do tej pory tłumiła. Czas jakby się zatrzymał, publiczność rozmyła się w nierzeczywistości, a głos Wiktora dobiegał gdzieś z dala, jak buczenie: do umysłu Carli z nową siłą napłynęły wspomnienia rozmów z Kenem. Tej logiki nie dało się obalić, nie sposób też było dłużej jej ignorować. A wnioski, do których dochodził Wiktor — ateista, brzmiały w jej uszach tak, jakby słyszała je pierwszy raz w życiu, umacniając i dodając wiarygodności temu, do czego w ciągu ostatnich tygodni usiłował przekonać ją Ken.

W głosie Wiktora można było wychwycić narastającą obawę, jednak przede wszystkim dźwięczała w nim odwaga płynąca z przekonania i żarliwego pragnienia, by ostrzec świat. Carla nie mogła go nie słuchać.

— Nie było potrzeby tak spekulować. Dowody były przytłaczające, ale nie chciałem się z nimi pogodzić. Materiał dowodowy aż nadto jasno pokazuje, co - mam nadzieję - zechce przyznać Frank Leighton, a jeśli nie, to są tu może inni, którym starczy na to odwagi... — w tym miejscu zerknął prędko w stronę Carli — ...że Archonci w żadnym razie nie postępowali uczciwie wo-

bec tych, którzy poświęcili się temu programowi, i to od samego początku. Obiecują pokój, miłość i braterstwo. Zamiast tego raczą nas gwałtem, w tym nawet śmiercią czy odejściem od zmysłów osób, które uwierzyły ich obietnicom i poddały się ich kontroli. W przeciwieństwie do obietnicy wyszkolenia milionów mediów podobnych do Del Sassa do tej pory nie przygotowali ani jednego, pomimo gorliwych wysiłków, jakie prowadzono w tutejszych laboratoriach, by wyszkolić innych na Psitronie! W tej chwili wątpię, czy kiedykolwiek mieli taki zamiar. Posłusznie przekazaliśmy Archontom kontrolę nad tym przedsięwzięciem i naszym życiem, ale rezultaty jak dotąd, poza oczywiście zdolnościami, jakie demonstruje Del Sasso, żeby nas zwieść, nie są obiecujące!

Carla poczuła, jakby rozjaśniło się jej w głowie. „Dlaczego nie słuchałam Kena?” — myślała. — „A jeśli Archonci to demony? Oskarżeń Wiktora nie da się odeprzeć. Są źli, nie ulega wątpliwości. Uciekają się do oszustw, chcą rządzić, może nawet niszczyć.” Poczowała przemożne pragnienie, by wstać i pobiec do najbliższego wyjścia. A Wiktor! Co się z nim stanie? Nie może go zostawić! Siedziała sparaliżowana przerażeniem i dziwnie, makabrycznie przekonana, że za chwilę na jej oczach stanie się coś potwornego.

Na widowni zaczęło się niespokojne poruszenie, narastał szum głosów. Carla zauważyła, że wszechobecna atmosfera miłości, którą wcześniej odczuwała, zniknęła gdzieś, a na jej miejsce pojawiła się aż zbyt dobrze jej znana g a d z i a obecność. Leighton zaczął podnosić się z krzesła, ale opadł na nie z powrotem. Zdawał się zbyt oszołomiony, by zareagować. Niby cisza przed burzą, nad audytorium zaległo złowieszcze milczenie. Publiczność siedziała bez ruchu w niemej grozie. Słyszać było tylko przejmujący dreszczem odgłos oddychania.

Słowa Wiktora popłynęły teraz jak rzeka, jakby się obawiał, że ktoś go powstrzyma, i chciał za wszelką cenę zdążyć.

— Właśnie ta całkowita władza, której się domagają, martwi mnie. Na własnej skórze doświadczyłem totalitaryzmu. Zdaję sobie sprawę, że zachodzi teraz wiele zmian, nawet w mojej ojczyźnie, Rosji, kraju, który kocham z głębi serca. Jednak krajowi temu daleko do wolności, której pragnie każdy człowiek, wolności, której szukałem tutaj, na Zachodzie, i której - jak zauważyłem - nawet i tu nie dostaje.

Carla nie wierzyła uszom. Jeszcze dziwniejsze było to, że Leighton nie interweniuje, a Del Sasso nie robi nic, żeby Wiktorowi przerwać. Może boją się wywołać jeszcze większy skandal przed zebranymi i dlatego pozwolą Wiktorowi skończyć, a potem dopiero zdyskredytują jego słowa? A Archonci? Dlaczego nie robią nic, żeby go uciszyć?

— Jest to zgromadzenie o zupełnie podstawowym znaczeniu, bo w istocie w waszych rękach spoczywa przyszłość świata. Wszystko zależy od tego, czy

ugniecie się przed wolą Archontów, czy też stawicie im opór. Przestrzegam: poddanie się ich władzy przemieni świat w jedno wielkie więzienie, nie ciał zamkniętych w celach, lecz umysłów, które nie będą już mogły samodzielnie myśleć. Raj, który proponują Archonci, okaże się w rzeczywistości nieopisanym piekłem bezlitosnego totalitaryzmu, gorszego niż wszystko, co do tej pory oglądał świat, dyktowanego przez obce nam inteligencje, które zamierzają się nami posłużyć dla swoich własnych zdradzieckich celów.

Leighton otrząsnął się z odrętwienia i skoczył na równe nogi. Podbiegł do podium i próbował odsunąć mikrofon od Wiktora. Odpychając Leightona Wiktor ostatnim wysiłkiem zawołał w mikrofon:

— Zamknijcie umysły na wpływ Archontów. Oprzyjcie się! Nie dajcie sobie narzucić ich woli!

W tym momencie ktoś z ochrony chwycił Wiktora, wyrwał mikrofon z jego dłoni, a jego samego cisnął na podłogę.

Furia Archontów rozgorzała całą siłą właśnie w tym momencie, z gwałtownością która nie dała szans żadnej rozsądnej myśli. Ciszę przerwał ryk wściekłości, który wydobył się z krtani Del Sassa, jako straszliwe przypomnienie podobnej reakcji na zachowanie Kena tamtego dnia w laboratorium. Tak, teraz Carla nie miała wątpliwości, że to Ken pozbawił go wówczas mocy. Niespodziewanie zabrzmiały jej w uszach ostatnie jego słowa: „Gniew Baranka — sąd Boży!” „Tak” — przyznała nareszcie — „Jezus jest Bogiem. Jest tym wszystkim, co Wiktor przypisał Twórcy wszechświata. A teraz tutaj, w tym budynku, nie będzie już powstrzymywał morderczego zła, uosobionego w Archontach. Ci, którzy im uwierzyli, zbiorą teraz plon. Plon buntu przeciw prawdziwemu Bogu.”

Podłoga zaczęła się wyginać i nagle rozwarła się pod przedstawicielami mass mediów, pochłaniając ich wszystkich. Krzesła odrywały się od posadzki i latały w powietrzu. Wszystkie przedmioty w sali zostały rozrzucone naokoło niczym szczątki rozbitego okrętu. Salą targały potężne wstrząsy. Zawaliły się wielkie bele spod sufitu, miażdżąc na śmierć dziesiątki delegatów. Najstraszliwsze były jednak laminowane wsporniki podtrzymujące sufit, które zaczęły rozszcypywać się na długie włócznie. Szybowały w powietrzu, przypominając zdalnie sterowane pociski i przebijając tych, którzy jeszcze pozostali przy życiu i ostatnim wysiłkiem, po martwych ciałach i rumowisku, próbowali dotrzeć do wyjścia.

Delegaci, którzy uniknęli losu tamtych i po stosach trupów zdołali przedostać się do drzwi na zewnątrz, zastali je zamknięte na klucz. I im nie udało się uciec przed zagładą. Nieprzytomni z rozpacz, walący pięściami w drzwi i ściany, niektórzy poumierali z histerii, pozostałych zasypał deszcz materiałów z walącego się dachu, który kierował się akurat w tamto miejsce, jakby sterowany przez wszechwidzącą inteligencję, dowodzącą procesem niszcze-

nia. Najwidoczniej postanowiono nie wypuścić nikogo żywego, aby nikt nie opowiedział światu straszliwej prawdy o tym wydarzeniu.

Patrząc na ostatnie chwile udaremnionego marzenia Leighton przeklął Archontów. W ułamku sekundy ogarnął go płomień. Przerażliwy krzyk szybko rozplątał się w intensywnym gorącu. Jego postać zdawała się topić jak metal i na oczach spalizowanej grozą Carli zmieniła się w popiół. Carla zobaczyła zresztą za chwilę i inne przypadki samoistnego zapalenia tych nielicznych, którzy jeszcze pozostali przy życiu. Płomień wybiegające z ich ciał sięgały też martwych i paliły ich zwłoki. Mikę Bradford, szef komórki bezpieczeństwa, został uderzony w plecy ciężkim kawałem tynku, który oderwał się od sufitu. Mikę runął na ziemię. Zdołał podnieść się na jednym łokciu, z wewnętrznej kieszeni wyciągnął rewolwer i z wściekłością wypalił kilka razy w rozpadające się ciało Leightona. Potem odwrócił się w stronę Del Sassa, który w pozycji jogi siedział na swoim miejscu, pogrążony w transie, ale coś wyrwało mu broń z dłoni, a z góry spadła potężna belka, roztrzaskując mu czaszkę. Z podwyższenia zerwał się zastępca Mike'a, ale nim zdążył zeskoczyć niżej, zniknął.

Wiktor, zbyt oszołomiony, by ruszyć się z miejsca, gdzie leżał, powoli dochodził do siebie. Z trudem podniósł się i zaczął niepewnie kuśtykać w stronę tylnego zejścia z podwyższenia. Zdążył postawić tylko dwa kroki, gdy roztrzaskały się na nim reflektory oświetlające scenę i przygwoździły go do podłogi. Leżał bez ruchu. Carla, cudownie nietknięta, była pewna, że Wiktor nie żyje. Biegła już w kierunku tylnego wyjścia, gdy usłyszała swoje imię.

Odróciwszy się zobaczyła, że Wiktor odzyskał świadomość i próbuje się uwolnić od przygniatającego go ciężaru. Błagał ją wzrokiem. Pójść teraz do niego to niemal pewne samobójstwo, ale nie może go zostawić. Jak najprędzej, potykając się co chwila, wróciła w jego stronę.

— Panie Jezu, pomóż mi, pomóż się do niego dostać!

Była to pierwsza modlitwa, jaką wypowiedziała od ponad dwudziestu lat.

Większa moc

W miarę upływu czasu Kena ogarniał coraz większy niepokój. Minęła już piąta po południu. Co tam się może dziać? Czy wystarczy się modlić? Może trzeba zrobić coś jeszcze? Zdecydowanym ruchem podniósł się z kolan i oznajmił reszcie zebranych:

— Muszę jechać. Wiem, że powinienem jak najszybciej znaleźć się w ośrodku. Nie wiem, co tam zastanę ani po co Pan chce, żebym jechał, ale módlcie się za mnie! Strażnicy mają moje zdjęcie i instrukcje, żeby mnie nie wpuszczają.

Don Jordan wyszedł na zewnątrz razem z nim.

— Nawet nie pozwolą ci zjechać z autostrady — powiedziała mu. — Drogę dojazdową na pewno zablokowali. Nie przejedziesz. Spróbuję przez radio złapać szefa patrolu drogowego. Dam mu opis twojego wozu i poproszę, żeby cię puścił na tę drogę. Ale pod bramą - to inna sprawa. Tam ci nie pomożę. Będziemy się modlić.

— Zaufam Panu — odpowiedział Ken, biegnąc do samochodu. — On mnie jakoś przepchnie! Dzięki!

Faktycznie, u wjazdu na boczną drogę stał samochód kalifornijskiego patrolu drogowego i trzy miejscowe wozy policyjne, a samą drogę zagradzała barykada policyjna. Ken zjechał na bok, jakiś funkcjonariusz dał znak, żeby się zatrzymał. Funkcjonariusz sprawdził prawo jazdy, mruknął coś pod nosem i wręczył mu je z powrotem.

— Ej, ruszcie to kawałek i puście ten wóz — krzyknął, machając ręką do dwóch innych, którzy stali przy barykadzie.

Kolejna ekipa policyjna stała już za znakiem *Posiadłość rządowa*. Zamachał im prawem jazdy i dali znak, żeby jechał dalej. Przez ostatnie pięćset metrów do ośrodka jedno pobocze drogi całkowicie zajęty zaparkowane taksówki, limuzyny, samochody prywatne. Kierowcy czekali, rozmawiając i paląc papierosy albo drzemiąc w wozach. Dojeżdżając do bramy zauważył, że oblegają ją ekipy telewizyjne i przedstawiciele innych mass mediów, nie wpuszczeni do środka. Czekali na okazję uchwycenia na zdjęciach rozmaitych dygnitarzy, mieli nadzieję na wywiady. Takiego tłumu dawno nie widział. Przez chwilę przed oczyma stanęło mu wspomnienie inauguracji sezo-

nu na pstrągi, która odbyła się nad niewielkim potokiem w Okręgu Los Angeles. Żeby w niej uczestniczyć i mieć gdzie stanąć, trzeba było sobie w zasadzie przynieść własny kawałek gruntu.

Powoli przebrnął jeepem przez kołującą się masę ludzką i w końcu znalazł się przy bramie. Ku swojemu zaskoczeniu zauważył, że jest na oścież otwarta. Mijał ją właśnie, gdy z posterunku wypadł strażnik, rycząc, żeby się zatrzymał.

— Hej! Tam nie można! Nie ma miejsc do parkowania — powiedział strażnik podchodząc do okna. — I tak się pan spóźnił dwie godziny. Proszę pokazać jakiś dowód tożsamości i zaproszenie.

— Nie mam zaproszenia — powiedział Ken — ale muszę tam wjechać! Przesłał mnie Don Jordan z FBI.

— To nie w jego jurysdykcji. Zaraz, czy pan nie jest Inman?

Ken skinął głową.

— Tak mi się coś zdawało! Dość tego! Proszę wycofać wóz i jazda stąd. Pan wie, że nie ma pan tu wstępu.

*

Carla dotarła do Wiktora i zdołała unieść reflektor na tyle, żeby mógł się spod niego wyczołgać. Pomogła mu wstać, a potem wsunawszy ręce pod jedno ramię na pół niosła go, na pół ciągnęła w kierunku tylnych drzwi, prowadzących z podwyższenia na korytarze ośrodka. Dotarli do niego bezpiecznie wśród nieustającego deszczu gruzu. Jakimś cudem drzwi były otwarte na oścież. Odwróciła głowę i rzuciła jeszcze okiem na miejsce katastrofy. Del Sasso stał z podniesioną głową i ramionami wyciągniętymi w górę, bez szwanku, nietknięty przez śmiertcionośne pociski. Zdawało się, jakby oddawał cześć, jakby składał Archontom w ofierze przebite, zmiażdżone ciała. Wtem odwrócił się i zobaczył ją. Nawet z takiej odległości dostrzegała w jego oczach morderczą nienawiść.

Wiktor, na pół przytomny, ciągnął za sobą zakrwawioną i pogruchotaną nogę, która w niczym mu teraz nie pomagała. Kurczowo trzymał się Carli, śmiertelnie przerażony. Gdyby nie jego bezradność, już by była na zewnątrz. Ale nie może go zostawić.

— Co ja zrobiłem! — powtarzał w kółko. — Co ja zrobiłem! Myślałem, że kiedy jest nas tylu, poradzimy sobie z nimi. Czy to przeze mnie ci ludzie nie żyją?

Oparł się o ścianę i próbował złapać oddech.

— Ktoś musi uciec, żeby o tym powiedzieć. Wystarczy, jeśli jednemu się uda. Idź sama. Trzeba ostrzec świat!

— Nie tylko my przeżyliśmy — próbowała delikatnie pociągnąć go da-

lej. — Del Sasso żyje! Musimy iść prędzej, jeśli możesz.

— Nie dam rady, idź sama. Powiedz im, że Archonci czynią z ł o. Powiedz, co tu zrobili. Zabili wszystkich, żeby nikt nie dowiedział się prawdy.

— Nie zostawię cię, Wiktor — odparła stanowczo. — Uciekniemy razem. No, dasz radę! Nie poddawaj się!

Powoli zeszli z niskich schodów i z największym bólem udało im się przebyć wąski korytarz; w końcu dotarli do jego zbiegu z głównym korytarzem. Minęli główne laboratorium i poszli w stronę biur. Kiedy skręcili za róg, na szeroki korytarz, drogę zagłodził im niespodziewanie pułkownik Czernow.

To niemożliwe. On przecież nie żyje. Przecież na własne oczy oglądała jego makabryczną śmierć — ale oto stoi przed nimi, najwyraźniej cały i zdrowy, z krzywym uśmiechem zniekształcającym rysy twarzy, nikczemnej maki, z przebiegłymi oczyma pałającymi żądzą zemsty.

Czernow zdawał się jej wcale nie zauważać, tak mocno koncentrował się na Wiktorze. Zaczął mówić do niego po rosyjsku, a Wiktor odpowiadał urywanymi zdaniami. Carli zdawało się, jakby błagał o życie.

— To nie Czernow! — krzyknęła. — To Archont!

Wiktor popatrzył na nią nieprzytomnie.

— Powiedz mu, że należysz do Pana Jezusa Chrystusa. Wypowiedz to Imię, uwierz w Niego! On cię uratuje!

Była zdumiona. Czy naprawdę te słowa wychodzą z jej ust? Nagle uświadomiła sobie, że wychodzą również z jej serca.

— Ja wierzę! — krzyknęła. — Wierzę, że za mnie umarł!

Wypełniło ją nowe pragnienie życia, nie tylko po to, żeby ostrzec świat, ale też opowiedzieć wszystko Kenowi. Oto tutaj, w skrajnym niebezpieczeństwie, w kulminacyjnym punkcie swego życia, poddała zbuntowane serce Temu, którego tak długo odrzucała.

Wiktor potrząsał głową.

— Chrystus też chce poddania. Nie mogę tego zrobić. Chcę być wolny!

— To Chrystus daje wolność, od siebie samego! Wiktor! — błagała go. — Prawdziwym dyktatorem jest Wiktor Chorew! Jesteś swoim własnym niewolnikiem, Wiktorze! Chrystus cię wybawi. On za ciebie umarł.

— Nie! — powiedział Wiktor. Przez krótką chwilę wpatrywał się w Carłę wytrzeszczonymi, szklistymi oczyma. Ze smutkiem spostrzegła, że jest to wystraszone spojrzenie człowieka, który zabłądził na pustkowiu i stracił nadzieję odnalezienia drogi powrotnej.

Wyrwał rękę z jej dłoni i przerażony zaczął się cofać. Czernow, którego krzywy uśmiech zmienił się teraz w warczenie zwierzęcia, czał się jak tygrys gotujący się do skoku na ofiarę.

— Wiktor! — krzyknęła z całej siły. — Uwierz w Jezusa! On cię obroni! Ale Wiktor zdawał się głuchy na jej głos.

Wtem Czernow obrócił się błyskawicznie. Latająca stopa uderzyła twarz Wiktora i śmiercionośną siłą cisnęła nim o ścianę. Oczy Wiktora zgasły, a bezwładne ciało osunęło się na podłogę.

Teraz Czernow skierował swoje złe zamiary w kierunku Carli.

— Pomóż, Panie Jezu! — wymamrotała; Czernow znikł. Wstrząsana spazmami szlochu biegła przez korytarz. Minęła główne laboratorium, gdzie pierwszy raz zobaczyła Del Sassa, skręciła w lewo, minęła biuro Leightona, gdzie zaczął się cały ten koszmar i gdzie spędziła tyle godzin, dni, nocy, zmagając się z konfliktami, a w końcu decydując się poświęcić temu.

Wpadła do hallu, tak blisko upragnionej wolności, i zobaczyła go. Stał tuż przy drzwiach, w swojej długiej, czarnej szacie, z kapturem odrzuconym do tyłu, blokując drogę ucieczki. To nie był Archont. To był sam Del Sasso, cięlesny, żywy!

»

— Skąd ten pośpiech, Carla? — zapytał z udawaną troską. — Przyjęcie jeszcze nie skończone, a nieładnie tak uciekać nie podziękowawszy gospodarzowi.

Patrzył na nią wzrokiem pożądlivego oczekiwania.

Zawahała się. Zawrócić do bocznego wyjścia? Nie, złapie ją, ledwie zdąży zrobić parę kroków. Umie poruszać się jak kot.

— Tym razem nie masz już swojego chłoptasia - Kena! — rozkoszowała się tą chwilą. — Cała jesteś moja!

Ruszył ku niej, zaczęła się cofać w głąb korytarza.

— Jesteś szalony, Antonio — powiedziała. — Kompletnie szalony! Podoobała ci się ta jatka! I podobało ci się przecięcie Czernowa na pół, prawda?

— Kocham siłę — odparł po prostu. — Dlaczego nie? To jakbym był Bogiem. Mogę wszystko. Sama zobaczysz!

*

Słowa strażnika wciąż dzwoniły Kenowi w uszach, kiedy zaczął się modlić. „Panie, proszę, pomóż. Nie odjadę stąd. Muszę się dostać do Carli!” Wtem nad głównym budynkiem pojawiła się łuna pulsującego to zielenią, to fioletem światła. Potem zobaczył: gigantyczne UFO, całe w płomieniach, uniosło się znad sali teatralnej w samym centrum budynku. Huk był ogłuszający, Ken pomyślał, że zapadł się dach. Nawet w oczach ateistów i agnostyków wyglądało to jednoznacznie na zagładę dokonywaną przez siły nadprzyrodzone.

— Mówiłem, jazda stąd! — powiedział strażnik zaciskając zęby i szykując broń. Właśnie wtedy usłyszał odgłos wybuchu. Odwrócił się i zobaczył! W tym momencie wydawało się, jakby przez rozerwany dach wyszła na zewnątrz przenikająca wszystko pradawna, gadzia obecność, napawająca

grozanie do opisanie.

Przez sekundę strażnik osłupiał w śmiertelnej trwodze, lecz zaraz oprzytomniawszy rzucił się do ucieczki. Ken uruchomił silnik i pojechał przed siebie. W lusterku wstecznym widział, jak tłumy reporterów rozproszyły się w panice, słyszał krzyki przerażenia. UFO, przypominające teraz bardziej ognistą kulę niż statek kosmiczny, opuściło się na dół i z wielkim przyspieszeniem pędziło prosto na bramę wjazdową tuż nad powierzchnią ziemi.

— Panie Jezu, pomóż! Dzięki Ci!

Nie zdążył powiedzieć więcej. UFO było już na nim. Chwytał mocno kierownicę i na chwilę zamknął oczy. Samochód wyszedł ze starcia bez uszczerbku. „Dzięki, Panie!” Zauważył, że nie ma gdzie zaparkować. Te kilkanaście miejsc zajmowały limuzyny i samochody dygnitarzy wojskowych. Zajechał pod kamienny murek przed drzwiami wejściowymi i wyskoczył z wozu. Będą w sali teatralnej. Pobiegł ze trzydzieści metrów w prawo wzdłuż budynku. Próbował otwierać oboje drzwi, ale były zamknięte na klucz. Gorące klamki parzyły dłonie. Ze środka nie dobiegały żadne odgłosy: tylko śmiertelna cisza i strzelanie ognia. Cofnął się jakieś cztery metry, spojrzął w górę. W niebo buchał gęsty, czarny dym zmieszany z czerwienią ruchliwych płomieni. Teatr był całkowicie zajęty, płonął.

*

Carla odwróciła się i zaczęła biec z powrotem korytarzem, ale Del Sasso w jednej chwili dopadł ją i chwycił w potężną dłoń kasztanowe włosy. Krzyknęła, zaczęła go drapać i kopać, ale był znacznie silniejszy. Czują, jak ciągnie ją z powrotem do hallu, a kiedy tam się znaleźli, cisnął ją na posadzkę. Leżała tak, półprzytomna ze zdumienia. Piętrząc się nad nią mnich przygotowywał się do złożenia Archontom najwspanialszej ofiary: nowego wierzącego.

— Panie Jezu, pomóż! — krzyknęła. — Boże, ratuj, błagam!

— Jezus pomaga teraz mnie! — oznajmił Del Sasso. — On należy teraz do Archontów. Ukrzyżowali Go, a teraz chcą ciebie!

Oboje usłyszeli, że ktoś naciska klamkę, a potem drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie, uderzając w ścianę na zewnątrz. Ken wbiegł do środka, kierując się w stronę korytarza. Nagle zobaczył ich i stanął jak wryty. Del Sasso obrócił się twarzą do niego:

— Powiedziałeś, że odebrałeś mi moc i że się ciebie boję. A ja powiedziałem, że zabiję cię, jeśli jeszcze raz zobaczę w tym miejscu twoją wstrętną gębę! Zaraz zobaczymy! — chwycił ciężką lampę z ceramiki, która stała na stoliku, wyrwał ją ze ściany, zdarł abażur i chwycił za wąski szczyt, jak broń. Ostrożnie ruszył w stronę Kena.

— Chodź, Carla — powiedział Ken stanowczo. — Wychodzimy. Biegnij

do drzwi. Teraz!

— Ken, uważaj! On... — podniosła się i zaczęła po szerokim okręgu obchodzić Del Sassa, zmierzając do wyjścia.

— Po co ci taka broń? — zapytał spokojnie Ken. — A twoje „siły mediumistyczne”? Dlaczego ich nie użyjesz? Wiecie, że nie mają mocy nad prawdziwym wierzącym, prawda, wy d e m o n y z n i s z c z e n i a ?!

Del Sasso poruszył ustami, ale nie wydał żadnego dźwięku. Zawahał się, świdrując Kena morderczym wzrokiem. Carla dotarła do drzwi, pchnęła je, otworzyła i stanęła, patrząc w osłupieniu na rozgrywającą się scenę. Ken cofał się ku drzwiom. Nie spuszczał wzroku z Del Sassa, który szedł za nim, niepewnie potrząsając lampą.

— Nie do ciebie mówię, Antonio. Jesteś tylko skorupą — powiedział Ken. — Mówię do demonów, które w tobie mieszkają. Kimkolwiek jesteście, ilekroć was jest, w imieniu Jezusa Chrystusa i przez krew Jego krzyża - wychodzimy stąd. Możecie sobie wziąć ten budynek!

Ken był już przy drzwiach i dał Carli znak, żeby wyszła.

— Biegnij do jeepa! — szepnął.

Odwróciła się i pobiegła, a on wyskoczył na zewnątrz, nie spuszczać wzroku z medium. Del Sasso ryknął z wściekłością i cisnął lampą o drzwi akurat w chwili, gdy Ken zatrzasnął je za sobą. Ken usłyszał nieszkodliwy już trzask tłuczonego szkła. Odwrócił się i pobiegł do Carli. Szlochała, oparta się o jeepa. Drzwi do hallu już się nie otworzyły.

— Nie pójdzie za nami — powiedział Ken. — Chwała Bogu, jesteś bezpieczna!

Przytuliła się do niego. Obejmował ją mocno, a ona drżała od płaczu.

— Ty nawet nie wiesz, co tam się działo! — wyrzuciła resztką tchu. Wszystko zakręciło jej się przed oczami, a potem nie widziała już nic.

Wniósł ją do jeepa, usiadł za kierownicą i włączył motor. Z dali dobiegało wycie syren wozów jadących drogą dojazdową. Ekipy telewizyjne wdzierały się przez bramę i rozstawiały kamery. Reporterzy krzyczeli do magnetofonów. Ken powoli przejechał przez kolidy podjazd, a potem poprzez gromadzący się tłum. Oglądając się w tył dostrzegł, że ogień rozwiewany silnymi podmuchami wiatru rozprzestrzenił się poza teatr i objął cały budynek. Czterogwiazdkowa flaga dumnie powiewała przy błotniku generalskiego wozu.

Legat Archontów

Dzieliło ich już jakieś pół kilometra od bazy, gdy Carla odzyskała przytomność. Ken zjechał wówczas na bok, żeby przepuścić pierwszy wóz strażacki, pędzący wśród rozdzierającego bębni wycia syreny. Otworzyła oczy, z przestachem rozejrzała się dookoła, a potem przypomniała sobie, że jest bezpieczna i że jedzie do domu. Ken znów musiał się zatrzymać i przepuścić kolejny wóz strażacki. Wtedy Carla chwyciła go za ramię. Odwrócił się, spotkali się wzrokiem. Znów płakała, ale teraz uśmiechała się przez łzy.

— Spójrz na mnie, Ken — powiedziała w przerwie między kolejnymi szlochami — Coś mi się przydarzyło, coś c u d o w n e g o . Wiesz, co?

— Chcesz powiedzieć...?

Kiwnęła głową a jej oczy wyjaśniły wszystko, na co nie potrafiła znaleźć słów. Objął ją i przycisnął mocno. Teraz szlochali oboje.

— Dzięki Bogu! Carla! Dzięki Bogu!

*

Strażacy znaleźli Antonia Del Sassa leżącego twarzą do ziemi, nieprzytomnego od wdychanego dymu. Leżał w głównym korytarzu, tuż przy wąskim przejściu prowadzącym do tylnego wyjścia. Spekulowali, że powaliła go siła wybuchu w sali teatralnej, a potem, kiedy się ocknął, zapewne zdołał dojść tylko dotąd i uległ zatruciu dymem. Nie sposób było inaczej wyjaśnić, dlaczego - skoro uniknął zranienia w samej sali teatralnej - potrzebował aż tyle czasu, by przebyć tak krótką odległość, albo dlaczego nie wydostał się bezpiecznie tą drogą, co Carla Bertelli, druga osoba, której udało się przeżyć.

Ken zadzwonił do Elliottów, gdy tylko dowiedział Carłę bezpiecznie do swojego domu. W wiadomościach, które miał im do przekazania, radość mieszała się ze smutkiem: radość — bo Carla nie tylko przeżyła, ale też nareszcie powierzyła się Chrystusowi, a smutek — bo zginęli Wiktor i Frank, i wielu innych. Jak później donieśli strażacy, niszczycielski pożar był tak gwałtowny, że pozostały jedynie popioły; badania pozostałości budynku niewiele mogły wyjaśnić. Oczywiście znaleziono jeszcze ciało Wiktora — niecałe półtora metra od Del Sassa, jedyne ocalałe zwłoki.

— Musimy uważać — ostrzegł zgromadzonych w swoim salonie Hal Eliott, przekazując im wieści — żebyśmy nie wyobrażali sobie, że nasze modlitwy całkowiec pokrzyżowały Szatanowi plany wobec świata. Modlitwy tylko dlatego odegrały dziś rolę, że nie nadszedł jeszcze widać wybrany przez Boga czas zaprowadzenia przez Antychrysta fałszywego królestwa. I zawsze warto pamiętać, że nie ma znaczenia, jak głośno czy jak długo się modlimy. Nie jesteśmy wysłuchiwni z powodu „wielomówstwa” - jak powiedział Jezus. Jakub pisze, że „wielką moc posiada wytrwała modlitwa sprawiedliwego”. Bóg nie będzie do swoich celów używał nieczystych naczyń, bez względu na to, jak często będziemy do Niego wołać i powoływać się na Jego obietnice. Odpowiada nam tylko według swojej doskonałej woli, której powinniśmy się posłusznie poddać - inaczej nie zostaniemy wysłuchani.

Po zgodnych „Amen” i potakiwaniach doktor dodał jeszcze:

— Zamiast upajać się czymś, co - jak sobie może wyobrażamy - jest naszym wielkim zwycięstwem, powinniśmy przy tej okazji spędzić tu jeszcze chwilę i pozwolić Bogu, by zbadał nasze serca. Może poprzez swoje Słowo zechce pomóc nam zrozumieć sens dzisiejszych wydarzeń. Czy przystają w jakimś miejscu do prorocत्व biblijnych? Jakie jest ich znaczenie dla przyszłości i co powinniśmy z tym wszystkim zrobić? Sądzę, że znajdujemy się na rozstaju dróg historii i jako wierzący, potrzebujemy zyskać nowe zrozumienie i wskazówki na przyszłość.

Słuchając Hala z uwagą Don Jordan poczuł nagle silne przekonanie, że powinien robić co innego. Zadzwońił do Kena i powiedział, że za chwilę tam będzie i że to bardzo pilne.

Kiedy wszedł do domu Kena ze swą aktówką w dłoni, Carla leżała na kanapie w salonie, relacjonując Kenowi nieprawdopodobny przebieg zdarzeń.

— Słusznie robisz — powiedział Don ze zrozumieniem, kiedy do niej podszedł. — Musisz to zrzucić z siebie, podzielić się z kimś drugim, i to zaraz. Dlatego przyjechałem.

Z aktówki wyjął magnetofon.

— Jest ku temu jeszcze inny, może nawet ważniejszy powód. Podejrzewam, że twoja wersja przebiegu wypadków będzie miała w przyszłości zasadnicze znaczenie. Możecie być pewni, że Del Sasso opowie zupełnie inną historię, i to całkowiec sprzeczną z twoją, Carla.

Położył magnetofon obok niej i włączył nagrywanie.

— Nie wiem, ile już opowiedziałas — powiedział — ale będziesz musiała zacząć od początku; przede wszystkim najpierw: co działo się dziś rano. Po kolei opowiedz cały dzień, nie opuść żadnego szczegółu. Potem wrócimy do pierwszego spotkania z Wiktorem w Paryżu i opowiesz wszystko poczynając od tamtej chwili. Nie śpiesz się. Nikt mnie do tego nie upoważnił i zapewne nie upoważni. Musisz wiedzieć, że sprawa będzie prowadzona przez CIA, a

potem przejdzie pod najwyższą instancję sądu federalnego, tak sądzą, a może pod jakąś komisję senacką, zależy, w którą stronę będą to chcieli pchnąć. Jutro nie mógłbym już tego zrobić, więc opowiadaj póki czas.

*

Kiedy skończyli, było już dobrze po północy. Całe przeżycie okazało się dla Carli bardzo wyczerpujące fizycznie i emocjonalnie, ale wytrzymała do końca. Potem poszła spać. Ken i Don rozmawiali jeszcze jakiś czas. Don wyszedł dopiero wtedy, gdy sporządzili kopie wszystkich nagrań. Ken miał je złożyć w swoim sejfie. Don wziął oryginalne taśmy do swych archiwów, na wypadek, gdyby jednak okazały się kiedyś potrzebne. Usłyszawszy całą historię, wiedział, że słusznie zrobił przyjeżdżając tu i że nie zawaha się świadczyć na rzecz Carli, nawet jeśli miałoby go to kosztować utratę stanowiska, czego w tej chwili wcale nie wykluczał. W Waszyngtonie są pewni wysoko postawieni ludzie, którzy prędzej dadzą się zabić, niż pozwolą wyjawić prawdę. Był już o tym całkowicie przekonany.

Telefonując wcześniej rano, Don przekazał mu wiadomość, której się Ken spodziewał.

— Ken otrzymaliśmy właśnie polecenie, żeby przywieźć Carlę na przesłuchanie. Sprawa nie będzie w naszej jurysdykcji. Tak jak myślałem, poprowadzi to CIA, ale chcą, żebyśmy to my ją przywieźli. Wysłałem już do was dwóch ludzi. Zbudź Carlę dopiero, jak się pojawią. Chciałem tylko, żebyś nie był zaskoczony. Nie wiem na pewno, ale mam wrażenie, że Del Sasso zaczął już mówić coś, co może Carlę obciążyć.

— Obciążyć ją? — zdziwił się Ken. — A czym takim?

— Spowodowaniem zniszczeń.

— Toż to istna farsa! — poczuł, że traci panowanie nad sobą.

— Weź się w garść, chłopie. I ani słowa tym agentom, którzy się u ciebie zjawiają. Bądź opanowany. Dlatego do ciebie dzwonię. Zgoda? Módl się, bracie, a Pan to już poprowadzi. Właśnie teraz masz sposobność, żeby postępować według Ducha, a nie według ciała! I nie wspominaj ani słowem o naszym nagraniu ani o tym, że do ciebie dzwoniłem.

Było już późne popołudnie, gdy ci sami dwaj agenci - którzy zresztą kiedyś pilnowali jej w Hiltonie - odwieźli Carlę z powrotem. Kiedy Ken otworzył drzwi, wyglądała na wyczerpaną i — oszołomioną.

— Proszę pamiętać: nie jest pani wprawdzie jeszcze aresztowana — powiedział jeden z agentów — ale nie powinna pani opuszczać miasta bez porozumienia z nami.

Ken otworzył usta ze zdziwienia, a zaraz potem przygryzł wargę. Wziął

Carlę za ramię i wprowadził do środka. Objęła go za szyję i przytuliła się, próbując powstrzymać łzy.

Trzymał ją tak długo, aż przestała drżeć. Zaprowadził ją do kuchni, wciąż obejmując ramieniem. Postawił trochę wody na herbatę i usiedli przy stole. Carla otarła oczy.

— Nie dałam im okazji zobaczyć mnie w takim stanie, nie bój się — powiedziała. — Grałam silną. Ale nie mogę w to uwierzyć.

— Opowiedz.

— Nie mogę. Nie pozwolili mi.

— Jak to?!

— Mam sądowy nakaz milczenia, nie mogę o tym mówić, w ogóle! Z nikim, nawet z tobą.

Myśli Kena pędziły jak oszalałe. Więc Jordan nie spekulował o tak sobie. Co teraz będzie? To niemożliwe. Będzie walczył, całą swoją siłą. Tamtym nie uda się z tego wykręcić, z tego czegoś, o czym Carla nie może mu powiedzieć. Przenikliwy gwizd czajnika przywrócił go do rzeczywistości.

Postawił na stole filiżanki i dzbanek i powiedział:

— Ale możesz mi przynajmniej powiedzieć, jak ci poszło i dlaczego jesteś taka zdenerwowana.

— Ken, ja nie mogę ci mówić niczego!

Przypomniał sobie, co mówił Don Jordan.

— Coś ci zarzucają? — zapytał. — Nic nie mów, tylko kiwaj głową.

Powoli kiwnęła.

— Nie uda im się daleko dojechać na takim kłamstwie! — krzyknął z oburzeniem.

— Może im się uda. Jest coś, co przeoczyłam, Ken. Wszyscyśmy to przeoczyli, nawet Jordan.

*

Rząd Stanów Zjednoczonych natychmiast wysłał do bazy uzbrojony patrol, który miał nie wpuszczać ciekawskich na teren posiadłości, nawet na drogę dojazdową. Na całą sprawę spuszczone zostało tajemnicy. Trudno jednak było ukryć przed opinią publiczną fakt, że nastąpiła ogromna eksplozja i pożar, w których życie straciło prawie 300 osób, głównie znanych z międzynarodowej sceny przywódców politycznych i dygnitarzy prasowych. Doniesienia prasowe i zdjęcia przybyłych na Kongres prominentów, tłumu dziennikarzy przed bramą i samego pożaru w ciągu kilku minut obiegły świat. Poza tym jednak mass media musiały spekulować na własną rękę. Rządy krajów, których obywatele zginęli podczas katastrofy, domagały się oczywiście wyjaśnień, każdy otrzymywał jednak standardową odpowiedź, że jeszcze za wcze-

śnie na komentarze i że śledztwo może potrwać długie miesiące.

Zakazano wywiadów i z Bertelli, i z Del Sassem. „Wiarygodne źródła” podawały jednak, że ich zeznania są ze sobą w ostrej sprzeczności, a w relacji Bertelli są poważne luki. Spekulować nie było trudno i po katastrofie pojawiało się w prasie bardzo dużo tego typu tekstów. Niektórzy dawni koledzy Carli wydawali się nawet mieć jej za złe, że kiedy 30 innych dziennikarzy obecnych na Kongresie zginęło, ona jedna przeżyła. Dlaczego? Coś tu nie pasowało. Po pierwsze: Del Sassa znaleziono nieprzytomnego niedaleko sali teatralnej, tymczasem Bertelli wyszła z całej sprawy bez jednego zadraśnięcia. Jak mogła się znajdować w sali teatralnej podczas wybuchu, którego świadkami byli przedstawiciele prasy za bramą i dwaj strażnicy? Dlaczego tylko ona przeżyła, i to bez szwanku? Plotki mnożyły się; kiedy brak faktów, plotki stanowią pożywkę same dla siebie.

Co do gigantycznego UFO, nikt nie zrobił mu zdjęcia, poza tym relacje bardzo różniły się między sobą. Byli nawet tacy, którzy twierdzili, że to nie było wcale UFO, tylko olbrzymia ognista kula — rezultat wybuchu, i że tylko wyglądało jak UFO. Inni zaklinali się, że wyraźnie widzieli metalowe ściany, okna i klasyczny kształt jak z *Gwiezdnych wojen*. Tylko jeden świadek twierdził, że widział, jak jeep Kena przejechał prosto przez ten statek, ale to oczywiście nie mogli się zdarzyć, to coś musiało przelecieć nad nim.

Koniec końców teoria o UFO upadła pod ciężarem małego prawdopodobieństwa takiego właśnie scenariusza. Po pierwsze bowiem świadkowie - to jest ponad sto osób - niemal jednogłośnie zeznawali, że obiekt wyleciał spod kopulastego dachu teatru w prawym skrzydle głównego budynku. Ponieważ statek kosmiczny takich rozmiarów w żadnym razie nie mógłby się zmieścić wewnątrz budynku, oczywiste było, że nie mógł się również z tegoż budynku wydostać. Obiekt musiał więc być nie gigantycznym UFO w aureoli płomieni, lecz wielką kulą ognistą która dziwnym wybrukiem natury - związanym zapewne z rodzajem eksplozji lub kierunkiem wiatru w tamtej chwili - przemieszczała się w płaszczyźnie poziomej i rozproszyła się między drzewami za bramą wjazdową. Fakt, że kilka wierzchołków drzew wzdłuż pewnej krzywej było spalonych, zdawał się potwierdzać ten tok rozumowania.

*

Ken i Carla nie dopuścili do tego, by zakazy rządowe dyktowały bieg ich prywatnego życia, zwłaszcza w sprawie tak dla obojga ważnej. Ślub, który odwołano parę lat wcześniej z powodu nawrócenia Kena na chrześcijaństwo, odbył się nareszcie, dzięki nawróceniu Carli. Lista gości bardzo znacznie się różniła od tej pierwszej. Wszystko się zmieniło. Carla zauważyła, że obraca się w gronie zupełnie innych ludzi, w większości tych, którzy bywają na spo-

tkaniach modlitewnych u Elliottów, w kościele, gdzie chodzi Ken, i na cotygodniowym studium biblijnym u Kena w domu.

— Jako twój mąż — powiedział Ken, oświadczając się jej po raz drugi — będę mógł dzielić z tobą wszystkie tajemnice, których normalnie nie mogłabyś mi powiedzieć. Będziemy w tym razem.

— Więc próbujesz uzasadnić tę ważną decyzję! — roześmiała się. — Są mężczyźni, którzy żenią się dla pieniędzy, których ja nie mam. No a inni... Czyżbyś żenił się ze względu na tajne informacje, do których mam dostęp?

Początkowo liczyli na to, że miesiąc miodowy spędzą na Hawajach, ale obecnie, kiedy nałożono na nich zakaz podróży, to nie wchodziło w rachubę. Spędziliby ten okres tuż pod domem, gdyby nie interwencja Dona Jordana. Pod jego naciskiem CIA ustąpiła i pozwoliła im jechać aż do Carmelu, miejsca odległego od Pało Alto o niecałe sto kilometrów, jednak nie mniej pięknego czy stosownego dla nowożeńców niż hawajskie Maui.

W ciągu następnych kilku miesięcy Carłę kilkakrotnie wzywano do Waszyngtonu w celu składania zeznań na zamkniętych przesłuchaniach w Senacie. Środki masowego przekazu mocno naciskały na uchylene rąbka tajemnicy, ale władze nie ulegały takim żądaniom. Wkrótce dla Carli i Kena, który zawsze jej w tych podróżach towarzyszył, oraz dla dwóch prawników, których wynajął, stało się jasne, że Carla znalazła się w poważnych tarapatkach.

— Więc ciągle obstaje pani przy swojej wersji — zapytał przewodniczący senackiej komisji, kiedy Carla pojawiła się na trzecim przesłuchaniu — że to pułkownik Czernow, czyli człowiek, który już dłuższego czasu nie żył, zabił doktora Chorewa na korytarzu, kiedy oboje próbowaliście uciec?

Znad okularów mierzył ją pełnym niedowierzania wzrokiem.

— Już wyjaśniałam, że to nie był Czernow.

Było jej trudno powściągnąć swój irlandzki temperament. Miała wrażenie, że członkowie komisji świadomie upierają się, że powiedziała coś, czego nie powiedziała, i że próbują na wszelkie możliwe sposoby zdyskredytować jej zeznania, tylko dlatego, że nie zgadzają się z zeznaniami ich pupila, Antonia Del Sassa. Nieustannie odmawiano jej możliwości konfrontacji z nim twarzą w twarz, której się za każdym razem domagała.

— Ale powiedziała pani, że wyglądał tak samo, jak on! — przerwał ostro przewodniczący.

— Wyjaśniłam, że był to Archont, który przybrał postać Czernowa.

— Tymczasem doktor Del Sasso twierdzi, że cały ten „archoncki scenariusz” to wymysł Wiktora Chorewa i że pani cały czas się z tym zgadzała. Z tego wynika, że oboje byliście od samego początku w zмовie. Na potwierdzenie tego mamy oczywiście artykuły, które pani opublikowała. Nie zaprzeczysz pani?

— • Oczywiście, że nie zaprzeczę. I jeszcze raz powtarzam, że Del Sasso

kłamie. Zawsze przedstawiał się jako ambasador Archontów do specjalnych poruczeń i przy wielu okazjach, również przy tej, która jest przedmiotem śledztwa, oświadczał, że siły parapsychiczne, które się przez niego objawiają, pochodzą w zupełności od Archontów.

— I pani spodziewa się, że komisja uwierzy w fantazje o „wysoko rozwiniętych bezcielesnych istotach pozaziemskich”, duchach, które w tej chwili zwie pani *d e m o n a m i*, a które rzekomo włączają się po świecie w przebraniu nieżyjących sowieckich oficerów?

— Nie mam żadnego wpływu na to, w co wierzy komisja. Wiem tylko, że mówię prawdę, czy panowie w to wierzą, czy nie!

— I wciąż upiera się pani — wtrącił inny senator — że spotkała pani doktora Del Sassa w hallu już po eksplozji, pomimo tego, że strażacy znaleźli go nieprzytomnego koło sali teatralnej, w głębi budynku?

— Tak powiedziałam, a mój mąż Ken Inman potwierdził już ten fakt.

— Tak, mamy jego zeznania, i istotnie zgadzają się z zeznaniami pani, czego się zresztą należało spodziewać.

W tym momencie Ken zerwał się na równe nogi, chcąc zaprotestować, ale dwaj prawnicy usadzili go z powrotem.

— Wywozłem Carlę w moim jeepie. Są świadkowie, którzy widzieli, jak razem wyjeżdżaliśmy! — szepnął do nich, wzburzony.

— To wcale nie dowodzi, że Del Sasso był w tym czasie w hallu przy wyjściu! — padła surowa odpowiedź również szeptem, a potem przypomnienie, żeby się opanował i pozwolił im kierować sprawą. Zresztą po to ich wynajął.

— Nalegamy, żeby powiedziała nam pani prawdę, pani Inman — któryś z kolei raz powiedział przewodniczący. — Jak dotąd nie była pani kryminalnie notowana i chcę się do pani zwrócić w imię lojalności, jaką bez wątpienia żywiła pani niegdyś wobec swego kraju. W katastrofie zginęli czołowi przywódcy z całego świata, przez co nasze dobre stosunki z innymi państwami doznały poważnego uszczerbku. Nie mogę pani obiecać uniewinnienia - bo to jest w gestii sądu - ale mogę przynajmniej zaoferować satysfakcję ze świadomości, że choć w jakimś stopniu odkupiła pani tę niesłychaną zbrodnię przez powiedzenie nam prawdy.

— Powiedziałam panom prawdę — Carli nie było stać na więcej słów. Zdawało się jej, że śni. To, co się dzieje, jest nieprawdopodobne!

— Pani zdaje sobie sprawę, że taka wersja wydarzeń jest całkowicie nie-spójna — upierał się przewodniczący — jakoby doktor Del Sasso znajdował się wtedy w hallu przy wyjściu, o krok od ocalenia, a potem dobrowolnie udał się w głąb budynku po pewną śmierć. Bo gdyby strażacy go w porę nie znaleźli, już by nie żył. Po co miałby wracać? Przecież wiedział, że wszyscy już nie żyją. A jeśli doszedł tak blisko wyjścia, z pewnością nie wracałby do płonącego budynku bez powodu.

— Może wstyd mu było tego, co zrobił, i chciał umrzeć — odparła. — Nie wiem. Jego muszą się panowie pytać, dlaczego zawrócił. Ale ponieważ i tak mówi wierutne kłamstwa, nie wiem, czy jest sens pytać go o cokolwiek. I nadal domagam się konfrontacji z nim przed tą komisją.

Było to życzenie, które nigdy nie zostało spełnione, pomimo argumentów, jakie przekonująco prezentowali prawnicy Kena, oraz nieoficjalnym naciskom, jakie w pewnych miejscach wywierał Don Jordan, z narażeniem własnego stanowiska.

*

Przesłuchania ciągnęły się miesiąc po miesiącu przynosząc właściwie same rozczarowania, pomimo modlitw spotykającej się u Elliottów grupy, aby prawda wyszła na jaw i stała się ostrzeżeniem dla świata. Doktor Elliott raz po raz przypominał, że próbowanie wiary jest rzeczą normalną, że wola Boża jest zawsze najlepsza i że Bóg ma nad wszystkim pieczę, choćby nawet chwilowo zdawało się, że jest inaczej. Były to krzepiące słowa dla Kena, Carli i pozostałych. Ufali w dobroć Boga i w to, że są w Jego rękach, że pewnego dnia prawda wyjdzie na jaw, choć na razie zdaje się to nierealną mrzonką.

W końcu stało się jasne, że słowa Carli mierzy się słowami Del Sassa, za stare powiedzenie: „Prawda jest dziwniejsza od fikcji” znów dowiodło swojej niezwyklej trafności. W tym przypadku prawda była zbyt dziwna, by mogła ją zaakceptować senacka komisja śledcza. Niekoniecznie było tak, że każdy z jej członków w ukryciu konspirował z kimś wysoko postawionym w Waszyngtonie, komu zależało na ukryciu prawdy. Wersja Carli brzmiała jednak bez wątpienia nieprawdopodobnie, zwłaszcza w uszach osób, które nie posiadały drobiazgowej znajomości faktów.

Tymczasem Del Sasso całkowicie zmienił kurs. Nie wspominał ani słowem o Archontach, ponieważ zostali oni całkowicie zdyskredytowani przez komisję senacką. Zamiast mówić o istotach duchowych z wysokiego szczebla ewolucji, które są czymś odrębnym niż ludzie, Del Sasso opowiadał o Jungiańskich archetypach, z którymi można się połączyć przez powrót do starożytnych technik szamanistycznych. Obstawał też przy tym, że taka była od początku jego nauka. Za pomocą tychże archetypów - sugerował - można uzyskać dostęp do nieograniczonych sił umysłu, które zalegają bezużytecznie w naszej nieświadomości, a dzięki temu można je rozbudzić i rozwinąć. Założył korporację o nazwie Shamans Unlimited, która zajęła się udzielaniem instrukcji w dziedzinie tych technik i wkrótce stała się najpopularniejszym guru dla osób oddanych ideom ludzkiego potencjału, pozytywnego nastawienia umysłu, sukcesu i motywacji. Osób głoszących podobne posłanie liderom gospodarki i polityki było oczywiście znacznie więcej, ale Del Sasso jako jedyny

mógł za przynętę używać sił parapsychicznych. Stonował jednak nieco demonstrowanie tych sił, tłumacząc, że nie chce wzbudzać zbyt wygórowanych oczekiwań, przynajmniej na początku.

— Ironia losu — stwierdził Ken na jednym ze spotkań u Elliottów. — To, co początkowo wyglądało na fiasko zamiarów Archontów, okazało się w końcu wielkim krokiem naprzód. Czasem podejrzewam, że oni mogli to nawet tak właśnie zaplanować. Niegdyś Del Sasso mógł liczyć na sławę tylko wśród elity politycznej, teraz zna go cały świat. Dzięki mass mediom, które traktują go jak bohatera, jego nazwisko znalazło się na ustach wszystkich. Z dnia na dzień stał się osobistością na skalę światową. W samym Planie też niewiele zmian. Przecież to bez znaczenia, czy nazwiemy ich „Archontami” czy „archetypami z nieświadomości zbiorowej”. Pozostają tymi samymi demonami, a Del Sasso to nadal ich człowiek. Końcowy rezultat będzie taki sam: demonizacja milionów, miliardów ludzi jako przygotowanie na wejście Antychrysta. Tylko że teraz Del Sasso używa skuteczniejszego środka promocji iluzji o boskości i nieograniczonym potencjale.

— Zgadza się — przytaknął Hal. — Proroctwa wypełnią się na pewno. Szatański „Plan Archontów” nie został udaremniony, zmienił tylko formę. Poza tym gwarantuję, że bardzo powszechna łatwowierność i apetyt na fałszywą nadprzyrodzoność też nie zginęły - wręcz wzrastają. Widać teraz jak na dłoni, jak wyrafinowanym zmianom poddaje się ten program, aby przygotować świat na „wielki obłęd”. My tego nie powstrzymamy. Nie zbawimy świata, choćbyśmy dniami i nocami modlili się i głosili ewangelię. Kościół jest tu kluczem. Jeśli otworzą się mu oczy na to, co się dzieje, to może uda się jeszcze uratować wiele oszukanych dusz, zanim będzie za późno. Carla jest tu przykładem. Zdawała się beznadziejnym przypadkiem, no ale... Dzięki Bogu! — uśmiech Hala dopowiedział resztę.

*

Minęło prawie osiem miesięcy od katastrofy, gdy komisja postanowiła narzeczcie ogłosić werdykt. Jej ustalenia zostały zaakceptowane przez Kongres i Biały Dom, a następnie przekazane wszystkim krajom, których przywódcy zginęli w masakrze. Kena i Carlę znów wezwano do Waszyngtonu; mieli być obecni podczas publicznego odczytywania komunikatu.

— Aresztują nas? — zapytali prawników już na pokładzie samolotu.

— Z tego, co nam wiadomo, nie — zapewnili tamci. — Ale ustalenia wcale was nie ucieszą tego jesteśmy pewni.

Istotnie, po spotkaniu z komisją i poznaniu werdyktu byli bardzo przygnębieni. Nie dopuszczono ich do głosu, czas prezentowania argumentów już się skończył; mieli w milczeniu słuchać odczytywania listy zarzutów. Usłyszeli,

że z braku wystarczających dowodów poniechano oskarżenia, ale że śledztwo nie zostało jeszcze zakończone. Potem wyszli na zewnątrz, zmieszali się z tłumem i czekali na publiczne odczytanie orzeczenia.

Był zimny, wietrzny lutowy dzień; ciężkie, ołowiane chmury w każdej chwili groziły wyładowaniem na stolicę kraju ton śniegu. Niemniej jednak oświadczenie zostało odczytane — ze schodów Senatu. Zainteresowanie opinii publicznej wykluczyło możliwość ogłoszenia werdyktu na konferencji prasowej. Społeczeństwo chciało być przy tym obecne i pomimo ostrego wiatru na miejscu zgromadziły się tysiące ludzi; niektórzy już od wielu godzin czekali na upragnione oświadczenie. Prezydent Stanów Zjednoczonych odbywał akurat spotkanie ze swoim gabinetem w Camp David, a w jego zastępstwie przygotowany komunikat odczytał wiceprezydent, zarazem marszałek Senatu. Nie był to dokument rozwlekły.

— Pełny raport na piśmie będzie dostępny dla każdej zainteresowanej osoby, która po odczytaniu tego komunikatu zechce wejść do środka budynku i wziąć sobie egzemplarz z informacji — oznajmił do mikrofonu, który przez głośniki roznosił jego głos nad całym zgromadzonym tłumem.

— A teraz w kilku zdaniach wniosek, do którego doszła komisja: Śmierć 289 osób i zniszczenie ośrodka badań parapsychologicznych koło Pało Alto w Kalifornii 14 lipca zeszłego roku zostały spowodowane przez ładunek wybuchowy skonstruowany przez Wiktora Chorewa, udającego, że jest zbiegiem politycznym. Chcemy z całą mocą podkreślić, że nie był on agentem rządu, ale współuczestnikiem planu autorstwa niejakiego pułkownika Aleksieja Czernowa, planu powziętego bez wiedzy władz. Kiedy nie powiodła się pierwsza próba zniszczenia ośrodka, a Czernow został zabity dzięki heroicznej postawie doktora Antonia Del Sassa, Chorew - przy współpracy innych nieznanym nam osób - osiągnął planowany cel za pomocą ładunku wybuchowego ogromnej mocy. Mamy zapewnienie szefa państwa rosyjskiego, że Chorew, Czernow oraz inni pracujący na własną rękę agenci działali bez sankcji i poparcia rządu. Intensywne śledztwo prowadzone z pomocą naszych zamorskich sojuszników potwierdziło prawdę jego deklaracji.

Odwrócił kartkę.

— Znana dziennikarka Carla Bertelli, obecnie Carla Inman, jest również podejrzana w tej sprawie. To ona pomogła Chorewowi i Czernowowi w inscenizacji fałszywej ucieczki w Paryżu, co miało się przyczynić do uwiarygodnienia statusu Chorewa jako zbiega. Podczas pobytu w ośrodku blisko przyjaźniła się z Chorewem i prawdopodobnie dołączyła do spisku mającego na celu zniszczenie tegoż ośrodka. Publikowała artykuły, w których prezentowała fałszywą tezę Chorewa o mitycznych bezcielesnych istotach zwanych Archontami, które miały być przykrywką dla ich planu; próbowała nawet przekonywać komisję senacką, że to właśnie owi „Archonci” mieliby być od-

powiedzialni za zniszczenia. Bertelli zdołała stamtąd uciec bez najmniejszych obrażeń, co nie udało się nawet Chorewowi; z czego łatwo się domyślić, że wiedziała, w jakiej chwili nastąpi wybuch, i zawczasu opuściła salę teatralną. Senacka komisja śledcza z ciężkim sercem postanowiła jednak z braku dowodów nie wnosić na razie oskarżenia przeciwko pani Inman i jej mężowi. Ale śledztwo jest w toku. Jeśli w przyszłości zostanie zgromadzony odpowiedni materiał dowodowy, wówczas oboje zostaną aresztowani i skazani za udział w tym diabelskim spisku. Tymczasem jednak pozostaną na wolności.

Podniósł wzrok.

— Wiem, że zebrani tu przedstawiciele środków masowego przekazu mają wiele pytań, ale nie czas to i miejsce na odpowiedzi. W tej chwili pan prezydent odbywa ze swoim gabinetem spotkanie, na którym omawia tę sprawę i jej wpływ na nasze stosunki z innymi narodami, których wiele straciło w masakrze swych wybitnych przedstawicieli. Pan prezydent wystąpi w przyszłym tygodniu na konferencji prasowej i wówczas odpowie na państwa pytania.

Ken i Carla przestali na chwilę słuchać buczącego głosu wiceprezydenta — zdołał do nich dotrzeć pewien reporter z *Washington Post*, którego Carla znała od lat, i zaczął zadawać pytania.

— Jestem zdumiony, słysząc coś takiego — powiedział Carli. — I bardzo mi przykro. Trudno w to uwierzyć. Masz jakieś komentarze?

— Teraz już możemy mówić, skoro uchylono nakaz milczenia, a mnie publicznie oszkalowano. I będziemy mówić. A nawet więcej — powiedziała Carla. — Chcę nie tylko oczyścić siebie samą od oszczerczych zarzutów, które słyszałaś, ale też walczyć o dobre imię Wiktora Chorewa. Mój mąż i ja nie damy za wygraną, póki prawda nie wyjdzie na jaw. Możesz być tego pewien!

Wiceprezydent właśnie kończył mówić, a jego ostatnie słowa znów przyciągnęły ich uwagę.

— Jeszcze jedno, proszę państwa. Doktor Antonio Del Sasso—jedyny ocalały z katastrofy, a zarazem ten, który narażając życie próbował wynieść doktora Chorewa na zewnątrz —jest tu z nami. Jeszcze dziś po południu pan prezydent wręczy mu medal podczas specjalnej uroczystości w Białym Domu. Chcę go poprosić, aby stanął obok mnie, aby wszyscy państwo mogli go zobaczyć. Panie i panowie, uczynicie słusznie, okazując temu człowiekowi uznanie za jego wysiłki zaprowadzenia na ziemi pomyślności i braterstwa.

Tłum oszalał. Ubrany w sweter z golfem i tweedowy płaszcz sportowy Del Sasso lekko przekrzywił głowę i uśmiechnął się. Tak, Plan będzie nadal realizowany. Życie tych kilku osób, które zostały w tym celu poświęcone, to dopiero początek. Wszystko to było częścią Planu, niezbędną do jego kontynuacji, której nic już nie powstrzyma. Tego był absolutnie pewien.

SPIS TREŚCI

1. Kontakt.....	9
2. Umówione spotkanie.....	16
3. Dziewięciu wychodzi.....	21
4. Z ciemności.....	27
5. Żywy dowód.....	31
6. Zmiany.....	36
7. Operacja CIA?.....	44
8. Na rozstaju.....	50
9. Rozstanie.....	58
10. Wątek KGB.....	64
11. Do archiwów.....	74
12. Rozpaczliwa decyzja.....	81
13. Paryż!.....	88
14. Zdemaskowany.....	97
15. Jak kamień w wodę.....	107
16. Operacja „Archont”.....	116
17. Dziwna propozycja.....	126
18. W środku.....	137
19. Antonio Del Sasso.....	144
20. Plan.....	151
21. Kot i mysz.....	163
22. Lekkomysłny krok.....	168
23. Inwazja.....	174

24. Wojna Parapsychologiczną.....	182
25. Nieskończony potencjał?.....	190
26. Bliskie spotkanie.....	201
27. Bunt Antychrysta?.....	208
28. Bies.....	212
29. Niewiasta i wąż.....	218
30. Wierni.....	224
31. Coraz większe wątpliwości.....	231
32. Ostrzeżenie.....	242
33. Przechytrzona.....	251
34. Mystyfikacja?.....	257
35. Konkurencyjny plan.....	263
36. Ocalić świat.....	271
37. Kongres Światowy 666.....	278
38. Całopalenie.....	287
39. Większa moc.....	301
40. Legat Archontów.....	307